BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Biblioteka Jagiellońska

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1874.

Tom czwarty.

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główna w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

1874.

Дозволено Цензурою.
Варшава 13 Сентября 1874 года

W drukarni Józefa Bergera, w Warszawie, Daniłowiczowska Nr. 619.

PRZEJŚCIE
PLANETY VENUS
PRZED TARCZĄ SŁONECZNĄ.

Pogadanka astronomiczna.

Zjawisko przejścia planety Venus przed tarczą słoneczną, nie przedstawia samo w sobie szczegółów dziwnych lub zbyt ciekawych, jest ono wszelako największéj doniosłości dla nauki; gdy bowiem z jednéj strony powtarza się tylko w wielkich czasu odstępach, z drugiéj przedstawia wyborne dane, czyli materyały do obrachowań astronomicznych, stanowiących jakoby podstawę naszego słonecznego systematu—jedném słowem, do oznaczenia parallaxy słońca, czyli co na jedno wychodzi, oddalenia tegoż od ziemi.

Rzadkie to zjawisko przypadnie właśnie w tym roku 1874, dla tego nie od rzeczy będzie parę słów o niém powiedzieć.

Planeta Venus odbywa całkowity swój przebieg wkoło słońca w stosunku do ziemi, tak aby się znaleźć pomiędzy nią a słońcem, czyli *w konjunkcyi niższéj*, według Delambra w przeciągu dni 584 około; przez ten czas ziemia przebiega całą swą drogę *roczną*, i nadto jeszcze robi na rachunek roku następnego około 216°. Lecz pięć razy 216° czyni 1080°, czyli trzy razy 360°; a zatém gdy Venus powróci do miejsca danego, a właściwie do konjunkcyi ze słońcem, ziemia uczyni pięć razy 584, czyli 2920 dni, to jest lat 8. W tym przeto przeciągu czasu tó jest co lat 8, w tym samym dniu i położeniu, a raczéj na jednéj linii (w konjunkcyi), znajdą się znowu słońce, Venus i ziemia. Gdyby droga planety Venus równoległą była z ekliptyką czyli pozorną drogą słońca, to rzecz jasna, iż co lat 8 za każdym zwrotem planety, widzielibyśmy ją przechodzącą po przed tarczą słoneczną. Lecz orbita planety Venus nachylona jest do ekliptyki pod kątem około 3° 24′, a w takim tylko razie planeta może być widoczną na tarczy słonecznéj, jeżeli jéj szerokość astronomiczna w chwili konjunkcyi ze słońcem nie jest większą od połowy średnicy samego słońca; w prze-

BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

ciwnym bowiem razie, pod albo nad słońcem przebiega. Łatwo więc pojąć że nie zawsze, lecz tylko w niektórych razach, przy konjunkcyi, planeta Venus spostrzeganą być może na tarczy słonecznéj.

Gdy to zjawisko po długim peryodzie czasu przychodzi, powtórzyć się musi późniéj w lat 8; jednakże ponieważ szerokość astronomiczna Wenery i Słońca po latach ośmiu nie znajdują się akuratnie takież same jak przedtém, lecz przedstawiają różnicę od 20′ do 24′ więc po przejściu drugich lat 8, czyli po latach 16, różnica dochodzi 40′ lub 48′, czyli że ona znacznie połowę średnicy słońca przewyższa, i ztąd wynika, iż trzech po sobie co lat 8 przejść planety Venus po przed słońcem być nie może, ale po dwóch powtórzonych przejściach, trzecie następuje dopiero po upływie przeszło całego wieku.

Pierwsze zjawisko takie uważane było w Liverpoolu d. 4 grudnia 1639 r. Ścisłe rachunki ruchu planet wykazują nam od czasu wynalezienia teleskopów do końca prawie XXIV wieku, daty zjawiska tego następne:

rok	1639	dzień	4 Grudnia
„	1761	„	5 Czerwca
„	1769	„	3 Czerwca
„	1874	„	8 Grudnia
„	1882	„	6 Grudnia
„	2004	„	7 Czerwca
„	2012	„	5 Czerwca
„	2117	„	10 Grudnia
„	2125	„	8 Grudnia
„	2247	„	11 Czerwca
„	2255	„	8 Czerwca
„	2360	„	12 Grudnia
„	2368	„	10 Grudnia

Tak więc w dniu 8 grudnia roku bieżącego 1874, koléj na to zjawisko przychodzi. Będzie to jakoby wielka astronomiczna kampania, do której się i uczeni całego świata, i wszystkie cywilizowane państwa przygotowują. Ze ścisłych spostrzeżeń otrzymać się mają dwa wielkiéj doniosłości fakta, mianowicie: bliższe wyznaczenie odległości ziemi od słońca i, oprócz tego, sprawdzenie szybkości światła.

Spostrzeżenia tegoczesne przy wielkiém wydoskonaleniu narzędzi zastosowanych do badań ścisłych, dają téż rękojmię całej możliwéj dokładności, przyczém wszechwładna pani obecnego wieku elektryczność i jéj towarzyszka, fotografia, najważniejszą odegrają rolę. W Anglii buduje się ośm *fotoheliografów*, wyłącznie do tych spostrzeżeń przeznaczone, na model jednego, znajdującego się w Kew; z tych trzy przeznaczone są dla Rossyi, która już jeden podobny posiada. Niemcy mają także cztery, Portugalia wysyła swój z Lizbony do Macao; Stany Zjednoczone robią *fotoheliografy* nieco odmienne, we Francyi były dyrektor obserwatoryum, Delaunay polecił studya nad jeszcze innym modelem pp. Martin Wolf i Bourbouze. Wszyskie te narzę-

dzia pochwycą niezmordowani pracownicy nauki, aby na różnych punktach naszéj ziemskiéj kuli śledzić przebieg tego rzadkiego zjawiska. Wszędzie jednak zapewne oko spostrzegacza zastąpione zostanie płytą fotograficzną, która nie podlegając ani uprzednim *apriori* powziętym wyobrażeniom, ani żadnemu złudzeniu, najwierniejszy obraz zjawiska przedstawić jest zdolna.

Do spostrzegań przejścia planety Venus, a raczéj do otrzymania rezultatów właściwych, dwie metody posłużyć mogą. Pierwsza tak zwana Halley'a zasadza się na tém, aby obrać na kuli ziemskiéj takie dwa punkta, z którychby spostrzegany *respective czas przejścia* planety przez tarczę słoneczną przedstawiał różnicę jak największą. W drugiéj metodzie zwanéj Delisle'a, starają się obrać takie stacye, z którychby można było jak największą otrzymać różnicę *wejścia* planety na tarczę słoneczną, lub zejścia z niéj. Która z tych dwóch metod, mających każda swoich zwolenników, przeważy przy spostrzeżeniach bieżącego roku, jeszcze nie wiadomo.

Okoliczności zjawiska wyrachowane z tablic słońca i Wenery (Le Verrier'a) odnośnie do środka ziemi, przyjmując 32′ dla pozornéj średnicy słońca w średniém od ziemi oddaleniu, są następne:

rok 1874 dzień 8 grudnia.

Wejście centrum pl. Venus na tarczę słoneczną, czas średni paryzki. 14 g. 3 m. 89.

Wyjście centrum pl. Venus „ 18 g. 17 m. 87.

Przyjmując parallaxę przybliżoną słońca 8″,90 a pomijając spłaszczenie kuli ziemskiéj i inne drobne cyfry, dla obserwowania godzin wejścia i zejścia pl. Venus na jakimkolwiek punkcie M. powierzchni naszego globu, przyjąć można przybliżone wzory następne:

Wejście: 14 g. 3 m., $89 + (0{,}8371) \cos. \varDelta \cos. L.$
$+ (0{,}7258) \cos. \varDelta \sin. L - (0{,}8479) \sin. \varDelta$

Wyjście: 18 g. 17 m., $87 + (0{,}5836) \cos. \varDelta \cos. L.$
$+ (0{,}5643) \cos. \varDelta \sin. L + (0{,}9935) \sin. \varDelta$

Gdzie $\varDelta$ jest szerokością miejsca dodatnią lub ujemną, stosownie do tego czy jest północną lub południową; L zaś, jest długością, jeśli wschodnia dodatnią, jeśli zachodnia ujemną, czynniki zamknięte w nawiasach wyrażone są w minutach czasu, godziny wejścia i wyjścia w czasie paryzkim średnim.

Głównemi stacyami do spostrzeżeń tego zjawiska zdaje się iż będą: na północy okolice jeziora Bajkał, Chiny i Japonija, na południu zaś wyspy Kerguelen i Macdonalda, Nowa Holandya, Zelandya i t. d. Linia mniéj więcéj przybliżona poprowadzona od Smoleńska przez Lwów, Belgrad (Serbija), Raguzę (Dalmacya), Kuzencyą (Cosenza południowe Włochy) i Katanią (Sycylia), stanowi przybliżoną granicę, od któréj w miejscach położonych na wschód w Europie koniec zjawiska z wejściem słońca jeszcze obserwowanym być może, we wszystkich zaś miejscach położonych na zachód odbędzie się ono

w tym czasie, gdy jeszcze słońce przed wejściem swém pod poziomem znajdować się będzie. Z naszego przeto kraju przejście Wenery przez tarczę słoneczną nie będzie mogło być wcale widzianém. Nie widziano go u nas i w roku 1761, chociaż w tym roku było do widzenia. Tak mało wtedy czasu miano na utrzymanie znaczenia, do jakiego powinna miéć prawo Kopernika ojczyzna!

Było to bowiem jeszcze w czasie siedmioletniéj wojny; ociężały i nieruchliwy król polski a elektor saski August III, wygnany przez Fryderyka Wielkiego elektora braudeburskiego z Saxonii, siedział pod ten czas *nolens volens* w Warszawie, bawiąc się operą, wystrzygiwaniem papierków i strzelaniem do psów przez okno saskiego pałacu. A że tegoż roku zwołany był z wiosną sejm ekstraordynaryjny (pod laską Adama Małachowskiego krajczego koronnego), pozjeżdżały się więc do stolicy najznakomitsze w kraju osoby. W owym téż czasie zaczął słynąć, niezbyt dawno z wycieczki za granicę powróciwszy, jako wielce wrzekomo uczony ksiądz Stefan Łuskina. Ten, przywiózłszy z sobą niektóre astronomiczne narzędzia, jako już professor kolegium Jezuitów w Warszawie, tamże rodzaj obserwatoryum urządził. W akademii znów Zamojskiéj znany stary Duńczewski, doktor prawa i filozofii a razem dziedzic Łazów, Nowopola, Chrościc i Krzywonosia, również astronomii professor a wydawca sławnych kalendarzy (i dziś wielce ciekawych), przez starszą szlachtę wielce był poważany i za znakomitego matematyka poczytywany. Owoż przejście, jak mówiono, *jutrzenki* przez tarczę słoneczną, nastręczając pole do popisu, zapaliło nie tylko ciekawość lecz i antagonizm pomiędzy dwoma owemi luminarzami. Stary Duńczewski ogłosił wyrachowanie w którém dowodził, że zjawisko, jako ubiegłe przed wschodem słońca, w Polsce widzianém nie będzie. Łuskina, młodszy, pełen animuszu i wielkiego o sobie rozumienia a lubiący się pochlubić, wyszydzał wydawcę kalendarzy, dowodząc że fenomen ten doskonale widziéć będzie można, jako zaczynający się około godziny pół do piątéj rano, a było to dnia 5-go czerwca 1761 roku. Wiele osób zaciekawiła ta polemika uczonych, spór toczył się żywy, ujadali się anticipando stronnicy dwóch obozów. Jedni za honorem nowego luminarza nauki księdza Łuskiny, drudzy po staroświecku wierząc w Duńczewskiego jak w wyrocznią, boć przecie kalendarze układał, a chodziło téż i o sławę akademii Zamojskiéj; Duńczewski zaś wsławił się już był w całéj Polsce nie tylko kalendarzami, lecz Herbarzem swoim i innemi pismami.

Zbliżył się wreszcie ów dzień oczekiwany; ksiądz Łuskina urządził tymczasową dostrzegalnię w galeryi biblioteki Załuskich, do któréj narzędzia własnym kosztem sprowadzili Plater wojewoda Mścisławski i Wielhorski obożny koronny. Łuskina, mimo czasowego pobytu swego w Lunewilu, po ucichłym już antagonizmie królów Augusta III i Stanisława Leszczyńskiego, ile że Jezuita dość dobrze był u dworu widziany; zebrało się przeto dla widzenia ciekawego

zjawiska, mimo rannéj godziny, liczne grono znakomitości, a między niemi nawet dwaj królewscy synowie. Niebo było z rana nieco pochmurne, przesuwały się jeszcze nocne *cumulo-stratus'y;* ksiądz Łuskina niecierpliwie posunął się do teleskopu, chmurki wciąż przechodziły, wreszcie rozdarła się zasłona. Jest! wykrzyknął uradowany, oto ku środkowi tarczy, plama czarna: to *jutrzenka*, proszę patrzéć!! Ten i ów, do szkieł niewprawny, to prawe to lewe oko przykładał, przysunąwszy się do lunety, kiwali znacząco i poważnie głowami, ktoś bąknął że coś nie dość wyraźnie widać, inny że tylko jakieś światło okrągłe dostrzega; lecz Jezuita, na nic nie zważając, krzątał się żywo, był zachwycony, tryumfował. Obecny właśnie hrabia August Moszyński, stolnik wielki koronny, zauważał, że od pół godziny plama owa, która daje się spostrzegać na słońcu, jakoś nic miejsca nie zmienia. Ksiądz Łuskina ubolewał tylko że mu chmury nie dozwoliły dostrzedz początku fenomenu, lecz dowodził że plama, czyli Venus niezawodnie i wyraźnie się posuwa, tylko bardzo powoli; wreszcie nadeszły znowu chmury i obserwacya przerwaną została. Tryumfujący professor nuż tedy w drwiny z Duńczewskiego, opublikował zaraz spostrzeżenie z wyliczeniem wielu osób, które się przy tém znajdowały. Napróżno ksiądz Niedźwiedzki [1]) odpisywał na apostrofy Łuskiny, stojąc w obronie Duńczewskiego; nic go w złośliwych docinkach umiarkować nie mogło. Tak minęło parę miesięcy, gdy niespodzianie zjawili się w Warszawie Ojciec *Hell*, astronom wysłany przez króla duńskiego do Wardhaus i Plaumann Szwed, który dla téjże obserwacyi był w Kajanenbergu w Finlandyi, oraz Boscowitch z Rossyi a właściwie z Moskwy, wszyscy z poczynionemi spostrzeżeniami jadący z powrotem. Ksiądz Łuskina w tryumfie witał kolegów serdecznie i zaraz téż wszczęła się rozmowa o głównym przedmiocie; lecz jakże nieprzyjemnie zdziwiony i rozczarowany został nasz Jezuita, dowiedziawszy się, że jeśli widział o godzinie pół do piątéj jaki punkt czarny na słońcu, to była zwyczajna, tak zwana *plama*, gdyż fenomen dla którego właśnie uczeni ci tak odległe robili podróże, powinien był być widzianym w Warszawie około godziny *dziewiątéj*. Tak więc zarozumienie Łuskiny i duma jego w wypadku tym nie mały szwank poniosły; lecz i Duńczewski umilknąć musiał gdyż okazało się, że obie strony polemikę wiodące, przegrały sprawę.

Gdyśmy wspomnieli tutaj o uczonych, którzy dla poszukiwań naukowych tak dalekie w owych jeszcze czasach podróże przedsiębrali, nie możemy pominąć prawdziwie heroicznego badacza Le Gentil, który tegoż 1761 roku, dla czynienia spostrzeżeń przy przejściu Wenery od akademii nauk w Paryżu, puścił się w podróż do Pon-

[1]) Nie mieszać go z Janem Leopolitą Niedźwiedzkim, który również był professorem matematyki w Zamościu i tamże umarł w roku 1613.

dicheri (Indye Wschodnie). Burzliwe morze było powodem, że okręt, na którym płynął ten uczony, spóźnił się tak, iż zjawisko przeszło w czasie jego podróży. Le Gentil przeto, stanąwszy na miejscu przeznaczenia już po czasie, powziął prawdziwie bohatérskie postanowienie czekania na miejscu lat 8, aż do roku 1769 dla dostrzegania powtórzyć się mającego zjawiska. Nadmienić przytém trzeba, że właśnie na rok 1769 już zawczasu przygotowywało się kilkudziesięciu astronomów do przyszłych podróży, z których téż 45-ciu we dwadzieścia różnych punktów naszéj ziemi istotnie potém się udało. Nie zapominajmy, iż w owym czasie ani żegluga parowa, ani kanał suezki nie istniały, podróż przeto do Indyi była wielką wyprawą, był to świat inny, w którym zrezygnował się pozostać Le Gęntil na lat 8. Lat 8 znaczna to część życia ludzkiego zdala od kraju i rodziny, sam jeden w obcym mu zupełnie święcie: trzeba było na to charakteru nie lada i zamiłowania nauki, jakiém nie wielu pracowników poszczycić się może. Stało się więc; Le Gentil pozostał. Upłynęło mu szczęśliwie lat ośm na studyach i pracy, miał dość czasu, aby się do przyszłych spostrzeżeń przygotować, pozaprowadzać narzędzia do wielu spostrzeżeń innych i o ile można ściśle wyznaczyć geograficzną położenie miejsca.

Nadchodzi wreszcie dzień 3 czerwca 1769 roku: pogoda od rana prześliczna, uczony nasz u kresu najgorętszych życzeń, czeka oddawna na stanowisku. Idzie bowiem głównie o ową chwilkę pozornego dotknięcia brzegu planety do brzegu słońca: zetknięcia i oderwania, czyli właśnie o sam moment początku zjawiska. Aby téj chwili nie prześlepić Le Gentil, jak się zawsze czyni, zawczasu miał już oko w lunecie. Jeszcze chwilka, chwilka mała już się zacząć powinno. Gdy tak uczony nasz całą duszą i umysłem skupiony jest w swém oku, nagle tarcza słoneczna blednąć i zaciemniać się zaczyna, coraz więcéj, więcéj, wreszcie następuje w lunecie ciemność zupełna. Drżący Le Gentil podnosi głowę: aż oto, przy całém najcudniéj wypogodzoném niebie, swawolna, lekkim popychana wiatrem, przebiega chmurka, niestety! przed samém słońcem i w najgłówniejszéj chwili początku zjawiska. I tak, ośm lat heroicznego poświęcenia zniszczył jeden powiew wiatru, jeden lekki pary obłoczek. Wieleż to ludzkich poświęceń ginęło i ginie w ten sposób!

Życzymy przeto z duszy wszystkim uczonym, którzy zjawisko podobne w roku bieżącym obserwować mają, aby im się szczęśliwiéj niż sławnemu akademikowi francuzkiemu lub jak naszym dawniejszym matematykom powiodło.

Kajetan Kraszewski.

BRÜHL.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM II.

(Ciąg dalszy).

IV.

Jedna z zabaw najulubieńszych i najkosztowniejszych dworu saskiego za panowania obu Augustów, była opera i muzyka, nieustępujące najlepszym ówczesnym w Europie, a z wielu względów przechodzące może najświetniejsze teatra i kapele.

Jeszcze za Augusta Mocnego, dobór śpiewaków w operze był znakomity; nie utracił on wcale pod panowaniem syna, który się muzyką zachwycał. Słuchanie jéj uwalniało go od mówienia, którego nie lubił, a dozwalało się pogrążać w tych dumaniach, w których całe niemal spędził życie. Muzycy wokalni francuzcy, to jest śpiewacy króla, na których czele stał kompozytor Louis André, składali kompaniją z dwudziestu głosów; a wśród nich posiłkowo występowali i Niemcy, jak tenor Götzel i Włosi. Annibali alt, zajmował tu piérwsze miejsce.

W orkiestrze nadwornéj pod wodzą sławnego Hasse, męża z imienia Faustyny, było osób około pięćdziesięciu, dwóch kompozytorów (jeden Czech Zelenka) koncertmajster, solistów mnóstwo, a polska kapela oprócz tego stała osobno. Tą polską czyli małą kammermuzyką dowodził Schultze, a liczyła osób siedemnaście. Król bierał ją z sobą, gdy dłużéj bawił w Warszawie. Naprzemiany grywano opery i komedye francuzkie, do których było jedenastu artystów i szesnaście kobiét, a dla urozmaicenia widowisk, francuzki balet, sześćdziesięciu Francuzów pod panem Favier. Ale któż to wyliczy?.... summy ogromne szły na utrzymanie tych zabaw i ludzi do nich nieodbicie potrzebnych.

Gdy przedstawiać miano operę Hassego *Ezio*, do któréj Metastazio pisał libreto, w tryumfalnym pochodzie Cezara zwycięzcy nad barbarzyńcami, występowało na scenie sto koni, cały rzymski senat, rycerstwo, liktorowie, pretoryańskie gwardye, lekka i ciężka jazda, piechota, łupy od srebra i złota ze skarbcu królewskiego pożyczone scenie. Zachwycali się widzowie, słupiała orkiestra i pamiętném jest, że bijący w bęben, z zachwytu wybił w nim tego wieczoru dziurę. Dwieście pięćdziesiąt osób było na scénie; operę oświecało 8,000 świec woskowych, a maszynistę sprowadzono umyślnie z Paryża. Był nim Servandoni: przedstawienie niektórych oper kosztowało po 100,000 talarów. Nadzwyczajny urok wywierała na Augusta III piękna jeszcze postacią, a zachwycająca śpiewem Faustyna Bordoni... Powtarzano jedną operę po kilka miesięcy, a nigdy zadumany król nie znużył się tą jedną powracającą pieśnią, która go do marzeń tak roskosznie kołysała.

Właśnie w tych czasach, obok Faustyny rządzącéj samowładnie Włochami zakulisowemi, zjawiła się tak zwana „Faustyna druga“ Teressa Albuzzi Todeschi, nie młodsza od niéj, piękniejsza może, również śmiała. Głos powszechny przyznawał protektorstwo nad nią szczególne Brühlowi.

Miano tego dnia powtarzać nie wiém po który raz *Cleofidę*. Król już w swéj loży siedział, teatr był pełen, godzina zwykła nadeszła... a zasłona się nie podnosiła.

Było w tém coś nadzwyczajnego. Lecz artyści włoscy, szczególniéj *la diva* Faustyna, mieli swe przywileje; czekano cierpliwie...

Tymczasem za kulisami wrzała burza. Faustyna nie chciała śpiewać obok Teressy... Teressa zaklinała się, że z tą niegodną Bordoni nie wyjdzie na scenę.

Ciemném było i tajemniczém dla wszystkich o co im szło, co ich tak podrażniło. Obie zapalczywie, zajadle, wściekle kłóciły się z sobą, ale nawet puściwszy wodze językom, nie wypowiadały właściwego powodu tego gwałtownego zajścia.

Pilaja, trzecia i nie tak wysoko patrząca śpiewaczka, stała z założonemi rękami, przysłuchując się potokowi najmniéj dobranych i strojnych wyrazów ulicznych, i uśmiechała się jako widz na doskonałéj komedyi.

Zza kulisów dochodziły wykrzykniki niektóre do sali, i Sułkowski niespokojny wysłał pazia na zwiady.

Paź wrócił, nie mogąc nic więcéj donieść nad to, że Neptuna z trójzębem trzeba było, ażeby rozigrane uśmierzył fale. Szepnął Sułkowski królowi coś na ucho, posłano pazia po jedynego co umiał zakląć i ukoić, po O. Guariniego.

Tymczascm Faustyna i Teressa stały naprzeciw siebie jak do boju, obie ubrane jak na scenę, nie zważając, że gniéw niszczył farby, któremi miały pomalowane twarze, i miął bogate szaty, w których występować musiały.

W oddaleniu Indyanie i Grecy w strojach teatralnych, ale niektórzy z fajkami, spokojnie się przyglądali temu duetowi przekleństw i słuchali ich jak szumu kaskady.

Jużby było może przyszło do pojedynku, gdyby jak *Deus ex machina*, nie wpadł w swym surducie szaraczkowym O. Guarini. Na widok jego ucichły obie, jakby wspólnemi siły na tego nieproszonego pośrednika rzucić się miały. Padre spojrzał na nie, i odciągnął na bok najprzód królową Faustynę. Zdawał się ją spowiadać łagodnemi słowy.

Cisza oczekiwania nastąpiła po walce. Słychać było orkiestrę strojącą instrumenta. Bordoni wprost od téj spowiedzi poszła do zwierciadła, co było dobrym znakiem, a Guarini wziął Albuzzi na konfessaty, grożąc jéj palcem na ogromnym swym nosie. Teressie zabierało się na łzy. Szeptano długo, Padre rozsunął ręce i zawołał:

— *Pace!*—Jeśli się uprzesz Teresso miła, możesz *cader dalla padella nelle brage*, (z pieca na łeb upaść); dość tego. Niech kapela rozpoczyna uwerturę; król czeka.

W téj saméj chwili zjawił się i Brühl za sceną, spojrzał na Faustynę najprzód, pozdrawiając ją, potém na Albuzzi, któréj dał znak potajemny, i wśród dźwięków muzyki, wszyscy na swych miejscach stanęli.

O. Guarini skinął na ministra i wyszli z nim razem przez ciasne przesmyki, w których panowali maszyniści, władający piorunami, burzami, niebiosami, pogodą i bóstwy (spuszczanemi na ziemię na drutach), aż do pustego pokoiku za sceną, którego gotowalnia i porozrzucane resztki kobiecych strojów, dawały odgadnąć garderobę jednéj z tych pań przed chwilą tak zajadłych, a teraz już rozpoczynających trele pełne pogody i wesela.

Guarini i Brühl obaj byli zmęczeni i milczący, siedli obok siebie, spoglądając wzajem na swe twarze. Jezuita się zaczynał uśmiechać.

— Tu—rzekł—ani nas nikt nie podsłucha, ani podpatrzy, to schówka téj żmijki Albuzzi, jesteśmy w niéj bezpieczni. Mówmy...

Uderzył go szeroką ręką po kolanie.

Brühl nachylił się do ucha Ojcu.

— Plan jest w rękach Lichtensteina, jedźcie z nim do Wiednia.

— *Va bene*—odparł Guarini—ja przysposobiłem królowę. Wiém z pewnością, iż Sułkowski grozi, że nas wszystkich ze dworu wypędzi, że króla oderwie od żony i da mu inną.

Jezuita się rozśmiał i ruszył ramionami.

— O tém trochę zapóźno pomyślał!!

Twarz Brühla przybrała wyraz posępny.

— Z nim, z tą poczciwą naturą naszego pana, trzeba wiedzieć jak postępować—mówił Guarini—Nie winien on, że po ojcu dostał w spuściźnie jego namiętności i walczyć musi z niemi. Otóż to, co pismo nazywa pokutą za ojców grzechy. Dając mu życie, Wielki August przelał w niego naturę swą niepohamowaną. Nie podoła jéj król pobożny, trzeba przynaj-

mniéj od grzechu odjąć zgorszenie, pokryć go tajemnicą, osłonić go, nie dopuścić podejrzenia nawet.

Gdybyśmy od niego wymagali zupełnéj wstrzemięźliwości, mogłoby przyjść do wybuchu, któryby nas wszystkich w gruzach pogrzebał. *Cosa fatta capo ha.* Co się stało, dobrze się stało... Sułkowski źle rachował i przerachował się nieborak: miejsce zajęte, sprawa skończona, a choć król go lubi, ale przed nim swéj tajemnicy nie wyda. Jesteśmy panami sytuacyi; a ja cieszę się, bo nie wątpię, że zbawiam duszę... Co tam w tém grzechu, biorę na siebie.

Poczęli szeptać cicho.

— Sułkowski—rzekł Brühl—nudzi się nieco, jest generałem z łaski N. Pana, a w pokoju nie może się czynami rycerskiemi wsławić. Wspomniał mi, że chętnieby uczynił wycieczkę wojskową nad Ren, do Węgier. Czyby król sam mu nie poddał téj myśli! Przez ten czas...

Guarini mrugnął, że kończyć nie potrzeba, że rozumie wszystko i głową potwierdził dobrą radę.

— Powiem królowi, że ten poczciwy Sułkowski powinienby po tak ciężkiéj pracy mieć prawo wytchnąć nieco: i zrobi się.

Włoch szparko mignął palcami, jak kuglarz przed oczyma Brühla i wstał.

— Idź do króla—rzekł—poklaskuj Faustynie, abyś mu się podobał. I cicho szepnął na ucho:—Nie wstrzymuj Sułkowskiego od zbliżenia się do króla, nie przeszkadzaj mu. Z pewnych znaków wnoszę, że ma myśl poddania N. Panu pewnych rad, których król nie przyjmie, które odepchnie ze zgrozą, a to się przyda, to się przyda...

Rozśmiał się O. Guarini, szybko głową poruszył, otworzył drzwi i wysunąwszy się w ciemne labirynty zakulisowe, zniknął wśród nich, jak człowiek doskonale z miejscowością obeznany.

Daleko ostrożniéj i trudniéj było wydobyć się z tych ciemności na światło Brühlowi. Po chwili jednak znalazł się w loży królewskiéj.

Sala opery jaśniała światłami rzęsistemi. Dwór również wspaniały jak za Augusta II, przepełniał wszystkie miejsca. Świeżo przybyli z Polski senatorowie w swych bogatych stro-

jach, lamowych pasach złocistych, ze spinkami z brylantów, guzami z rubinów, zajmowali piérwsze miejsca. Król na nich niekiedy z przyjaznym poglądał uśmiechem.

W rzędach kobiét widać było najświetniejsze gwiazdy dworu: strojną hrabinę Moszyńską, dumną panią Brühl, cichą Sułkowską, żony posłów, frejliny królowéj i wszystko, co do dworu przystęp miało.

Król z nadzwyczajną bacznością zwracał się ku scenie, ilekroć na niéj zjawiała się piękna Faustyna, a słuchając jéj głosu w błogiém upojeniu przymykał oczy, jakby śnił o aniołach. Niekiedy przyklaskiwał divie, a naówczas klaskali za nim wszyscy i panie wiewały chustkami.

Rzadko bardzo wzrok pański ze sceny zszedł na salę, a jeśli się oczy jego zabłąkały czasem na różnobarwne rzędy piękności, zdawały się przebiegać po nich z trwogą i powracały do Faustyny.

Uwielbienie dla niéj tłumaczył głos, uniewinniała muzyka.

Prawie na przodzie naprzeciwko króla siedziała pani Brühlowa, ubrana wytwornie, podparta od niechcenia na brzeżku swéj loży i zadumana. Piękność jéj wyzywająca, śmiała, imponująca, wszystkich oczy ściągała ku sobie; jeden tylko król zdawał się jéj nie widzieć, albo niechcieć zobaczyć, wymijał ją, unikał, i gdyby August III nie był tym dobrodusznym człowiekiem, prostoty pełnym, możnaby go było posądzić, iż się z czemś ukryć pragnął.

Tuż obok Brühlowéj siedziała skromnie ubrana hr. Sułkowska, frejlina niegdyś królowéj jako panna von Stein-Jettingen. Piękna jéj twarz spokojna, nie miała tego uroku drażniącego, jakim Brühlowa najobojętniejsze oczy wabiła ku sobie. Na parterze siedzący młody Tarło starosta jasielski i Działyński, poglądali po kobiétach, i ostatni szepnął w ucho sąsiadowi:

— Starosto, duszo moja, jesteśmy jak owi młodzieniaszkowie wrzuceni w piec gorący; nie wié człowiek gdzie schować oczy. Spojrzę przed się, stoi ta Włoszka gdyby marmurowy posąg napół obnażony, a wywodzi trele aż po duszy chodzą; odwrócę się w prawo, siedzi jéjmość strojna, któréj oczy jak

dwie wędki zaprawne; odchylę się w lewo, patrz starosto co za cudo!

Spojrzał młody Tarło i oczy mu przylgnęły do tego zjawiska, które się poraz piérwszy ukazywało na dworze.

Około hr. Sułkowskiéj i pod jéj opieką, wprost naprzeciwko króla samego, siedziało dziewcze młode. Nikt go tu nie znał na dworze. Z towarzystwa hrabinéj, ze stroju jéj i z twarzy można się było domyślać znacznego rodu i znakomitego pochodzenia.

Ówczesne piękności w ogóle, więcéj pełnością wdzięków i kształtów się odznaczały niż dzisiejsze. Drobne i wątłe dziewczątka mało się komu podobały. Owe słynne ulubienice Augusta II, wszystkie niemal doskonałe Amazonki, lubiące łowy, strzelbę i konie, wyglądały jak leśne boginie nielękające się spotkać ze zwierzem i z człowiekiem. Nieznajoma dziewica siedząca przy hr. Sułkowskiéj była z rodzaju tych piękności bujno uposażonych i jak zdrowy silny kwiat wyrosły na krzepkiej łodydze. Biała, różowa, zbudowana jak Diana, czarnooka, i czarnobrewa, patrzała śmiało i dumnie. W téj odwadze dziewczęcia czuć jednak było raczéj nieświadomą świata niewinność, niż wyzywające go doświadczenie. Oczy jéj z dziecinnym zachwytem i śmiałością spoglądały na wszystko co ją otaczało.

Czarna suknia i koronki, ożywione tylko szkarłatnemi wstęgami i trochą złota, podnosiły jeszcze tę piękność zachwycającą, na którą ze wszech stron teatru podnosiły się wejrzenia ciekawe i jedni drugich zapytywali rozgorączkowani:

— Któż to taki?

Wzrok pani Brühlowéj badał ciekawie także nieznaną sąsiadkę. Hr. Moszyńska nie spuszczała z niéj oka. Na zwiady poleciała młodzież do służby hrabinéj Sułkowskiéj, ale z niéj nic, nawet datkiem dobyć nie umiała, oprócz, że to była krewna hrabinéj przybyła z Wiednia.

Gdy się to działo na sali, Sułkowski ujrzawszy, iż Brühl ceremonialnie poszedł żonę powitać i że reszta służby nieco się oddaliła, schylił się do ucha króla.

— N. Panie—rzekł cicho—dzieła sztuki warte są uwielbienia, ale dzieła Stwórcy godzi się także uczcić wejrzeniem.

Chociaż hrabianka Stein jest mojéj żony daleką krewną, ośmielam się zwrócić uwagę W. K. Mości na jéj nadzwyczajną piękność. Żaden Tycyan ani Paul Veronese nic podobnego nie stworzył.

Słysząc te słowa, król zwrócił się jakby przestraszony do ministra, spojrzał nań z pewnym rodzajem wymówki i podziwienia i natychmiast zagłębił się znowu w kontemplacyi wdzięków i uwielbianiu głosu Faustyny.

Sułkowski odstąpił. Znał tyle już pana swego, iż wiedział, że walcząc z sobą odegra tu pewnie tę samą scenę, co z obrazem Tycyana i zakazaną Wenerą. Nie omyliła go rachuba. Król z nadzwyczajną ostrożnością i niby gdzieindziéj idąc oczyma, powiódł niemi tak, iż trafiły na twarz pięknéj panny Stein.

Jakby przerażone tém zjawiskiem, uciekły.

Po chwili głowa królewska nie śmiejąc już zwrócić się w tamtą stronę, posłała oczy tylko. August III patrzał głową na scenę, ale źrenice z pod powiek przymkniętych pochyliły się tam, gdzie ta nowa jaśniała gwiazda i szybciéj niż poszły, wróciły.

W tym pochodzie musiały zaczepić o panią Brühl, która zapewne jakimś przypadkiem, biały paluszek miała jakby z groźby przytknięty do marmurowego noska.

Król w tymże momencie uderzył w dłonie śpiewaczce, jak gdyby jéj tylko słuchał i na nią spoglądał, a za znakiem pańskim idąc, sala biła brawo! Ktoby był bocznie śledził grę oczów, dostrzegłby, jak Faustyny brwi się marszczyły na króla, jak nań spoziérała niecierpliwie Brühlowa, jak Moszyńska szpiegowała wiejrzenia męża, ministra i uśmiechała się złośliwie. Krzyżowały się tam i inne w różnych kierunkach wzroki mniéj wydatnych, skrytych po kątkach osobistości nieznanych, którym odpowiadały błyski oczów przelotne z lóż pańskich.

Nareszcie ostatni chór brzmiał już potęgą wszystkich głosów... i rozlewał się w powietrzu jak fala tęczowa... wszyscy się poruszali; opera się kończyła. W lożach podnosiły się panie i piękna Stein, bohatérka tego wieczora podniosła się, jakby chciała pokazać śliczną swą postać. Królewskie oko już się w tę stronę skierować nie śmiało.

Król znikł z ostatniemi dźwiękami muzyki.

— Człowiek po tém widowisku—zawołał Działyński do Tarły—prostoby powinien iść do konfesyonału... My, cośmy nie nawykli do téj rozpusty oczów i uszu, pijani wyjdziemy, a póki się wszystko ukołysze w głowie i piersi, a przyjdzie do należytego porządku, dobrze się człek namęczy. To mospanie wodzenie na pokuszenie i po wszystkiém.

Tarło się rozśmiał:—nie wiem czy gdzie na świecie tyle pięknych kobiét razem zobaczyć można.

Działyński pochylił mu się do ucha.

— Syreny są, moja duszo, naprzeciw którym nietylko uszy, ale i oczyby sobie pozalepiać trzeba i uciekać.

Dwór po widowisku i wieczerzy, jak powszednich dni przed północą się rozchodził. Brühl wziąwszy rozkazy króla, pojechał do domu; Sułkowski został. O. Guarini, choć często i wieczorem jeszcze przychodził króla zabawiać, tego dnia się nie pokazał.

Frosch i Storch już wieczorem spali po kątach. August III znowu się dostał do szlafroka i po wieczerzy u siebie fajkę palił, bo we wspólnych z królową apartamentach, tytuniowi się znajdować nie było wolno. Wszyscy co go palili, mieli dlań izby osobne; a kobiety czując w nim nieprzyjaciela, cierpieć go naówczas nie mogły.

Król ze swym ulubieńcem znaleźli się więc sam na sam. Tego wieczora Sułkowski bardzo był ożywiony, August III zamyślony mocniéj, niż kiedykolwiek.

— Najjaśniejszy Panie—odezwał się minister —nie wiem, czy raczyłeś zwrócić swe królewskie oko na Adelajdę Stein; co to za piękność! co to za wdzięk! Gdyby ś. p. pan nasz miłościwy król August Mocny żył jeszcze, pewien jestem, że nie spuściłby z niéj wzroku.

Żywo odwrócił się król, popatrzał na Sułkowskiego i zamilkł, chociaż już był usta otworzył, chcąc coś powiedzieć.

Sułkowski się rozśmiał, przyszedł do ręki pańskiéj i pocałował ją.

— Jam stary sługa W. Kr. Mości—rzekł—wydziwić się nie mogę cnocie pańskiéj. Królom się coś więcéj przecie niż

prostym śmiertelnikom należy, a W. K. Mość żyjesz jak skromny szlachcic, nie śmiejąc podnieść na świat oczów.

W czasie dzisiejszego teatru, patrzałem jak kobiéty z uwielbieniem, ukradkowo spoglądały ku słońcu, a słońce na nie spojrzéć nie chciało. Adelajda Stein przyznała się przed żoną moją, że piękniejszego mężczyzny nad W. Kr. Mość nie widziała w życiu.

Umilkł. Król fajkę porcelanową odléwał i nie śmiał nań spojrzéć, udawał nawet, że kusiciela nie słucha.

— Faustyna śpiewała jak bogini!—rzekł zwracając rozmowę.

— Ale Faustyna ze swym śpiewem i wdziękami tylko na scenie uchodzi. Ona, jeśli się nie mylę, ma lat trzydzieści kilka, a Włoszki prędko starzeją. Stein, to prawdziwy anioł, ale W. K. Mość nie spojrzałeś nawet na nią.

August zamiast odpowiedzi, popatrzał na Sułkowskiego i ramionami ruszył.

— Niech mi wolno będzie szczerze wyrazić podziwienie moje: świętym być możesz W. K. Mość, ale szczęśliwym trudno. Mnie prawdziwie żal mojego króla i pana, wszak to klasztor nie dwór pański.

August III słuchał, poprawiając szlafrok na sobie, patrząc w sufit, to na podłogę, to spluwając potrosze.

— W. Kr. Mość pozwolisz, aby moja żona na dworze hr. Stein przedstawiła—mówił nieustraszony milczeniem minister.

— U królowéj, u królowéj—dorzucił August z pewną niecierpliwością.

— Jestto siérota, która postradała rodziców, familii prawie żadnéj; nasza, to jest żony mojéj, krewna bardzo daleka. Chcielibyśmy się zająć jéj losem. Przy łaskawéj protekcyi W. K. Mości, łatwobyśmy tu jéj męża znaleźli na dworze, a widzę, że się jéj tu wszystko wielce podobało, że radaby pozostać.

Przestał mówić, czekając słowa lub znaku. Milczenie w błąd go wprowadziło, sądził, iż oszczędzając niememu królowi słowa, powinien był może stać się wyraźniejszym jeszcze.

Zaczął tylko przystąpiwszy bliżéj, mówić ciszéj trochę:

— Gdyby się Stein W. Kr. Mości podobać mogła, nikt w świecieby się nie domyślał stosunków żadnych. Przecież W. Kr. Mość tak zawsze pozostać nie będziesz mógł...

Spojrzał mówiąc to na króla, którego twarz pobladła, a oczy zapadały, ręce mu zaczęły drżeć. Sułkowski przestraszony umilkł nagle. August wstał z krzesła, rzucając oczyma dokoła, jak gdyby szukał ratunku.

— Sułkowski!—zawołał stłumionym głosem—ja, ja się na ciebie gniewać nie chcę... nie chcę, ale ty, ty się *zapominasz*.

Wielkiemi krokami widocznie mocno wzruszony król przeszedł się kilka razy po pokoju. Na twarz jego bladą zaczynał zwolna powracać rumieniec. Widocznie walczył z sobą, ażeby nie wybuchnąć gniewem; zaciął usta.

Nigdy jeszcze ulubieniec nie widział go tak wzburzonym ze swéj przyczyny; uląkł się i kolano zginając, wyciągnął rękę po dłoń króla. Zawahał się August III, ale mu ją podał w końcu.

— Proszę cię, ani słowa: to skończone, zapomniane. Stein niech jedzie ztąd, proszę.

To mówiąc, odwrócił się żywo.

— Jutro—odezwał się po krótkiém milczeniu—do Hubertsburga wyprawić przodem psy i ludzi; nie polowałem dawno. Brühl i wy, jedziecie ze mną.... królowa, naturalnie: zawsze trzy dni chcę tam polować. Piérwszego dnia na jelenie, drugiego *par force*, trzeciego na cietrzewie.

Sułkowski się skłonił.

— Natychmiast wydam rozkazy.

— Niech wszystko będzie gotowém... Jedziemy rano...

I skinieniem głowy pożegnawszy Sułkowskiego, który stał nie mogąc przyjść do siebie, skierował się August III ku pokojom królowéj. Niespokojny minister rzucił się jeszcze raz ku niemu w milczeniu, domagając się ręki królewskiéj. August zdawał się już zapominać o tém co zaszło, podał mu ją chętnie i uśmiechnął się tak obojętnie i dobrodusznie jak zawsze.

Nazajutrz i dni następnych polowano w Hubertsburgu i sąsiednich lasach. Król był w tak dobrym humorze jak zwykle, gdy łowy wypadły szczęśliwie. Brühl i Sułkowski mu towarzyszyli. Piérwszego wieczora królowa cóś wspomniała,

jakby słyszała od Padre Guarini, który bardzo Sułkowskiego kochał, że hrabia wzdychał do wycieczki rycerskiéj nad Ren, albo do Węgier. Przypisywano to jego chęci wprawienia się w wojskowe rzemiosło, aby tém skuteczniéj mógł służyć Saxonii. Król wysłuchał żony i głową potrząsnął.

— On i tak dowódzcą jest wybornym, ja się bez niego obejść nie mogę.

Królowa Józefina nie nalegała. Trzeciego dnia z łowów powrócono do Drezna i tegoż wieczora król urządzić kazał strzelanie do celu w dziedzińcu, a bawił się niém do późna i był bardzo wesołym. Zwykli towarzysze musieli z nim razem próbować zręczności, a Brühl choć strzelał wybornie, starał się pilnie, ażeby króla ilością trafnych strzałów nie przeszedł.

Ledwie dzień jeden spocząwszy, król się wybrał na nowe łowy do Klappendorf. Drugiego uganiał się za jeleniem pod Grossenheyn, trzeciego pod Stauchitz, a nocował w Moritzburgu.

Następnego rana wrócił do Drezna, bo Faustyna śpiewać miała. W operze nie śmiał prawie podnieść oczów. Też same miejsca zajmowały panie dworu. August patrzał tylko na Faustynę. Dopiéro późniéj, gdy spostrzegł przy sobie generała Baudissina, zwracając się ku niemu, powiódł oczyma po lożach.

Hrabina Sułkowska siedziała w swojéj sama, nikogo przy niéj nie było. Król swobodniéj jakoś odetchnął. Mruknął cóś kilka razy do starego dworaka, który mu się kłaniał bardzo nizko, a gdy śpiéw znowu się rozpoczął, biegnąc oczyma ku scenie, prześliznął się tylko po nad Brühlową, która siedziała zadumana, strojna, piękna, ale jakby jéj świat cały był obojętnym, spoglądała nań z jakąś niewysłowioną pogardą.

V.

Wkrótce potém d. 7 października obchodzono urodziny królewskie, w ulubionym zamku jego Hubertsburgu. August III pilnował bardzo starych zwyczajów i dworskiéj etykiety, do któréj nawyknienie królowa téż z sobą przywiozła. W Dreznie zaś cokolwiek za Augusta II zaprowadzoném było, zachowywa-

ło się jak najtroskliwiéj. Cały dwór wystąpił przystrojony galowo... Zrana o godzinie ósméj czekał on w sali na przechodzącego króla, który o téj godzinie na mszę się udawał. Wszyscy wdziali na ten dzień cytrynowe mundury, ale że polowanie zaraz po śniadaniu nastąpić miało, byli w butach. Wprost ze mszy, korzystając z bardzo pięknego poranku, król, królowa i co żyło, a przypodobać się chciało, ciągnęło do tak zwanego Rubensteińskiego krzyża... Ztąd rozpoczęto łowy, i król z zapałem rzucił się za jeleniami, które już osaczone stały. Sułkowski, Brühl, stary generał Baudissin i wszyscy dworscy towarzyszyli panu, który był w jak najlepszém usposobieniu ducha. Z rana królowa Jmć uczyniła mu miłą niespodziankę, był to jéj własny portret przez nią malowany, i ofiarowany na pamiątkę. Z uczuciem ucałowawszy rękę dostojnéj artystki, August kazał szacowne malowidło zawiesić w swoim pokoju. Sułkowski sprowadził za pośrednictwem Giurtinianiego z Wenecyi bardzo piękny obraz Palmy starego, który złożył u nóg królewskich; Brühl przyniósł mu piękny portret Rembrandt'a, nabyty w Hollandyi. Obrazy wprawiały zawsze króla w najlepszy humor. Te, które mu się podobały, kazał naprzód stawić w swoim pokoju, długo się w nie wpatrywał nic nie mówiąc, i dopiéro gdy się widzeniem ich nasycił, do nowéj galeryi przenosić je kazał.

Trzy jelenie wzięto dnia tego, co humor pański jeszcze lepszym uczyniło; nie mówił więcéj, ale się uśmiechał, okiem mrugał, głowę podnosił do góry, i całém obliczem zdradzał wewnętrzne zadowolenie. Sułkowskiemu szczególniéj para znaczących uśmiechów się dostała, jakby dla zatarcia wrażenia, po owém nieszczęśliwem jego zapomnieniu się.

Wcześnie bardzo szczęśliwe łowy się skończyły; poobijano rogi na pamiątkę zabitym rogaczom, i zawieziono je w tryumfie do Hubertsburga, gdzie obiad już czekał. Przez cały czas polowania, królowa była jak zwykle nieodstępną, i choć na posępnéj twarzy jéj znać było zmęczenie, starała się uśmiechać i być grzeczną dla wszystkich. Sułkowski nawet zbliżywszy się do niéj, słów parę dobrych pozyskał.

Zaledwie obiad się skończył, konie i powozy stały już w gotowości do Drezna, gdzie na króla opera i trzy balety w mię-

dzyaktach oczekiwały, uśmiech Faustyny i kantata ułożona umyślnie przez Hassego na cześć pana. O piątéj w teatrze oświeconym z przepychem, przepełnionym dworem i ciekawemi w galowych ubiorach podniosła się kurtyna, i Faustyna, która się na ten dzień z nadzwyczajném przybrała staraniem, wystąpiła z oczyma wlepionemi w lożę królewską.

Rozpromieniony siedział w niéj nowy król, w stanie ubłogosławienia, milczący, spokojny, szczęśliwy tém, że mu płynęło życie według programu, niezamącone niczém, jak w zegarku. Więcéj nigdy od losu nie żądał nad to ani sławy, ani zdobyczy, ani rozgłosu swych czynów, tylko tego spokoju, któryby mu dozwalał zjeść spokojnie, śmiejąc się z Froscha i Storcha... wypalić fajkę, popatrzéć na piękne obrazy, posłuchać gwarzenia patra Guarini, nasycić się śpiewem Faustyny i pójść spać bez troski o jutro.

W międzyaktach przyciemnionych tego życia—co pokrywała tajemnica, tego—oprócz zaufanych, nikt w świecie nie powinien się był ani domyślać. Nikt lepiéj nie znał króla i jego charakteru nad Sułkowskiego, został mu tylko zakryty ten tajemniczy zakątek jego, w którym się kryły nieubłagane namiętności, wstydząc świata i ludzi.

Jeden Ojciec Guarini powiernik pański wiedział co się tam działo, i on jeden mógł pomódz do zupełnego zawojowania króla, wskazując pewne środki i drogi. Za jego wskazówkami idąc Brühl z pomocą W. Ochmistrzyni i żony swéj, owładnął tą twierdzą niezdobytą i był jéj panem, nim się Sułkowski o jéj posiadanie pokusił. Gdy krok ten nieszczęśliwy przedsięwziął, już było zapóźno. Miejsce zostało zajętém, nikt więcéj przystępu doń miéć nie mógł, nawet najzaufańszy z przyjaciół, Brühl, który doskonale udawał, że nic nie wié i nic wiedzieć nie chce, który nigdy żadną aluzyą się nie zdradził, na którego milczenie we własnym jego interesie, rachować było można —stał więc mocniéj jeszcze od Sułkowskiego, gdy ten oślepiony, nie dostrzegł nic i nie przypuszczał nawet, aby ktoś królowi nad niego mógł być potrzebniejszym.

Po owéj próbie z p. Stein, czuł się jeszcze bezpieczniejszym, uważając to za dowód, że króla nikt mu w ten sposób odebrać nie może, jeżeli on tego nie dokazał. W chwili właśnie

gdy się tak ubezpieczonym czuł i pewnym siebie, stał u brzegu przepaści niewidocznéj. Faustyna wysilała się dnia tego, a fioritury płynęły z jéj piersi jak perły czystéj wody... Król wznosząc oczy ku niebu, z uśmiechem na ustach zachwycał się. Zdawał się nią tylko zajęty, na nią patrzał tylko, chociaż niekiedy baczne oko byłoby dostrzegło strzelającego ku Brühlowej wejrzenia.

Zachwycającą była dnia tego pani Brühlowa. Dziwili się wszyscy, jak mężowi i jéj starczyć mogło na ten przepych niezmierny, który ją otaczał. Chciała snać być najpiękniejszą Frania, i włożyła białą, złotemi przetykaną deseniami suknię, w któréj wyglądała dziewiczo... Prześlicznie do wdzięcznéj twarzy zastosowana fryzura, któréj długie loki spadały na gors śnieżny, brylantowe kolczyki w uszach, lśniące jak dwie gwiazdy, nad czołem strumień diamentów z wielką perłą, która się chwiała w pośrodku, brabanckie koronki, których matowa białość wychodziła malowniczo na połyskującym stroju atłasie; na tle śnieżnym bukiet kwiatów żywemi barwami młodości śmiejący się, czyniły ją królową tego wieczoru.

Piękną była Moszyńska z surową swą twarzą, przypominającą Cosel, ale z Brühlową walczyć nie mogła. Wszystkich oczy zwracały się ku niéj, ona nie patrzała na nikogo. Wsparta na ręku zwróconą była ku scenie, ale jéj oczy wlepione w jakiś kątek, stężały bezmyślnym wzrokiem.

Zazdroszczono Brühlowi—on się uśmiechał. Co się w jego sercu działo, któż zgadnie. Strojny jak żona na cześć króla przepysznie, wyglądający młodo, świéżo, miał raczéj pozór roztargnionego próżniaka, niż najpracowitszego z ministrów, na którego ramionach spoczywały państwa losy. Po pierwszym akcie wystąpił balet francuzki, wiedziony przez p. Favier, ze sławnym solistą Desnoyers, z paniami Rottier i Vauriaville, które w strojach idealnych wieśniaczek, wyglądały jak boginie.

Wybór dworu, najdostojniejsi panowie, najpiękniejsze panie, po operze zaproszeni byli na uroczystą wieczerzę, naśladowaną z tych tradycyonalnych Augusta Mocnego, co się zwykle kończyły maleńką orgią w ciasném kółku.

Olbrzymią zwana sala na zamku, wcześnie już tysiącami świéc była uilluminowaną, w pośrodku przepysznie zastawiono

stół na osiemdziesiąt osób dla gości, a na podwyższeniu dla króla i królowéj, która do swojego stołu mało kogo, nawet z posłów cudzoziemskich przypuszczała. Wedle etykiety dworu austryackiego, tylko kardynałowie zapraszani doń bywali; uczyniono jednak wyjątek dla pierwszych ministrów. Wprost z opery wszyscy przeszli do sali. Rzadko można było widywać króla w tak słonecznym humorze. Królowa była jak zazwyczaj chmurną, niespokojną i smutną. Piękności co ją otaczały, w których blasku gasł jéj majestat, smuciły ją i drażniły, choć król najmniejszego nie dał powodu do zazdrości. Owszem, czułym był i nadskakującym, a na żadną z pań nie wejrzał nawet.

Ceremonialnie bardzo podawano wieczerzę, przynoszono uroczyście półmiski, a za każdym zdrowiem, muzyka na galeryi odzywała się trąbami i bębnami, dając znać światu jaki toast wnoszono, a działa na Krakowskiem Przedmieściu stojące, biły salwy na cześć królewskiéj pary.

Wszyscy w dobrych humorach po dziesiątéj wstali od stołów; król z Sułkowskim i Brühlem cofnął się spiesznym krokiem do swych pokojów. Przechodząc obok rzędem stojących pań, August III miał głowę podniesioną, z pewną afektacyą patrzył przed siebie; jednak mijając Brühlową, która nań śmiało spoglądała, wymienił z nią niedostrzeżone, błyskawiczne wejrzenie.

Sułkowski ani się go domyślał, ani zobaczył. Miał właśnie zamiar korzystając z humoru pana, poufale z nim pomówić i życzył sobie odprawić Brühla, nie wiedział tylko, jak się miał wziąć do dzieła. August z równą czułością dnia tego patrzał na obu.

Już byli weszli do pokojów, gdzie szatny czekał z szlafrokiem, a kamerdynerowie natychmiast pomogli do zdjęcia stroju. Oba ministrowie stali przed rozpromienionym panem, gdy wyczekawszy, aby się służba miała czas oddalić, Sułkowski szepnął coś cicho królowi, który się uśmiechnął nieznacznie i Brühla wskazał.

Skinienie to jego baczności nie uszło: zbliżył się.

Sułkowski żywo sypnął mu słowami do ucha. Widać było jak one nie smakowały Brühlowi, który wzrok zwrócił na

pana, zawahał się nieco, jakby mu żal było stanowisko opuścić, ale z uległością skłoniwszy się, natychmiast się oddalił.

Po odejściu jego, gdy drzwi się zamknęły, August III uśmiechnął się siadając, wskazał na nie i rzekł ze zwykłym swym lakonizmem:

— Niéma jak ty i Brühl.

Ostatnie nazwisko nie było może do smaku Sułkowskiemu, ale je przełknąć musiał.

Przed królem stały ofiarowane mu dnia tego obrazy, w które się z widoczną radością wpatrywał. Sułkowski śledził wzrok, rad był myśli odgadnąć.

— Brühl w istocie—rzekł po namyśle—jest z wielu względów nieoceniony. I macie z nim dobrze; posłuszny, skromny, daje sobie wytłumaczyć co potrzeba, nie sprzeciwia się nigdy, kieruję nim jak chcę, jestem z niego kontent.

Król tylko głową pokiwał. Może mu się to trochę dziwném zdało, że Sułkowski pozwalał sobie być zadowolnionym z niego, ale nie okazał tego po sobie.

Minister chodził swobodnie po pokoju.

— Nie mam najmniejszego powodu—mówił daléj, w sprawach powierzonych mi, z Brühlem się ściérać. Człowiek pojętny, zdolny, ma jednak wady...

Król bystro spojrzał—Sułkowski kończył nie zmieszany:

— Niepomiernie rozrzutny i żyje na zbyt wielką stopę... będzie *nas* wiele kosztował.

To mówiąc, stanął hrabia przed królem, jakby czekał, co mu na to powie—Król głośno chrząknął, spojrzał w górę i milczał.

— Dobry człek, dobry człek... szepnął nareszcie, widząc że hrabia na odpowiedź czeka. Resztę dopełnił milczący pan uderzeniem ręką po krzesła poręczy, i zapatrzył się na obrazy.

— Gdyby pan mój miłościwy pozwolił mi wypowiedzieć całą myśl moję—ciągnął Sułkowski...

Głową tylko potwierdził to August.

Minister stanął i pochylił się nieco.

— Nie teraz, bo nam Brühl jest potrzebny, ale późniéj—dodał zcicha—należałoby go z podarkiem jakim usunąć. Rozrzutności się nie oduczy, małemi urzędnikami obejdziemy się

bez niego, oszczędzi się wiele, a nie da mu czasu nabrać ambicyi. Choć ja się w sercu mojego miłościwego pana nie lękam współzawodników, ale na cóż go czynić nieszczęśliwym i wbijać w pychę.

W Czechach Kolowrathom cesarzby pewnie na prośbę króla nadał jakie dobra. Mogliby późniéj tam spocząć sobie.

Patrzał Sułkowski, jakie to na królu uczyni wrażenie, ale zapatrzony był tak w obrazy, że zdawał się nie chciéć słuchać, czy słyszéć planu tego.

Hrabia parę razy dorzucił:—późniéj, późniéj!—a August popatrzywszy nań, wstrzymał się od zaprzeczenia i potwierdzenia, zbył go milczeniem.

Po krótkiéj chwilce wstał król przypatrywać się obrazom, kazał sobie poświecić, zawrócił się po pokoju kilka razy, popatrzył w zwierciadło, pogładził brodę i ziewnął. Był to znak, że chciał iść do łóżka, a dla Sułkowskiego odprawa. Niedość zadowolniony wieczorną audyencyą przystąpił do ucałowania ręki pańskiéj i bardzo powoli się oddalił.

Gdy się to działo na zamku, Brühl pod jakimś pozorem odesłany, odszedłszy z pokorą, kazał się nieść do domu. Godzina już dosyć była spóźniona. Dziwnym trafem złożyło się tak, że o kilka kroków przed jego *port-chaise*, dostrzegł ludzi niosących drugą podobną i poznał w niéj lektykę żony. Zatrzymała się ona w sieni pałacu i państwo razem prawie wysiedli. Brühl rzadko się spotykający z żoną, z wielką uprzejmością podał jéj rękę. Zrazu zdziwiła się tém i niemal cofnąć chciała, ale po namyśle z szyderskim tłumionym uśmiechem, ostrożnie wzięła rękę męża, i nic nie mówiąc, zwolna z nim poszła na górę.

Brühl na wschodach nie odezwał się wcale. Na górze w salii, chociaż pani zdawała się chciéć od jego towarzystwa uwolnić, nie puścił ręki i przeprowadził ją do jéj pokojów. Znaleźli się znowu w tym gabinecie, w którym pierwszego wieczoru po ślubie, tak ciekawą rozmową rozpoczęli małżeńskie pożycie...

Od téj chwili spotykali się tylko albo na bardzo krótko, albo przy świadkach. Rankami matka bywała u córki, zabierała ją z sobą, a niekiedy pod różnemi pozorami nie dawała jéj

nawet powracać do domu. Brühl miał tylko obowiązek dogadzać wszystkim zachciankom żony, co spełniał zawsze z jaknajwiększą uprzejmością; zresztą byli z sobą ni źle ni dobrze, jak dwie osoby prawie obce, które się muszą ocierać o siebie, starać jak najmniéj zawadzać sobie. Brühl był cierpliwy i grzeczny. Spotykał niekiedy ciekawe oko żony wlepione w siebie, badające go, i uciekające natychmiast, gdy je na tém badaniu pochwycił.

Frania wielce się przez ten czas zmieniła, nabrała śmiałości jeszcze większéj i fantazyj dziwnych, nauczyła się rozkazywać w domu i wymagać aby w mgnieniu oka jéj wola była spełnioną. Brühl widywał ją nienaturalnie wesołą, czasem szyderską nielitościwie, niekiedy zalotną z obcemi aż do rozbudzenia zazdrości, nawet w mężu tak zrezygnowanym i obojętnym, jakiego on grał rolę. Frania stawała się piękniejszą codzień. Jakkolwiek rozmiłowany w Moszyńskiéj, chociaż mu przypisywano czułe stosunki z piękną Albuzzi, był młodym i nie mógł być obojętnym na te wdzięki, które się zdawały z niego i jego namiętnych wejrzeń urągać...

Gdy weszli do gabinetu, pani Brühl odebrała mu swą rękę i poszła do zwierciadła, zrzucać przed niém rękawiczki i błyskotki. Wśród tego zajęcia, jakby się spodziewała że mąż ją pożegna i odejdzie, odwróciła się zdziwiona ku stojącemu uporczywie między progiem a stolikiem.

Wzrok ten wyraźnie mówił: pan tu jeszcze? Na twarzy Brühla błądził uśmieszek niezrozumiały, niby odpowiedź: tak pani, czekam.

— Czy mamy co z sobą do pomówienia?—zapytała obojętnie.

— Pani mi może pozwoli usiąść, spocząć i choćby na jéj piękność popatrzéć z uwielbieniem.

Odwróciła się Frania i rozśmiała, ruszając białemi ramionami, ale natychmiast wróciła oczyma do zwierciadła, nie bez pewnego zalotnego ruchu, który nie uszedł oczu Brühla.

— Przyznasz pani, że moje położenie bardzo szczególne?

— Moje także, to prawda; lecz ani pan, ani ja dziwić się mu nie powinniśmy.

— Paniś mi uczyniła nadzieję, że kiedyś... możesz miéć choć fantazyę dla męża.

— A! może! nie przypominam sobie—odpowiedziała obojętnie—to pewna, że jéj nie mam wcale. Jedź pan sobie na karty do Moszyńskiéj, lub na zabawę do Albuzzi, ale mnie daj pokój. Nudzisz mnie.

— Ja tylko proszę o chwilkę rozmowy.

— Mówmy, ale o czém inném.

— Więc może o królu?—rzekł Brühl.

— Nie wiem czy mi wolno—śmiejąc się odparła Frania.

— Między nami... przecież jeśli nie mamy sentymentów, mamy wspólne interesa.

— Dobrze pan mówisz, a więc...

— Jak król jest usposobiony dla Sułkowskiego?—zapytał Brühl.

Nastąpiło długie milczenie. Ktoby był zstąpił do duszy téj kobiety, mógłby się przekonać, że ją pytanie ubodło. Widziała jak mało znaczyła dla tego człowieka, a przez dziwny kaprys chciała go drażnić i pragnęła mu się podobać, aby miéć przyjemność obchodzenia się z nim srogo. Zapytanie obojętne uraziło ją, ale tego nie pokazała po sobie.

— A!—odezwała się nagle—chcesz pan, bym była szczerą? Sułkowski, wy, a nawet król, nudzicie mnie okrutnie! Co mi tam do waszych ambicyj i sporów? Ja chcę żyć!! Król jest lalką bez życia.

— Na miłość Boga!—krzyknął Brühl łamiąc ręce.

— Przecież nas nikt nie słucha—poczęła obojętnie Brühlowa.—Tą lalką kazaliście mi się bawić, albo raczéj daliście mnie jéj na zabawę, ale nie możecie żądać, abym się w niéj kochała! Waćpan wiesz najlepiéj, co jest nasz król.... Piękny, dobry, niezdolny do niczego, mężczyzna—namiętny bez uczucia, przywiązany bez odwagi, pobożny i zabobonny a lubieżny i rozkosznik, skryty, bojaźliwy, bezmyślny, nudny, śmiertelnie nudny.

— Pani—zawołał Brühl—gdyby to nawet wszystko było prawdą, pani mówić, a mnie się słuchać nie godzi.

— Ziewajmyż — odparła kobieta i otworzyła szeroko usta, a potém padła na fotel jakby osłabła, z głową zwieszoną na piersi, z rękami opuszczonemi bezwładnie; w téj postawie

smętnéj, kapryśnéj, była niezrównanie piękną: Brühl spojrzał i westchnął.

— Pytałeś mnie o Sułkowskiego?—zwolna poczęła Frania....

Minister ruchem głowy potwierdził.

— Któż odgadnie, co się w téj lalce dzieje? czy tam jest serce? czy tam może mieszkać miłość? czy on kogo kocha, czy się może przywiązać? Do Sułkowskiego ma nałóg jak do trefnisiów nadwornych; więcéj nie wiém.

— Ale my, jeśli mu panować mamy, pani i ja, ja przez panią—dodał Brühl—musimy go usunąć.

— Jak Watzdorfa do Königsteinu?—brwi marszcząc, podchwyciła Brühlowa.

Wspomnienie tego imienia jak kamień padło między nich; minister się zmieszał.

— Daję pani słowo honoru, żem ja Watzdorfa nie posłał do Königsteinu, ale Sułkowski.

— Słowo honoru ministra? dyplomaty?

— Nie, uczciwego człowieka—podchwycił Brühl, rękę kładąc na piersi.—Przecież nie przez zazdrość się go ztąd pozbyto.... Ja do niéj *dotąd* prawa nie mam.

— Cóż to znaczy *dotąd?* czy pan spodziewasz się miéć to prawo?

— Tak mi się zdaje—grzecznie rzekł Brühl—nie dziś, to jutro, znudzona, któż wié? raczysz pani spojrzeć na sługę swego.

— Zdaje mi się, że na to poczekasz pan długo—szepnęła kobieta.

— Będę cierpliwy—odezwał się Brühl.

— *Croyez-y, et buvez de l'eau* — szydersko dorzuciła kobieta.

Brühl drgnął, ale natychmiast z zimną krwią począł.

— Pani powinnaś pomódz do obalenia Sułkowskiego.

Brühlowa spojrzała.

— Tak, matka mi mówiła toż samo. Każą mi się obawiać, aby panny Stein lub jakiéj innéj nie wprowadził.

Ruszyła ramionami.—Czyż mnie to obchodzi?

— Ale pani lubisz brylanty, stroje, przepych, życie? —zapytał Brühl.— Spojrzeli sobie w oczy.

— Panibyś na wygnaniu i w ubóstwie żyć nie potrafiła.

Wyrazy te zdawały się trafiać do jéj przekonania.

— Bardzo dobrze—odezwała się—obalimy Sułkowskiego, będzie to zemsta za mojego Watzdorfa; będzie to rozrywka. Obalimy tego pyszałka.

Ziewnęła znowu.—Więc skończone?—spytała. —Dobranoc?

Brühl się zatrzymał.

— Właśnie o tém pomówić należy. Obalić go przecie nie można odrazu, potrzeba ostrożności, trzeba...

Zbierał się długo-zapewne wykładać teoryą obalenia, gdy Frania wstała żywo z krzesła, jakby jéj cierpliwości zabrakło.

— To wymaga instrukcyj? nieprawdaż?—poczęła śmiejąc się.—A na cóż ja jestem kobietą? Pan myślisz, że mnie uczyć potrzeba jak być chytrą? jak po kropelce sączyć truciznę? jak podstępne szeptać słowa? kiedy w ucho rzucić dwuznacznik, co zabija, podejrzenie, co podkopuje?

A! panie, jam się od dziecka wychowała na dworze, ja patrzałam na was, na mistrzów; jam miała nauczycielkę w matce, jam z kolebki wyniosła umiejętność kłamstwa, wprawę w szalbierstwa, miłość fałszu!

I śmiać się zaczęła dziwnie, prawie rozpaczliwym głosem.

— Bądź pan spokojnym, potrafię obalić jego, a gdy zechcę i gdy mi się to podoba, was, i...

Zamilkła nagle, chustkę przyłożyła do oczów i nie mówiąc słowa, krokiem poważnym, milcząca, weszła do sypialni. Drzwi zatrzasnęła za sobą, słychać było klucz okręcający się w zamku: Brühl pozostał sam.

VI.

W małéj uliczce pod murem starego miasta, która po wolnéj pochyłości schodziła ku Elbie, stał domek w ogródku, wśród drzewek, otoczony murem, z zamczystą bramą. Poznać było po nim łatwo, że go niedawno wzniesiono, starając się, by trochę wdzięczniéj od innych kamienic wyglądał. Na ścianach

poczepiał budowniczy girlandy kamiennych kwiatów, wkoło okien pospłatał sznury, powyginał ozdoby tak, aby twardy piaskowiec wydawał się miękką massą, którą jeden podmuch fantazyi zmusił ułożyć się w zalotne kształty jakieś, niewidzianéj architektury. Nigdzie linia prosta nie ostała się długo, kaprys rysownika kazał się jéj zginać, opadać, zakreślać owale, zacierać kąty, a ze szpar patrzały wszędzie to wytrysłe niespodzianie liście, to wymarzone owoce, to gałęzie suche zwijające się pośmiertnym uściskiem.

Na bramie stały dwa wazony, niby z Włoch kędyś skradzione i przyniesione aby je przypominały. Z jednéj strony domu wystawka bluszczem opleciona, przypominała też włoskie *pergole*. Przodem kamieniczka zwróconą była ku Elbie, jakby na miasto patrzéć nie chciała. Zdala przed nią świecił pałac Japoński. Posadzone drzewa choć młode rosły tu bujnie i już trochę cieniu rzucały, a dwie starsze lipy pozostałe z dawnych czasów, z popróchniałemi pniami, szeroko roztaczały gałęzie.

Nad znakiem u pierwszego piętra, jednego wieczoru jesieni na balkonie kamiennym, siedziała kobieta sama jedna. Istny to był obraz tęsknicy. Młoda, piękna, smutną była jak noc; czarne brwi ściągnięte, w ciemnych oczach świeciły łzy niewyronione, ręce oparła na kolanach obie, na białych dłoniach zwiesiła głowę przechyloną i patrzała w dal zadumana.

Łatwo w niéj włoszkę poznać było, bo tak bujnie rosną tylko kobiéty i kwiaty pod tamtém słońcem ożywczém; tak piękne kształty nadaje tylko natura wybranym dzieciom w atmosferze woniejącéj kwiatem pomarańczowym i morskiemi zapachy. Na różowych ustach wpół otwartych, z pod których perłowe wyglądały ząbki, błąkała się piosenka. Myśl ją przerywała, głos ustawał i po chwili jakby od niechcenia, cichy płynął z piersi, niby senny, stłumiony i umierał milczeniem znowu i rodził się westchnieniem.

Była sama z sobą, cała w sobie, skamieniała tęsknicą, zdrętwiała nudą, znękana życiem. Pieśń płynęła z nałogu, łzy płynęły z serca.

Ubrana jak w domu i do domu mogła śnić o włoskiéj ciepłéj jesieni, tak dzień był gorący, a powietrze parne prawie. To też zaledwie osłoniona, dała białéj sukni spadać z ramion,

a czarnym włosom płynąć ku ziemi i na nogach miała tylko pantofelki, a ręce do pół wychodziły jakby na okaz dla snycerza. Wieku trudno było odgadnąć, pierwsza młodość uciekała ledwie, a poczynały się te lata, co tęsknią już za nią i pragną przyszłości a lękają się jéj razem. Oczy już płakać umiały, a usta śmiały się nieraz pocałunkom i nie zdawały się ich pragnąć. Myślą była gdzieś daleko, za morzami, za górami, ale nie tu nad smutną Elbą i pod niebem bladém Północy.

Niekiedy jakby wewnętrzna jakaś fala nią poruszała, kołysała się tak siedząc i naówczas śpiewka głośniéj dobywała się z jéj piersi, łza spłynęła po twarzyczce, oko po niéj czarniejszém i płomienistszém się zdawało.

Na lewo w pomarańczowych blaskach zachodziło słońce, ku téj części nieba miała zwrócone oczy. Wtém zaszeleściało coś w ciasnéj uliczce: słychać było jakby pośpieszne kroki. Odgłos ich uderzył ucho zamyślonéj kobiety i obudził ją ze snu. Strwożyła się, stanęła, słuchała w milczeniu.

W bramę ktoś stuknął. Przerażona, otulając się suknią, chwytając włosy rozrzucone, wbiegła do domu i znikła.

Drugie stuknięcie dało się słyszéć w bramie, w domku było cicho; ktoś uderzył raz trzeci i furtka się otwarła. Mężczyzna stary, odarty, w bieliźnie tylko i narzuconym na ramiona aksamitnym przyodziewku zszarzanym, w czapce włóczkowéj zblakłéj, na siwych rozczochranych włosach, wyjrzał rozglądając się ciekawie. Przed bramą stał płaszczykiem otulony młody mężczyzna, pięknéj twarzy, który nie patrząc i nie pytając, natychmiast wcisnął się do wnętrza. Stary pomruczawszy zamknął za nim i wlókł się do domu.

Po włosku zapytał go obracając się przybyły, czy Teressa w domu, i odebrał obojętną odpowiedź potwierdzającą. Szybkiemi krokami posunął się do domku, którego drzwi od ogrodu stały otworem. Sień na przestrzał była pusta, przez drugie drzwi widać było dwa laurowe drzewa w wazonach, kwiatem bujnym okryte. Na wschodkach wszędzie pusto było i cicho, a gdy przybyły gość drzwi usiłował otworzyć, oparły mu się. Pukaniem długiém rozbudził wreszcie starą kobietę, z siwym włosem, napół wypełzłym, nędznie ubraną, która popatrzywszy nań, ustąpiła mu i wpuściła go do środka. Pokoiki przybrane wdzięcznie mogły być wesołe, a smutne były jak pustka.

Mnóstwo w nich porozrzucanych rzeczy, ubiorów, nut, w największym nieładzie błąkało się po sprzętach nowych a już zniszczonych. Drzwi szklane na balkon stały otworem. Gość wszedł tu szukać kogoś i znalazł tylko nizki stołeczek, na którym włoszka siedziała przed chwilą. Widok ztąd tak był ładny, że się zatrzymał spojrzéć i zadumał trochę.

Wtém po zanim zaszeleściała suknia. Powolnym krokiem szła ta sama kobiéta, którąśmy widzieli przed chwilą, ale w sukni ciemnéj, szerokiéj, którą na siebie narzuciła, i z włosami związanemi niedbale. Nóżki tylko pozostały bose, a na twarzy ten sam wyraz znudzenia.

Gość się odwrócił witając, odpowiedziała mu skinieniem głowy. Rozmowa toczyła się po włosku.

— Cóż ci to jest?—spytał przybyły.

— Jestem chora, no! umieram z nudy i tęsknoty—odparła włoszka zniechęconym głosem—tu żyć nie można, nie, nie.

— Zkądże te rozpacze?

— Z powietrza!—zawołała kobieta rzucając się na sofę.

Mężczyzna wziął krzesło i siadł przy niéj blizko. Oparła się na ręce, na któréj białych ale przybruknyach palcach widać było pełno pierścieni.

— Z powietrza!—powtórzyła—tu nie ma czém oddychać! nie ma czém żyć; tu trzeba umierać!

— Cóż ci to?

— Pytacie? widzicie.

— Więc znowu te tęsknoty wracają?

— Nigdy mnie nie opuszczały.

— Znowu zawiniła pewnie Faustyna—rzekł przybyły.

Był nim Brühl, jak się domyśléć łatwo.

— Faustyna?—powtórzyła rzucając nań okiem gniewném. U was jest jedna ona: na myśli, na języku, we wszystkiém.

— A dlaczegoż nie starasz się zaćmić Faustyny? podobać N. Panu, zwyciężyć ją? Starsza...

— Stara jędza jak świat—przerwała żywo Teressa—obrzydła kuglarka. Ale z tym królem...

— Proszę z respektem o królu!

Teressa usta wykrzywiła.

— Więc nic nie powiem.

Posiedzieli trochę w milczeniu.

— Dam ci jednę dobrą radę—odezwał się Brühl—gdy śpiewasz, zwracaj się do króla, patrz na niego, uśmiechaj mu się, bądź zalotną. Gdy on ci poklaśnie, będziesz królową.

— A tymczasem królową stara Faustyna. Król ma nałogi, fe! a nie ma oczów ni smaku. Śpiewa mu głosem ochrzypłym, włosów połowę ma siwych. Cóż z tego? ona *diva* a my *comparsy?*

Z boleścią domówiła tych słów.

— Słuchaj Teresso—rzekł Brühl—nie rozpaczaj, to się zmieni. Faustyna wróci do domu, ty zostaniesz.

— Wolałabym przeciwnie!—mruknęła Teressa i zamilkła nagle.

— Dziś nie ma czasu mówić o tém—odezwał się Brühl—za chwilę, tylko co nie słychać, ktoś zapuka do bramy, niech go stary Beppo wpuści. Nie mogłem swobodnie, niepostrzeżony rozmówić się z Padre Guarinim, przyjdzie tutaj. Daj mu co słodkiego, tylko nie ust twoich, które są najsłodsze, i zostaw nas samych.

Teressa słuchała obojętnie; potém jakby zmuszona do posłuszeństwa wstała z sofki i gnuśnie poszła ku drzwiom, wołając starą matkę, któréj kilka słów szepnęła. Brühl niecierpliwie przechadzał się po pokoju, patrząc w ziemię.

Teressa zwróciła się, spojrzała nań, i poszła nazad na swe miejsce.

Głuche uderzenie do furtki, zaledwie usiadającą poruszyło, wstała gotując się na przyjęcie Guariniego, rozpatrując po izbie, którą sprzątać dopiéro zaczęła.

Żwawy krok dał się słyszéć na wschodach, długa twarz jezuity, nos jego spuścisty i dobroduszny uśmiech dał się widzieć na progu.

Zobaczył krzątającą się Teressę.

— Porzućże—zawołał—jam nie gość, ja u moich w domu. Beppo mnie w rękę pocałował, stara o mało nie uścisnęła aż mi lżéj, gdym ze współwyznawcami.

Teressa także pocałowała w rękę Ojca, co mogła zabrała i znikła.

Brühl szybko się zbliżył do Guariniego.

— A cóż?—zapytał—jedzie? nie jedzie?

— Jedzie—rzekł śmiejąc się Ojciec—król sam mu powiedział, że powinien się rozerwać po pracy.

Rozumiesz mnie?—rozśmiał się.

Nadzwyczaj zręcznie rzecz była osnuta. Nigdybym się nie spodziewał, ażeby królowa tak potrafiła dyssymulować. Z największém współczuciem dla niego namówiła króla, aby go sam do tego zachęcił.

„Wiem, rzekła, że ci Sułkowskiego brak będzie, że zatęsknisz po nim... my ci go nie potrafimy zastąpić, ale on się zabija tą pracą. On stworzony na żołnierza, do życia czynnego... niech sobie spocznie, niech się przejedzie i powącha prochu: wróci odmłodzonym. Król w rękę pocałował za to królowę i ucieszył się z jéj współczucia dla przyjaciela... Dziś jeszcze rozkażę Sułkowskiemu jechać i dam mu piękny wiatyk na podróż. Nie trzeba żałować na to pieniędzy; niech jedzie! niech jedzie!"—zawołał O. Guarini.

Brühl mu wtórował.

— Niech jedzie!

— Zabawi kilka miesięcy—mówił Padre—będziemy mieli dosyć czasu, aby przygotować odprawę. Król się odzwyczai od niego.

Brühlowi twarz się wyjaśniła.

— Przez ten czas, ja wam nie potrzebuję mówić, co do czynienia macie—dodał Guarini. Wy nie potrzebujecie działać przeciwko niemu osobiście, toby było szkodliwém. Zostawcie to królowéj i mnie; Sułkowski dość swoją dumą narobił tu sobie nieprzyjaciół, jak skoro ludzie postrzegą, że szczęście może się odwrócić od niego, pomogą nam nieproszeni. Wam należy dotrwać wiernym przyjacielem do końca.

— Tak też myślałem—odezwał się Brühl—będę nawet czekał, aż mi o wyjeździe powiedzą, a może zlekka przeciw niemu protestował, dowodząc, że mi się bez Sułkowskiego obejść będzie trudno.

— Doskonale—zawołał Guarini—*Al nemico il ponte d'oro che fuge*... gdy król zażąda pieniędzy, sypcie.

— Choćby ostatnie — odezwał się Brühl i zatarł ręce, a potém jakby sobie przypomniał obowiązek, księdza uścisnął i w rękę pocałował.

— *Lontano degli occhi, lontano dal cuore*—pomrukiwał Padre powoli.—Król się oduczy od niego, a wy mu go zastąpicie.

Zaczęli chodzić po pokoju oba... Padre jednak był zamyślony.

— Żonę zostawia, będzie mu donosiła—rzekł cicho.

— Koło niéj trzeba miéć ludzi.

— Dosyćby było jednego—uśmiechnął się Guarini—ale tamto pono trudno... a i kandydata na tę funkcyą znaleźć mi nie łatwo.

Zaczęli cóś szeptać pocichu...

— *A goccia à goccia si cava la pietra*—dodał Padre...

Z drugiego pokoju wyszła w téj chwili powoli Teressa, trochę już przez poszanowanie dla duchownego przybrana, niosąc w ręku talérz owoców... który z uśmiechem na stoliku postawiła.

Ksiądz ją na sposób włoski po ramieniu poklepał, ona pocałowała go w rękę. Dobył z za sukni medale na sznurku, a było ich razem związanych kilka i wydzieliwszy jeden Teressie, dwa przyrzucił dla matki i starego Beppa, za co otrzymał jeszcze jeden ręki pocałunek.

Mówili potém z Brühlem długo, cicho, a żywo; minister z pokorą przyjmował instrukcye, lecz z zamyślenia i roztargnienia jego wnosić było łatwo, że sam w téj chwili układał swe postępowanie. Zaczynało już dobrze zmierzchać, gdy O. Guarini się wyniósł pocichu, Teressa wbiegła, aby cóś powiedzieć czy prosić o cóś u Brühla, ale i ten już spieszył, obiecując jéj przyjść późniéj.

Została więc znowu sama i siadła w pustéj izdebce tak zadumana i smutna, jak wprzódy. Stara matka z założonemi rękami, milcząca przyszła naprzeciw niéj przysiąść także; lecz tęsknica na nie obie jakaś powiała i przemówić nie miały o czém: wzdychały tylko.

Jeszcze nie myślano o zapaleniu lampki, aby przez otwarte drzwi do domu nie ściągnąć równie dokuczliwych z nad Elby, jak włoskie komary, gdy stukano znowu do bramy. Teressa się nie podniosła nawet z siedzenia, choć może ciekawą była kto przyjdzie; któż jéj tu mógł jaką przynieść pociechę?

Na wschodach słychać było głos i rozmowę włoską z Beppem, po tym głosie poznała Albuzzi kobiétę, i machinalnie przygładzając włosy zerwała się z siedzenia, a matka widząc to, wstała także. W mroku zobaczyły na progu stojącą postać kobiéty słusznego wzrostu, po pańsku ubraną i pańskiego oblicza.

Przybyła strojną była jak najwykwintniéj, w jedwabną suknię, fryzurę, koronki i obwieszona ulubionemi włoskiemi błyskotkami.

Teressa z podziwieniem poznała w niéj swoją nieprzyjaciołkę i współzawodniczkę Bordoni-Hasse, słynną Faustynę.

Zakulisowa królowa rozpatrywała się w mieszkaniu swéj rywalki i zdawała namyślać co ma powiedzieć.

Teressa stała milcząca naprzeciw niéj.

— Widzisz, przychodzę do ciebie: ja!—zawołała, śmiejąc się Faustyna—czekałam próżno, ażebyś ty na zgodę przyszła do mnie; widzę, że ja muszę ci piérwsza podać rękę! E! Teresso moja! myśmy przecie obie włoszki, obie z pod tego pięknego nieba, pod którém pomarańcze i cytryny kwitną i zamiast sobie życie słodzić, my je sobie trujemy. Daj mi rękę, bądźmy siostrami!

Teressa zawahała się, na płacz się jéj zebrało i wybuchnąwszy nim, rzuciła się na szyję Faustynie.

— Jam nigdy nie była nieprzyjaciołką tobie!—zawołała—jam ci nie odebrała kochanka, nie powiedziała złego słowa.

— A! dosyć! dosyć! niech przepadnie przeszłość—odparła Faustyna—nie wspominajmy jéj, weźmy się za ręce i idźmy zgodnie. Życie nasze i tak ciężkie a smutne, trują je drudzy; myśmy nie powinny.

Faustyna westchnęła.

— Przyszłam do ciebie, bo mi cię z duszy żal; ale cóż pomoże dobra rada i dobre słowo? przyjdzie zapóźno, a co konieczne, tego żadna siła nie przemoże.

Zamilkła chwilę; matka Teressy wyszła powoli, ona sama na nizkim stołeczku siadła u nóg Faustyny, podparła się na rękach jak wprzódy i zadumała.

— Ludzie nam szczęścia zazdroszczą—mówiła Faustyna—a my łzy łykać musimy. To nie nasz świat... a na dworze ich, jak na ich lodzie ostrożnie chodzić potrzeba, ażeby się nie

pośliznąć i nie paść. Szczęściem ja mam króla, a ten mojemu głosowi będzie wiernym. Dobre stworzenie, które jak do żłobu idzie do swéj loży, a ja mu obrok zasypuję piosenką.

Rozśmiała się, pochyliła do Teressy i pocałowała ją w czoło.

— Ciebie mi żal, tyś wpadła w ręce. Albuzzi...

Zniżyły głos. Teressa się obejrzała bojaźliwie i szepnęła cicho ostrożnie: ja się własnéj matki boję!

— A ja nikogo—odparła Faustyna—ale znaszże ty tego przyszłego króla, który ci chustkę rzucił?

Wzdrygnęła się. To straszny człowiek! Miły, słodki, dobry, ale mi jego śmiech syczy jak gadzina; on ma uśmiechy ale serca niéma. A taki pobożny, a taki pokorny...

I wstrzęsła się Faustyna.

— Przyszłam doprawdy użalić się nad tobą, bo on wkrótce nam tu wszystkim panować będzie... a biada nam pod panowaniem jego, jeśli z nas która sprzeciwiać mu się odważy: *Poverina!*

Teressa zmilczała; Faustynie lice gorzało.

— Dla ciebie dobrym on może! lecz gdybyś ty jak ja codzień słyszała jęki i skargi na uciski i tłumione łzy ludzi, o! jakbyś go nienawidziła.

— Moja dobra Faustyno—odezwała się w końcu Teressa—trafiłaś na dzień taki, gdy mi to łzy jeszcze nie oschły od płaczu. O! myśmy tu bardzo biédne. Śpię i we śnie słyszę szum mojego Adryatyku, zdaje mi się, żem tam znowu na progu domku wieczorem; *lucciole* migają w powietrzu. Andrea brzdąka na gitarze... piosnka brzmi w powietrzu, wiatr przynosi zapach kwiatów i liści. Budzę się, słucham: szumi, ale wicher, szumi ze śniegiem i brzmi mowa nienawistna i ludzie się śmieją, których szyderstwo rani, a miłość upokarza.

Zakryła twarz rękami Teressa.

— Droga moja—odezwała się Faustyna całując ją—więc nie dogryzajmy sobie wzajem, pomóżmy na ciernistéj drodze.

I podała jéj rękę, szepcąc w ucho:

— Strzeż się tego, który cię opanował: straszny jest! i niech cię Madonna ma w swéj opiece.

Teressa wstała, odprowadzając ją do drzwi.

— Adio!—rzekła—niech ci Bóg płaci dobre serce; przyszłaś w smutku... jaśniéj mi teraz, gdy nas dwie razem a nie przeciw siebie.

Tak się rozstały, a zamyślona Faustyna, któréj *portchaise* czekała u bramy, szepnęła ludziom, ażeby ją nieśli do domu.

Przez odsłonięte okna lektyki mogła widzieć wszystko, sama nie będąc widzianą. Z uliczki, przy któréj stał nowy domek Albuzzi, czekając aż jéj wspaniały protektor rotundę wzniesie na Frydrychstacie, Faustyna prędko dostała się do bramy i miasta. Wązką uliczką musiała przejeżdżać na Zamkową. Z roztargnieniem spoglądała przeciwko siebie. Mrok w mieście nie był jeszcze tak gęsty jak w domach, twarze ludzi rozeznać było łatwo. Z przeciwnéj strony spostrzegła niesioną szybko od zamku lektykę; poznała, a raczéj domyślała się w niéj Sułkowskiego, którego blada twarz i czarny wąsik, mignęła jéj wśród cieni.

Szyby dwóch lektyk o mało się nie otarły o siebie, Faustyna, jakby nagłe jakieś rozbudziło się w niéj męztwo, w chwili, gdy lektyka Sułkowskiego mijała ją, zadzwoniła w okno swojéj i zawołała:

— *Fermate!...*

Sułkowski, który był głęboko zanurzony na siedzeniu, wychylił głowę i spojrzał... Lektyki obie stanęły, ludzie niosący je postawili je tak okno w okno, że siedzący w nich wygodnie z sobą rozmawiać mogli.

Spuściła okno Faustyna i wychyliła się wzruszona. Minister ze swéj strony zdziwiony trochę, zbliżył twarz ku oknu.

— Niech wasza Excellencya trochę każe ludziom ustąpić, albo pozwoli mi mówić po włosku; potrzebuję poufale, choćbym zginąć miała, mówić z wami.

Na te słowa hrabia drgnął i przechylił się ku niéj.

— Piękna divo—zawołał—jeśli chodzi o jaki spór, na to jest padre Guarini; jeśli idzie o łaskę jaką, król pan nasz nigdy wam nic nie odmawia, a ja... ja czasu nie mam, piękna pani.

— Hrabio, tu nie idzie o mnie! ani o łaski, bo temi mnie obsypujecie, i ja od was nic nie żądam, nic... idzie o was i o króla—odezwała się śmiało Faustyna.

Sułkowski zdawał się nie rozumiéć, jednakże kazał podnieść wieko, wydobył się z lektyki i podszedł ku śpiewaczce.

— Jestem na wasze usługi i słucham—rzekł z uśmiechem.

— A gdybyście téż i wierzyć nie chcieli!—westchnęła...

Hrabia milczał, widać było zniecierpliwienie, które przemódz usiłował.

— Hrabio—mówiła żywo Faustyna—prawdaż to, że się oddalacie? że myślicie odjechać? że się usuwacie, i zostawujecie plac wolny nieprzyjaciołom waszym?

Sułkowski począł się śmiać.

— Ja nie mam nieprzyjaciół—rzekł spokojnie—a gdybym był tak szczęśliwy i miał ich (bo za zaszczytbym poczytał zarobić na nieprzyjaźń służąc panu), wcalebym się ich nie lękał.

— Czy wy niedowierzacie?—przerwała Faustyna—i szczerym nie chcecie być z biedną śpiewaczką! Ale z za kulis wiele widać świata, ale za niemi lepiéj się poznaje ludzi niż w salonach; ja wam hrabio dobrze życzę, bo wy kochacie króla i chcecie dobra dla tego kraju, który ja za drugą uważam ojczyznę. Wy jesteście czyści i pragniecie, aby pana kochano; drudzy myślą o sobie, a o kraj nie dbają wcale.

Namarszczył się Sułkowski.

— Ale któż! kto!

— Jakto, wyście tak ślepi!—zawołała zapalając się Faustyna—czy nie widzicie nic? Czyż ja wam to pierwsza odsłonić i pokazać muszę? Królowa Pani nawet zazdrości wam łaski króla, macie nieprzyjaciela we wszechmogącym Ojcu Guarinim, a współzawodnika w Brühlu. Długo knuty spisek w cichości nareszcie doprowadzili do skutku; was wyprawiają ztąd aby wasze posiąść miejsce, aby wam serce króla odebrać! I wy nie widzicie tego! wy dobrowolnie zaprzedajecie swoją przyszłość! Ten człowiek pochwyci wszystko; dla was tu miejsca nie będzie.

Mówiąc to, załamała ręce. Sułkowski stał, słuchał, ale nie czyniło to na nim wrażenia, drgnął tylko i wnet rumieniec mu na twarz bladą wystąpił.

— Kochana pani—rzekł—to doprawdy sny są i przywidzenia. Ja wyjeżdżam, ale sam prosiłem o to; ja nie mam nieprzyjaciół, a mam serce króla, którego tak jestem pewny, że żadna moc w świecie odebrać mi go nie potrafi...

— Uspokójcie się signora, to są czcze plotki, które około każdego dworu jak komary nad błotami latają. Wierzcie mi, ślepy nie byłem i nie jestem, i oszukać mnie nie łatwo i pozbyć się mnie.

Począł się śmiać wesoło.

— A! signora Faustina—rzekł—wierzcie mi, że wam wdzięczen jestem za tę troskliwość o mnie, za to dobre mniemanie. Wierzcie mi, że o téj naszéj rozmowie nikomu w świecie nie wspomnę: zostanie ona między nami.

Chciał odstąpić kłaniając się od lektyki, gdy załamawszy wyciągnięte ku niemu ręce Faustyna, zawołała:

— Hrabio! byćże to może, abyście wy do tego stopnia ślepemi byli? Jestże to podobna? Szlachetny wasz charakter nie przypuszcza zdrady, ale ona w oczy bije: wszyscy widzą to, czego wy widzieć nie chcecie.

— Ale bo to są przywidzenia, domysły, potwarze! Brühl winien mi wiele, i aniby się mógł ważyć porwać na mnie, choćby miał tak potężnych sprzymierzeńców jak N. Pani i najczcigodniejszy Padre...

Potrząsł głową.

Faustyna zamilkła i spuściła oczy.

— A więc co przeznaczone, to nieuniknione! *Chi alta corte è destinato muore santo o disperato*—szepnęła jakby sama do siebie—*adio, signor Conte*, i niech Opatrzność was prowadzi i przyprowadza... Nie bawcie długo... Kiedyś może przypomnicie przestrogę głupiéj Faustyny, ale już będzie po czasie.

Skłoniła głowę smutnie, hrabia ujął ją za rękę ze wzruszeniem.

— Śliczna i dobra Bordoni—rzekł—wierzcie mi, żem wam wdzięczen bardzo; zawsze to, coście uczynili, wielkiego serca dowodzi. Mało go jest między nami i cenić go umiem. Lecz nie jest tak źle jeszcze... a! nie. Króla mogę nazwać przyjacielem, ufam mu i nie zawiodę się; bądźcie o mnie spokojni.

Faustyna nic nie mówiąc już, rzuciła się w głąb *portchaisy*, a hrabia uśmiechnąwszy się jéj i skłoniwszy głową siadł do swojéj.

Lecz zmienił w téj chwili postanowienie, i ludziom co go nieśli, kazał iść do pałacu Brühla.

Godzina była, w któréj go mógł zastać jeszcze. Zamyślony przebiegł niewielką przestrzeń dzielącą od niego, w bardzo krótkim czasie. Nie potrzebował ani pytać, ani prosić o przyjęcie, byle minister był w domu, bo przed wszechmogącym Sułkowskim, drzwi się naówczas wszędzie otwierały jak w zamku.

Brühl był u siebie.

Nie pytając więc co robił, Sułkowski wbiegł na górę, nie uważając, że go poprzedził paź, który drugiemi drzwiami wpadł o nim oznajmić.

Brühl naradzał się z Hennickem, którego odprawił szybko i nim Sułkowski zmuszony przechodzić przez cały szereg sal i pokojów doszedł do gabinetu, padł na kolana przed krucyfiksem stojącym na rodzaju klęcznika, ręce złożył i zatopił się w ekstatycznéj modlitwie.

Łatwość, z jaką mu przyszło przybrać tę postawę, dowodziła, że nie po raz pierwszy używał jéj, gdy mu było potrzeba, ażeby go ktoś niby niespodzianie, zastał oddanego modlitwie. Ta postać strojnego dworaka w aksamitnym fraku, przy szpadce i w peruce fryzowanéj, na rozmowie z Panem Bogiem, wydałaby się może śmieszną, gdyby kiedykolwiek modlitwa być nią mogła.

Bardzo często, jak świadczą współcześni, zastawano Brühla zatopionego w takich religijnych rozmyślaniach.

Sułkowski nie pukając, otworzył drzwi i stanął w progu zdumiony; po raz pierwszy w życiu trafiło mu się pochwycić Brühla na modlitwie; oczom swoim nie wierząc prawie, stał nie ruszając się, a Brühl jakby otwierających się drzwi nie usłyszał, klęczał ciągle plecami do nich odwrócony, z głową podniesioną, wydając głośne westchnienia. Wreszcie prawą rękę podniósł i począł się bić w piersi, schylając głowę z taką gorącością ducha, z takim zapałem, jak żebrak pod kościołem, gdy chce na jałmużnę zarobić.

Sułkowski nie ruszał się z miejsca, nie mógł przypuścić, aby to wszystko udaniem było i komedyą, wszedł bowiem nie oznajmiony dosyć szybko, a mrok wieczora lektyki jego w ulicy widzieć nie dozwalał.

Ta scena niema trwała długą chwilę, Brühl schylił się do ziemi, rozkrzyżował ręce, słychać było szmer modlitwy. Ilekroć prawa dłoń jego się podniosła, hrabia mógł na niéj dostrzedz przywiązany różaniec. Nareszcie zlekka odkaszlnął.

Usłyszawszy głos, Brühl jakby przerażony porwał się, poskoczył, a ujrzawszy Sułkowskiego, zakrył sobie oczy.

— A! hrabio kochany, przepraszam... wstydzę się... zastaliście mnie na uczynku! Czasem dusza potrzebuje zbliżyć się do Stwórcy swojego. Tyle czasu poświęcamy rozkoszom ziemskim, choć chwilę pragnę oddać Bogu i modlitwie [1]).

— To ja was przepraszam — odparł powoli wchodząc Sułkowski — i buduję się istotnie pobożnością waszą.

Przebaczcie mi, żem przerwał modlitwę.

— A! ona się już kończyła! — zawołał Brühl i wskazał kanapę.

Świece dwie paliły się już na stole.

Człowiek, który się tak modli, pomyślał w duchu Sułkowski, złym być i zepsutym nie może: to niepodobieństwo. Ciężar mu spadł z serca. Popatrzał na Brühla. Ten miał minę ledwie rozbudzonego po modlitwie, rozmarzonego nią jeszcze, nie ostygłego po exstazie.

— No — rzekł Sułkowski powoli, rozpierając się wygodnie — wiécie że jadę?

Spojrzał Brühl, nie okazał wzruszenia, smutną twarz przybrał.

— Czynicie, co się wam podobało — odparł powoli — ja ani pochwalałem téj podróży, anim wam jéj radził! Szczerze powiedziawszy, byłem przeciwko niéj i jestem. Najprzód, że przy królu nikt was nie zastąpi: to próżno. Z wami otwartym być mogę i muszę, powinienem. Z ciężkością mi to wymówić przychodzi, królowa jest panią świętą, pobożną, przywiązaną do króla, ale kobiétą. Wpływ jéj, który tylko wasz mógł przeważać, zwiększy się przez to, król popadnie w niewolę jéj i Ojca Guariniego.

---

[1]) Historyczne.

Znaleźliście mnie na modlitwie, widzicie, żem pobożny, katolikiem zostałem i jestem nim szczerze; ale, ale nie radbym, aby księża zbyt wyłączny wpływ mieli na umysł króla. Nasz drogi pan i tak aż nadto im jest posłusznym, a zraża swych saskich poddanych.

Sułkowski słuchał z uwagą wielką.

— Mój Brühl—rzekł—masz najzupełniejszą słuszność w tém co mówisz, ja całkowicie podzielam zdanie twoje. Wszystko to prawda. Lecz ty tu zostajesz w miejscu, a ja nie zabawię długo. Masz mi za złe że jadę, ale ja żołnierzem jestem. Król mi dał dowództwo, wojny się spodziewam, przekonałem pana, że jest nieuchronną, że Saxonia korzystać musi z położenia Austryi i upomnieć się o swe prawa. To powód, dla którego chcę wprawy rycerskiéj nabyć, jadę więc, jak widzisz, nie dla fantazyi.

— A wolałbym żebyście nie jechali—dodał Brühl. Mówicie, że ja zostaję, ale ja takiego wpływu na króla nie mam.

— Tymczasem wiesz, co ludzie roją i mówią?—zapytał Sułkowski.

Brühl zdziwiony podniósł głowę.

— To w istocie ciekawe—opowiadał Sułkowski powoli. Przestrzegają mnie, abym się miał na baczności, że na mnie wy z Ojcem Guarinim uknuliście spisek, że oddalacie mnie umyślnie, aby podkopać i obalić!

Brühl ręce załamał, zerwał się z krzesełka i wybuchnął gwałtownie.

— Dajcie mi tego potwarcę! Na mnie, na mnie to śmieją mówić!!

Ha! nie ma na świecie nic, czegoby obluzgać niemożna. Na mnie!! Ja i Ojciec Guarini! ja, który go się lękam jak ognia, ja i królowa, która mnie nie cierpi. No, powiedzcież!!

Ja miałbym się porwać na was, mizerny robak przeciw człowiekowi, którego król przyjacielem nazywa. A! toby było okropne, gdyby nie było śmieszne, głupie i podłe!!

— A! a! uspokójże się—śmiejąc się, obojętnie zawołał Sułkowski—powtarzam ci to tylko, abym dowiódł, co ludzie marzą, o co posądzają. Przecież nie sądźcie, abym wam nie ufał i lękał się.

I po chwili dorzucił:

— Mógłby zapewne człowiek ambitny a miałkiego rozumu porwać się na co podobnego; lecz srodzeby tego musiał pożałować. Ja króla jestem pewnym, dla mnie on nie ma tajemnic.

Ruszył ramionami pogardliwie.

— Wszystko to prawda — rzekł poruszony Brühl—ale kiedy tak jest, tém mocniéjbym obstawał przy tém, ażebyście się podróży wyrzekli.

— Przepraszam cię, to właśnie powód, dla którego ja jechać muszę, ażeby dowieść głupcom i przekonać ich, iż się nikogo nie lękam, że się z tego śmieję, że gardzę.

Ramionami rzucił i Brühl ręką machnął.

— A że to niema sensu! to gdzieś ulica wymyśliła, albo z Berlina przyszło, gdzie się dla Saxonii plotki płodzą... to głupie.

— Mój Brühl, u mnie wszystko gotowe, jutro ruszam do Pragi—wtrącił, rozmowę umyślnie przerywając Sułkowski—nie bez przyczyny obieram tę drogę. Muszę Pragę strategicznie obejrzéć, bo my ją brać i zająć natychmiast będziemy zniewoleni. Chcę się przekonać, jakich sił potrzebować możemy, jaką obrać drogę. Jutro rano się puszczam, proszęż cię, pożegnałbym żonę waszą.

Brühl pochwycił za dzwonek.

Wszedł galonowany kamerdyner.

— Pani w domu?

— Tak jest.

— Sama?

— Tak sądzę, ekscelencyo!

— Oznajm hrabiego Sułkowskiego z pożegnaniem i mnie.

Kamerdyner wyszedł żywo, w pokoju panowało milczenie.

Bardzo prędko otworzyły się drzwi.

— Pani prosi!

Sułkowski z ciężkością, jakby zmęczony powstał z kanapki i poszedł ku salonowi, Brühl za nim.

Mimo wstrząśnięcia, jakiego doznał, niktby go z jego twarzy nie wyczytał; gotowało mu się wewnątrz, ale się uśmiechał obojętnie.

W salonie zastali stojącą piękną panią Brühlową. Właśnie wracała z asambli u królowéj, które zwykle trwały od godziny 4-téj do 6-éj po obiedzie. Strojna była i jaśniejąca pięknością, która więcéj dziwiła niż ujmowała. Coś dzikiego błyskało w jéj oczach, coś okrutnego śmiało się czasem w ustach, jakiś niepokój ogarniał patrząc na nią. Było to odbicie tego niepokoju, jaki w jéj duszy panował.

Spojrzała na Sułkowskiego.

— Przychodzę się pamięci pani polecić,—z pewną niedbałością pańską rzekł obojętnie, trochę głowę uchylając Sułkowski—wiesz pani zapewne, że jadę. Smutno mi tak miły dwór opuszczać, ale są konieczności. Szczęściem spodziewam się, że to nie potrwa długo.

— A!—odezwała się piękna Frania—a! słyszałam właśnie u N. pani na *cercle*, że hrabia nas osierocasz. Niezmiernie mnie to zdziwiło.

— Mąż pani o tém nie wspomniał?—spytał Sułkowski.

— Mąż!—minkę strojąc dziwną zawołała pani Brühlowa—mój pan mąż tak jest zajęty, że czasem po miesiącu się z nim nie widujemy, mieszkając w jednym domu. Jam zmuszona o nim się od obcych dowiadywać.

— Powinnaś go pani skarcić za to!

— A! nie—zaśmiała się szydersko Frania—on swobodny, ja także; czy może być co milszego w małżeństwie? Nie mamy czasu się sobą przesycić, i dlatego bardzo jesteśmy szczęśliwi.

Spojrzała szydersko na męża; Brühl wesoło to brał i śmiał się jak mógł najnaturalniéj.

— A hrabina zostaje?—zapytała Brühlowa.

— Niestety! muszę ją porzucić—odezwał się Sułkowski—Choćbym najmocniéj pragnął na koń ją wsadzić, aby przy mnie kampanię odbywała, niepodobieństwo.

— To pan myślisz wojować?—spytała Frania.

— Tak jest! Niechże mi pani życzy powodzenia, abym głowę Turka mógł jéj przywieźć.

— Ja od tego uwalniam—odezwała się figlarnie.—Hrabio, przywieź nam tylko swoją całą, a będziemy mieli dosyć. Laurą przepasana będzie się ładnie wydawać, kiedyś na medalu.

Wspomnienie medalu, które jéj na myśl przyprowadziło Watzdorfa, ogniem dzikim zapaliło źrenice.

— Życzę panu hrabiemu szczęścia!—odezwała się z ukłonem.

Oczy mówiły co innego.

Sułkowski się od niechcenia znowu skłonił. Brühlowa zwróciła się ku swoim pokojom. Gospodarz ujął go pod rękę i tak poufale szepcząc coś, powoli nazad skierowali się ku gabinetowi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WARSZAWA

I JÉJ SPOŁECZNOŚĆ,

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA.

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

XIII.

Ulica Senatorska. — Dom Dobryczów. — Reslera. — Powód do wojny szwedzkiéj. — Dom pod Gwiazdą. — Pałac Prymasowski. — Michał książe Poniatowski prymas. — Jego śmierć nagła. — Ministeryum wojny. — Pałac Olbromski. — Plac Marywilu: Marie-ville. — Jarmarki. — Toruńianki z piernikami. — Antonina Ordynatowa Zamoyska. — Kanoniczki od Niepokalanego Poczęcia. — Pałac Pocieja: Pociejów. — Przysłowia. — Nowe domy. — L. A. Dmuszewski. — Kościół św. Andrzeja. — Ratusz. — Obrazy. — Franciszek Bieliński marszałek wielki koronny. — Rzeźnik i palestrant. — Sprawa pomiędzy niemi. — Sąd i wyrok Bielińskiego. — Bale w ratuszu. — Piękno niewiasty. — Mazur. — Kontredans. — Milicya miejska. — Salocson. — Pałac Blanka. — Ulica Daniłowiczowska. — Pałac Błękitny Ordynacyi Zajmoyskich. - Pałac Mniszkowski. — Ziemne wały. — Ulica Elektoralna. — Żabia. — Plac za Żelazną Bramą. — Pałac Izydora hr. Krasińskiego. — Koszary Mirowskie. — Ulica Graniczna. — Plac Grzybowski. — Ratusz. — Więzienie za długi. — Groźne przysłowia. — Ogrody. — Warzywa i owoce.

Z placu zamkowego, równolegle z Krakowskiém Przedmieściem, idzie ulica Senatorska i biegnie aż do gmachów banku polskiego.

W rzędzie domów po lewéj ręce wydatnieje kamienica Dobryczów, rodziny greckiéj osiadłéj oddawna w Warszawie i zajmującéj jedno z pierwszych miejsc w kupiectwie naszego miasta; daléj wielki

dom Reslera, dawna posiadłość Hieronima Radziejowskiego, którą T. Święcki w *Opisie starożytnéj Polski*, wskazuje, jako główny powód do wywołania najazdu szwedzkiego.

Żona Radziejowskiego, Anna ze Słuszków, w niesnaskach z mężem żyjąca, pałac ten w czasie niebytności jego opanowała. Radziejowski dowiedziawszy się o tém, przy pomocy szlachty mazowieckiéj, siłą go odbiera w czasie agitującego się sejmu; wrzawy wojennéj i rozlewu krwi przy starciu się żwawém broniących i dobywających nie brakło. Jan Kazimierz oddawna mu niechętny, dopuścił wyroku bannicyi na Radziejowskiego, sam, jak wówczas utrzymywano, zakochany w powabnéj jego małżonce. Ten pozbawiony praw obywatelskich, cześci, wygnany z ojczyzny, wyzuty z majątku, zemstą wrzący, szukał sposobów srogiego odwetu na królu swoim. Daremno wyczekiwał pomocy po temu w Wiedniu, aż znalazł ją chętną w Sztokholmie. Karol Gustaw obrażony przywłaszczonym tytułem króla szwedzkiego przez synów Zygmunta III, miał dobry pozór do napaści. Zagrzany wymową i nadzieją pomocy Radziejowskiego, wsiadł na okręty i przeniesiony na falach Baltyku, wylądował w granicach Rzeczypospolitéj.

Są chwile w życiu narodów, które cechuje upadek ducha i osłupiałość zdziecinniała. Na taką chwilę właśnie natrafił król szwedzki i dobrze umiał z niéj korzystać.

Zaledwie wieść przyszła o wylądowaniu Szwedów, padła zajęcza trwoga nietylko na Jana Kazimierza i dwór jego, ale na całą społeczność polską. Król ucieka z Warszawy, którą zostawioną bez obrony nieprzyjaciel zabiéra; przybywa do Krakowa, ale i tu nie czując się bezpieczny, straż starego grodu zostawia Stefanowi Czarnieckiemu, sam zaś uchodzi za granicę swego państwa [1]). Szlachta powolna zdradzieckim namowom Radziejowskiego, łączy się z Karolem Gustawem; rycerskie chorągwie idą za tym haniebnym przykładem. Sam Czarniecki po krótkiéj obronie Krakowa, lubo z bronią na ramieniu i rozwiniętemi sztandarami, przechodzi na jego stronę. Dumny zwycięzca wchodzi w tryumfie do staréj Jagiellonów stolicy i udaje się na Wawel, dla zobaczenia grobowych pomników królów polskich. Oprowadzał go Szymon Starowolski, mąż znany dobrze w literaturze ojczystéj, kanonik krakowski, a przywiódłszy do najskromniejszego grobowca Władysława Łokietka:

---

[1]) Chwilę tę opuszczenia Krakowa przez Jana Kazimierza, uwiecznił pędzlem Jan Matejko. W nim przedstawia tego króla, jak z wyniosłości Mogielan spogląda na płonący gród stary, w towarzystwie szczupłej liczby dworzan. To Stefan Czarniecki kazał pozapalać przedmieścia, otaczające mury forteczne Krakowa, ażeby Szwedzi nie mieli osłony wygodnéj do otoczenia i szturmu staréj stolicy.

Ten to jest król—mówił—co po trzykroć strącony z tronu, szukać musiał ocalenia na obcych ziemiach, ale wrócił i szczęśliwie panował.

— Ale wasz Jan Kazimierz—zawołał z pychą Karol Gustaw, uderzając ręką o szablę przy boku—któregom mocą oręża mego wygnał z Polski, już więcéj nie wróci!

— W ręku Boga są losy królów i narodów—odpowiedział świątobliwy kapłan, a te słowa prorocze taki wywarły skutek, że Gustaw, który w kapeluszu na głowie obchodził wawelską katedrę, zdjął go i w milczeniu resztę pomników oglądał.

Wkrótce też i obrona Częstochowy, piérwsza zatrzęsła tą potęgą straszną Szwedów. Padają załogi szwedzkie, wycięte w pień, rozstawione po grodach. Czarniecki odtąd każdy krok naprzód znaczy zwycięztwem. Jak trwogę rzucali Szwedzi w początkach, tak teraz na nich pada popłoch; już nie myślą o wstępnym boju i zwycięztwach, ale troskliwie uwożąc bogate i drogocenne łupy z Polski, spławiają Wisłą popod Warszawą [1]) do morza i sami za niemi ku jego wybrzeżom lisiemi kroki podążają. Czarniecki pędzi ich przed sobą, a gdy Gustaw uchodzi na okręty przed straszną pogonią, spieszy do Danii i tam ich pozostałe zastępy rozbija.

Dom Radziejowskiego spalony został w czasie téj wojny, a wspomnienie historyczne może być przywiązane do saméj miejscowości. Plac po nim i rumowiska nabył w roku 1731 Józef Lupa prezydent miasta Staréj-Warszawy i okazały pałac w tym kształcie, jaki widzimy, wystawił; późniéj nabyli go bracia Roeslery i ich nazwisko dotąd nosi na sobie. Głównym frontem zwrócony jest do Krakowskiego-Przedmieścia, dugim na Senatorską ulicę i jest przechodnim, ułatwiającym wielce komunikacyą z téj ulicy z pomienioném przedmieściem. Wewnętrzny rozkład i urządzenie tego domu (noszącego N-r 451), przypomina dawne pałace i wspaniałe komnaty.

O parę domów daléj jest dom *pod Gwiazdą* z małém podwórzem; w tym okresie własność Kuzniczewa, który miał głośny w kraju handel wybornych i czystych win węgierskich. Za nim biegnie wązka uliczka Kozia, otwarta za czasów Stanisława Augusta, po drugiéj zaś jéj stronie, stał wspaniały pałac *Prymasowski* (pod N-rem 489). Zbudował go Wojciech Baranowski biskup płocki, a następnie za Zygmunta III arcybiskup gnieznieński; umierając, zapisał na własność

---

[1]) W małym dyaryuszu starego mieszczanina Warszawy wyczytuję, jak w ową porę, gdy Szwedzi ładowne berlinki i galary z łupami spławiali, pod silną strażą, mieszkańcy naszego grodu patrzyli na nie i liczyli codziennie, „a było ich co dnia (dodaje nasz bezimienny mieszczanin) pełno na wodzie, by kawek na słotę". Przez dni dziesięć naraehował ich 128, oprócz jeszcze tych, co równo ze świtem przepływały, albo wśród nocy widnéj i pogodnéj.

kapitule metropolitalnéj gnieźnieńskiéj, z przeznaczeniem na mieszkanie arcybiskupów; ztąd téż przybrał swą nazwę.

Ostatnim z tych dostojników kościelnych, którzy w nim przemieszkiwali, był Michał Poniatowski prymas korony polskiéj, a rodzony brat króla Stanisława Augusta.

Smutny odegrał on dramat w téj siedzibie arcybiskupiéj. Najmłodszy z synów kasztelana krakowskiego, odznaczał się wyższemi zdolnościami pomiędzy wszystkiemi Poniatowskiemi. Przy pomocy brata króla osiągnął najwyższą godność kościelną.

W roku 1794 Warszawa była oblężoną przez Prusaków. Wiadomości otrzymywane z Francyi, gdzie w całéj sile panował terroryzm rewolucyjny, zatrwożył go nadzwyczajnie. Nieoględny na następstwa, wysłał własnoręczny list do króla pruskiego, ktory osobiście dowodził swoją armią, oblegającą nasze miasto, wskazując szczegółowo najsłabszą miejscowość, którą zdobyć i opanować Warszawę łatwo potrafi. Uczynił to w téj nadziei, że osłoni całą swoją *familią* od grożącego jakoby niebezpieczeństwa, chociaż wypadki okazały same, że ten strach był urojony. Ale posłaniec prymasa przez czaty polskie schwytany, a list odebrany, rzecz całą objaśnił. Wiadomość o tym czynie lotem błyskawicy rozbiegła się po mieście i arcybiskup w swym pałacu uwięzionym został.

Książe Józef Poniatowski zanim podążył z obozu przybyć do króla, już sposobu ratowania prymasa nie było. Po krótkiéj naradzie postanowiono, że bezzwłocznie umrzéć musi. Stanisław August od nadwornego swego doktora dostaje silnéj trucizny, któraby, jak piorun, odrazu zabijała. Sam z nią musiał się udać do pałacu prymasowskiego, gdyż był otoczony ścisłą strażą. Okryty płaszczem, trafił na obywatela Dückerta z gwardyi narodowéj, który wartę trzymał; temu musiał się dać poznać, ażeby go przepuścił—wtedy wszedł do pokoju brata, który siedział blady, jak trup, ze spuszczoną smutnie głową na piersi.

— Michale kochany!—wyrzekł król ze łzami, bo był doń przywiązany—przychodzę, jako zwiastun śmierci! Musisz umrzéć, jednéj chwili do stracenia nie mamy. Oto trucizna: długo się męczyć nie będziesz.

Książe Michał podniósł głowę i wyciągnął rękę, jakby po dar drogocenny.

— Daj mi ją bracie—wyszeptał cichym i złamanym głosem —i uściskaj mnie na wieczne pożegnanie!

Uścisnęli się serdecznie; król spiesznie wybiegł, nakazując Dückertowi głęboką tajemnicę, że go widział wchodzącego do tego pałacu. Prymas połknął truciznę, która tak gwałtownie działała, że jak mi mój ojciec opowiadał, który go zaraz po skonie widział, rysy zmarłego zupełnie zmieniła.

Pogrzeb jego odbył się cicho, zwłoki złożono w katakumbach na Cmentarzu Powązkowskim i położono na kamieniu napis, dotąd przechowany:

„*Michał Jerzy książe Poniatowski herbu Ciołek, prymas korony polskiéj i W. Ks. Lit.: syn kasztelana krakowskiego i Konstancyi księżniczki Czartoryskiéj, urodzony dnia 11 października 1736, umarł 11 sierpnia 1794 r. prosi prawowiernych katolików o modlitwy za duszę swoję.*"

We dwa tygodnie dopiéro odprawiono nabożeństwo żałobne po nim w katedrze warszawskiéj, na którym Jan Woronicz, wówczas kanonik miał kazanie pogrzebowe. Tak w sile męzkiego wieku licząc rok 58, musiał zakończyć życie.

Po tym wypadku już w tym pałacu żaden prymas nie przemieszkiwał i we trzy lata późniéj przeszedł na własność skarbu.

Od roku 1815 do 1830 mieściło się w nim ministeryum wojny, a dół cały od ulicy Koziéj do połowy środka gmachu zajmował Maurycy hr. Hauke minister wojny ówczesny, a zięć D-ra Lafontena. Generał ten zyskał sobie chlubny rozgłos przez dzielną obronę twierdzy Zamościa, w któréj bił monetę miedzianą i srebrną, mającą obieg wtedy w téj warowni do około osadzonéj ściśle, a dziś już jako rzadka pamiątka przechowuje się w zbiorach numizmatycznych.

Pałac ten miał dwa obszerne podwórza, a od ulicy oddzielony żelazną kratą z dwiema bramami. Na przeciwnéj stronie ulicy odznaczał się pałac Olbromski (pod N. 460), biorący swa nazwę od tego, że wystawił go Franciszek Dembiński starosta wolbromski.

Teraz wychodzimy na plac *Marywilu:* z prawéj zostawiamy ulicę Daniłowiczowską, po lewéj stronie biegnie krótka ulica Nowo-Senatorska. Plac cały (jak obecnie Wielki Teatr) zajmowały budowle Marywilu, które wystawiła Marya Kazimira żona króla Jana Sobieskiego i od swego imienia nazwała *Marie-Ville.* Wewnątrz były wielkie podwórza, do których wejście było, jak zapamiętam, przez obszerne bramy. W pośrodku podwórza bliższego Wierzbowéj ulicy, stał mały kościołek Panien Kanouiczek.

Na pomienionych podwórzach odbywały się jarmarki głośne w całym kraju, w których rej wiodły powabne torunianki ze sklepami sławnych pierników, przyczém zaraz wypiekały wafle, które tłumy gości chciwie rozkupywały. W czasie istnienia tych jarmarków cały świat elegancki Warszawy tu się gromadził; panie biegły zobaczyć piękne torunianki, a pierwsi eleganci naszego miasta pragnęli się im zgrabnie zaprezentować i zwrócić ich oczy i uwagę na siebie. Nie wiele téż z tém mieli trudu, bo ich mężowie lub narzeczeni, nieruchawe i nieoskrobane niemczyska, porównać się z warszawską młodzieżą nie mogli. Piernikarki te więc każdorocznie z dobranem gronem młodych i powabnych torunianek i gdańszczanek ochotnie przybywały do

Marywilu, bo nietylko sporo grosza zarabiały, ale cały czas jak najprzyjemniéj przepędzały, otoczone hołdami młodych warszawiaków, dziarskich oficerów i akademików, a nie brakło czerstwych i dorodnych ziemian z prowincyi, którzy w onczas jako na miłe gody dla siebie hurmem do miasta zjeżdżali. Pomienione jarmarki w początku maja i listopada przypadające trwały przez trzy tygodnie [1]).

Ale budowle te podupadały z każdym rokiem, potrzeba było plac przed ratuszem oczyścić; zaczęto więc je burzyć. Wtedy przy rozbieraniu starych murów, w wydrążeniu kamienia węgielnego kaplicy marywilskiéj, znaleziono relikwie i tablicę srebrną z napisem téj treści: „Że królowa Marya Kazimira na pamiątkę zwycięztwa pod Wiedniem i na cześć Najświętszéj Matki, któréj obraz Jan III miał zawsze, i któréj opieki wzywając, pokonał nieprzyjaciół, budowę tę wystawiła. Kamień zaś węgielny położony dnia 12 września 1696 r. przez Stanisława III (Witwickiego) biskupa poznańskiego, zastępującego królowę, w dzień rocznicy ocalenia Wiednia."

Po śmierci króla Jana III i wyjeździe Maryi Kazimiry królowéj wdowy, Marywil nabyła Józefa Antonina z Zahorowskich Ordynatowa Zamoyska, wiele nowych budowli w nim wzniosła i osadziła tu w roku 1744 kapitułę dam świeckich, pod tytułem *Kanoniczek od Niepokalanego Poczęcia*, na wzór podobnego Zgromadzenia w Remiremont w Lotaryngii, a sejm zatwierdził tę jedyną u nas w kraju fundacyę.

Zamiarem założycielki było, ażeby zacnie urodzone niewiasty, osierocone z rodzinnéj opieki, nie zawierając dla siebie drogi do odpowiedniego małżeństwa, mogły miéć schronienie do bogobojnego i prawdziwie chrześciańskiego życia.

Jedna *ksieni* dożywotnia za mąż wyjść nie mogła; liczba Kanoniczek dochodziła do jedenastu, każda musiała się wywodzić ze szlachectwa po ojcu i po matce do trzech pokoleń. Panien drugiego rzędu także szlacheckiego urodzenia, ośm było. Inauguracya piérwszéj ksieni Zofii Gałeckiéj wojewodzianki podolskiéj, nastąpiła w rocznicę zaprowadzenia téj kapituły dnia 2 maja 1745 roku. Kanoniczki nosiły order *Niepokalanego Poczęcia;* używały dwojakiego stroju: jeden kościelny, a drugi światowy podług mody panującéj. W czasie sejmów w Warszawie, przez ciąg trwania każdego, odbywało się w Marywilu w kościele Panien Kanoniczek nabożeństwo, na które tak posłowie jak senatorowie zjeżdżali tłumnie.

W zabudowaniach Marywilu już od czasów Stanisława Augusta mieściły się kawiarnie i traktyernie, a nawet małe szulernie, gdzie się dworzanie magnatów polskich i szlachta wiejska mniéj zamożna zgry-

---

[1]) Następnie przeniosły się na podwórza pałacu Radziwiłłowskiego, późniéj Paca na Miodowéj ulicy.

wała. Grywano najzwykléj tu w ulubionego maryasza do puli; słynął téż maryasz szlifowany, na cześć którego bajkę napisał F. D. Kniaznin, grając w niego w Marywilu [1]).

Wszedłszy na obszerne podwórza po lewéj stronie od ulicy Senatorskiéj, wznosił się do niéj frontem pałac do rodziny Pociejów należący. Pamiętam pod arkadami nizkiemi ciągnący się długi szereg sklepików, w których dawniéj mieścił się cały handel żydów warszawskich, sprzedających rozmaite stare sprzęty, żelaztwo i wszelkiego rodzaju tandetę. Na piętrze były mieszkania. Kiedy ztąd ich usunięto na ulice Królewską i Marszałkowską, przenieśli oni wraz z sobą i tu nazwę Pociejowa; wyraz ten bowiem dał powód do przysłowia ludu warszawskiego: „pociejowska robota," którém oznacza lichą, niezdarną i nietrwałą robotę rzemieślniczą. Tak imie znakomitéj rodziny litewskiéj przywiązało się na zawsze do tandetnego handlu żydów warszawskich, którzy gdziekolwiek z nim się obrocą, nazwę Pociejowa przenoszą [2]).

Poza murami Marywilu szła ulica Wierzbowa, a po drugiéj jéj stronie rozciągały się obszerne place należące do księży Reformatów, na których właśnie zaczęli wznosić okazałe domy Ludwik Adam *Dmuszewski*, aktor teatru narodowego, i *Petyskus* utrzymujący kantor loteryi.

Dmuszewski miał maleńką kamieniczkę na Przyrynku wprost kościoła Panny Maryi, tę puścił na loteryę i szczęśliwie sam wygrał. Zaraz potém od Brunona hr. Kicińskiego za tysiąc dukatów kupił „Kuryera Warszawskiego" i wziąwszy od Reformatów za czynszową opłatą grunt potrzebny, wybudował stojącą kamienicę, w któréj pomieścił drukarnię Kuryera i redakcyę tego pisemka. Niesłusznie przeto i mylnie L. A. Dmuszewskiego ogłaszano za twórcę „Kuryera", kiedy piérwszym założycielem był Bruno hr. Kiciński, któremu rozwój naszéj prassy peryodycznéj wiele zawdzięcza. Dmuszewski w małym na dole pokoiku przebywał godziny oznaczone w redakcyi, a siedząc przy kantorku, brał do rąk zagraniczne gazety jak mu je podano i z nich bez żadnego ładu i porządku, co mu się zdało najciekawszego, do druku wybierał. Pokoik ten był zapchany rupieciami rozmaitego rodzaju, a na przymurku leżała kupa pięciogroszówek grubo kurzem pokryta, które chował dla ubogich. Najważniejszą ozdobą był tu parawan szklany o kilku skrzydłach z nalepionemi por-

---

[1]) Znany ze znakomitego talentu M. Andriolli w „Kłosach" r. b. przypomniał nam dawnego maryasza, w kompozycyi wielce udatnéj, przedstawiającéj dwoje sędziwych małżonków, grających w niego, w chwili gdy mąż pyta żony: „Masz pamfila?"

[2]) Główny teraz handel żydowski tandety i starych rupieci przeniesiony został w pobliżu Grzybowa i nosi jak dawniéj nazwę *Pociejowa*.

tretami rozmaitych znakomitości krajowych, obejmujący zbiór wielce szacowny. Dmuszewski jeżeli nie stworzył Kuryera Warszawskiego, to zręcznie umiał go rozpowszechnić do tego stopnia, że za jego staraniem lud warszawski, przekupki, tragarze i służba domowa zaczęła go czytywać.

Wprost jednéj z bram Marywilu, na przeciwnéj stronie placu, wznosi się skromny kościół Św. Andrzeja; w nim pierwszym proboszczem był znany dobrze w literaturze polskiéj Karol Wyrwicz, towarzysz uczonych obiadów czwartkowych w zamku królewskim. Przy burzeniu Marywilu, kościół ten z klasztorem oddany został Pannom Kanoniczkom. Dom go tylko jeden rozdzielał od ratusza, do którego po rozebraniu w rynku Starego-Miasta dawnego ratusza, jeszcze z czasów udzielnych książąt mazowieckich, przeniesiono magistrat warszawski. Pierwotnie był to pałac książąt Jabłonowskich, który stawiał słynny budowniczy *Merlini*. Rząd Królestwa Polskiego nabył go od Antoniego księcia Jabłonowskiego kasztelana krakowskiego w r. 1817 i odpowiednio do potrzeb magistratu urządził.

Sale obszerne i wspaniałe zdobiły obrazy historyczne, z tych zapamiętałem, w całéj postaci Stanisława i Janusza ostatnich książąt mazowieckich, co spoczywają u *Fary* i ich siostry Anny na jednem płótnie. Obraz ten tém większéj ceny, że jest współcześnie malowany. W wielkiéj liczbie portretów, odznaczały się króla Stanisława Augusta, księcia Józefa Poniatowskiego, Stanisława Małachowskiego, (co ma wspaniały grobowiec w katedrze warszawskiéj); Hugo Kołłątaja, Ignacego i Stanisława Potockich, i prezydentów Warszawy: Jana Dekerta, Ignacego Wyssogoty Zakrzewskiego, kochanka ludu warszawskiego, Karola Wojdy. Między temi zwracał uwagę portret Franciszka Bielińskiego marszałka wielkiego koronnego, który w kronice Warszawy nie jedno wspomnienie zajmuje, albowiem miasto nasze w uporządkowaniu swojém wiele mu zawdzięcza. Liczne wspomnienia o nim w żywém jeszcze podaniu w ustach się Warszawian przechowały. Był to pan surowy, ale rozumny i sprawiedliwy. Pomiędzy wielu wypadkami opowiadanemi wówczas, jeden przypominam sobie.

Na *Nowym-Świecie* mieszkał w drewnianym swoim domku rzeźnik, który przy własnym ogrodzie wypasał liczną trzodę chlewną, rzezał, i w mieście sprzedawał tak słoninę jak wędliny wybornie przyrządzone, dla czego miał odbyt wielki i grube zbierał grosiwo.

Nieznano wówczas papiérowych pieniędzy, tylko w obiegu była srebrna i złota moneta. Rzeźnik co zebrał w każdą sobotę, przeliczał w swojéj sypialnéj izbie, i dwu, czterozłotówki i grubsze sztuki srebrne do worków wsypywał.

W tym samym dworku, ponad tą izbą w facyatce, zamieszkał *palestrant*, który oskarżył swego gospodarza, że mu ukradł pieniądze, które przechowywał w workach; podał nietylko ich liczbę ale szczegółowo w swéj skardze wymienił, wiele w którym było pieniędzy

i w jakim gatunku. Skarga ta przyszła do marszałka Bielińskiego, który kazał zrobić u rzeźnika *rewizyą*, i z wielkiém podziwieniem wszystkie worki wymienione przez palestranta znaleziono z taką, jaką podał, monetą. Znano rzeźnika z uczciwości, oddany wyłącznie swemu rzemiosłu, pracował usilnie, był dobrym mężem i ojcem, krewniaków wspierał, dla biédnych był litościwy, codzień modlił się w kościele Dominikanów *Obserwantów* w pobliżu ś-go Krzyża [1]), a pomimo to, skarga palestranta ciążyła nad nim hańbiąco.

Bieliński, ściągnąwszy potrzebne wiadomości tak o rzeźniku, jak i palestrancie, w dawnym ratuszu na *Starém-Mieście* w obec prezydenta miasta i ławników miał tę sprawę osądzić. Co żyło w Warszawie, a dostać się mogło do sali ratuszowéj, wszystko się zbiegło na sąd marszałka wielkiego.

Obwiniony rzeźnik, zgnębiony, nie śmiał oczu podnieść; żona jego i dzieci przytulone w kąciku zalewały się gorzkiemi łzami, tłumiąc swe jęki bolesne. Z miną tryumfującą stał razem z nim przed kratkami palestrant.

Wszystkich zebranych w sali zdziwił duży ogień na kominie wielkim rozniecony, a nad nim stojący ogromny na trójnogach kocieł pełen wody wrzącéj.

Wszedł Bieliński, wszyscy powstali i głęboki mu ukłon oddali. Worki, o które spór szedł, pełne srebra leżały na stole. Wtedy marszałek rozkazał każdy worek wraz z monetą rzucać w kocieł już gotującéj się wody. Po krótkiéj chwili, na jéj powierzchni ukazywać się zaczęły kółka coraz gęściéj tłuszczu. Bieliński kazawszy się prezydentowi i ławnikom o tém przekonać, przywołał przed siebie rzeźnika i palestranta.

— Pokażcie ręce swoje—wyrzekł.

Rzeźnika dłonie duże, grube, spracowane, ale całe zatłuszczone; palestranta drobne, chude, białe, tylko atramentem nieco powalane.

— Kłamliwą skargę—zawołał donośnym głosem, zwrócony do palestranta — podałaś i oszkalowałeś poczciwego człowieka, który nie pomyślał nigdy o krzywdzie bliźniego. Gdyby to były twoje worki i pieniądze, śladu tłuszczu nie widzielibyśmy wcale. To jest własność krwawo zapracowana rzeźnika, a ciebie łotrze słuszna kara za oszczerstwo spotkać musi. Tyś to w pułapie ponad mieszkaniem swego gospodarza wywiercił otwór, i przez niego policzyłeś worki, gatunek pieniędzy i dokładnie spisałeś. Okuć go w kajdany i do *wieży* zawieść, a waści panie majstrze (mówił zwróciwszy się do rzeźnika) podaję rękę moją do uścisku i ogłaszam waszą niewinność. Byłeś i jesteś poczciwym człowiekiem i obywatelem Warszawy.

---

[1]) Na jego miejscu wzniesiono dom byłego Towarzystwa przyjaciół nauk.

Rzeźnik padł na kolana przed Bielińskim, a pochwyciwszy rękę podaną z rzewnym płaczem gorąco ją pocałował. Lud wzniósł radosne okrzyki na cześć marszałka i rzeźnika, którego gromadnie do dworku jego odprowadził; palestranta trzeba było otoczyć silną strażą, bo go chciano żywcem rozszarpać.

Wracamy do nowego ratusza, w którego salonach odbywały się bale na rzecz Towarzystwa dobroczynności. Byłem na kilku, a obrazy wspaniałe, jakie się przewijały przed oczyma mojemi, głęboko wyryte zostały w pamięci. Najdobrańsze towarzystwo, nietylko Warwy ale i z całego kraju zgromadzało się na te zabawy. Wszystkie stany łączyły się z sobą w jeden zgodny wieniec. Panie najwyższych rodów, jak i obywatelki miejskie i wiejskie, odbijały cudnym urokiem wdzięków, boć to nie nowina, że zarówno ziemianki polskie jak i warszawianki, słynęły od dawna z piękności czarującego powabu. Rej tu wiodły wysokiego wzrostu (jaki jest już rzadki pomiędzy naszemi niewiastami), a otoczone jakby aureolą poezyi Ordynatowa Zamoyska, księżna Wirtemberska (z Czartoryskich), Chodkiewiczowa z młodziutką córką Zofią i wiele innych. Nie ustępowały im ani w urodzie ani w powabie, obywatelki z dworów wiejskich jak i warszawianki.

Wzrostowi kobiét odpowiadała płeć męzka dziarska i pełna życia, czy to we fraku czy w mundurze.

Z tańców szczególnie po *polonezie* zwracał uwagę zgromadzonych *mazur*, tańczony zupełnie inaczéj niż dzisiaj. Cały charakter tego pięknego tańca troskliwie był zachowany.

Każda para w żwawym poskoku wybiegała z miejsca na środek sali, ale tancerz tak wiódł swą towarzyszkę, że ona przodować zdawała się w tańcu, a mężczyzna podążał za nią jako jej rycerz i obrońca. Kiedy stanęli w środku par drugich, tancerka obiegała go wkoło, a on stojąc w miejscu, bijąc hołubca, spoglądał z zachwytem na swą druchnę, chwytał w swoje objęcia, poczém okręcali się wkoło i wracali na miejsce. Tak po przetańczeniu pojedyńczo rozpoczynano *figury*, w których udział brała każda para po kolei. Tańczono zwykle po ośm par i tworzono w każdéj sali po kilka kół.

I *kontredans* był w te czasy prawdziwym tańcem, w którym kobiéta cały urok wdzięku ukazać mogła, a tancerz dziarskość w *wycinaniu piruetów* i *entrsza* w wysokich podskokach.

Jak polonez rozpoczynał bal, tąk brzmiał zawsze przed kolacyą, do któréj przechodzono tym tańcem. Serdeczna ochota, swoboda i radość szczera upromieniała każde oblicze, zarówno młodzieży, jak starszego wieku, sędziwych ojców i matron. Brzask dnia, który zaczął przytłumiać jarzące światło w salach ratuszowych, bywał dopiéro hasłem do opuszczenia gmachu ratusza, w którym nie jedno młode serce żywiéj zabiło, a wspomnienie każdego w nim zebrania, żywe

i niczem nie zatarte pozostawiało wrażenie w pamięci każdego, który był uczęstnikiem tych prawdziwych godów zapustnych.

W ratuszu mieściła się *straż* piesza i konna; nosiła niebieskie mundury i broń kalibrową. Nie znam powodu, dlaczego była pośmiewiskiem ludu warszawskiego, który piechurów z niéj głównie, zwał powszechnie *salcesonami*. Nazwa ta powstała z tego powodu, że jeden z nich tłustéj rzeźniczce *zwędził* cały salceson i z nim począł uciekać. Właścicielka zerwała się z za stołu swego za szkodnikiem, ale zaledwie ubiegła kilkadziesiąt kroków, już daléj podążać nie mogła, wołając tylko *salceson! salceson!*

Schwytany na gorącym uczynku winowajca, stawiony przed sądem. W krótce téż nadeszła zadyszana rzeźniczka, ale nic więcéj mówić nie potrafiła, jak tylko wskazując na owego milicyanta, wołała:
— Salceson! Salceson!

I nazwa ta pozostała aż do końca 1830 roku.

Obok ratusza pałac *Blanka* (pod n. 461). Piotr Blank był głośnym bankierem warszawskim za panowania Stanisława Augusta, i nabył tę posiadłość od Mikorskiego podkomorzego gostyńskiego. Nic w nim nie zmienił ani przydał, a pałacyk ten z małém podwórkiem jego nazwisko przywiązał aż po dziś dzień do swoich murów.

Tak były ratusz jak prawe skrzydło tego pałacyku wychodzą na ulicę *Daniłowiczowską*. Okrąża ona prawie w półkole mury ratuszowe, bo zaczyna się z Senatorskiéj a dochodzi do Bielańskiéj ulicy. Nazwę swą wzięła od Jana Mikołaja Daniłowicza podskarbiego wielkiego koronnego, który od mieszczan warszawskich zakupiwszy domy i ogrody, wystawił w roku 1621 ogromny pałac, a przy nim założył okazały ogród. Kiedy Karol Gustaw opanował Warszawę, spalił go jak i wiele innych gmachów stojących za warownemi murami naszego miasta, i wtedy poszedł w ruinę. Po Daniłowiczu odziedziczywszy w spadku Izabella Opalińska małżonka Łukasza marszałka nadwornego, darowała go Jezuitom za Jana Kazimierza, w kilka lat po wojnie szwedzkiéj. Gospodarny zakon, pałac wyrestaurowawszy wypuszczał go w dzierżawę, a po śmierci króla Jana III, sami się wprowadzili i *rezydencyę* w nim swoją założyli. Następnie sprzedali Teodorowi Potockiemu, który im kaplicę na *Senatorskiéj* ulicy wystawił (dzisiejszy kościołek ś-go Andrzeja, Kanoniczek). Następnie odstąpił go Andrzejowi Kostce Załuskiemu biskupowi płockiemu, kanclerzowi wielkiemu koronnemu. Ten pałac z gruntu przebudował i w r. 1742 umieścił w nim sławną swoją bibliotekę, która pomnożona przez brata jego Józefa i na rzecz narodu ofiarowaną została. Odtąd tak gmach jak i miejscowość cała *Biblioteki Załuskich* nazwę przybrała. Gmach ten spalony w r. 1807, w dziesięć lat późniéj sprzedany, nabył szambelan króla Stanisława Augusta Nowakowski i zabrał się do jego restauracyi. Znałem pana szambelana osobiście i widziałem z jaką gorli-

wością zabrał się do tego dzieła, poszukując skwapliwie wszelkich pamiątek, jakie w tym domu po Załuskich pozostały. Jego staraniem wydobyto z ruin popiersia kamienne królów polskich, zdobiące niegdyś sale wielkiéj biblioteki, które ocalone przez niego, dotąd się przechowały osadzone w murze podwórzowym.

Ulica *Daniłowiczowska* wychodzi na Bielańską, zkąd wziąwszy się na lewo wychodzimy znowu na Senatorską ulicę, ciągnącą się do placu bankowego. Na niéj wydatniał tylko mały kościołek księży Reformatów, zbudowany i otwarty dla pobożnych w roku 1679. W ogrodzie klasztornym był domek, gdzie król Jan Sobieski w *wielki tydzień* odbywał *rekolekcye*. Wiadomo, jak dzielny ten wojownik i wódz był pobożnym, jak przed każdą walną bitwą gorąco się modlił, czyto w przeddzień odniesionego zwycięztwa 1673 r. w dzień ś. Marcina nad Turkami pod *Chocimem*, uwiecznionego pieśnią historyczną z owych czasów, a które dało mu koronę; czy w dziesięć lat później, gdy oswobodził od oblężenia Wiedeń, i rozbił potęgę Muzułmanów, co zagrażała całéj Europie. Kiedy córkę swoją jedynaczkę wydawał za mąż, ofiarował jéj jako najdroższą od siebie pamiątkę wizerunek Matki Boskiéj i do tego dołączył tkliwy i rzewny wiersz polski z błogosławieństwem ojcowskiém.

Obok tego kościoła jest pałac zwany *Błękitnym*, własność Ordynacyi Zamoyskich. Wzniósł go August II w ciągu sześciu miesięcy dla córki swéj naturalnéj Orzelskiéj, którą szczególniéj miłował. Z jego rozkazu trzystu robotników dziennie i tyleż nocą przy świetle pochodni pracowało, jak opisuje *Erndtel* naoczny świadek, ażeby w danym okresie czasu przez tego króla gmach był wykończony. Równocześnie został wewnątrz i zewnątrz wspaniale przyozdobiony. Lud warszawski utrzymywał, że istnieje podziemny korytarz, który pałac ten łączył z pałacem *Saskim* wygodném i tajemném przejściem. Nazwę *Błękitnego* otrzymał od koloru jakim były pociągnięte jego ściany od podwórza i ulicy.

Z przeciwnéj strony wprost kościoła Reformatów, cała połać téj ulicy składała się z małych domków, i dopiéro zwracał uwagę większy gmach zwany *pałacem Mniszkowskim* (gdzie resursa kupiecka pod n. 471 litera b.), który wewnętrznym rozkładem i obszernością sal i pokoi przypomina dawne magnatów polskich mieszkania.

Od strony niedawno wzniesionego Banku Polskiego i ulicy *Rymarskiéj* oddzielały go wysokie wały ziemne, które pozostały jako zabytek strasznéj zarazy morowéj, co wymordowała większą połowę mieszkańców Warszawy (r. 1712). Wtedy, jak mi opowiadano, okopywano oddzielne części miasta dla przecięcia grasującéj zarazy. Żyli

jeszcze starcy, co przeżywszy w dziecięcych latach tę klęskę, pamiętali jak powstały te usypiska.

Wprost *Senatorskiéj* idzie ulica *Elektoralna*, która swą nazwę otrzymała za Stanisława Augusta z tego powodu, że prowadziła na równinę wsi *Woli*, gdzie było pole elekcyi królów polskich od zgonu Zygmunta Augusta a kończąc na Poniatowskim. Z oficyną pałacu Ordynatów Zamoyskich i częścią ogrodu *Saskiego* biegnie ulica *Żabia*. Widać z samego jéj nazwiska, jaka to była część miasta nie ludna i błotna. Jakoż *Antoni Magier* (zmarły 1837 r.) pisze w swoich wspomnieniach, że sam na błotach téj miejscowości widział gromady żab i skrzeczenie ich słyszał.

Z niéj wychodzi się na plac za *Żelazną bramą*, tak zwany, że z niego przez żelazną bramę wchodziło się do Saskiego ogrodu. Na tym obszernym placu zwracał uwagę wielki gmach z filarami, własność Izydora hr. Krasińskiego, poza którym stoją *Koszary Mirowskie* (pod n. 934), wychodzące na ulicę *Zimną i Chłodną*. Ogromną przestrzeń zajmując, zbudowane zostały za Augusta II w r. 1732, i przeznaczone dla gwardyi koronnéj. Nazwę swą otrzymały od sławnego generała *Mira* dowódzcy tego *regimentu*, który téż imię jego przyjął i odznaczył się świetnie w ostatnich latach panowania Stanisława Augusta. Są to pierwsze stałe koszary w Warszawie.

Przez ulicę *Graniczną*, która łączy się z *Królewską* wychodzimy na *plac Grzybowski*, w środku którego stał za mojéj pamięci mały murowany *ratusz*, otoczony licznemi drewnianemi domkami; rzadko gdzie ujrzałeś skromną kamieniczkę. Część ta stanowiła oddzielne miasteczko, założone przez *Jana Grzybowskiego* starostę warszawskiego w r. 1650; w ostatnich dopiéro latach zeszłego stulecia, bo w r. 1794 wcieloném zostało do Warszawy, zachowując starą założyciela swego nazwę w ulicy i placu.

Odtąd ratusz tutejszy służył na więzienie za długi i dał powód groźnemu przysłowiu pomiędzy ludem naszego miasta na niesłownych lub nierzetelnych, że:

„*Pójdziesz na Grzybów*“.
albo
„*Wsadzę cię na Grzybów*“.

które dziś już mało dla nieświadomych miejscowości zrozumiałe.

Od tego placu we wszystkich kierunkach biegnące ulice, przypominały małe liche miasteczka, zabudowane zrzadka drewnianemi domkami i dworkami, ale każdy już z mniejszym już z większym ogrodem. Ta téż strona Warszawy miała ich prawie największą liczbę, które dostarczały obficie wszelkiego gatunku wybornych jarzyn i doskonałych owoców.

XIV.

Ogród i pałac saski.—Król August II Mocny.—Fatyma turczynka i jéj syn hr. Rutowski.—Księżna Lubomirska.—Karuzel.—Zdradzone uczucie.—Hrabina Kosel.—Henryk Duval.—Anna Orzelska.—Altana w ogrodzie.—Rozrywka łowiecka króla Augusta III. — Posąg konny księcia Józefa Poniatowskiego.—Plac saski. — Parady wojskowe.— Śmierć generała Sokolnickiego.— Krytyka tragedyi Ludgarda.— Pałac Brylowski.—Odwach Pod Białym Orłem. — Przysłowia.—Hotel Gerlacha.—Cukiernia Szymańskiego.—Cukiernia Lesla w ogrodzie saskim.—Pałac hr. Krasińskich.—Zebrania literackie.—A. E. Odyniec.—Zygmunt Krasiński.—Dominik Magnuszewski.—Konstanty Gaszyński.—Widzenie Zygmunta Krasińskiego.—Franciszka Krasińska, synowa króla Augusta III.—Zbrojownia.—Ogrody Misyonarzy.—Pałac Tarnowskich.—Pałac Stanisława hr. Potockiego.

Pałac *błękitny* Ordynacyi Zamoyskich łewém swojém skrzydłem łączy się z ogrodem Saskim od ulicy Żabiéj; sam ogród zamykał pałac saski zwrócony frontem do Krakowskiego Przedmieścia, z obszernym placem, który tęż samą nazwę nosi. Miejscowości téj piérwotnie w XVII wieku inną zupełnie była postać.

Pałac saski stanął na gruzach kilku starych gmachów własności Morsztynów, Sapiehów i Lubomirskich, gdzie zaś ogród dzisiejszy, przechodziły tu ulice, stały pałacyki, dwory i dworki, a wśród nich kościół OO. Bonifratrów.

Król August Mocny poskupował to wszystko; Bonifratrów przeniósł na teraźniejsze miejsce i na tak wielkiéj przestrzeni zbudował sobie pałac i obszerny ogród założył (od 1721—1724). Lipy, jakie się dotąd w nim przechowały, są sadzone przez tego króla.

Od ulicy Żabiéj była wielka brama żelazna, a na szerokich słupach przy niéj, wznosiły się z kamienia olbrzymie korony: elektoralna-saska i królewska-polska (brama ta zniesioną została w r. 1821). Według smaku ówczesnego zasadzono szpalery, urządzono wirydarze kwiatowe i przy załamach alei drzew postawiono figury kamienne z mitologii wzięte, lub alegoryczne; z tych część do dziś dnia pozostała. August II urządziwszy według swego gustu, a ze zwykłym przepychem ten pałac, zamieszkiwał w nim z niemałą przyjemnością: w nim téż jako i w ogrodzie odegrywały się dramaty zajmujące, wśród hulackiego życia tego króla. Tu przebywała młoda Fatyma turczynka równie piękna jak powabna, wzięta do niewoli za czasów króla Sobieskiego, a wychowana u Przebendowskiéj podskarbinéj wiel. koronnéj. Syn z niéj otrzymał tytuł hr. Rutowskiego, a Fatymę August wydał za Szpigla pułkownika w wojsku saskiém.

Poznawszy młodą i piękną księżnę Lubomirską, rozgorzał do niéj gwałtowną miłością. Była to synowica kardynała Radziejowskiego, a małżonka podskarbiego koronnego. Dla niéj sprowadził aktorów francuzkich, urządził z przepychem teatr w ogrodzie Saskim,

sprowadził też kapelę swoję nadworną z Drezna. Codzień bywały bale, karuzele i przejażdżki nad Wisłą. Ale księżna przyjmując tak zalotne usługi i zabawy, nie odpłacała się wzajemnością. August nazwyczajony do łatwych zwycięztw, taił gniew i codzień się więcéj niecierpliwił; księżna była nieugiętą.

Przypadek odkrył mu jéj miłość, pozorną obojętnością okrytą. Król w karuzelach i gonitwie do pierścienia był pierwszym; w ogrodzie Saskim urządzono po temu plac odpowiedni. Sprowadzono właśnie z Turcyi dzikie i nieujeżdżone konie. August kazał sobie podać jednego, na drugiego wsiadł Fichtom (zwany także Ficztum) poufały dworzanin i biegli w całym pędzie ku sobie. Król nagle wstrzymał swego rumaka i spadł z siodła; na ten widok księżna zemdlała, a gdy August krwią własną zlany przybiega do niéj i trzeźwi, piérwsze słowa, które wyrzekła, przyszedłszy do przytomności były:

— Ach! Miłościwy panie, żyjesz i oglądam cię przecie!

One zdradziły tajone w głębi serca uczucie i odtąd już stała się wierną towarzyszką dorodnego króla. Przemieszkiwała najprzód w pałacu saskim, następnie z nim wyjechała do Drezna i tu stale osiadła pod imieniem księżnéj Teschen. Wkrótce jednakże niestały w swych uczuciach, opuścił ją dla pięknéj małżonki hrabiego Hoyma, która późniéj zasłynęła jako *hrabina Kosel*. Wdzięki jéj i powaby tak potężnie wpłynęły na lekkomyślnego Augusta, że go do siebie na lat kilka przykuła nierozerwanemi ogniwami i jak współczesny rękopism wyraża: „Cała Polska i Saxonia były przez lat 9 pod jéj stopami“ [1]).

Długo się o jéj względy starał nadaremnie i nie pierwéj przystała na jego żądania, jak pod warunkami, że po śmierci królowéj pojmie ją za małżonkę, sto tysięcy talarów rocznéj pensyi przeznaczy i potomstwo za prawne uzna.

Przystał August na wszystko i dokumenta dla pewności z własnoręcznym podpisem wydał. Konsystorz gnieznieński osądził sprawę Hoymów, rozwiązał ich małżeństwo, a król zatwierdziwszy ten wyrok, kazał poprzybijać takowy na drzwiach kościelnych w Warszawie.

Hrabina Kosel za Augustem przybyła do naszego grodu i zamieszkała w saskim pałacu; tu odebrała cios dotkliwy dla siebie, bo dowody niewierności Augusta, który zakochał się w córce kupca francuzkiego handlującego winem.

Była to piękna, młoda i powabna Henryka Duval i ta natarczywości króla oprzéć się nie mogła; ale wkrótce jak i o wielu innych, i o niéj zapomniał.

---

[1]) Z życia i przygód a oraz niedoli téj znakomitéj kobiéty napisał J. I. Kraszewski piękną historyczną powieść: *Hrabina Kosel*, ktorą redakcya Biblioteki Warszawskiéj wydała w 2-ch t. (Warszawa, 1874 r.).

Wiele lat upłynęło od téj chwili: syna swego z Fatymy hrabiego Rutowskiego mianował dowódzcą regimentu jazdy; ten się dowiedział, że córka Henryki w ostatniéj nędzy pozostaje, przez litość przeto wziął ją do siebie i starannie wychował.

Raz, kiedy po przeglądzie tego regimentu, August przechadzał się po ogrodzie Saskim, oświadczył mu Rutowski, że ma u siebie młode dziewczę, które tak jest biegłe w robieniu bronią jak najstarszy żołnierz. Król chciał je widzieć. Przybrana w bogato haftowany mundur, piękna, młoda, wielce podobna do swéj matki Anna, stanęła i zaczęła się na komendę brata swego, z całą dokładnością zręcznie musztrować.

August poznał ją odrazu, uściskał, przyjął za własną córkę, obsypał bogactwy, wystawił dla niéj pałac *Błękitny* przy ogrodzie Saskim i wydał ją następnie za niemieckie książątko [1]).

W archiwum głównem Królestwa, w aktach metryki koronnéj znajdujemy dokument darowizny pomienionego pałacu, który przytaczamy w wiernym z łacińskiego przekładzie: „August II z Bożéj łaski król polski, wielki książe litewski, ruski, pruski, mazowiecki, żmudzki, kijowski, wołyński, podolski, inflandzki, smoleński, siewierski i czernichowski, niemniéj dziedziczny książe saski i elektor. Oznajmujemy tym listem naszym wszem wobec i każdemu z osobna, że my powodowani ze szczególnéj miłości ojcowskiéj naszéj, ku ukochanéj córce naszéj Annie hrabinie Orzelskiéj, chcąc dopomódz jéj wygodzie i pożytkowi, postanowiliśmy, aby tejże pałac w Warszawie blizko Reformatów leżący, nam przez W. Stefana i Teressę Potocką, przedtém referendarzów, obecnie marszałków dworu naszego, przed aktami metryki koronnéj, prawem dziedzicznem, czystéj i nieodwołalnéj darowizny, na wieczne czasy dany i odstąpiony, darujemy i obecnie dyplomem naszym, wspomniony pałac wraz z gruntem dla rozszerzenia ogrodu i pozostałych budowli do wspomnionego pałacu Potockich przez nas połączonych, jak teraz w swéj rozciągłości są i od ogrodu pałacu naszego *Morsztynowski* zwanego, murem i ogrodzeniem oddzielonego, niemniéj ze wszelkiemi ruchomościami do ozdoby tegoż pałacu przez nas kupionemi i wyszukanemi, wraz z złotem i srebrem, do ozdoby i użytku stołu tamże złożonym, i ze wszelkiemi rzeczami zupełnie osobnym spisem objętemi i do akt metryki koronnéj wniesionym, wspomnionéj ukochanéj córce naszéj, Annie hrabinie Orzelskiéj i jéj sukcesorom dajemy, darujemy i rezygnujemy na wieczne czasy, żadnego sobie ani potomkom naszym, ani komukolwiek prawa własności niezachowując, ale całe i nierozdzielne prawo nasze dziedziczne, niedawno

---

[1]) W galeryi króla Stanisława Augusta był portret olejny, przedstawiający Annę tak przebraną. Obraz ten nabył z kilką innemi Tomasz Święcki, po którego zgonie jest w mojém posiadaniu.

przez konstytucyę na sejmie w Grodnie odbywanym, potwierdzone i umocnione, na tęż hrabinę Orzelską przenosimy i przelewamy, dając jéj moc, sam pałac jako i wszystkie rzeczy ruchome, darować, sprzedać i nim rozrządzać, lub na jakikolwiek użytek obrócić bez czyjéjkolwiek przeszkody, na któréj wprowadzenie odtąd rzeczywiście do tego pałacu zezwalamy i tenże wspomnionéj hrabinie Orzelskiéj na rzeczywistą własność oddajemy. Dla wiarogodności czego, dyplom obecny własnoręcznie podpisany, pieczęcią królewską opatrzyć rozkazaliśmy. Dan w Grodnie 21 listopada 1726 roku, panowania naszego trzydziestego."

Anna Orzelska poślubiwszy Karola Ludwika księcią holsztyńskiego, pałac ten wraz ze wszystkiemi ruchomościami w roku 1730, w dniu 7 listopada odstąpiła królowi Augustowi Mocnemu a ojcu swemu, czego dowód w témże archiwum posiadamy. Tak więc nie całe lat cztery była właścicielką Błękitnego pałacu.

Prawie w samym środku tego ogrodu stała obszerna z drzewa zbudowana altana, którą dobrze zapamiętałem. Tu syn Augusta Mocnego, August III używał przyjemnéj dla siebie rozrywki, strzelając do psów zgromadzonych dla niego umyślnie. Król ten, gdy przebywał w Warszawie, najmilszéj używał przechadzki w ogrodzie Saskim w wiosennéj i letniéj porze, a wieczory trawił na słuchaniu opery niemieckiéj. I ogród ten i pałac był własnością rodziny elektorów saskich do roku 1804, w którym król pruski po zajęciu Warszawy, sposobem zamiany, nabył go na własność rządową.

W czasach księztwa warszawskiego ogród Saski mało uczęszczany, i jak już wspomnieliśmy, ogród Krasiński był wyłącznie poświęconém miejscem na zgromadzanie całego świata eleganckiego Warszawy, jak plac przed nim na wszelkie uroczystości rządowe i narodowe. Od roku 1815 powoli zaczął brać przewagę ogród Saski, gdy miasto więcéj się zabudowało i rozszerzyło. Ogród jakkolwiek niewykwintnie urządzony, bo przez lat kilka dopiéro się uporządkował, ale dawał najmilszą przechadzkę dla mieszkańców Warszawy. Stare drzewa, cienisty zielony namiot rozwieszały nad głowami, bujne łąki szczególniéj przy koszeniu woń ziół aromatycznych roznosiły w około; rosa poranna lub wieczorna w gęstych kroplach perliła trawniki, a mnóstwo ptastwa świergotało przy cudnym koncercie nieprzeliczonych słowików. Dla warszawianina ze Starego-Miasta, z Krakowskiego Przedmieścia i przybocznych ulic, przechadzka do Saskiego ogrodu już liczyła się do odleglejszych wycieczek; ale trud jego hojnie się wynagradzał oddechem w świeżém prawdziwie powietrzu i balsamiczną wonią, tak pierś ożywiającą.

Kiedy ze składek ogółu *Thorwaldsen* wykończył posąg konny księcia Józefa Poniatowskiego w stroju klassycznym rzymskim, przeznaczonym był pierwotnie do ustawienia na *placu Krasińskim;* teraz obmyślono czy niestosowniéj byłoby przenieść go na plac *Saski*, jako obszerniejszy i w środku miasta będący; ale oba te zamiary spełzły na

niczem [1]). Od pomienionego roku, *parady* wojskowe odbywały się codziennie na tym placu rozległym, przez co cała okolica bliższa nadzwyczaj się ożywiała.

Na tym placu zginął w dniu 23 września 1816 roku jeden z najznakomitszych generałów i pisarzy *Michał Sokolnicki* (urodzony 1760 r. w województwie poznańskiém za Augusta III). Stojąc w czasie parady w gronie oficerów, uderzony od rozbiegłego i rozhukanego konia ułana polskiego na służbie będącego, padł bez zmysłów i nazajutrz życia dokonał, licząc 56 rok. Wychowaniec slynnéj *Szkoły Kadetów* w Warszawie, jako oficer korpusu inżynierów, w stopniu kapitana, był w Wilnie professorem topografii wojskowéj. Po odbytéj podróży do Niemiec, Włoch i Francyi, odbył w stopniu podpułkownika kampanię w roku 1792. Rytownik i sztycharz nie pośledni, wiele prac w tym rodzaju zostawił. Pomiędzy innemi, portret prezydenta Stanów-Zjednoczonych Ameryki, z natury rysowany przez Tadeusza Kościuszkę, Sokolnicki na stali wyrytował w roku 1809. Sztych ten w niewielkiéj liczbie odbity do rzadkości należy. Długo przemieszkiwał w Paryżu, po usunięciu się ze służby generała Kniaziewicza, poprowadził *Legion Naddunajski* do Włoch. W kampaniach roku 1806 i 1809 brał czynny i przeważny udział. Szczególniéj w ostatniéj się znakomicie odznaczył. Onto ułożył cały plan, walki z Austryakami, uwieńczony tak chlubną pomyślnością. Warowny Sandomierz zdobył, bronił go dzielnie, a gdy dla braku amunicyi i żywności poddać go musiał, wyszedł pod bronią z cała załogą i rozwiniętemi chorągwiami. Sława z téj kampanii spadła na księcia Józefa Poniatowskiego, zasługa przecież cała zostaje po stronie Sokolnickiego, bo historya musi prawdę szanować i oddać każdemu co komu należy. W r. 1810 mianowany generałem dywizyi, został równocześnie członkiem akademii nauk w Instytucie Narodowym Francuzkim. Towarzyszył cesarzowi Napoleonowi I w wyprawie 1812 roku, w następnym dowodził w kampanii saskiéj dywizyą jazdy polskiéj, i tę część zawodu swego w języku francuzkim opisał. W r. 1814 przy obronie Paryża przeciw wojskom sprzymierzonym, dowodził zastępem szkoły wojskowéj paryzkiéj. Po abdykacyi Napoleona I-go ze szczątkami wojska polskiego, zwłoki księcia Józefa Poniatowskiego do kraju przyprowadził, i w kościele św. Krzyża w Warszawie dnia 9 września 1814 roku złożył. Pomijając wiele pism treści naukowych, co do robót inżynierskich po francuzku ogłoszonych, tegoż roku gdy zginął na placu Saskim, umieścił w *Pamiętniku warszawskim* pod redakcyą Feliksa Bentkowskiego, pracę swoją po polsku p. n. *Rozprawa historyczno-krytyczna o śmierci gwałtownéj Przemysława króla polskiego, z powodu granéj na teatrze narodowym tragedyi pod nazwiskiem „Ludgarda.“*

---

[1]) Posąg ten zdobi ogród w *Homlu*, własności księcia Paskiewicza.

Był to utwór dramatyczny Ludwika Kropińskiego generała w. p., który pozyskał szeroki rozgłos w kraju. Rozprawa Sokolnickiego poglądem samodzielnym, jędrnością języka, przeplatana wiérszém szczególniéj się odznącza w spółczesném sobie piśmiennictwie. Tłumacząc się z formy, jaką przyjął, wsparty na powadze Bielskiego i Naruszewicza, wykazując całą nieprawdę historyczną w téj tragedyi, gorąco, z zapałem broni pamięci Przemysława, stawia jego wizerunek we właściwém świetle i oczyszcza go z zarzutu morderstwa żony Ludgardy. Z goryczą, nie bacząc na ostrość wyrażeń, gromi autora téj tragedyi, że wziął podanie niepewne w miejsce prawdy dziejowéj, zwraca uwagę na starożytne pieśni nasze i taki poświęca ustęp Ossyanowi:

„On przy dźwięku swéj lutni z nadpowietrznych tworów,
Składał rymy Malwinie bohaterskich wzorów;
On, dla prawych rycerzy i kochanków stałych,
Będzie na wieki źródłem uniesień wspaniałych.
Z tego płynąć obfite cnót będą strumienie,
Dopókąd cenić będziem wdzięcznéj struny brzmienie!"

Nie możemy się dziwić temu uniesieniu Sokolnickiego dla tego śpiewaka, bo i Napoleon I gorącym był Ossyana zwolennikiem i jego pieśni woził z sobą w biblioteczce obozowéj.

Następnie nasz krytyk kreśli sam treść nowéj tragedyi z tegoż przedmiotu, stawiając w niéj, jako główną postać Przemysława. Akt po akcie, scena niemal po scenie opisuje treść i podaje szczegóły historyczne, aby ściśle zachować koloryt dziejowy, zgodny z prawdą, aby nie zaćmić sławy znakomitego króla. W ostatnim akcie obszerny monolog samego Przemysława wiérszem podaje, który może stawić dowód, że Sokolnicki w pojęciu sztuki, stał niewątpliwie wyżéj nad autora Ludgardy, i co do talentu nie ustępował mu wcale. Monolog ten pełen wzniosłych myśli, zwraca jeszcze uwagę dzielnym językiem, a pełnym siły i energii.

Zwłoki tak znakomitego męża pochowano na cmentarzu *Świętokrzyzkim* w Warszawie i w katakumbach złożono. Marmurowa tablica z napisem stosownym, wskazywała miejsce wiecznego spoczynku; ale gdy te katakumby niedbałością w zwaliska poszły, ręka złoczyńców nocnych, co okradali groby w téj ustroni zmarłych, bez opieki zostawionéj, siekiérą i tę pamiątkę pogruchotała; dziś ślad zatraciliśmy, gdzie jego prochy spoczęły!

Do prawego skrzydła pałacu Saskiego przypierał okazały gmach *Brylowski*, który wystawił (w r. 1750) Henryk Brühl, pierwszy minister króla Augusta III. Skarb go rzeczypospolitéj w roku 1787 nabył na użytek rządowy, nazwisko jednak pierwszego założyciela, do dziśdnia przy jego murach zostało.

Plac Saski, rozlegający się codziennie odgłosem trąb, bębnów i muzyki wojskowéj, po prawéj stronie od Krakowskiego-Przedmieścia, miał główny odwąch, zwany *pod Białym Orłem* dlatego, że ptak ten był wymalowany na jego frontonie. Ponieważ oficerowie w nim za mniejsze przewinienia odsiadywali dłuższy lub krótszy *areszt*, powstało pomiędzy niemi groźne przysłowie:

„*Pójdziesz pod Białego Orła.*"
albo
„*Posiedzisz pod Białym Orłem.*"

Po téj saméj połaci już przy wnijściu z Saskiego placu na Krakowskie-Przedmieście, wznosił się hotel Gerlacha. Był to kiedyś pałac księcia Janusza na Ostrogu (w r. 1597), następnie Lubomirskich, w ostatku Ogińskich. Od téj rodziny nabył go w roku 1810 Fryderyk Gerlach bogaty stolarz warszawski i zamienił na hotel.

W nim na dole mieściła się słynna cukiernia Szymańskiego, który korzystał z parad wojskowych na Saskim Placu i ogromny miał odbyt, albowiem wszyscy oficerowie, jako do najbliższego zakładu na małą przekąskę wstępowali.

Nie przeszkadzał Szymański Leslowi, który osiedlił się w Saskim Ogrodzie i był wzięty wielce; cukry jego, karmelki i lody spożywali obecni liczni goście, używający przechadzki po tym ogrodzie, a nadto liczne miewał zamówienia z całego kraju.

Od cukierni Szymańskiego, idąc prawą stroną Krakowskiego-Przedmieścia, mamy obszerny gmach z oficynami hr. Krasińskich. W tym okresie był własnością Wincentego hr. Krasińskiego, którego salon gościnno literacki, zajmuje niemałe wspomnienia w chwili walki i starcia klassyków z romantykami. Ciekawe byłyby szczegóły tych zebrań, na które uczęszczali F. S. Dmóchowski i A. E. Odyniec; ten ostatni da im zapewne poczesne miejsce w swoich pamiętnikach.

Dominik Magnuszewski i Konstanty Gaszyński byli największymi przyjaciółmi Zygmunta Krasińskiego; za ich pośrednictwem poznałem się z nim bliżéj. Nie zapomnę téj chwili, gdy Zygmunt, siedząc z nami w pierwszym pokoju na dole, od głównych drzwi tego pałacu po lewéj stronie, opowiadał nam, jak w téj komnacie ujrzał po śmierci swoją matkę Maryę z książąt Radziwiłłów.

— Kiedym siedział na sofce (mówił) i zadumany podniosłem oczy ku stronie kominka, ujrzałem moją matkę, jak stała i spojrzenie swe łzawe a rzewne we mnie utopiła. Ręce białe, jak alabaster, miała załamane. Ach! uczułem w sobie najprzód dreszcz lodowy, ale późniéj zaczęło mnie ogrzewać jakieś nieopisane uczucie radości; promień jéj oczu, padając na mnie, coraz mnie więcéj ożywiał. Znikło widzenie, a ja się długo z miejsca ruszyć nie mogłem!

I wyrzekłszy te słowa, smutnie opuścił głowę na piersi i długo milczał.

Pałac ten był pełen drogocennych pamiątek historycznych, oprócz zamożnéj biblioteki, rękopismów i galeryi obrazów. Z tych najwięcéj wyrył się w méj pamięci wielki olejny obraz, przedstawiający w naturalnéj postaci Franciszkę Krasińską, poślubioną tajemnie Karolowi księciu kurlandzkiemu, synowi króla Augusta III i ich małą córeczkę.

Dzieje jéj życia i smutne koleje, jakie przechodziła, opisała uroczém piórem Klementyna Tańska (późniejsza Hofmanowa) w *Rozrywkach dla dzieci* p. n. „Dziennik Franciszki Krasińskiéj." Wiele téż było wizerunków starych przodków, których imiona wspomina historya [1]).

W zbrojowni bogatéj celowały zabytki, jak zbroja Władysława IV z orderem *Niepokalanego Poczęcia*, trwającym dwa lata jedynie, gdyż order ten, jako przeciwny zasadom Rzeczypospolitéj, przez sejm zatwierdzonym nie został; zbroja koszulkowa Zygmunta Augusta z herbami Polski i Litwy ze srebra i złota. Obok *karacena* króla Jana Sobieskiego, któréj używał na wyprawie pod Wiedeń 1683 roku; zbroja żelazna Krzysztofa Radziwiłła, sadzona kamieniami w złoto oprawnemi. Tarcze Zygmunta III, pomienionego Krzysztofa Radziwiłła i Jaśka Krasińskiego. Z buław najstarszą była Jędrzeja Krasińskiego, który był wodzem chorągwi Jana księcia Mazowieckiego; daléj buławy Sieniawskiego i Chmielnickiego. Zbiór przepyszny szabel Zygmunta Starego, Stefana Batorego, Jana Tarnowskiego, Krasińskich i Kalinowskiego. Najstarożytniejszym zabytkiem téj zbrojowni, były dwa duże miecze, które wielki mistrz krzyżacki,

---

[1]) Wspomnienie Franciszki Krasińskiéj łączy się ze wspomnieniem téż Kazimierza Pułaskiego, o czém Tańska przemilczała. Mając lat szesnaście, w zamku Maleszowskim rezydencyi starosty Krasińskiego bywał i poznał piękną pannę Franciszkę. Zakochał się w niéj pierwszą miłością, która łączyła się z najwyższą czcią dla wybranéj dziewicy. Gdy królewicz Karol oświadczył się o jéj rękę, omamiona blaskiem tronu, zapomniała o staroście wareckim, który obudził pierwsze drżenie jéj serca. Pułaski, jako prawy towarzysz rycerskiego zakonu, widząc, że sakrament małżeński rozdzielił go na zawsze z oblubienicą, poprzysiągł jéj wierność do grobu i dotrzymał swego ślubu. Kiedy kraj opuścił, po trzynastu latach niewidzenia, ujrzał ją w Dreznie i wróciwszy do domu, wyrzekł do swego przyjaciela te słowa: „Purpura i honory nie dają ukontentowania i satysfakcyi. Ta biedna Franusia nie jest szczęśliwą." Zostającemu na obcéj ziemi Pułaskiemu, wspaniałomyślna księżna przesłała do Frankfurtu tysiąc dukatów; tak zapomożony, dostał się po długich trudach, do Ameryki, gdzie w dniu 9 października 1779 roku przy szturmie miasta Savannach od kuli armatniéj, mając nogę urwaną i ugodzony w piersi postrzałami karabinowemi, w ciągu niespełna godziny, wspominając imię Franciszki, skonał.

jakby na szyderstwo posłał w darze Władysławowi Jagielle, przed pamiętną bitwa 1410 roku pod Grundwaldem i Tannenbergiem, w któréj sam poległ, a dumnego zokonu potęga na tych polach złamaną i zgruchotaną na długie lata została.

Pomiędzy wielą szacownemi zabytkami, zwrącały uwagę wspaniałe szyszaki Tęczyńskiego, Chodkiewicza i Koniecpolskiego.

W trzech ostatnich latach okresu, który obejmujemy, na piérwszém piętrze mieściła się: *Szkoła przygotowawcza do Instytutu politechnicznego*, któréj dyrektorem był słynny w owe czasy matematyk, *Kajetan Garbiński*. Ze szkoły téj wyszło wielu zdolnych ludzi.

Pałac ten lewą oficyną swoją przypierał do rozległych ogrodów klasztoru ś-go Krzyża, który zasilał obficie missyonarzy tutejszych tak wybornemi owocami jak i warzywem.

Po przeciwnéj połaci Krakowskiego-Przedmieścia godne są wspomnienia pałace: *Tarnowskich*, prawie naprzeciw *Saskiego placu*, dawniéj Morsztynów, z ogrodem i malowniczym widokiem na zawiślańskie okolice, w którym przemieszkiwał Ignacy Potocki. Daléj obok Wizytek pałac Stanisława Potockiego, który w tym okresie był ministrem wyznań religinych i oświecenia publicznego, słynnego mówcy. Zbiór jego *mów i pochwał*, dziś jeszcze z przyjemnością odczytać można, szczególniéj téż niektóre, co treścią i przedmiotem swoim poruszyły żywiéj jego sercem. Mieściła się tu wielka biblioteka i doborowa galerya obrazów, w któréj oprócz portretów familijnych znakomitego pędzla, zatrzymywał uwagę każdego obraz *Salwatora Rossy: Święty Wilhelm przywiązany do drzewa*. Galerya ta wraz z biblioteką przeniesioną została późniéj do wspaniałego pałacu w Willanowie, ulubionéj ustroni króla Jana Sobieskiego, gdzie ten król-bohatér zakończył życie. Tu téż i Stanisław Potocki umarł 1825 roku.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Rodziną Pułaskich.

Kilka mało znanych szczegółów o pochodzeniu głośnéj postaci Józefa Pułaskiego, marszałka konfederacyi Barskiéj (ojca Franciszka Kazimierza i Antoniego), podanych w moim artykule o *dawnéj ziemi Bielskiéj*, która była gniazdem Pułaskich (patrz Bibl. War. t. III str. 255 z r. 1873), wywołały szczęśliwie nowe wiadomości o téj rodzinie, jakie przysłał mi życzliwie z Wołynia, ziemianin tamtejszy pan Kazimierz Burzyński, młody literat. Wiadomości te poczerp-

nięte ze znajdującego się na Podolu archiwum Pułaskich, pośpieszam podać do waszego pisma, bo na to ze wszech miar zasługują.

Gniazdem rodziny Pułaskich było z dawnych czasów *Pułazie*, wieś leżąca w ziemi Bielskiéj, powiecie Brańskim, parafii Wyszonki, od któréj nazwisko swoje wzięli i z niéj się pisali (jak to już było w moim artykule powiedziane). Od drugiéj połowy XVI wieku, w archiwum Pułaskich będącém na Podolu znajdują się akta wymieniające różnych członków téj rodziny. I tak w roku 1584 w aktach brańskich *(feria secunda post festum s. Michaelis Archangeli)* zapisana jest intromissya *Pawła Pułaskiego* syna *Mateusza* na dobra Pułazie-Kostry [1]). Ów Paweł służył w chorągwi pancernéj i zginął w potrzebie pod Kaliszem (Święcki, Pamiątki znakomitych rodzin t. I str. 271). W tymże dokumencie wymieniony jest także *Wawrzyniec* syn *Mikołaja*, *Pułaski*.

Rafał Pułaski, stolnik bielski, rotmistrz hussarski, na wyprawę chocimską wiódł dziewięciu synów zbrojnych jako hussarzy w swojéj chorągwi. Z tych *Wojciech*, porucznik hussarski był potém z Czarnięckim w Danii, *Jakób* i *Mateusz* służyli także hussarsko (Święcki).

W roku 1615 miała miejsce *visio granitialis* części *Tomasza* i *Aleksandra* Pułaskich na Pułaziu, Kostrach-podsędkowiętach i Aleksandrach, a w r. 1640 czytamy *Kazimierza* na Pułaziu Pułaskiego, miecznikiem drochickim czy bielskim (odczytać niemożna).

Do tego czasu Pułascy, od posiadłości swojéj *Kostry-Pułazie*, pisali się *Kostro-Pułascy*. Tak np. r. 1652 podpisał się *Adam syn Tomasza Kostro-Pułaski*. Rozdzieliwszy się jednak fortuną ojcowską, ci co wzięli część jéj zwaną *Kostry*, pisali się odtąd tylko Kostrami (chociaż w ziemi Bielskiéj było kilka innych rodzin Kostrów, a dziś jeszcze więcéj), a drudzy od Pułazia tylko *Pułaskimi* [2]).

Pod r. 1666 w aktach bielskich zapisany jest: *Bernard* na *Kostrach*, *Piotrowie*, *Lubowiczu*, *Byziach*, *Kostro*. Obydwa zaś te domy pieczętowały się Ślepowronem i używały przydomku *Korwin*. Wymieniony pod r. 1652 *Adam Kostro-Pułaski* ożeniony był z Agnieszs-

---

[1]) Dokument ten oznaczony jest nrem 19 w fascyk. I archiwum powyższego, musiało zatém 18 poprzednich zaginąć, zapewne nieco wcześniejszych.

[2]) Tu zachodzi pewna niejasność, *Kostry* bowiem i *Pułazie* nie są to dwie oddzielne wioski, ale jak obszerniéj w następnym odsyłaczu powiemy, jedna wieś o dwóch nazwiskach. Nie przeszkadza to, aby nie miało być dwóch nazwisk rodowych: *Kostro* i *Pułaski*. Owszem Kostrów nazwisko jest starsze i powszechniejsze, a tylko ci z nich, którzy mieszkali w téj części majętności Kostrów która dostała przydomek Pułazia, do nazwiska swego *Kostro* przydali, najpierw jako przydomek *Pułaski*, który zamienił się z czasem na główne nazwisko. *Zyg. Gl.*

ką Zaleską, a syn jego *Wawrzyniec* z Maryanną Kostrowną córką wyżéj wzmiankowanego Bernarda, na któréj imię pod r. 1668 zapisana jest donacya dóbr Kostry, Piotrowa, Lubowicza i Byziów. Tak więc Kostry i pewne części dóbr powyżéj wzmiankowanych powróciły do Pułaskich, w których posiadaniu zostały do czasów Józefa [1]).

W r. 1663, w poniedziałek po ś. Antonim, *Adam* Pułaski, synowi swojemu *Wawrzyńcowi* „zapisuje prawem zastawném połowę części na dobrach Kostrach, Pułaziu, Śmiejkach i innych,“ drugą zaś połowę oddał zapewne drugiemu synowi *Krzysztofowi*. W r. 1698 we wtorek po ś. Andrzeju, *Wojciech* Pułaski oddaje synowcom swoim *Wawrzyńcowi* i *Krzysztofowi* dziedziczne swe części na Kostrach, Pułaziu i Aleksandrach. Wawrzyniec zastawia pewne części Pułazia (r. 1676) i Podsędkowiąt (r. 1694), jak świadczą oryginalne dokumenta z jego podpisem. Synowie Wawrzyńca *Stefan* i *Jakób*, pierwszy ożeniony z Anastazyą Koćmierowską, drugi z Małgorzatą Zarębianką (córką Ludwika Zaręby h. Prawdzic i Teressy Lipińskiéj h. Grabie [2]) w r. 1700 (metryka ślubna tegoż roku z kościoła w Rosochatem), dzieląc się ojcowizną, jeszcze bardziéj rozdrobili swą posiadłość.

---

[1]) Nazwę *Kostrów* nosiła i nosi pewna cała *dzielnica* czyli *okolica* szlachecka na Podlasiu w pobliżu rzeki Nurca położona, obejmująca przestrzeni włók kilkadziesiąt i na niéj kilka wsi cząstkowéj szlachty, noszących jedną ogólną nazwę *Kostrów*, a po drugiéj szczegółową: tak więc są *Kostry stare* lub *Podsędkowięta*, *Kostry-Noski*, *Kostry-Pułazie*. Odrębną dzielnicę o półtoréj mili od téj odległą stanowią *Kostry-Litwa*. Nazwa *Kostrów* pochodzi od szlachty tego nazwiska, która około XV wieku ziemię tę odziedziczyła i na nich się rozradzała, kilka wsi założywszy. Najpiérwéj założone musiały być przez Kostrów *Kostry-starawieś*, które od jakiegoś podsędka, a raczéj od dziedziczących po nim dzieci dostały drugą nazwę *Podsędkowiąt*. Od *Nosków*, *Pułaziów* i litwinów, szlachty z temi przydomkami dziedziczącéj różne części Kostrów, poszły jeszcze te nazwiska szczegółowe tych wiosek, które od innych dziedziców miewały w różnych czasach inne jeszcze cząstkowe nazwy np. Kostry, Aleksandry, Piotrowo, Śmiejki i t. d. Wedle urzędowéj *taryfy* podymnego z r. 1775, było wtedy na 4 wsiach: Kostry, Litwa, Podsędkowięta, Noski i Pułazie, części dziedzicznych 82, należących do kilkudziesięciu właścicieli posiadających razem dymów czyli domów mieszkalnych 106. Szlachty nazwiskiem Kostrów było 34, niektórzy na każdéj wsi posiadali po cząstce, i ztąd na wszystkich dziedzicami pisali się w aktach. *Zyg. Gl.*

[2]) Jak świadczy: *Wywód szlachetnego urodzenia ośmiu nieprzerwanych herbów J. M. panny Anny Pułaskiéj, starościanki wareckiéj 1755 r. 29 Julii uczyniony.* Anna bowiem Pułaska córka *Józefa* marszałka kon. Barskiéj wstępując do Kanoniczek warszawskich, legitymowała się podług statutów zgromadzenia z ośmiu swoich nieprzerwanych herbów po mieczu i po kądzieli. Wy-

Jakób miał trzech synów: *Marcina*, *Józefa* i *Tomasza*. O najstarszym i najmłodszym nic nie słychać, zapewne młodo pomarli, bo żadnego potomstwa po nich nie zostało; ale średni Józef (urodzony dnia 18 lutego 1704 r. w Puławiu, jak to w artykule o ziemi Bielskiéj podaliśmy), stał się pierwszy ze swego domu historyczną postacią.

Ojciec odumarł Józefa w młodym wieku, a matka owdowiawszy, wyszła powtórnie za mąż za Grzegorza Boguckiego. Kto pokierował wychowaniem Józefa, niewiadomo. Być jednak może, że Franciszek Pułaski (ożeniony z Rozalią Winklerówną) stryj jego podczaszy podlaski, pułkownik wojsk koronnych, starosta radenicki (od r. 1714 [1]). Pan Franciszek był najprzód pisarzem wojskowym za buławy czterech hetmanów wiel. kor.: Jabłonowskiego, Potockiego, Lubomirskiego i Sieniawskiego, dużo widział po świecie, dużo się nauczył; był nawet autorem [2]) i stanął dobrze pod względem majątkowym. Że zaś jako krewny Józefa mógł się osieroconym młodzieńcem opiekować, naprowadza na tę myśl list Franciszka pisany do Józefa z Radenic pod datą 2 stycznia 1731 r., w którym czytamy: „radbym jak najczęstszą cieszyć się wiadomością *de successibus* zdrowia i powodzenia jego, gdy jednak mam *aparte* pewną relacyę, że W. M. Pan *ex qualitate Virtutum* i zgodnéj aplikacyi swojéj *primam lauream tenes* w palestrze prześwietnego trybunału piotrkowskiego i t. d.“

W r. 1725 matka Józefa, Małgorzata, *2-do voto* Bogucka, zlewa na syna wówczas komornika wieluńskiego, prawa do majętności ojcowskiéj, którą posiadała jako dożywocie. W r. 1733 dekret kompromisarski na gruncie dóbr Kostrów, między Józefem Pułaskim z jednéj strony, a Janem i Ignącem braćmi jego stryjecznemi z drugiéj [3]), przyznaje Józefowi wydział części dóbr Kostrów-Pułazia i Podsędkowiąt w ziemi Bielskiéj, także Lubowicza-Byziów w ziemi Dro-

---

wód ten spisany na pergaminie z podpisem Franciszka Bielińskiego marszałka w. kor. Komorowskiéj księni kapituły Marywilskiéj, i biskupa kanclerza Okęckiego, obejmuje genealogiczny wywód kilku pokoleń po ojcu i matce.

[1]) Radenice, Jatwięgi (?) i Kornice w Przemyskiém. Starostwo to po śmierci Franciszka (r. 1738) przeszło na syna jego Baltazara, a po tém na Józefa. (Wsi Jatwięgów nie ma w Przemyskiém).

[2]) *Krótka annotacya sejmów warszawskich, grodzieńskich, także elekcyi i koronacyi Najjaś. królów polskich, Jana Kazimierza, Michała, Jana III i Augusta II, tudzież za panowania ich kampanii i corocznie odprawionych publicznych dziejów od r. 1648—1733, wydane przez syna jego Baltazara* (w Lublinie 1743 r. in folio).

[3]) Ten Jan i Ignacy byli synami Stefana rodzonego stryja Józefa, a potomstwo ich jeszcze nie wygasłe i dotąd należące w części do zacnéj zagonowéj szlachty téj saméj okolicy, łudzi się obecnie płonną nadzieją dostania sukcesyi spadłéj na Pułaskich w Ameryce. *Zyg. Glog.*

hickiéj leżących. Oblata tego dekretu w grodzie Brańskim (feria 6 *ante Dnca f. II et individuae Trinitatis).* Wówczas już Józef Pułaski był starostą wareckim, starostwo to ustąpił mu Adam Koss kasztelan chełmski w r. 1732. Scheda ojcowska na Podlasiu starosty wareckiego była nader szczupła, prawie zagonowa, jak to widać z inwentarza spisanego późniéj w r. 1754 przy dziale między Józefem i bratem jego stryjecznym Janem, wyżéj wspomnionym. Stanowiły ją małe cząstki na trzech wsiach wspomnianych: *Kostrach-Pułaziu, Kostrach-Podsędkowiętach-staréjwsi* i *Lubowiczu-Byziach*, cząstki mniéj więcéj takie, jakich w taryffie z r. 1775 widzimy 82 w czterech wsiach noszących nazwę *Kostrów*. Tylko dla nieobeznanych z miejscowością i biorących przydomki jednych i tych samych wiosek za oddzielne dobra, wyliczenie dziedzictwa na tylu dominiach, będące prostém dopełnieniem formy prawnéj, może się szumnie przedstawiać. Wszak akta nie mówią o dziedzictwie *całych* tych dóbr, a wiadomość o liczbie sąsiadów w każdéj wiosce nie należałaby do treści dokumentów. Owszem im szczuplejsza była ojcowizna i skromniejsza parentela, tém rzetelniejszą wartość musiała mieć zasługa człowieka podniesionego do tylu zaszczytów, tém większa chluba dla kraju, w którym podobne osobistości znajdowały drogę do najwyższych stanowisk (choć zapewne niełatwą).

Początek późniejszéj wielkiéj fortuny Józefa, stanowił znaczny majątek jego żony, Maryanny z Zieleńskich (jedynéj córki Andrzeja Zieleńskiego h. Świnia głowa, podczaszego łomżyńskiego i Anny Radzimińskiéj h. Lubicz, kasztelanki ciechanowskiéj), którą poślubił w r. 1736. Wówczas ojciec jéj już nie żył, ale dziad jéj macierzysty a zarazem opiekun, Kazimierz z Mińska Rudziński h. Pruss, brat jéj babki Teressy z Rudzińskich Radzimińskiéj, kasztelan czerski, wydawał piętnastoletnią wnuczkę (metryka chrztu Maryanny 6 stycznia 1721 r. z ksiąg kościoła Koryczyn), za Józefa Pułaskiego. Intercyza ślubna podpisana przez tegoż Rudzińskiego (księgi grodz. warsz. fria 3-a *pridie Festi in Vinculis)* wymienia dobra przyrzeczone Maryannie. Tegoż roku (fria 3-a *in Vig. S. Assump.)*, Józef i Maryanna Pułascy zapewniają sobie dożywocie na wszystkich dobrach, summach i rzeczach swoich.

W r. 1740 (*fria 2-a post D. Rogatt.)* na gruncie wsi Wąsowa spisany dekret działowy między Tomaszem Zieleńskim podkomorzym łomżyńskim, stryjem Maryanny, a Józefem Pułaskim (w imieniu swéj żony) przysądza na schedę pani Pułaskiéj: wieś *Winiary* pół wsi *Rytomoczydła, Maryanowizna, Boglewice, Nożewo, Nożewko, Rześnik* i połowę Zbążka z summami należnemi od dłużników, a także summę 40,000 złp. dodatkową (księgi grodz. Ostrow. w wig. S. Wawrzy.), na satysfakcyę któréj Tomasz Zieleński oddaje w roku 1745 wieś *Goryń* w powiecie Radomskim, spadłą na niego po Konstantym Gębickim, kasztelanie łęczyckim, a jednocześnie zapewnia że „donacyę na wsie: Kazanówkę, Iwanówkę, Rożyszcza, po anteces-

sorach spadłe w powiecie Trębowelskim, zezna.“ Oprócz dóbr powyżéj wymienionych, różne sukcesye spadały na Maryannę po Radzimińskich, Rudzińskich i Zieleńskich, a między innemi część wielkich dóbr Łabiszyńskich. Dobra te (miasto *Łabiszyn* z zamkiem, miasteczko *Rymarzewo* i wymienionych w dokumentach 21 wsi) położone częścią w województwie Kaliskiém, częścią w Inowrocławskiém, powiecie Bydgowskim, dawniéj były własnością Gębickich, od których prawem spadku przeszły na Zieleńskich. Po śmierci Ludwika Zieleńskiego (dziada Maryanny), Józef Pułaski występował w imieniu swéj żony jako współsukcęssor, a nabywszy od innych spadkobierców ich prawa (od Ignacego Zieleńskiego w r. 1759, od Ciecierskich i t. d.) objął w swe posiadanie. Dopiero podczas konfederacyi barskiéj, Skórzewscy, którzy o jakąś część prowadzili proces z Józefem, zagarnęli całą tę majętność, o co znowu procesował ich późniéj Antoni Pułaski syn Józefa. Process ten ciągnął się podobno jeszcze na początku bieżącego wieku, prowadzony już przez Kazimierza Pułaskiego wnuka Józefa, a jedynego po staroście wareckim spadkobiercę.

Wykazaliśmy tutaj szczegółowo pochodzenie Józefa i jego rodziny na Podlasiu, jak również stan majątkowy w chwili, gdy rozpoczynał zawód publiczny posłując na sejmie, i przyjmując urząd konsyliarza na konfederacyi generalnéj w Dzikowie r. 1734. Aby zaś łatwiéj zrozumieć wybitne stanowisko, jakie odrazu zajął wśród szlachty, ciekawém byłoby wyśledzić działalność obywatelską Pułaskiego w młodzieńczych jego latach. Ta epoka jego życia jest znana potrochu. Nie rachując na ojcowski majątek, wstąpił do palestry w trybunale piotrkowskim. Znakomitéj zdolności, pracy i charakteru młodzieniec, zyskał poparcie znamienitych osób, których bywał mecenasem. Prowadził interesa Lubomirskich, Czartoryskich, Bielińskiego, Kossa i innych. Nieskazitelność jego zjednała mu wcześnie sympatyą szerokiego koła szlachty, a obdarzony głębokim rozsądkiem i bystrością, w trudnych i zawiłych sprawach używany bywał powszechnie za doradzcę lub rozjemcę. Na wielu dekretach kompromisarskich, działach, układach i t. d. z owéj epoki, wszędzie spotykamy jego podpis; czynnym być musiał niesłychanie, bo mamy ślady, iż w różnych stronach kraju ciągle przebywał, w różnych też stronach nabywał dobra. Niesłychana popularność Pułaskiego, do któréj ułatwiało mu drogę wśród uboższéj *braci* jego pochodzenię, zwróciła nań uwagę dworu. Starostwa i królewszczyzny, które posypały się dlań, nieuzasadnioną wprawdzie żadną zrazu ważniejszą publiczną zasługą, były tylko, jak też słusznie zauważył Bartoszewicz, środkiem zjednania i przywiązania do dworu zdolnego a popularnego szlachcica, którego głos pociągał za sobą tłumy szlachty na sejmikach i sejmach, na jakie ciągle posłował. Z ogromnéj massy papierów i wszelkiego rodzaju dokumentów pozostałych po Pułaskim, widzimy, jak był rzutkim i energicznym, nabywając dobra we wszystkich stronach kraju, biorąc dzierżawy, zastawy, ustępstwa na starostwa i kró-

lewszczyzny, a przytém sprawując należycie urząd publiczny pisarza nadwornego koronnego.

I człowiek ten, dorobiwszy się około stu folwarków zdolnością finansową i pracą swéj głowy, nagle zaczyna je dzierżawić i zastawiać zgromadzając gotówkę. Zawiązanie się wkrótce konfederacyi barskiéj, któréj został marszałkiem związkowym, wyjaśnia ten krok, gdy i większą część swych dóbr w tym czasie już zastawił, używając ogromnych summ niewątpliwie dla sprawy, któréj bronił. Wydatki jego i synów na rzecz publiczną musiały być ogromne, bo gdy w czasie téj wojny, (w skutek nieporozumień z możnowładzcami) usunął się do Turcyi, (gdzie w więzieniu życie zakończył), to gonił już tam ostatkami, a srebra i różne kosztowności wziął u niego turczyn Hamer-Aga, który przez wiele lat późniéj procesował syna jego Antoniego o znaczną summę, jakoby pożyczoną u niego przez nieboszczyka. Po śmierci Józefa i upadku konfederacyi, część dóbr ulega sekwestrowi, a na resztę rzucają się prawni lub nieprawni wierzyciele i słusznie czy nie słuszuie, zabierają co kto może. Pozostała wdowa jako dożywotniczka i syn Antoni bronią się jak mogą, procesa Kazimierza i Fraciszka trwają aż do pierwszych lat bieżącego stulecia. Antoniemu z całych dóbr pozostaje tylko klucz Dereżański na Wołyniu, ale żeni się on z Autoniną Orańską, chorążanką żytomierską, jedynaczką i dziedziczką wielkiéj fortuny na Ukrainie. Wdowa po Józefie zmarła w r. 1791, a syn Antoni po burzliwém życiu umiera w r. 1813 na Wołyniu we wsi Korytyszczach należącéj do dóbr Dereżańskich, pochowany na cmentarzu parafialnym berezowskim. Antoni miał jedynego syna Kazimierza, (ur. 1784, † 1856), którego potomstwo mieszka obecnie na Podolu.

Tyle szczegółów o rodzinie Pułaskich przysłał pan K. Burzyński, co utwierdza mię bardziéj w dawném przekonaniu, ile to u nas materyałów dziejowych kryje się jeszcze po prywatnych archiwach w różnych stronach kraju. Dopiero przy jakiéjś polemice, zadrażniętéj miłości własnéj, lub zacnéj chęci w danym razie przyjścia z pomocą naukową, co właśnie powyżéj miało miejsce, materyały te potrochu ukazują się na widok publiczny. A tymczasem ileżto starych papierów na poddaszach naszych jedzą myszy i mole, ile butwieje w wilgoci, lub niszczeje w inny sposób. Niedawno np. dostaliśmy cztery rogi z arkusza pergaminu zjedzonego przez szczura. Z kilku wyrazów, jakie na tych szczątkach pozostały, dowiedziałem się, że to był przywiléj na dobra *Suchodół*, z r. 1495, ale któż zgadnie jaka była treść długiego dokumentu? A pomimo to są ludzie, którzy naszą szlachtę nazywają *konserwatystami i zachowawcami!* Na tém wszystkiém zaś cierpi nauka historyczna, która albo traci niepowrotnie jedne źródła po drugich, albo przez całe pokolenia czekać musi na ich publikacyą. Panu Burzyńskiemu winienem tu podziękować za jego życzliwość w rzeczach nauki. *Zygmunt Gloger.*

SFINKS [1].

Zamierzając mówić o sfinksie, jedynym w rodzaju sfinksów i najbezpośredniéj obchodzącym Słowian, dwa krótkie zeznania piérwéj obowiązują mnie. Piérwsze dotyczące dzienników illustrowanych, drugie określające przystępniéj historyą sfinksów w ogólności.

Sfinksa znalezionego w Siedmiogrodzie, w miasteczku Thorda 1847, podała była *Illustrirte-Zeitung*, 6 lutego 1847, wraz z odwzorem i wiadomością o takowym. Atoli upowszechnienie to stało się dziś ciekawością, do odszukania nanowo obowiązującą, w sposób, iż jako oryginał bronzowy z rumowisk siedmiogrodzkich wygrzebać przychodziło, tak odwzór i wiadomość o onymże, ze śród druków i rycin odgrzebywać wypada po kilku latach. Przeznaczeniem albowiem pogłównėm pism illustrowanych jest upowszechniać to właśnie z archeologii i życia (a przeto i sztuki), czego litera pisana środkami sobie właściwemi uprzytomnić nie może.

Siedmiogrodzki sfinks w przednich łapach swoich trzyma ściętą głowę człowieka (czyli ofiary swojéj). Ma on skrzydła, a obrzucony jest szatą, spiętą na piersiach agrafą w kształcie krzyża. Jestto bronzowy mały odlėw na odłamie włóczni żelaznéj, jako insygnia utwierdzony i utwierdzalny. Towarzyszy pomnikowi temu jedynemu w swoim rodzaju, a przeto z każdéj miary obchodzącemu wszelką postaciową wiedzę, napis misterny: *yme, yme ti oiepe seps ven.*

Ten to napis wedle uczonéj rozprawy członka Towarzystwa historycznego regensburgskiego (ratysbońskiego), a archeologa hamburgskiego H. Bock wyczytywany być winien od prawicy i dawać

---

[1]) W jednéj z rozmów z p. Cypryanem Norwidem, członkiem paryzkiego Towarzystwa filologicznego, potrącony został przedmiot, który korrespondentowi wydał się wielce ciekawym, choć mówić godnym uwagi i zastanowienia. P. Norwid liczy do słowiańskiéj mitologii *sfinksa*, w Siedmiogrodzie odkopanego. Profanowi wydać się to mogło rzeczą nową. Spieszę więc przesłać opis, skreślony ręką p. Norwida szanownéj redakcyi, dla użycia wedle zasługi.

I. T. Hodi.

przeto słowa archaiczno-łacińskie: *Nev spes...* etc. Tłumaczenie, któremu stanowczo zaprzeczam, dlatego, iż uczony Bock opiera takowy odwrót na technicznem przypuszczeniu, jakoby odlewając bronz, i litery się z lewa w prawo odwróciły. Jestto pozór. Napisy bowiem greckie i może staro-łacińskie, te, które od prawéj do lewéj czytają się, nie są z czasów odlewania bronzu i używania żelaza; tudzież uczony Bock nie jest świadomym sztuki plastycznéj, dopuszczając, że rzeźbiarz, który z łatwością robi do odlewów wszystko, tak od lewéj do prawéj, jak od prawéj do lewéj; tylko napisać nie umiał wyrazów i znaków ku odlewowi.

Inny uczony karlsburgski tłumaczy napis po grecku, dopuszczając atoli skrócenia; w oryginale zapełnia takowe dwakroć większą liczbą głosek dowolnie przybranych. Metoda, zaiste ścisłości wszelkiéj pozbawiona.

Nakoniec niemiecki badacz z Getchin zadawalnia publiczność swoją, przez wytłumaczenie napisu staro-alemańskim językiem: *Ima, ima si di ehre verliehen,* i zalicza posążek do misteryów chrześciańsko-germańskich. Uczony ten, wedle mojego przekonania arcy się omylił, idąc zapewne za znakiem krzyża w agrafie na piersiach sfinksa. Czyliżby on nie wiedział, że znak krzyża jeszcze w egipskich hieroglifach miejsce swe miewa? a zwłaszcza znak krzyża zygzakowatego, znany w teoryach kapłańskich tysiące lat przed Zbawiciela ofiarą. Toż i w pismach chińskich jest krzyż. „Ima“ według tego uczonego ma oznaczać „Irmin“, na mocy decyzyi Towarzystwa historycznego.

Słowianofil z Paryża, lubo niewyraźnie, wpada jednak na brzmienia słowiańskie w napisie, ale ostatecznie i on po grecku takowy wykłada, zaś urzędowy tłumacz austryacki w Galicyi, podobno iż najliteralniéj napis wyczytuje temi słowy nieco zbyt dowolnie uspółcześnionemi: „Ćma-to, ćma co ciebie zabiła“, czyli: „dla ciemnoty, iż nie odgadnąłeś tajemnicy, zostałeś zabitym.“ Atoli w tém bystrém, co do odgadnienia języka, spostrzeżeniu, pominięte są względy archeologijne.

Poprzedzam teraz tłumaczenie moje ogólną wiadomością o sfinksach.

Sfinks jest znamieniem *inicyacyi.* Inicyacye musiały nieodzownie być kastowemi, albowiem wybór i szczegół dopuszczały; atoli w praktyce swéj, ogólny i powszechny miały one warunek zbliżania się do prawdy, przez akt wewnętrzny ducha poczuwającego się, przez to, co skromnością, co uznaniem zwie się późniéj, a co wszelako na początku *otrwożenia* i strachu nie działo się.

Największy ze znanych sfinks przy piramidzie drugiéj (2) Gizech, początek swój bierze podobno z najpierwotniejszych inicyacyj. Była to skała mająca podobieństwo potworu czyhającego i legendami wyszczególniona.

Sformowane teorye inicyacyi postaciowały w sfinksie najstarszy kształt literacki, jaki znamy, to jest zagadkę. Był przeto sfinks pieczęcią bogini mądrości, *Neith*, *Neith-Iris*, téj, która następnie nocne swoje wielkie święto lamp i latarni, miała w Sais, pod napisem: „Jam jest co było, co jest i co będzie i nikt nie podjął zasłony, która mnie ocienia.“

Z koloniami Kadmusowemi przeszły inicyacye do Grecyi, wprowadzając konstytucyę nową na miejsce prostego marsowego heroizmu tak, iż smok z którym walczył Mars, został przez Kadmusa zabity... Rozgniewany Mars, żę nie miał z czém wiecznie się ucierać, pozostawił miejsce narodzeniu się sfinksa. Ten zwłaszcza pomiędzy pasterzami beockiemi, ludźmi prostéj wiary i (nazywanéj przez Attików) głupoty, wielkie czynił wrażenie i powoływał ofiary na skale pod Thebami w miejscu ciasnego przejścia (to jest, gdzie pojedyńczo indywiduum przechodzi), zadając powołanym zagadki. A który na takowe nie odpowiadał, dostawał szału samobójstwa i strącał się wirem do przepaści.

Ta jest straszna sfinksa historya i dlategoto u Greków ma on dziewicy egipskiéj profil: oczy i usta, lubo, że co u Egipcyan było zaklęciem, to u Greka bywało natchnieniem, zapałem i polotem, a przeto egipski sfinks u Greków dostał olimpijskie skrzydła.

Z téj tedy objaśniającéj uwagi, że sfinks siedmiogrodzki ma skrzydła, wypada najprzód to, że do południowych osad słowiańskich przyszedł on z Grecyi. Sfinks ów słowiański okrytym jest nadto szatą, bo posągowanie ludów północnych wyszczególnia się zawsze względem starożytnego świata okryciami nagości, jak to np. posągi Daków i Getów przedstawiają. Greckim zaś istotnie, ani właściwie beockim nie jest on bynajmniéj i zupełnie to uczonym powyżéj cytowanym zaprzeczam, albowiem kapitalnie sprzeciwia się temu głowa ścięta, w przednich sfinksa siedmiogrodzkiego łapach trzymana. Sfinks grecki pod Thebami nie ścinał głów, lecz duchęm strącał w przepaść zrozpaczonych samobójców, którzy po sobie śladu nie zostawiali. Przysądzenie więc tego utworu dogmatycznie jest bezzasadne.

Sfinks ten siedmiogrodzki utwierdzonym był na krótkiéj żelaznéj włóczni i noszonym w obchody święte przed chórami czyli jak dziś mówią procesyami, to jest w czas teoryi i uroczystości ogólnéj.

Napis zaś wedle mojego tłumaczenia brzmi jak następuje: *Yme! yme! Tioiepe*, *sep*, *swens;* czyli, uspółczesniając pierwiastki języka, tłumaczy się te słowa tak, jak je wyżéj dzielę: *Imiej! imiej! Teoryi czar święty;* czyli nadając ton temuż tłumaczeniu: *Znaj! znaj! Teoryi* (*vel* obrządku) *seryo święte.*

Że *p* jest *r*, byłoby elementarną rzeczą dodawać. Podzielam zupełnie zdanie południowych Słowian, których badacze dają wieść

o pisaniach piérwo-słowiańskich na sposób grecko-latyński, témiż głoskami i ich składem.

„Imiéj“, „pojmij“, „uznaj“, jest tu powtórzeniem, naciskiem wyrażonym wedle najstarszéj formy pisarskiéj i brzmi jakoby: „Poznaj-że! Teraz poznaj i zadrżyj!“ etc. „Znaj“ znaczy zarazem przeraź się!

Słowem napis ten brzmi: „Poznaj teoryi seryo święte.“

Wnioskować poważyłbym się, iż to jest wiersz piérwszy jakowegoś zaginionego psalmu obrzędowego, pierwotnéj południowych Słowian religii i inicyacyi.

Cypryan Norwid.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Paryż i Wersal przed stu laty: przez Juliusza Janin. — Plejada współczesnych poetek włoskich: Francesca Lutti, z Tyrolu: poemat Alberto.—Wenecyanka Fua Fusinato.—Alinda Brunamonti.—Sycylianki: Rosina Muzio-Salvo: Wiersz do Sycylii.—Concettina Filesi, Pieśń nad kołyską.—Mariannina Coffa Caruso: Sonet do krytyka.—Improwizatorka Gianina Milli: Powitanie Wezuwiuszu.—Nowe powieściopisarki francuzkie.—Pani Bloqueville: Wieczory w willi Jasminowéj.—Panna Hollard: Biedny chłopiec.—Księżna Olga Kantakusen: Ciocia Agnieszka.—Powieści pozytywne: Czary Prudencyi.—Pamiętniki kozaczki.—Ostatnie powieści pani Sand: Moja siostra Joanna.—Zamek Pictordu.—Dzieła uwieńczone przez akademią francuzką: wielka nagroda: Histoire des Etats generaux p. I. Picot.—Inne nagrody: Historya Henryka IV p. Lescure.—Historya restauracyi protestantyzmu w ośmnastym wieku p. E. Hugues.—Stan rycerski w Rzymie, p. Belot.—Historya Alcybiadesa, Emila Houssaie.—Studya historyczne nad Włochami, p. Dantier.—Studya nad literaturą niemiecką professora Bossert.—Historya prześladowań rewolucyjnych p. Saussay.—Przekład dramatów Lope de Vega p. Baret.—Przekład arcydzieł Kalderona, p. A. Latour.—Mademoiselle Guignon p. Teuriet.—Poezya Rèves et devoirs p. Froment.—Filozofia Humego, p. Compayre.—Życie Xenofona, p. Croiset.—La morale universelle, pastora Eschenauer.—Rozbitki na morzach Auklandzkich, p. Raynal.—Rodzina podczas wojny, pani Boissonas.—Poczciwi ludzie, p. Girardin.—Zadania konkursowe.—Rozprawa nad Rabelais.—Poemat o Liwingstonie.—Dary dla akademii.—Legenda naszych czasów.

Wspomnieliśmy w zeszłéj kronice naszéj, o świeżo wydaném dziele Juliusza Janina: *Paryż i Wersal przed stu laty*. Ze smutkiem przychodzi nam zdać sprawę z téj ostatniéj publikacyi nieodżałowanego pisarza. Każda nowa książka Janina, była dla nas ucztą duchową; żal pomyśléć że te gody nie powtórzą się więcéj!

Czytając owe wspomnienia o Paryżu i Wersalu, porównywaliśmy je w myśli z nieocenionemi wspomnieniami o Warszawie zasłużonego K. Wł. Wójcickiego. Nasz autor więcéj czerpie ze świata który ogarnął dziecięcém okiem, niekiedy tylko zapuszcza myśl w przeszłość,

i opowiada jak to było w Warszawie naszéj przed stu laty. Autor francuzki, jak świadczy sam tytuł jego dzieła, odtwarza wyłącznie przeszłość, stawia nam przed oczy świat odrębny całkiem od dzisiejszego, oddziela rzeką krwi i olbrzymim wałem granicznym ze spadłych pod gilotyną czaszek ludzkich! A przecież mimo różnicy wypływającéj z samego przedmiotu, istnieje jakaś łączność między wspomnieniami dwóch współczesnych sobie erudytów, dwóch niezmordowanych szermierzy pióra, którzy z równą miłością poświęcili życie zawodowi literackiemu.

Najmniejszy objaw ducha w społeczeństwie francuzkiém przed stu laty nie uchodzi uwagi Janina. Śledzi on to życie kipiące gorączkowo w piersi narodu, w przeddzień wielkiéj rewolucyi. Z jednéj strony pokazuje dwór wersalski, błyszczący jeszcze powierzchownym przepychem, skrępowany na zewnątrz prawami najsurowszéj etykiety, w gruncie rzeczy rozpasany na wszelkie bezprawia. Wprowadza nas na deski teatralne, za kulisy; daje poznać sławnych traików, znakomitych artystów i słynne artystki dramatyczne. Tu znowu ukazuje wielkich koryfeuszów świata finansowego (fermiers géneraux), uciskających kraj monopolem, rzucających pełnemi garśćmi złoto wyciśnięte z żył ludu. Tam otwiera przed nami pracownie wielkich malarzy, sławnych rzeźbiarzy i architektów, buduary wytwornych elegantek, trzymających berło smaku i mody; salony uczonych nowatorek, zwolenniczek Encyklopedyi; kawiarnie w których wielcy oratorowie, jak Mirabeau, ostrzyli słowo, niby miecz obosieczny, zaczém wystąpili z niém na szeroką arenę. Janin chwyta w przelocie każdy pamflet, każdą piosenkę uliczną, każdą krążącą po mieście anegdotę, każde dowcipne słowo; pokazuje wszystkie drobne iskierki, z których miał niebawem wybuchnąć najstraszliwszy pożar.

Niepodobna iść nam systematycznie w ślad za autorem, gdyż i on nie trzyma się żadnego systematu: idzie tu i tam, gdzie go oczy poniosą, a jednak pomiędzy temi luźnemi obrazkami panuje ściśle loiczny związek. Wszystkie te osobne rysy rzucone swobodnie ręką mistrza, zbiegają się harmonijnie w jednę całość, i odtwarzają wiernie oblicze zmarłego i pogrzebanego społeczeństwa.

Rzućmy okiem na Wersal, zatrzymajmy się chwilę w progach tego pałacu, dziś zamienionego w ponure i milczące muzeum; tego pałacu, którego Napoleon I-szy, pan połowicy świata, nie chciał obrać na rezydencyą, mieniąc utrzymanie jego zbyt kosztownem. Zobaczmy czém był dwór królewski za trzech ostatnich Ludwików. Dwór ten składał się z sześćdziesięciu tysięcy szlachty, która kupowała urzędy dworskie i pobierała procent od zaliczonych przez siebie kapitałów, tytułem rocznéj pensyi. Janin wylicza tych wszystkich marszałków dworu, szambelanów, krajczych, podczaszych, koniuszych i łowczych, tę całą gawiedź dworską, przeznaczoną do najrozmaitszych w świecie posług około króla, królowéj, książąt i księżniczek krwi panującéj. Osobny urzędnik podawał gazetę królowi, osobny popychał

jego fotel, osobny zasłaniał go od kominkowego ognia, a każdy z nich musiał wywodzić ród swój od ostatniéj co najmniéj krucyaty. Prawa etykiety dworskiéj obejmowały wielki wolumin: wszyscy umieli go na pamięć.

Każdy akt, każdy ruch króla objęty był osobnym ceremoniałem. Ledwie że monarcha otworzył oczy, dostojnicy zapełniali sypialnię. Byli to wielcy z wielkich, samym książętom krwi przypadał taki zaszczyt. Gdy król się umywał, wchodziła nowa serya panów, gdy go fryzowano i golono, przybywali znów inni, i ten przypływ na hasło marszałka powtarzał się po pięćkroć, aż nakoniec roztworzono podwoje na oścież: hetmani wojsk, pierwsi urzędnicy koronni wchodzili tłumnie do komnaty: w obec nich wielki szambelan podawał koszulę najdostojniejszemu z książąt, a ten obłóczył w nią monarchę.

Z osobnym znów ceremoniałem przynoszono królowi filiżankę rosołu. Wybranym tylko wolno było pozostać w sali przy tym akcie. Kiedy król zażywał lekarstwo, chociażby słabość żadnego nie miała znaczenia, lekarze nadworni, chirurgowie, aptekarze, otaczali go z rzędu, podczas gdy spożywał ów rosół.

Każda rezydencya ulegała odmiennym prawom etykiety. Wersal najściśléj był skrępowany. Tu wszelki wybuch czy to smutku, czy wesołości wzbroniony był surowo. Biada temu ktoby ważył się rozśmiać! biada temu ktoby zapłakał! W Marly, Trianon i Compiègne, dwór większéj używał swobody. W Choisy, Cressy i Bellevue, królowie i książęta żyli jak prości śmiertelnicy. Tu nagradzali sobie hojnie wszelki przymus.

Przejażdżki z jednéj rezydencyi do drugiéj odbywały się z niesłychaną paradą. Gdziekolwiek ruszyła się królowa, wożono za nią ogromną szkatułę z pieniędzmi, na wozie uprzężonym w sześć mułów; przy każdym mule stąpał wygalonowany poganiacz. Cesarz Józef będąc w Wersalu z uśmiechem patrzał na ten ceremoniał, znał bowiem smutny stan finansów za czasów Ludwika XVI!

— Musisz miéć wiele pieniędzy siostro—rzekł raz do Maryi Antoniny—skoro używasz do ich powożenia tylu ludzi i tyle bydląt?

Królowa wyznała bratu, że ma dziesięć talarów w całym skarbie.

Z wielkiém współczuciem wspomina Janin naszą Maryą Leszczyńską. „Córka Stanisława—mówi on—miała szczególne upodobanie w malarstwie. Była to artystka w całém słowa znaczeniu. Wymalowała dla męża, który ją tak zaniedbywał, piękną głowę Madonny, pod kierunkiem nadwornego malarza Toque. W muzyce była zarówno biegła: wybornie grała na gitarze i klawikordzie. Czytywała z upodobaniem poważne dzieła historyczne. Umiała wszystkie języki literackiéj Europy. Przyjemna, ożywiona w rozmowie, nie obmawiała nikogo. Nie mieszała się w żadne intrygi polityczne. Chciwa światła żądała aby jéj tłumaczono znaczenie każdéj rzeczy. Dobroczynna do najwyższego stopnia, zdobyła sobie poszanowanie dworu i uwielbienie powszechne.

„Dobra królowa—ciągnie Janin—wyrażała się w prawdziwie uroczy sposób. Kiedy zmarł w zamku Chambord marszałek Maurycy Saski, słynny zwycięzca z pod Fontenoy, w skutek pojedynku z księciem Conti, żałowała go szczerze.

— Jaka to szkoda—mówiła—(przypominając sobie iż był protestantem), jaka szkoda że nie możemy zaśpiewać *De profundis* temu, z którego łaski tylokrotnie śpiewaliśmy *Te Deum!*

Był w gronie dworskich panów jakiś oryginał, samochwał, z którego wyśmiewali się wszyscy. Powtarzał on co chwila: „Śmiejcie się! bądź co bądź, jestem zawsze księciem Karolem.“ Kiedy przedstawiono u dworu panią de Pompadour, panowie dworscy zaniedbali widocznie królowę, a obrócili się ku wschodzącemu słońcu.

— Mniejsza o to—szepnęła Marya Leszczyńska do ucha księżnéj Luynes—niech się kłaniają, bądź co bądź jestem zawsze księciem Karolem!

Długo i szeroko opisuje Janin ten dwór tak błyszczący napozór, wewnątrz tak bezmyślny i skażony, tak pyszny i płaszczący się zarazem. Całą umiejętnością owych rozprożnowanych panów była heraldyka. Klassyfikacya stworzeń Buffona, nie zajmowała ich bynajmniéj. Z pomiędzy ptaków znali tylko orła, papugę, kosa i koguta, z pomiędzy ryb: lina, delfina i muszlę; z roślin: lilije i inne kwiaty heraldyczne. „Lilije ani orzą ani sieją!“ słowa te stały się dla nich godłem!

Dumni ci panowie i te wytworne panie, świetna ta gawiedź dworska współubiegała się wzajem o wyrobienie sobie jakiejś *specyalności*. Jakaż to była ta specyalność? Oto książe Villeroy zażywał tabakę z wdziękiem posuniętym do artyzmu; książe Villequier z równym artyzmem wyciągał z kieszeni chustkę zahaftowaną w herby. Pani Pompadour sławna była z wykrzykników, nikt od niéj lepiéj nie modelował głosu wołając: Oh! Ach! Ej! Hrabina Egmont kłaniała się z nieporównaną gracyą: wszyscy w katedrze zwracali na nią oczy, gdy się pochylała przed ołtarzem. Marszałkowa Mirrepoix nosiła artystycznie perły i klejnoty. Inne panie celowały w sztuce powiewania wachlarzami, zbierały całe ich kollekcye, wyrabiane z misterną dokładnością, wysadzane dyamentami, zdobne pędzlem Bouchera i Vatteau, piérwszych malarzy wieku!

W tym jednak Wersalu, tak nadętym i lekkim, tak skrępowanym etykietą, był jeden zakątek, do którego nie sięgały prawa dworskiego ceremoniału, gdzie nie brzmiały chóry nikczemnych pochlebstw.

„Chodźcie ze mną do kaplicy zamkowéj—rzecze Janin—przedrzyjmy się przez strojną ciżbę, stańmy na przeciw kazalnicy Massiliona. Wkoło króla tłoczą się książęta krwi, hetmani, członkowie parlamentu. Wiedzą oni że najostrzejsze prawdy potrącą niebawem ich ucho. Śmiałość słowa nie zgorszy ich ani zadziwi. Jakiż to jasny promień Bożego światła potrąci niebawem ich duszę! Bo jakąż to prostotą ewangieliczną, jakim duchem miłości chrześcijańskiéj, tchnie każde

słowo mówcy w pięknéj homilii *O przebaczeniu uraz, o szczęściu sprawiedliwych!*

Wdzięczni za te nauki wiekuiste — ciągnie autor — uczcijmy przedewszystkiém tę kaplicę chrześcijańską, ową najpiękniejszą instytucyą, jaką świat zawdzięcza chrześcijańskiemu kościołowi. Wyższa ona nad wszelkie społeczne przewroty, nie lęka się odmian właściwych rzeczom ziemskim. Starożytność nie miała nic równego. Sokrates i Platon w radach swoich myśleli tylko o mędrcach i bogaczach. Ewangielia dopiero wygłosiła filozofią dla ubogich i nieszczęśliwych, dla nieświadomych i pokornych w duchu prostaczków, dla tych maluczkich, którzy wiedzą tylko, że dusza ludzka nieśmiertelna, że stworzona na obraz Boży! „Bourdaloue, Massilion, nie wiedzieli nic więcéj!“

Kto odczytał z uwagą kazania Massiliona—mówi daléj Janin—znajdzie w nich żywą historyę téj epoki. Wszelkie niebezpieczeństwa świata, wskazane tu dobitnie. Jakże on surowo chłoszcze tych wszystkich, którzy w pysznych swych pałacach rozdzielają między siebie łupy zdobytych miast i opanowanych prowincyj! Z Pisma Swiętego przytacza przedewszystkiém upadek Dawida, szalony obłąd Salomona, zgorszenie dworu Herodowego, wyuzdane rozpusty Baltazarowe! Nigdy wielki mówca nie okazał tak cudnéj potęgi jak w sławném kazaniu o *małéj liczbie wybranych*. Z ust jego padały pioruny i błyskawice. Dwór cały w milczącém zachwyceniu, przerażony trwogą, słuchał tych słów proroczych. Nagle ogarnia obecnych tak gwałtowna boleść, taki postrach, że jakby na dane hasło, wszyscy mężczyzni i kobiéty, starcc i młodzi, zrywają się z miejsc, wyciągają ręce ku niebu, błagają miłosierdzia!

Póki świat światem—ciągnie autor—słowa te pozostaną w ludzkiéj pamięci, ognistemi wyryte zgłoskami. „Ziemia—woła ten nowy prorok—zarażona zepsuciem tych, którzy ją zamieszkują! Wszyscy pogwałcili prawa, zburzyli ład, złamali przymierze, które miało być wiecznem! wszyscy popełniają bezrządy! Niesprawiedliwość, kłamstwo, zdrada, potwarz, słowem najczarniejsze zbrodnie rozlały się po ziemi niby straszliwa powódź. Brat stawia zasadzki na brata, ojciec rozdzielon z dziećmi, mąż z żoną! chciwość rozprzęga wszelkie węzły! Dobra wiara już dziś tylko cnotą prostaczków! Nienawiść trwa w sercach wiekuista, pojednanie jest kłamstwem; nikt nie widzi brata w nieprzyjacielu: wszyscy szarpią się wzajem, drą jedni drugich, cnota sama nie zabezpiecza przeciw jadowitym językom. Uczty, owe niewinne węzły łączące społeczeństwo, zarażone dziś zbytkiem; zabawy publiczne zamienione w szkołę rozpusty! Wiek nasz widzi bezeceństwa, jakich nie znali ojcowie. Miasto nasze stało się grzeszną Niniwą, dwór stekiem wszelkich namiętności ludzkich! wszystkie stany, skażone do gruntu: ubodzy szemrzą przeciw dłoni, która ich chłoszcze, bogacze przepominają, komu winni obfitość. Wielcy świata sądzą, że zrodzeni dla siebie samych; rozwiązłość w ich oczach jedynym przywilejem ich rodu! Sól ziemi zwietrzała, lampy Jakóbowe zagasły,

Przybytki święte zmienione w targowisko, a kapłan podobien dziś ludowi! O Boże! zwaćże to kościołem Twoim, i zgromadzeniem świętych? drogiém Twojém dziedzictwem, ulubioną winnicą Twoją? przedmiotem Twojéj pieczy i miłości? Byłaż przestępniejszą w oczach Twoich nieszczęsna Jeruzalem, gdy w nią ugodził grom klątwy wiekuistéj?"

Jakże te słowa przypominają nam prorocze gromy Skargi?

Z kaplicy wersalskiéj przeprowadza nas Janin pod sklepienia pałacu Mazariniego. Akademia francuzka, pod któréj tarczą wyrobił się język w wielkiéj epoce Ludwika XIV, była jeszcze przez ciąg XVIII wieku szkołą wdzięku, ogłady i wytworności literackiéj. Te zalety przeszły jednak w nadużycie. Ztąd Monteskiusz tak określił przesadę akademicką: „Niech kto przypuszczonym zostanie do tajemnic naszego zgromadzenia, zmora panegiryzmu chwyta go za gardło i nie puszcza do śmierci!"

Mimo sypiących się na nią epigramatów, zwłaszcza ze strony tych, którzy napróżno kołatali w jéj podwoje, akademia żyła otoczona promienistą aureolą. Nieśmiertelne grono dzieliło się na mecenasów i protegowanych. Do pierwszych należeli pierwsi dostojnicy koronni: książęta, biskupi, marszałkowie Francyi; do drugich mężowie prawdziwéj nauki i talentu jak: Fontenelle, Monteskiusz, Buffon, Delille, d'Alembert i tylu innych, których imiona złotemi zgłoskami zapisane w literaturze.

Kiedy Maurycy Saski, syn naszego Augusta II, wrócił w tryumfie do Paryża, okryty wawrzynami z pod Racoux i Lawfeld, akademia, biorąc udział w powszechném uniesieniu, ofiarowała mu wakujące krzesło. Ale dzielny wojownik, otoczony rzeczywistą chwałą, nie pragnął niezasłużonego zaszczytu. Odpowiedział z całą prostotą, że akademia, pomieszczając go w swojém gronie, chybiałaby rzeczywistego celu, on bowiem nie zna nawet prawideł ortografii. Zachowano po nim sławny list: „Powiedziałem im, że ten zaszczyt tak samo przystoi dla mnie, jak pierścionek dla kota. Lękam się śmieszności, a to byłoby wielką w oczach moich."

Oto ortografia tego listu: „*Je leur ai dit, que cela mallet come une bage à un chat. Je crains les ridigules et secy man paret un!*"

Oprócz wielkiego ogniska, jakiém była akademia, istniały w Paryżu inne jeszcze ogniska niemniéj świetne a równie wpływowe, w salonach znakomitych opiekunów literatury. Zwano ich powszechnie *wirtuozami*; liczba ich była wielka w ciągu XVIII wieku. Żywszym jeszcze blaskiem świeciły salony sławnych *wirtuozek*, jak panie de Tencin, du Deffand i Geoffroi. Zobaczmy jak Janin określa te literackie salony:

„Pani de Tencin, po burzliwie przeżytéj młodości, rzuciła się w literaturę, otoczyła gronem filozofów, poetów i uczonych. Dowcipna i szorstka zarazem, nazwała zebrania te swoją menażeryą, gości, swojemi zwierzętami „*ses bêtes*." Dwaj lwy porykały w tém gronie:

Fontenelle i Monteskiusz. Małpy, jak d'Argental i la Popelinière, bawiły wszystkich dziwacznem wydrzeźnianiem. Nie jeden lis wietrzył nozdrzem, czyhając rychło się zakradnie do kurnika akademickiego. Pani de Tencin pasła troskliwie swoję menażeryą, dbała o jéj potrzeby: na nowy rok encyklopedyści otrzymywali od niéj w darze po kilka metrów aksamitu na najniezbędniejszą część ubrania. Znać lękała się przezorna *wirtuozka*, aby salon jéj nie zamienił się z czasem w klub sankiulotów! —Chcecie mieć powodzenie—mawiała do zwierząt swoich—umiejcie zaskarbiać sobie przyjaźń kobiet, ale przyjaźń tylko, nic więcéj.

Przyjaźń jéj okazała się w rzeczy saméj pożyteczną dla nie jednego. Dzięki jéj wpływom nie jeden z nieśmiertelnych zawdzięczał jéj swój fotel.

Inna nawrócona grzesznica, wplątana niegdyś w skandale regencyi, głośna pani du Deffand, potrafiła też utworzyć świetny salon, złożony z dyplomatów, ministrów, filozofów, artystów i poetów. Słynęły wytworne jéj wieczerze. Wolter królem był zgromadzenia, Pont de Veyle nieodstępnym satelitą gospodyni. W korrespondencyach Grimma czytamy charakterystyczny obraz téj kobiety, tak sławnéj w swoim czasie.

„Wyobraźmy sobie—mówi on—panią du Deffand ślepą, w ogromnym fotelu, podobnym do beczki Dyogenesa. Stary przyjaciel Pont de Veyle leży na berżerce przy kominie.

Oto ostatnia ich rozmowa.

— Pont de Veyle!

— Pani!

— Gdzie ty jesteś?

— Przy kominie twoim, jak zwykle.

— Trzeba przyznać że mało na świecie związków przetrwało lat tyle jak nasz związek.

— Prawda, prawda niezaprzeczona!

— Pięćdziesiąt lat z górą! A w tym przeciągu czasu najlżejsza chmurka nie zamąciła półwiekowéj harmonii!

— Bom ja zawsze uwielbiał jednakowo!

— Inny ja widzę powód! Ta bezprzykładna zgoda czyż nie dowodzi, mój Pont de Veyle, że w gruncie rzeczy byliśmy zawsze obojętni dla siebie?

— Kto wie, może masz słuszność pani!

Z pomiędzy tych wszystkich salonów, szkołą prawdziwéj wytworności i ogłady francuzkiéj był salon pani Geoffrin.

Pani Geoffrin nie należała do arystokracyi, ani nawet do szlacheckiego rodu, co tyleż znaczyło w owym czasie. Mimo to jednak, z całą prostotą, bez pretensyi, bez pedantyzmu, dzięki tylko nieporównanéj uprzejmości, połączonéj z nadzwyczajnym taktem, postawiła swój salon na takiéj stopie, że najpierwsi panowie, najsłynniejsi literaci, dobijali się o wstęp do jéj domu, widząc w tém najwyższy zaszczyt.

Mąż jéj, dyrektor wielkiéj fabryki zwierciadeł, na co miał wyłączny przywiléj, prowadził zręcznie handlowe interesa, lecz w salonie odgrywał rolę nic nieznaczącą. Widywano go na zebraniach, ale większa część gości nie znała go nawet z nazwiska.

— Co się też stało—zapytał ktoś panią Geoffrin—z tym biednym człowieczyną, którego widywaliśmy tu czasami; siadał spokojnie w kąciku i nigdy nic nie mówił?

— To był mój mąż; umarł niedawno—odrzekła spokojnie zagadniona.

W czternastym roku życia wydana za mąż, bez udziału własnéj woli, pani Geoffrin przeżyła z tym człowiekiem młodość i wiek dojrzały w niezmąconéj jedności i zgodzie, jak gdyby najtkliwsza miłość połączyła ich z sobą. Wzorowe postępowanie, w czasach tak zepsutych, zjednało jéj powszechne uznanie. Wyższa ta nad swój czas kobieta umiała być surową bez pedantyzmu. W salonie jéj panowała zupełna swoboda, ale niechby kto przekroczył granice przyzwoitości, niechby rzucił jakieś dwuznaczne słówko, rozumna gospodyni jedném spojrzeniem przyprowadzała go do porządku. Zabraniała wszelkich złośliwych żartów, nadewszystko obmowy.

Salon ten uważany był ogólnie za wzorową szkołę ogładności francuzkiéj. Tu kształcili się młodzi cudzoziemcy, czasowo przebywający w Paryżu. Jednym z wychowańców owéj szkoły był, jak wiadomo, Stanisław August Poniatowski.

W liczbie najsłynniejszych ówczesnych *wirtuozów* mieści Janin barona Holbach, zagorzałego filozofa, zwolennika encyklopedyi. W jego domu zbierali się wszyscy koryfeusze nowych idei, którzy śmiałemi teoryami burzyli stare społeczeństwo. Autor prowadzi nas w progi Holbacha, pokazuje wpływ nowatorów na młode, niedoświadczone umysły; opowiada przygodę hrabiny Valmont, w pełnym życia i prawdy obrazku. Powtarzamy go w treści.

O sto mil od Paryża, pomiędzy Lyonem a Marsylią. mieszkał hrabia Valmont z żoną i jedynakiem synem. Hrabia, lubo potomek starożytnych krzyżowców, nie odziedziczył po naddziadach rycerskiego ich ducha. W młodym wieku służył wojskowo, walczył z Prusakami, utracił rękę pod Rocroy. Spłaciwszy w ten sposób dług krwi, powrócił do cichego gniazda, zawiesił na haku pordzewiały oręż i z zamiłowaniem orał zagon ojczysty. Poślubił wówczas młodą krewnę, żył z nią w wzorowéj zgodzie i miłości. Całą nadzieją ich na przyszłość był ukochany syn Albert.

Dwadzieścia lat przebiegło jak sen, w cichém i pracowitém życiu. Hrabia byłby zupełnie szczęśliwy, gdyby nie dokuczliwa podagra, która nawiedzała go coraz częściéj. Hrabina, pełna jeszcze uroku, nie wybiegała nigdy myślą poza obręb domowych progów. Albert dwudziestoletni młodzian, skromny, pełen rzeczywistych zalet i głębokiego poszanowania dla rodziców, ożywiał ich spokojne ustronie.

Dni ich płynęły jednostajnie, jak łożysko téj rzeki co użyzniała ich łąki i pola. Że jednak nic nie ma trwałego na świecie, tu właśnie rzeka zamąciła im spokój. Właściciele okolicznych zamków odwrócili nagle jéj koryto. Byli to potentaci, wysoko postawieni u dworu. Walka z nimi trudna! wypadek wątpliwy!

Hrabia Valmont od lat dwudziestu nie zajrzał do Paryża. Co gorsza, podagra, jak zwykle bywało w listopadzie, przykuła go do progów. Synowi brakło doświadczenia i powagi, aby przeprowadzić zawiły proces. Rozpacz ogarnęła starego szlachcica. Jak tu zaradzić złemu? Majątek bez rzeki utraci całą wartość!

Żona przyszła mu z dobrą radą.

— Mężu a panie mój—rzekła łagodnie—mamy przecie w Paryżu krewnych. Mój dziadek chodził w todze gronostajowéj, mój rodzony stryj Telusson nosi biret z galonem jako prezydent parlamentu. Gdybyś mi pozwolił...

— Jedźże sobie do dyabła—zawołał hrabia, chwytając się za bolącą nogę.

Żona umilkła, zasiadła spokojnie przy krośnach; po chwili namysłu, mąż przywołał ją do siebie.

— Nie ma innéj rady—rzecze spokojniéj—zabierz się jejmość co żywo do Paryża, Albert zostanie ze mną.

W kilka dni potém nastąpiło pożegnanie. Hrabia ściskał żonę ze łzami. Kochał ją gorąco, ona była jego aniołem stróżem. Drżał na myśl, że sama, bez opieki, puszcza się w daleką i niebezpieczną podróż, by ocalić ojczystą chudobę.

Po całotygodniowéj drodze, hrabina przybyła do Paryża. Przed stu laty, przybysz z prowincyi nie stawał broń Boże w domu zajezdnym. Tak w pałacu magnata, jak w dworku mniéj zamożnéj szlachty, znajdowały się gościnne komnatki na pomieszczenie krewnych i przyjaciół. Hrabina zajechała wprost do krewnéj swojéj, baronowy Holbach, żony znanego filozofa encyklopedysty. Przyjęto ją z serdeczną gościnnością, otoczono życzliwą opieką i względami.

Życie paryzkie w towarzystwie wytwornem dziwnie przypadło do smaku młodéj jeszcze hrabinie. Raz w tydzień bywała na komedyi, raz w tydzień na operze, resztę wieczorów spędzała w salonie krewnych, wśród wyborowego grona uczonych i poetów, o których ubiegał się cały Paryż. To téż, kiedy stryj prezydent oświadczył bratance, że proces jéj, lubo wygranym będzie niewątpliwie, wymaga jednak dosyć długiego czasu, ta zwłoka wcale jéj nie przeraziła.

Hrabina przystrojona po paryzku odmłodniała o jakie lat dziesięć. Nie brakło téż pomiędzy młodzieżą i takich, którzy poczęli szeptać jéj na ucho pochlebne słówka. Obrażona tą zuchwałością, zacna kobiéta umiała tak zręcznie a tak stanowczo odpalić natrętnych śmiałków, że młodzież trzymała się od niéj opodal. Zabezpieczona własną powagą przeciwko niewczesnym zalotom, nie potrafiła jednak uchronić się innéj pokusy ze strony filozofów. Codnia przy wieczerzy

nakłaniała pilnie ucho na uczone rozprawy, w których szydzono bez litości ze wszystkiego, w co wierzyli starzy ojcowie. Rozprawy te były tém niebezpieczniejsze, że prowadzone z całą ogładnością salonową, w sposób niesłychanie dowcipny.

Zrazu hrabina walczyła sama z sobą, wkrótce jednak wpadła w zasadzkę. Wczoraj jeszcze głęboko wierząca, dziś zaczęła o wszystkiém rozmawiać. Stanąwszy raz na pochyłości, staczała się coraz głębiéj w odmęt zwątpienia. Tém większe zagrażało niebezpieczeństwo, że przewodnikami jéj na téj drodze byli genialni nowatorowie XVIII wieku.

Piérwszy z nich nazywał się baron Grimm. Mówił cicho, dobitnie mierzonemi słowy. Szydził z uczciwości kobiét, nie wierzył w sprawiedliwość. Zapisywał pilnie kronikę skandaliczną miasta i dworu i zabawiał nią przy wieczerzy towarzystwo barona Holbach. Był on raczéj Niemcem niż Francuzem: książe Saxe-Gotha nadał mu tytuł barona i mianował go pełnomocnikiem swoim w Paryżu.

Drugi z tych filozofów był to Genewczyk, dojrzałego już wieku. Po wielu przygodach i burzliwych kolejach życia przybył nareszcie do Francyi. Posiadał on nadzwyczajny dar wymowy: słowo płynęło z ust jego, niby kipiący potok: porywał i czarował wszystkich. Z szczególném upodobaniem rozwalał starożytne społeczeństwa; szarpał kodeksa praw uświęcone wiekami. Zacięty wróg kobiét, chłostał je tysiącem obelżywych pocisków; kobiéty przepadały jednakże za nim. Był to Jan Jakób Rousseau!

Trzeci niebezpieczniejszy jeszcze, buchał wciąż ogniem i dymem, istny krater Wezuwiuszu. To zuchwały i pyszny, rzucał pioruny gniewu, to znów przymilał się i wdzięczył. W wiecznéj pogoni za widmem prawdy, szukał go na prawo i na lewo, ale nigdy nie patrzał wprost przed siebie. Był to Diderot, orator salonowy i uliczny. Przyjaciel zagorzały ludu, umiał przecież zaskarbiać sobie względy wielkich panów, pisał powieści głośne w całym świecie i dramata obsypywane grzmotem oklasków.

Bywał téż w domu barona Holbach człowiek surowego oblicza, z poważnym uśmiechem na ustach. Nie pociągał z razu ku sobie, ale kiedy pękły piérwsze lody, oczy wszystkich zwracały się ku niemu, uszy wszystkich skwapliwie chwytały jego słowo. D'Alembert, gdyż to był on, odgrywał wielką rolę w Europie, jako prezes dwóch akademii. Fryderyk II król pruski i inni monarchowie wzywali jego rady. Nie wdawał się nigdy w rozprawy, lecz objawiał stanowczo zdanie jak wyrocznia, a nikt nie śmiał mu przeczyć. Opowiadano w cichości przygodę prawdziwie dlań zaszczytną. Porzucony niemowlęciem na wschodach kościelnych, został podjęty i wychowany przez prostą kobietę z ludu, ubogą żonę szklarza. Późniéj, kiedy sława imienia jego przebiegała z ust do ust po świecie, wielka jedna pani zapragnęła uznać w nim syna i oddać mu cały majątek.

— Przebacz mi pani—odrzekł d'Alembert, z głębokim pokłonem—ja jestem synem ubogiéj żony szklarza.

W tém zebraniu filozofów, hrabina Valmont spostrzegła dnia jednego jakąś wychudłą postać, skuloną w fotelu przy kominie. Oczy nieznajomego płonęły jak rozżarzone węgle; dziwny uśmiech igrał na wązkich jego ustach. Każde słowo tego człowieka, niby rozpalone żelazo, wyciskało stępel na sumienie słuchaczów. Śmiech jego powalał baszty cytadel i dzwonnice kościołów, burzył nie jednę rozgłośną sławę. Strojny jak wielki pan, odróżniał się od wszystkich wytwornością, a podczas gdy towarzysze pióra dobijali się o skromny tytuł obywateli, on tytułował się hrabią z Ferney, dworzaninem królewskim. Z piérwszego rzutu oka hrabina poznała w nim Woltera. W szczerém uniesieniu podniosła do ust jego wyschłą rękę, na któréj błyskał rubin z pod brabanckich koronek.

Do téj akademii, równie sławnéj jak akademia francuzka, znajdowały przystęp i kobiety. Słynna Clairon, powtarzała tu role swoje przy ogólném poklasku. Pani du Chatelet górowała tu nauką, inne wymową i dowcipem.

Łatwo pojąć jak wielki wpływ świetni ci sceptycy, głosiciele nowych doktryn wywarli na umysł pani de Valmont. Na schyłku XVIII wieku, cała przepaść oddzielała prowincyą od stolicy. Panie wiejskie mówiły jeszcze językiem podobniejszym do gwaru ludowego, niż do języka wytwornych salonów paryzkich; ubierały się jeszcze w robrony i kornety prababek. Szlachta wiejska nosiła opończe dawnego kroju, orała sochą drewnianą zamiast pługa. Przy takiém zacofaniu, nic dziwnego, że chciwy nowości umysł hrabiny nie zdołał się oprzéć tylu czarom. Jak gałązka oderwana z pnia dębu silnym prądem, tak i ona popłynęła niebacznie z biegiem rzeki.

— Trzeba przyznać—mówił Diderot—że jak na parafiankę, piękna hrabina wielkie już uczyniła postępy.

Postępy te byłyby większe, gdyby nie oddziaływały przeciw nim chwile spędzone w domu stryja prezydenta. Był to człowiek surowych zasad, niezłomny chrześcianin, zacięty wróg nowości filozoficznych. Ledwie że się zgodził, i to nie bez oporu, na postęp wskazany w Duchu praw Monteskiusza. Mieszkał on na *Marais*, w wielkiéj kamienicy odziedziczonéj po pradziadach. Ze ścian domu tego, pokrytych odwiecznemi makatami, powiewała starodawna atmosfera. Ciągnęły się tu szeregiem portrety antenatów, poważnych członków parlamentu z rodziny Telusson. Matrony trzymały w ręku różyczkę, mężowie szalę sprawiedliwości. Oprócz prawników i pachołków sądowych mało kto odwiedzał te progi. Z pomiędzy dawnych przyjaciół bywał tu tylko co czwartek na obiedzie ojciec Mikołaj Petitpied, doktor Sorbony, szkolny niegdyś towarzysz prezydenta. Obaj starce utyskiwali wzajem na nieszczęśliwe czasy, jakich przyszło im przed śmiercią doczekać. Hrabina brała téż udział w tych czwartkowych obiadach; słyszała skargi doktora sorbońskiego na ten nawał gorszących ksią-

żek, które bałamucą umysły i prowadzą do zguby społeczeństwo. Wszystkie te książki znajdowała w bibliotece barona Holbach... znajdowała tam i sławną Encyklopedyą. Czytała ją też z tą chciwością, jaką zakazany owoc zwykł budzić w umyśle niewieścim.

Głowa hrabiny uległa zewnętrznym wpływom, lecz serce jéj pozostało czyste i niewinne. Przywiązana do męża, chętnie przebaczała mu nudne gdyralstwo; całą duszą kochała syna. Co tydzień pisywała do młodzieńca listy pełne macierzyńskiéj miłości, lecz zarazem świadczące o wielkim przewrocie umysłowym, czyli jak mówiła o postępie rozumu swego. Opowiedziawszy w kilku słowach stan procesu, powtarzała wiernie filozoficzne rozprawy zasłyszane w salonie barona Holbach. To objawiała się gorącą zwolenniczką religii naturalnéj, to znów powstawała na przesądy rodowe, utrzymując że według praw równości, syn galernika stoi w jednym rzędzie z księciem i parem. Zrozumiała nakoniec, jak mówi, że siła uczuć, niezależna od woli naszéj, usprawiedliwia dostatecznie błędy kobiét, że zatém moraliści w wielkim są błędzie, narzucając konieczność dochowania wiary zaprzysiężonéj przed ołtarzem. Co do stosunku dzieci względem rodziców, widziała w istniejących obyczajach niesłychaną przesadę. Jakiémże prawem, pyta, rodzice mogą wymagać takiéj uległości i abnegacyi za krótkotrwałą opiekę w czasach niemowlęcego niedołęztwa? Zwalniała niemniéj sługi z uległości ku panom, dodając że według teoryi p. Melon, dzierżawca nawet niéma płacić umówionéj kwoty właścicielowi. Nie rozumiała potrzeby obrzędów religijnych, które zabierają tyle drogiego czasu. Ilekroć pierś jéj potrąciła o jakiś skandalik, broniła zawsze kobiety upadłéj, potępiając surowo ojców rodzin, którzy dla światowych względów nie pozwalają dzieciom iść za pierwszym popędem serca. Tak pan Wolter bronił w komedyi Naninę.

Albert czytał z najwyższym podziwem te listy matki ukochanéj; nieraz przecierał oczy, jakby chciał rozpędzić złudny tuman; nieraz przyglądał się pismu i pieczątce, nie pewien czy w rzeczy saméj ręka matki kreśliła te słowa. W tym nawale paradoksów, w téj mięszaninie prawd i dziwacznych mrzonek, nie rozpoznawał zdrowego jéj umysłu i ciężko bolał nad tak niespodziewaną przemianą.

Dziwił się niemniéj i gorszył prezydent Thelusson, słuchając raz przy czwartkowym obiedzie śmiałych dowodzeń bratanki w obec poważnego doktora sorbońskiego.

Obaj starzy spoglądali na siebie, ruszając ramionami. Przed końcem obiadu wstali przejęci zgrozą.

Nazajutrz z rana, właśnie kiedy prezydent domawiał litanii, spostrzegł wchodzącego przyjaciela.

— Nie zmrużyłem dziś oka—rzecze ojciec Mikołaj—bratanka twoja zginie, jeśli pójdzie daléj tym torem.

— Biédne dziecko! stoi nad przepaścią—odparł prezydent.— Święty chyba mógłby wyrwać ją cudem z tego piekła.

— Nie trzeba na to świętego—odrzecze doktor—wystarczy trochę dobréj woli. Należy przedewszystkiém odesłać tę żonę do męża, tę matkę do syna, tę zbuntowaną chrześciankę do plebana. To też mój bracie, przyspiesz czémprędzéj proces! Mniejsza o to czy go wygra, czy przegra! Tu idzie o rzecz ważniejszą, o życie lub śmierć biédnéj duszy. Niech raz opuści ten dom zapowietrzony!

Prezydent wziął do serca radę doktora; użył wszelkich wpływów, przyspieszył sprawę. Dwa tygodnie zaledwie upłynęło, proces przeszedł wszystkie formalności, wyrok zapadł na rzecz hrabinéj. Uszczęśliwiona pani Valmont zapominając słów barona Grimm, że wdzięczność niewolą jest serca, dziękowała ze łzami stryjowi za opiekę i pomoc.

— Moje dziecię—rzekł poważny prezydent—chceszli mi dać dowód wdzięczności, uciekaj czémprędzéj z tego strasznego topieliska! Porzuć te mądre rozprawy, co cię tak żywo zajmowały, wracaj do obowiązków żony, matki i pani domu. Za powrotem podziękuj Bogu, że cię doprowadził szczęśliwie do miejsc, których nie należało nigdy opuszczać! Napisz do mnie za miesiąc, a teraz przyjm córko marnotrawna stryjowski uścisk, wraz z błogosławieństwem mądrego przyjaciela mego doktora.

W trzy dni potém, hrabina puściła się w podróż, uwiadomiwszy syna i męża o szczęśliwym końcu sprawy i niechybnym powrocie.

Po sześciu miesiącach, strawionych w tym burzliwym Paryżu, wśród ciągłych rozpraw i sporów, pani Valmont pełną odetchnęła piersią pod wpływem zielonych pól i błękitnego nieba. Gorączka ustąpiła, umysł jéj wytrzeźwiał jakby czarem. Całodzienna podróż ukołysała ją, w duszę wpłynął niepojęty spokój. Wracała drogą znaną; kwiecień rozwinął drzewa, potrząsł łąki wonnym kwiatem, słonko stopiło szczątki śniegów na wzgórzach, ptastwo świegotało pieśń wiosenną.

Hrabina przebyła już Burgundyą. Każda chwila zbliżała ją do domu. Szóstego dnia serce jéj uderzyło przyspieszoném tętnem, mała przestrzeń oddzielała ją tylko od męża i od syna. Wychylała głowę z powozu: kto wié!—mówiła sama do siebie—może oni wyjadą na spotkanie! Zaleciał ją wreszcie zapach rodzinnéj ziemi. Otóż kopce graniczne! ot... i krzyż na rozstaju! Krzyż postawion ręką pradziada! Czemuż ten Chrystus tak opuszczony? nikt nie położył tu wianka, nie zatknął choćby zielonéj gałązki! Na drodze pusto, a ich niéma... jak niéma!

Otóż i wieś, i zamek Valmont! We wsi jakby wymiótł... kmiecie pracują w polu, orzą i sieją zboże. Powóz pocztowy zakręca przez bramę w podwórze, staje przed gankiem. Ale cóż to! nikt nie wychodzi z progu?... pusto... cicho... jakby wszyscy wymarli!

Hrabina wysiada, przebiega wschody... otwiera drzwi... spostrzega wreszcie męża i syna... Siedzą pod oknem w wielkiéj sali. Uradowana bieży ku nim, wyciąga ramiona... serce jéj bije na gwałt. Cóż

to? obaj powstają chłodno, podają jéj rękę po angielsku. Tym obyczajem witano się i żegnano w salonie barona Holbach.

W głowie jéj dziwny odmęt. Drży jak liść.... nogi zachwiały się pod nią. Bezsilna upada na krzesło. Mąż i syn siedzą spokojnie w fotelach swoich. Żaden z nich nie zagadnie o szczegóły procesu, nie dziękuje za podjęte mozoły, nie pyta ją nawet o zdrowie, nie poczęstuje winem, ani owocem. Rzekłby kto, że się rozłączyli przed godziną.

Domownicy wchodzą i wychodzą z sali, żaden jéj nie powita. Przemawiają do panów z niezwyczajną poufałością.

Zdumiona hrabina otwiera wielkie oczy, pyta syna, zkąd tak poufałe obejście domowników?

— Czyżeś matko nie uczyła nas w listach—rzecze syn—zasad najzupełniejszéj równości. Dzięki tobie niema już w majątku Valmont ani sług ani panów. Zrealizowaliśmy najdokładniéj rozprawę twego dobrego przyjaciela Jana Jakóba Rousseau, obywatela z Genewy „*O równości społecznéj*" i każdy dziś w domu robi co mu przejdzie przez głowę. Ten poluje na skrajach lasu, tamten łowi ryby w stawach naszych. Komu potrzeba drew, bierze w rękę siekierę, kto chce siana, idzie na łąkę z kosą: nie podziękuje nawet! Będziesz tu matko zupełnie jak w Paryżu!

Albert nie domówił jeszcze, gdy ozwał się gruby głos Fonora, ulubionego brytana hrabinéj. Wierny pies posłyszawszy panią, zerwał się z łańcucha, wpadł do sali, i począł lizać stopy jéj z przymileniem.

— Poczciwy mój Fonorze!—zawołała hrabina—tyś mnie przynajmniéj nie zapomniał!

Stary hrabia powstał co żywo z krzesła, kopnął psa nogą, wypędził go z pokoju.

— Godziż się tak obchodzić z biedném zwierzęciem—rzecze żona w widoczném podrażnieniu.

— Pisałaś pani w jednym z listów—odpał zimno hrabia—że u zwierząt czucie nie wyrobione, a więc chłosta nie bardzo im dolega. Tak utrzymuje przyjaciel twój La Mettrie!

W téj chwili wbiega pokojówka Marcysia wychowanka hrabinéj.

— Albercie—rzecze, nie spojrzawszy nawet na panią—wszak zabroniłeś przystępu plebanowi, on się tu gwałtownie wdziera; chce jak mówi powitać twoję matkę.

— Niech się nie waży przestąpić tych progów, inaczéj wytropię go jak dzika z kniei. To rzekłszy pochwycił ze ściany dubeltówkę.

— O mój Boże!—zuwołała hrabina, załamując rozpaczliwie ręce, gdzie ja jestem? co się tu stało? dom-że to chrześcijański?

Łzy strumieniem puściły się z jéj oczu.

— Ależ pani—odrzekł nieprzebłagany Albert—w siódmym liście, po odwiedzinach przyjaciela twego Diderota, pisałaś mi, że ksiądz to istota szkodliwa, pasożyt, wróg wolności. To własne słowa twoje. Powolny twym naukom, z żalem wyznać muszę, oddaliłem z progów tego starca, który mnie wychował, którego wieś cała błogosławi. Py-

tałem sam siebie co komu zawinił ten starowina? On mnie chrzcił, on przygotowywał na śmierć mego dziadka, on wymaga tak mało; kęs chleba mu wystarczy, a i ten podzieli z ubogiemi! Ale tak wymownie powstawałaś pani na zastarzały przesąd, że rad nie rad musiałem wyprosić go z domu naszego!

— Dobrześ zrobił mój kochany—przerwie hrabia—tém bardziéj że ten człowiek przyszedł tu prosić za owym pogorzelcem, któremu chata spłonęła zeszłéj nocy. Radby wyciągać nam grosz ostatni! Nudziłby mnie napróżno, powtarzając że kościół w opłakanym stanie, że woda wciska się przez dachówkę. My już nie chodzimy do kościoła. Ha! pani hrabino, wdzięczni ci jesteśmy, żeś nas oswobodziła z tych uciążliwych obowiązków.

Biedna hrabina milczy jak słup. Zmierzyła okiem bezdenną otchłań, w jaką pogrążyła dom i rodzinę. Co im tu odpowiedzieć?

Byćże to może pytała sama siebie, aby w pół roku syn mój stał się drapieżném zwierzęciem, mąż mój zimnym samolubem, bez serca, bez litości!

Powstaje wreszcie z krzesła, chce odejść do swoich pokoików. Zajmowała od dawna w południowéj stronie zamku śliczny apartamencik pełen kwiatów i światła; sprzęty i kobierce haftowane były jéj ręką. Albert zastąpił jéj drogę.

— Przebacz pani—rzecze—ale w tych pokojach mieszka teraz ktoś inny.

Hrabina stoi jak wryta; patrzy w męża badawczym wzrokiem.

— Tak jest—odrzekł hrabia—Albert rozporządził niemi. Co chcesz! on się emancypuje! Młodość ma swoje prawa! Słowem zakochany po uszy. Wprawdzie mówiłem mu iż nie wypada, aby dziewczyna z baletu rozpościerała się w twoich kątach. Dziewczyna z baletu! zawołał oburzony, a cóż lepszego od niéj sławna panna Clairon, z którą matka moja spędzała wieczory po dwa razy na tydzień? Tamta stara, moja Nini świeża jak pączek? Clairon wyje jak opętana; Nini tańczy i uśmiecha się do wszystkich; ręce u Clairon pełne krwi, u Nini pełne kwiatów. Matka sama osądzi, przy któréj z nich pierwszeństwo.

— Tak matko—doda Albert—ona jest moją narzeczoną! przyrzekłem ją poślubić, kiedym odczytał jedenasty twój list na cześć panny l'Espinasse narzeczonéj d'Alemberta. Przeznaczyłem dla ciebie tymczasowo pokoje naszego stryja, kawalera maltańskiego. Trochę tam ciemno, wkrótce jednak przyzwyczaisz się do nich. Ale otóż i moja Nini!

Gdy to mówił, wbiegła do sali panienka z twarzyczką uśmiechniętą, z czarném okiem pełném wyrazu. Ubrana w skromną białą sukienkę, miała kwiaty we włosach lekko upudrowanych.

Hrabina objęła wzrokiem śliczną postać: jaka szkoda, pomyślała w duchu.

W téj chwili młodzieniec i panienka rzucają się pokornie do jéj kolan.

— Przebacz mi droga matko, przebacz mi ciężką próbę, i przyciśnij do serca tę, którą przeznaczyłaś mi sama.

— To ty!—wyrzecze z uczuciem pani Valmont, poznając młodziutką Elizę de Verneul—jakżeś mi wyrosła i wypiękniała! Od dawna pragnę widzieć w tobie żonę Alberta.

— Przebacz mi także droga żono przykrość jaką ci sprawiłem, przerwie mąż, przyciskając ją tkliwie do piersi.

Biédna kobieta rozpłakała się rzewnie: były to łzy szczęścia! Bladą i drżącą syn z mężem posadzili w wielkim aksamitnym fotelu.

Na dane hasło, głośny okrzyk rozległ się za oknami.

Tłum wieśniaków i wieśniaczek w świątecznych strojach napełniał dziedziniec zamkowy. Słudzy zastawiali stoły w mięsiwa, ciasta i napoje. Dzwon kościelny uderzył na Anioł Pański. Zabrzmiały fletnie i ligawki; dziewczęta zaśpiewały chórem pieśń godową. Hrabina z sercem rozradowaném witała poczciwy lud wieśniaczy, nigdy nie czuła się tak uszczęśliwioną—jak w tym dniu na zawsze pamiętnym.

Siadano właśnie do stołu, kiedy wszedł stary pleban.

— Gdzież twoja dubeltówka?—zapytał Alberta z uśmiechem.

Hrabina w mgnieniu oka zapomniała o Encyklopedyi, o wieczorach barona Holbach, o świetnych paradoksach filozofii naturalnéj, i stała się znów jak dawniéj zacną matroną, posłuszną boskim i ludzkim prawom!

Nie sądźmy z téj powiastki aby Janin miał być zacofanym legitymistą. Był on eklektykiem w całém znaczeniu słowa; wszędzie i zawsze trzymał się drogi pośredniéj, unikając pilnie wszelkich krańcowych ostateczności. Był eklektykiem w polityce, świadczy o tém miłość dla rodzny Orleańskiéj i wierność z jaką trzymał się Debatów; był eklektykiem w literaturze, widać to z jego teatralnych sprawozdań, z zamiłowania literatury starożytnéj, wreszcie ze sposobu w jaki oceniał talent dramatyczny Ponsarda, który wziął sobie za cel zlać w jedność dwie szkoły, klassyczną i romantyczną. Janin nie odtrącał bynajmniéj idei postępowych, jakie przyniósł rewolucyjny przewrót 1789 roku; czuł on, że to co zamarło, nigdy już nie odżyje, wiedział jednak i głosił z godną poszanowania wytrwałością i odwagą, że między teoryą a jéj zrealizowaniem istnieje cała przepaść. Co więcéj, przekonany był głęboko, że społeczeństwo któreby stargało wszelkie tradycye, wplecione niby nić złota w tkankę dziejów, któreby uważało za główny warunek postępu stanowcze zerwanie z przeszłością, któreby śmiało dźwigając wzręby zachwianego gmachu, zburzyć odwieczne jego podwaliny, zbudowane w kolei wieków, pracą licznych pokoleń; przekonany był powtarzamy: że takie społeczeństwo runęłoby w przepaść, z jakiéj nie powstają narody!

Juliusz Janin w dziele swojém: *Paryż i Wersal przed stu laty*, wyraził tę myśl jasno, w sposób stanowczy. Uważamy też ową ostatnią pracę, jako testament duchowy zasłużonego autora.

Mamy przed sobą ciekawe bardzo dzieło pana Amadeusza Roux o ruchu literackim we Włoszech, w ciągu ostatnich lat piętnastu, to jest od czasu zjednoczenia Włoch r. 1859 do chwili obecnéj. Zostawiamy do jednéj z przyszłych kronik ocenienie téj pracy, dziś powiemy tylko o plejadzie współczesnych kobiét włoskich, przyświecającéj jasno po nad całym półwyspem.

Zwróćmy najprzód oczy na północ. Pod cieniem malowniczych gór Tyrolu, ujrzymy utalentowaną poetkę pannę Franczeskę Lutti. Pod kierunkiem Andrea Maffei, zrodzonego także w Tyrolu włoskim, młoda pisarka rozpoczęła zawód swój literacki, wydaniem dwutomowego zbioru poezyj. Najobszerniejszy w tym zbiorze poemacik *Giovani* przypomina z wielu względów lamartinowskiego Jocelyna. Liryczne pieśni, lubo pełne uroku, nie odznaczają się przecież wyniosłym polotem. Pomijamy więc te młodzieńcze utwory, a przechodzimy do świeżo wydanego poematu p. t. *Alberto*, w którym autorka okazała prawdziwie wyższy talent. Jestto obrazek rodzajowy, zapruszony wesołym humorem.

Bohatér téj współczesnéj epopei, Alberto, nie jest bynajmniéj postacią idealną. Charakter to w gruncie słaby, mimo skłonności do poetycznych uniesień. W ciągu lat dziesięciu kochał szalenie dwie kobiety, niegodne uczuć, jakie w nim obudziły. Zawiedziony w miłości, skruszył pióro, postanowił zerwać z poezyą, a rzucił się w pozytywizm życia. Po krótkiém wahaniu między nauką prawa i medycyny, pochwycił w rękę skalpel, i w lat kilka zdobył jako lekarz wielką sławę we Włoszech.

Nie dosyć to jednak skruszyć pióro, aby zerwać na zawsze z poezyą. Albert nie pisał wierszy, był jednak poetą jak dawniéj: roił, marzył, szukał ideału. Poznał znów i ukochał piękną Malwinę, córkę zamożnego magnata. Zalotna panienka trzymała go zręcznie na uwięzi, lecz unikała pilnie najlżejszego słówka, któreby ją mogło zobowiązywać. Biédny doktor snuł wątek najmilszych nadziei, kiedy nagle Malwina oddała rękę bogatemu patrycyuszowi. Albert przecierpiał wiele, pocieszył się nakoniec, i poślubił ubogą panienkę, szczerze do niego przywiązaną. Na domiar szczęścia młoda małżonka otrzymała w kilka dni po ślubie ogromny spadek. Wszystko to dosyć prozaiczne; według nas przedmiot przypadłby raczéj do powieści prozą niźli do poematu; pan Roux utrzymuje przecież, że brak poetyczności w pomyśle zastępuje hojnie mistrzowska doskonałość wiersza. Jeżeli mamy mu zawierzyć, żaden poeta włoski od czasów Aryosta nie władał tak doskonale rymem, nie opanował tak wszechwładnie języka i nie ścisnął go tak

dzielnie w karby, jak panna Lutti, którą stawia najwyżéj w plejadzie poetek włoskich.

Rzućmy teraz okiem na Wenecyą. Królową tutejszych salonów literackich jest obecnie pani Fua Fusinato. W zbiorze wydanych jéj poezyj lirycznych odznacza się szczególniéj *canzona* do Leopardego. Poetka nie wyrzuca mistrzowi zaciętéj nienawiści, z jaką on wyraża się zawsze o kobiecie; ubolewa raczéj nad smutnym jego losem, nad posuchą serca snać starganego wszelkiemi zawodami. Inny poemat patryotyczny, z powodu przeniesienia stolicy z Florencyi do Rzymu, przyjęty był z oklaskami w całych Włoszech.

Od świetnéj gwiazdy, błyszczącéj nad Wenecyą, przejdźmy do skromnéj poetki, zrodzonéj w maleńkiém miasteczku Recanati, rodzinném téż gnieździe Leopardego. Pani Alinda Brunamonti opiewa z miłością tę cichą ustroń, którą pyszny Leopardi zowie nieznośną dziurą. Zmuszona oddalić się z miejsc rodzinnych, w pieśniach *Note campestri*, żali się na smutną dolę swoję. Piosenki jéj pełne są tęsknego uroku. Przytaczamy jednę z nich *Do jaskółki:*

Kiedy w ogródku, gdzie troskliwą dłonią
Hoduję co dnia ulubione kwiaty,
Ujrzysz, jak kona motylek skrzydlaty,
Jak moje róże zwiędłe główki kłonią:
Wtedy ptaszyno, ach! wtedy czas tobie
W powietrzu smutno czas okrążyć kółko;
Pomyślże wtedy miluchna jaskółko:
Ona zasnęła i spoczywa w grobie!

Uderz w skrzydełka i loty chyżemi
Odwiedź mnie ptaszko o wieczornym zmroku,
Ja cię posłyszę, tam w cmentarnéj ziemi;
W szarą godzinę, gdy wzbiera łza w oku,
Gdy biédne serce tajemnie się żali
Rosie i chmurkom i powietrznéj fali;
Gdy chłodny wietrzyk pogwarza na grobie:
„Śpij, śpij tułaczu! kto myśli o tobie?“

Z trzech zbiorków wydanych przez poetkę, trzeci pod tytułem *Speranze e conforti* (nadzieje i pociechy) zjednał autorce powszechną sympatyą. Wszystkie te pieśni, z prawdziwém wyśpiewane natchnieniem, są istną antitezą cynicznych i zrospaczonych pieśni Leopardego, w których poeta nicestwa, istny Heine włoski, wyrzeka się wszelkiéj wiary i wygłasza z pychą nieskończoną próżność wszystkiego: *infinita vanita del tutto!* Pani Brunamonti ze zgrozą odtrąca rozpaczliwe teorye współrodaka, wysławia jednak ten złowrogi geniusz z niepospolitą siłą. Pieśń jéj do Leopardego nie ustępuje słynnemu utworowi natchnionéj wenecyanki, pani Fua Fusinato.

Przenieśmy się teraz daleko na sycylijskie wybrzeża. Palermo wydało dwie znakomite poetki, z których w téj chwili jedna już tylko pozostała. Zmarła niedawno pani Rosina Muzio-Salvo, pozostawiła zbiór niewielki, złożony ledwie z czterdziestu drobnych utworów, lecz nacechowany prawdziwie poetyczném uczuciem. Odznaczają się tu szczególniéj poemaciki: *Dzień Zaduszny*, *Bice* i *Franczeska z Rimini*, jak niemniéj wiersz napisany po zwiedzeniu pracowni słynnego malarza Andrea Antoni. Mistrz ten przedstawił na płótnie, spotkanie Dantego z Sordellim. Poetka zręcznie korzysta ze wspomnienia *Boskiéj komedyi* i z prawdziwie patryotyczném uczuciem podnosi głęboką miłość, jaka łączyła Florentczyka z Genueńczykiem, stawiając ją za przykład niektórym ościennym prowincyom, które zachowały dotąd odwieczne urazy i niechęci. Chwalony téż powszechnie poemacik *Culto*, napisany na cześć rodzinnéj wyspy. Oto wyjątek z niego:

Sycylio moja! ziemio ukochana!
Ty dnie tryumfu i niedoli chwile
Z hołdem gorącym zanosisz do Pana,
Jak to czynili praojce lat tyle!
Tyś piękna zawsze pięknością wspaniałą,
Ziemio płomieni, miłości i cudów!
Na twoich skałach, geniusz twórczy ludów
Wykonał dzieła co są światu chwałą.
Tyś piękna rankiem gdy wód przestwór siny,
Słońce w jaskrawe przystraja rubiny,
Twe łąki w koron uwieńcza tysiące;
Piękna w południe za gazy osłoną,
Piękna wieczorem gdy słonko gasnące
Złotemi rąbki spowija twe łono;
Lecz najpiękniejsza, gdy zgodnemi głosy,
Twa wierna dziatwa uderza w niebiosy.

Druga poetka sycylijska, pani Concettina Fileti opiewa natchnioną pieśnią dwa przedmioty najdroższe jéj sercu: rodzinną ziemię i domowe ognisko. Talent jéj zakwitł wcześnie. Urodzona w roku 1835, mając lat piętnaście, pisała już okolicznościowe hymny. W roku 1850 uczciła pieśnią Stamurę, bohaterkę Ankony.

W końcu poetka przemawia z zapałem do kobiét włoskich: „Bodajby jedyną chlubą waszą było, stać się matkami bohatérów! Przekleństwo téj, która zdradziecką radę poszepnie ukochanemu"!

Z pod pióra owéj piętnastoletniéj dziewczynki wybiegła niejedna pieśń, pełna natchnienia, jak naprzykład: *Niewiasty Suliockie*. Młoda wieszczka określa wymownie czém jest posłannictwo kobiety w czasach współczesnych burz i szalonych przewrotów. Co zaś szczególniéj zaleca poetkę, to, że umiała dostroić życie swoje do wymarzonego ideału. Zaślubiona młodziuchno, w roku 1851, pani Fileti spełnia świę-

cie obowiązki małżonki, matki i obywatelki kraju. Nie składa bynajmniéj pióra, lecz poetyczne utwory swoje poświęca licznym dziatkom. Ten rodzaj poezyi, ceniony bardzo w Anglii i w Niemczech, mało dotąd uprawiany był u ludów romańskiéj cywilizacyi. Pieśni pani Fileti na cześć domowego ogniska znalazły jednak szczere uznanie we Włoszech. Pan Roux widzi w tém nadzwyczaj pomyślny symptomat. Włochy odzyskały wspólną ojczyznę, z radością patrzą na wzmacniające się podwaliny społeczne po zbyt długiém niestety rozprzężeniu. Znakomita ich poetka, a zarazem wzorowa córka, matka i małżonka, żyje w Sycylii otoczona czcią powszechną. Pieśni jéj wywierają pociągający wpływ na serca młodych kobiét i rozbudzają w nich miłość domowych progów. Nowy jéj zbiorek z roku 1870 tworzy maleńką epopeę rodzinną; bohatérami jéj Gasparo, Michelino, Anneta i pięcioro jeszcze braciszków i siostrzyczek. Matka baczném okiem spogląda na serca dziatwy, bada ich charakter, chwyta na gorącym uczynku psychiczne ich usposobienia. Zobaczmy jeden z tych obrazków;

Zapadł wieczór. Dzieci poszły spać. Matka zcicha, na palcach krąży między jedną kołyską a drugą, patrzy z radością na te rumiane jagody, na te przymrużone oczęta.

Noc taka ciemna, w ciszy głębokiéj
Obiegam pokój lekkiemi kroki;
A myśl do góry leci skrzydlata,
Złote marzenia w rąbek zaplata.
Płonie mi czoło: tam, na balkonie
Świeżutki wietrzyk niech mnie owionie;
Siostry gwiazdeczki, niech w nockę ciemną,
Tajemne słówka pogwarzą ze mną.

Z balkonu wracam znów do komnatki,
Tu snem cichutkim śpią moje dziatki;
Po nad kołyską pochylam głowę:
Lica dzieweczki takie różowe!
Jak się uśmiecha!... marzy coś słodko,
Otwiera oczy... śpijże pieszczotko!
Druga wyciąga lekko z pościeli
Powiewną szyjkę śnieżystéj bieli;
Trzecia rączęta wzniosła do góry:
Błysnął jéj anioł snać białopióry...

Biédna matka! nie śmie oddać się chwili szczęścia obecnéj; drżącą ręką uchyla zasłonę przyszłości. Z niewymowną trwogą przeczuwa niezbędny rozdział, bolesne pożegnanie! Krew ścina się lodem w jéj piersi, na myśl, że kiedyś... kiedyś może, które z tych ośmiorga niewinnych dzieciątek, przeniewierzy się prawdzie, znieważy święte ściany domu i rozedrze jéj pierś macierzyńską! Słowem, poetka wy-

raziła to wszystko, co przed stu blisko laty wyśpiewał nasz Kniaźnin, niestety zanadto dziś zapomniany; lubo nigdy nie był małżonkiem ani ojcem, odczuł jednak wszelkie odcienia macierzyńskiéj trwogi, bo Kniaźnin prawdziwym był poetą, a poeta kocha i cierpi za miliony!

Trzecia sycylianka Mariannina Coffa-Caruso, urodzona na południowym cyplu wyspy, w Noto, wcześniéj jeszcze, bo w dziesiątym roku życia rozpoczęła zawód poetyczny. Pierwszy jéj utwór *Il Calvario*, lubo niewprawną kreślony ręką, zapowiada przecież wyższy talent. W zbiorze *Canti Nuovi* dwudziestoletnia poetka odpowiedziała powszechnym oczekiwaniom. Kiedy przyszłe losy jéj kraju rozstrzygały się w bitwach pod Marsalą i Calatafimi, jakże gorącą rzuca odezwę do serca Wiktora Emanuela, z jakimże zapałem wyprawia na pole walki własnego brata, jak pragnie podzielić jego tryumf!

Poezye pani Coffa Caruso, lubo przyjęte z ogólnym poklaskiem, wywołały jednak surowy sąd jednego z krytyków. Zaprzeczał on poetce wszelkiego talentu poetycznego; oburzona odpowiedziała mu ognistym sonetem; dajemy go w przekładzie:

Do krytyka.

Ty, darów tych nadziemskich przeczysz mi szalony,
Jakie sztuka swym wiernym sypie ze szczodrotą?
Za zdrój łez w skwarze ducha boleśnie zroniony,
Za kolczyste cierniska co nam piersi gniotą!

Ty, coś cześć i sumienie zaprzedał za złoto,
Co pełzasz niby robak ku ziemi schylony,
Z szyderczym patrzysz śmiechem na mój bluszcz zielony,
Okupion drogo łzami i serca tęsknotą!

Wieszli jaki mi z czoła żar płomienny bucha?
Gdy jasny anioł pieśni porywa mi ducha
I w świetle ideału kołysze go błogiém?

Żal mi cię... ach! ty ziemskim potarzan barłogiem,
Ty nie wiesz pod ciężarem nagięty łańcucha,
Jak sztuka nas unosi i połącza z Bogiem!

Siódma poetka z plejady włoskiéj wyszczególnia się tém jeszcze, że do daru poezyi łączy niepospolity dar improwizatorski. Mówimy o sławnéj Gianinie Milli. Urodzona w Terramo w roku 1827, pięcioletnia dziewczynka improwizowała wiersze na śmierć Pryama i Thisbe. Późniéj wpadła w kilkoletnie uśpienie; rozbudziła się nagle mając rok ośmnasty. Raz wieczorem, kiedy siedziała u fortepianu smutna i zadumana, jakiś głos tajemniczy szepnął jéj do ucha: „śpiewaj! śpiewaj! ja pieśń przynoszę ci w darze!“ Poetka poszła za tym głosem wewnętrznym: najprzód jęła pisać sonety; wkrótce odtrąciła pióro i rzu-

ciła się w improwizacyą. Dwie kobiety poprzedziły ją na téj drodze, sławne improwizatorki Bandettini i Tadei.

W roku 1847 panna Milli rozpoczęła świetnie artystyczny swój zawód. Przez lat piętnaście była przedmiotem bezustannych owacyj w całych Włoszech; w roku 1860 stanęła na najwyższym szczycie sławy. W tym to roku odwiedziła Turyn. Tam baronowa Olimpia Salvio Rossi zaprosiła na cześć jéj wszystkie znakomitości świata literackiego. Turyn był wtedy nietylko stolicą Włoch, ale miejscem zebrania całéj intelligencyi. Ktokolwiek czuł i myślał we Włoszech, garnął się do tego ogniska, którego jasny płomień miał niebawem ogarnąć najdalsze krańczyny kraju.

Gianetta Milli w świetnéj improwizacyi nie przepomniała o nikim. W wierszach pełnych zapału, przypominając kolejno to długoletnie cierpienia Sycylii, to świeże rany Wenecyi, poruszyła do głębi wszystkie serca i wycisnęła łzy z wszystkich oczu. Poeci jęli powtarzać własne wiersze, zapał ogarnął obecnych. Wieczór ten zapisany został świetnemi zgłoskami w rocznikach literatury włoskiéj.

Talent Gianiny Milli zadziwia nawet we Włoszech, gdzie improwizacya tak ułatwiona śpiewnym i bogatym w rymy językiem. Improwizowane jéj wiersze dają się czytać z równą przyjemnością, z jaką chwytane były uchem słuchaczów. P. Roux żartuje tylko z nierozwagi wydawcy, który drukował bez ładu trzysta urywków, objętych w dwóch tomach, jak mu same wpadały w rękę. I tak na przykład: obok pełnéj zapału ody na cześć Niepokalanego Poczęcia, pomieszczony strzelisty hymn na pochwałę króla *Galantuomo* i Garybaldego, którego poetka porównywa w najlepszéj wierze do sławnego Terruci, rycerza bez skazy i zarzutu, i do Machiawela. Niektóre improwizacye cudnie piękne, i do tych należą: *Harfa*, *Sierota*, *Pożegnanie małżonki*, *Miłość i światło*, *Ideał pierwszéj miłości*, *Powitanie Wezuwiuszu*. Oto krótki urywek z téj ostatniéj:

Znasz-li urok tajemniczy,
Téj Riziny i Porticzy?
Tych pałaców które wkoło
Z gruzów dumne wzniosły czoło?
A gdy wieczny żar je pali,
Kąpią stopy w morskiéj fali?

Przybysz okiem przestrzeń mierzy:
Tenże, pyta, wzgórek świeży,
Co kwiatami w krąg zarasta,
Wylał z łona—myśl truchleje;
Morze lawy na dwa miasta:
Herkulanum i Pompejęę?

Tak też ufny w mocy Bożéj
Syn téj ziemi się nie trwoży:
W głuchéj ciszy wątek splata.
Czeka, milczy, zna swe prawo!
Chwila jeszcze... w obec świata,
Płomienistą buchnie lawą!

Słowa te wyrzeczone w roku 1858, okazały się w rzeczy saméj wieszczemi. Intuicyę tę proroczą okupuje zwykle poetka gwałtownem cierpieniem fizycznem. W ostatnich latach zmuszona była zaniechać improwizacyi, aby ocalić siły gasnące. Zawód jéj zdaje się być skończony.

Imię Gianiny Milli nasuwa każdemu na myśl znakomitą improwizatorkę, którą szczyci się nasza współczesna literatura. Jeżeli o tamtéj krytyk francuzki z tak wielkim mówi podziwem, o ileżto podziw jego byłby słuszniejszy, gdyby wiedział o Deotymie, gdyby znał trudności polskiego języka, które nasza improwizatorka łamie tak po mistrzowsku. Powiedzmy sobie z chlubą, że nie mamy czego zazdrościć Włochom.

W świecie literackim francuzkim zabłysło także w tych czasach kilka niewieścich imion. Największy rozgłos pozyskała pani de Bloqueville, autorka czterotomowego dzieła: *Wieczory w willi Jaśminowej*. Dwa piérwsze tomy ukazały się jeszcze w roku zeszłym, dwa ostatnie wyszły przed dwoma miesiącami. Nie zdawaliśmy sprawy z téj publikacyi; należy ona do rzędu tych, które, mimo rzeczywistych zalet, nie mogą stać się popularnemi. Strona powieściowa lekko tu zarysowana i podrzędną odgrywa rolę. Są to raczéj dyalogowane rozprawy, w rozmaitych przedmiotach, z dziedziny literatury, filozofii, publicystyki, sztuk pięknych i t. p. Niektórzy pod tym względem porównywają to dzieło do *Wieczorów petersburskich* de Maistra. Główna osoba powieści Arya-Eltha-Lucifera, to uduchowniony i uszlachetniony typ Lelii pani Sand. Kocha ona młodego poetę Lucio; miłość jéj nadziemska, eteryczna, po burzliwych kolejach, w schyłku dni, napotyka ten wymarzony ideał, podnosi go do wysokości swojéj, i umiera szczęśliwa, że nie żyła napróżno, że duch jéj odrodzi się w ukochanym. Na chwilę przed skonem, poleca przyjaciołom osieroconego poetę.

„Wy wszyscy—rzecze—którym drogą była Arya-Eltha-Lucifera, nie płaczcie po niéj, wraca bowiem do Boga, powitawszy w Luczym promienistą gwiazdę przyszłości!"

Inna autorka panna Hollard, w powieści *Biédny chłopiec*, rozwinęła prawdziwie wyższy talent pisarski; pierwsza to próba, ale rokująca wiele na przyszłość. Wątek powieści nadzwyczaj prosty, charaktery osób odszkicowane wybornie, strona patetyczna ożywiona

humorem, życie złapane na gorącym uczynku. Widzimy tu nieraz uśmiech z poza łez, tak częsty w życiu, a tak rzadki, tak trudny do oddania w utworze artystycznym!

Biédny ten chłopiec, prawdziwie biédny, bo wyrosł sam, nie kochany od nikogo. Gdyby nie miał rodziców, dobrzy ludzie przygarnęliby może sierotę do ogniska, w głodzie ciała zaspokoiliby chlebem, w głodzie serca współczuciem i pieszczotą. Chłopiec osierocony tylko po ojcu, ma jeszcze matkę, ale ta, zatopiona w zimnych formułach purytańskiego pietyzmu, nie zachowała w sercu najmniejszéj iskierki miłości. Czuje to boleśnie biédny Marek, i nieraz w ciszy nocnéj gorzkiemi zalewa się łzami. Jedyną powiernicą jego stara sługa, która go wyniańczyła.

Marek z dziecka wyrosł na szesnastoletniego młodzieńca. Rodzina artystów, mieszkających w sąsiedztwie, wyjeżdża do wód morskich. Z pozwoleniem matki zabiera chłopca z sobą. Radość jego niewysłowiona: zobaczy nowy świat, nowych ludzi, odetchnie pełną piersią, zdala dusznéj atmosfery domu. I czegóż on tak płacze? Zagadniony przez sługę, wyznaje z całą prostotą, że radby dom opuścić z żalem, lecz na żal zdobyć się nie może i to właśnie tak go udręcza!

Gertruda, córka sąsiadów, otacza Marka najtkliwszą opieką. Biédny chłopiec poruszony do głębi serca współczuciem ślicznéj panienki, kocha ją całą siłą spragnionego miłości serca. Niestety! dowiaduje się wkrótce że Gertruda ma narzeczonego: jest nim młody oficer marynarki. Wiadomość ta uderza go jak piorunem; tłumi jednak gwałtowną boleść, walczy, w końcu odnosi zwycięztwo nad sercem własném. Odnosi je tak dalece, że poprzysięga przyjaźń marynarzowi, pod jego bokiem zaciąga się na chłopca okrętowego.

Wybucha wkrótce wojna 1870 roku. Gertruda z rodzicami przebywa w oblężonéj stolicy. Marek porzuca służbę morską wraz z opiekunem swoim marynarzem, zaciąga się do loarskiéj armii. Gotów każdéj chwili spełnić ofiarę dla drugich, przedziera się przez pruskie straże, zanosi Gertrudzie wieść o narzeczonym. Ginie śmiercią walecznych w Buzenwalu. Ostatniém jego słowem przebaczenie dla matki.

Tajemny dramat, w duszy biédnego chłopca, oddany z pojęciem wysoko artystyczném.

Wśród francuzkich powieściopisarek wystąpiła z wielkiém powodzeniem rumunka, księżna Olga Kantakuzen. Powieść jéj p. t. *Ciocia Agnieszka* żywo zajęła czytającą publiczność.

Osnowa téj powieści przypomniała nam bardzo słynną niegdyś *Krystynę* Klementyny z Tańskich Hofmanowéj. Nie posądzamy przecież autorki rumuńskiéj o plagiat, zbliżenie jest prostym wypadkiem.

Ciocia Agnieszka, niegdyś swobodna i wesoła jak ptaszę, dziś pochylona wiekiem, odwiedza miejsca gdzie przeżyła szczęśliwą młodość. Serce jéj rozbudzone siłą wspomnień, które napotyka na każdym kroku, otwiera się mimowoli, wyrzuca na jaw przebolałe pamiątki, istne

skarby przechowywane troskliwie od lat wielu. Przygody jéj proste, zwyczajne; to historya serca zajmująca tém samém, że prawdziwa.

Młoda dziewuszka żyje w cichém zaciszu wiejskiém, zdaleka od świata, pod skrzydłem staréj babki, która strzeże jéj, niby źrenicy w oku. Życie jéj toczy się wiankiem. Z miłością Agnieszka hoduje kwiatki w ogródku, z miłością odwiedza chaty wieśniaków. Kiedy wyrosła z dziecka, serce jéj uderza nowém nieznaném uczuciem. Celem tego uczucia, kuzynek Fryderyk, dzielny kapitan kawaleryi, a do tego pełen talentu malarz. Fryderyk kocha téż gorąco młodą krewnę, babka z radością patrzy na miłość dwóch serc tak godnych siebie. Wszystko wróży najszczęśliwszą przyszłość.

Nagle przyjeżdża z Brazylii ojciec, który zostawił Agnieszkę małém dzieckiem. Z ojcem przybywa młodsza córka, Anita, cudnie piękna, istny kwiat podzwrotnikowy. Agnieszka odzyskuje rodzinę, lecz szczęście ją odbiega bez powrotu. Ojciec samolub, rani jéj serce chłodną obojętnością; siostra próżna, zalotna, z rodzaju tych, które nasz wielki poeta określił jedném słowem:

„Kobiéto! puchu marny! ty wietrzna istoto!“

Siostra, mówimy, ta cudna Anita Brazylijanka, zjawia się na jéj cichém niebie, jak płomienisty a złowrogi meteor!

Sielanka zamienia się w smutny dramat. Fryderyk, oczarowany urokiem zamorskiéj piękności, przepomina dla niéj o wszystkiem. Agnieszka złamana w uczuciu, odarta z wszelkich na przyszłość nadziei, upokorzona w miłości własnéj, z odwagą bohatérską występuje do zapasu, walczy zawzięcie sama z sobą, odnosi wreszcie tryumf. Pojednana z życiem, zapomina o sobie, poświęca się dla dobra drugich i odzyskuje zupełny spokój ducha.

Charaktery skreślone wybornie, strona uczuciowa oddana z całą prawdą; bez przesady i ckliwego sentymentalizmu, prostota w opowiadaniu: wszystko to nadaje niepospolitą wartość skromnéj powiastce autorki rumuńskiéj.

Inna jeszcze, rozpoczynająca zawód autorka, Paulina Caro, dała się chlubnie poznać pełnemi wdzięku powiastkami: *Grzéch Magdaleny*, *Nogietek*, *Herman i Dorota*.

Obok powyższych pisarek, które śmiałą ręką podjęły sztandar idealizmu, widzimy niestety inne, grzęznące w realistycznych topieliskach. Do tych należy autorka powieści p. t. *Czary Prudencyi*, wydanéj w trzech seryach. Policzymy tu jeszcze inną, pokrytą pseudonymem Roberta Franz, autorkę *Pamiętników kozaczki*. Jest nią podobno Olga Janina, uczennica Liszta, znana w świecie muzycznym.

Niezmordowana pani Sand nie wypuszcza téż pióra z ręki. W tych czasach wyszła z druku powieść jéj p. t. *Moja siostra Joanna*, drukowana już w Przeglądzie dwóch światów; oraz zbiór powiastek fantastycznych, pod ogólnym tytułem *Zamek Pictordu*.

W siostrze Joannie autorka podnosi temat, sto razy już przez nią obrabiany, miłość idealną, czystą, wierną, nieskończoną w sercu

kobiéty; przeciwnie zaś, w sercu mężczyzny chwiejną, zmysłową, uległą zewnętrznym wpływom. Całą nowość stanowi tu anormalne położenie osób. Joanna i mniemany brat jéj, wychowani razem, nie wiedzą że są obcymi sobie. Okoliczność ta uniewinnia poniekąd młodziana, uplątanego w sidła biskajskiéj czarodziejki. Joanna, wiedziona instynktem niewieścim, odgaduje, że nie jest siostrą *Laurentego*, cierpi, milczy i w artyzmie szuka ulgi na rany serca. Odnosi w końcu tryumf, najprzód nad sobą, potém nad ukochanym.

Zbiór p. t. *Zamek Pictordu*, składa się z pięciu odrębnych powiastek poświęconych wnuczce Aurorze Sand. „Niechajże i starsi —mówi autorka w przedmowie—odczytają historye, które ci opowiadamy gdy usypiasz.“ Nie zawiodła się pani Sand. Starsi czytają z zajęciem te fantastyczno-poetyczne powiastki, bo wielka większość czytelników francuzkich nie zerwała wcale z poezyą. *Królowa Coax Obłoczek różowy*, *Skrzydła odwagi*, *Olbrzym Jeous*, *Zamek Pictordu:* oto tytuły tych obrazków. W postaci wróżek i geniuszów autorka uosabia odwagę, pracę, cierpliwość, dobrą wolę i poświęcenie, cnoty które sprawiają cuda, bez rószczki czarnoksięzkiéj. Żaby rozprawiają tu z sobą; ptaki gromadzą się na radę, filozofują po swojemu. Świeżość myśli, wdzięk stylu, życie, nadają tym obrazkom prawdziwie artystyczną wartość.

Na publiczném posiedzeniu Akademii Francuzkiéj w sierpniu, sekretarz Patin ogłosił szereg dzieł uwieńczonych, w liczbie dwudziestu z górą. Prace te, z wydziału filozofii, historyi, powieściopisarstwa i poezyi, świadczą chlubnie o niezmordowanéj działalności ducha francuzkiego. Najwymowniejsza to odpowiedź na pociski niemców, usiłujących przekonać świat, że Francya chyli się do upadku.

Wielka nagroda barona Gobert w summie 20,000 fr., przypadła w tym roku jeszcze p. Jerzemu Picot, za ważne dzieło: *Histoire des Etats Généraux*, uwieńczone takąż samą nagrodą w roku zeszłym. Autor wyświetlając akta zgromadzeń narodowych, zwoływanych od czasu do czasu we Francyi, daje poznać udział narodu francuzkiego w pracach społecznych w ciągu ostatnich trzech wieków i usuwa zarzut, jakoby w czasach panującego wszechwładztwa Francya miała być całkowicie pozbawioną samorządu, tego najpiękniejszego przywileju ludów wolnych.

Drugą nagrodę *Gobert*, otrzymał pan Lescure, za *Monografią Henryka IV*, najlepszego i najpopularniejszego z królów Francyi, który umiał zdobyć potęgę i obrócić ją na pożytek narodu. O dziele tém mówiliśmy w kwietniowéj kronice naszéj.

Nagroda *Therouanne*, przeznaczona niemniéj dla historyi, rozdzieloną została w tym roku pomiędzy dwóch laureatów. Pierwszym z nich pan Edmund Hugues, autor dzieła: *Historya restauracyi pro-*

testantyzmu w ośmnastym wieku. Autor dzieła długim szeregiem wywodów wykazuje, że po odwołaniu edyktu nantejskiego w r. 1715, kiedy większość protestantów francuzkich rozproszyła się po Holandyi, Szwajcaryi i Niemczech, mniejszość pozostała w kraju tak silną prowadziła propagandę, że w trzynaście lat po śmierci Ludwika XIV, w r. 1728, istniało w Langwedocyi sto dwadzieścia kościołów reformowanych z tajemnemi konsystorzami i synodami. Twórca téj propagandy Antoni Court, człowiek nadzwyczajnéj energii, tém samym był dla protestantów XVIII-go wieku, czém był za naszych czasów O'Connel, dla prześladowanych katolików irlandzkich. Court umarł w roku 1760. Wytrwałém działaniem dokonał tyle, że kiedy w roku 1787 Ludwik XVI uznał prawa reformowanego kościoła, liczba protestantów nie wiele mniejszą była we Francyi, jak w chwili odwołania edyktu nantejskiego.

Drugą połowę nagrody *Therouanne* przyznała akademia panu Belot za dzieło w dwóch wielkich tomach, p. t. *l'Histoire des Chevaliers Romains.* Pierwszy tom téj ważnéj publikacyi zjednał już autorowi w roku 1867 nagrodę odpowiednią téj, jaką otrzymuje dziś za tom drugi; p. Belot wykazuje, czém był stan rycerski *equites* w organizacyi cywilnéj i militarnéj starożytnego Rzymu, oznacza w różnych epokach historycznych jego ważny udział w zmianach konstytucyi państwa i w rozwoju potęgi rzymskiéj. Praca ta, pełna erudycyi i samodzielnego poglądu, wykonana z życiem i prostotą, należy do najznakomitszych w dziale historycznym, jakie się w tych czasach pojawiły.

Nagrodę fundacyi Thiersa otrzymał p. Emil Houssaie za *Historyą Alcybiadesa i rzeczypospolitéj Ateńskiéj.* O dziele tém wspomnieliśmy pobieżnie w zeszłéj kronice; dodamy dziś jeszcze słów kilka.

Młody autor rozpoczął pracę swoją w Atenach, w roku 1868. Huk dział powołał go do kraju. Z zapałem młodego wieku rzucił pióro a pochwycił za oręż, po wojnie dopiero ukończył znakomite studyum. W około postaci Alcybiadesa ugrupował z prawdziwym artyzmem burzliwe przygody téj epoki; walki stronnictw, działania dumnéj demokracyi, przewroty polityczne, klęski i zwycięztwa. Obznajmiony dokładnie z historyą kraju własnego, wykazuje on loicznie powinowactwo duchowe Francuzów z Ateńczykami. Stawiając smutny obraz bezrządu w starożytnéj rzeczypospolitéj po słynnym wieku Peryklesa i okropne następstwa jakie ztąd wypłynęły, daje do zrozumienia ziomkom, aby cudzy przykład posłużył im za zbawienną naukę.

Nagrodę *Guerin* przysądziła akademia panu Dantier za *Studya historyczne nad Włochami.* Tenże autor otrzymał już podobny zaszczyt przed ośmiu laty za niemniéj ważną publikacyą: *O klasztorach Benedyktyńskich we Włoszech.* W obecném dziele widzimy długi szereg badań, nad głównemi epokami dziejów, zacząwszy od upadku państwa rzymskiego, do końca ostatniego wieku. Pan Dantier głęboki erudyta, badał historyą na miejscu, z dokumentów przechowanych po bibliotekach i archiwach, a nadto z pomników artystycznych. Styl

piękny, pełen życia, czyni tę poważną pracę dostępną dla ogółu czytelników.

P. Bossert, professor literatury zagranicznéj w Douai, otrzymał w połowie nagrodę *Bordin* za badania nad literaturą niemiecką, objęte w kilku osobnych dziełach. W jédném z nich autor daje poznać szereg epopei średniowiecznych. W dalszych studyach, opuszczając epokę teologicznych sporów, pokazuje znakomity rozwój literatury w drugiéj połowie XVIII-ego wieku. Imiona Lessinga i Herdera, Wielanda, Klopstoka, Goetego i Szyllera panują w tych studyach, otoczone zasłużonym blaskiem. Pan Bossert okazał się wyższym nieskończenie od uczonych niemieckich, którzy wzięli sobie za cel poniżać Francyą na każdym kroku, tak w jéj przeszłości, jak i w dzisiejszym rozwoju umysłowym. Krzywdy świeżo doznane od Niemców nie wpłynęły bynajmniéj na sąd bezstronnego krytyka, w ocenieniu płodów geniuszu niemieckiego.

Drugą połowę téj nagrody odebrał pan Sausay, członek akademii Besançon za dzieło w dziesięciu tomach: *Historya prześladowań rewolucyjnych w departamencie Doubs,* między rokiem 1789 a 1801. Autor z benedyktyńską wytrwałością zebrał tak z archiwów publicznych, jak i z prywatnych zbiorów niezliczone dowody, świadczące o bohaterskiéj odwadze i rezygnacyi pobożnych mieszkańców Franche Comté, w obec niesłychanych gwałtów i kilkoletniego ucisku.

Nagroda *Langlois*, za najlepsze tłumaczenie obcych arcydzieł, została rozdzieloną pomiędzy panów Baret i Antoniego Latour. Pierwszy z nich, dziekan akademii w Clermont Tonnère, przełożył *Wybór dzieł dramatycznych Lope de Vega*, drugi *Wybór dramatów Calderona.* Obaj tłumacze, obznajmieni wybornie z literaturą hiszpańską, przebywali długo w krajach zapyrenejskich i nie jednę poświęcili im pracę. Akademia, wieńcząc ostatnie przekłady, nagrodziła tym sposobem długi szereg ich poprzednich publikacyj.

Z pomiędzy powieściopisarzy otrzymał nagrodę p. Teuriet, autor pięknéj powieści *Mademoiselle Guignon*, którą *Wiek* dał poznać polskim czytelnikom.

Nagrody fundacyi Monthion w liczbie dziesięciu, powołały tak wielki nawał konkurujących, że akademia zmuszoną była usunąć od konkursu wszystkich dawniejszych laureatów. Pierwszą nagrodę (medal wartości 2000 franków), otrzymał w tym roku p. Teodor Froment, professor retoryki w Bordeaux. Zbiór jego poezyj p. t. *Revès et Devoirs* (marzenia i obowiązki), odznacza się tém właśnie, że autor szukał natchnienia w sferze cichéj, prostéj, w kółku szkolnéj młodzieży. Ulotne poemaciki zebrane w jednę całość, tworzą jakoby szkolny dramat, nacechowany wyższą myślą. Widzimy tu młodzieńca, który, opuściwszy zaledwie szkolną ławę, zamyka się w kolegium. Marzy on zrazu o tym zaczarowanym świecie, od którego odrywają go poważne obowiązki, wkrótce jednak nietylko że się godzi z powołaniem swojém, lecz je przyjmuje z prawdziwą miłością. Kocha młodzież, czerpie

natchnienie w jéj sercach niewinnych, opiewa z uczuciem zasługi mężów, którzy jak Rollin poświęcili się dla kształcenia młodych pokoleń.

Takiż sam medal akademia przyznała p. Compayre, autorowi krytycznego dzieła nad *filozofią Dawida Hume.* Krytyk traktuje rzecz jasno i gruntownie. Przechodzi sceptyczne teorye Humego, pokazując ich ścisły związek z ruchem filozoficznym XVIII-ego i XIX-ego wieku. Filozofia Humego, dała, jak wiadomo, początek tym licznym dziś szkołom, odrzucającym wszelki spiritualizm, które usiłują sprowadzić rozum ludzki do ciasnych granic, zakreślonych pozytywną nauką.

Trzeci takiż sam medal otrzymał professor Croiset, autor historycznego dzieła o *Xenofonie*, o którém wspomnieliśmy w zeszłéj korrespondencyi!

Siedm medali drugiego rzędu, wartości po 1500 franków, rozdzieliła akademia za dzieła rozmaitéj treści. Jeden z nich otrzymał pastor Eschenauer ze Strasburga, autor rozprawy filozoficznéj: *La Morale Universelle.* Pisał ją pod gradem bomb i granatów pruskich w pamiętném oblężeniu.

Drugim medalem uwieńczony został p. Raynal, autor pełnéj zalet opowieści w rodzaju Robinsona Crusoe. Tytuł jéj: *Rozbitki, czyli dwadzieścia miesięcy na wyspach Auklandzkich.* Historya to prawdziwa: obraz wytrwałéj walki pięciu nieszczęśliwych podróżników, wyrzuconych na skałę. Autor sam należał do ich liczby. Był z nim kapitan amerykańskiego statku Masgrave, oraz trzech majtków: norwegczyk, anglik i portugalczyk. Konieczność zajęcia się pierwszemi życia potrzebami nie stłumiła wyższéj myśli w rozbitkach. Ledwie że się ujrzeli sami, oderwani od świata, organizują natychmiast maleńkie społeczeństwo, spisują rozkład godzin, rozdzielają pracę pomiędzy siebie. Uczeńsi zajmują się opisaniem miejscowości, ważném dla postępu nauk geograficznych, prości majtkowie przebiegają wyspę w różnych kierunkach. W długie wieczory zimowe każdy z nich naucza towarzyszów własnego języka. Lubo należą do różnych kościołów, pobratani wspólną niedolą, razem odmawiają modlitwy, odczytują biblią przypadkiem ocaloną, czerpią w niéj odwagę i nadzieję. Opuszczeni od przyjaciół, przemyślają nad własném oswobodzeniem. Wyrabiają z mozołem statek, puszczają się na morze, i po ciężkich trudach dostają wreszcie do zaludnionéj ziemi. W muzeum miasta Melbourne złożone są grube narzędzia, które im posłużyły do zbudowania łodzi. Autor z wielką prostotą i prawdą opisuje szczegółowo ich dwuletnie prace i niezmordowane wysilenia.

Trzeci medal otrzymała pani Boissonas, autorka powieści *Rodzina podczas wojny.* Członkowie rodziny pisują do siebie z rozmaitych stron kraju. Każdy z nich według sił służy ojczystéj sprawie. Ich listy zebrane razem, tworzą wierną historyę tych nieszczęśliwych czasów. Trudno je czytać bez głębokiego wzruszenia.

Na tle tychże samych wypadków osnuta powieść professora Girardin p. t. *Poczciwi ludzie*, nagrodzona takimże medalem. Autor z całą prawdą odmalował obyczaje domowe mieszczan, w szeregu scen wesołych, pełnych dowcipu i życia. Ostatnie sceny, tyczące się niedawnych klęsk Francyi, mają charakter smutny i wzniosły zarazem. Książka ta, prawdziwie wpływowa, tém silniéj oddziała na młode umysły, że cel moralny ożywiony w niéj swobodnym humorem.

Piąty medal odebrał młody poeta p. Aicard, autor *Poematów z Prowancyi*. Z niezaprzeczonym talentem opiewa on ziemię rodzinną, swoję piękną Prowancyą, jéj cudne widoki, uroczy klimat, obyczaje i zwyczaje. Obrazy jego tchną świeżą wonią miejscową.

Szóstym medalem nagrodziła akademia panów Ratherie i Bouthron, którzy zgromadzili korrespondencye i poezye panny Scudéry, słynnéj poetki XVII-go wieku, i wydali je z ciekawym życiorysem. Dzieło to stanowi ważny pomnik literacki i historyczny. Listy, pisane do osób wysokiego znaczenia, w przeciągu lat sześćdziesięciu, od r. 1639 do 1693, malują wiernie tę opokę przełomu w literaturze, kiedy panegiryczna przesada ustępowała coraz bardziéj pod żywotném tchnieniem genialnych pisarzy wieku Ludwika XIV. Styl w listach panny Scudéry przemienia się widocznie: o ile pierwsze rażą napuszystością i fałszywą deklamacyą, o tyle ostatnie pełne prawdy, wdzięku i szczeréj prostoty. O listach panny Scudéry mówiliśmy przed rokiem.

Siódmy wreszcie i ostatni medal złożyła akademia na grobie dzieweczki lotaryńskiéj, zmarłéj niedawno panny Pau. Ta młoda pisarka, pod pseudonimem Marie Edmée, skreśliła pełen poezyi życiorys Dziewicy Orleańskiéj, p. t. *Historya naszéj siostrzyczki Joanny, poświęcona dzieciom Lotaryngii*. Ciężkie próby, przetrwane w czasach wojny ostatniéj, podcięły w pączku życie młodziuchnéj autorki, rokujące tyle na przyszłość. Dzieło jéj wyszło w ozdobném wydaniu, staraniem rodziców. Akademia ze swéj strony uczciła pamięć zmarłéj.

W nawale dzieł, oddanych w tym roku pod sąd akademii znajdowały się prace rzeczywistéj wartości, które przecież z powodu wielkiéj liczby nie mogły zostać uwieńczone. Do tych należy: *Historya literatury dramatycznéj we Francyi, od jéj początków aż do Cyda*, przez F. H. Tibier, professora literatury w Besançon, oraz dwutomowe dzieło p. Albert, mistrza konferencyi w szkole normalnéj: *Literatura francuzka od jéj początków, do końca XVII wieku*. Akademia oba te dzieła zaszczyca chlubną wzmianką i odsyła je do przyszłorocznego konkursu. Dowiadujemy się niemniéj że sprawozdanie p. Potin sekretarza akademii, że *Swiat słowiański* p. Léger poddany był także pod rozpatrzenie areopagu akademickiego. Nie dziwi nas wcale, że dziełko to nie otrzymało nagrody, ani nawet odesłaném zostało do przyszłorocznych sądów. Dziwi nas tylko wielka śmiałość, z jaką autor przedstawia do konkursu zbiór artykułów dziennikarskich, niepołączonych w systematyczną całość i niewyczerpujących bynajmniéj przedmiotu: godziłoż się bowiem wyłączyć Polaków ze *Świata słowiańskiego?* Pan

Léger nie otrzymał nic więcéj, oprócz chłodnéj pochwały, zapewne za ustęp o biskupie Strosmajerze; jedyny ustęp, któremu przyznać można jakąśkolwiek wartość.

Oprócz powyższych nagród i medalów, przysądzoną w tym roku została nagroda za najznakomitszy utwór wymowy. Konkurs ten, odbywający się jak wiadomo co dwa lata, istnieje od dwustu lat z górą, to jest od czasu powstania samejże akademii. Pochwała sławnego Bourdaloue, była przedmiotem tegorocznego współzawodnictwa. Otrzymał nagrodę p. Anatol Feugère. Odczytane ustępy z jego pracy zachwyciły słuchaczów harmonią i mistrzowską doskonałością stylu.

W końcu posiedzenia ogłoszono przedmiot do konkursu na rok 1876. Będzie nim rozprawa o geniuszu Rabelais'go, o charakterze i doniosłości jego dzieła. Przedmiot tak bogaty może dać pobudkę do znakomitego studyum. Ileżto złotych ziarn wydobyć można z pod owych plew rubasznego dowcipu, któremi satyryczny autor Pantagruela osłania głęboką swoję filozofią.

Jako przedmiot do konkursu poetycznego na rok 1875 zadano *Wspomnienie Liwingstona*. Oto program skreślony w kilku słowach przez sekretarza akademii.

„Chwała słynnego a nieszczęśliwego podróżnika nie przemawia tylko do patryotycznych uczuć angielskiego narodu: budzi ona zajęcie powszechne, powinna przeto natchnąć poetów naszych. Uboga i pracowita młodość Liwingstona, wytrwałe przygotowania do podwójnego zawodu, do trudów misyonarza i podróżnika; trzydzieści lat poświęconych na wdarcie się z takim wysiłkiem i niebezpieczeństwem w głąb dzikiéj a nieznanéj Afryki, ciekawość z jaką Europa śledzi go krok po kroku w mozolnych poszukiwaniach, pochopność z jaką śpieszy mu w pomoc, ilekroć zniknie z jéj oczu; nieprzebłagana śmierć w chwili gdy z najwyższém wysileniem ma już zedrzéć zasłonę, pokrywającą od wieków tajemnicze źródła Nilu; cześć oddana zwłokom przez Anglików, którzy wznoszą mu grobowiec w Westminsterze, tym panteonie sławy narodowéj: wszystko to silnie przemawia do wyobraźni, a pod piórem mistrza może się stać prawdziwie pięknym poematem!“

Czytamy w późniejszém ogłoszeniu, że poemat o Liwingstonie ma obejmować co najwięcéj dwieście wierszy. Zdaje nam się, że akademia w zbyt niewolnicze więzy ujarzmia myśl poetów. Geniusz nie cierpi wędzidła. Klassycy wprawdzie umieli ujarzmić Pegaza i uczynić go powolnym jakby jagnię, ale było to w czasach upadku, kiedy z klassycyzmu wyrodził się bezduszny konwecyonalizm. Szkoła eklektyczna we Francyi, którą zdaje się popierać akademia, powinnaby zostawić więcéj swobody skrzydlatemu hipogryfowi!

Przypuszczamy, że można w dwustu wierszach, naturalnie długich aleksandrynach, pomieścić całego Liwingstona: pokazać go i chłopięciem przy książce i młodzianem rwącym się do czynu i dojrzalym mężem w trzydziestoletnich zapasach ze skwarami pustyń i chmurą afrykańskich Kaniballów: pokazać go w chwilach boleści i otuchy

i tryumfów pośmiertnych; ale pytamy, utwór taki będzież czém więcéj jak sztuczną łamigłówką? Ścisłość bez zaprzeczenia jest jednym z warunków poezyi, lecz poeta musi być wolnym! Smak estetyczny niech mu narzuca pęta, ale żadna w świecie akademia niéma prawa podcinać skrzydeł geniuszom!

Zmarły Juliusz Janin zapisał żonie piękną bibliotekę swoją, zebraną z wytrawnym smakiem prawdziwego bibliofila, złożoną z dzieł nadzwyczaj rzadkich i kosztownych. Dowiadujemy się że wdowa ofiarowała ten drogocenny zabytek akademii francuzkiéj, zastrzegając sobie dożywotnie posiadanie.

Inna znów donatorka, pani de Caen, zmarła kilka lat temu, zapisała na rzecz instytutu liczną kolekcyą dzieł sztuki wysokiéj wartości. Na pomieszczenie tego muzeum wykończono właśnie w pałacu Mazariniego, dwie wspaniałe galerye, długie na dwadzieścia pięć metrów, wsparte na żelaznych pilastrach. Nie poprzestając na tym darze, pani de Caen zapisała znaczną summę, od któréj procent mają pobierać młodzi laureaci rzymscy, po ukończeniu nauk, w piérwszych latach zawodu, tak trudnych zazwyczaj dla artysty, nim zdobędzie wziętość i ogólne uznanie. W zamian za taką pomoc artysta każdy obowiązany będzie uposażyć muzeum jedném dziełem. Freski i rzeźby w galeryi będą wykonane pędzlem i dłutem uczniów rzymskich.

Na zakończenie dajemy tu świeżo utworzoną w Anglii legendę. Główną w niéj osobą jest młody Argile brat księcia Lornu, niedawno zaślubionego z córką królowéj Wiktoryi. Ważniejszą jeszcze rolę odgrywa książe Bismark, dzisiaj wyrocznia świata.

Legenda naszych czasów.

Kochał Argil piękny i młody,
Hożą Edytę cudnéj urody;
Błoga dwom sercom zabłysła chwila:
Edyta wzajem kocha Argila.

Młodzian w ojcowskie podąża progi:
— „Błogosław związek ojcze mój drogi!
Przyjmij Edytę za własne dziecię,
Mnie zdala od niéj nie żyć na świecie!“

— „Miły mój synu, odrzecze książe,
Wiész jak potężny węzeł mnie wiąże,

Brat twój z królowéj zaślubion córą,
Sztandar nad domem on trzyma górą!

„Do brata twego pospiesz-że Lorna,
Niech go twa prośba skłoni pokorna;
Gdy on zezwoli, ja się téż zgodzę,
W poprzecz na twojéj nie stanę drodze."

— „Dostojny Lornie!— błaga brat młody,
Na me weselne pozwólże gody!
A Lorn mu na to: „Nim rzeknę słowo,
Złożę naradę z matką królową!"

W progi królowéj Lorn zakołata,
Niesie pokornie prośby za brata.
— „Kipi w téj piersi krew starych Szkotów,
Bez swój Edyty on umrzéć gotów!"

— „Niech-że mi żyje zdrowo Szkot dzielny,
Pragnę mu wieniec upleść weselny;
Lecz skoro męża wzięły mi nieba,
Rady Koburgów wezwać tu trzeba!"

Królowa liścik co żywo kreśli,
Związek Argila znać jéj po myśli!
Wnet goniec z listem za morze płynie,
Rychło w Koburgów stanął dziedzinie.

— „Miła nam siostro, książe odpowie,
Wszak my zależni dziś Koburgowie!
Wpadliśmy wszyscy w paszczę olbrzyma:
Cesarz niemiecki w mocy nas trzyma!"

I do Berlina spieszy w te tropy:
— „Panie, co dzierżysz los Europy!
Szala twa przyszłość ludów przechyla,
Weź-że do serca prośbę Argila!"

A cesarz milczy, cóś w myśli waży:
— „Tak, jam dziś stanął na świata straży,
Ten, kto mnie odział tak wielką chwałą,
Jego do rady wezwać przystało!"

Książe Koburski co żywo zmierza,
W wysokie progi księcia kanclerza,

Rzecz rozpowiada długo, szeroko,
Kanclerz brwi zmarszczył, pochmurzył oko:

— „Tam do pioruna! mnie drogie chwile,
Co mnie obchodzą wasze Argile?
Niechaj się żenią, miłość nie grzechem:
Zaklął, i tupnął, i parsknął śmiechem.

Księciu do swatów przeszła ochota,
Pospiesznym cugiem pędzi do Gota,
Ot i legenda i cóż wy na to:
Se non e vero e ben trovato!

WIADOMOŚĆ
O KSIĘGARNIACH NAJDAWNIEJSZYCH
W WARSZAWIE.
1572—1598.

Mylne zupełnie podania dotąd drukiem ogłoszone, co do zaprowadzenia pierwszych księgarń w Warszawie, tak pod względem epoki w któréj nastały, jako też osób które je otworzyły, skłaniają nas abyśmy na mocy dowodów urzędowych takowe sprzeczności sprostowali i dokładne o nich wiadomości wyłuszczyli.

Wedle akt radzieckich Staréj Warszawy okazuje się, że najdawniejszymi księgarzami w stolicy Wazów, byli: Paweł Fabrycyusz i Jan Gierasz obywatel warszawski. Pierwszy był właściwie bibliopolą krakowskim a filię miał tylko w Warszawie; drugi przeciwnie miał główny księgozbiór w ostatniém mieście, a filię w Toruniu, Łęczycy i po innych miastach i miasteczkach, gdzie walniejsze jarmarki się odbywały.

Z zestawienia wszystkich akt, dotyczących tych zakładów a zamieszczonych w wyrokach sądów radzieckich, nabieramy przekonania, iż w epoce kiedy one powstały około roku 1572, podczas pierwszéj elekcyi, ruch zgromadzonego narodu i liczny napływ całego stanu rycerskiego pod Warszawą, po śmierci ostatniego po mieczu z Jagiellonów, najwięcéj przyczyniły się do założenia księgozbiorów, w tém mieście. Liczne akta dotyczące tego przedsiębierstwa po-

świadczają także, że one pierwotnie chwilowo tylko trwały podczas zgromadzeń prawodawczych. Wkrótce jednak za poparciem królowéj Anny Jagiellonki i Stefana Batorego zamieniły się na stałe przedsięwzięcia. Że zaś szczegóły ich życia, trwania i upadku są z sobą najściśléj spojone, dlatego musimy w porządku chronologicznym, o ile wyroki radzieckie zapadały, wszelkie szczegóły o nich przedstawić dla dobra dziejów oświaty.

Paweł Fabrycyusz księgarz krakowski w miesiącu lipcu roku 1574, za wpływem i protekcyą królowéj Anny Jagiellonki, założył w Warszawie stałą księgarnię. Że zaś miał główny swój zakład w Krakowie, dla dopilnowania zatém handlu swego w Warszawie, powierzył nad nim nadzór niejakiemu Jakóbowi Niecieckiemu, mieszczaninowi warszawskiemu, z którym zawarł umowę na lat cztery i stałe mu wynagrodzenie oznaczył. Zaledwie jednak lat dwa upłynęło, wśród których wielkie zmiany nastąpiły w stolicy, przez krótkie panowanie Henryka Walezyusza i nader liczne zjazdy rycerstwa przy wyborze Batorego: powiernik Fabrycyusza, czyli to namowami skłoniony, czyli téż chęcią zbogacenia się uwiedziony, posprzedawał w niebytności pryncypała wielką ilość jego książek. A prócz tego, po ukończeniu sejmu koronacyjnego za króla Batorego [1]), zabrawszy pieniądzę, wydalił się z miasta niewiadomo gdzie, bez zdania najmniejszego obrachunku. Tak silny cios, jaki dotknął Fabrycego, w samych początkach swego przedsiębiorstwa, byłby mniéj zamożnego pozbawił na zawsze chęci i możności zakładania księgozbiorów w Warszawie. Z poniższych atoli szczegółów płynie przekonanie, że musiał on znaczne dochody już posiadać z handlu księgarskiego, kiedy rabunek taki nietylko nie zraził go w tém przedsiębiorstwie, ale nawet przez swą stałość i energią, postawił go jeszcze w lepszém jak dawniéj położeniu. Obaczmy jakiemi środkami tego dopiął.

Postarał się najprzód o wiarogodne zeznanie przed sądem radzieckim, któreby jego krzywdę ujawniło. W tym celu przed temiż aktami Jan Mulicz obywatel i aptekarz w Sochaczewie, w piątek po niedzieli drugiéj po wielkanocy, pod przysięgą zeznał wszelkie szczegóły tego rabunku, jakieśmy wyżéj przytoczyli [2]). Obaczymy poniżéj ile tak otrzymany dowód był pomocnym Fabrycemu, do dalszych postępów w tém przedsiębiorstwie.

Drugim księgarzem w téj epoce w Warszawie, był Jan Gierasz obywatel tego miasta. W jakimby z pewnością czasie zakład swój przedtém otworzył w tym grodzie, nie wiadomo nam. To tylko jest pewném, że miał już w roku 1579 w kilku miastach polskich znaczne

---

[1]) Koronacya odbyła się w Krakowie dnia 1 maja 1576 roku.

[2]) Księga Radziecka Starej Warszawy, LX s 74.

księgarnie, jakoto: w Toruniu, Łęczycy i w innych grodach i miasteczkach mających jarmarki. Znajdujemy bowiem wyraźnie, w umowie zawartéj w księdze radzieckiéj pod rokiem 1579 następujące wyjaśnienie [1]).

Johannes Gierasz civis et bibliopola Varsaviensis etc. omnes et singulos libros suos quos habet hic Varsaviae, Torunii, Lanciciae et in quibuscunque aliis civitatibus et oppidis nundinalibus, quocunque ipse venire cum praefatis libris suis et adesse solebat etc. Vendidit inscripsit et resignavit etc.

(Jan Gierasz obywatel i księgarz warszawski i t. d. wszystkie swe książki bez żadnego wyjątku, które ma tu w Warszawie, Toruniu, Łęczycy, lub po innych miastach i miasteczkach z jarmarkami, na które zwykł był sam z rzeczonemi swemi książkami przybywać i być przytomnym i t. d. sprzedał, zapisał i odstąpił i t. d.)

Obywatel ten wprawdzie rozległe jak widzimy miał stosunki księgarskie, po różnych stronach Polski; zanadto jednak rozrzucone były jego zakłady, a przy utrudnionych nadzwyczaj wówczas środkach komunikacyjnych, nie osobliwie wychodził na swoim handlu. Wyczytujemy bowiem w aktach radzieckich pod tymże rokiem 1579, że wszystkie swoje zbiory książek i w Warszawie i w powyższych miastach z pakamerami i sklepami był zmuszony sprzedać Pawłowi Fabrycemu a to za 400 złotych ówczesnych, dziś około złp. 4000, czyli rs. 600 wynoszących. Przy spisaniu téj umowy dnia 1 lutego t. r. Fabrycy wypłacił Gieraszowi tylko złotych ówczesnych 150, a resztującą kwotę miał uiścić w ratach oznaczonych w akcię, z których ostatnią zobowiązał się kupujący opłacić roku 1583 w Toruniu. Z tego wnioskować można, że Gierasz przeniósł się następnie do tego ostatniego miasta, bo ginie ślad aby jakie zobowiązania co do księgarni, przed temiż samemi aktami spisywał następnie w Warszawie. Znajdujemy tylko w tychże księgach jedyny jeszcze dowód, który powyższą myśl naszą wspiera. Roku bowiem 1581 w piątek po niedzieli drugiéj po wielkanocy, tenże Gierasz sprzedał przed temi aktami, wszystkie nieruchomości zięciowi swemu Maciejowi Gromlewskiemu, jakie były jego własnością w miasteczku Waśniewie, w powiecie i województwie Sandomierskiém leżącém [2]).

Przy zawieraniu powyższéj umowy z Fabrycym, najtrudniejsza do załatwienia wątpliwość powstała z intromisyami do wszystkich księgozbiorów, jakie Gierasz miał w Toruniu, w Łęczycy i po innych miasteczkach. Dla Fabrycego bowiem jako handlem nieodstępnym zatrudnionego i smutném doświadczeniem już nauczonego z wypadku z Niecieckim, byłoby to wielką uciążliwością, gdyby do każdego powyższego miasta, musiał po Gieraszu zjeżdżać i formalności

[1]) Księga Radz. St. Warszawy, VIII s. 376.
[2]) Tamże, IX s. 74.

prawnych względem intromisyi, przez ławników i relacye sądowe dopełniać. Sąd więc radziecki zaradził temu w ten sposób, iż wprost z tego aktu po jego okazaniu, miał prawo Fabrycy bez innych uroczystości sądowych, wyjąwszy w Warszawie, objąć w posiadanie wszystkie inne księgozbiory, jakie Gierasz w Polsce posiadał. Tym sposobem mógł był przez pełnomocników obejmować księgarnie, niepotrzebując na długi przeciąg czasu wydalać się z miasta.

Z osnowy kontraktu téj sprzedaży, malowniczo przedstawia się nam także, nader chwalebny wówczas i upowszechniony zwyczaj w Polsce, iż na jarmarki po miastach i miasteczkach odbywające się, w miejsce pajaców, linochodów, akrobatów, prestigitatorów i t. p. wydrwigroszów, przybywali księgarze w celu rozszerzania zdrowego ziarna między ludem. Wyrażenie bowiem następujące w tym akcie: *in quibuscunque aliis civitatibus et oppidis nundinalibus, quocunque ipse* (Gierasz) *venire cum libris suis et adesse solebat*, aż nadto o tém przekonywa. Co również napotykamy w innych aktach radzieckich do końca XVI wieku, jak o tém mówiąc w oddzielnym artykule, o najdawniejszéj bibliotece w Warszawie bliżéj jeszcze stwierdzimy.

W komparycyi téj umowy kupna, Fabrycy jeszcze mianowany jest obywatelem i księgarzem krakowskim. Widać więc, że tam jeszcze r. 1579 był stale zamieszkały i tamże musiał jeszcze miéć swój zakład.

Na mocy więc téj sprzedaży przez Gierasza, ze dwóch jedna tylko księgarnia w Warszawie wówczas istniała. Fabrycy bowiem nowonabywca, mając tylko resztki jeszcze ze swego dawniejszego księgozbioru, nie miał powodu mnożenia sklepów i pakamerów do dwóch księgarni, skoro towarzysz jego handlowy Gierasz dla małego prawdopodobnie odbytu, musiał wszystkie swe księgozbiory w Warszawie i po innych miastach sprzedać, zaledwie za 4000 złp., licząc już na dzisiejszą monetę.

Z drugiéj jednak strony, działalność Fabrycego po nabyciu tylu księgozbiorów wzrosła bardzo znacznie, bo widzimy go już jednocześnie w Krakowie, w Warszawie, Toruniu, Łęczycy i po innych miastach. Stał się więc już znakomitym w całéj Polsce bibliopolą. Jak się jemu powodziło w Toruniu, Łęczycy i po innych miejscach, nie posiadamy żadnego śladu. Co do Warszawy jednak, stawszy się właścicielem jednego zbioru dzieł i to poważnych, przez sam ciągły pobyt królowéj Anny Jagiellonki w tém mieście, dał się wkrótce i łatwo jéj poznać oraz całemu jéj dworowi. Stosunki ciągłe naukowe z dworzanami zbliżyły go do saméj osoby monarchini. Ta zaś powodowana dobrem miasta i całego kraju, w protegowaniu samego zakładu tyle już potrzebnego w Warszawie, bo dwie szkoły istniały, z królewską powagą zaczęła silnie wspierać księgozbiór Fabrycego. Czego zaś wrodzone jéj przymioty nie zjednały, tego dopełnił powyższy autentyczny dowód pod przysięgą zeznany, co do szkody wielkiéj jaką poniósł Fabrycy przez łotrostwo Niecieckiego. Prze-

konana bowiem królowa o tak wielkiéj stracie, działając nadto z mocy powagi i opieki monarszéj, stanowczo w r. 1586 przemówiła za nim do magistratu Staréj Warszawy. Przytém żądała, aby dla zapobieżenia nadal podobnym wypadkom i dla wynagrodzenia Fabrycemu poniesionych strat, magistrat wyłączną mu dla jego osoby, sprzedaż książek, na długi przęciąg czasu udzielił.

W jak trudném położeniu była z tego powodu ówczesna władza miasta, musimy tu wyjaśnić.

Wiadomo z osnowy prawa chełmińskiego obowiązującego wówczas w Warszawie, iż każdy mieszczanin chcąc trudnić się najmniejszém zarobkowaniem i pragnący w tym celu ciągnąć z miasta dochody, musiał przyjąć prawo miejskie to jest:

1) Przysięgę wykonać na wierność krajowi i królowi, oraz na posłuszeństwo rozporządzeniom magistratu.

2) Złożyć postanowioną przez magistrat opłatę, bądź w naturze, jako to: muszkiety, broń sieczną i t. p. materyały wojenne; bądź w pieniądzach, stosownie do swéj możności.

3) Być zapisanym w księgę obywateli warszawskich, zwaną dawniéj *Album civile.*

Otóż Fabrycy nie był dotąd obywatelem warszawskim, ale krakowskim. Trudność więc ta nie mogła być inaczéj załatwioną, jak przez wyrzeczenie się jego obywatelstwa w Krakowie, i zapisanie się na stałego mieszczanina warszawskiego. Co się téż stało, jak dowód mamy w poniższym dokumencie, w którym on po raz pierwszy jako *civis varsaviensis* jest wyrażony.

Ważniejszy jednak spór powstał w samém łonie władzy miasta, z natury samego prawa miejskiego wynikający. Każdy bowiem przyjmujący to prawo, na to składał opłatę przepisaną do kassy miasta, że nabywał prawa nieograniczonego ciągnienia z miasta dochodów, byle godziwych, dopóki tylko przebywał stale w mieście. Zapewniając więc magistrat wyłączną sprzedaż ksiąg Fabrycemu, musiał postąpić wbrew prawom z r. 1562 i 1565, i oburzyć na siebie całe obywatelstwo Warszawy. Tém zaś draźliwsze było w tym sporze położenie magistratu, gdy zaledwie dwadzieścia lat upłynęło od wielkich i drażliwych zatargów, jakie miasto przeciw własnemu wojewodzie mazowieckiemu Stanisławowi Ławskiemu z Strzęgocina prowadziło. Rzecz się wówczas wytoczyła aż do sejmu piotrkowskiego z r. 1565, w czasie którego Zygmunt August, szanując poprzednio wydanę prawa miasta, wydał zgodnie z życzeniem magistratu wyrok utwierdzający miejskie rozporządzenia [1]). Jeszcze więc mnóstwo obywateli było żyjących, którzy pomni na utwierdzoną świeżo powagę praw

[1]) Inne szczegóły tych zatargów, ogłosiliśmy w *Zabytkach urządzeń sądowych*, część III str. 22.

miejskich, byliby się silnie obruszyli przeciw temu monopolowi, udzielić się mającemu dla Fabrycego, na wyłączną sprzedaż książek.

Magistrat więc jak widzimy był między Scyllą a Harybdą. Z jednéj strony wstawiennictwo i powaga majestatu, z drugiéj obraza praw świeżo sankcyonowanych. Z uwagi jednak na wielkie dobrodziejstwa i łaski, jakie Anna Jagiellonka z monarszą hojnością dla tego miasta niejednokrotnie już wyświadczyła [1]); gdy i sam Batory idąc za jéj radą wstawił się za Fabrycym, magistrat stosownie do ich woli, udzielił mu piśmienną koncessyę na wyłączną sprzedaż na lat dwanaście, licząc od jéj wydania, t. j. od piątku nazajutrz po Wniebowzięciu r. 1586, z zastrzeżeniami w następującéj uchwale sądu Radzieckiego zawartemi [2]), którą w wiernym przekładzie podajemy:

„Panowie rajcy z uwagi na wstawienie się Najjaśniejszéj Pani, a Pani naszéj Najłaskawszéj, i niektórych zaufanych osób z dworu Jéj Królewskiego, a to za Pawłem Fabrycym, księgarzem i obywatelem miasta Staréj Warszawy wniesione, jak niemniéj mając wzgląd na jego przyzwoite zachowywanie się, udzielili jemu samemu tylko pozwolenie sprzedaży książek i niniejszém udzielają w tym sposobie, że nikomu innemu, bez względu czy to będzie obywatel warszawski czy zagraniczny jaki człowiek, jakiegokolwiek stanu, płci i powołania, nie wolno odtąd sprzedawać książek w tém mieście, przez lat dwanaście po sobie następujących. Z wyjątkiem wszakże minucyi czyli kalendarzy [3]), papieru i kart [4]), których sprzedażą trudnią się kupcy, aptekarze i inni obywatele warszawscy; z wyłączeniem także czasu sejmów walnych i jarmarków, zwykle w tém mieście z mocy przywilejów mu nadanych odbywających się. W czasie których wszystkim miejscowym obywatelom, jako też kupcom zagranicznym, dozwala się różne i rozmaite towary sprzedawać bez niczyjego ograniczenia. Przytém także rzeczony Paweł Fabrycy księgarz, będąc wdzięcznym za to łaskawe pozwolenie, zobowiązał się z własnéj dobrowolnéj swéj chęci, w ciągu rzeczonych lat dwunastu, dawać każdorocznie po ryzie papieru na użytek miasta i własnym kosztem sprawiać ile razy tylko będzie potrzeba, księgi do aktykowania spraw [5]) i sporów miejskich, w sądzie radzieckim odbywających się.“

---

[1]) Między innemi własnym kosztem dokończyła pierwszy stary most pod Warszawą r. 1573.

[2]) Księga Radziecka Staréj Warszawy, IX s. 621.

[3]) Najdawniejszy dotąd dowód o kalendarzach w Warszawie.

[4]) Najdawniejsza wzmianka o używaniu kart do gry w Warszawie.

[5]) Był zwyczaj dawniéj w Polsce, iż pisarze ziemscy po magistratach a nawet w kancelaryach królewskich, akta ważniejsze w skróceniu naprzód sporządzali, a potém takowe w obszerności w oddzielnych księgach spisywali. To się nazywało *aktykowaniem*.

Że taki monopol lubo przy wysokiéj protekcyi wyjednany, lecz wręcz przeciwny prawom wówczas obowiązującym, musiał wywołać i to wkrótce wielkie spory, mamy tego dowód najoczywistszy z samych akt radzieckich. W tymże bowiem jeszcze roku 1586, w parę nawet tygodni, niejaki Jan Modzelek, *Szkatulnikiem* przezwany, nietylko zaczął na mocy opłacanego prawa miejskiego, sprzedawać książki po całém mieście, ale nawet w oddzielnym sklepie założył formalną księgarnię. Fabrycy dowiedziawszy się o tém, przypozwał go przed sąd radziecki we wtorek przed Zielonemi Świątkami roku 1586 i tyle jeszcze wymógł u władzy miasta, iż rajcy zabronili Modzelewskiemu trudnienia się księgarstwem, opierając się na koncesyi, poprzednio już udzielonéj Fabrycemu.

Z tego żarzewia jednak sporu, pomiarkował ten ostatni, że rywal jego nie zaśpi téj sprawy, i nie poprzestanie na tém, a wreszcie że trzeba mu się lękać wyższych wpływów u dygnitarzy, a nawet u samego króla, do których jak go posłuchy dochodziły, już miał mieć wpływy Modzelewski. Że zaś, a co najważniejsza, za tym ostatnim przemawiały wszystkie dawniejsze prawa, tak przywilejami królów, jakotéż uchwałami miasta, czyli wilkirzami zatwierdzone; żeby więc zabezpieczyć sobie silne poparcie w samym magistracie, a zwłaszcza co do tłumaczenia praw podówczas obowiązujących,, Fabrycy w tymże samym roku wybrał za plenipotenta swego Jana Krzywickiego, pisarza koła ławniczego, któremu zupełną moc do prowadzenią wszystkich spraw swoich w piątek po świętym Marcinie udzielił [1]). Przy takim opiekunie i popleczniku zaczął nasz księgarz u wyższych dygnitarzy skarbić sobie łaskę, względem zatwierdzenia udzielonego mu monopolu. W krótkim czasie tyle zabiegami dokazał, że kilku dygnitarzy potrafiło jego prośbę przedstawić królowi Stefanowi tak przychylnie, iż monarcha Polski, powodowany jedynie chęcią rozszerzania oświaty w powstającém dopiéro mieście, zatwierdził powyższy układ Fabrycego [2]).

Zdawało się więc pozornie, iż pozyskawszy już sankcyą królewską, księgarz nasz będzie mógł odtąd używać spokojnie swego przywileju przez lat dwanaście. Ale srodze się zawiódł, bo mając wątłą i chwiejną podstawę swego monopolu, jako wbrew prawom uświęconym wydanego, już w parę lat po udzieleniu téj koncesyi, musiał doznawać gorzkich owoców swoich zabiegów.

Modzelek bowiem, późniéj Modzelewskim przezwany, przegrawszy, jakeśmy wyżéj wspomnieli, sprawę z Fabrycym w sądach radzieckich, chcąc pokonać przeciwnika i to na zasadzie praw obowiązujących, nabył dokładnego przekonania, że na téj drodze poszukując sprawiedliwości, musi przy sprzyjającéj chwili dopiąć swego za-

[1]) Ks. Radziecka Staréj Warszawy, IX s. 662.
[2]) Tamże, ks. X s. 154.

miaru. W tym celu przedewszystkiém zaczął sobie skarbić łaskę kilku dygnitarzy, aby za ich wpływem mógł prędzéj otrzymać skutek swoich zabiegów. Ani do królowéj Anny, ani do Batorego nie miał po co udawać się, bo dotykalnie wiedział że oni protegowali Fabrycego. Czekał więc cierpliwie sprzyjających okoliczności. Jakoż wkrótce nastąpiona śmierć nagła Batorego dnia 13 grudnia 1586 r. zmieniła zupełnie postać kraju i położenie przykrę Modzelewskiego. Królowa bowiem Anna główna protektorka Fabrycego, utraciła na powadze po śmierci męża, a wybrany nowy król Zygmunt III lubo jéj siostrzeniec, nię wiadomo było czy da się powodować w rządach swojéj ciotce. Modzelewski więc postanowił uchwycić tę zmianę rządów na swą korzyść. Jakoż lotem ptaka pospieszył do Krakowa, aby tam przy sejmie koronacyjnym i przy utorowanéj już drodze za wpływem dygnitarzy, pozyskać także od nowo obranego króla przywiléj na założenie księgarni w Warszawie. Co uzyskawszy, jeszcze prędzéj wraca do Warszawy dla otworzenia w tém mieście swego zakładu, bez pytania się nawet ani proszenia o to magistratu. I to wkrótce wykonał.

Że tak jawne wystąpienie Modzelewskiego po latach dwóch niespełna, od udzielonéj koncessyi Fabrycemu, musiało gwałtowny spór między obudwoma wywołać, łatwo można sobie wyobrazić. Pozwy, doręczenia, woźni sądowi, pachołki miejskie, w ciągłym musieli być ruchu, bo magistrat z powodu, iż Modzelewski tajemnie pozyskał swój przywiléj u Zygmunta III, nie wiedział bynajmniéj o prawie, na mocy którego on otworzył swoję księgarnię. Sprawa więc wielka wytoczyła się przed sądem radzieckim. Obiedwie strony silnie zainteresowały jużto samych warszawian nowością zakładow, już téż wysokiemi wpływami, jakie każda z osobna na dworze królewskim u dygnitarzy i dworzan poprzednio sobie wyjednała. Skoro więc termin sprawy nastąpił, we środę przed niedzielą *oculi* r. 1588, sąd radziecki przy liczném nader zgromadzeniu osób, musiał z całą oględnością postępować, bo trzeba mu już było rachować się nietylko z Modzelewskim, ale z wysoko położonemi jego poplecznikami. Przedewszystkiém z natury sprawy wezwał sąd Modzelewskiego przed kratki do wytłumaczenia się, dlaczego mimo koncessyi udzielonéj Fabrycemu, mimo zakazu już wydanego mu raz w tymże sądzie we wtorek przed Zielonemi Świątkami w r. 1586; wbrew więc rozporządzeniom magistratu i wykonanéj przysiędze na prawo miejskie, ośmielił się otworzyć drugą księgarnię w Warszawie. Fabrycy przytém okazał swoje od Batorego zatwierdzenie, zatém sąd radziecki tém ostrzéj mógł już występować i występował przeciw Modzelewskiemu. Wyrok jaki w tym sporze zapadł w sądach radzieckich, w powyżéj przytoczonym terminie, wyjaśnia całą dalszą obronę stron obudwóch. Sentencyę samą w osnowie następującéj w przekładzie podajemy:

„Upraszał więc (Fabrycy), żeby go utrzymać przy rzeczonéj jego koncessyi poprzedniéj, a przez błogiéj pamięci królą Stefana za-

twierdzonéj, któréj dowodu do téj sprawy przed sądem radzieckim w obec strony dlatego nie mógł okazać jak przytaczał, że w poprzednich dniach on sam przesłał go do Krakowa, jak utrzymywał dla zatwierdzenia go przez obecnie szczęśliwie panującego króla polskiego Zygmunta III, a który aż do tego czasu jemu nie nadesłano z tego powodu mianowicie, że własny jego posłaniec dla wielkich roztopów wiosennych, mając utrudniony powrót z Krakowa, nie mógł mu takowego przywieźć. Co utrzymywał za prawną przeszkodę do swojéj sprawy niniejszéj i sąd radziecki na mocy wstawienia się za nim królowéj Pani a Pani Naszéj Najłaskawszéj, przy wyroku tegoż sądu utrzymuje, przywiléj zaś strony przeciwnéj później bez zezwolenia rajców od królowéj otrzymany dla wykonania na stronę odrzuca.

Wprawdzie powód przytaczał, że w żaden nowy spór ze stroną przeciwną nie chce się mięszać, ani nie jest obowiązany, ale upraszał, aby go utrzymano przy jego przywileju od Najjaśniejszego panującego króla udzielonym i sądowi radzieckiemu okazanym, w skutek czego żądał, aby z mocy tegoż dyplomu udzielono mu pozwolenie i upoważnienie do sprzedawania książek.

Sąd więc radziecki zważywszy, że lubo za rozkazem i wstawieniem się Najjaśniejszéj królowéj, udzielone zostało w r. 1586 Pawłowi Fabrycemu księgarzowi i obywatelowi warszawskiemu, na przeciąg dwunastu lat, dozwolenie wyłącznéj sprzedaży książek, a które przez świętéj pamięci króla Stefana zostało sankcyonowane i do niniejszego wyroku przyłączone i t. d. Z uwagi jednak, że gdy sam Modzelewski teraz okazuje świeży dyplom otrzymany i wprost przeciwny pierwszemu przywilejowi, oraz uprasza, aby był przy nim zachowany i miał udzieloną możność sprzedawania książek; rozpatrzywszy więc i rozważywszy różność zupełną przywilejów, przez obiedwie strony otrzymanych względem sprzedaży książek, a przez królów zatwierdzonych, których objaśnienie i wytłumaczenie nikomu innemu nie przystoi, jak tylko Najjaśniejszéj królowéj: z tych powodów obiedwie strony sąd niniejszém odesłał do Najjaśniejszego króla po objaśnienie i rozpoznanie, termin zaś stawiennictwa i dochodzenia przed Najjaśniejszym Monarchą w sześciu tygodniach, od daty dzisiejszéj dla rzeczonych stron stale oznacza i stanowi."

Z osnowy tego wyroku dotykalnie przekonywamy się, że sprawa ta między obudwoma księgarzami ostatecznie nie została rozstrzygniętą; że zatém i jeden i drugi na mocy pozyskanych przywilejów, otwarte mieli odtąd księgarnie, aż do czasu roztrzygnięcia téj wątpliwości przez samego króla. W jakiémby jednak miejscu w Warszawie zakłady swoje wówczas posiadali, z pewnością nie wiemy. Wyczytujemy tylko w księgach radzieckich pod r. 1592 w piątek po Nawiedzeniu Matki Boskiéj [1]), iż Jan Modzelewski introligator, księ-

[1]) Ks. Radziecka Staréj Warszawy, XIII s. 32.

garz i obywatel Warszawy, kupił od Katarzyny Konwaszowéj wdowy po Jakóbie Konwaszu piwowarze warszawskim, dom podupadły przy ulicy Piwnéj [1]) za złp. ówczesnych 400, dziś około rs. 600. Prawdopodobnie więc księgarz ten miał przy rzeczonéj ulicy swój zakład. Co do Fabrycego jednak, żadnego nawet śladu gdzieby mieścił się z swoim księgozbiorem nie natrafiliśmy.

Obaczmy teraz jakim dalszym losom uległa ta sprawa, dotąd nie rozstrzygnięta.

Od czasu zwycięztwa pod Byczyną w r. 1588, nowoobrany król nadzwyczaj będąc zajęty swojemi własnemi sprawami, nie miał dosyć czasu do załatwienia próśb i żądań prywatnych osób i to jeszcze mieszczańskich. Dwa berła posiadając w Polsce i spodziewane w Szwecyi, ciągle myślał o kraju rodzinnym, ciągle swój umysł i zajęcia tamże miał skierowane. Przytém długo trwająca podróż do Szwecyi robiła także stagnacyę nadzwyczajną w sprawach całéj Polski. Jeżeli dodamy do tego świeże napady Tatarów co Podole i Ruś zrabowali, a nadto wojnę rozpoczętą przez Turcyą, która z ogromnemi siłami już pod granicę Polski podstąpiła; łatwo ocenimy zastój wszelkich drobniejszych spraw krajowych, a tém bardziéj pojedyńczych osób. Zgoła zewsząd w Polsce sarkano na opieszałość króla. Do czego przyłożyły się jeszcze więcéj tajemne niemal związki małżeńskie z arcy-księżniczką austryacką, tajemne prawdziwie korrespondencye z Wiedniem, przejęcie wreszcie tych korrespondencyj. Wszystko to bowiem nasuwało myśl uzasadnioną, że Zygmunt III aby utrzymać się przy Szwecyi, chce tron polski odstąpić domowi Rakuzkiemu. Oburzony naród do najwyższego stopnia na takie lekceważenie jego swobód, wyjawił swoje żale na słynnym sejmie inkwizycyjnym, roku 1592 odbytym w Warszawie. Król więc w tak chwiejnych jego rządów chwilach, ani chciał ani mógł zajmować się sprawami mieszczańskiemi.

Nie rozstrzygnięty więc spór naszych księgarzy, szedł w odwłokę coraz więcéj. Wprawdzie jeszcze raz w księgach radzieckich znajdujemy pewny dowód pod r. 1592 [2]), że sprawa ta z powodu iż król jeszcze nie wydał swojego rozporządzenia w tym względzie, zatém i rajcy zawiesili swoje wyrokowanie aż do ukończenia sejmu (inkwizycyjnego). Po ścisłém atoli przejrzeniu następnych wyroków radzieckich aż do roku 1598, przekonywamy się, iż zwłoka w tym względzie trwała aż do tego czasu.

Co się zaś tyczy naszych księgarzy, widzimy ich aż do roku 1598 działających każdy z osobna z mocy pozyskanych przywilejów.

---

[1]) Dawniéj ulica Piwna rozciągała się tylko od N-r 93 do 105, bo drugą jéj część od N-r 106 do 118 przezywano ulicą ś. Marcina.

[2]) Księgi Radzieckie Staréj Warszawy, XII s. 174.

Jeżeli zaś zwrócimy uwagę na sam przeciąg czasu, do jakiego król zwlekał swoje postanowienie i porównamy z epoką otrzymania wyłącznego przywileju przez Fabrycego, to jest na przeciąg lat od r. 1586 do 1598; to dotykalnie przekonywamy się że upłynęło właśnie lat dwanaście, to jest tyle czasu, na jaki miał sobie udzielony przywilej Fabrycy, za wstawieniem się królewny Anny Jagiellonki. Czyli jedném słowem, zadosyć się stało jéj woli i żądaniu: a prawdopodobnie przypuszczać można, że Zygmunt III właśnie dla uszanowania woli swéj ciotki taką przewłokę zdziałał.

Co do osoby Modzelewskiego i ten również zwycięzko wyszedł, mimo silnego oporu jaki miał do pokonania. Bo od r. 1588 do 1598 zatém przez lat dziesięć,swój zakład mógł był rozwijać i zbogacać różnemi nabytkami ksiąg w rozmaitych gałęziach wiedzy.

Z drugiéj wreszcie strony magistrat przekonawszy się że Modzelewski miał najsłuszniejsze prawo o które upominał się, bynajmniéj mu odtąd nie przeszkadzał w jego przedsiębiorstwie.

Tym więc sposobem, Fabrycy, Modzelewski i magistrat, w okresie tym 1586—1598 bardzo ważnym dla Warszawy, z powodu przeniesienia w roku 1596 stałéj rezydencyi króla do tego miasta, spory te załatwili.

Aleksander Wejnert.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Z otwartém sercem i rozkoszą powitałem wasz list z ziemi rodzinnéj; nie częste to dla mnie święto posłyszéć co po polsku z nad Wisły i wiedzieć że się tam pracuje i pisze jak za dobrych czasów. Powołujesz mię łaskawie do uczestnictwa w waszém peryodyczném piśmie: jest to wielka zachęta i pokusa dla mnie obarczonego obowiązkami urzędu, wiekiem i familią, kiedy i pióro już nie jest potemu, na zawołanie, gdy się pisze po polsku, a niekiedy mnie zawstydza, gdy szukam jakiego słowa zabłąkanego w pamięci. Nie odmawiam jednak ani przyrzekam na pewno. Jeżeli Bóg mi przedłuży lat i zdrowia jakiego dotąd używam, to się spodziewam, że skoro się nieco oderwę od tych zatrudnień które dziś moje rektorstwo i nauczycielstwo na mnie zwaliły, to mi wystarczy czas na posyłanie do waszych pism nadwiślańskich, wyjątków z notat uzbieranych na tułactwie. Nateraz proszę was przyjąć zapewnienie dobrych chęci, szacunku i miłości rodzinnéj: oświadczcie to samo przyjaciełowi mojemu Odyńcowi i innym z mojéj młodości i moich stron, jeżeli który żyje w Warszawie, a jeśli się zdarzy wam przesłać jakie słówko do mojéj kochanéj siostry, to dorzućcie i moje tam uściśnienie i żal że oddawna nie mam od niéj wiadomości.

Wasz życzliwy rodak i sługa

J. Domeyko.

Sant Jago, 8 czerwa 1874 r.

W zeszycie Biblioteki Warszawskiéj za wrzesień r. b., na str. 505 znajduję powtórzone z Gazety Warszawskiéj ubolewanie, iż *żaden* z naszych podróżnych nie opisał relikwiarza i kościoła mieszczącego relikwie świętego Wojciecha w Rzymie. Uważam, za stosowne sprostować te mylne twierdzenia.

Ksiądz kanonik Ignacy Polkowski członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, zasłużony autor *Żywota Kopernika*, wydawca *Kopernikianów* i innych prac historycznych, zajmujący się obecnie *opisem Katedry Gnieźnieńskiéj*, dzieła pomnikowego, którego pierwszy zeszyt już się ukazał; w dziełku swojém: *Groby i Pamiątki Polskie*

w Rzymie, wydaném w Dreźnie 1870 r., tak opisuje w mowie będącą pamiątkę:

„Najcenniejszą dla serc katolickich pamiątką w Rzymie i najdawniejszą, bo sięgającą pierwszych u nas w Polsce wieków chrześcijaństwa, jest znaczna część relikwii św. Wojciecha, arcybiskupa gnieźnieńskiego, pierwszego apostoła, męczennika i patrona Polski.

Pamiątka ta przybyła z Gniezna do Rzymu na początku XI w. Jak wiadomo to wszystkim, Otton III cesarz niemiecki, roku 1000 odwiedzając w Gnieźnie króla Polskiego Bolesława Chrobrego, otrzymał od niego w darze część relikwii św. Wojciecha, to jest całe prawe ramie. Z tak drogim skarbem wracając z Polski przybył do Rzymu i w budującym się przez niego kościele na wyspie Tybru, złożył tę drogą pamiątkę, jako najszacowniejszy dar króla Polskiego, z rozkazem aby nowo wystawiony kościół mógł być poświęcony czci tego piérwszego Polski męczennika.

Różne okoliczności, a głównie sprowadzenie całkowitych relikwii św. Bartłomieja apostoła, spowodowały, że budujący się kościół dedykowano św. Bartłomiejowi, a dla relikwii św. Wojciecha przystawiono piękną kaplicę. Kościół ten nazywa się: *San Bartholomeo in Insola.*

W roku 1852 dnia 22 stycznia, na prośby rodaków naszych, spodziewających się znaleźć w sarkofagu św. Wojciecha jaki dokument sięgający może czasów Bolesława, Ojciec Św. delegował biskupa Tizziani do otworzenia trumny; ale jakież było zdziwienie wyczekujących piśmiennego zabytku z odległych wieków, gdy ujrzeli pożółkły tylko półarkuszek papiéru z 1713 roku, opiewający to tylko, że w tém zamknięciu znajdują się relikwie z ramienia św. Wojciecha, przywiezione z Polski przez cesarza Ottona. Pierwotny dowód, który bez wątpienia byłby niesłychanie interesujący, widać nie istnieje już, a może spoczywa gdzie w Watykańskiém archiwum.

Obecnie na nowéj ołowianéj trumnie, która corocznie 23 kwietnia wystawiana jest ku czci powszechnéj, a w któréj złożone są i opieczętowane relikwie św. Wojciecha, jest prosty napis: *Corpus s. Adalberti Mart.*, który nieświadomych w wątpliwość wprowadzić może, ciało bowiem św. Wojciecha w gnieźnieńskiéj spoczywa katedrze, w Rzymie zaś cząstka jest tylko.“

Upraszając o zamieszczenie niniejszego sprostowania w najbliższym zeszycie Biblioteki, łączę wyrazy szacunku.

Leonard Wasiutyński.

Z powodu artykułu K. Wł. Wójcickiego, zamieszczonego w zeszycie sierpniowym pisma naszego, o przysłowiach A. W. Darowskiego, p. Józef Rolle doktor nadesłał wyjaśnienia, które tu podajemy.

Najprzód co do życiorysu zmarłego: Aleksander Weryha-Darowski urodził się dnia 17 sierpnia 1815 r. w Tomaszówce na Podolu, w powiecie Uszyckim położonéj, ochrzczony w Tynnéj, przez ks. Germińskiego; ożenił się w 1849 r. na Podgórzu z Antoniną Huturowiczówną, zostawił syna i córkę (daty więc podane przez p. W. w Bibliotece Warszawskiéj i przezemnie w Kłosach n. 468 są błędne).

Co do ostatniéj pracy zmarłego; A. W. Darowski wydał w Kijowie dwie książeczki dotyczące przysłów polskich, mianowicie:

Jeden rozdział do przyszłéj księgi przysłów polskich str. 85 rok 1867.

Przysłowia do nazwisk szlacheckich; dodatek do jednego rozdziału etc. str. 15 r. 1870 (Jest to odbitka z pisma zbiorowego: *Kwiaty i Owoce*).

Że jednak po tém ogłoszeniu drukiem, sporo przybyło nowego materyału, połączył więc obie poprzedzające prace w jedno, poczynił potrzebne dodatki i wydał pod tytułem:

Przysłowia polskie odnoszące się do nazwisk szlacheckich i miejscowości. Poznań nakładem księgarni Żupańskiego r. 1874 str. 219, drukiem Metzgera i Wittiza w Lipsku. Nie jest więc to właściwie trzecie wydanie, prędzéjby go drugiém nazwać wypadało; ostateczny wynik prac i zabiegów zmarłego na téj drodze: można śmiało powiedzieć, że lat dziesięć pracował nad zebraniem i objaśnieniem przysłów zawartych w téj ostatniéj książeczce.

W końcu Dr. Rolle objaśnia, że pseudonymu „Maryan“ używał nie on, lecz Dr. Edward Maryan Galli, znany oddawna, bo od r. 1842 w literaturze polskiéj (Estrejcher; Bibliografia polska XIX stulecia, t. II stronnica 9).

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.

Historya włościan i stosunków ich politycznych, społecznych i ekonomicznych, które istniały w Polsce od czasów najdawniejszych aż do drugiéj połowy XIX wieku; napisana przez W. Al. Maciejowskiego. Rozprawa konkursowa od Towarzystwa Przyjaciół nauk Poznańskiego uwieńczona nagrodą, którą z własnych funduszów August hr. Cieszkowski wyznaczył, a która to rozprawa pojawia się w druku, jako drugi artykuł dopełnień do Historyi prawodawstw słowiańskich (Warszawa, druk K. Kowalewskiego r. 1874).

Pod takim tytułem wyszło dzieło, o którém zamierzyliśmy dać wiadomość czytelnikom Biblioteki Warszawskiéj, w niniejszém sprawozdaniu. Lubo zaś sam tytuł, niejako historyą powstania dzieła tego opowiada, cokolwiek jednak szczegółowiéj o tém jego powstaniu powiedzieć najprzód uważamy za stosowne. Towarzystwo Przyjaciół nauk poznańskie ogłosiło w r. 1858 konkurs na historyą włościan i stosunków ekonomicznych w dawnéj Polsce. W programie podanym do napisania konkursowego dzieła, wskazano szczegółowo, co ma być w jednéj i drugiéj historyi, to jest historyi włościan i historyi ekonomicznych stosunków, przedewszystkiém uwzględnione. Gdy dzieło żądane na termin nie nadeszło, Towarzystwo przedłużyło konkurs raz drugi i trzeci, oświadczając wreszcie w poraz czwarty wypowiedzianém życzeniu swojém, że do nagrody przyjmie i monografie wchodzące do historyi włościan i stosunków ekonomicznych.

Autor uwieńczonego dzieła o którém niniejsze dajemy sprawozdanie, podjąwszy postawiony przez Towarzystwo Przyjaciół nauk przedmiot i wziąwszy się do jego obrobienia, uznał za stosowne rozszerzyć z jednéj strony, z drugiéj strony ścieśnić zadanie konkursowe. Zamiast więc zakończyć dzieło na epoce podziału Polski, jak tego chcieli rozpisujący konkurs, słusznie zauważył że wtedy dzieło byłoby tylko do połowy doprowadzone i poszedł daléj, zajmując

w opowiadanie czasy porozbiorowe i doprowadził aż do drugiéj połowy XIX wieku. W tym więc kierunku rozszerzył zadanie konkursowe.

W czém zaś autor ścieśnił zadanie konkursowe, objaśnia sam na str. 283—285. Towarzystwo w rozpisie konkursu oświadczyło: „że najmocniéj pragnie, ażeby odpowiadający na zadanie, oparł badania swoje nie na samych tylko źródłach historycznych drukiem ogłoszonych, ale i na źródłach archiwalnych, o ile być może w jak najszerszéj mierze."

Żądało daléj: „ażeby w historyi stosunków ekonomicznych można było znaleźć obraz gospodarstwa i przemysłu wiejskiego w różnych czasach dawnéj Polski, z uwzględnieniem ich wpływu na handel i odwrotnie."

Nakoniec objawiło życzenie: „ażeby ubiegający się o nagrodę zestawił położenie rolnika polskiego, z położeniem rolniczéj klassy w innych krajach, ile możności w każdéj epoce swego obrazu."

Objaśniając autor w jakiéj mierze tylko mógł iść za trzema kierunkami, dopiéro co wyrażonemi, a wskazanemi przez konkurs i dlaczego drugi z nich prawie zupełnie musiał pominąć, odkładając to do osobnego, mającego się późniéj obrobić dzieła, powiada na swoje usprawiedliwienie, że w pracy tego rodzaju nie pozostaje jak zrobić co można, a przezto pobudzić inszych do dalszego działania.

Z tego ścieśnienia zadania konkursowego, mianowicie co do drugiego punktu, nie czynimy autorowi zarzutu, już bowiem dawniéj zrobiliśmy uwagę [1]), że zadanie konkursowe grzeszyło nietylko zbyteczną szerokością żądań swoich, ale i nie hierarchicznem ich ugrupowaniem. Tak téż musiało uznać zapewne i samo Towarzystwo naukowe, skoro pracę pana Maciejowskiego pomimo tych ścieśnień uznało godną nagrody. Żałujemy tylko że zestawienie położenia naszych włościan, z położeniem rolniczéj klassy w innych krajach, nie zostało przez wszystkie epoki systematycznie przeprowadzone. Temu nic nie stało na przeszkodzie, a materyał do tego obfity. Za to rozszerzenie dzieła poza granicę konkursu, przez wprowadzenie historyi włościan porozbiorowéj, uznać trzeba za istotne uzupełnienie. Bez tego rozszerzenia dzieło nietylkoby jako ułamek dziejów się przedstawiało, ale wcale tytułu historyi włościan nosić nie miało prawa.

Tak wytknąwszy sobie autor granice swéj pracy, zobaczmy jak ją rozłożył i uporządkował. Co do tego znajdujemy objaśnienie na str. 9: powiada tam autor, że przedstawi historyą włościan i stosunków ich, na ten sam sposób, jakiego się trzymał przy rozwoju prawodawstw słowiańskich, to jest, że samą historyą przejdzie epokowo, a te szczegóły jéj, które drobiazgowo przedstawić uzna za konieczną potrzebę, odeśle do dodatków.

---

[1]) Bibli. Warsz. z r. 1872. II, 182—4.

Rozpada więc dzieło na następujące epoki: 1-a idzie od czasów najdawniejszych, aż do uposażenia dobrami ziemskiemi duchowieństwa katolickiego; 2-a obejmuje epokę Piastów; 3-a przypada na czasy Kazimierza W-go, Władysława Jagiełły i jego synów; 4-a obejmuje czasy, w których syn najmłodszy, wnukowie Władysława Jagiełły po mieczu i po kądzieli, tudzież monarchowie obcego Piastom i Jagiellonom rodu, rządy w Polsce i na Litwie sprawowali; 5-a zajmuje historyą tego, co się spełniło w ostatnich czasach.

Dodatki w liczbie sześciu mieszczą w sobie: 1) urywki historyczne, spostrzeżenia krytyczne i rękopisy; 2) dwa powstania ludowe; 3) służba wojskowa włościan; 4) szczegółowy pogląd na statut przez Taszyckiego i Maciejowskiego ułożony; 5) broszury; 6) do czytelnika, kiedy się już dobrze rozpatrzył w rozprawie konkursowéj.

Odtąd pójdziemy już w ślad za autorem w badaniu jego pojedyńczych epok, streszczając o ile można jego opowiadanie i ograniczając się w tym pochodzie do kilku uwag nad wydatniejszemi tylko poglądami. Nie zamierzyliśmy bowiem, jak już powiedziano na początku, krytycznego rozbioru, ale sprawozdanie; zamkniemy zaś to sprawozdanie kilku ogólnemi uwagami, jakie nam rozważanie całości nastręczyło.

Piérwsza epoka historyi włościan obejmuje czasy, do których autor czerpie głównie materyał ze starożytnych, greckich i rzymskich pisarzy. Opowiadania te mają objaśniać podania naszych kronikarzy; krótko traktowaną jest ta epoka, bo odesłany jest co do niéj czytelnik, do dawniejszych pism autora, a w szczególności do dopełnień Historyi prawodawstw r. 1872. Streszczone są przecież w niéj poglądy autora, z poprzednich dzieł jego znane o Polistach (Polanach), o Swewach, o Germanach, o pochodzeniu Lechów, o różnicy gminy normandzko-germańskiéj i słowiańskiéj; o początku folwarków, o podziale ról gminnych z wyłączeniem ugorów, pastwisk i lasów.

Niektóre z tych poglądów należą do dziedziny ogólnéj historyi i pośrednio tylko wiążą się z historyą włościan; inne choć w bezpośrednim z nią związku stoją, tak są mgłą czasu osłonięte, iż krytyka historyczna zaledwie przystęp do nich odszukać może. Najważniejszémby było dla historyi włościan i rolnictwa, uzasadnienie różnic gminy słowiańskiéj. Nie idzie tu przecież tylko o różnicę tejże od współczesnego ustroju normandzko-germańskiego, ale o to czy typ uznany przez autora za słowiański nie odnajduje i nie powtarza się u innych dalszych jeszcze plemion europejskich, a nawet w innych częściach świata. Otóż co do tego nowsze badania nastręczają pewne wskazówki. Nietylko Francya, Hiszpania, ale Jawa, Indye wschodnie dostarczyły do tego porównania materyału. W ogóle godzą się nowsi badacze na to, aby wspólność ziemi i jéj peryodyczny częściowy lub całkowity podział, uważać raczéj za pewne stadyum w cywilizacyi wszystkich plemion, jak za cechę charakterystyczną jednego z nich. Stadyum to, jedne przeszły oddawna, inne późniéj, inne

w niém pozostają. Równie ważném dla historyi naszych stosunków ekonomicznych, byłoby wykazanie, że gospodarstwa folwarczne powstały u nas ze zjawienia się Lechitów. Byłoby to rzeczywiście nie małą zasługa przychodniów, powiększoną jeszcze przez to, że tę ważną ewolucyę ekonomiczną mieli przeprowadzić nie przez podbój i zabór, jak mniema autor. Ale wyznać musimy, że cały wątek historyczny o pochodzeniu Lechów, w tak rozmaity sposób przez różnych badaczy snuty, następnie o ich przyjściu i skutkach osiedlania się tutaj wśród miejscowéj ludności, jest jakoby wątkiem pajęczyny, który rwie się w rękach każdego badacza, który go się dotknął. Wyznajem też, że wywód szanownego autora historyi włościan, co do czasu i sposobu powstania gospodarstwa folwarcznego u nas, nie zdołał podbić całego naszego przekonania, iż tak było istotnie. Napomknienia kronikarzy cytowane w dziele, zaledwie dla domysłów dają jakąś podstawę.

Są rzeczy i epoki dziejowe, które tylko odgadywać się dadzą, więcéj lub mniéj do prawdopodobieństwa zbliżającą się domyślnością. Konkurs zmuszał niejako piszącego wkroczenia w takie rzeczy i taką epokę. Nie możemy się więc dziwić, że w początkowym dziale spotykamy się z pewnym zmrokiem historycznym, z pośród którego wynurzają się jakieś odbłyski prawdy dziejowéj, jakieś nie wyraźne kształty, dopełniane dopiero zarysami stawianemi przez pisarza. Nie można tych ostatnich ani stanowczo przyjąć, ani stanowczo odrzucać, bo tak do przyjęcia, jak do odrzucenia brak dostatecznych podstaw. Utwierdza się tylko umysł czytelnika przy rozważaniu tych rzeczy, w tém przekonaniu, że nieraz początek instytucyj społecznych, a nawet samych społeczeństw, trudnym, prawie niepodobnym jest do odszukania dla historyi.

W drugiéj za to epoce wstępujemy już z autorem w jaśniejszą sferę. Dokumenta historyczne obfitują w niéj i dają dostateczny punkt oparcia dla historyka. Korzystał też autor ze wszystkiego co do téj epoki służyć mogło, bo żaden materyał historyczny nie jest mu obcy; ale kreśli obraz w głównych tylko zarysach, unikając szczegółów, któreby obciążać i opóźniać jego pochod mogły. Odróżnia ludność swobodnego stanu i poddanych czynsz opłacających, lub robotujących; wskazuje rodzaj danin, usiłuje wykazać znaczenie wyrazu *haeres* w średniowiecznéj łacinie, wyrazu który nieraz użyty w najdawniejszych dyplomatach, posługiwał różnym teoryom; daléj stawia autor domysł, wyznajem to, bardzo prawdopodobny, jakie okoliczności i przyczyny pchnęły naprzód ludność rolniczą germańską do osiedlania się na zdobytych ziemiach słowiańskich (str. 44—45). Zatrzymuje się wreszcie na wymiarach roli i nazwie pierwotnéj tych wymiarów (s. 48).

W epoce trzeciéj poznajem się bliżéj z ustrojem gminnym miejscowym, którego trzy formy istniejące u nas w owéj epoce autor charakteryzuje. Opowiadanie tutaj obudza coraz żywszy interes: nie-

odżałowana tylko szkoda, że autor pisząc już wiele poprzednio o spokrewnionych z przedmiotem obecnie traktowanym rzeczach, a nie chcąc się powtarzać, przymuszonym jest zasyłać czytelnika do dzieł swoich poprzednio wydanych. Chcąc więc przyjść do jasnego pojęcia opisywanych zdarzeń i czasów, trzeba miéć ciągle pod ręką wiele dzieł autora i często do nich zaglądać. Jestto praca, którą nie wielu czytających zechce podjąć, a szkoda, bo obznajmienie się z przedmiotem historycznym tak istotnie ważnym, zostanie przez to utrudnione i opóźnione. Bodaj czy nie lepiejby było, gdyby autor był wprowadził takie powtórzenia, które całość uzupełniają i samą w sobie jednostkę historyczną stanowią.

Spotykamy w téj epoce daléj opis wsi folwarcznéj, określenie powodów wzywania do kraju obcych osadników i położenia jakie ci ostatni dla siebie zyskali. Daléj spotykamy się z umową o dziesięciny, z umową o spełnieniu służby wojskowéj, z umową o wymiar roli. Daléj stosunki wynikłe dla ogółu ludności krajowéj z prawodawstwa wiślickiego, wreszcie czasy Jagiellonów. Tutaj niedawno wydane staraniem zasłużonéj pamięci A. Przezdzieckiego, dzieło Długosza: *Liber beneficiorum* i pomnikowe dzieło Helcla, dostarczyły autorowi wątku do skreślenia położenia ówczesnego ludności rolniczéj, już z pewnemi szczegółami i to takiemi, o jakich nie mogli myśléć poprzednicy jego, dla których źródła te nie były dostępne.

Spotykamy tu również ciekawą wiadomość, że to co zdziałał Długosz dla Małopolski, układając swoję *Liber beneficyorum*, zapragnął zrobić Jan Łaski arcybiskup gnieźnieński w. kanclerz koronny, dla Wielkopolski i w r. 1521 podobne dzieło dla arcybiskupstwa, którego był pasterzem polecił ułożyć: „wykonano jego rozkaz—mówi autor—ale nie udolnie.“ Mieliśmy sposobność świéżo miéć w ręku odpis części tego rękopismu i sądzimy że jeżeli nie dorównywa Długoszowemu dziełu, jest jednak ważnym materyałem historycznym. Księga ta rękopiśmienna była w Gnieźnie do r. 1822. W skutek podziału archiwum pomiędzy rządami pruskim a Królęstwa, rozdzieloną została; część jéj pozostała w Gnieźnie, część przeszła tutaj. Dotąd nic z niéj drukiem nie ogłoszono, ale jak właśnie dowiadujemy się, zajmuje się przygotowaniem jéj do druku jeden z zasłużonych naszych badaczy historycznych.

W epoce czwartéj zaznacza autor zwrot ku złemu w stosunkach włościańskich i zarazem stara się określić główną przyczynę tego zwrotu. Ma być nią, według wyrażenia się autora, brak roztropności politycznéj, skutek upadku oświaty. Zdaje nam się, że to określenie nie jest dostatecznie ścisłe. W życiu politycznem i społecznem państw, grają role rozliczne pierwiastki a rozliczne wpływy i przyczyny nader rozmaicie na nie oddziaływają. Ilekroć jeden lub jednę z nich ma się na oku, tracąc z uwagi inne, wpada się w jednostronność zapatrywania się. Oświata niewątpliwie jest jednym z najważniejszych czynników, ale nie można do niéj wszystkiego w życiu

społecznem i politycznem odnosić, podobnie jak w naturze nie można wszystkiego odnosić do wpływu słońca, choć ono niewątpliwie jest najważniejszym działaczem przyrody. Wśród bardzo ukształconych i wysoko w oświacie posuniętych społeczeństw, namiętności polityczne, rozdarcia religijne, błędy ekonomiczne z fałszywych teoryi wynikłe, sprowadzają niekiedy zamącenia i szkody wielkie i długie w swych skutkach. Natomiast państwa i społeczeństwa na bardzo nizkim szczeblu oświaty stojące, zdołają się niekiedy podźwignąć z wielkich błędów i niedostatków. Czy zresztą sam fakt upadku akademii krakowskiéj dowodzi dostatecznie upadku oświaty w owéj epoce, o któréj autor mowi? Wiadomo jest, jak wiele wówczas młodzieży szukało nauki za granicą. Autor utrzymuje wprawdzie przeciwnie, że nie wielu mogło z tego korzystać. Żywoty ówczesnych znakomitości dowodzą, że wszystkie wybitniejsze osobistości, przygotowywały się do służby krajowéj przez podróżowanie, służbę obcą, lub pobieranie nauk za granicą. Samo szybkie rozszerzenie się u nas różnowierstwa, zdaje się wskazywać jak silny był wpływ wyobrażeń obcych. Piękne też a nawet znakomite dzieła wykazuje literatura początku téj epoki. Ruch umysłów był różnostronny i żywy, a język nabrał znakomitego wykształcenia. Możnaby więc chyba powiedzieć, że oświata nie sięgała dość głęboko w te warstwy narodu, które przyszły do używania praw politycznych, tudzież te, które jak np. mieszczanie, miały tych praw politycznych, jakich używały strzedz i bronić.

Nie chcemy więcéj rozszerzać się nad tym przedmiotem, ani wdawać się w wykazywanie jaki był stopień i wartość oświaty w epoce o któréj mowa. Początek téj epoki nie da się kłaść na równi z jéj środkiem i końcem. Jeżeli autor więcéj miał na oku te dwa drugie peryody jak piérwszy, mógł mieć z wielu miar słuszność, lubo przyczyn złego właściwie w piérwszym zaraz okresie téj epoki szukać należy, bo tam się już ono zaczyna. Według naszego jednak mniemania, kwestya oświaty nie gra tutaj tak wyłącznéj roli. Najdowodniejszym na to argumentem jest to, co autor sam przeciw własnemu twierdzeniu stawia, mówiąc na str. 136: „Europa zachodnia postępowała sobie ze swoim ludem podobnie, choć miała rozum wysoko wykształcony.“ Widocznie więc przyczyn złego należało szukać jeszcze gdzieindziéj.

Być może że autor nie chciał zbytecznie rozszerzać swego pisma i wkraczać w sferę obszernych i różnostronnych wywodów, bowiem oznaczenie wyczerpujące przyczyn zwrotu umysłów w kierunkach prawodawczych pociągających za sobą nadwerężenie losu stanu włościańskiego, wymagało obejrzenia się i na źródła, z których płynęły w owéj epoce pojęcia polityczne i na stan umysłów i bieg wypadków w krajach ościennych i na kwestye ówczesne religijne i na stosunki ekonomiczne, handlowe i finansowe. Po rozpatrzeniu dopiéro tych wszystkich wpływów i przyczyn, byłoby się pokazało co

gdzie odnieść należy, co przypisać wpływom ogólnym czasu i wypadków współczesnych, jak np. wpływowi wojen chłopskich w Niemczech, co miejscowym wpływom, a z tych ostatnich czego powodu szukać w stosunkach ekonomicznych, czego w finansowych, czego w interesach kastowych i wadach ustroju politycznego, czego wreszcie w niedostatkach oświaty.

Uczony autor zanadto dał dowodów gruntownéj znajomości całéj naszéj przeszłości, iżbyśmy wątpić na chwilę mogli iż wszystkie przyczyny i źródła tych przyczyn, są mu obce; jak powiedzieliśmy wyżéj, sądzimy, iż tylko dążenie do treściwości i do zamknięcia się w jaknajogólniejszych rysach, były powodem tego, iż oznaczenie głównéj przyczyny zwrotu w stosunkach włościańskich, zatarło się w zbytecznem uogólnieniu.

W téjże epoce czwartéj przechodzi autor z kolei wszystkie próby kodyfikacyi praw i daje ich charakterystykę. Daléj szkicuje w szerokich zarysach, różnice urządzeń i zwyczajów we wszystkich z kolei prowincyach ówczesnéj Polski. W téjto właśnie części, która z powodu ofitości materyału historycznego mogła była być szerzéj traktowaną i przedmiot obejrzany z rozmaitych punktów widzenia, najbardziéj żałować przychodzi wielkiéj zwięzłości, jaką sobie autor od początku do końca dzieła nakazał, jak również tego, iż tak przeważnie ze stanowiska prawnego na przedmiot swój zapatruje się, wiele bowiem szczegółów mogących przedmiot urozmaicić, zbogacić i objaśnić, musiały być w skutek tego poświęconych. Wyznajem jednak, że pogląd jaki autor wybrał, wychodząc ze stanowiska prawnego, uważamy dla traktowanego przedmiotu za piérwszorzędny; przyznajemy również, że musiał autor pilnować tego, aby była pewna równowaga pomiędzy składowemi częściami dzieła, a metoda w obrobieniu przedmiotu jednostajna.

Rozpatruje autor daléj w epoce czwartéj skutki połączenia gminy wiejskiéj z gminą folwarczną, a raczéj wcielenia piérwszéj w tę ostatnią; przechodzi do znanego ślubu Jana Kazimierza; wspomina krótko o tych ludziach, którzy złemu położeniu włościan zaradzać usiłowali; kończy obszernym rozbiorem projektu do prawa Andrzeja Zamoyskiego kanclerza w. koronnego i skreśleniem losu tego projektu. Projekt ów rzeczywiście zasługiwał na obszerne miejsce w dziele tego rodzaju, stanowi on bowiem po długim peryodzie wstecznym, punkt zwrotu w wyobrażeniach i zapatrywaniu się kraju i stanowi niejako epokę, od któréj rozpoczyna się szereg zrazu niedoszłych, błędnych lub połowicznych, późniéj zupełniejszych reform, które wreszcie doprowadziły do tego na co obecnie patrzymy.

Tymto właśnie szeregiem reform dopełnionych po niedoszłym projekcie Andrzeja Zamoyskiego, zajmuje się autor w skreśleniu epoki piątéj i ostatniéj. Wspomniane tam są z kolei czynności w téj materyi sejmu czteroletniego, to co zrobioném było za czasów Księztwa Warszawskiego; działania za czasów Królestwa komisyi skarbu,

ruch opinii późniejszy, zdanie Towarzystwa rolniczego, urządzenia w ościennych prowincyach.

Na tém kończy się właściwie wątek historyczny dzieła; paragrafy bowiem kończące epokę piątą, w których zawiera się wzmianka o projekcie W. Surowieckiego dotyczącym urządzenia gmin, o myślach Krzyżtopora co do urządzania szkół wiejskich, daléj paragraf 13 pod napisem: jak przedemną historyą włościan rozważano, wreszcie por. 14 pod napisem: „jak ja historyą włościan badałem", należą już właściwie do szeregu dodatków, lubo w nich pomieszczone nie zostały. W 13 paragrafie rozprawia się autor z pisarzami, którzy inne i odmienne od jego pojęć prawno-historycznych przedstawiali zdania a mianowicie: z Lelewelem, Stenzlem, Haxthausenem; pochwala dzieło Meitzena. W czternastym mówi to, o czém na początku wspomnieliśmy, to jest, o ile widział się zniewolonym od zakresu zadania konkursowego odstąpić. Uznaje w nim prace poprzedników na polu badań historyi włościan.

Dodatki według objaśnienia autora, zawierają w sobie to wszystko, cokolwiek autor miał do powiedzenia w zagajonym przez niego przedmiocie, a co uważał iżby ciąg dzieła przerywało; wszystko czém chciał rzecz opowiedzianą uzupełnić lub sprostować, wszystko co w nowych źródłach się spotkało.

W tém krótkiém naszém sprawozdaniu nie będziem się szczegółowo nad dodatkami zatrzymywać: o piątym tylko jako ważniejszym i obszerniejszym od innych, kilka słów powiemy. Tytuł ogólny jego „Broszury", ściśle rzecz biorąc, nie odpowiada treści, bo dzieła jak np. Krzyżtopora, hr. Uruskiego i inne równéj objętości, o których tam jest mowa, pod kategoryą broszur podciągane byćby nie powinny. Dodatek ten dzieli się na dwie części. Spis w nim zawarty nie zaprzeczenie jest ciekawy i ważny tak pod względem bibliograficznym, jak pod względem krytyki. Mieści on szczegółowy opis tych wszystkich pism, które autor miał w ręku, ogólną wiadomość o treści, a co do wielu z nich, krótkie o nich zdanię autora. Są zaś niektóre nieznane autorowi bliżéj i o nich tylko ogólną wiadomość podaje. Trafiamy przecież i takie, które nie zdaje nam się, iżby jakikolwiek związek miały zę sprawą włościańską, jak np. „Przyszłość naszego rolnictwa" p. A. Makowieckiego 1865, gdzie jest mowa wyłącznie o połączeniu przemysłu z rolnictwem. Natomiast ważne niektóre publikacye w sprawie włościańskiéj są pominięte, np. J. Gołuchowskiego „Rozbiór kwestyi włościan", Szcz. Morawskiego „Sądeczczyzna" i inne o których nie wspominam. Szkodą też dla tego dodatku jest to, że nie jest ułożony systematycznie; spis idzie ani nie według następstwa lat publikacyi, ani według początkowych liter tytułu lub autorów. Trudno się więc w nim znaleźć; nie łatwo spostrzedz się od jakiéj epoki się zaczyna i skontrolować ominięcia. Rozdział też dodatku czyli pism w nim zebranych na dwie familie, czyli raczéj na dwie grupy, nie może być uważany za ściśle przeprowadzony. Pomimo tych zarzutów jakie uczonemu i pracowitemu badaczowi ośmie-

liliśmy się zrobić, co do powyższego dodatku, uważamy dodatek ten za istotne wzbogacenie dzieła.

Tyle o układzie dzieła i rozkładzie przedmiotów w dziele całém. Sprawozdanie powyższe wskazuje, że opowiadanie autora toczy się naturalnym i logicznym porządkiem, i rozpada na takie działy, jakie sama natura rzeczy wskazywała. Nic téż pod tym względem nie można znaleźć do zarzucenia.

Co zaś do treści i wartości naukowéj dzieła, najlepszą tego rękojmią jest uznanie Tow. Prz. Nauk Poznańs., i przyznana przez nie autorowi nagroda. Rzeczywiście jest to owoc szerokich i różnorodnych badań, jakim autor cały swój pracowity żywot poświęcił. Nie wielu u nas jest ludzi, równie różnostronnie usposobionych do obrobienia tak trudnego przedmiotu. Uważamy téż Historyą włościan p. Maciejowskiego za najpełniejszą pracę w téj materyi. Rozświetlony w niéj punkt zapatrywania prawny, który z wielu względów za najważniejszy uważać można, i który téż do najliczniejszych, i do najnamiętniejszych sporów bywał zawsze powodem. Czy w pierwotnych dziejach włościan wszystko krytyka potwierdzi, nie chcemy przesądzać. Jakoż już sprawozdawca Towarzystwa Przyjaciół Nauk niektóre zastrzeżenia co do téj części dzieła poczynił. Właściwie to jednak dotyczy ogólnego zapatrywania się p. Maciejowskiego na pierwotne dzieje Polski. Saméj właściwéj historyi włościan, przy największéj surowości sądu i przy usposobieniu do szerokich wymagań, nie można odmówić istotnéj wartości, a pisarzowi w napisaniu jéj istotnéj zasługi. Wprawdzie wiele bardzo weszło tu rzeczy znanych z poprzednich dzieł autora, są jednak i nowe źródła spożytkowane, a mianowicie całość w pewien ustrój harmonijny złożona. Tym sposobem należy téż uznać zasługę hr. Cieszkowskiego w ogłoszeniu konkursu, a Towarzystwa Nauk Poznań. w tém, że tak wytrwale ponawiało swe ogłoszenia, i odkładało termina, wreszcie w tém, że pracy autora zasłużoną nagrodę przyznało.

Inaczéj rzecz się przedstawia, gdy przychodzimy do rozpatrzenia, czy w rzeczoném dziele zadosyć się stało wszystkim wymaganiom konkursu, i czy tak jak jest napisane, wyczerpuje do dna przedmiot, i nic już nie pozostawia dla następnych pracowników.

Że konkursowemu zadaniu nie stało się zadosyć, o tém sam autor obszernie mówi, i my podzielając jego w téj mierze zdanie, uważamy, jakeśmy to już wyżéj i poprzednio gdzieindziéj powiedzieli, iż się stać nie mogło, konkurs bowiem był za szeroko, i pod pewnemi względami nie właściwie postawiony.

Czy jednakże w tych granicach, jakie sobie autor zakreślił, pomimo wymagań konkursu, przedmiot został wyczerpany? Wypowiadamy tém śmieléj zdanie nasze, że nie, gdy autor sam to, ze skromnością przynoszącą mu zaszczyt wyznaje. Powiada bowiem na str. 283: „Ja starałem się obraz ciągły przedstawić choćby w zarysie, przekonany będąc, że przy takich jakie na tém polu przedstawiają

się trudnościach, coś więcéj podać nad krótki zarys dziś niepodobna; w pracy bowiem tego rozdzaju, nie pozostaje, jak zrobić co można, a przez to pobudzić innych do dalszego działania".

Rzeczywiście prace historyczne są pracami tego rodzaju, że każde pokolenie na nowo musi je brać na warsztat, jużto z powodu odkrywania coraz nowych materyałów, jużto z powodu stopniowego rozszerzania się poglądów na przeszłość i na potrzeby społeczne, jakie w historyi uwzględnić potrzeba. U nas mianowicie źródeł bardzo wiele jest niezbadanych. Źródła do dziejów wewnętrznych i ekonomicznych, w ostatnich dopiéro czasach zaczęły zwracać na siebie uwagę. Archiwa publiczne i prywatne, choć znane niektórym badaczom i częściowo zużytkowane, nie są wcale księgą otwartą, przystępną dla każdego historyka. Materyałów więc będzie ciągle przybywać, w miarę ich przybywania, w trzech mianowicie kierunkach będzie musiała być rozszerzona i uzupełniona Historya włościan. Najprzód strona moralno obyczajowa ludu wiejskiego, będzie musiała być miana na uwadze, i powtóre, należy uwydatnić charakter i właściwości gospodarstwa włościańskiego, różne tryby zarobkowania, oraz wzajemne oddziaływanie na siebie wielkiéj i małéj uprawy. Wreszcie należy zestawić dzieje naszych włościan, z dziejami ich w innych krajach.

Autor Historyi włościan, drugi kierunek rozmyślnie pominął, odsyłając kwestye specyalnie rolnicze do historyi rolnictwa, kwestye finansowe i handlowe do historyi miast, którą obrobić zamierza. Trzeciego kierunku dotknął pan Maciejowski w swém dziele w początkowéj części. Epoka to jednak zbyt odległa, zbyt zamroczona, aby z niéj z tego zestawienia, dosyć światła historycznego wydobyć można. W dalszym ciągu opowiadania, zestawienie to spuszczoném z oka zostało. W dodatkach dopiéro wspomniano o historyi włościan we Francyi, i o dziele Maurera, dotyczącym historyi włościan w Niemczech. Ostatnie to dzieło spowodowało kika uwag autora, słusznych w gruncie, jak to uzna każdy, kto z blizka przedmiot badał; ale dla świeżo z przedmiotem obznajmiającego się czytelnika, uwagi te zdają się być, i są rzeczywiście zupełnie niewymotywowane.

Na tém koczymy nasze nader niedostateczne sprawozdanie. Dzieło p. Maciejowskiego z powodu ważności przedmiotu, zasługuje na krytyczny i wszechstronny rozbiór. Naszym zamiarem było jedynie zwrócić uwagę na nie czytającéj publiczności, i pod pewnemi względami przygotować przyszłych czytelników do jego czytania, wskazując co w niém znaléźć będą mogli, czego tam szukać nie mają, czém wyróżnia się od prac poprzednich, jakie są wreszcie jego zalety i strony najważniejsze.

E.

Teatr Fredry Al. ojca, w przekładzie francuzkim p. Ludwika Léger.

Byliśmy zawsze pod każdym względem gościnni i uprzejmi do zbytku dla cudzoziemców a zwłaszcza dla Francuzów, otwierając im nasze serca i domy na oścież, w czasach gdy potrzebowali schronienia, wierząc ślepo w ich geniusz i przewództwo idei, uczyliśmy się skwapliwie ich języka, naśladowali ich w stroju, fryzurze, bałwochwalczo pielęgnowali u siebie ich mody, a co więcéj, niezgorzéj zapoznawali się z ich literaturą, którą i dziś jeszcze większość może nasza, zna lepiéj daleko od swojéj własnéj.

Za to nasze ubóstwienie szczere, rycerskie odpłacano nam czasami szumno brzmiącym frazesem, ale najczęściéj zupełną nieświadomością rzeczywistego położenia na wszelkich polach, na których przyszło się nam z nimi zetknąć. Nic téż dziwnego, że i naszéj historyi i naszéj literatury z bardzo małemi wyjątkami, nie znają wcale.

W ostatnich latach odzywają się częściéj o naszéj naukowo-literackiéj działalności, ale wielka szkoda że odzywają się najmniéj powołani, najmniéj kompetentni, a co najgorzéj, nie najszczerzéj usposobieni. Jednym z ruchliwszych pisarzy, usiłujących objąć w swych pobieżnych sprawozdaniach, cały zakres słowiańskiéj literatury, jest p. Ludwik Léger.

Odzywa się on dosyć często w kwestyach literatury słowiańskiéj czy polskiéj, a lubo nie zawsze trafnie, a nigdy prawie wyczerpująco, jednak i za te dobre chęci godzien pewnéj uwagi.

Obecnie w *Revue politique et literaire* (w N. 3 b. r.) dał sprawozdanie z dzieł Aleksandra Fredry ojca bardzo ogólne, szczegółowiéj tylko rozbierając i kilka scen dołączając w przekładzie z „Zemsty za mur graniczny", któréj nadał tytuł: *La revanche de l'echanson.*

Możemy się wprawdzie nie zgodzić na tę osobistą uwagę autora co do charakterów Milczka i Cześnika, których nazywa typami szlachty, jaka w przeszłości *wesoło* postarała się o własną zgubę, ale zapuścilibyśmy się w zbyt szerokie objaśnienia, należące już do historyi obyczajów, z którą p. Léger dotąd nie miał zapewne sposobności zapoznać się bliżéj. Dziwimy się tylko pochopności w sądzie wypowiedzianym jedném słowem, gdy przecie jeżeli komu, to dzisiejszym Francuzom, z wydawaniem wyroków tego rodzaju, bardzoby ostrożnym być trzeba.

Niemniéj myli się bardzo p. Léger, nazywając Papkina „Gaskończykiem polskim," który przeciwnie z woli widocznéj autora, ujawniającéj się w niejednym dyalogu i monologu Papkina, nie jest bynajmniéj z „krwi i kości" krajowcem, lecz jednym z tych przybłędów obcych, których zamożna szlachta polska chętnie karmiła na swoim dworze, trzymając ich u siebie do śmierci, w charakterze rezydentów.

P. Léger streszczając „Zemstę za mur graniczny“, przytacza kilka scen w przekładzie, które bardzo słabo obznajomić mogą Francuza z nadzwyczajną werwą komiczną Fredry, z jego niewyczerpanym, w każdym niemal wierszu zawartym dowcipem, z jego wyborną, dosadną i świetną charakterystyką; z czego się też sam tłumaczy na końcu, mówiąc że: „żadne tłumaczenie nie może dać wyobrażenia o stylu i wersyfikacyi tego autora.“

Nie rozumiemy tylko przeproszenia na końcu, wystosowanego do czytelnika w tych słowach: „a jeżeli cóś zraziło gust twój lub przyzwyczajenie twoje literackie czytelniku“ (*si quelque trait avait un peu choqué son goût ou les conventions litteraires*)... Czyż p. Léger zapomniał już o Rabelais'ie, l'abbé Prévot w powieści, a nawet o nieśmiertelnym Molierze w komedyach: „le Médecin malgré lui“, „Bourgois-gentilhomme“? Wszakże daleko słuszniéj mógłby tu ktoś mówić „o urażeniu smaku lub przyzwyczajeń,“ a jednak każdy pamięta tylko o wielkim talencie niezapomnianych autorów. A cóż dopiéro mowić o najmłodszych pisarzach francuzkich, którzy w kwestyi smaku i przyzwoitości literackiéj, doszli już nawet do zapomnienia tradycyi „dobrego smaku“, którym imponowali Europie ich znakomici poprzednicy XVI i XVII wieku?

Pominąwszy te niezasłużone przycinki, które bierzemy raczéj na karb nieznajomości historycznéj i literackiéj aniżeli złéj woli, miło nam zresztą uznać niezaprzeczone dobre chęci p. Léger'a, który zapewne w przyszłości zajmie się poważniéj rozbiorem utworów naszéj literatury.

E. L.

O życiu i pismach Justa Ludwika Decyusza 1485—1545. Napisał Dr. Aleksander Hirschberg. Lwów, 1874 r.

Znany w literaturze naszéj Deciusz, a właściwie Dietz, urodził się około r. 1485 w Wissenburgu, w Alzacyi. Szukając bezpiecznego schronienia z powodu religijnych prześladowań, znalazł je w pełnéj tolerancyi Polsce. Tu oceniono należycie jego zdolność, pracę i naukę. Najprzód przebywał w domu Bonara, wielkorządzcy zamku krakowskiego, który go używał do załatwiania rozległych spraw handlowych. W r. 1520 w poczet sekretarzy króla Zygmunta I policzony, a w r. 1532 do herbu Tęczyńskich przyjęty. Nabywszy w Polsce obszerne dobra, był używany w poselstwach do zagranicznych dworów. Został nareszcie pierwszym zarządzcą mennic w Krakowie i Toruniu, do bicia nowéj monety, oraz dyrektorem takowéj w Królewcu. Zręczny w obrotach swoich interesów, zebrał jak na owe czasy wielki majątek. Pisał po łacinie kilka dzieł treści historycz-

nėj, w których streszczał dzieje Miechowity; dopiéro w rozprawie obszernéj: „*De Sigismundi regis temporibus*", okazał się samodzielnym pisarzem. Autor powyżéj wzmiankowanéj monografii wyraża zdanie: „że dzieło to pozostanie zawsze jedném z najważniejszych źródeł, do historyi pierwszych dziesięciu lat panowania Zygmunta I-o a pomiędzy ówczesnemi pracami kronikarskiemi, bez wątpienia pierwsze zajmuje miejsce". Deciusz umarł 1545 r.

Monografia ta, wyczerpująca właściwy przedmiot, jest pierwszą pracą p. Aleksandra Hirszberga, i dobrzę wróży o przyszłości młodego badacza.

W.

Modlitewnik króla Zygmunta I-go.

Do rzadkich a cennych zabytków literatury i sztuki, należy bezsprzecznie rękopism starożytny, pergaminowy, polski, w formacie ósemki większéj, przechowany w bibliotece uniwersytetu w Monachium. Wiadomość o nim szczegółową zawdzięczamy archeologowi naszemu, Dr. Józefowi Łepkowskiemu, professorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego, który korzystając ze wskazówek udzielonych sobie przez *Jakóba Caro*, professora uniwersytetu Wrocławskiego, udał się w roku 1873 do Monachium, aby tak drogocenną pamiątkę przeszłości dokładnie obejrzéć. Owoż z téj swojéj wycieczki, składa nam szczegółowe sprawozdanie swoje. Okładki tego rękopismu odziane aksamitem ponsowym, w narożnikach okucia srebrne; pozłacane czworoboczne tabliczki z wyobrażonemi na nich w płaskorzeźbie następnemi scenami: *Kain i Abel, Noe i jego synowie, Samson, Zbieranie manny;* w pośrodku zwierzchniéj okładki: *arcykapłan*. Na sprzączkach: na jednéj *Adam*, na drugiéj *Ewa*. Na spodniéj okładce, również na narożnikach: *Dawid z Goliatem, Judyta, Gedeon, Mojżesz odbierający przykazania;* w pośrodku *Ofiara Abrahama*. Brzegi złocone; kart 231. Zapiska biblioteczna oznajmia, że rękopism pochodzi ze zbioru Orbańskiego. (*Orbanische Sammlung*).

Na karcie pierwszéj, na tarczy z tłem niebieskiém, z ponsowém obrobieniem, napis złotem wypisany, a po nim następuje dedykacya zaczynająca się od słów:

„*Invictissimo Domino Sigismundo regi Poloniae*".

Po dedykacyi tytuł drugi:

„*Szczyt*
Dus
NY"

Tekst cały po polsku: zaczyna się słowami:

„*Jeślij smutkem kto był jakim obtziazony, tedy szie ma przezegnatz naprzod i mowicz w ymia Oitza szyna i ducha szwiatego*".

Kończy zaś temi słowy:

„*A po sadzie pospolitim, gdy zapłate dadza wssytkym bych ya thez czeszcz z mami wziął. Amen*".

Oprócz pamiątkowéj wartości tego modlitewnika, z powodu że należał do Zygmunta Starego, jak i samego rękopismu, jako zabytku polszczyzny z pierwszéj połowy XVI wieku, wielce jest cennym dla zdobiących go malowań miniaturowych, które należą niezaprzeczenie do najpiękniejszych jakie posiadamy, a są z pewnością dziełem polskiego artysty, napomkniętym w dedykacyi, że był nim „*devotus Heremita*."

Malowań obrazów na całych kartkach, jest w rękopiśmie piętnaście. Oprócz nich, wiele obramień stronnic, że prawie niema karty, któraby pędzlem zdobioną nie była. Oto szereg głównych malowideł: 1) *Chrystus Pan z N. Maryą Panną przed otwartym grobem*, u ich nóg postać klęcząca w szacie złotem naszywanéj, z łańcuchem przewieszonym na futrze przez ramiona i piersi. Przy téj poważnéj postaci herb *Habdank* na tarczy. Tło obrazka stanowi widok gór śnieżystych (oczywiście naszych). 2) *Św. Hieronim*, obok niego lew, (pejzaż znowu gór śnieżnych). 3) *Zwiastowanie*. 4) *Nawiedzenie*, (tu powtórzony herb *Habdank*). 5) *Narodzenie*. 6) *Pasterze*, scena z narodzenia Pańskiego, (tu fizyognomie polskie). Krajobraz góry. 7) *Trzej Królowie*, (między niemi zaś postać Zygmunta Starego). 8) *Rzeź niewiniątek*. 9) *Ucieczka do Egiptu*. 10) *Ofiarowanie Dzieciątka Jezus*. 11) *S. Wojciech*, po lewéj stronie pojawia się po raz drugi owa klęcząca postać, umieszczona na piérwszym obrazku z Habdankiem na tarczy, teraz po raz trzeci powtórzonym. 12) *S. Mikołaj*. 13) *Rodzina Święta*. Tu znów Habdank po raz czwarty. 14) *S. Barbara*. 15) *S. Krzysztof*.

Czas z którego rękopism ten pochodzi, oznacza prof. Łepkowski stanowczo do piérwszéj połowy XVI wieku; z dedykacyi zaś wnosi, że danym był Zygmuntowi po zwycięztwach nad Tatarami i Turkami odniesionemi, więc po roku 1534. Co zaś do osoby, która ten modlitewnik ofiarowała królowi, prawdopodobnie nie kto inny, tylko Jan Chojeński biskup krakowski († 1538) kanclerz koronny (z domu Habdanków), którego „Zygmunt Stary goręcéj nad syna własnego miłował." Współczesność Chojeńskiego z pisaniem owego rękopismu, a co główna, stosunek w jakim zostawał z królem i znakomita osobistość tego dostojnika, nasuwają uzasadniony domysł, że on Zygmuntowi Staremu ofiarował tę książkę. Czy ten domysł D-ra Łepkowskiego utrzyma się, czas późniejszy pokaże, zawsze należy mu uznanie, że bliżéj nas zaznajomił z zabytkiem zarówno drogocennym dla ojczystego języka, jak i dla krajowéj sztuki.

R.

O cenzurze Apijusza Klaudyjusza ślepego. Kraków 1874 r. (w 8-ce str. 71).

Dyrektor gimnazyum ś. Anny w Krakowie umieścił w sprawozdaniu z roku szkolnego 1873/4 dyssertacyą doktorską p. Bronisława Kruczkiewicza, zastępcy nauczyciela w témże gimnazyum pod napisem: *O cenzurze Apijusza Klaudyjusza ślepego.* Ta rozprawa, którą wydział filozoficzny uniwersytetu krakowskiego bardzo pochlebnie ocenił, a która wyszła już na końcu czerwca r. b. w osobnych odbitkach z drukarni Kraju, jest tak pod względem treści jakotéż i formy bez nagany i niezawodnie zasługuje na umieszczenie w poczcie tych pism polskich, które rzeczywiście mają wartość naukową. Najcelniejszą zaletą téj dyssertacyi jest ta okoliczność, że się opiera ściśle na źródłach, z których wypływa historya cenzury Apijusza Klaudyjusza. Badając tę ciekawą chwilę w historyi rzymskiéj godzi autor z widocznem powodzeniem sprzeczne ustępy w tychże źródłach zawarte, gruntownie obmyślanemi przypuszczeniami, zbija hypotezy ludzi uczonych, nieprzystające do wiadomości źródłami przekazanych i dochodzi ostatecznie do takich rezultatów, które istotnie tchną tą samą myślą politycznego i społecznego reformatora rzymskiego. Ta okoliczność, że autor dowodnie pokazał, jako ta sama myśl zasadnicza przebija się wyraźnie tak w czynności politycznéj jakotéż i społecznéj Apijusza, najwymowniéj o tém świadczy, że autor wszechstronnie i głęboko swój przedmiot zbadał, nim go w formę rozprawy ujął. Aby się mógł czytelnik dostatecznie zoryentować, zagaił autor właściwą rozprawę wstępem, w którym wystawia treściwie te stosunki polityczne i społeczne, z któremi potrzeba się poprzednio zapoznać, aby wywód saméj rozprawy należycie ocenić. Wielka ilość stosunków w tym wstępie dotkniętych, sprawia chwilowo takie wrażenie, jakoby autor w części wstępnéj mniéj jasno się tłumaczył, aniżeli w saméj dyssertacyi; to wrażenie jest jednakowo złudne, gdyż znawca i tutaj dopatrzy się z łatwością myśli przewodniéj, która wstęp przenika i takowy z samą rozprawą wiąże. Autor nie tylko z tego zdaje sprawę, co dotąd ludzie uczeni o tym przedmiocie wyrzekli, ale zarazem na nowo roztrząsa samodzielnię wszystkie źródła i dociera na téj drodze niekiedy do nowych wyników, do których należy zaliczyć: 1) rozjaśnienie stanowiska wyzwoleńców przed cenzurą Apijusza i po takowéj (str. 31 przypisek), 2) wytłumaczenie zmian, które przerzeczony reformator zaprowadził w układzie senatu rzymskiego i wieców, zbierających się wedle centuryj i tribus (str. 36—56); 3) zupełnie oryginalne wyłuszczenie podania o zakupieniu od rodu Potycyjskiego ze strony Apijusza dla niewolników skarbowych prawa do składania ofiary Herkulesowi na *ara maxima*, (str. 63—67); 4) godne wzmianki, odparcie hypotezy Mommsena (str. 17 przyp. 2). Póty o treści. Forma, któréj autor użył, odzna-

cza się stosownym podziałem materyału, jasnością i powagą odpowiadającą osnowie, jakotéż zwłaszcza poprawnością polszczyzny. Nareszcie zasługuje na pochwałę wielka objektywność, z którą autor rozwodzi się nad stosunkiem plebejstwa do patrycyatu, a która tak osnowę jako téż i formę od początku aż do końca przenika i tym sposobem całéj pracy piętno jedności nadaje.

W Krakowie, dnia 23 lipca 1874 r.

C. K. prof. uniwersytecki *Dr. Brandowski.*

Przy Studni. Kraków, nakładem księgarni A. Nowoleckiego. (w 8-ce str. 28) w drukarni Leona Paszkowskiego.

Autor pod pseudonymem *Erazma*, ujrzał w księgarni wcale ładną fotografią sceny przy studni, i ta jak sam wyraża, podała mu myśl do nakreślenia tych kilku uwag, które złożyły broszurę powyższą. Rycina przedstawiała scenę z dramatu Alfreda de Musset: „*On ne badine pas avec l'amour*“ pomiędzy *Perdicanem* a *Kamillą* przy studni. Pierwszego na scenie teatru krakowskiego przedstawił artysta p. Ładnowski, drugą pani Hoffmanowa. Sam dramat przełożył dla téj sceny Władysław Sabowski, zmieniwszy tytuł oryginału, na: „Ostrożnie z ogniem.“

Autor widać bywalec światowy, widział poprzednio przedstawiony ten dramat w Paryżu w *Theatre français.* W dwóch głównych rolach ujrzał panią *Favart* i pana *Delaunay.* „Nie mniemam (mówi) aby można piękniéj, prawdziwiéj, wymowniéj i bardziéj wzruszająco i przejmująco odtworzyć te dwie Mussetowskie postacie, jak to czynią powyżsi znakomici artyści. Przedstawienie to, nawet w tak doskonałym teatrze, jest wyjątkową artystyczną ucztą, rozkoszą, arcydziełem.“

Zdziwiony afiszem teatru krakowskiego, że utwór ten ma być przedstawiony na scenie tamecznéj, spieszy na widowisko i wychodzi zadowolony. Rozbiera następnie grę głównie artystów przedstawionych na rycinie, a na czele pomieszcza swoje uwagi nad tym utworem znakomitego poety francuzkiego. Studyum to godne uwagi, jako pokazujące głębszego myśliciela, a zarazem biegłe i wytrawne pióro. Takich studyów brak nam nad naszymi pisarzami: witamy więc w panu *Erazmie* zdolnego pracownika na niwie literackiéj.

R.

Józef Łukaszewicz; wspomnienie pośmiertne. Poznań, nakładem Tygodnika Wielkopolskiego 1873 r. (w 8-ce str. 22).

Pomiędzy pracownikami na niwie literackiéj odznaczył się wydatnie Józef Łukaszewicz. Urodzony w 1797 roku, kiedy już zatartém zostało imie Rzeczypospolitéj; początkowe nauki pobierał w *Pyzdrach* w szkółce księży Franciszkanów, którzy ją utrzymywali w klasztorze swoim, dalsze w gimnazyum poznańskiém pod kierunkiem księdza Przybylskiego, a późniéj dyrektora Kaulfussa, mając powiększéj części professorów z czasu księztwa warszawskiego. W téj dobréj krajowéj szkole nabrał zamiłowania do pracy, a za główny jéj cel obrał sobie badanie przeszłości umysłowéj i dziejów własnego narodu; temu téż zawodowi pozostał wierny aż do końca życia, poświęciwszy mu z górą lat czterdzieści, bez przerwy. Niepospolitéj nauce odpowiadała ogromna erudycya, zdobyta ciągłym trudem.

Gdy Edward hr. Raczyński wystawił wspaniały gmach w Poznaniu, który na bibliotekę publiczną przeznaczywszy, miastu podarował, w kilkanaście tysięcy dzieł zaopatrzył i funduszami odpowiedniemi wyposażył, na piérwszego jéj bibliotekarza Łukaszewicza powołał. Od téj chwili mąż ten uczony był towarzyszem stałym wszystkich prac literackich, nad rozlicznemi wydaniami, które E. hr. Raczyński ogłaszał. Na jego téż życzenie przetłumaczył *historyą naturalną Pliniusza* (wyszła w r. 1845—1846), która stanowiła część *Biblioteki klassyków łacińskich.* Długi szereg prac samodzielnych Józefa Łukaszewicza rozpoczyna się od „Wiadomości historycznéj o dyssydentach w mieście Poznaniu w XVI i XVII wieku," (Poznań 1832 r.), pomiędzy któremi odznacza się szczególnie ogromne dzieło w IV tomach: *Historya szkół w Koronie i na Litwie,* po rok 1794. Dawszy najobfitsze materyały dla przyszłego badacza cywilizacyi naszego narodu, położył wielkie zasługi jako redaktor umiejętnie rozwijający prassę poznańską. Po śmierci założyciela „Przyjaciela ludu" Jana Poplińskiego, Łukaszewicz objął kierunek tego pisma, następnie wraz z Antonim Poplińskim, bratem zmarłego Jana, założył „Tygodnik literacki," w ostatku „Orędownik naukowy."

W broszurce o któréj piszemy, znajdujemy wiele drogocennych szczegółów do życiorysu zgasłego w dniu 13 lutego 1873 r. Józefa Łukaszewicza, któremu Opatrzność dozwoliła dożyć sędziwego wieku, ażeby wedle wyrażenia Jana Kochanowskiegu złożył głowę do snu wieczystego: „jako kłos dojrzały," zmarł bowiem licząc lat 77 wieku.

W.

Karol Linneusz, przez Wawrzyńca hr. Engeströma. Życiorys z portretem. Warszawa, nakładem redakcyi Kroniki Rodzinnéj, 1874 r., w 8-ce str. 85.

Jestto biografia jednego z najznakomitszych mężów XVIII wieku, odznaczająca się wielu nieznanemi szczegółami, malującemi duchową stronę człowieka, którego charakter najdobitniéj się maluje w pamiętniku jaki zostawił synowi, gdzie te godne myśli zapisał:

„Modlitwa bez czynu, religia bez miłości, miłość bez poświęcenia, miłosierdzie bez ofiary, honor bez cnoty: to najbrzydsze kłamstwa człowieka.“

Praca ta samodzielna, na tém większe zasługuje uznanie, że opartą jest na źródłach szwedzkich. Autor obecnie ukończył Historyą literatury szwedzkiéj w 2-ch tomach: piérwszy od najdawniejszych czasów kończy się na 1809 roku, drugi obejmuje literaturę nowoczesną po ostatnie czasy. Tu pomieścił liczne tłumaczenia poetów i prozaików szwedzkich. Przygotował nadto przekład utworów *Tegnera*, który jako dodatkowa część do pomienionego dzieła należy. Obecnie zajęty jest tłumaczeniem *Maryi* Malczeskiego, i *Halki* Moniuszki, ażeby ją przedstawić na scenie w Sztokholmie.

W.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— *Wrzesień, 1874 r.* Wystawa rolnicza ożywiła niezwykle nasze miasto. Tysiące jéj mieszkańców jak i przybyłych gości odwiedzało ją codziennie z wielkiém zajęciem i upodobaniem: były dnie szczególniéj w niedzielę, że liczba ich dochodziła do 40,000 z górą, przepełniając obszerny plac Ujazdowski, ową miejscowość słynną przed wiekami, zamkiem udzielnych książąt Mazowieckich. Obszerniejsze sprawozdanie o téj wystawie podamy w następnym zeszycie naszego pisma.

— Tom I dzieł filozoficznych Libelta wyszedł w księgarni K. Żupańskiego w Poznaniu i obejmuje: samowładztwo rozumu i objawy filozofii słowiańskiéj. W przeciągu miesięcy 8 ma się ukazać w druku tomów 6, p. t. *Filozofia* i *krytyka.*

— W pismach literackich niemieckich donoszą o szczególnym w swym rodzaju jubileuszu, to jest setnéj rocznicy ukazania się ballady Bürgera: *Lenora.* Gazeta Warszawska podając tę wiadomość, dodaje: wspominamy tu chętnie o tym jubileuszu królowéj ballad, jest bowiem znana i u nas z pięknego przekładu Odyńca; i któż z nas nie zna i nie pamięta tego doskonałego tłumaczenia:

Jako woda, tak nad nimi
W tył się zdaje płyną chmury,
Tak przed nimi, tak pod nimi
Nikną pola, lasy, góry.

„Ha! dziewczyno miesiąc świeci,
Martwy jeździec prędko leci;
Nie strach umarłych tobie?
— Wieczny im pokój w grobie!“

— Prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego Łepkowski, w ciągu swojéj wycieczki archeologicznéj, którą w tym roku odbył po wybrzeżu morza Baltyckiego, na przestrzeni od Rugii do Połągi, pozyskał znów

dla gabinetu archeologicznego Uniwersytetu krakowskiego rozmaite cenne zabytki, a między innemi kilka ułamków nader ciekawych i bardzo rzadkich popielnic z twarzami ludzkiemi. Piérwszy Chrystyan Wilhelm Reusch, jeszcze w r. 1724 w rozprawie swojéj: *De tumulis et urnis sepulchralibus in Prussia*, zwrócił uwagę na owe popielnice z wylepionemi na pokrywkach wypukłemi twarzami ludzkiemi, z wyrytym zwykle poniżéj pokrywy rysunkiem przedstawiającym ozdoby szyi i z bronzowemi kolczykami w uszach, owych głów, nakrytych osobno na nie nasadzoną czapką spiczastą. Następnie najprzód Förstemann (przed 40 laty), potém Łepkowki w „Listach archeologicznych“ (umieszczonych w Bibliotece Warszawskiéj przed 20-tu kilku laty), późniéj Strehlke (w „N. Pr. Prov. Blätter“ 1855—LIV), zastanawiali się nad temi szczególnemi zabytkami, będącemi własnością okolicy zlewiska Wisły do Baltyku. Wreszcie professorowie: Dr. Mannhard (z Królewca) i Dr. Virchow (z Berlina), niemniéj jak rossyjskie Tow. archeologiczne i sztokholmska akademia umiejętności, poruszyli znów tę sprawę przed 4-ma laty; prof. Dr. Berendt zaś w r. 1872 wydał w Królewcu u Kocha wyczerpującą pracę o popielnicach z twarzami ludzkiemi, dawszy jéj tytuł: *Die Pomerelischen Geschichtsurnen*. Dr. Berendt twierdzi stanowczo, iż zabytki te znajdują się tylko na Kaszubach i w Pomerelii, w okolicach Gdańska, Oliwy, Tczewa, Starogrodu, Mewy i Malborga. Badania swoje objaśnił wielu rysunkami litografowanemi i mapą. Rozprawa ta jest właściwie odbitką z Rocznika Tow. fizyczno-ekonomicznego Królewieckiego. Urn z twarzami znaleziono dotąd mało co więcéj nad 30. Znajdują się one w zbiorze dopiéro co wymienionego Towarzystwa; ma je Walter Kauffmann w Gdańsku; Dr. Marschall w Malborgu posiada jeden z najpiękniejszych okazów; są także w zbiorach: berlińskim, wrocławskim (w muzeum Prussia): wreszcie znajdowano także popielnice w Poznańskiém pod Szmiglem i w okolicy Gniezna, mianowicie w Lenogórze.

— Adam Chodyński ogłosił drukiem monografią p. t. *Kościół i klasztor OO. Reformatów w Kaliszu*. Praca ta rozpoczyna szereg monografii, którym po skończeniu dać będzie można nazwę ogólną *Calissiana*, obejmie bowiem w dalszym ciągu cztery, obchodzące dzieje Kalisza i całą gubernią. Wydawnictwo to, podjęte przez księgarza miejscowego Napoleona Wartskiego, nie będzie pismem peryodycznem, lecz zbiorem, tak, iż pojedyńcze monografie ukazywać się będą w nieokreślonych epokach czasu, w miarę wygotowania i t. p. Każda monografia stanowić ma całość co do swego przedmiotu i dlatego zbywaną będzie osobno; wszystkie zaś mieć będą jeden format, by mogły złożyć zbiór jednostajny co do powierzchowności. Za główne zadanie autor położył zbadanie wszystkich źródeł, aby na wypadek ich zaginienia, monografie zastąpić je mogły z wszelką powagą dokumentu. Po monografii obecnéj, wyjdzie kolejno 13 innych, już przygotowanych. Pięknemu temu i obywatelskiemu przedsięwzięciu należy się najwyższe współczucie i poparcie ze strony ogółu.

— W Krakowie, nakładem „Czytelni technicznéj“ wyszła „Treść mechaniki technicznéj“ wykładanéj na Instytucie technicznym w Krakowie, przez dyrektora téj szkoły Dr. Pawła Brzezińskiego, autografowana przez W. Waligórskiego, ucznia instytutu. Jestto jedyny treściwy podręcznik dla uczących się mechaniki technicznéj w języku polskim.

— W Poznaniu, nakładem Dr. Ludwika Rzepeckiego wyszedł zeszyt III, dzieła znakomitego filologa księdza Fr. Malinowskiego p. n. „Gramatyka sanskrytu porównanego z językiem starosłowiańskim i polskim, na podstawie sanskryckiéj gramatyki Franciszka Boppa.“

— Wawrzyniec hr. Engeström z ramienia Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, wysłanym został na kongres antropologii i archeologii przedhistorycznéj w Sztokholmie. Obecnie w „Dzienniku Poznańskim“ składa obszerne sprawozdanie o pomienionym naukowym zjeździe, w którym szczególniéj się odznaczał ośmdziesięcioletni *Sven Nilson* professor emeryt uniwersytetu sztokholmskiego, z rodziny chłopskiéj.

— Dla użytku wyższych klass szkół średnich i do nauki prywatnéj, Dr. Karol Benoni wydaje: „Rys geografii i historyi powszechnéj.“ Wychodzi zeszytami i obecnie autor ogłosił zeszyt drugi tomu piérwszego, obejmujący historyą Grecyi i Macedonii. Z trzecim zeszytem który obejmie dzieje Rzymu, kończy się tom piérwszy.

— Na posiedzeniu Towarzystwa naukowego departamentu *Lot*, w dniu 27 kwietnia r. b. professor języków nowoczesnych przy liceum w *Cachors*, odczytał studyum historyczne z XIV wieku, a następnie ogłosił drukiem p. n. *Jean XXII et la Pologne*. Jestto ustęp z dzieła obszernego, odnoszącego się do stosunków między Polską a Francyą od czasów najdawniejszych, aż do zgonu Kazimierza Wielkiego. Praca ta pozostająca dotąd w rękopiśmie obejmie: 1) pamiętnik o pobycie Kazimierza I-go w opactwie *Cluni*, i o założeniu klasztorów Benedyktyńskich w Polsce w XI wieku. 2) Zapiski odnoszące się do poselstwa Władysława Hermana i do pielgrzymki Bolesława III do opactwa *Saint-Gilles des Bouches du Rhone*. 3) Pamiętnik o *Rychildzie*. 4) Zapiski o *Ludmile*, 5) Podróż do Polski *Wilhelma de Machault* trubadura francuzkiego z dworu Piotra 1-go de Lusignan, króla Cypru.

— We Lwowie Stanisław Sobieski wydał książkę p. n. „Zasady wychowania i nauki,“ dziełko to zawiera wskazówki dydaktyczne i pedagogiczne, osobliwie dla szkół wyższych, i jest dalszym ciągiem „Biblioteki pedagogicznéj i dydaktycznéj.“

— Nakładem i staraniem Akademii Umiejętności w Krakowie wyszedł w drugiém wydaniu: *Niemiecko-polski słownik wyrazów prawniczych i administracyjnych*, (Kraków 1874 r., w 8-ce str. 350); początkiem tego słownika była praca Stanisława Zarańskiego, członka b. Towarzystwa naukowego Krakowskiego. W tém wydaniu wzbogacili

go Dr. Aleksander Bojarski i Dr. Wiktor Kopff, wysłużony prezydent sądu wyższego w Krakowie.

— P. Stojan Nowakowicz, uczony serbski, professor panującego dziś ks. Milana, następnie minister wyznań i oświecenia publicznego, autor wielu dzieł powziął zamiar ogłosić przekład *Grażyny* Mickiewicza w czasopiśmie *Dubrownik* wychodzącém w Dalmacyi w mieście tegoż nazwiska, inaczéj *Ruguzą* zwaném.

— Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Białogrodzie (Belgradzie) ogłosiło w r. b. w roczniku swoim *Glasnik* (zeszyt XL) znakomite studyum, archimandryty Duczycza z Hercogowiny o księztwie Czarnogórskiém, pod względem etnograficznym i topograficznym. Wyszło w oddzielnéj teraz książce, która może być uważaną za najlepsze dzieło, dające dokładne wyobrażenie o tém małém niepodległém państwie. Autor pomimo duchownego stanu, brał osobiście wielce czynny udział w życiu praktyczném pobratymczego sobie plemienia Czarnogórców, a nawet odegrywał w niém niepoślednią rolę. W roku 1861 i 1862 był jednym z przywódzców hercogowińskiego powstania. Po jego upadku, unikając zemsty Turków, schronił sie do Czarnogóry i tam założył duchowne seminaryum. Panujący książe ceniąc patryotyzm, rozum i zdolności Duczycza, powierzał mu niejednokrotnie ważne missye dyplomatyczne, z których zawsze użytecznie dla Czarnogórza wywiązywać się umiał. W r. 1867 Porta Ottomańska tak silnie poczęła nalegać, o wydalenie go z Czarnogóry, że nareszcie zmuszonym był tę drugą ojczyznę swoją opuścić i szukać przytułku w Serbii. Osiadł więc w Białogrodzie, i pracami swemi literackiemi zjednał sobie pierwszorzędne pomiędzy Serbami stanowisko. Artykuły o Czarnogórze jakie mamy od lat trzydziestu, przez wielu pisarzy ogłaszane, jak pp. *Boué*, *Popów*, *Delarue*, *Ubicini*, *Bentley*, *Deuton*, *Mackenzie*, *Rutter*, *Rasch'a* i innych, nie wytrzymają żadnego porównania z szacownemi studyami Duczycza, które godne są przekładu starannego.

— W młodym wieku zmarł d. 20 sierpnia r. b. w Gratzu professor Dr. *Robert Rössler*. Byłto zdolny pracownik na niwie literackiéj, głównie zajmował się dziejami ludów nad dolnym Dunajem osiadłych; ztąd studya jego są nieocenionéj wartości dla historyi słowiańszczyzny. Z prac jego wymienić należy które wyszły z pod prassy w języku niemieckim: 1) Przyczynki do dziejów narodów nad dolnym Dunajem; 2) Studya Rumuńskie; 3) O początku słowiańskiego osiedlenia nad dolnym Dunajem. Dzienniki wiedeńskie śmierć jego przedwczesną uważają za wielce dotkliwą stratę dla uniwersytetu w Gratzu.

— W Stutgardzie wydał *Ferdynand Gregorowicz* dzieło w 2-ch tomach (1874 r. w 8-ce) p. n. *Lucrezia Borgia*, w którém wspierając się na autentycznych źródłach i korrespondencyach XVI wieku, położył sobie za główne zadanie oczyścić z ohydnéj tradycyi osławioną tę kobietę, którą w całéj grozie wstrętnéj ukazał w dramacie swoim Wiktor Hugo, a Donizetti w operze. Podług autora była Lukrecya dziwnéj piękności, w obejściu niezmiernie ujmującą i wysoko wy-

kształconą. Straciwszy do r. 1501 z powodów politycznych dwóch mężów, mając lat 21 poszła za księcia Alfonsa Este, i cieszyła się aż do śmierci 1519 r. jak najlepszą współczesnych opinią. To stanowi właśnie podstawę rozumowań F. Gregorowicza w kierunku rehabilitacyjnym jéj życia, które mianowicie w młodych latach Lukrecyi ponurym i smutnym blaskiem w pomroce dziejów przyświéca. Jakkolwiek poważném jest w literaturze naukowéj imię autora „Historyi Rzymu w wiekach średnich," wnioski jego atoli są tak śmiałe, że ich za ostateczne przyjąć niepodobna.

— Znany badacz przeszłości Ks. Wład. Siarkowski, który już przedtém opisywał pamiątki po Czarnieckim w kościele parafialnym we wsi Czarncy, o kilka wiorst za Włoszczowem położonéj, niegdyś dziedzictwie tego bohatéra, pisze w Gazecie Kieleckiéj o nowéj pamiątce po rzeczonym mężu w kościele we Włoszczowie, przez długi przeciąg czasu przechowującéj się. Była nią materya z czapraka, którą Czarniecki włoszczowskiemu kościołowi, słynącemu z cudownego obrazu N. Maryi Panny podarował. Materya ta służyła blizko przez 200 lat za ozdobę antepedyum jednego z ołtarzy świątyni, a to odpowiednio do woli ofiarodawcy. Czas wycisnął na niéj wielkie ślady zniszczenia do tego stopnia, że już więcéj do żadnego użytku kościelnego nie mogła służyć. Ponieważ zaś kawałek téj materyi był srebrem tkany, przeto srebro spieniężono, a za otrzymaną ze sprzedaży summę wynoszącą kilkanaście rubli, teraźniejszy zarządca kościoła we Włoszczowie, J. ks. Khaun, dziekan dekanatu włoszczowskiego, sprawił kapę, na któréj umieszczono stosowny napis jéj fundacyi. O pamiątce téj dowiedział się ks. Khaun od starych miejscowych ludzi dopiero wtenczas, gdy już z niéj srebro jednemu z jubilerów kieleckich odstąpił. Nie od rzeczy będzie również podać, że z innego czapraka, mianowicie z tego co okrywał ulubionego konia, towarzysza różnych wypraw wojennych Czarnieckiego, a którego to przed zgonem we wsi Sokołowie kazał mąż ten przyprowadzić i mdlejącą ręką pogłaskał, z polecenia rodziny Czarnieckiego zrobiono kaptur i nim przyozdobiono kapłańską kapę, którą do czasów obecnych w kościele w Czarncy widzieć można. Celebrujący kapłani kapy téj w większych tylko uroczystościach kościelnych używają.

— Jedną z najznakomitszych *pamiątek pogańskich* czasów, znajdujących się na ziemi przez Lechitów zamieszkałéj, są ruiny na kępie w Lednogórze w W. Ks. Poznańskiém. Jeszcze w roku 1862 Towarzystwa naukowe krakowskie i poznańskie utworzyły delegacye mające zwiedzić wspólnie te ruiny, dla bliższego ich określenia i poszukiwań archeologicznych; okoliczności atoli rozwiały ten zamiar, który znów w roku b. wznowiono, nie dla poszukiwań jednak, których już dokonano za sprawą hr. Węsierskiego właściciela Lednogóry, ale dla obejrzenia poznajdywanych pamiątek złożonych w naukowym porządku w pałacu hrabiego w Zakrzewie. Towarzystwo naukowe Poznańskie wydelegowało pp. Szulca, Zakrzewskiego, Kosińskiego; przybył

także professor Zengteller z Ostrowa: delegat krakowski nie stawił się. Po obejrzeniu zbioru u hr. Węsierskiego i miejscowości w Lednogórze, uznano stanowczo, że ruiny pochodzą z czasów pogańskich, stanowiły poprzednio świątynią pogańską, która później zmieniona została na kościół chrześcijański! Styl budowli, rozkład, materyał, urny w niszach znalezione, jako też pieniądze rzymskie Marka Aureliusza, Dyoklecyana i innych cesarzy, znaleziono w różnych miejscach ruin, wszystko to komisyę w zdaniu powyższém utwierdziło.

— Mamy do doniesienia ważną wiadomość z dziedziny etnografii. Wiadomo, jak wiele nadziei pokładają historycy filozofowie, badacze przyrody etc. na téj młodocianéj nauce, która dotychczas nie mogła jeszcze niezmiernego swego materyału opanować. Szczególnie trudno jest skojarzyć wymagania językoznawstwa ze znajomością nauk przyrodniczych i pojmowaniem warunków społecznego, co wszystko jest niezbędném przy grupowaniu rozmaitych ludów na rassy i plemiona. Te różnorodne wiadomości łączy właśnie autor świeżo ogłoszonego podręcznika etnograficznego, p. Oskar Peschel, znany zaszczytnie geograf. W dziele jego p. t. *Voelkerkunde* (Leipzig 1874. Duncker u. Humblot. X, 570 str. in 8-vo maj.), czytelnik znajdzie charakterystykę fizyczną plemion, szczególnie według budowy czaszek, wykonaną samodzielnie z uwzględnieniem, chociaż nie bezwarunkowém, teoryi descendencyjnéj Darwina, znajdzie obszerny dział, poświęcony porównawczym badaniom nad językami i nareszcie wyborne szkice rozwoju przemysłowego, społecznego i religijnego na rozmaitych szczeblach.

— Sławne prelekcye professora z New-Haven W. D. Whitney'a, o zasadach porównawczego badania języków ukazały się w przeróbce niemieckiéj p. Jul. Jolly p. n. *Die Sprachwissenschaft W. D. Whithney's Vorlesungen* etc. (München 1874. Ackermann XXVIII i 713 str. in 8-vo maj). Przykłady z języka angielskiego są tu zastąpione odpowiedniemi wyrazami niemieckiemi, a na końcu dodane dwie nowe prelekcye pióra p. Jolly o historyi językoznawstwa. Wykład zaczyna się od kwestyi, zkąd się wzięła mowa i co nazywać należy mową ojczystą. Potém następuje klassyfikacya języków podług cech fonetycznych, morfologicznych i pojęciowych. Przytém wskazane są przyczyny, z których wynikają różnice w układzie i budowie języków rozmaitych. Nareszcie traktowaną jest kwestya o pochodzeniu języków i pisma.

— Drugi tom ważnego dla heurystyki historycznéj dzieła Wattenbacha p. n. *Deutschland Geschichtsquellen im Mittelalter bis zur Mitte des 13 Jahrhunderts* (Berlin 1874, Hertz. 412 str. 8), wyszedł w 3-ém znacznie pomnożoném wydaniu. Na każdéj niemal stronnicy znajdą się jakieś dopełnienia. Autor zużytkował nawet nie ogłoszony jeszcze drukiem tom Monumentów Pertz'a. Dodał też całą rozprawkę o fałszerstwie rękopisów wraz z wykazem wydań fałszywych.

— *Schröder* wydał drugą część ogromnego swego dzieła, jedynego w dotychczasowéj literaturze prawniczéj niemieckiéj: Historyą stosunków majątkowych między małżonkami w wiekach średnich. (Ge-

schichte des chelichen Güterrechts in Deutschland II Th. Das Mittelalter: 1) das schwäbisch bairische Recht; 2) das fränkische Recht; 3) das sächsische u. das friesische Recht). Fakta są czerpane nietylko ze zbiorów drukowanych, ale i z rękopisów, z aktów processowych i t. d. Szczególnie bogatym jest we wnioski i ważne wyniki dział, traktujący o prawie frankońskiém.

-- Ad. *Ebert-Geschichte der christlich-lateinischen Literatur von ihren Anfängen bis zum Zeitalter Karl's des Grossen. (Leipzig 1874 Vogel. XII, 624, str. 8).* Z talentem i świeżym poglądem autor kreśli w księdze I stan cesarstwa rzymskiego w II i III wieku po Chrystusie, i szerzenie się chrystyjanizmu do czasów Konstantyna, poczynając od Minuciusza Feliksa. W téj epoce występują: Tertullian, Cypryan, Arnobiusz, Laktancyusz. Kommodyan. Księga II poświęcona pracom najznakomitszych Ojców Kościoła i sięga do śmierci ś. Augustyna. W księdze III autor podzielił pierwszy okres historyi średniowiecznéj na dwie epoki; jedną do Boecyusza i Kassyodora, druga zaś obejmuje Aldhelma, Bedę i ś. Bonifacego. Ze szczególną staranuością scharakteryzowani są śś. Ambroży, Hieronim i Augustyn.

— Prócz dzieła Ralstona, które doznało bardzo serdecznego przyjęcia w literaturze zachodniéj, ukazały się teraz dwa nowe dzieła „O poezyi ludowéj Słowian“ po angielsku. I. T. Naaké, urządzający przy muzeum brytańskiém, Polak z pochodzenia, chociaż z cudzoziemskiém nazwiskiem; pani Csedomille Mijatovics, Serbka podaje w tłumaczeniu angielskiém znaczny poczet klechd i bajek rossyjskich, polskich, serbskich i czeskich. W przedmowie p. Naaké scharakteryzował wybitniejsze cechy poezyi ludów słowiańskich, a we wstępie do tłumaczenia p. Mijatovics, p. Denton przedstawił w ciekawym obrazku proces tworzenia się podań serbskich najprzód w formie prozaicznéj, w powieści staréj bajarki, a następnie w przeróbce wierszowanéj poetycznéj. Jedna z takich improwizacyi utrwala w pamięci ludu, rozprawy jakie się toczyły w Skupczynie w 1870 r. co do otwierania sklepów po wsiach. P. Denton wnioskuje, że tym sposobem zapewne tworzyły się pieśni Homera. Tytuł dzieł tych: 1) *Slavonic Faizy Tales, cllected and translated from the Russian, Polish, Servian and Bohemian by I. T. Naaké of the British Museum etc, London, King and C-o;* 2) *Serbian Folk-Lore. Popular Tales selected and translated by M-me Csedomille Mijatovics. etc Jsbistera. C-o.*

— Staraniem Gotschall'a zaczął wychodzić *Nowy Plutarch* (*Der neue Plutarch. Biographien hervorragender charaktere der Geschichte, Literatur u. Kunst.* Leipzig 1874, Brockhaus X, 373 str. 8). Tom I-szy zawiera cztery obszerne i starannie opracowane życiorysy: 1) Marcin Luter przez Henr. Rückerta; 2) Oliver Cromwell, przez Reinholda Pauli, autora Historyi Anglii; 3) Henryk IV przez Philipson'a z Bonn, autora większéj monografii p. t. Henryk IV i Filip III; 4) Voltaire przez Rosenkranza. W dalszych tomach ma ukazać się poczet innych znakomitości nowoczesnych.

— Z archiwów weneckich Antonio *Matscheg* czerpał materyały do oświetlenia historyi europejskiéj w epoce pokoju akwisgrańskiego. Praca jego nosi napis: *Storia politika di Europa* dal chindersi del regno di Carlo VI al trattato di Aquisgrana, illustrata coi dispacci degli ambasciatori della republica di Venezia. Venezia, Grimaldo, str. 280, in 8-vo.

— *Roesler*, Rob. w rozprawie p. t. *Die Aralseefrage noch einmal geprüft* (Wien 1873, Gerold.), odbitej z rozpraw akademii wiedeńskiéj zbija mniemanie, jakoby morze Aralskie wysychało peryodycznie, ile razy rzeki Syr i Amu-Daria zmieniały koryto i wpadały do morza Kaspijskiego. Argumentacya autora wymierzoną jest głównie przeciwko pułkownikowi Sir Henry Rawlinson'owi.

— Fr. Kapp, mieszkając w Ameryce studyował historyą wojny amerykańskiéj XVIII wieku, która zakończyła się jak wiadomo, wyzwoleniem Stanów Zjednoczonych z pod władzy Anglii. Poszukiwał on przedewszystkiém materyałów do uwydatnienia udziału Niemców w téj wojnie i wynalazł liczne dokumenta, szczególnie w archiwach angielskich, dotyczące sprzedaży oddziałów całych Anglikom przez panujące książątka niemieckie. Taki handel ludźmi prowadzili w końcu XVIII wieku książęta: Brunświcki, Hesko-Kasselski, Hanau, Waldule, Anspach i Zerbst. Losy tych sprzedanych żołnierzy kreśli Kapp podług raportów wojskowych angielskich i dzienników oficerów niemieckich; książęta ci mniemali, że służy im prawo wynajmowania i sprzedawania swoich poddanych na mocy „władzy ojcowskiéj nad krajem z Bożéj łaski." Przedmiot ten jest traktowany w dziele p. n. *Der Soldatenhandel deutscher Fürsten nach Amerika. Ein Beitrag zur Kulturgeschichte des 18 Jahrhts.* Berlin 1874 r. Szpringer, XVI, 259 str., 8-vo maj.

† *Ś. p. Adam Bagniewski* rzeczywisty radzca stanu, b. dyrektor prezydujący w. b komisyi rządowéj przychodów i skarbu, ostatecznie emeryt zmarły w dniu 8 października r. 1873, brał udział w pracach utworzonego w r. 1859 wydziału Biblioteki Warszawskiéj nauk społecznych. Czynny swój udział wykazał w następujących artykułach, w rozmaitych epokach w téjże Bibliotece ogłaszanych, a mianowicie: 1) Rozbiór dzieła Augusta Cieszkowskiego p. t. „*Du crédit et de la circulation*" wydanego w Paryżu w r. 1839, które w swoim czasie zyskało uznanie (tom drugi 1841); 2) Krótki rys powstania i rozwijania się królewsko-pruskiéj kompanii morskiéj w Berlinie z r. 1845;" 3) „Porównanie prawodawstwa pruskiege z kodeksem cywilnym francuzkim, co do pomieszania w jednéj osobie przymiotów dłużnika i wierzyciela hypotecznego (*confusio*) z odniesieniem się do kredytu ziemskiego na kapitał obrotowy i rolniczy; 4) Jeszcze kilka słów o pomieszaniu w jednéj osobie przymiotów dłużnika i wierzyciela hypotecznego: obie te rozprawy z r. 1850; 5) O Szlązkim banku kredytowym.

† Dnia 15 kwietnia r. b. w Cieszynie na Szlązku austryackim zakończył życie licząc lat 51, *Jan Śliwka*, dyrektor szkoły ewangielickiéj w témże mieście. Należał on do szczupłego grona tych czcigodnych mężów, którzy gorliwie pracowali nad podźwignięciem języka polskiego w Górnym Szlązku. Wydał wiele dzieł polskich, a pomiędzy niemi: „Książkę do czytania dla wyższych oddziałów szkół ludowych," „Historya wiary ewangielickiéj na Szlązku austryackim;" „Piosnki dla dziatek z melodyami;" „Słowniczek polsko-niemiecki." Cieszyn 1870 r. „Geografia" i w. i. Byłto człowiek pracowity, pełen poświęcenia, utrzymał on i rozbudzał ducha polskiego między Górno-Szlązakami wyznania ewangielickiego.

† W piérwszéj połowie sierpnia r. b zmarł w Sacinie pod Nowém-Miastem nad Pilicą *Wincenty Smaczniński*, urodzony 1802 r. w ówczesném województwie krakowskiém, b. prof. logiki, pedagogiki, dyrektor gimnazyum w Piotrkowie, w końcu wizytator szkół publicznych i emeryt. Znanym jest z wielu prac literackich, pomijając dwa tomiki poezyi, a raczéj słabych wierszyków w Warszawie 1850 r. Ważniejsze i obszerniejsze między nimi są: przekład Historyi Welcja Paterkula, tłumaczenia z serbskiego i tragedyi Sofoklesa *Antygona*.

† Dnia 28 sierpnia r. b. umarł w Paryżu *Eustachy Januszkiewicz*, znany naszemu światu naukowemu, tak z prac własnych drukiem ogłoszonych, jak z blizkich stosunków przyjacielskich z J. Lelewelem, Mickiewiczem i Słowackim. Zwłoki jego pochowano w Montmorency obok Mickiewicza.

OD REDAKCYI.

P. Dymszy w Mitawie. Zeszyty Biblioteki Warszawskiéj za miesiąc lipiec, sierpień wysłano 7, a za wrzesień, 15 września r. b.

SPROSTOWANIE.

W zeszycie wrześniowym r. b.:

na stronnicy	421	w wierszu	16	zamiast	5	czytaj	50.
„	429	„	1	„	więcéj	„	mniéj.
„	435	„	22	„	produkt	„	podatek.
„	436	„	26	„	uważano	„	nie uważano.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca *Józef Berger.*

Starożytna Greczynka.

NAPISAŁ

Dr. Zygmunt Samolewicz.

„Upadek narodów datuje się wszędzie w historyi od upadku moralności i cnót, a upadek cnót od upadku kobiét." Temi słowy rozpoczyna swą rozprawę o Rzymiance zgasły nie dawno prof. szkoły głównéj warszawskiej, Jan Wolfram. Powtarzam je na wstępie niniejszéj pracy, gdyż jeżeli rzymska historya jest pouczającym przykładem powyższego twierdzenia, to jest niém niezawodnie także historya grecka. Kto jednak zajmuje się historyą starożytnéj Greczynki, ma o tyle trudne zadanie, że co do jéj rozwoju historycznego i stanowiska, które zajmowała w społeczeństwie, panują aż do najnowszych czasów wręcz przeciwne zdania. Jedni, co przywykli w starożytnéj Helladzie upatrywać tylko strony dodatnie, poczytywać świat grecki za wzór nie doścignionych pod względem życia politycznego, literatury i sztuki, wynoszą także kobiétę grecką po nad poziom zwykłości i nakreślają jéj już w owych wiekach takie stanowisko, do którego w naszych jeszcze nie doszła; drudzy, a tych zastęp jest liczniejszy, wyobrażają ją sobie jako istotę pogardzoną w oczach mężczyzny, jéj życie jako niewolę, komnaty niewieście jako więzienia podobne do tureckich haremów, w których obchodzono się z kobiétą w sposób oryentalny. A co dziwniejsza, jedni i drudzy powołują się pozornie na powagę greckich pisarzów. I w istocie nie da się zaprzeczyć, że bogata literatura grecka, nawet w téj formie ułamkowéj, w któréj ją posiadamy, dostarcza obfitego materyału, z którego można wysnuć jak najrozmaitsze wnioski, jeżeli do dzieła nie przystępuje się bezstronnie, lecz z uprzedzeniami, a odnośne ustępy ocenia się nie uwzględniając myśli przewodniéj autora, lecz jako cóś oderwanego od całości. W ogóle jednak gruntowne i wszechstronnie przedmiot wyczerpujące prace nowszych uczonych, wyświeciły wiele wątpliwości, usunęły dawne przesądy i całe poszukiwanie doprowadziły do tego punktu, że zbadanie prawdy historycznéj, leżącéj, jak zwyczajnie, po środku twierdzeń zupełnie sobie przeciwnych, nie

REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

jest nader trudném. Zamiarem jest tedy niniejszéj rozprawy podać w sposób przystępny wyniki, do których badania temu przedmiotowi poświęcone doprowadziły [1]).

Zanim jednak przejdę do samego przedmiotu, chcę się porozumiéć co do stanowiska, z którego do rzeczy przystępuję. Owa powyżéj podana różnica zdań polega także na tém, że istotnie zachodzi znaczny przedział między kobiétą przedhistoryczną, któréj obraz tak plastycznie nakreślił Homer, a kobiétą czasów historycznych. Między jednym a drugim okresem zalega przestrzeń kilku wieków, w których nastąpiło znaczne, a raczéj całkowite przekształcenie życia greckiego. Z owych czasów tworzących przejście z podań do historyi, z poezyi do rzeczywistości, brakuje nam wszelkich danych mogących wyjaśnić, dlaczego kobiéta znacznie odmienne w społeczeństwie zajęła stanowisko. W obec téj zagadki wypada nam przedmiot rozdzielić na dwie części i w piérwszéj mówić o kobiécie, jaką widzimy u Homera, w drugiéj o kobiécie historycznéj. Ale i w czasach historycznych okazuje się w pojmowaniu stanowiska kobiéty ów przedział, który jest widoczny w całych dziejach Hellady, przedział między szczepem doryckim a jońskim, między Spartą a Atenami. Dlatego chcąc się uchronić od zarzutu pomięszania różnych wieków i miejscowości musimy mówić oddzielnie o Spartance, oddzielnie o Atence; o kobiétach innych państw greckich wspomnimy tylko o tyle, o ile starczy nam materyału historycznego i o ile odmienne stosunki wymagają osobnego uwydatnienia.

---

[1]) Nie chcąc toku rozprawy przerywać ciągłém przytaczaniem dzieł, wymieniam tutaj najważniejsze książki pomocnicze, gdzie czytelnik znaleźć może obszerniejsze wiadomości: „Jacob's Vermischte Schriften" t. IV, s. 154— 307. „Fr. v. Schlegel's sämmtliche Werke" wyd. z r. 1846, część IV, s. 53—115. „Die homerische Theologie von C. F. Nägelsbach" 1840. Paulego „Realencyclopaedie des klassischen Alterthums." „Geschichte der griech. Litteratur von K. O. Müller 1845" t. I str. 310 i nast.; 392 i nast. „Hellenische Alterthumskunde von Wachsmuth 1846" t. II. „Charikles von W. A. Becker. Zweite Auflage 1854" t. II i III. „Grundriss der griech. Litteratur von G. Bernhardy, 3 Bearbeitung 1861" t. I, str. 62—65. „Lehrbuch der griech. Antiquitäten von K. Fr. Hermann. Zweite Auflage 1870." „Griechische Alterthums von Schoemann. Zweite Auflage 1861" t. I. „Das Leben der Griechen und Roemer von E. Guhl und W. Koner 1864." „Griechische Privataltertumer von Göll, w Brockhausa: Griechenland in Monographien dargestellt" 1870. „L. Wiese Ueber die Stellung der Frauen im Alterthume und in der christlichem Zeit. Berlin" 1854. „Lasauls, Zur Geschichte und Philosophie der Ehe bei den Griechen. Abhandlungen der Bayer. Akad. 1851, phil. Clas." t. VII, dział I.

Znajomość czasów przedhistorycznych Grecyi zawdzięczamy dwom niezrównanym epopejom: Iliadzie i Odysei. Zamiast ogólników przywiedźmy na pamięć najpiękniejsze postaci niewiast tam występujących. W Iliadzie na piérwszém miejscu stoi Andromache, przywiązana małżonka Hektora, najdzielniejszego Trojanina, broniącego ojczyzny przed najazdem wojsk greckich. Jak Hektor jest bohatérem pod względem siły i dzielności męzkiéj, gotowym za ojczyznę i bogi rodzinne nawet życie przynieść w ofierze; tak Andromache jest wzorem czułéj, miłującéj małżonki. Nie jest to niewolnica drżąca na rozkaz pana, ale jest to kobiéta znająca swą godność, świadoma swych obowiązków, poświęcona bez granic dla męża i syna. Hektor zamierza opuścić mury miasta, aby pod Troją stoczyć bój ostatni; przeczucie mówi mu, że z owéj walki już nie wróci: mimo to ani chwilę nie waha się spełnić obowiązku względem ojczyzny. Andromache jest także patryotką, ale przedewszystkiém jest kobiétą: to téż nie szczędzi próśb, błagań i zaklęć, aby męża wstrzymać od nieszczęsnego boju. Posłuchajmy, jakiemi słowy doń przemawia [1]):

Mężu, męztwo cię twoje zgubi nieodwłocznie:
Nie masz żadnéj litości nad dziecięcia głową,
Ni nademną niebogą, wkrótce twoją wdową.
Na jednego Achiwi wszystkie złączą siły,
I odbiorą ci życie: ach! moj mężu miły!
Jeżeli cię mam stracić obym legła w grobie!
Nie masz dla mnie pociechy żadnéj już po tobie:
Smutki mnie gnębić będą aż do dni ostatka.

Poczém opowiedziawszy, jak zginęła jéj cała rodzina, dodaje:

Tyś mi ojcem, tyś matką, kochany Hektorze!
Tyś mi bratem, tyś mężem w dni kwitnących porze:
Zostań tu, zbyt rycerską nie uwodź się cnotą,
Nie zostawiaj mnie wdową, a syna sierotą.

Na to odpowiada jéj Hektor, że wstydziłby się musiał Trojanów i Trojanek, gdyby w obec groźnego niebezpieczeństwa pozostał w mieście. Ale zaraz dodaje:

Ale nie tak się lękam trojańskiéj zaguby,
Ni tak ojca Pryama i matki Hekuby,
Ani kochanych braci; choć nieprzyjaciele
Rycerskich dusz na placu położą tak wiele:
Jako nad stanem twoim serce mi się krwawi,
Gdy cię weźmie wódz grecki, wolności pozbawi . . . .
Lecz wprzód niech padnę trupem, niż ujrzę twe płacze,
Niż twe jęki usłyszę, lub więzy obaczę.

---

[1]) Il. VI, 419 i nast. Tłumaczenie Dmochowskiego z małemi zmianami.

Po tych słowach bierze małe dziecko z rąk piastunki, zdejmuje szyszak, którego malec się uląkł, całuje go, a tuląc rozpaczającą żonę, rzecze:

Niech cię, najmilsza żono, los mój tak nie boli,
Nikt mi życia nie weźmie bez wyroku woli:
Od wyroku zaś żaden człek się nie wybiega,
Równie mu i bohatér i gnuśnik podlega.
Wróć do domu, weź w ręce kądziel i wrzeciono,
Pilnuj robót służebnic, ukochna żono.
O wojnie niechaj męże Ilionu pomną,
A najszczególniéj Hektor.

To wyrzekłszy wdziewa przyłbicę. Andromache lubo z wielką boleścią stosuje się do słów mężowskich, wraca do domu z ciężkiém sercem, oglądając się raz poraz za odchodzącym mężem i wylewając łzy obfite; zasmucona wchodzi w podwoje domu, gdzie na nią czekają liczne służebnice, a na widok pani głośnym wybuchają płaczem.

A gdy spełniły się złowrogie losy i dzielny obrońca Troi poległ z ręki mściwego Achilla; gdy na prośby sędziwego Pryama wydane jego zwłoki przywieziono do Troi: wtedy wierna Andromache na piérwszą wieść staje pomiędzy śpiewakami i płaczkami, obejmuje głowę zgasłego męża rękoma i w ten sposób rozpoczyna swe żale [1]):

Giniesz, kochany mężu w samym wieku kwiecie!
Mnie wdową zostawujesz, syn nasz jeszcze dziecię,
Któreśmy nieszczęśliwi rodzice wydali,
Nie dorośnie lat! prędzéj to miasto się zwali...
W jakimeś żalu twoje pogrążył rodzice!
Lecz mnie nędzną skazałeś na dozgonne jęki!
Konając nie ściągnąłeś z łoża ku mnie ręki,
Aniś wyrzekł jakiego przychylnego słowa,
Któreby, jak ostatnią pamiątkę, twa wdowa
Rozmyślała, łzy lejąc i we dnie i w nocy.

Czyż można było lepiéj uwydatnić miłość żony do męża i okazać plastyczniéj stosunek wzajemny małżonków? Podobnie, choć mniéj wybitniéj kreśli nam Iliada inne kobiéty. Nie mają one wprawdzie w sprawach publicznych żadnego udziału, ale w domu są paniami niewolnic, gospodyniami, powierniczkami i przyjaciółkami mężów. W towarzystwie niewolnic pokazują się na miejscach publicznych, przechadzają się po mieście i po murach fortecznych, a nikt się tém nie gorszy, owszem wszędzie spotyka ich uszanowanie i uprzejme obejście. Nawet owa wiarołomna żona Helena, która opuściwszy mę-

[1]) Il. XXIV, 724 i nast.

ża poszła za ponętnym głosem kusiciela i stała się przez to przyczyną długiéj wojny między dwoma potężnemi ludami, ukazuje się u Homera w takiéj postaci, że więcéj na litość, niż na wzgardę zasługuje. Jest ona nieszczęśliwą, bo jéj serce jest rozdwojone: nie może zerwać z węzłami, jakim się niebacznie poddała, a z drugiéj strony nie może stłumić w sobie przywiązania do dawnéj ojczyzny, do wszystkiego co greckie: ztąd klęski jednych i drugich równą boleścią ją przepełniają. Dlatego gorzko żałuje swego błędu i przeklina ów dzień złowieszczy, w którym dała posłuch głosowi czarującemu uwodziciela. Gdy w towarzystwie Pryama, ojca Parysa, przechadza się po murze, podziwiana przez wszystkich dla swéj piękności, pyta się jéj Pryam o nazwy bohatérów greckich pod murami stojących. Odpowiedź swą tak rozpoczyna Helena [1]):

Obym śmierć była wzięła nie twojego syna:
Dziś mąż opuszczon, bracia i córka jedyna,
I kochanéj młodości miłe rówiennice!
Los chciał inaczéj: łzami przeto zléwam lice.

Równie pięknie kreśli kobiétę Odyseja. Już cały mit, na którym osnuty jest poemat, okazuje ją w nader korzystném świetle. Odysej, król Itaki, dziesięć lat walczy pod murami Troi za sprawę Grecyi, po zdobyciu grodu dziesięć lat błąka się po morzach. Wyruszając pod Troję pozostawił w ojczyznie młodą żonę i nieletniego syna Telemacha. O rękę jéj ubiega się pod tak długą niebytność męża grono możnych młodzieńców, a korzystając z oddalenia pana, z bezbronności niewiasty i niedoświadczenia jéj syna, ucztują i bawią się w domu Penelopy napierając na nią to prośbą, to groźbą, aby swą rękę jednemu z nich oddała. Atoli Penelope wygląda ciągle przybycia męża i odpycha ze wzgardą roszczenia niecnych zalotników, a choć z dniem każdym maleje jéj nadzieja, choć nieraz w komnatach niewieścich we łzach się rozpływa; chociaż nawet ma tę pewność, że dzień powrotu jéj męża już przepadł na zawsze: to jednak mimo to pozostaje wierną i cnotliwą, a niemogąc odeprzéć zalotników siłą, używa nareszcie znanego podstępu, aby przynajmniéj zyskać na czasie. To samo usposobienie okazuje jéj otoczenie a wierna Eurykleja, piastunka Telemacha, jest wzorem przywiązania sługi do rodziny pana [2]).

W innym kraju mitycznym, na szczęśliwéj wyspie Feaków, błogiém jest położenie kobiéty [3]). Król Alkinoos otacza swą małżonkę Aretę największą czcią i miłością, poddani wielbią w niéj wzór cnót wszelkich; przy boku męża zasiada Arete na zgromadzeniu starszyzny, zabiéra głos bez obawy, aby być od małżonka skarconą. Na dworze królewskim rośnie urodna dziewica, ich córka Nausyka, któréj urocza postać należy do najszczęśliwszych pomysłów geniuszu poetyckiego.

[1]) Il. III, 165 i nast. [2]) Odys. ks. I i II. [3]) Odys. ks. VI—XIII.

Niewinność i naiwność dziecięcą łączy ze skromnością i wstydliwością dziewiczą; w domu rodzicielskim płynie jéj życie rozkosznie, w czynnościach swych nie jest niczém krępowana, tylko względami przyzwoitości. Za zezwoleniem ojca udaje się w towarzystwie dziewic do rzeki odległéj, aby wyprać bieliznę braci. Gdy ukończono robotę, rozpoczyna się ówczesnym zwyczajem śpiew i gra w piłkę. Za wolą bogini Pallady piłka wpada w gęstwinę boru. Na okrzyk dziewic budzi się Odysej, który po zgruchotaniu łodzi jego przez burzę dostał się na owo wybrzeże i zapadł w sen głęboki. Skoro niespodzianie wychylił się z lasu w postawie przerażającéj, cały piaskiem i pianą morską okryty, z ciałem poranionem, dziewice widokiem jego przerażone uciekły. Tylko jedna Nausykaa pozostaje, bo litość nad nieszczęśliwym przezwycięża jéj wrodzoną lękliwość. Dowiedziawszy się o jego losie nieszczęśliwym daje mu szaty, pociesza go i zabiera ze sobą do miasta. Ale chcąc uniknąć złych języków, rozstaje się z nim przed bramami i każe mu dopiéro późniéj wejść do domu ojcowskiego. Odysej słucha jéj rozkazu, a dostawszy się do pałacu obejmuje kolana pary królewskiéj i błaga o litość nad nieszczęsnym cudzoziemcem. Prośba jego zostaje wysłuchaną, a król jak i cały dwór przyjmuje go jak najżyczliwiéj. Gdy nazajutrz za sprawą bogini Pallady odmłodzony i odświeżony stanął w gronie Teaków, wtedy Nausykaa wita go radośnie, przyczém zapewne przesunęła się jéj myśl już poprzednio w obec rówieśnic z całą naiwnością wyrażona:

Oby tąkim téż kiedyś mego mieniono małżonka! [1]).

Czy się jéj życzeniu zadosyć stało, nie powiada nam Homer; ale czemużby nie miało stać się zadosyć, kiedy na owéj szczęśliwéj wyspie i w ogóle w owych czasach młodzież na wyścigi ubiegała się o rękę pięknéj dziewicy, nie myśląc o jéj majątku, lecz owszem składając obfite dary za pozwolenie wejścia z nią w związek małżeński; wszak Ifidamas dał za rękę małżonki swéj sto wołów a tysiąc kóz i owiec [2]). A chociaż właśnie w owém składaniu darów możnaby upatrywać rodzaj kupna, to jednak kupno u Homera wcale kobiéty nie czyni towarem, nie czyni jéj bezwiedném narzędziem i niewolnicą męża, lecz stawia ją w kole rodzinném z nim niemal na równi. Podwalinami życia małżeńskiego u Homera są miłość i zgoda. Dzielny Achilles powiada [3]):

Każdy poczciwy żonę sercem kocha stałem,
Jak ja tę choć w niewoli będącą kochałem.

a Odysej w zgodzie małżeńskiéj upatruje najwyższe szczęście, tak bowiem przemawia do Nausykai [4]):

---

[1]) Odys. VI, 245. [2]) Il. XI, 244. [3]) Il. IX, 341.
[4]) Od. VI. 180; tłumaczenie Bronikowskiego z małemi odmianami.

„Za co niech ci bogowie dadzą cokolwiek zapragniesz, dom, małżonka i myśli zgodę szlachetną w nagrodzie; nie masz bowiem już rzeczy nad tę przedniejszéj i lepszéj, jak gdy domem kierują w błogiéj umysłów jedności mąż i żona...“

Widzimy tedy, że położenie kobiéty w czasach, które opisuje Homer, było w ogóle szczęśliwe. Ztém wszystkiém już i podówczas okazują się ślady, że kobiéta pod nie jednym względem była upośledzoną. Panem domu w pojęciu prawném jest zawsze mężczyzna; gdzie niéma męża, tam władza w domu spoczywa w ręku syna: tak się dzieje np. w Itace. Kobiéta już niéma tego, co Greczyn tak wysoko cenił: wolności mówienia. Ta sama Penelope, o któréj powyżéj mówiliśmy, słysząc z komnaty niewieściéj śpiéw wieszcza o smutnym powrocie Achajów z pod Troi, udaje się do sali, w któréj byli zgromadzeni mężczyzni i prosi go, aby zaprzestał śpiewu, który jéj serce tak dotkliwie rani. Wtedy syn jéj Telemach gromkim głosem staje w obronie śpiewaka, a matce rozkazuje wrócić do komnaty i pilnować krosien i przęślnicy, gdyż panowanie w domu do niego należy. Penelope zatrwożona nie mówiąc ani słowa staje się posłuszną rozkazowi syna [1]). W kobiécie cenią bohatérowie zazwyczaj młodość, wdzięki i biegłość w robotach ręcznych; z pomiędzy zalet duchowych jedynie tylko roztropność otrzymuje uznanie, a roztropność owa polega przeważnie na biernem zachowaniu się i wypełnianiu cudzych rozkazów. Wprawdzie powszechnie panuje jednożeństwo, ale utrzymywanie ubocznych stosunków nie okrywa hańbą nietylko bezżennego, lecz i żonatego; a mężowie w tym rodzaju, jak Laertes, który ściśle dotrzymuje wiary małżeńskiéj [2]), są rzadcy. W charakterze niektórych kobiét, zwłaszcza bogiń, okazuje się rażąca rubaszność i prostactwo. Kłótnia między Palladą a Afrodytą kończy się tém, że silniejsza bogini wojny chwyta za ręce przeciwniczkę, bije ją gniewnie, ciska jéj w oczy sajdak i strzały i dotkliwemi obrzuca ją obelgami [3]); Hera, małżonka Zeusa, jest wzorem zazdrości a środki, jakich używa, aby Trojanom wydrzéć zwycięztwo a ocalić Argiwów, są nieraz niegodne [4]). Nawet owa wierna Penelope nie wstydzi się bynajmniéj wyłudzać wszelkimi sposoby podarunki od zalotników. Rysy jednak mniéj korzystne kobiét są w ogóle rzadkie, tak, że wrażenie wyniesione z czasów opisywanych przez Homera przedstawia nam kobiétę jako istotę szczęśliwą, cnotliwą i powszechnie szanowaną.

Z pomiędzy późniejszych pisarzów kreślą nam dokładniéj przedhistoryczną kobiétę tragicy, którzy treść do swych utworów poetyckich biorą wyłącznie z czasów mitycznych. Ta jednak między nimi a Homerem zachodzi różnica, że kiedy ów stary wieszcz wiernie i plastycz-

---

[1]) Odys. I, 325 i nast. [2]) Od. I, 430 i nast.
[3]) Il. XXI, 400 i nast. [4]) Il. XIV, 153 i nast.

nie podaje obrazy życia zdjęte z natury i z rzeczywistości, tragedya atycka unosząc się w krainach fantazyi poetyckiéj, podaje raczéj sposobność do utworzenia sobie ideału kobiéty tak w cnocie jak w zbrodni, niż typy prawdziwe, ściśle na tradycyi polegające. Ale i pomiędzy trzema przedstawicielami tragedyi: Ajschylosem, Sofoklesem i Eurypidesem, uważny czytelnik dostrzeże w pojmowaniu greckiéj kobiéty znaczną różnicę: dwaj pierwsi stojąc na wyżynie przenoszą się myślą w odległe czasy, wyszukują tam rozrzucone pierwiastki piękna i roztaczają je w całéj ich wspaniałości przed oczyma współczesnych; sztuka i ideał piękna są ich jedyném zadaniem. Eurypides, poeta filozof, zerwał już nietylko z naiwnością eposu, lecz także z przedmiotowością swych wielkich poprzedników w tragedyi: w osoby bohatérów tragicznych przelał swe własne myśli i zapatrywania filozoficzne; pod postaciami mitologicznemi skreślił walki i dążności swego czasu; w charakterach przedhistorycznych podał wierne obrazy ludzi współczesnych z ich wadami i przymiotami.

Jeżeli to pojmowanie rzeczy jest prawdziwe, wypływa z niego, że żaden z tragików nie może być źródłem, z któregoby można bezpośrednio utworzyć obraz stanu kobiéty przedhistorycznéj: dwaj pierwsi tragicy mogą jedynie okazać, jak sobie Greczyn wyobrażał ideał kobiéty w poezyi; Eurypides może być tylko świadectwem nieco jednostronném zapatrywania współczesnych na stanowisko Greczynki w czasach świetności Aten. Z tych zatém powodów o Eurypidesie możemy mówić dopiéro poniżéj, a tutaj podamy tylko kilka wybitniejszych typów z tragedyi Ajschylosa i Sofoklesa.

Kobiéce charaktery kreśli Ajschylos wielkie i potężne. Oprócz kilku mniéj wybitnych postaci góruje nad wszystkiemi straszny charater Klitajmnestry. Jestto wielka heroiczna zbrodniarka. W dniu powrotu ze zwycięzkiéj wyprawy, zabija swego małżonka Agamemnona; pobudkami do tego czynu są: zemsta za ofiarowanie bogom córki jéj Ifigenii, zazdrość wzniecona przez Kasandrę, trwoga pochodząca z jéj niecnego związku z Ajgistem i chęć panowania. Tak w pomyśle, jak i w przeprowadzeniu czynu okazuje stałość i pewność; wszelkie ślady są w niéj zniszczone; po dokonaniu czynu przyznaje się do niego śmiało i spokojnie, nie tając niczego; ale w zbrodni pozostaje przynajmniéj człowiekiem: nie tryumfuje i nie urąga się ze zabitego małżonka, jak podły a tchórzliwy Ajgistos [1]). Za zbrodnie dosięga ją niebawem kara wymierzona przez jéj własnego syna Orestesa. I tutaj przedstawił poeta jéj wielkość straszliwą dosadnymi rysami: najsilniejszym wstępem tragedyi są przejmujące zaklęcia matki klęczącéj przed synem szalonym, dobywającym miecza, aby pomścić śmierć ojcowską [2]). Ale skoro czyn został dokonany, okazują się zaraz Eumenidy, boginie kary i pomsty, aby spełnić na nim karę zasłużoną.

---

[1]) W tragedyi Agamemnon. [2]) W tragedyi Choefory.

Z pozostałych siedmiu tragedyi Sofeklesa, w sześciu pokazują się kobiéty. Wprawdzie w żadnéj tragedyi intryga miłosna nie jest główną sprężyną akcyi, jak to się dzieje zazwyczaj w tragedyi nowoczesnéj; ale mimo to przyznać należy, że żaden poeta grecki nie przedstawił nam tak wszechstronnie i tak doskonale charakterów kobiécych, jak Sofokles. Dejanira jest wierną, rozsądną, przywiązaną i potulną żoną; Elektra łączy dziewiczą wrażliwość i czułość z namiętną nienawiścią ku swoim gnębicielom i z chęcią nieubłaganéj zemsty za śmierć niewinnie zamordowanego ojca. Najwyższy urok kobiécéj niewinności i słodyczy wlał poeta w nadobną postać Ismeny, przeciwstawiając ją Antygonie. Ta ostatnia jest bohatérką, która ceniąc wyżéj prawa boskie nad ludzkie ustawy, wbrew zakazowi Kreonta, grzebie zwłoki zabitego brata i chętnie ponosi śmierć bohatérską; ale jest ona kobiétą, w któréj sercu płonie gorące uczucie miłości ku młodemu Hemonowi, kobiétą, która ma prawo do szczęścia w życiu: to téż gdy ją wiodą do odludnéj groty, w któréj ma uledz śmierci głodowéj, tkliwe i czułe rozwodzi żale. Ismena jest nie zdolna stanąć na wyżynie, do któréj pragnie wynieść ją siostra; boleje ona tylko w cichości swéj duszy i znosi cierpliwie srogie jarzmo sieroctwa. Charaktery kobiét występnych lub lekkomyślnych, nakreślił poeta wyraziście w Jokaście i Klitajmnestrze. Przykłady przytoczone udowadniają dostatecznie, iż wielki poeta starał się wszechstronnie nakreślić i plastycznie uwydatnić owe rozliczne odcienie charakterów i uczuć, któremi tak hojnie od przyrody obdarzona jest kobiéta.

Od czasów nakreślonych przez Homera i tragików aż do chwili, w któréj lud grecki po raz piérwszy jako ważny czynnik występuje na widownię dziejów, okazuje się ogromny postęp w rozwoju Greczyna. Z noszonego dziecka stał się silnym młodzianem; urządzenia patryarchalne zastąpił formą ścisłych ustaw, przyszedł do poczucia swéj godności i siły, nabył wiadomości o jedności szczepowéj wszystkich Hellenów i o swéj wyższości nad barbarzyńcami; utworzył sobie instytucye liberalne: stał się obywatelem w zupełném słowa tego znaczeniu. A czyż i Greczynka w téj saméj mierze rozwijała się? Czyż potrafiła podążać za ogólnym prądem wolności i swobody, wiejącym tak ożywczo z dziejów Hellady? Chcąc na to odpowiedzieć niepodobna pominąć jednéj okoliczności. Jaka w dziejach greckich ukazuje się wszędzie wybitna różnica między szczepem doryckim i jońskim, między Spartą i Atenami; tak téż i w historyi Greczynki zachować należy bacznie ów przedział, gdyż inaczéj zamiast podać obraz jasny i wyrazisty, musielibyśmy ciągle albo obracać się w ogólnikach, albo przytaczać wyjątki z podanych zasad. Zaczynamy tedy swój opis od Spartanki.

W Sparcie dla obywatela było państwo najwyższym, rzec można jedynym celem, któremu jednostka bezwzględnie poddawać się musiała [1]). Wszechwładztwo państwa sięgające w głąb rodziny nie mogło

[1]) Zobacz: Schoemann, Grüch. Altertümer I, 270 i następne.

pominąć tak ważnego czynnika, jakim jest niezawodnie kobiéta w społeczeństwie. Ztąd pochodzi, że wychowaniem jéj zajmowano się równie bacznie, jak wychowaniem chłopców. Brak bliższych pod tym względem dat nie dozwala badaczowi wchodzić w szczegóły; prawdopodobnym jednak jest domysł, iż i dziewczęta na wzór chłopców, celem pobierania nauki w gimnastyce i muzyce podzielone były na oddziały według wieku i sił cielesnych i pozostawały pod dozorem i opieką umyślnie w tym celu ustanowionych urzędników; ćwiczono je w bieganiu, skakaniu, pasowaniu, rzucaniu kręgu (dyska) i oszczepu, uczono je niektórych tańców i śpiewu, zapewne dlatego, że podczas pewnych uroczystości musiały występować jako tancerki i brać udział w śpiewach chóralnych na cześć bogów. Miejsce ćwiczeń było oddzielne dla chłopców i dla dziewcząt, a wstęp do niego nie był każdemu dozwolony; ale oprócz tego odbywały się publiczne zapasy i zabawy, w których młodzieńcy przypatrywali się popisom dziewcząt i naodwrót, przyczém jak piszą, pochwała lub nagana pochodząca od jednych była silnym bodźcem do ubiegania się o pierwszeństwo dla drugich. Inni Grecy u których kobiéty, a szczególnie dziewice, żyły w ukryciu mając bardzo mało styczności ze światem, gorszyli się ową swobodą, jakiéj używała dziewica spartańska. I rzeczywiście nie da się zaprzeczyć, że śmiała, pewna siebie, a niekiedy nawet zuchwała dziewica spartańska porównana z lękliwą i nieśmiałą Atenką, musiała się wydawać jakąś istotą nie kobiecą, niepojętą, która już samém ubraniem składającém się zwykle tylko z dosyć krótkiego „chitonu," zdawała się wypowiadać wojnę wszystkiemu, co podług zwykłych zapatrywań uchodziło za przyzwoitość i skromność. Ztąd pochodzi że i filozof Arystoteles niekorzystnie wyraża się o Spartankach i zarzuca Likurgowi, jakoby nie umiał poskromić kobiét. Ztém wszystkiém w czasach prawdziwéj wielkości Sparty panowała wielka czystość obyczajów obok prostoty i naturalności w obejściu; owo zaś wychowanie na świeżém powietrzu, owo zaprawianie do znoszenia trudów i zapasów fizycznych, nietylko zupełnie odpowiadało zamiarom Likurga, który chciał Spartankę zahartować i spotęgować jéj siły fizyczne, lecz także przyczyniło się do tego, że podług zgodnych świadectw starożytności, kobiéty spartańskie odznaczały się niezwykłą pięknością.

Wejście w związek małżeński było obowiązkiem każdego Spartanina, przedewszystkiém zaś takiego który posiadał własny dział roli. Kto się usuwał od wypełnienia tego obowiązku, utracał pewne prawa: nie mógł np. uczestniczyć w niektórych uroczystościach, a nadto raz do roku w dniu zimowym oprowadzano go na rozkaz eforów, odzianego tylko w lekki chiton po rynkach, przyczém musiał sam na siebie śpiewać pewne pieśni szydercze, w których przyznawał, że słusznie dotyka go kara jako nie posłusznego prawom. A nadto nie doznawał tych oznak uszanowania, które zwykle starszym od młodszych dostawały się w udziale. Również karano tego, który żenił się późno albo zawierał niestosowny związek, albowiem tylko między obywatelami i obywa-

telkami mogły być zawierane właściwe małżeństwa. Wybór żony zależał od młodzieńca i od zezwolenia rodziców lub opiekunów: dziewicy nie pytano się o zdanie. Posagi były pierwotnie zakazane. Ceremonie ślubne nie są nam bliżéj znane; podają jedynie, iż akt ów miał pozór porwania gwałtownego dziewicy: otrzymawszy zezwolenie od starszych wpadał młodzieniec do domu, porywał narzeczoną z pośród grona towarzyszek, prowadził ją do domu jednéj z krewnych, która ją przyjmowała, włosy jéj długie strzygła, wdziewała suknię męzką i oddawała w ręce przyszłego małżonka.

Jak już powyżéj wspomnieliśmy, zapatrywano się w Sparcie na małżeństwo jedynie ze stanowiska państwowego i politycznego, uważając je za środek do utrzymania rodzin i pełnéj liczby obywateli. Zapatrywanie takie było wprawdzie wspólne wszystkim ustawodawstwom greckim, nigdzie jednak nie było tak ściśle i konsekwentnie przeprowadzane jak w Sparcie. Dlatego téż np. bezdzietne małżeństwo nietylko rozrywano, lecz rozwód był nawet nakazany. A gdy król Anaxandrydas nie chciał rozłączyć się ze swą bezdzietną małżonką, do któréj się przywiązał, zniewolono go przybrać drugą małżonkę. Ale taka bigamia była tylko wyjątkiem w rodzie królewskim; zwykły obywatel mógł mieć tylko jednę żonę. Kobiéta w małżeństwie była nizko ceniona: dowodzi tego ów zwyczaj, że kilku braci niezamożnych miewało niekiedy jedną wspólną żonę i że nieraz mąż odstępował na pewien czas lub na zawsze żonę swą drugiemu, nawet nie obywatelowi, byle tylko cel małżeństwa został osiągnięty. Wobec tak giętkiego pojmowania wzajemnego stosunku małżonków nie możemy z pochwałami wielkiemi unosić się nad zdaniami niektórych historyków, przedstawiających Spartę jako wzór cnotliwości kobiét i wierności małżeńskiéj.

Ale pomijając to zbyt płaskie pojmowanie małżeństwa, które zresztą całą starożytność cechuje, nie możemy zaprzeczyć, iż Spartanka doznawała wyższego poszanowania, niż inne Greczynki. Wychowaniem zbliżona do mężczyzny, przyzwyczajała się od piérwszych lat życia uważać się za obywatelkę, brać czynny udział we wszystkich sprawach państwa, czuć dolę i niedolę ojczyzny. Liczne przykłady dowodzą, że co do odwagi i męztwa, co do miłości ziemi ojczystéj, co do poświęcenia i poddania własnéj osoby pod dobro pospolite, kobiéty nie ustępowały mężczyznom. W skutek tego wyrobiły sobie z czasem ogólną cześć i poszanowanie; pochwała jéj lub nagana miała wielkie znaczenie; głosu jéj słuchano nawet w takich sprawach, które gzieindziéj były zupełnie usunięte z pod zakresu kobiéty: słowem wpływ jéj na mężczyznę z czasem stał się tak potężnym, że inni Grecy, rządy spartańskie nazywali przez szyderstwo, panowaniem kobiecém. Nie wypływa jednak z tego bynajmniéj, jakoby Spartanka zaniedbywała dom i rodzinę; owszem wstępując w związek małżeński kobiéta traciła po większéj części ową swobodę, jakiéj zażywała dziewica; zewnętrznym symbolem zmiany zaszłéj był ów powszechny zwy-

czaj, że dziewica pokazywała się publicznie bez zasłony, gdy tymczasem zamężne niewiasty wychodziły z domu z twarzą zasłoniętą. Zapytany o powód owéj różnicy pewien Spartanin odpowiedział: dziewczyna musi dopiéro szukać sobie męża, kobiéta ma tylko zadanie utrzymać swojego. Spartanka wprawdzie nie zajmuje się sama tkaniem i przędzeniem pozostawiając te zajęcia niewolnicom, lecz dogląda całego gospodarstwa i zawiaduje domem. Gdy pojmaną Spartankę zapytano, co umié, odpowiedziała: dobrze zarządzać domem, a inna na to samo pytanie dała odpowiedź: być wierną i rzetelną. Z tego samego zapewne powodu przestawała zamężna niewiasta oddawać się ćwiczeniom muzycznym i gimnastycznym. Z życia domowego nie wiele szczegółów możnaby przytoczyć; myliłby się jednak bardzo, ktoby sądził, jakoby dom i rodzina dla Spartanina była całym światem lub przynajmniéj najważniejszą jego częścią, pod któréj wpływem mógłby był zapomnieć o życiu publicznem i o obowiązkach włożonych nań przez państwo: owszem państwo i posługi publiczne są dlań rzeczą piérwszą, najważniejszą; dom jest rzeczą drugorzędną, mającą tylko wartość o tyle, o ile przyczynia się do celów wytkniętych przez państwo. Serdecznego stosunku między małżonkami zazwyczaj nie było; wszak o Spartaninie Pausaniasie piszą jako coś niezwykłego, że kochał swą żonę [1]).

Jeżeli z braku potrzebnych dat nie potrafiliśmy podać dokładnego obrazu życia niewiasty spartańskiéj, to za to jesteśmy w daleko korzystniejszém położeniu co do stanowiska kobiety w Atenach, gdyż liczne świadectwa starożytnych dozwalają nam niemal w zupełności odtworzyć jéj życie i położenie społeczne. Otóż, jeżeli mamy wierzyć pisarzom współczesnym, kobieta w Atenach jest istotą podrzędną, zaniedbaną co do rozwoju sił umysłowych, niezdolną do brania udziału w życiu publicznem, nie mającą wyższych, samodzielnych celów, a służącą tylko do uprzyjemnienia życia mężczyźnie, który sądzi miéć poniekąd prawo ją lekceważyć. Ale posłuchajmy ich samych. Eurypides, który jakto powyżéj wykazaliśmy, w usta bohatérów przedhistorycznych wkłada częstokroć swe własne poglądy i zapatrywania, tak w jedném miejscu powiada [2]):

O Zeusie! kiedy ludzkie stwarzać miałeś plemię,
Bez potrzeby kobietę zesłałeś na ziemię;
Wszak za złoto i srebro od ciebie kupować
Mogli potomstwo ludzie, a dom ich zachować
Należało od klęski, kobietą nazwanéj!

Na inném miejscu pisze [3]): „jeden mąż jest cenniejszy, niźli kobiet krocie," a na inném: „Najdziksze zło kobieta" i t. d.

[1]) Ael. V. H. XII, 34.
[2]) Hippol. 615. [3]) Iph. Aul. 1373.

Poeta Menandros tak przemawia do młodzieńca mającego wejść w związki małżeńskie [1]):

Złą jest zawsze niewiasta, ale wielbię tego,
Komu przynajmniéj mało dostało się złego.

Świadectwom tego rodzaju możnaby wprawdzie słusznie zarzucić, że nie są one wyrazem panujących wśród ludu przekonań, gdyż pochodzą albo od poetów goniących za przesadą, aby za jéj pomocą wywołać efekt komiczny, albo od Eurypidesa, który jest nieprzyjacielem całéj płci niewieściéj, czyto z pobudek osobistych, o których jego biografowie wspominają, czyto dlatego, że w jego czasach kobieta grecka już nizko upadła pod względem moralnym. Ależ w podobny sposób przemawiają także mężowie poważni, wolnomyślni, wysoko ponad wiek umysłem wzniesieni. Pomijamy już to, że Platon w dziele o Rzeczypospolitéj, radzi zaprowadzić wspólność żon, gdyż taka instytucya wydawać mu się mogła potrzebną do urzeczywistnienia celów jego idealnego państwa; ale w inném miejscu powiada, że kobieta jest chytrzejszą i podstępniejszą od mężczyzny [2]); a cała jéj zasługa polega na tém, aby domem dobrze rządziła i męża słuchała [3]). Arystoteles nie podziela wprawdzie zdania barbarzyńców, którzy uważali kobietę za niewolnicę, ale mimo to twierdzi, że mężczyzna jest z natury wyższym od kobiety, że przeznaczony jest do panowania, a kobieta do słuchania [4]). I rzeczywiście takie zdania były ogólne: wyższéj godności, wyższéj cnoty w kobiecie nie uznawano. Słowa, które wypowiedział Sofokles [5]):

Milcz! kobiecie milczéć przystoi.

są niezawodnie przekonaniem ogółu.

Wychowanie i wykształcenie młodéj Atenki odpowiadało zupełnie temu poniżeniu. Kiedy każdy wolno urodzony Ateńczyk uważał za swój najpierwszy obowiązek dbać o wychowanie syna; kiedy chłopiec od lat dziecięcych aż do roku ośmnastego przebywać musiał cały szereg nauk, kończących się wykształceniem retoryczném i filozoficzném: dla dziewcząt nie było w Atenach żadnych szkół, żadnych nauczycieli i nauczycielek prywatnych. Całe wychowanie złożono w ręce matki i piastunki, które same niewykształcone i przesądne, nie mogły należycie oświecić umysłu wychowanek. Młode dziewczę uczono zwyczajnie tylko robót ręcznych, przędzenia, szycia, tkania. W domach

---

[1]) Z tragedyi Fenix; ustępy dotyczące zebrał Wieczór w rozprawie: Eurypides, nieprzyjaciel kobiet. Bibl. Warsz. rok 1867, T. IV.
[2]) Stob. 72, 2. [3]) Leg. VI p. 781. [4]) Men. p. 71.
[5]) Rep. 5 p. 1254 6.

zamożniejszych uczyły się czytać i pisać, a nadto przy nadarzonéj sposobności udzielano im najważniejszych pojęć o bogach, obowiązkach religijnych i o ogólnych prawidłach moralności i przyzwoitości; ale całe nauczanie odbywało się bez planu i systemu, skutkiem czego kobieta zamiast prawdziwéj religijności, napełniała umysł swój mnóstwem przesądów, guseł i zabobonów, z których nieraz szydzą starożytni pisarze [1]). Prawdopodobnie uczono kobiety także nieco muzyki i tańca, ale celem téj nauki nie była harmonia i wykształcenie estetyczne, jak u mężczyzn, lecz tylko względy praktyczne, aby kobieta mogła miéć udział w niektórych obrzędach i uroczystościach religijnych. Głównie jednak i przeważnie zwracano baczność na przyszłe przeznaczenie kobiety jako matki i gospodyni.

Oprócz właściwéj, że się tak wyrażę, nauki szkolnéj, ważną rolę w wychowaniu odgrywa całe otoczenie młodéj osoby: wszak wiadomo, że przestawanie ciągłe z ludźmi wykształconemi może poniekąd zastąpić nauczanie systematyczne. Ale i pod tym względem znajdowała się Atenka w nader niekorzystném położeniu. Styczności ze światem miała bardzo mało dziewica; ojciec zaś i najbliżsi krewni nie myśleli wcale o jéj wykształceniu umysłowém, lecz podzielali przesądy społeczne, których wyrazem jest Herodot, że kobieta powinna być oddzieloną od mężczyzn [2]). Ateńczyk miał w ogólności mało usposobienia do życia rodzinnego: sprawy publiczne, zgromadzenia ludowe, sądy przysięgłych, a nadto liczniejsze męzkie zebrania podczas biesiad, w łaźniach, gimnazyach, golarniach, czyniły go w domu gościem. Ztąd pochodzi, że w owym tak potężnym i ogólnym ruchu społecznym i naukowym, któremu żaden mężczyzna oprzeć się nie mógł, kobiety greckie niemal żadnego nie brały udziału; w ten sposób da się wytłumaczyć dziwne napozór zjawisko, że w Atenach, które wydały tylu sławnych mężów na polu nauki i sztuki, historya nie przytacza nam ani jednéj sławnéj kobiety, coby się pokusiła puścić z rodzajem męzkim w zapasy duchowe. Nawet w całéj literaturze greckiéj okazuje się pomimo jéj niezrównanych zalet i niespożytéj wartości, pewna jednostronność, pewna wyłączność męzka, mająca w tém swe źródło, że kobieta niewykształcona nie zdołała wlać w nią swego ducha. Mężczyźni jednak, jak się zdaje, nie gniewali się o to, że kobiety ich są pogrążone w ciemnocie i nieświadomości: żądali od nich jedynie posłuszeństwa i skromności. Eurypides jasno to wypowiada [3]).

O! ja gardzę mądrą żoną,
Zdala już od takiéj stronię:
Co po wiedzę jéj wzbronioną
Dumnie wznosi swoje dłonie.

---

[1]) Plat. Gorg. 512; Cic. Tusc. III, 29.
[2]) Herod. V, 18. [3]) Eur. Hipp. 635

Pokoje kobiét zupełnie oddzielone od męzkich, tak zwane „ginajkonitis," nie były wprawdzie ciągle zamkniętym haremem, ale nieżawodnie były owym ciasnym obrębem, w którym kobieta największą część życia przepędziła. Dlatego to Platon nazywa kobietę rodem przeznaczonym żyć w ukryciu i zaciszu [1]). Szczególnie dziewicę strzeżono nader czujnie aż do chwili wejścia w związek małżeński, idąc za radą poety mówiącego, aby dziewicę trzymać w dobrze pilnowanych komnatach i nie dać widzieć jéj stojącéj przed domem [2]). Ze swego samotnego przybytku rzadko wychodziła ateńska dziewica i to tylko w gronie poważniejszych matron i licznych służebnic pilnujących jéj każdego kroku. Szanując ów powszechny zwyczaj narodowy, poeci w żadnéj komedyi nie wprowadzają do akcyi wolno urodzonéj dziewicy, a za ich przykładem poszli także komicy rzymscy, Plautus i Terency, którzy jak wiadomo, są wiernymi naśladowcami greckich poprzedników. W tragedyi okazują się wprawdzie wolne dziewice, ale treść dramatu greckiego sięga czasów mitycznych, w których swoboda kobiety nie była jeszcze tak skrępowana.

Takie prowadzenie musiało wyrobić w dziewicy zupełny brak doświadczenia, lękliwość i naiwność, które dawały wprawdzie nieraz powód do scen zabawnych a dowcipnisiom nastręczać mogły sposobność do różnych uwag; ale z drugiéj strony stroiły ją w urok i wdzięk niepospolity, zwłaszcza w porównaniu ze śmiałością i pewnością siebie dziewic spartańskich a tembardziéj z zuchwałością i rozpasaniem kobiét u postronnych narodów, o których nam tak odstraszające przykłady greccy przytaczają pisarze [3]). Skromność i cnotliwość dziewic ateńskich w czasach potęgi państwa z chlubą uznają współcześni i potomni.

Poszedłszy za mąż stawała się kobieta nieco swobodniejszą; ale i wtedy pokoje niewieście były jéj zwykłém miejscem pobytu. Tutaj przepędzała czas w towarzystwie dzieci i niewolnic, rzadko opuszczając progi swego domu. O tak ulubionych u nas przechadzkach wcale nie wspominają greccy pisarze; czy kobiety uczciwe znajdować się mogły na widowiskach teatralnych, także z pewnością twierdzić nie można na podstawie świadectw historycznych, jakkolwiek zazwyczaj utrzymują uczeni, że na przedstawieniu tragedyi mogły być obecnemi kobiety a tylko przypatrywanie się komedyom nie było im dozwolone. Podróże odbywała kobieta nader rzadko, a jeżeli do tego zniewalała potrzeba, to regulamin podróży był nader ścisły; już Solon [4]) miał dokładnie określić liczbę sukien, przyborów, wartość napojów i pokarmów, które mogła mieć kobieta w podróży; podróż przed wschodem słońca i po zachodzie uważano za nieprzyzwoitą, a jeżeli do tego zmuszała ko-

---

[1]) Plat. Ley. VI, p. 781. [2]) Phocyl. 203.
[3]) Herod. I, 93 Strab. XI, 13, 16. [4]) Plut. Sol. 21.

nieczność, powinna była jechać na wozie, przed którym niesiono pochodnię. W dni zwykłe wychodziły niewiasty jeno na rynek po zakupienie żywności; w domach zamożniejszych atoli załatwiał to osobny niewolnik lub niewolnica, gdyż czynność taka była uważana za uchybienie dla kobiét znakomitych rodów. Wychodząc, brano dla towarzystwa jednę lub dwie niewolnice, co miano za tak potrzebne i nakazane przyzwoitością, że pewien skąpiec bogaty, który dla oszczędności nie trzymał własnych niewolników, wynajmował je dla żony od sąsiadów na czas jéj wychodzenia z domu [1]). W miarę wzmagającego się zbytku, mnożyła się także liczba orszaku niewolnic i eunuchów. Już za czasów Aleksandra Wielkiego wspominają jako coś niezwykłego o żonie Fokiona, że towarzyszyła jej zwyczajnie tylko jedna służebna [2]).

W dni świąteczne mogły także i kobiety brać udział w uroczystych obrzędach i procesyach odprawianych bądźto po mieście do świątyń niektórych bóstw, bądźto do odleglejszych miejscowości Atyki, jak np. do Eleuzys. Oprócz uroczystości, w których obie płci zarówno uczestniczyły, odbywały się znowu inne, na których jedynie niewiasty znajdować się mogły. Niektóre z tych uroczystości jak np. Panateneje, Tesmoforye i t. d., były nadzwyczaj licznie uczęszczane; inne znowu połączone z tajnemi obrzędami trwały nieraz późno w noc, naprzykład „Pannychidy.“ Wprawdzie i wówczas niewiasty występowały w gronie niewolnic lub córek osadników, mających obowiązek nieść dziewicom ateńskim parasolki i były troskliwie strzeżone; z tém wszystkiém jużto liczny tłum uczestników, jużto sam charakter uroczystości nastrajającéj wesoło umysły, jużto nareszcie pora spóźniona dawały niekiedy sposobność do swobodniejszego zachowania się a nawet do nadużyć, czasem zbyt daleko posuniętych. Aby zatem zapobiedz wybrykom tego rodzaju, którym kobiety tém łatwiéj ulegały, im rzadziéj wolno im było opuścić samotny przybytek, i aby uroczystościom zachować ich poważną cechę, przeznaczeni byli już od Solona do tego osobni urzędnicy, tak zwani „ginajkonomowie,“ których zadaniem było czuwać nad kobietami podczas ich publicznego pojawiania się. A że rzeczywiście była niekiedy tego potrzeba, i że kobiety uniesione szałem, gniewem lub namiętnością, właściwą w tak wysokim stopniu Ateńczykom, zdolne były do chwilowego zaburzenia pokoju i przekroczenia praw istniejących, świadczą dwa przykłady przytoczone przez Herodota: gdy z nieszczęśliwéj wyprawy przeciw Eginie tylko jeden Ateńczyk ocalał i z tą okropną wieścią do Aten przybył, żony poległych oburzone na niego otoczyły go kołem i zakłuły na śmierć sprzączkami sukni, przyczém jedna po drugiéj go pytała, gdzieby był jéj małżonek [3]). A na wyspie Salaminie gdy się dowiedziały niewiasty o ukamienowaniu zdrajcy Likidasa w Atenach, unie-

[1]) Theophr. Char. 22. [2]) Plut. Phoc. 19. [3]) Her. V, 87.

sione szlachetnym gniewem zamordowały niewinną jego żonę i dzieci [1]). Podobnie pomysł Arystofanesa opisującego w sposób komiczny bunty i spiski niewieście byłby zupełnie chybiony, gdyby w rzeczywistości wypadki podobne nie były przynajmniéj możliwe. Sceny jednak takie uważać należy tylko za nieliczne wyjątki, w ogóle zaś panowało przekonanie, że czém dla mężczyzny jest własna ojczyzna, tém dla dziewicy jest dom rodzicielski, dla kobiety dom mężowski; że zatem wnętrze domu jest najstosowniejszém dla niewiasty miejscem przebywania i działania. Powszechnie zatem przyjętém było zdanie pitagorejskiéj filozofki Fintys: właściwém jest mężczyznie prowadzić wojnę, zajmować się sprawami publicznemi, bywać na zgromadzeniach ludowych; kobiecie przystoi strzedz domu, pozostawać w jego wnętrzu, oczekiwać męża, a gdy jest obecny, usługiwać mu [2]). To samo głosi komik Menandros: granicą dla wolno urodzonéj kobiety mają być drzwi mężowskiego domu [3]). Nawet stanie przed domem uchodziło za nieprzyzwoitość. Dlatego w chwilach przestrachu i ogólnéj trwogi, gdy wszyscy wybiegają z domu na ulicę, kobiety rozciekawione stoją tylko we drzwiach. Gdy do Aten doszła wieść okropna o klęsce pod Cheroneją, która wydała Grecyą w ręce Filipa, wtedy podług świadectwa mówcy Likurga [4]) można było widzieć kobiety we drzwiach stojące, pełne trwogi, pytające się o życie mężów, braci, ojców. Podług naszych zapatrywań było to całkiem naturalne; mówca grecki wyraźnie dodaje, że to nie zgadzało się z ich godnością. Rozumie się samo przez się, że podeszłe kobiety wolne były od owych ograniczeń osobistéj wolności, dlatego mówi Hiperydes, że kobieta wychodząca z domu powinna być w takim wieku, aby przechodnie nie o to się pytali, czyją jest żoną, lecz czyją matką [5]). Młodszych kobiet doglądali nieraz sami mężowie, ażeby bez ich zezwolenia nigdzie z domu nie wychodziły. To téż żalą się kobiety u Arystofanesa [6]):

Jeżeli złe jesteśmy, czemu śluby zawieracie?
Dlaczego nam wybiegać, wyglądać nie dacie?
Czemu nas, tego złego, strzeżecie tak chciwie?
Gdy która za dom wyjrzy, szalejecie w gniéwie?

Polegając na takich świadectwach posunęli się niektórzy uczeni aż do twierdzenia, jakoby wiele żon mężowie trzymali pod kluczem w zamknięciu, a dla tém większego bezpieczeństwa drzwi komnat niewieścich pieczętowali swoim sygnetem.

Wprawdzie znajdujemy u komików tu i owdzie podobne wzmianki, dozwalające domyślać się, że nie jeden mąż podejrzliwy używał na-

[1]) Her. IX, 4, 5; [2]) Stob. Serm. 74, 61; [3]) Serm. 75, 11.
[4]) Lyc. in Leocr. § 40; [5]) Stob. 74, 33; [6]) Arist. Thesm. 790.

wet owych środków przymusowych, aby się zapewnić o wierności żony, ale tego postępowania nie można uważać za zwyczaj narodowy, powszechnie przyjęty, lecz jedynie za rodzaj tyranii mocniejszego nad słabszym.

Rzadkie również były odwiedziny jednych kobiét u drugich, ale niepodobna przypuścić, aby wcale nie były w zwyczaju; owszem mamy liczne dowody, że na biesiadach i uroczystościach urządzanych przez kobiéty bez udziału mężczyzn znajdowały się także zaproszone niewiasty. Ale w ogólności zachowywano pewną przezorność w puszczaniu obcych kobiét do domu. Naumachos np. powiada [1]):

Przenigdy nie daj wstąpić w progi złéj kobiécie,
Już wielu mężów srodze żałowało tego;
Ni plotkarki nie wpuszczaj, bo ona ci skrycie
Złoży w serce małżonki zarody do złego.

Eurypides posuwa się daléj w swéj zapamiętałości i radzi mężom aby w ogóle żadnych obcych kobiét do domu nie wpuszczali [2]).

Równie upośledzoną była kobiéta wobec państwa i prawa, które nie przyznawały jéj żadnéj samodzielności i uważały ją przez całe życie za małoletnią, pozostającą pod ciągłą opieką, która trwała nietylko podczas dziewictwa, lecz także po wyjściu za mąż. Nawet wdowa wracała pod opiekę ojca lub innego z bliższych krewnych, a gdy syn dorosł i otrzymał pełnoletność, matka przechodziła zaraz pod jego władzę. Prawo ateńskie wzbraniało kobiétom zawierania jakiéjkolwiek czynności kupna, sprzedaży, pożyczki przewyższającéj wartość jednéj miary jęczmienia bez pozwolenia opiekuna [3]). Inne prawo unieważniało wszystkie czynności prawne męża przedsięwzięte za namową żony [4]), Eurypides powiada, że kobiéta rozsądna czyni wszystko tylko za pośrednictwem męża [5]). Platon uznając krzywdę płci całéj wyrządzoną, radby pod tym względem uczynić pewne ustępstwa, chce zatém, aby kobiécie wolno było świadczyć i bronić się saméj przed sądem po skończeniu 40 lat; wytaczać procesy dozwala jéj tylko wtedy, gdy niema męża: za jego życia nie daje jéj na to zezwolenia [6]). Rzekome ustępstwa świadczą. jak ścieśnioną była na każdym kroku niewiasta, a jednak i one pozostały w krainie marzeń.

Z kolei przechodzimy do skreślenia pożycia małżeńskiego. Przedewszystkiém należy uwydatnić, że gdyby kto chciał małżeństwo u Greków a w szczególności u Ateńczyków pojmować idealnie i podsuwać mu to znaczenie, jakie mu nadała religia chrześcijańska, wynosząc je do godności sakramentu, toby się rozminął zupełnie z histo-

---

[1]) Stob. 74, 7; [2]) Eur. Andr. 925. [3]) Schol. Arist. Eccl. 1025. [4]) Demost. in Olym. 36. [5]) Eur. Suppl. 40. [6]) Plat. Leg. XI, 937.

ryczną prawdą. W czasach starożytnych nigdzie nie pojawia się wyższe, jedynie idealne pojmowanie małżeństwa; u Greczyna było ono już dlatego niepodobném, że według niego człowiek tworzył całość nierozłączną, dla któréj nie istniała nigdzie abstrakcya bez materyi, idealizm bez realizmu; powtóre, harmonia w całém jego jestestwie panująca nie dozwalała sercu wziąć przewagi nad rozumem a tém mniéj duszy nad cielesnością. Owszem oprócz niewielu głębokich myślicieli, którzy wzniósłszy się po nad poziom czasu, starali się wynieść człowieka w wyższe krainy ducha i tam wytknąć mu właściwe przeznaczenie, ogół grecki uważał życie ziemskie i cielesność za cel najważniejszy i najpiérwszy, poza którym, jakoby w mglistéj oddali ukazywał mu się świat drugi, duchowy, w którym atoli cielesność i zmysłowość, aczkolwiek pod szlachetniejszą nieco postacią, miała także pewne prawa niezaprzeczone. Łatwo przeto pojąć, że zwykłemu Greczynowi małżeństwo nie przedstawiało się w tych barwach uroczych, w jakie nowoczesna poezya zwykła je przyodziewać. Żenił się, bo tak wymagały prawa ludzkie i boskie: prawa ludzkie wkładały na każdego obowiązek pozostawiania po sobie potomków dzielnych i zdolnych utrzymać państwo w potędze i sławie; prawa boskie domagały się od obywatela przekazania czci bogom oddawanéj na następców aż w najdalsze pokolenia. Przyczyniały się do tego jeszcze dwa inne względy: najpiérw łatwiéj było człowiekowi żonatemu powierzyć całe domostwo i gospodarstwo w ręce żony a samemu zająć się wyłącznie lub przeważnie sprawami publicznemi; powtóre, panowała powszechna wiara, że ofiary i daniny składane przez potomków na grobie przodków wywierają wpływ dobroczynny na stan pozagrobowy cieniów umarłych: ta wiara była tak silna, że ludzie bezdzietni przysposabiali sobie innych za dzieci, byle tylko przepisanym ofiarom zadość się stało. Z tych tedy powodów nie należy szukać pobudek do małżeństwa jedynie we wzniosłém, gorącém uczuciu, które mimowolnie dwie pokrewne dusze kojarzy. Owszem przykłady silniejszéj miłości przed ślubem są tak rzadkie, iż niektórzy uczeni twierdzą, jakoby niemożna przytoczyć żadnego wypadku, w którymby ktoś w Atenach z miłości ożenił się z wolno urodzoną dziewicą. Ale pomijając tę okoliczność, że przykłady takie rzeczywiście istnieją [1]), wnioski z podobnego twierdzenia wysnute wydać się muszą śmiesznemi dla każdego, kto jest dokładniéj zaznajomiony z duchem greckim. Wszakże komicy główne motywa swych komedyi opierali na miłości: gdyby jéj zatém nie było w świecie rzeczywistym, całe ich pomysły nie miałyby podstawy. A nadto kto zna choć pobieżnie tragików greckich, kto sobie przepomni Sofoklesa Antygonę, komu stanie przed oczyma Hemon odbierający sobie życie

[1]) Plut. Cim. 4; Demosth. adv. Boeot de d. 26.

po stracie swéj najdroższéj; komu tkwi w pamięci ów przecudny chór Sofoklesa [1]), który tak pięknie spolszczył Ujejski:

Miłości, któż cię zwycięży!
Wszak równie twój grot się miecie,
I na serce wielkich męży,
I na ust dziewczęcych kwiecie.
Morza przelatasz i błonie,
Kędy strumień brzęczy;
I syn nicestwa i ten, co swe skronie,
W nieśmiertelne liście wieńczy,
Dla ciebie szaleństwem płonie.

Kto to wszystko zważy, temu nie potrzeba aż historycznych dowodów, że Grecy i pod tym względem stali na stanowisku czysto-ludzkiém. Uczucie ich jednak nie było nigdy wolne od ziemskich pobudek, gdyż, jak się wyraża Platon, Afrodyty niebiańskiéj miłość nie ogarnia płci niewieściéj [2]), lecz jedynie męzką; czyli innemi słowy: miłość idealna istnieje tylko może w związku przyjaźni, którą jak wiadomo, już za czasów przedhistorycznych nadzwyczaj wysoko stawiano w Helladzie.

Wszelako pomimo podanych zastrzeżeń wyznać musimy, że często wzajemne porozumienie wcale nie poprzedzało małżeństwa. A okazuje się to najdobitniéj ze zwyczajów panujących przy jego zawieraniu. Poprzednie dokładne poznanie wzajemne nie było koniecznym warunkiem wyboru przyszłéj małżonki. Raczéj baczono na to, z jakiego rodu pochodzi dziewica i jaki ma posag, niż jakiemi przymioty uposażyła ją przyroda. To téż już Platon występuje ostro przeciw gonieniu młodzieńców za majątkiem i wpływami przy zawieraniu małżeństwa, i żąda, aby dawano młodzieńcom i dziewicom sposobność do dokładnego wzajemnego poznania [3]). Życzeniu temu atoli w Atenach nigdy nie stało się zadość. Ale nawet tam, gdzie nie kierowano się tak egoistycznemi pobudkami; pilnie uważano na równość zewnętrznych stosunków, zkąd nawet powstało przysłowie dawane jako przestroga młodzieńcom: „ubiegaj się o rękę równéj sobie dziewicy [4])." Względy owe tak wysoko ceniono, że mamy wiele przykładów, iż ojcowie ubodzy w swéj dumie demokratycznéj sprzeciwiali się wydaniu córki za bogatego młodzieńca. Aby zatém uchronić młodzieńca przed zawarciem nie stosownego związku, wybierali nieraz ojcowie sami przyszłą synowę, któréj młodzian często nawet nie znał. Dlatego téż mówi u komika [5]) syn, któremu nie chcą pokazać narzeczonéj: musi

---

[1]) Soph. Ant. 781. [2]) Plat. Symp. 1816. [3]) Plut. Polit. 310; Leg. 773 A. [4]) Plut. de ed. puer. 17; Diog. L. I, 80. [5]) Terent. Andr. I, 5, 14.

to być jakiś potwór, którym mnie darzą, ponieważ nikt inny go nie chce. Niekiedy zniewalał ojciec syna do małżeństwa upatrując w tém najlepszy sposób do powstrzymania go od przekroczeń młodości, a ten zdając się na los przyjmował młodą żonę jako złe konieczne, a nawet jako karę. U Plauta [1]) tak np. przemawia syn do ojca: „ożenię się z tą lub z inną, z którą mi każesz;“ na co rozgniewany ojciec odpowiada: „nawet gdybyś za swe grzechy ze stoma się ożenił, za mała dla ciebie kara!“ A u innego autora [2]) pyta się młodzieńca żeniącego się przyjaciel: „Cóżeś takiego uczynił, że cię ojciec zakuwa w kajdany?“

Niedziw zatém, że małżeństwa w ten sposób zawierane wywoływały nieraz niezadowolnienie, obojętność a nawet wstręt obopólny. Tu i owdzie znakomite przymioty żony mogły wprawdzie wytwarzać inny, serdeczniejszy stosunek; gdzieniegdzie mogło panować prawdziwe szczęście małżeńskie; niekiedy osobisty charakter lub znaczny majątek wniesiony mężowi oddawał nawet berło w ręce kobiety: w ogóle jednak panował w małżeństwie pewien chłód, pewna oziębłość, przyczém kobiéta jako słabsza istota była zwykle w tém większéj niekorzyści, że przy zawieraniu małżeństwa o jéj zdanie wcale się nie pytano: tak przynajmniéj postępują u komików nawet najlepsi ojcowie. Toć niezawodnie odgadł Sofokles myśl nie jednéj dziewicy, wkładając taką skargę w usta jednéj z bohatérek [3]):

Skoro do wieku dojdziem dorosłego,
Frymarczą nami i w świat wypychają,
Zdala rodziny i domu drogiego.
A raz wstąpiwszy w podwoje niedoli,
Udajem szczęście, choć serce nas boli.

Pokrewieństwo lub powinowactwo nawet blizkie nie było przeszkodą do zawarcia małżeństwa, wyjąwszy pokrewieństwo z prostéj linii. Nawet między rodzeństwem pochodzącém nie z téj saméj matki, zdarzały się małżeństwa. Ale jakkolwiek takie związki nie były wzbronione i historya kilka podobnych przykładów podaje, opinia publiczna była im przeciwną, gdyż uważano je za nieszczęśliwe. Wdowy w dawniejszych czasach nigdy nie szły za mąż; późniéj zwykle wychodzą po raz wtóry, a częstokroć umierający mąż testamentem przeznaczał jéj swego następcę. Co do wyboru wdowa podlegała tym samym prawom zwyczajowym co dziewica, a jeżeli nie miała rodziców, rozstrzygał o jéj losie opiekun. O wieku, w którym zawierano związek małżeński, nie da się nic pewnego powiedzieć, gdyż zdaje się że oprócz Sparty w innych państwach pod tym względem nie istniały pewne prawa; zwyczajnie szły kobiéty za mąż od roku 15 do 20, męż-

[1]) Plaut. Trin. V, 2. [2]) Achill. Tat. I, 8. [3]) Stob. Serm. 68, 19 z tragedyi Tereus.

czyzni żenili się od roku 25 do 35; małżeństwa przed rokiem 18 u mężczyzn a przed 15 u kobiét były bardzo rzadkie. Pospolicie baczono na to, aby kobiéta była znacznie młodszą od mężczyzny: dlatego widzimy często w małżeństwach greckich bardzo znaczną różnicę wieku. Stare panieństwo nie często spotykamy, ponieważ uważano je za wielkie nieszczęście, starano się wszelkiemi sposoby uchronić od tego córki; używano w tym celu oprócz innych środków, także pośrednictwa starszych kobiét lub wiernych niewolnic: całe to zajęcie jednak dosyć było zohydzone. Co się tyczy pory roku, wybierano przeważnie miesiące zimowe, zwłaszcza miesiąc *gamelion*, którego nazwa właśnie od tego pochodzi. Niezbędnym warunkiem zupełnéj ważności małżeństwa i zabezpieczenia przyszłym potomkom całkowitego używania praw obywatelskich, było zupełne obywatelstwo obojga małżonków.

Uroczystości i formalności ślubne były nader liczne. Przytoczymy ważniejsze: Jeżeli małżeństwo miało być ważne, musiały je poprzedzać uroczyste zaręczyny. Odbywano je przy biesiadzie, na któréj składano życzenia narzeczonym i pito za ich zdrowie; tutaj zarazem układano się co do przyszłego posagu. Jeżeli rodzice byli tak ubodzy, że córki wyposażyć nie mogli, wtedy krewni i przyjaciele mieli obowiązek złożyć jéj jakiś posag. Córki sławnych mężów, zasłużonych około ojczyzny, wyposażano niekiedy ze skarbu publicznego; tak przynajmniéj piszą o córkach Arystydesa. Kiedy ustał ów piękny zwyczaj przedhistoryczny, że starający się o rękę dziewicy składał ojcu dary, trudno stanowczo orzec, jakkolwiek z drugiéj strony może właśnie dlatego od niego odstąpiono, aby nie dawać ojcu sposobności do brudnego, bo na chciwości opartego frymarczenia losem córki. Przyczyny dawania posagu szukać należy prawdopodobnie w chęci rychłego wydania córek a nadto zabezpieczenia jéj przed samowolą męża, który w razie rozwodu miał obowiązek zwrócić posag otrzymany. Posag jednak nie był znaczny, a greccy myśliciele przestrzegają młodzieńców, aby nie ubiegali się o wielki majątek, gdyż jak powiada Plutarch [1]), ci, co biorą żony znacznie bogatsze od siebie, sami nie wiedząc o tém stają się niewolnikami posagu a przestają być mężami. Platon zaś twierdzi [2]), że lepiéj być spętanym okowami, niż majątkiem żony. Ale właśnie z powodu wymaganego posagu ojcowie uważali częstokroć córki za przykry ciężar, jak się wyraża Menandros [3]):

Młodzieniec mądry skarbem jest rodzica,
Przykrym frasunkiem uboga dziewica.

Dzień przed ślubem składano modły i ofiary wszystkim bóstwom opiekującym się małżeństwem, jakby na dowód że ono jest instytucyą od

---

[1]) De educ. puer. 19. [2]) Leg. 17, p. 774. [3]) Stob. Serm. 77, 6.

bogów ustanowioną. Zresztą jednak ani państwo nie wglądało w ów akt odbywający się prywatnie między dwoma rodzinami, ani też kapłani nie byli używani do pośrednictwa, gdyż nie znane było Grekom formalne błogosławieństwo, jakiego udziela małżeństwu religia chrześcijańska. Sam dzień ślubu rozpoczynał się kąpielą, do której przynoszono wodę z rzek posiadających według ogólnéj wiary pewne własności; w Atenach brano ją ze źródła zwanego „Kallivoe.“ Około wieczora składano bóstwom główną ofiarę a po niéj następowała uczta uroczysta w domu rodziców narzeczonéj, ozdobionym świątecznie zielenią. Uczta ta uważana za właściwy akt ślubny odbywała się przy udziale krewnych i znajomych, których zapraszano na świadków formalnie odbytych zaślubin. Wyjątkowo znajdowały się na niéj także kobiéty, które zresztą w innych biesiadach liczniejszych nie brały udziału, ale siedziały przy osobnych stołach, a w pośrodku narzeczona z welonem na twarz spuszczonym. Liczba biesiadników nie była znaczną; w IV stuleciu przed Chrystusem ustanawia osobne prawo, aby nie uczestniczyło w niéj więcéj nad 30 osób. Podczas biesiady, na któréj nie obeszło się bez symbolicznego placka z ciemierzycy i jabłka pigwowego, składano życzenia młodéj parze, wznoszono toasty na jéj zdrowie, a potém rozpoczynały się śpiewy wesołe, umyślnie na ten cel ułożone, bez których żadna taka uroczystość u Greków obejść się nie mogła. Po uczcie składali wszyscy przytomni bogom ofiarę płynną, a następnie odprowadzano pannę młodą do domu mężowskiego. U biédniejszych szła pieszo, u zamożniejszych wieziono ją na pysznie zdobionym rydwanie. W tym pochodzie, który otwierał umyślnie na to wybrany przewodnik, brali udział wszyscy goście weselni, ubrani w szaty godowe, z wieńcami na głowie, namaszczeni wonnościami. We środku całego pochodu znajdowała się panna młoda, mając po jednéj stronie męża, jeżeli ten był kawalerem; wdowcy postępowali za rydwanem: po drugiéj jednego z jego bliższych krewnych jako drużbę; obok postępowały drużki, a za niemi matka panny młodéj niosąc zapaloną pochodnię. Wśród głośnéj muzyki, w któréj górowały flet i cytra, śpiewano pieśni godowe tak zwane *hymenajos*. Lud znajdujący się właśnie na ulicy przyłączał się do orszaku i podzielał chętnie radość ogólną. Gdy ów niejako tryumfalny pochód zbliżał się do mieszkania mężowskiego, matka młodego lub inna poważniejsza kobiéta czekała we drzwiach domu w liście przystrojonego na nową gospodynią, niosącą jako symbol swéj przyszłéj czynności sito lub inne naczynie kuchenne; wprowadzała ją w progi domu, gdzie zaraz na wstępie zarzucono ją słodyczami i łakociami. Na gości czekała tutaj druga uczta urządzona przez rodzinę mężowską, przy któréj śpiewy, gwary i wesoła ochota późno w noc się przeciągały. Nazajutrz młody małżonek tudzież wszyscy krewni i przyjaciele składali dary nowéj gospodyni, która wtedy po raz piérwszy ukazywała się bez zasłony.

I znowu zamykały się komnaty kobiéce, miejsce gwarów i wesołych śpiewów zajmowała jednostajna cisza, niczém nie przerywana, wśród któréj upływać miały dalsze dni życia mężatki. Cała jéj działalność skupiała się w domu; na świat dalszy nie było jéj wolno wyjrzéć i świat téż o nią wcale się nie troszczył. Sam Perykles mawiał że ta kobiéta jest najlepszą, o któréj jak najmniéj dobrego lub złego mówią [1]). Stosunek z mężem był zwykle chłodny, jakto już powyżéj wspomnieliśmy; zajęty życiem publiczném albo oddany swemu zawodowi, większą część dnia przepędzał poza domem, tylko obiad i wieczerza łączyły ich razem, ale i to jedynie wtedy, gdy obcych mężczyzn w gościnie nie było. Próbkę podobnego stosunku podaje nam Xenofont [2]), u którego pyta się Sokrates Krytobula, czy z kim mniéj rozmawia niż z żoną, a otrzymuje od niego odpowiedź, że z niewieloma. Zresztą przestrzegał mąż w obec niéj w wysokim stopniu praw przyzwoitości i grzeczności, pilnie zważając na to, aby w niczém nie uchybił własnéj godności i swéj mniemanéj wyższości. Inni również mężczyźni, jeżeli im nadarzyła się sposobność do zetknięcia, szanowali wysoko godność kobiécą. Nie była to wprawdzie owa grzeczność salonowa, czyniąca z mężczyzny pozornie niewolnika, grzeczność pod którą częstokroć mało treści się ukrywa; ale było to głębokie przeświadczenie, że niedochowywanie praw i względów nakazanych tradycyą i obyczajem w obec kobiéty wolno urodzonéj, przedewszystkiém samemu mężczyźnie uchybia. Za ciężkie naruszenie owych praw i za niemały dowód rubaszności uważano np., jeżeli mężczyzna w nieobecności gospodarza przekroczył progi domostwa, a do komnat niewieścich nawet najbliżsi krewni nie mieli przystępu. Jak daleko nieraz skrupuły w tym względzie posuwano, świadczy fakt przytoczony przez Demostenesa, iż gdy pod niebytność gospodarza do pewnego domu wpadł awanturnik, najbliższy sąsiad, spokrewniony nadto z napadniętą rodziną, dłuższy czas się wahał, czy godzi mu się iść z pomocą.

Z powyższego przedstawienia okazuje się, że w małżeństwie ateńskiém mąż miał wielką przewagę pod każdym względem. Jak wszędzie jednak tak i tutaj zachodziły wyjątki, których ślady się przechowały u greckich pisarzów. Przewagę zaś zyskiwała kobiéta częścią przez wielki majątek wniesiony mężowi, częścią przez wyższość umysłową, częścią przez przywary i wady, którym mąż podołać nie umiał. Przykłady tego rodzaju kobiét zachowały nam dzieje. Że już nie wspominamy o owéj okrzyczanéj Xantypie, żonie Sokratesa, któréj niezawodnie wyrządzono krzywdę stawiając ją jako wzór kobiéty zwadliwéj i złośnicy; sam Temistokles, ów wielki statysta i wojownik, mawiał o swym synu, który miał ogromną przewagę nad matką, że jest najpotężniejszym ze wszystkich Greków; albowiem Grekom przo-

---

[1]) Thuc. 2, 25. [2]) Demosten. in Euerg. 60.

dują Ateńczycy, Ateńczykom Temistokles, Temistoklesowi żona, a żonie syn [1]). Nadto skarżą się późniejsi pisarze na inne wady kobiéce, mianowicie na chęć strojenia się, na łakomstwo, a do tego na pijaństwo, tak że mężowie byli niekiedy zniewoleni odbierać im klucze domostwa i zajmować się gospodarstwem. Nawet sceny gwałtowniejsze znajdujemy u greckich pisarzy; wtedy mąż mógł dosłownie przyznać się do tego, że zostaje pod pantoflem, albowiem greckie kobiéty w gniéwie rzeczywiście używały sandałów do bicia.

Co się tyczy dotrzymywania wierności małżeńskiéj, zachodziła w obec prawa wielka nierówność między mężem a żoną. Podczas gdy mąż wymagał od żony pod tym względem jak najściślejszego przestrzegania cnoty i nawet samemi pozorami winy czuł się najboleśniéj dotkniętym, nie uważał się w obec żony za równie zobowiązanego do zachowania wierności. A opinia publiczna lubo nie pochwalała takiego postępowania, sądziła jednak z pobłażaniem o przewinieniach męża, nie upatrując w nich ujmy dla jego czci i społecznego stanowiska. Podczas gdy żona na podstawie takich zarzutów nie mogła żądać unieważnienia małżeństwa, pociągała niewierność żony za sobą natychmiast rozwód, okrywała ją niesławą i usuwała raz na zawsze z towarzystwa niewiast uczciwych. Nawet mąż, który przekonawszy się o niewierności żony nie zażądał zaraz rozwodu, popadał również w niesławę i tracił pewne prawa obywatelskie. Oprócz tego wypadku zachodziły także z innych powodów rozwody tak na żądanie męża, jak żony. Mąż chcący się rozwieść z żoną musiał jéj zwrócić posag otrzymany; jeżeli jednak rozwód następował z powodu dowiedzionéj niewierności, posag i cały majątek żony przepadał na rzecz obrażonego męża. Kobiéta pragnąca zerwać małżeństwo, podawała piśmiennie przed archontem powody zniewalające ją do tego, archont badał je pilnie, a jeżeli uznał je za uzasadnione i nie zdołał sporu w dobry sposób załagodzić, potwierdzał rozwód, przyczém mąż musiał zobowiązać się dawać utrzymanie żonie.

Samotność i ustronność, w któréj Atenka skazana była przepędzać życie, mogłyby łatwo naprowadzać na domysł, że czuła się bardzo nieszczęśliwą. Pomimo jednak tu i owdzie natrafianych skarg i żałób niewieścich nie możnaby stanowczo twierdzić, jakoby kobiéta rzeczywiście miała świadomość zupełną doznawanego upośledzenia. Owszem, z tych samotnych komnat dochodzi nas jakiś powiew, nie powiew szczęścia, ale przynajmniéj błogiéj rezygnacyi i pogodzenia się z przeznaczeniem. Wolna od egzaltacyi i daleko sięgających a rzadko spełnionych pragnień, nie zepsuta pochlebstwem i hołdami świata, pouczona wcześnie o swym przyszłym losie, wiodła Greczynka życie bez zmiany i burz gwałtownych, szukając zadowolnienia w pracy i zajęciach około domu, w którym czuła się niezawisłą panią. A praca była nie mała. Należało najpiérw do niéj wychowanie dzieci: synów

[1]) Athen. XIII, 7.

aż do chwili kiedy się zaczynali uczyć, córek aż do pory zamęścia. Że zarząd dużego domu wymagał także wiele zachodu i starania, łatwo da się pojąć. Z początku nie wszystko mogło iść w ład młodéj gospodyni. Zajmujący pod tym względem opis podaje Xenofont [1]). Rozumny, dobrze wychowany i zamożny Ischomachos, opowiada Sokratesowi, że poślubił żonę niemającą jeszcze spełna lat piętnaście, któréj wiadomości nie sięgały poza ręczne roboty przędzenia, tkania, haftowania, a która zresztą była bardzo niedoświadczona, gdyż rodzice pilnie starali się o to, aby jak najmniéj widziała, jak najmniéj słyszała, jak najmniéj się dopytywała; ale za to była niezepsutą, skromną, przejętą jak najlepszemi chęciami, gotową przyjmować chętnie wszelkie wskazówki i rady mężowskie. Ischomachos rozpoczyna instrukcyą czynnością religijną; modli się do bogów i składa im ofiary, a gdy przezwyciężył wrodzoną jéj tkliwość, zaznajamia ją z obowiązkami dobréj gospodyni i podaje sposoby najlepszego takowych wypełniania. Gdy jéj oświadcza, że obowiązkiem jest żony dopomagać we wszystkiém mężowi, odpowiada młoda mężatka: „W czémże mogłabym ci być pomocną? jakąż jest moja siła? ty jesteś panem wszystkiego, mnie zaś to jedno powiedziała matka, abym ci była we wszystkiém posłuszną." Ischomachos znowu powiada jéj, że jeżeli spełni to wszystko, co do niéj należy, to w domu będzie miała nawet od niego większe znaczenie; on będzie niemal jéj sługą. i nie potrzebuje się obawiać aby w późniejszym wieku była mu mniéj drogą, owszem doznawać będzie wtedy ogólnego poszanowania. Wiele czasu i trudów wymagało od gospodyni ateńskiéj nadzorowanie niewolników i niewolnic, których liczba w domach zamożniejszych była bardzo znaczna, utrzymanie ich w karności i posłuszeństwie i wydzielanie im zatrudnień według wieku i zdolności. Dlatego musiała wstawać wcześniéj od niewolników, aby ich budzić do roboty; tego też wyraźnie żąda od niéj Platon, uważając dla kobiéty za hańbę dać się budzić służebnym. Szczególnéj baczności wymagały niewolnice zajęte przędzeniem i tkaniem, które obok haftowania tworzyły główną robotę wolnych niewiast. Osobliwie w sztuce haftowania, daleko dochodziły Greczynki, czego świadectwa dają nam bramowania greckich sukni haftowane figurami i pięknemi ozdobami, jakie często znajdujemy na obrazach waz greckich. W ogóle sporządzanie ubiorów tak męskich jak kobiécych przez długie wieki należało do zakresu czynności kobiécéj. W niektórych miastach tworzyły się związki kobiét w tym celu, aby tkać szaty świąteczne mające zdobić posągi bogów i bogiń; tak np. dziewice ateńskie co cztery lata przyoblekały posąg bogini Pallady sztucznie tkanym płaszczem, na którym były haftowane to sceny z mitologii, to portrety sławnych mężów współczesnych, a dla posągu olimpijskiéj Hery, tkało szatę stowarzyszenie złożone z szesnastu matron. Prócz tego zajmowała się Atenka prowadzeniem kuchni, gdyż nie było

[1]) Xen. Oecon. 7.

w zwyczaju trzymać osobnego kucharza i tylko w czasie liczniejszych zebrań wynajmowano go na czas pewien. Gotowaniem samém trudniły się wprawdzie niewolnice, ale kierownictwo naczelne należało do gospodyni. Prócz tych obowiązków miały kobiéty jeszcze jeden ważny: pielęgnowanie chorych. Uznając że nikt tak troskliwie i z taką cierpliwością nie zdoła zajmować się chorymi, jak kobiéta, oddawano słabych pod ich kierunek i to nietylko męża i dzieci, lecz także niewolników.

Łatwo zrozumieć, że podając zakres czynności kobiécéj mamy na myśli domy zamożnych obywateli z wyższych stanów. Bo kobiéta uboga, niemająca żadnych niewolników, zniewolona potrzebą, jak wszędzie tak i w Grecyi musiała spełniać także inne zatrudnienia, które uważano za niegodne wolnéj niewiasty. Do najprzyzwoitszych jeszcze zatrudnień tego rodzaju należało noszenie wody ze studni; w czasach najdawniejszych to zajęcie było tak zaszczytne, że nawet królewnom spełniać je dawano; późniéj w domach bogaczy wykonywali je niewolnicy; ubożsi zaś—a mam na myśli nietylko najbiédniejszą klassę—sami wodę nosili. Za więcéj hańbiące roboty uważano rozpalanie ognia, ścielenie łóżek, mielenie zboża w żarnach, gotowanie, a jednak i takie roboty same spełniać musiały biédniejsze kobiéty.

Dla uzupełnienia obrazu nie zawadzi dodać kilka słów o ubiorach kobiécych w Atenach. Z początku jak i w całém życiu, tak i w tym względzie panowała prostota: w V-tém a jeszcze więcéj IV-tém stuleciu przed Chrystusem przykład mężczyzn i wpływ Wschodu oddziałał niekorzystnie na zamknięte dla świata kobiéce komnaty. Niemogąc się stroić dla świata, stroiła się kobiéta dla siebie, korzystając przytém z niewielu sposobności, w których mogła się ukazywać w liczniejszém zebraniu. Dawne wełniane i lniane hitony koloru białego zaczęły powoli ustępować miejsca szatom muślinowym i jedwabnym o jaskrawych i pstrych barwach; zaczęło się rozpowszechniać używanie rozmaitych środków służących do upiększenia się i przykrycia wad: ciemne brwi, różowe lica i jasna barwa włosów, których odmawiała natura, a które uważano za niezbędny warunek piękności, zdobywano sztuką, sporządzano sztuczne loki, wymyślano przeróżne fryzury i umiano zastępować brak bujnego włosu. Greccy pisarze podają cały rejestr czasu na oznaczenie używanych różów i bielideł. Podobnie proste przedtém sandały, mające kształt podeszwy, zmieniać zaczęły kształty i barwy i przechodzić powoli w zupełne trzewiki lub buciki. Używanie przeróżnych przyborów i ozdób, jako to: parasolek, wachlarzów, kolczyków, pierścieni, naszyjników, łańcuszków, naramienników, które wyrabiano z różnego materyału a zdobiono i oprawiano drogiemi kamieniami, złotem, srebrem, perłami i słoniową kością, rozpowszechniało się coraz więcéj.

Takim jest obraz życia starożytnéj Atenki, takim był zapewne także w przeważnéj liczbie innych państw greckich, o których historya nie przekazała nam tak dokładnych wiadomości. Z tém wszystkiém

nie możnaby twierdzić, jakoby kobiéta grecka we wszystkich państwach miała tak podrzędne stanowisko, jak w Atenach, gdzie odcięta jéj była nawet możność dalszego kształcenia się i rozwoju. Owszem, widzieliśmy już w Sparcie, że kobiéta stała nieco wyżéj niż w Atenach; to samo spostrzegamy także i gdzieindziéj. Starać się będziemy najważniejsze typy w krótkości uwydatnić.

W VI-ém stuleciu przed Chr. wychyla się w dziejach otoczona mgłą baśni i mitów poważna postać Pitagorasa. Nie naszą rzeczą wdawać się tutaj w rozbiór krytyczny podań, które starożytność o nim przekazała; pewném jest to niezawodnie, że wywarł on potężny wpływ tak na polityczny ustrój jak i na oświatę kolonii greckich w dolnéj Italii. Około niego grupuje się cały szereg nietylko mężczyzn znanych pod imieniem uczniów Pitagorasa, lecz także zastęp kobiét, tak zwanych filozofek Pitagorejskich. Miały one tworzyć osobne związki na wzór mężczyzn i zajmować się naukami i filozofią. Liczba ich jest znaczną: Jamblichos wymienia ich 17; pomiędzy niemi są: Damona, Teano, Fintys i t. d. Późniejsi pisarze przypisywali im wiele dzieł filozoficznych, poematów, wiele trafnych zdań i nauk. Jakkolwiek nowsza krytyka dosadnie wykazała, że wszystkie szczegóły dotyczące Pitagorasa i jego uczniów i uczennic, są bezpodstawne i zmyślone; to jednak nie mamy najmniejszego powodu podawać w wątpliwość sam fakt istnienia zwolenniczek owego filozofa, które jako osoby wykształcone i jedną myślą przewodnią związane, musiały znaczny wpływ wywierać na całe społeczeństwo, a tém samém także znakomite zajmować w niém stanowisko.

Nieco dokładniejsze, choć jeszcze nie zupełnie pewne wiadomości posiadamy o innym rodzaju kobiét, to jest o poetkach. A zastęp ich jest dosyć znaczny. Na czele ich stoi nadobna postać Safony żyjącéj na wyspie Lesbos w VI stuleciu przed Chr. Na téj wyspie zamieszkałéj przez szczep Eolski utrzymał się długo ów tryb życia, który widzieliśmy skreślony przez Homera, a w którym kobiéta mogła być uczestniczką nietylko rodziny, lecz także publicznych czynności i zabaw i miała sposobność do okazania swéj osobistości i swego indywidualnego charakteru. Safona, jako poetka stoi bardzo wysoko już w opinii spółczesnych; Alkajos zwie ją „ciemnowłosą, czcigodną, słodko uśmiechniętą.“ Solon słysząc swego bratanka wygłaszającego jednę z jéj pieśni, miał wyrzec: nie umarłbym, gdybym się jéj nie wyuczył na pamięć; inni nazywają ją „żeńskim Homerem“ i śmiertelną Muzą“, a dla nas jedna zupełna oda, która ocalała z ogólnéj powodzi jakiéj jéj pisma uległy, jest dostatecznym dowodem, że słusznie ją tak wysoko ceniono. Z koła kobiét, którego punktem środkowym była Safona, rozchodził się niezawodnie zapał do poezyi i światło na wszystkie strony. Przyjaciółką jéj była Damofila z Pamfilii, a jeszcze sławniejszą jest poetka Erynna, która umierając w roku dziewiętnastym swego życia, przez krótki poemat zyskała tak rozgłośne imie, że niektórzy stawiali jéj dzieło obok epopei Homera. Przy końcu VI stulecia ukazują się

w innéj, od Lesbos odległéj krainie greckiéj w Beocyi, dwie znakomite poetki: Myrtys i Korynna, które wcale nie obawiały się stanąć w zawody z poetą tak wielkim, jak Pindar. Myrtys na igrzyskach publicznych wystąpiła z nim do walki, a Korynna, która z początku gniewała się o to, że „dźwięczna Myrtys, niewiasta z Pindarem, boje poczyna“ podniecona wzmagającą się sławą swego współzawodnika, wystąpiła nareszcie także z nim w zapasy i miała go pięć razy zwyciężyć. Pausanias, żyjący za cesarza Hadryana, widział jeszcze w jéj mieście rodzinném, Tanagne, obraz przedstawiający poetkę z wieńcem na głowie zyskanym w walce z Pindarem. Pomimo to stosunek jéj do Pindara nie był wcale nieprzyjaznym; owszem miała mu chętnie udzielać swych rad i wskazówek, słuchając jéj głosu miał Pindar hymny swoje ozdobić mitologicznemi opowiadaniami, a w sześciu piérwszych wierszach pewnego hymnu umieścił prawie całą mitologią tebańską; miała mu ze śmiechem powiedzieć: „trzeba siać z ręki, a nie z całego worka“.

Jakkolwiek przeto z utworów poetek greckich nader mało ułamków do naszych czasów doszło, jakkolwiek szczegóły dotyczące ich życia i działalności są nie jasne, a częstokroć same ze sobą w sprzeczności zostają: to przecież tyle można uważać za pewnik, że w wielu miejscowościach Grecyi, kobiéty potrafiły sobie wyrobić stanowisko sięgające daleko poza sferę ciasną życia rodzinnego. Tylko w Atenach, owéj stolicy duchowéj i politycznéj Hellady, owym przybytku greckiéj nauki i sztuki, owéj siedzibie postępu i ruchu umysłowego, nie znajdujemy ani jednéj sławnéj kobiéty, ani jednéj artystki lub poetki. Nawet owa tajemnicza Dyotyma, która, jak Platon powiada [1]), w przepowiadaniu przyszłości i w wielu innych rzeczach znakomitą mądrość posiadała, która Sokratesa uczyła sztuki miłości, która tak wzniosłe i tak głębokie o pięknie i o miłości rozwija pomysły, że jéj rozmowa z mędrcem należy do najpiękniejszych zabytków geniuszu greckiego, pochodziła z Mantynei. Jeżeli zatém ten dziwny fakt zestawimy z podanym poprzednio obrazem życia Atenki, to musimy zgodzić się na słowa, które wypowiedział Schiller [2]), że grecka kobiécość i stosunek wzajemny obojéj płci u tego ludu był bardzo mało estetyczny i w ogóle wielce bezduszny. Tak jest w istocie: pomimo wielu niezaprzeczonych zalet i stron dodatnich, które w życiu Greczynki, a szczególnie Atenki, napotykamy, ogólne wrażenie, jest to wrażenie cierpienia i ucisku. Kobiéta, jak się wyraża Wiese, była w Grecyi ofiarą egoizmu męzkiego, kobiécie wyrządzano niesprawiedliwość.

To téż jak w historyi każde nadużycie i każda niesprawiedliwość zemstę pociąga za sobą, tak téż pomściła się w historyi greckiéj krzywda wyrządzona kobiécie. Obraz bowiem życia kobiécego w Grecyi

---

[1]) Plut. Symp. 227.

[2]) Briefwechsel mit W. v. Humboldt p. 362.

byłby niezupełny, gdybyśmy nie odsłonili choćby z lekka także strony odwrotniéj. Dotychczas mówiliśmy o kobiécie żyjącéj podług dawnych zwyczajów praojców, która nie zrywała gwałtownie z tradycyą. Im wyżéj umysłem i wykształceniem wznosił się mężczyzna, im daléj sięgał polotem swéj śmiałéj myśli, tém większym musiał stawać się przedział między nim a drugą połową rodzaju ludzkiego. A ów przedział już za czasów Peryklesa był ogromny. Otóż właśnie w owym czasie zjawia się Nemezys historyczna w postaci greckiéj hetajry. A używając owego wyrazu nie biorę go w znaczeniu, któreby gotowi mu podsunąć znawcy klasycyzmu; gdyż nie mogę miéć bynajmniéj zamiaru wydobywać z zapomnienia miejsc i osób kryjących się w cieniach nocy i moralnego upadku: lecz mam na myśli owe kobiéty, które czując krzywdę całéj płci wyrządzoną, odważyły się odrazu zerwać z tradycyą przeszłości, zrzucić pęta tak długo krępujące ich swobodę i w imie praw człowieka zażądać równouprawnienia. Były to, jeżeli mi tak powiedzieć się godzi, nowoczesne pseudoemancypantki i nihilistki, mające wszystkie przymioty i wady wiążące się z temi nazwami. Początek ich wywieść należy z Azyi Mniejszéj. Tutaj kobiéta prawdopodobnie nigdy nie stała tak nizko, jak w Atenach; tutaj pod wpływem przepychu i rozpusty wschodniéj z jednéj strony, a wolności greckiéj z drugiéj strony wyrobiła sobie pewną niezawisłość i uzyskała możność swobodniejszego rozwoju. Szczególniéj Milet, leżący niejako na pograniczu między oświatą europejską a azyatycką, stał się miastem, z którego wyszły po większéj części owe kobiéty, co tak potężny wpływ na cały rozwój Grecyi wywarły. W czasie najsilniejszéj działalności sofistów zaczynają za ich przykładem powoli przesiedlać się do Grecyi właściwéj a miastem, które najwięcéj powabu dla nich miéć musiał, były Ateny.

W piérwszych chwilach ich ukazania się, wykształcony Ateńczyk z niechęcią i niedowierzaniem spoglądał na to nowe, dotychczas niewidziane i tak niebezpieczne zjawisko i z oburzeniem odtrącał od siebie ich usiłowania dążące do przewrotu istniejących stosunków rodzinnych. Ale gdy owa kobiéta, strojna zazwyczaj w młodość i piękność, ubrana w cały powab wdzięków, rozwinęła przed nim cały zapas wschodnich tajemnic podobania się; gdy przywdziana w pozorną uczoność nie zawahała się stanąć z nim do walki na polu umysłowém; gdy nawet z filozofami i mówcami nie bała wdawać się w uczone dysputy; gdy nadto otworzyła świetne salony, w których zajaśniała skarbami swego dowcipu, słowem, gdy blaskiem zewnętrznym olśniła i oczarowała tak wrażliwe pod tym względem umysły Ateńczyków: wtedy zaczęli się chwiać w dotychczasowych zapatrywaniach nawet mężowie poważni, o stałych, wyrobionych zasadach. I dziwić się temu nie można. Wykształcony, światły Ateńczyk żył dotychczas tylko jedną połowę życia, bo nie zaznał ciepła rodzinnego, bo nie znalazł w kobiécie ciemnéj, zacofanéj, nie wykształconéj, przygłuszonéj tyloletnim despotyzmem tego, czego potrzebował i bez czego obejść się nikt wykształ-

cony nie może, to jest zrozumienia i należytego ocenienia swych myśli i dążności, swych zajęć i prac umysłowych; bo mu brakło kobiéty wykształconéj tak w codziennem towarzystwie, jak wśród hucznych biesiad: brakło mu jéj dowcipu i tego uroku, który niewiasta wykształcona bezwiednie około siebie roztacza. Gdy zatém okazała się taka istota, któréj dotychczas nie znał, ale któréj potrzebę instynktowo przeczuwał, łatwo i prędko uległ jéj wpływom. Odtąd zobojętniał jeszcze więcéj dla życia rodzinnego, do którego i przedtém nie wiele miał pociągu; zobojętniał dla własnego domu, bo wszędzie miejsce żony zastąpić mu mogła hetajra, która nie wahała się wstąpić nawet w te miejsca, do których przystęp Atence żyjącéj według dawnych obyczajów był na zawsze wzbroniony. W ten tylko sposób da się pojąć, że nawet najpiérwsi mężowie nie są wolni od ich wpływu. Piérwsze miejsce pomiędzy wszystkiemi kobietami tego rodzaju zajmuje Aspazya. Przyszedłszy do Aten z Miletu potrafiła w krótkim czasie dom swój zrobić miejscem odwiedzaném przez wszystkich znakomitych mężów, a dokazała tego przez rzadkie połączenie w swéj osobie przebiegłości i sprytu, wykształcenia umysłowego i powabów kobiécych. Nawet Sokrates chętnie wdawał się z nią w rozmowy i nazywa ją swą nauczycielką w krasomówstwie; Platon wkłada jéj w usta całą mowę pogrzebową [1]); najusilniéj jednak uległ jéj ponętom Perykles. Dla jéj miłości rozstał się z żoną; jéj rady zasięgał nawet w sprawach politycznych, a gdy jego przeciwnicy, nie śmiąc na niego wprost uderzyć, a chcąc mu zadać cios najdotkliwszy, zapozwali ją przed sąd o bezbożność, wtedy wystąpił w jéj obronie i potędze jego słowa udało się uzyskać jéj uwolnienie. Oprócz Aspazyi przekazały nam dzieje imiona wielu innych kobiét tego samego kroju, których wpływ był równie potężny; dowodzą tego liczne fakta: na cześć ich stawiano pomniki, spisywano ich trafne dowcipy; wielbiono je w poematach, staczano w ich obronie w obec sądu zacięte boje i t. d.

A czy Grecy jako naród zyskali na tym wszechwładnym wpływie, które wywierały hetajry? Na to niechaj odpowiedzą dzieje: owe dawne Greczynki wydały na świat mężów, których dotychczas cała ludzkość wielbi, jako bohatérów; wychowały wojowników, co z małą garstką stawili dumne czoło perskiemu najezdcy wiodącemu na Grecyą krocie służalczych zastępów; owe proste Atenki zapaliły iskrę natchnienia w sercach tych mężów, którzy w literaturze i sztuce są jeszcze dotychczas kierownikami ludzkości, aby się nie zabłąkała w labiryncie błędów. Pod wpływem hetajry wychował się szereg pokoleń, co zaprzedały Grecyą w ręce Macedonów, a późniéj w niewoli giętkie karki chyliły przed butnym zwycięzcą; pokoleń napuszonych retorów i literatów sprzedajnych, od których z pogardą odwracał oblicze dumny Rzymianin.

[1]) W dyalogu Menexenos.

ROTY
PRZYSIĄG KRAKOWSKICH,
Z KOŃCA WIEKU XIV.

WYDAŁ I OBJAŚNIŁ

Romuald Hube.

Kiedy chodziło o udowodnienie faktu jakowego przez przysięgę, czy fakt ten polegał albo na tém, że coś się stało lub miało miejsce, albo też że się nie stało lub nie miało miejsca, wtedy sąd, po wyłuszczeniu okoliczności sprawy przez strony, układał tak zwaną *rotę* [1]), czyli formułę (aryngę), podług któréj mieli wykonać przysięgę czyto stawieni świadkowie, czyli jedna ze stron do sprawy wchodzących.

W dawnych naszych księgach ziemskich i grodzkich zachowała się znaczna liczba podobnych rot, jednych ułożonych w języku łacińskim, drugich w polskim. Roty polskie z wieku XIV stanowią dzisiaj, przy niedostatku innych pomników, jeden z najcenniejszych zabytków naszéj mowy i naszéj pisowni, tém ważniejszy, że za pomocą dat w księgach starannie oznaczonych, z pewnością można wskazać czas, do którego należą, a zarazem i miejscowość, z któréj pochodzą. Od niejakiego też czasu zwrócono na nie baczną uwagę.

Już w roku 1839 Aleksander Wacław Maciejowski udzielił nam z ksiąg ziemskich Sieradzkich 27 rot polskich z roku 1386, trzy roty z r. 1390 i rot 18 z r. 1391 [2]). Następnie w r. 1858 do poprzednio ogło-

---

[1]) Wyraz rota jest polski. Znaczy mowę, ozego ślad zachował się w języku rossyjskim, gdzie wyraz *rot* znaczy usta.

[2]) Pamiętniki o dziejach, piśmiennictwie i prawodawstwie Słowian. Warszawa, 1839. T. II, str. 331 i nast. Przepisał roty te ówczesny zasłużony archiwista akt dawnych Sieradzkich, dziś już zmarły Pstrokoński, któremu zawdzięczałem znaczną liczbę wypisów z tychże akt, przesłanych mi jeszcze w roku 1850.

szonych, dodał dalszy ciąg tychże samych rot polskich Sieradzkich z lat od 1398 do 1402, a między niemi ośmnaście samych rot z r. 1398 [1]).

W kilka lat później Józef Przyborowski dał nam poznać 162 rot Wielkopolskich poczynając od roku 1387 do roku 1434 [2]). W téj liczbie 14 pochodzi z wieku XIV.

Nie zaniedbał i Helcel w wyciągach swoich z ksiąg ziemskich Krakowskich podać trzech rot polskich z tego samego wieku, a mianowicie z roku 1398 i 1399 [3]).

Mamy tedy rot polskich przysiąg z wieku XIV w ogóle 86, a z tych przypada na ziemię Sieradzką 69, na Wielkopolską 14, a na ziemię Krakowską nie więcéj jak trzy. Kto umie oceniać ważność tego rodzaju pomników pod względem historyi naszego języka, bez wątpienia ubolewać musi, że ważne to źródło dotąd tak mało dostarczyło danych, zwłaszcza, że roty przysiąg zachowują nam pamięć języka nie książkowego, ale mowy potocznéj i to zapewne ze wszystkiemi cechami narzeczy miejscowych.

Wychodząc z tego stanowiska, może zjednamy sobie niejaką zasługę, ogłaszając siedmdziesiat trzy nowych rot polskich, wyjętych z ksiąg ziemskich Krakowskich [4]), a pochodzących z tych ostatnich lat wieku XIV.

Staraliśmy się odpisać je z największą ścisłością, zachowując w zupełności dawną pisownię. Transkrypcya dodana na boku ma tylko ułatwić czytanie niewprawnemu, bo zresztą zachowuje wszystkie odcienia oryginału. Żałujemy, że nie będąc dość biegłemi w badaniach filologicznych, nie możemy tekstu polskiego opatrzyć gramatycznemi spostrzeżeniami, w czém ukazały nam już drogę cenne i znakomite prace Przyborowskiego, Baudouina [5]), Nehringa [6]) i K. Małkowskiego [7]). Aby jednak tak ważny materyał zużytkować pod innym względem, po przedstawieniu tekstu rot, z którego nie omieszkają skorzystać filologowie, wskażemy pokrótce, jaką korzyść z rozważenia ich możemy osiągnąć dla objaśnienia niektórych stosunków społecznych i prawnych pod koniec wieku XIV w ziemi Krakowskiéj.

---

[1]) Historya prawodawstw słowiańskich. Warszawa, 1858. T. VI.

[2]) Vetustissimam adjectivorum linguae polonae declinationem illustravit J. Przyborowski. Posnaniae, 1861.

[3]) Starodawne prawa polskiego pomniki. Kraków, 1870. T. II, nr. 119, 121, 465.

[4]) Księga z któréj wypisy bierzemy, zachowuje się w Archiwum głównem. Nosi numer 350. Składa się z 556 stronnic numerowanych.

[5]) O drewnie-polskom jazykie do XIV stoletia. Lipsk, 1870.

[6]) Itez florianense. Poznań, 1871.

[7]) Przegląd najdawniejszych pomników języka polskiego. Warszawa, 1872.

Tekst oryginalny przysiąg.

r. 1397.

1. Princeps monasterii Scti Andree de Cracovia ducit testes contra consortem Milothe de Dombrouicza [1]).

Rota [2]).

iaco prave wedzan iswaczan esze pani Miloczina geij casznan igey ludzi przedanym porambonoyest napoltorasta drzewa wrokitne zagraniczan szutan.

2. Andreas de Medhnow ducit testes contra Msczugiwoyum et uxorem ipsius Claram propter hereditate uidelicet area et domo cum orto quam tenet violenter ex diuisione.

yaco praue wemy iszwaczimi esz msczivoyow cum uxore clara dzerszi silanmocza to czo se dzalem ijlozem sze dostalo Swantochne zene Andree nayman dom szedlisco yogrod.

r. 1398.

3. Machna et Jasco de Dulan lanca d. t. c. Dobconem de Szczeklin.

iaco praue wemi iszwaczimi esz dobco nebil gospodarzem anij wtrzymaniu dzedzini dulan lankij nigdi taco iaco na przwileyw stogij.

4. Prandota de Prelank d. t. c. Mathiam de Jurzicouicz pro Centum marcis dampni.

taco nam bog pomozi iaco praue wemij iszwaczimi esz po podswiganu penandzi wczinil Mathias scodij C. grziwen wrolach wga-

Transkrypcya tekstu.

r. 1397.

Jako prawie wiedzą i świadczą, eże pani Miłocina jéj kaźnią i iéj ludzi przedaniem porąbiono iest na półtorasta drzewa w rokitnie za granicą sutą.

Jako prawie wiemy i świadczymy, eż Mściwoyów cum uxore Clara (z żoną Klarą [3])dzierży siłą mocą to, co się działem i losem się dostało Świętochnie żenie Andrzeja, na imię (mianowicie) dom, siedlisko i ogród.

r. 1398.

Jako prawie wiemy i świadczymy, eż Dobko nie był gospodarzem, ani w trzymaniu dziedziny Dułąłąki nigdy, tako jako na przywileju stoi.

Tako nam Bóg pomoży, jako prawie wiemy i świadczymy, eż po podźwiganiu pieniędzy uczynił Matias szkody sto grzywien w ro-

[1]) Przytaczamy komparycye z oznaczeniem niekiedy przedmiotu aprawy, tak jak one stoją nad rotami przysiąg.

[2]) Wyrazu tego daléj powtarzać nie będziemy.

[3]) Wyrazy łacińskie tłumaczymy.

yoch wlacach Iwdzedzine prandocze wJurzicouicz.

5. Wisco de Wola d. t. c. Widzgam de Prelank pro C mar. fidejussorie.

taco nam bog pomoziiaco praue vemi iszwaczimi esz Widzga kazal ranczicz zazan C. grziwen Wiscowij astego yecz newiprawil Wisca A oto scodi XX mrc.

6. Albertus de Prechodi d. t. c. dominum Episcopum Cracoviensem.

iaco praue wemi iszwaczimi esz dominus Episcopus Cracoviensis wszanl dwoye penandze zayednan dzeszandzinan Wprzechod a Alberto Nayman XXI marcas A oto meij przeszpraua iprzesz winy clanyl.

7. Warczislaus de Olsowa d. t. c. Wlodconem de Wroczinowa pro ulneribus ad principium.

taco mi bog pomozi iszwancze esz bilesm przitem y widzal esz Wlodek poczanl na Warczislawa ij rany dal naprzod ato czo wczinil to wczinil bronansze otswego sziwota.

8. Peter Burk d. t. c. Albertum de Parcz pro campo.

taco gim bog pomozi iszwanczan iaco wemi iszwanczimi iaco potr hanzelbork cupil tan czacz wparcz czo widzal sluzebnik niwa teij niwe Albertus nebil nigdy gospodan powcupenu asz dotich mayst.

9. Boxa de lucow pro XL marcis dampni d. t. c. Nicolaum Clericum de Clanczani.

Jaco wtem rocze ienze man smicolaijem mam XL grziwen szkodi.

lach, w gajoch, w łąkach i w dziedzinie Prandocie w Jurzikowicach.

Tako nam Bóg pomoży, jako prawie wiemy i świadczymy, eż Wydżga kazał ręczyć za się sto grzywien Wiskowi, a z tego jestci niewyprawił Wisko, a oto szkody dwadzieścia grzywien.

Jako prawie wiemy i świadczymy, eż dominus Episcopus Cracoviensis (p. biskup krakowski) wziął dwoje pieniądze za jedną dziesięcinę w przechod od Alberta, na imię (mianowicie) dwadzieścia jeden grzywien, a oto ji przez prawa i przezwiny klął.

Tako mi Bóg pomoży i świadczę, eż byłeśm przytem i widział, eż Włodek począł na Warcisława i rany dał naprzód, a to co uczynił, to uczynił bronią się od swego żywota.

Tako im Bóg pomoży i świadczą, jako wiemy i świadczymy, jako Potr Hanzelbork kupił tę część w parcz co widział służebnik niwę, téj niwie Albert nie był nigdy gospodą po wkupieniu aż do tych miast.

Jako w tem roce (roku) jenże (który) mam z Mikołajem, mam czterdzieści grzywięn szkody.

10. Chrystina de Pyassek d. t. c. Meczslaum de Dalovicze pro XXX marcis et sex pecoribus.

Jaco wanzal [1]) zatrzidzeszci grziwen rzeczi ij szesczoro scota.

Jako wwiązał za trzydzieści grzywien rzeczy i sześcioro skota.

11. Iwan de Jedlcza d. t. c. Wenceslaum de Maranovicze super jure theutonico in Jedlcza.

Jaco wiedlczi bilo nemeczske prawo ale sginanl prziwileij.

Jako w Jedlczy było niemieckie prawo alę zginął przywiléj.

12. Jacussius de Modlnicza d. t. c. Stanislaum de ibidem pro tribus marcis fidejussorie et tribus marcis in quibus se obligauit ratione predicte fidejussorie.

Jacosm przitem bijl gdze Jacuss ranczijl trzij grziwni Michalcowi geboltowskemu zacladu rancogemstwa za Stanislaua a gdi bil tego (nijepopelnil) [2]) thyss nasszwanti Marcin nepopelnil tedi sya poddal pod druge trzy grzywni [3]).

Jakośm przytem był gdzie Jakusz ręczył trzy grzywny Michałkowi Gebółtowskiemu zakładu rękojemstwa za Stanisława, a gdy był tego tyż na święty Marcin niepopełnił, tedy się poddał pod druge trzy grzywny.

Jacosm przitem bijl gdze Jacuss ranczil zastasschca esz mijal thyss poprauicz naswanthy marcin agdi bij tego nijevczinil tedy Jacuss trzij grziwni Michalcoui ostal asstasschek Jacusschowi tij yste trzigrziwni a pod druge sija mu poddal.

Jakośm przytem był, gdzie Jakusz ręczył za Staśka, eż miał tyż poprawić na święty Marcin, a gdyby tego nieuczynił, tedy Jakusz trzy grzywny Michałkowi ostał, a Stasiek Jakuszowi ty iste trzy grziwny a pod drugie sia mu poddał.

13. Stassek Baran familiaris Andree de Czrzewlin d. t. c. Johannem de Janouicze super milicia.

Jaco wemi iz Stassek iest nass brat ij nassego cleynota ijzawolanya.

Jako wiemy, iż Stasiek jest nasz brat i naszego klejnotu i zawołania.

14. Prandotha de Neprzesna d. t. c. Martinum de Igolomia condam nunc de Gorka.

Jakom pirweij pozwal niz trzij lata wyssla o XXX grziwen.

Jakom piérwéj pozwał niż trzy lata wyszła o trzydzieści grzywien.

---

[1]) Prof. Przyborowski domniemywa się, że powinno być *wwiązał*.
[2]) Tak dwa razy w oryginale. [3]) Cała ta rota przekreślona.

15. Jacussius de Modlnicza d. t. c. Petraszcam de Budzinowicz.

Jaco prawe ti kupotruszczine rance ranczone glowne penadze.

Jako prawie ty ku Potruszczynie ręce ręczone główne pieniądze.

16. Nicolaus de Kazmirz d. t. c. Wanchonem de Thassicz.

Jaco wem y swatcza ez Wanch ranczil zazona Nicolaoui ez nemala oten czinz gabacz ani iego racoijmeij a gdy bi gije gabala tegdi X grziwen bi iemu ostala.

Jako wiem i świadczę, eż Wanch ręcził za żonę Nikołajowi, eż niemiała o ten czynsz gabać, ani jego rękojmiej a gdyby ji gabała tegdy dziesięć grz. by jemu ostała.

17. Przibco de Srzanczicz d. t. c. Boguszam relictam Nicolai Klos dicti de ibidem pro hereditate in Szranczicz.

Jaco niwa Przibcowa stoij wzastawije wsseszczi grossij.

Jako niwa Przibkowa stoi w zastawie w sześci groszy.

18. Pascho de Bibicz d. t. c. Johannem kmethonem de Xangnicz pro capite.

Jaco sije oglowa ijednal ijprzebral.

Jako się o głowę jednał i przebrał.

19. Petrassius de Sweborouicz d. t. c. Margaretham de Budziuogiouicz pro debito Judeorum.

Jaco Margaretha obwazala sije długu zidowskego smazem.

Jako Margareta obwiązała się długu żydowskiego z mężem.

20. Jacussius de Strzeszczovicz d. t. c. Gregorium de Pancovicz pro XX marcis remanencijs Abrahe de Pancovicz.

Jaco ma dzecza XX grziwen szcodi dzeczanczego ijmena.

Jako ma dziecię dwadzieścia grzyw. szkody dziecięcego imienia.

21. Stanislaus de Negowonicz d. t. c. Stephanum et Nicolaum de ibidem pro sex marcis fidejussorie grossorum.

Jaco ranczili pospolita ranka VI grziwen za Maczeija sdobracowa.

Jako ręczyli pospolitą ręką sześć grzywien za Macieja z Dobrakowa.

22. Swanch de Parce d. t. c. Bogunum de ibidem pro niwa.

Jaco oral swe trawniki hijncowske ale nije Bogunowij.

Jako orał swe trawniki hyncowskie ale nie Bogunowy.

23. Dobco Subjudex d. t. c. Johannem de Radzonow.

Jaco ginego dnya nijedaijal ieno vmowijoni.

Jako inego dnia niedaiał jeno umówiony.

24. Testes Marcissij Castellanus Wladislauiensis contra Barthossium de Plomikow.

Jako wemi ijsswathczimij ezh Barthossz ijechaw wedwudzyestu namarcisszowa dzedzina dobywal iego domu ij panossza iego ranil.

Jako wiemy i świadczymy, eż Bartosz jechaw we dwudziestu na Marciszową dziedzinę dobywał iego domu i panoszę jego ranil.

25. Przichna Philippi de Mislovicz d. t. c. Wenceslaum de Lubochow pro XX scotis obligationis in hereditate quatuor stadiorum Michalowska dicta in quam se intromisit ipsa Przichna eandem hereditatem quatuor stadiorum possidente.

Jaco sije Wanczlaw wijazal wdzedzina czthijr staijan mocza ij oral ija ij ssijal ijasz ma przichna wedwdzestu scoth wzastawije.

Jako się Wacław wiązał w dziedzinę cztyr stajan mocą i orał ją i siał, jąż ma Przichna we dwudziestu skot w zastawie.

26. Andreas de Bencovicz d. t. c. Kilianum de Janovicz paschonem et Pechnam de Wroblouicz pro hereditate in Bencovicz.

Jaco wemi ij szwathczimi ez dzedzina iest dzeczi Andrzeowich maczerzista.

Jako wiemy i świadczymy, eż dziedzina jest dzieci Andrzejowych macierzysta.

27. Jascho de Czuslicz d. t. c. Wilczconem de Zacrzow pro hereditate Janovicze in XV marcis obligata.

Jaco sijaschowa ranky chodzi dzedzina pozastawije w panczinaczcze grziwnach.

Jako z Jaśkowa ręki chodzi dziedzina po zastawie w pięcinaćcie grzywnach.

28. Petrus Burg d. t. c. Swanchonem de Parce.

Jaco wemi ijswijathczimi ezh Petir borg pooral swe iaco nagego listoch stoij.

Jako wiemy i świadczymy, eż Petir borg poorał swe jako na iego listoch stoi.

29. Woijtek de Pancovicz d. t. c. Nicolaum de Kozmicz pro XX marcis.

Jaco wemi ijswijathczimi ezh Kathussza wzanwsszi swe czso

Jąko wiemy i świadczymy, eż Katusza (Katarzyna) wziąwszy swe

mijala ijprzinosla stijm szla za wtori mansz.

30. Stanislaus Jelitko d. t. c. Jacussium de Minino.

Jaco Stasszek dzerszi dzedzina vkorabinie trzij kmecze pol carczmi ij pol zagrodi spocoijem XVI lat anigdi mu srankij ne wychodzila.

31. Helena Martini de Ochonino d. t. c. Cristconem de Sroczicz.

Jacosmi przitem bijli gdze Crzistek maczerzi grziwna cinszu tela lata zawyano placzijll.

r. 1399.

32. Nicolaus de Olelin d. t. c. Mathiam de Jurzicouicz.

Jaco czso Maczek bijl ranczil za Miczka to wyednanu proszno vczi nijono v Wanczslawa.

33. Nicolaus de Kuczcow d. t. c. Nicolaum gandenek de Mlinoga.

Jaco czso dano Miculaijowi wina o kon ossamostrzal tego iest praw.

34. Jascho et Jacussius de Czusszow d. t. c. Andreum Nemsta de Sczithniki.

Jaco dersza dzedzina XVIII lat ij daleij do poszwu spokoijem.

35. Nicolaus de Sbiluthouicz d. t. c. Bogussium et suos coadjutores Kmethones de Podolani.

Jacosm przitem bijl gdze Bogusz spomoczniki na dobrowolneij drodze gwaltem rani zadal Micolaijowi.

36. Albertus de Parcze d. t. c. Petrum borg pro hereditate in parcz.

Jaco wemi ez Passek neprzedal dzedzini Handzil borconi ani snyey wychodzil.

37. Abbas Andreoviensis d. t. c. Borconem dę Tszczenecz.

co miała i przyniosła z tym szła za wtory mąż.

Jako Stasiek dzierży dziedzinę w Korabinie trzy kmiecie, pół karczmy i pół zagrody z pokojem szesnaście lat, a nigdy mu z ręki nie wychodziła.

Jakośmy przytem byli gdzie Kristek macierzy grziwnę czinszu tela lota za wiano płacił.

r. 1399.

Jako co Maciek był ręczył za Miczka, to w jednaniu próżno uczyniono u Wącława.

Jako co dano Mikołajowi winę o koń, o samostrzał tego jest praw.

Jako dzierża dziedzinę osiemnaście lat i dalej do pozwu z pokojem.

Jakośm przytem był, gdzie Bogusz z pomocniki na dobrowolnej drodze gwałtem rany zadał Mikołajowi.

Jako wiemy eż Pasek nie przedał dziedziny Handzil borkowi ani z niej wychodził.

Jaco wemi ijsswyathczimi ez oth szescidzessanth lat ani czij dzedziczi ani borek bijli gospodarzmi dzedzinije ani zopathowego ij sconvenczkego dzerszenija dzedzina wychodzila.

38. Prandotha et Franczco d. t. c. franczconem de Sanspow.

Jaco wemi ez F. et P. matha na dw lanu polijedneijnaczcze grziwni.

39. Pechna Derszconis de Micolaijouicz d. t. c. Nicolaum Wantrobca.

Jaco wemi ez czso pani mijala Wantrobczina odzenija to ijest wrocijla anije obwanzala sija ginego wraczacz.

40. Episcopus Cracoviensis d. t. c. Helenam Clementis de Lappanow.

Jaco dzedzina a XXX lat nijebila paneij oczczisna.

41. Mathias de Jurzicouicz d. t. c. Jacussium de Owczari.

Jaco wemi ez Maczek nedal lista wijsszeij data niz iaco bijla oprawa.

42. Prandotha de Neprzeszna d. t. c. Olandum de Boczow.

Jaco Oland kazal Prandocze ij Climontowi zassije ranczicz wto slowo ezh mijal Oland pusczicz kuprzijaczijelom nawijednanije anije pusczijl otho mata C. marcas szcodi.

43. Heduigis leohardi de Cracovia d. t. contra Mathiam dę Swerzinecz.

Jacosmi przitem byli gdze Maczek dal lenartowey dwa policzki ij krwawil yo.

44. Clemens de Grabouich d. t. c. Claram Pauli Werzink de Cracovia.

Jako wiemy i świadczymy, eż od sześcidziesiąt lat ani ci dziedzicy ani Borek byli gospodarzmi dziedzinie ani z opatowego i z konwenckiego dzierżenia dziedzina wychodziła.

Jako wiemy, eż F(rancko) et P(randota) mata na dwu łanu pół jednej naćcie grziwny.

Jako wiemy, eż co pani miała Wątrobczyna odzienia to jest wróciła a nie obwiązała się inego wracać.

Jako dziedzina od trzydziestu lat niebyła paniej oćczyzna.

Jako wiemy, eż Maciek nie dał lista wyżéj data, niż jako była oprawa.

Jako Oland kazał Prandocie i Klimontowi za się ręczyć w to słowo, eż miał Oland puścić ku przyjaciołom na wyjednanie a nie puścił oto mata sto grzywien szkody.

Jakośmy przytem byli, gdzie Maciek dał Lenartowej dwa policzki i krwawił ją.

Jaco wyemi ijszwyathczimi ez Climonth nebijl Clary meczowa glowicza ani ijeij policzkowal ani ijeij penandzi bral.

45. Petrus kmetho de Lanzani d. t. c. Raphalcam Thomassii de Osseczani.

Jaco paneij kaznija ijeij sluga wrocze stoija nadrodze dal Petrow synu trzi rani crwawe ij dwa woli wzal zatrzi grziwni.

46. Kochna de Jangroth d. t. c. Jaschconem de Quassznow.

Jaco wemi ez oczecz Kachnin wzanl XL grziwen poijeij macerzy.

47. Simon plebanus de Gorkow d. t. c. Andream Miczkonem et Petrum ratione medie partis, terminus ad sanctum Jacobum in Kazimirz heredibus de kijani.

Jaco blizeij Kdzedzinije xandcz Sijmon ani kneij nicz nijemaya.

48. Afra relicta Przibconis de Przibislauicz d. t. c. Maczkonem de ibidem.

Jacosm newzala vkmijecza V marcas cum VIII grossis ani kazala wzancz ani vmowila naczinsz stranczacz.

49. Nicolaus de Czudzinouicz d. t. c. Dzechnam uxorem Jacussii de Sczecoczini.

Jaco wemi ez N. newzal chysze Dzechnini ale wzal swa.

50. Brzanczco de Czudzinowicz d. t. c. Bogufaolem de ibidem super XII marcis.

Jacoswa przitem byla gdze Bogufal Brzanczcowy kazal zassya ranczicz sex marcas ysczini a sex schodi.

51. Miroslaus de Sedliska d. t. c. Jaschonem de Koberzisko.

Jako wiemy i świadczymy, eż Klimont niebił Klary mieczową głowicą ani jej policzkował ani jej pieniędzy brał.

Jako paniej kaźnią iej sługa w rocę stoią na drodze dał Pietrowu synu trzy rany krwawe i dwa woły wziął za trzy grzywny.

Jako wiemy, eż ociec Kachnin wziął czterdzieści grzywien po iej macierzy.

Jako bliżej k dziedzinie ksiądz Symon ani k niej nic nie mają.

Jakośm nie wzięła u kmiecia pięć grzywien z ośmiu groszami ani kazała wziąć ani umówiła na czynsz strącać.

Jako wiemy, eż Mikołaj nie wziął chyże Dziechniny, ale wziął swą.

Jakoświa przitem była, gdzie Bogufał Brzanczkowi kazał za się ręczyć sześć grzywien iściny a sześć szkody.

Jaco wemi ez Miroslaw nijezastrzelijl Przeczlawa ani go zabijl.

52. Pascho de Sluppow d. t. c. Elizabeth Nedome de paruo Xansz.

Jaco kaznija Nedomineij gwaltem syla wiramby bili ijeij ludze pyandzessanth woz chrosta ij wije zon na ijeij dwor.

53. Peczna Marcissij et Hanca filia sua de Drwijena d. t. c. Nemerzam de Przibislauicze.

Jaco Nemerza ani iego brat nije byli wdzerzniju dzedzini oth XV lat.

54. Borco de Tsczenecz d. t. c. Abbatem et conventum andreoviensem.

Jaco ta granicza narozna obrambijona netika sija Opathouich ijconuenczskich dzedzin ale ijest mijedzi wsijami Borcowymi.

55. Jascho de Buczina d. t. c. Nicolaum de Wilkowisko.

Jaco Micolaij przibijezaw nagozpoda dal parobku Jaschowu rana ij druga Jaschowi a potem czso sija dzalo to bijlo za ijego poczanthkem.

56. Albertus de Parcze d. t. c. Bogun de ibidem.

Jacoswa widzala gdze bogun swim dobijtkem czloweka Woijtkowa wwswoij dom wnoczi korzistna rzecza wijozl.

57. Testes Dzerszconis de Brnoczicze contra Cristkam relictam Thomconis de Knisszin.

Jacoswa przitem bijla gdze pani obwazala sije wiprawicz dzedzina nokczowska wecztirzechnaczcze grziwnach a wsijala szeszczdzessant.

58. Testes Nicolai de Bandcowicz contra Boguchna de ibidem.

Jako wiemy, eż Mirosław nie zastrzelił Przecława ani go zabił.

Jako kaźnią Niedominéj gwałtem siłą wyrąbili iéj ludzie pięćdziesiąt wóz chrósta i wiezion na iej dwór.

Jako Niemierza ani iego brat nie byli w dzierżeniu dziedziny od piętnastu lat.

Jako ta granica narożna obrąbiona nie tyka sia Opatowych Konwenckich dziedzin, ale jest między wsiami Borkowemi.

Jako Mikołaj, przybieżaw na gospodę, dał parobku Jaśkowu ranę i drugą Jaśkowi, a potem co się działo, to było za jego początkiem.

Jakoświa widziała, gdzie Bogun swym dobytkiem człowieka Wojtkowa w swój dom w nocy korzystną rzeczą wiózł.

Jakoświa przytem była, gdzie pani obwiązała się wyprawić dziedzinę Nokczowską we cztyrzecbnaście grzywnach a wzięła sześćdziesiąt.

Jaco Boguchna prziorala Micolaijowa rola o ijansz bijlo widzenije.

Jako Boguchna przyorała Mikołajowę rolę, o jąż było widzenie.

59. Testes Paschonis de Sluppow contra Mathiam de Jurzicouicze.

Jaco gdi Passzek Maczcoui dzessyancz grziwen zaplaczil ij pijancz szkodi tedi gij proznija pusczil.

Jako gdy Pasek Maćkowi dziesięć grzywien zapłacił i pięć szkody, tedy ji próżnia puścił.

60. Margaretha relicta Creslai condam Sandomiriensis d. t. c. Stanislaum Swantoslaum et Swanthoslaum de Modlnicza.

Jaco wemi ez pan Sandomirzki Crzeslaw ij pani iego oth szesczinaczcze lat spocoijem dzedzina.

Jako wiemy, eż pan Sandomirski Krzesław i pani jego od sześcinaście lat z pokojem dziedzinę (dzierżą).

61. Szdzech kmetho de Przeswodi d. t. c. Peregrinum de Woijewanouicz.

Jaco dom nebijl panskij alc gij kupijl vswego namyastka.

Jako dom nie był pański, ale ji kupił u swego namiastka.

62. Stassek et Martinus de Bandcouicz d. t. c. Jaschonem de ibidem.

Jaco wemi ez oth XXX lat bijli w dzerzheniju dzedzini anikth gich onya nijegabal.

Jako wiemy, iż od trzydziestu lat byli w dzierżeniu dziedziny a nikt ich o nię nie gabał.

63. Marcussius de Radwanouiczc d. t. c. Thomconem de ibidem.

Jaco Thomek czo oral tho oral Marcuszowo domijenicowske.

Jako Tomek co orał, to orał Markuszowo Domienikowskie.

64. Petrassius de Vlina d. t. c. Nastkam de ibidem.

Jaco wemi ez Nastka kazala Pijotraszowi ranczicz grziwna ij osijmnijaczczę scot.

Jako wiemy, eż Nastka kazała Piotraszowi ręczyć grzywnę i ośimniacie skot.

65. Nicolaus Kmetho de Jelouicz d. t. c. Nicolaum thabernatorem de Grusszow.

Jaco przijdancz nadzedzina Micolaij z grusszowa dal Micolaijowi naprzod rani.

Jako przyjdąc na dziedzinę Mikołaj z Gruszowa, dał Mikołajowi naprzod rany.

66. Andreas de dulowa d. t. c. Nicolaum et Franczkonem de ibidem.

Jaco wemi ez ijanl Micolaij Andrzeowa czloweka wijego prawem lessije y wyanzil gi.

Jako wiemy, eż iął Mikołaj Andrzeiowa człowieka w iego prawem lesie i wiąził ji.

67. Drogossius de Kalina d. t. c. Dobeslaum de Wola sasini.

Tako mi bog pomagaij Jako Krogulec v Dobka moy byl na ymyo czwik.

Tako mi Bóg pomagaj, jako Krogulec u Dobka mój był na imię (mianowicie) ćwik.

68. Johannes de Trambek d. t. c. Henricum procuratorem domini Episcopi Cracoviensis.

Jako wyemi y swadczimi esze grodzono po pana Janowye.

Jako wiemy i świadczymy, eże grodzono po pana Janowie.

69. Nicolaus de Olenino d. t. c. Derslaum de Marczinouicz.

Jako wijemy y swathczimi esz pan Miczek uyednal syc ss kmyeczem ss Woijtkyem o rany ij o dwoye wyanzanye dobrowolnye.

Jako wiemy i świadczymy, eż pan Miczek ujednał się z kmieciem z Wojtkiem o rany i o dwoje wiązanie dobrowolnie.

70. Jaschco Wincuski d. t. c. Staschconem Aduocatum Bochnensem heredem de Chodinicze.

Jako wyemi ij sswathczimi esze ssta grziwen zakladu a dwo ssto grziwen gisczini tego ne zaplacono.

Jako wiemy i świadczymy, eże sta grzywien zakładu a dwustu grzywien iściny tego nie zapłacono.

71. Christinus de Stradow d. t. c. Johannem de nouauilla..

Tako nam bog pomagay Jako wemi ij swathczimi eze Jego brath Janow przischedw ss tim gistim Janem bratem swim y ssyego wolo wzol kon Krczonow ij wedl gi w ijego dom.

Tako nam Bóg pomagaj, jako wiemy i świadczymy, eże iego brat Janow przyszedw z tym istym Janem bratem swym i z jego wolą wziął koń Krczonow (Krystyna) i wiodł ji w iego dom.

72. Sulko de Zabaw d. t. c. Poznanum de Zamboczin.

Jako wemi y sswathczimi cze csokoli rankoyma Jmram ranczil za Sulka to wschitko Sulęk Kmeczowi wroczil.

Jako wiemy i świadczymy, eże cokoli rękojmia Jmram ręczył za Sulka, to wszystko Sulek Kmieciowi wrócił.

73. Petrassius de Luczianowicz d. t. c. Jaschconem Andream fratres de Krolowicz.

Jako wyemij ij sswadczimi eze Sulkowi dzijeczi wwyanzali sye w iego czanscz mlina nagemsze on ymyal poltrzeczycy grziwni na zastawye.

Jako wiemy i świadczymy eże Sulkowy dzieci wwiązali się w jego cześć młyna, na jemże on imiał półtrzeciej grzywny na zastawie.

Przedstawiwszy tekst przysiąg, tak jak go znaleźliśmy zapisany we wskazanych księgach sądowych, zobaczmy, czy z doniesień urywkowych, które podają, nie dadzą się wyprowadzić ogólniejsze wnioski. W tym celu uważaliśmy za stosowne, wypisane roty opatrzyć jeszcze komparycyami, to jest, wymienieć strony, które do każdéj sprawy wpływały, wraz z oznaczeniem przedmiotu sprawy, tam gdzie takowy znaleźliśmy podany w księgach. W ogóle bowiem z samćj roty przysięgi bardzo trudno wywnioskować, co stanowiło przedmiot wypadku; dopiéro komparycya i oznaczenie przedmiotu sprawy zamieszczone nad rotą, rzucają niekiedy niejakie światło na fakta, które mogły były dać powód do sprawy, a co niezbędnie potrzebne dla wyrozumienia znaczenia przysięgi. Niezawsze wszakże i to doprowadzało do zamierzonego celu. Dlatego zapewnie nikt dziwić się nie będzie, że albo wszystkich przysiąg, tak jakby wypadało, nie zużytkowaliśmy, albo że wyprowadzone wnioski, niezawsze mogą się okazać trafnemi. W każdym razie, pochlebiamy sobie, że choć nieraz mogliśmy się omylić, w ogóle jednak wskazaliśmy drogę czyli sposób, w jaki podobny materyał może być zużytkowany. Wnioski nasze, o ile wątek dozwalał, staraliśmy się systematycznie ugrupować i nadać im pewną zaokrągloną postawę całości.

Stany: panowie, szlachta, mieszczanie, kmiecie, słudzy.

W przytoczonych rotach wyraźnie wyróżniają się cztery klassy: panów, ludzi stanu średniego bez osobnego nazwania, kmieci i sług.

Nazwanie *pana* przedewszystkiém przyswojone było kasztelanom. Pan Sandomierski bez żadnego innego dodatku, którego wspomina przysięga pod nr. 60, jestto ówczesny kasztelan sandomierski Krzesław. Powoli dostało się ono innym dostojnikom. Następnie, jak się zdaje, przeszło na wszystkich posiadaczy całych a potém i częściowych osiadłych włości. Pan Miczek wspomniany w rocie pod nr. 69 był zapewne dziedzicem całego Olenina [1]. W adnotacyi dodanéj do téj roty zaznaczono, że nosi nazwisko Oleliński [2], coby może

---

[1]) Wspomina się on także jako dziedzic z Olelina pod nr. 32. Olenin wieś położona w Olkuskiém.

[2]) Nicolaus predictus Oleliński.

wskazywało, iż piérwsi panowie całych dziedzin przybierali od nich stałe nazwiska. Wzmianki dalsze o panach i paniach podają nr. 39, 40, 45, 68.

Większa część innych osób występujących w rotach są to swobodni posiadacze ziemi, a między nimi po największéj części drobna szlachta władnąca częściami wsi osiadłemi, albo téż nieosiadłemi dziedzinami. O jednéj z tych osób wspomina się, że posiada trzech kmieci, pół karczmy i pół zagrody (nr. 30), o innéj, że dostała w spadku dom, siedlisko i ogród (nr. 2).

Do rzędu téj średniéj klassy należeli także tak zwani w tekstach łacińskich *familiares*, jak sądzę, dworzanie. Siedzieli oni na dworach panów i spełniali różne, podług pojęć ówczesnych, więcéj szlachetne usługi. Dotąd o nich bardzo mało wiemy, dopiéro dokładniejsze rozpatrzenie się w księgach sądowych, które często o nich wspominają, objaśnić może zdołają właściwe ich znaczenie. Przysięgi nasze wspominają o jednym z nich, zwanym Stasiek Baran, który gdy mu Jan z Iwanowic zarzucał, że nie jest szlachcicem, że nie służy mu *jus militare*, wywiódł pochodzenie swe szlacheckie przed sądem ziemskim sześciu stawionemi świadkami. Świadkowie zaprzysięgli, że Stasiek jest ich brat i że jest ich klejnotu i zawołania (nr. 13). Wnosićby z tego można, że klassę tych *familiares* tworzyła u boku panów uboga szlachta, która téż pewno ze swoim pryncypałem szła na wojnę.

Mamy téż wzmiankowanych i *mieszczan*. Mikołaj z Kazimierza występuje przed sądem ziemskim, jako powód w sprawie o czynsz (nr. 16), drugi raz jako zapozwany (nr. 29). W innym przypadku mieszczanka krakowska zanosi do sądu ziemskiego skargę o wyrządzone jéj czynne obelgi (nr. 43) [1]. Niewątpliwie i Petirborg czyli Petirburg, zwany także Peter Hanzel Borg był także mieszczaninem (n-ra 28, 36), ale posiadał ziemskie własności i toczył o nie procesa przed sądem ziemskim.

Dalszą oddzielną klassę społeczeństwa tworzyli *kmiecie*, stale pod nazwaniem tém w aktach występujący. Roty dostarczają o nich następujących szczczegółów: kmiecie stają w sądzie ziemskim jako pozywający (n-ra 45, 61) i jako pozwani (n-ra 18, 35); podany téż przypadek, gdzie pozywającym i pozwanym jest kmieć (nr. 65). Kmiecie siedzą na dziedzinach szlachty, jak pokazuje nr. 30, gdzie Stasiek dzierży dziedzinę w Korabinie, na któréj siedzi trzech kmieci. Od posiadanych w dziedzinach szlacheckich ziem, opłacają panom *czynsz* (nr. 48). Kmiecie kupują domy (nr. 61) [2], dzierżawią karczmy (nr.

---

[1]) Toż samo Klara mieszczka skarżyła o bicie i zabór pieniędzy (nr. 44).

[2]) Godne tu zaznaczenia, że świadkowie zaprzysięgają, iż dom, który kupił Zdziech kmieć, nie był pański, ale był kupiony u swego równego.

65), otrzymują wynagrodzenia (nr. 72), godzą się o płatę za zabójstwo i rany i płatę takową pobierają (n-ra 18, 69).

Ostatnią klassę wyróżnioną w rotach tworzą *sługi* panów (nr. 45) i tak znani *ludzie*, a *człowiek* w liczbie pojedyńczéj (n-ra: 1, 52, 56, 66). Oznaczano ich jako *swoich* ludzi (n-ra 1, 52). Sług osób niższéj klassy zwano *parobkami* (nr. 55). Jak wielki wpływ wywierali panowie na czynności swych sług i ludzi, dowodzi, że polecali im spełniać różne gwałty i znajdowali w nich posłuszne swéj woli narzędzia (n-ra 1, 52).

Może właściwém będzie w tém miejscu wspomnieć o imionach, nazwiskach i przydomkach, jakie noszą wspomniane w przysięgach osoby.

Zwyczajem powszechnie przyjętym imiona zastąpione bywały przez zdrobniałe.

Większa część imion jest jeszcze słowiańskich. Między niemi spotykamy następujące: Bogufał (nr. 50), Bogusz (nr. 35), Boguchna od Bogusława (nr. 58). Bogun (nr. 56), Borek od Borzisława (nr. 37), Boxa (nr. 9), Branczko (nr. 50), Dobek od Dobiesława (nr. 3), Dragosz od Dragosława (nr. 67), Dzierzko, Dziechna od Dzierzisława (n-ra 57, 68), Krzesław (nr. 60), Machna (nr. 3), Mieczsław (nr. 10), Miłota (nr. 1), Mirosław (nr. 51), Mściwój (nr. 2), Niemierza (nr. 53), Niedoma (nr. 52), Oland (nr. 42), Pasko, Pasek od Pakosława (n-ra 18, 59), Prandota (nr. 38), Przybek, Przichna od Przybysława (n-ra 17, 25), Przecław (nr. 51), Pechna (nr. 26), Stanisław, zdrobniałe Stasiek (nr. 12), Sulek od Sulisława (nr. 72), Świętochna od Świętosławy (nr. 2), Swąch (nr. 22), Wanch (nr. 16), Wącław (Wacław) (nr. 32), Warcisław (nr. 7), Wilczek (nr. 27), Włodek od Włodzisława (nr. 7), Wisek od Wisława (nr. 5), Wojtek czyli Wojciech, a właściwie Wojciesław (n-ra 56, 69).

Imiona łacińskie (kalendarzowe) spolszczone znajdujemy takie: Bartosz zamiast Bartholomeus, Bartłomiéj (nr. 24), Franczko zamiast Franciscus, Franciszek (nr. 38), Jan, Iwan, zdrobniałe Jaśko, Jasiek zamiast Johannes (n-ra: 3, 11, 27, 68, 71), Jakusz zamiast Jacobus, Jakób (nr. 12), Kachna, Katusza zamiast Catherina, Katarzyna (nr. 29, 46), Kliment zamiast Klemens (nr. 44), Krzon, Kristek zamiast Chrystianus, Krystyn (nr. 31, 71), Lenart zamiast Leonardus, Leonard (nr. 43), Maciéj, zdrobniałe Maciek, zamiast Mathias (nr. 21, 32), Mikołaj, zdrobniałe Miczek (nr. 9, 69), Nastka, zamiast Anastazya (nr. 64), Piotrasz, Pietruszka zamiast Petrus (Petrassius), Piotr (nr. 15, 64), Tomek zamiast Thomas, Tomasz (nr. 63), Wicek Vincentius, Wincenty (nr. 27).

Wspomnieni w przysięgach kmiecie noszą imiona: Jan (nr. 18), Mikołaj (nr. 65), Piotr (nr. 45), Sulek (nr. 72), Wojtek (nr. 69), Zdziech (nr. 61).

Nazwisk mamy tylko trzy: Oleliński, Giebułtowski (nr. 12) i Wykuski (nr. 70); za to więcéj przydomków: i tak powołany pod nr. 34

Andrzéj zowie się Niemsta, jeden Stanisław zowie się Baran (nr. 13), drugi Jelitko (nr. 30), jeden Mikołaj Kłos (nr. 17), drugi Gandenek (nr. 33), trzeci Wątroba (nr. 19).

Stosunki familijne.—Stanowisko prawne kobiét.

Pomniki nasze dostarczają nam nader ciekawych danych, dla oznaczenia prawnego stanowiska kobiét, tak zamężnych jako i niezamężnych w ziemi Krakowskiéj pod koniec wieku XIV.

Najprzód występują kobiéty zamężne, jako pozywające i prowadzące same procesa; i tak wspomniane są jako strona powodowa: Przychna żona Filipa z Mysłowic o nieprawe zawładanie dziedziną jéj zastawioną (nr. 25), Jadwiga żona Leonarda z Krakowa o czynne obelgi względem niéj dokonane (nr. 43), Pechna żona Dzierzka dowodzi, że zwróciła wszelkie odzienie, do zwrotu którego była obowiązaną (nr. 39), Helena żona Marcina stawia na to świadków, że Kristek opłacał matce procent od wiana (nr. 31) [1]).

Również same mężatki zapozywają się i odpowiadają w sprawach wyłącznie ich dotyczących, czego dowodzą następujące przypadki: żona Miłoty zapozwana o danie rozkazu swym ludziom wyrąbania drzewa w obcym lesie (nr. 1), Helena żona Klemensa zapozwana o dziedzinę (nr. 40), Klara żona Pawła pozwana w sprawie o czynne obelgi, jakoby na niéj dokonane przez Klemensa, który chciał się oczyścić ze zrobionego mu zarzutu (nr. 44), Rafałka żona Tomasza pozwana o polecenie dane słudze swemu napadnięcia na syna Piotra kmiecia i zadanie mu ran (nr. 45), Dziechna żona Jakusza pozwana w sprawie o zabór rzeczy do niéj należących, jakoby dokonany przez Mikołaja z Cudzinowic (nr. 49), Elżbiéta Niedomy pozwana o danie rozkazu ludziom swym wycięcia chrustu (nr. 52).

Mamy niemniéj przykład zapozwania żony wraz ze swym mężem o nieprawe posiadanie dziedziny (nr. 2).

Podobnie wdowy prowadzą swe własne sprawy bez postronnego wpływu. Afra wdowa po Przybku pozywa i dowodzi przez przysięgę świadków, że ani sama nie wzięła u kmiecia 5 grzywien, ani téż wziąć kazała, ani wreszcie z czynszu przez niego opłacanego strącała (nr. 48).

Tak samo swobodnie działają w swych sprawach kobiéty niezamężne, jak przekonywają sprawy opisane pod nr. 46, 58, 64 i 19. W piérwszym przypadku Kachna z Jangrodu dowodzi jako pozywająca, że ojciec jéj wziął po jéj matce 40 grzywien; w drugim, powołu-

---

[1]) Zdaje się, że Pechna i Helena, kiedy rozpoczęły proces, były powtórnie zaślubione.

je się do sądu Boguchna z Bądkowic, że orała obcą ziemię; w trzecim dowodzono Nastce z Wliny, że wzięła porękę od Piotra na zapłacenie jednéj grzywny i ośmnastu skojców; w czwartym stawiano świadków dla udowodnienia zapozwanéj Małgorzacie z Budziejowic, że zobowiązała się do zapłacenia długu żydowskiego [1]).

Daléj płynie przekonanie z przytoczonych przysiąg, że kobiéty zamężne zarządzały swojemi dziedzinami. Wniosek ten wyprowadzamy z następnych, w części już wyżéj przytoczonych okoliczności, a mianowicie, że siedząc na wsiach i zarządzając gospodarstwem, pozwalały sobie niekiedy dawać ludziom swoim polecenie do spełnienia różnych gwałtów (nr. 1, 45, 52); że pobierały same czynsze od kmieci swoich (nr. 48, 16); że brały w zastaw dziedziny, że zatém udzielały pożyczki z własnych funduszów (nr. 46); że razem z mężami pozywanę były o nieprawe dzierżenie majątków (nr. 2).

Oddzielność stanowiska prawnego żony dowodzi i to, że w przypadku wspomnianym pod nr. 16, mąż ręczy za żonę trzeciéj osobie, że nie będzie procesowała o czynsz, ani żądać będzie w opłacie jego rękojmi pod oznaczoną karą konwencyonalną. Dopuszczono téż, że mogą być przypadki, w których mąż i żona wspólnie mogą nabyć prawo własności, skutkiem dzierżenia majątku przez przeciąg czasu na dawność zakreślonego (nr. 60). Miało to miejsce w sprawie Małgorzaty wdowy po Krzesławie kasztelanie sandomirskim ze Stanisławem i Świętosławem z Modlnicy, gdzie świadkowie zaprzysięgli, że pan Sandomirski ze swoją panią majątek dzierżyli z pokojem od lat szesnastu.

Tém więcéj kobiéty niezamężne działać musiały swobodnie: jakoż widzimy, że mogły same zobowiązywać się do spłacenia długów, do wykupienia z zastawu majątków (nr. 57), że stawiały rękojmie, że zarządzały swemi majątkami (n-ra 19, 57, 58, 64) [2]).

Ciekawe także szczegóły podają nasze przysięgi o wdowach, wychodzących powtórnie za mąż. W jednym przypadku zaprzysięgają świadkowie, że wdowa zawierając powtórne małżeństwo, wzięła to, co miała i co przyniosła w dom piérwszego męża i że z tém tylko szła za drugiego męża (nr. 29). W drugim przypadku, który jak

---

[1]) Długiem żydowskim (debitum judaicum), zwano dług zaciągnięty u starozakonnego.

[2]) Jak pogodzić z temi faktami, co prof. Burzyński mówi: że poczynając od *ustawodawstwa Kazimierza W.* uważana jest ciągle płeć żeńska jako *sexus fragilis*, jako taka poddana nieustającéj opiece, przed zamęzciem, rodzicielskiéj, po zamęzciu, mężowskiéj, po owdowieniu kuratorskiéj (*Prawo Polskie*. Kraków, 1871; T. II, 118)? Co więcéj, na str. 114 zdaniu temu nadaje jeszcze większą rozciągłość, utrzymując, że zasady te nieprzerwanie *przez cały ciąg Państwa* były *w praktyce sądowéj* stosowane.

sądzę ma także na względzie wdowę wychodzącą za mąż, świadkowie zeznają, że zwróciła pewne odzienie i nie zobowiązywała się innego zwracać (nr. 39).

Dowiadujemy się również, iż bywały przypadki, w których synowie wdów za wiano matczyne po śmierci ojca, opłacali matce procent pod nazwaniem czynszu (nr. 21), z powodu że wiano było lokowane na nieruchomości, w ich dzierżeniu będącéj.

Jeszcze kilka przysiąg odnosi się do spadków. W sporze między księdzem Szymonem plebanem z Górkowa a Miczkiem i Piotrem z Kijan o spadek, świadkowie zeznają, że ksiądz Szymon jest *bliższy* do dziedziny i że pozwani do niéj *nic nie mają* (nr. 47). Okoliczność ta stwierdza przechodzenie spadków na dalszych krewnych i zarazem wskazuje, że w braku metryk urodzenia bliższość pokrewieństwa dowodzono przysięgą świadków.

Gdy spadek otworzył się dzielono go gdy było więcéj spadkobierców czyli oznaczano w nim działy a następnie działy między sobą losowano; dowodzi tego rota przysięgi pod nr. 2, gdzie powiedziano, że pozwani zawładali tém, co się Swiętochnie dostało *działem* i *losem*.

Majątki idące do działu były *ojczyzną* (nr. 40) gdy pochodziły od strony ojca, albo były dziedziną *macierzystą* (nr. 26), to jest majątkiem spadłym po matce.

Przypadek wspomniony pod nr. 26 stwierdza dawną zasadę, że po śmierci matki pozostałe po niéj dziedziny zaraz przechodziły na dzieci.

Posiadanie.—Dawność.—Własność.

Tam gdzie spisywanie aktów konstatujących nabycie lub przejście własności z jednéj osoby na drugą jeszcze niepowszechne, gdzie ciągłe wojny i napady niszczą przywileje i listy [1]), a także gdzie granice posiadłości nieustalone i wiele pustek przez nikogo nie zajętych, tam samo posiadanie czyli jak je zwano *dzierżenie* i oparta na niém dawność, muszą grać w stosunkach społeczeńskich nie małą rolę. Ztąd też pochodzi, że w przysięgach naszych napotykamy na tak częste dowodzenia własności za pośrednictwem wywodu posiadania jéj przez pewien przeciąg czasu. Broniący się nie przedstawia dokumentów dla wykazania prawa swego do ziemi, którą mieni być swoją, powołuje się tylko na to, że ją dzierży przez pewien przeciąg czasu *bez przerwy* i *z pokojem*, to jest, że nikt w zakresie tym czasu o nią go nie pozywał. Objaśnią to przykłady wzięte z przysiąg.

---

[1]) Jak ginęły przywileje, pokazuje przykład pod nr. 11, gdzie wspomniana utrata przywileju na prawo niemieckie w Jodlczy.

I tak pod nr. 53 uważa się za odpadłego od dziedziny ten, kto nie posiadał jéj przez lat piętnaście.

Pod nr. 30 świadkowie przysięgają, że Stasiek *dzierży dziedzinę z pokoiem* przez lat 16, ani mu takowa *nigdy z rąk nie wychodziła.*

Pod nr. 34 przysięgają, że pozwany *dzierżał dziedzinę z pokoiem* aż do wydania *pozwu*, przez 18 i więcéj lat.

Pod nr. 60 powołani świadkowie wykonywają przysięgę na to, że pan Sandomirski Krzesław (zmarły już wówczas, gdy sprawa toczyła się) i jego małżonka Małgorzata posiadali *dziedzinę od lat 16.*

Pod nr. 62 Stasiek i Marcin z Bandkowic dowodzą przysięgą powołanych świaków, że *od lat trzydziestu byli w dzierżeniu dziedziny i nikt ich o nią nie gabał*, czyli nie zapozywał.

Wreszcie przysięgą pod nr. 37 stwierdza się, że *dziedzina od sześćdziesięciu lat nie wychodziła z dzierżenia* opata i konwentu. Sprawa była między opatem jędrzejowskim i Borkiem ze Sczenic.

Z zestawienia tych rot i porównania ich między sobą wynika, że podług zasad przyjętych w ostatnich latach XIV wieku w praktyce sądowéj ziemi Krakowskiéj, posiadanie majątku nadawało tytuł własności, jeśli łączyło w sobie wspomniane trzy warunki, a mianowicie: jeśli trwało pewien przeciąg czasu, jeśli nie wychodziło przez ten czas z rąk posiadającego (nr. 30, 37), nakoniec jeśli było spokojném, to jest, gdy w ciągu tego czasu nikt posiadacza o nią *nie gabał* czyli do sądu *nie pozywał* (nr. 34, 62).

Pytanie tylko, jak długo w tym razie powinno było trwać posiadanie podług ówczesnéj praktyki sądowéj? Z przytoczonych rot powołują się: jedna rota na piętnastoletnię dzierżenie (nr. 53), dwie na posiadanie szesnastoletnie (nr. 30, 60), jedna na posiadanie lat ośmnastu (nr. 34), jedna znowu na posiadanie lat trzydziestu (nr. 62), a jedna przytacza nawet w obronie lat sześćdziesiąt (nr. 37). Wypadałoby z tego, że poczytywano lat piętnaście [1]) za najkrótszy termin do zyskania dawności na ziemiach spokojnie posiadanych. Jeśli tak było, to podobna praktyka zdawałaby się stać w sprzeczności z postanowieniami małopolskiemi Statutów Wiślickich, które za odpadłego od poszukiwania prawa własności na ziemi poczytywały tego, kto w czasie pokoju i zgody (tempore pacis et concordie) nie gabał posiadającego spokojnie (pacifice et quiete) dziedzinę przez lat trzy i trzy miesiące [2]). Chybaby przypuścić należało, że w przytoczonych dopiéro co przypadkach, w których powoływano się na piętnastoletnie i dłuższe posiadanie, miały miejsce wojny i domowe niezgody, usprawiedliwiające dłuższy termin do poszukiwania prawa własności.

---

[1]) Może pod nr. 53 powinno było być zamiast XV—XVI, to jest szesnaście.

[2]) Bandtkie *Jus polonicum* str. 58 (XL).

Zwracamy tymczasem na tę okoliczność uwagę, jako na jednę z tych wątpliwości, które będzie można wyjaśnić jedynie za pomocą gruntownego zbadania naszych starych ksiąg sądowych.

Wszystko co dotąd wiemy o dawności, upoważnia nas do wnioskowania, że stare nasze prawo przedstatutowe nie znało stałego terminu na dawność, i że zostawiało uznaniu sądów, o ile w każdym zdarzonym przypadku, w miarę zachodzących okoliczności, uznają za właściwe przyznać upłyniony przeciąg czasu za dostateczny dla przyznania dawności. Za tém dopiéro, jak się zdaje, wyrodziło się w różnych stronach kraju przyjęcie pewnych stałych terminów i to w ten sposób, jak to stwierdzają nasze roty, że zawsze ten *przynajmniéj* termin powinien był minąć, aby można było wystąpić z żądaniem przyznania sobie własności na zasadzie dawności. Terminem tym mogło być w ziemi krakowskiéj lat 15, a jeśli w rotach powoływano się na dłuższe termina, czyniono to dla wzmocnienia wniesionego żądania.

Że w rzeczy saméj po różnych ziemiach różne obserwowano termina przedawnienia, wyraźnie świadczy Władysław Jagiełło w Statutach Wartskich, przywodząc że dla przedawnienia dziedziny zastawionéj, w niektórych ziemiach za dostateczne uważano lat ośmnaście [1]), rozumie się, za jego jeszcze czasów, choć Statuta Wiślickie oznaczały na ten przypadek lat trzydzieści.

Czy Statut Wiślicki rzeczywiście zdołał zachwiać w tym względzie zasady praktyki sądowéj? wątpimy; sądzimy bowiem że przepis jego wyżéj powołany, miał głównie na względzie prawo służące krewnym do zaniesienia protestacyi przeciw alienacyi majątku dziedzicznego, dokonanéj bez ich zezwolenia.

Wspomniany pod nr. 61 przypadek może być odniesiony do dziedziny w zastawie będącéj, która podług rozporządzenia Kazimierza W. nabywała się przez dawność trzydziestoletnią. Lecz co myśléć o sześćdziesięciu latach posiadania, którém zasłaniał się klasztor Jędrzejowski? Dopuszczam, że w tém zdarzeniu klasztor przytaczał tak długie posiadanie dlatego, że nie mógł bronić się spokojném dzierżeniem, bo pewno był w tym przeciągu czasu o tę samą dziedzinę nieraz pozwami niepokojony; ale pozwy zwycięzko odpie-

---

[1]) Bandtkie *Jus polonicum* str. 207 (IX), praescriptio possessionis, in pecuniis obligatae, *in quibusdam terris nostris* ad octodecem annos servabatur. Łaski w tém miejscu mylnie wydrukował zamiast terris, *litteris*, zkąd poszło, że i Herburt miejsce to tłumaczy: *w listach naszych*. Manuskrypt Ustaw Wartskich z połowy XV wieku, bardzo starannie pisany, który w zbiorze moim posiadam, ma wyraźnie *in terris*. W tłumaczeniu Świętosława stoi niemniéj: yakokole w nyektorich *zemyach* naszych. Lelewel: *Historyczne Pomniki*, Wilno 1824, str 128.

rał i mógł tylko twierdzić, co też i uczynił, że przez ten przeciąg czasu dziedzina z rąk jego nie wychodziła.

Pozwalamy sobie w tém zaraz miejscu wspomnieć o przedawnieniu pretensyj pieniężnych. Stawieni świadkowie przez Prandotę z Nieprzesny, który dochodził 30 grzywien na Marcinie z Górki, przysięgają, iż powołał był przeciwnika *pierwéj niż trzy lata wyszło* (nr. 14), zkąd wyprowadzamy wniosek, że podług przyjętéj praktyki, wierzytelność przedawniała się upływem lat trzech.

Nie znajdujemy w rotach naszych wyrażenia na oddanie wyrazu własności, mamy tylko wyraz *dziedzina* dla oznaczenia ziemi posiadanéj prawem własności (nr. 24, 27, 30 i inne). Wywiązał się on z pojęć pierwotnych prawa spadkowego. Kto posiadał dziedzinę zwany bywał *dziedzic* (nr. 37). Dziedziny, jak wyżéj wspomnieliśmy, nazywano albo ojczyznami, albo dziedzinami macierzystemi, gdy chciano oznaczyć, po którym z rodziców przeszły na obecnego posiadacza. Dla onaczenia zaś że cóś się stało na czyjéj własnéj ziemi lub na jego łąkach, lub jego lesie, mówiono np. że schwytano człowieka w jego *prawym lesie* (nr. 66), że ktoś poorał *swe* a nie obce trawniki (nr. 22), albo że poorał *swe*, jak to dowodzą jego listy czyli dokumenta (nr. 28).

Zarządzającego majątkiem i użytkującego z niego nazywano *gospodą* (nr. 8), lub *gospodarzem;* i tak w sprawach o własność dziedzin dowodzono, że przeciwna strona nie była nigdy gospodarzem dziedziny zakwestyonowanéj, ani takowa nie była w jéj *trzymaniu* (nr. 3, 37).

Prawo własności znajdujemy w przysięgach naszych oparte na przedawnieniu, na kupnie, które w razie, gdy nie było dokumentów dowodzono świadkami (nr. 8, 28), na spadku (nr. 26).

Większe dziedziny były zwykle jedne od drugich odgraniczone. W rotach naszych dwa razy są wspomniane granice: raz wyprowadza się na to dowód, że granica nie tyka opackich i klasztornych dziedzin, lecz idzie między wsiami prowadzącego dowód (nr. 54); drugi raz, że drzewo porąbane zostało zagranicą oznaczonéj miejscowości (nr. 1). Mniejsze posiadłości grodzono (nr. 68).

Większe posiadłości osiedlone, noszące starodawne nazwania, zwały się wsiami (nr. 54); mniejsze, w których mieszkał sam właściciel, *zagrodą* (nr. 30). Większą posiadłość prócz siedzib kmiecich tworzył *dom pański* (nr. 24, 61), *dwór* (nr. 52), *role* czyli pola orne (nr. 4), *trawniki* czyli łąki (nr. 22), *gaje*, *lasy* (nr. 4). Mniejsze posiadłości zwane *zagrodą* (nr. 30), składały się głównie z siedliska (area) czyli przestrzeni na któréj stał *dom* i *ogrodu* (nr. 2), Mniejszych posiadłości rozległość oznaczono ilością *stai* (stadia) (nr. 25), większych *łanami* (nr. 38).

Wsie, jeśli w całym składzie swoim nie należały do jednego pana, rozdzielone były między licznych właścicieli, co stanowiło tak zwane *części* (sortes) (nr. 8). Części te zwyczajnie nosiły nazwiska

właścicieli teraźniejszych lub dawniejszych; przysięgi wspominają *część Hyncowską i Michałowską* (nr. 22, 25).

Wspomnione są wreszcie jako oddzielne osiadłości *karczmy i młyny* (nr. 30, 73).

Jak rozdrobioną była własność, pokazuje ta okoliczność, że mówi się o własności *pól* karczmy, o własności *części* młyna, o dziedzinie obszerności czterech stai (nr. 30, 73, 25).

Nieprawe wwiązanie, szkody.

Nieprawe zajęcie obcéj dziedziny a zwłaszcza opanowania jéj gwałtem zwano wwiązaniem, a o tym, który tego dokonał mówiono *wwiązał się mocą w dziedzinę* lub w jéj *część*, albo że *dzierży* ją *siłą* i *mocą* (nr. 25, 73, 22). Wwiązanie takie nie dawało prawa do dalszego trzymania dziedziny, a trzymający ją, w razie wytoczonéj sprawy, musiał z niéj ustępować.

O szkodach wyrządzonych w cudzym majątku donoszą następujące roty: 1) rota pod nr. 4 mówi o *uczynieniu szkody na 100 grzyw.* w rolach, gajach i lasach w dziedzinie Prandoty, położonéj w Jurzikowicach; 2) rota pod nr. 1 wykazuje, że z polecenia pani Miłociny ludzie jéj *wyrąbali* w Rokitnie półtorasta drzew; 3) rota zaś pod nr. 52 przytacza, że ludzie także z polecenia swéj pani *wyrznęli* pięćdziesiąt wozów chrustu. W ostatnim razie dodano jeszcze wyraźnie, że to uczyniono *gwałtem* i *siłą*; pytanie tylko czy wycinający natrafili na opór ze strony właściciela i takowy mocą odparli, czy téż przez wyrazy te chciano jedynie oznaczyć, że czyn spełniony został przez wielu ludzi razem wyprawionych. W obu ostatnich razach uczyniona wzmianka o danym rozkazie przez pana, co sprowadzać miało oswobodzenie od odpowiedzialności ludzi, którzy rozkaz pański wykonali, jak to stanowczo objawiają małopolskie, wiślickie statuta [1]), w razach bowiem podobnych chodziło nie o wyrzeczenie kary, ale wyłącznie o przyznanie wynagrodzenia za przyczynione szkody.

W dwóch jeszcze rotach powołane oranie obcych ziem, zapewne w tym celu, aby zrządzone przez czyn ten właścicielowi szkody wynagrodzone zostały (nr. 58, 63). Dlatego téż w piérwszym przypadku dla konstatowania szkody, sprowadzony został na miejsce służebnik sądowy, który dokonał *widzenie*, czyli wizyą (visio) miejsc zoranych, o czém następnie składał sądowi swe doniesienie.

---

[1]) Bandtkie: *Jus polonicum* str. 129 (VIII) i str. 44 (XXI), gdzie niewłaściwie zamiast *nolentes*, wydrukowano za edycyami Łaskiego i Konarskiego *volentes*.

Zobowiązania.—Zastawy.—Rękojmie.

Brać na siebie zobowiązanie wyrażano przez słowo *obwiązywać się*. Mówiono: Margareta *obwiązała się długu żydowskiego* (to jest do uiszczenia długu zaciągnionego u starozakonnego), pani *obwiązała się wyprawić dziedzinę* (nr. 19, 57).

Kto zaciągnięte zobowiązanie spełniał, oswobadzał się od niego, a zaspokojony winien był zwalniać go od przyjętego na siebie zobowiązania, co znajdujemy tak sformułowane w rocie 59: *Pasek Maćkowi dziesięć grzywien zapłacił.. tedy go próżnym puścił.*

Dłużna summa kapitalna zwała się *iścinq* (nr. 50, 70), a za nieopłacenie jéj na czas naznaczony, uiszczano *szkody*, lub wymówioną naprzód karę konwencyonalną, którą zwano *zakładem* (nr. 59, 70). Zwykle jedno i drugie wynosiło połowę summy kapitalnéj, niekiedy i drugie tyle (nr. 12, 50).

Pożyczka zwyczajnie zabezpieczała się *zastawem* nieruchomości. O zastawach donoszą roty pod nr. 17, 27, 71. O nieruchomości zastawionéj mówiono: *stoi w zastawie* (nr. 17), albo dziedzina *chodzi po zastawie* w oznaczonéj ilości pieniędzy *z ręki* tego a tego to (nr. 27), albo *na niéj mieć* oznaczoną ilość pieniędzy *na zastawie* (nr. 71). Zastaw połączony był zwyczajnie z oddaniem w posiadanie zastawionéj dziedziny (nr. 71).

Zobowiązany do uiszczenia lub uczynienia czego, albo do nieuczynienia, zwłaszcza gdy okazywał się niedosyć odpowiedzialnym, stawiał porękę.

Dający porękę za dłużnika, zobowiązywał się, że w oznaczonym terminie zapłaci poręczoną summę, a jeśliby tego nie uczynił, *poddawał się* pod karę umówioną. Zaświadczają to dwie roty umieszczone pod nr. 12, gdzie Jakusz poręcza trzy grzywny za Staśka i poddaje się pod drugie trzy grzywny jeśli nie uiści się Michałkowi na terminie [1]).

Poręczyciel dawał zawsze rękojmię na zapłacenie pewnego likwidum, które oznaczano przez należną summę grzywien, z dodaniem, gdzie wypadało, groszy lub skojców (nr. 5, 21, 63), lub na oznaczoną summę kapitalną i należące się od niéj szkody (nr. 50).

Porękę stawiała albo jedna osoba, albo razem kilka osób solidarnie, co zwało się *ręczyć pospolitą ręką* czyli wspólną ręką (n. 21).

Poręka w ówczesnych aktach sądowych po łacinie zowie się *cautio fidejussoria*, co przełożono w rocie pod nr. 12 przez *zakład*

---

[1]) Jak widać, było sądowi trudno w przypadku tym sformułować rotę, dlatego piérwsza została przekreśloną, właściwie jednak i druga była niedokładną; zrozumiéć można o co chodziło dopiéro przez porównanie obudwóch.

rękojemstwa. Wyrażenie *rękojemstwo*, *rękojmią ręczyć* (nr. 72), albo tylko *ręczyć*, pochodzi zapewnie od obrzędu podawania ręki temu komu ręczono, na znak dotrzymania zobowiązania.

Zastanawia nas użyte kilka razy w rotach wyrażenie *kazać* za siebie ręczyć (nr. 5, 64); czy miałoby to oznaczać, że dający rękojmię był w stosunku zawisłości do tego, za kogo ręczył? Zkądinąd wiemy, że znane było w kraju rękojemstwo poddanych za panów [1]). Ten za kogo ręczono i za kogo spełniono zobowiązanie, był w obowiązku wynagrodzić poręczyciela (nr. 12). Jeśli zaś ten, który ręczył, nie spełniał zobowiązania, winien był wynadgrodzić za szkody poniesione przez tego, za kogo ręczył (nr. 5), który w takim razie sam zaspakajał swego wierzyciela (nr. 72).

Dawano porękę i za to, że ktoś zobowiązał się był czegoś nie uczynić, albo też coś dokonać. Przypadek piérwszy przedstawia rota pod nr. 16, gdzie Wanch ręczy za żonę Mikołajowi, że nie będzie go gabać o czynsz i o danie rękojmi za opłacenie jego, a gdyby to uczyniła, że zapłaci mu 10 grzywien. Drugi przykład spotykamy w rocie pod nr. 42, gdzie Prandota i Klimont ręczą za Olanda, że z przyjaciołmi, czyli krewnemi starać się będzie pogodzić [2]), co gdy tenże nie uczynił, zrządził im szkody na 100 grzywien.

Przestępstwa.

Wspomniane są: zabójstwo, zranienia, zakrwawienie, policzkowanie, najechanie domu, porwanie człowieka, rabunek, zabór przedmiotów. Większa część rot w sprawach o przestępstwa wymierzona jest przeciw oskarżonemu. Kilka ma na celu uniewinnienie.

W sprawie o *zabicie* Przecława chodziło o zwalczenie podejrzenia przeciw Mikołajowi. Stawieni świadkowie powołują się na własne w tym względzie przeświadczenie, zaprzysięgli, że Mirosław ani zastrzelił, ani innym sposobem pozbawił życia Przecława (nr. 51).

O popełnione zabójstwo było wolno jednać się, czyli godzić. W przypadku pod nr. 18 nietylko zgoda nastąpiła, ale i rzeczywiście umówiona opłata *przebraną* została. Zwracamy na to uwagę, że chodziło tu o zabicie kmiecia. Jeśli popełniający zabójstwo nie był w stanie sam zaraz uiścić *głównych pieniędzy* [3]), stawiał rękojmię (nr. 15).

---

[1]) Zob. Herburt str. 528: *Rękojemstwo poddanych województwa płockiego, ziemie Sochaczewskiéj.*

[2]) Tak rozumiem słowa: *puścić ku przyjaciołom na wyjednanie.*

[3]) Helcel: *Starodawne pomniki* t. II, nr. 100; ma wyrażenie: *capitalis pecunia.*

Zadanie *ran* jest przedmiotem sześciu rot (n-ra: 7, 24, 35, 45, 55, 65). Jako bliższe określenia gatunku ran, występują: *rany krwawe* (nr. 45), rany zadane *na drodze* (nr. 45), na *dobrowolnéj* (publicznéj) *drodze* (nr. 35), rany przy najściu na *dom* (nr. 24), na *gospodę* (nr. 55). Wyróżnienie ran krwawych, które w naszych księgach ziemskich występują zwykle pod nazwaniem: *vulnera cruentata*, spotykamy w Statutach Małopolskich Wiślickich, gdzie opisane są jako rany z wylaniem krwi (vulnera cum effusione sanguinis) i jako pociągające za sobą wyższą karę [1]). Rany znowu zadane na publicznéj drodze, wymienia autor *Księgi Praw zwyczajowych*, jako tworzące osobny gatunek zranień, na które nakładano również większą opłatę [2]). Spotykamy i tu przypadek pojednania się z kmieciem o zadane mu rany, których musiało być dwie, gdyż wspomniane jest *dwójne wiązanie*, czyli podwójna za przyczynienie ran opłata, rachując za każdą oddzielną ranę osobne *wiązanie* (nr. 69).

Kto *najprzód* rany zadał (nr. 65), poczytywany był za głównie winnego; to *co potém działo się*, uważano, że się *stało za jego początkiem* (nr. 55), lub *w obronie swojego żywota* (nr. 7). Ztąd poszło, że w rotach starano się okoliczność tę uwydatnić. Autor *Księgi Praw zwyczajowych* uważa, iż spełnione przez napadniętego na napastniku zabójstwo, karało się w zmniejszonéj mierze [3]).

Przy zadaniu ran na dobrowolnéj drodze wzmiankowani są *pomocnicy* (coadjutores), któremi w razie tym byli kmiecie, jak się zdaje z dziedziny należącéj do głównego napastnika Bogusza, jeśli on tak samo jak i kmiecie był ze wsi Podolany (nr. 35) [4]).

Większa liczba wspomnianych tu zajść, połączoną była z rozmyślną napaścią na zranionego, co dowodzi, że wywołane były zemstą lub rozkiełznaną swawolą, nie zaś chwilowém uniesieniem.

Za ranami idą obelgi czynne. Wspomniane danie dwóch *policzków* i *zakrwawienie* mieszczanki krakowskiéj, Jadwigi żony Leonarda, przez Mateusza ze Zwierzyńca (nr. 43). Jak podani świadkowie pokazują, wypadek zajść musiał w Krakowie w domu skarżącéj, w liczbie bowiem świadczących obecnych przy wypadku stanęli: Mi-

---

[1]) Bandtkie: *Jus polonicum* str. 141, c. LVII.

[2]) Helcel: *Starodawne pomniki*. T. II, str. 22 (XV).

[3]) Helcel: *Starodawne pomniki*. T. II, str. 18 (VII). Księga praw tak się wyraża: „Jeśli kto drugiego napastując chce zabić, a ten zaś wziąwszy się do obrony, zrani go i przyszedłszy przed jego sędziego, zaskarży go ze świadkami, iż go zaczepił i zabić chciał, tedy napastnik, aczby rany odniósł, popada w sześć grzywien; ktoby zaś napastnika zabił, ten zapłaci za głowę i nic więcéj.

[4]) W komparycyi powiedziano: Mikołaj ze Zbilutowic przeciwko Boguszowi i jego pomocnikom kmieciom z Podolan.

kołaj lokator w jéj domu, daléj Grzegórz kupiec i jego pisarz (buchalter), którzy zapewne także mieli w tym samym domu swój kantor [1]).

Proste *bicie głowicą mieczową* i proste *policzkowanie* bez zakrwawienia wzmiankuje nr. 44.

W *najechaniu dziedziny* należącéj do kasztelana Włocławskiego przyjmowało udział dwadzieścia osób, *dobyto* czyli opanowano dom właściciela i raniono przebywającego w nim *jego panoszę* (nr. 24). Nie umiemy powiedzieć, coby znaczył w tém miejscu wyraz panosza. Podobieństwo do prawdy, że oznaczał osobę w imieniu właściciela rządzącą majątkiem [2]).

W obu wspomnianych przypadkach *porwania*, chodzi o porwanie czyjegoś *człowieka;* w jednym człowiek napadnięty w nocy i wieziony przez porywającego ukradkiem [3]), jego *własnym dobytkiem* i do *jego domu* (nr. 24); w drugim, napadnięty w lesie należącym do tego, czyim był człowiekiem i następnie *uwięziony* (nr. 66).

Czy wzmiankowane pod nr. 45 przestępstwo uważano za *rabunek* dokonany na drodze, czy tylko za proste rany i zabór jawny dwóch wołów, trudno w braku dokładniejszych wskazówek rozstrzygnąć. Przytoczone fakta, to jest: napadnięcie na drodze, zadanie napadniętemu trzech ran krwawych i zabranie mu trzech wołów, były bezwątpienia dostateczne dla usprawiedliwienia oskarżenia o rabunek; wszakże podobniejszém jest do prawdy, że w razie tym uważano za właściwe zmniejszyć doniosłość oskarżenia i poprzestać na obwinieniu o rany i zabór. Obwinioną była pani Rafałka żona Tomasza z Osieczan, sprawcą przestępstw był niewymieniony z imienia jéj sługa, który, jak rota wskazuje, działał w skutek jéj *kaźni* czyli rozkazu, a skarżącym był Piotr kmieć z Łązani, działający w imieniu syna swego napadniętego i poranionego. Czy rozkaz dany przez pana słudze do spełnienia przestępstwa, uwalniał w ówczesnéj praktyce sądowéj krakowskiéj, sługę od kary, stanowczo powiedzieć nie mogę. Gdy jednakże w przypadku naszym, sprawa i przysięga skierowane były wprost przeciwko saméj pani, sądzić należy, że sługa zasłonięty był od odpowiedzialności udzielonym sobie rozkazem pana. Dalsze tylko na tém polu poszukiwania mogą rozstrzygnąć nastręczające się tutaj wątpliwości, jakie w tym względzie wzbudzają

---

[1]) Nicolaus suus inquilinus qui interfuit, Gregorius institor, Johannes suus notarius qui interfuerunt.

[2]) W Czechach, jak to świadczy słownik czeski Jungmana, pod wyrazem panosza, rozumiano niekiedy sługę wyższego rzędu, rodu szlacheckiego.

[3]) Wyraźnie użyte w przysiędze: korzystną rzeczą, odpowiada łacińskiemu *furtivo modo*, co dawniéj oddawano przez słowa *chąźebną rzeczą*. Porównaj moje *Uwagi nad dyplomataryuszem Tynieckim*. Bibl. Warsz. r. 1872.

postanowienia Statutów Wiślickich [1]), lecz to nie może być przedmiotem obecnéj pracy.

Wreszcie przedmiotem dwóch rot jest *zabór* cudzych rzeczy. Celem jednéj jest uniewinnienie pozwanego (nr. 33), drugiéj dowiedzenie mu winy (nr. 71). Ze sposobu, w jakim obie roty są ułożone, trudno wywnioskować, czy tu chodziło o kradzież czy téż o jawny zabór. W przypadku drugim ciekawa ta okoliczność, że jeden z braci (a może klejnotników?) dokonywający zaboru, powoływał się na *wolę* czyli podmówienie swego brata, z którym razem przyszedł na miejsce dokonanego przestępstwa. Mogłoli to skutkować jego uwolnienie od kary?

Te są wnioski, które wyprowadzamy z przytoczonych na początku przysiąg. Nie wątpimy, że kto inny, na nowo je rozpatrując, dojdzie do innych jeszcze spostrzeżeń albo wywody nasze sprostuje. Trzeba téż doczekać się wydania większéj liczby podobnych pamiątek, w części już zebranych a oczekujących na ogłoszenie, do czego szczerze zachęcamy.

Dodajemy nakoniec słów kilka o formie, w jaką w ziemi Krakowskiéj były roty przysiąg przyodziane. Skład roty był bardzo prosty. Najprzód stało wezwanie do Boga w słowach: *Tako mi* albo *nam Bóg pomóż* albo *pomagay*, następnie odwołanie się świadków do ich wiedzy, w słowach: *jako wiemy*, albo *jakośmy przytém byli;* potém zaręczenie, że tak jak wiedzą, *swiadczą:* nareszcie wyłożenie w krótkich słowach tego, na co świadczą.

Na końcu pracy naszéj składamy czułe dzięki professorom Przyborowskiemu i Pawińskiemu, którzy nieśli nam chętną pomoc w uregulowaniu i wyrozumieniu tekstu przysiąg, jako i ustaleniu transkrypcyi.

---

[1]) Bandtkie: *Jus polonicum* Stat. Wiśl. c. CXLVI.

BRÜHL.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM II.

(Ciąg dalszy).

VII.

W kilka miesięcy po wyjeździe Sułkowskiego, szarym wieczorem zimowym O. Guarini wszedł do królewskiego gabinetu. Była to godzina o któréj zwykł był August III udawać się do królowéj, na operę, słuchać muzyki, lub strzelać do celu.

Strzelanie do różnych stworzeń było mu ulubione, że niekiedy zdechłego konia rzucono pod murem, a gdy się błędne psy cisnęły do padła, Król J. Mość z muru do nich palił. Że zaś psówby w końcu zabrakło, nie zabijano je na śmierć, kaleczono tylko, aby pozdrowiawszy znowu się na podobny podwieczorek zbierać mogły.

Tego dnia jakoś i strzelania nie było, i opery nie zapowiedziano, i do królowéj na muzykę August nie spieszył. Dwa razy przychodzili szambelanowie, odprawił ich mrucząc. Był

to znak bardzo złego humoru. Dano natychmiast wiedzieć o tém Ojcu Guariniemu, który do króla pospieszył.

On jeden mógł z niego coś dobyć, innym się to nie udawało. Stary księżyna wszedł z tą swą spokojną miną, zawsze wesołą lub do uśmiechu skłonnną.

Król nań chmurno popatrzył i głowę odwrócił.

Pomimo zimnego przyjęcia, Padre usiadł na taborecie i podparłszy się na ręku odezwał:

— Czy wolno spytać W. Kr. Mości, co tak zasępiło jego czoło? Wierny sługa się tém martwi.

Odwrócił się August, pokiwał głową; coś niewyraźnego zamruczał i chwycił fajkę. Nastąpiło milczenie.

— Lżejby było W. Kr. Mości—rzekł Padre—gdybyś raczył mi się zwierzyć.

— Głupstwo!—rzekł król.

— Nie warto się gryźć—odparł Ojciec.

— Głupstwo!—powtórzył raz jeszcze.

To powiedziawszy król wstał; począł się przechadzać wzdychając, i jak miał zwyczaj, kiedy go co niecierpliwiło, nogą podrzucał co na drodze znalazł, lub co mu się zdawało leżéć na drodze.

Guarini wpatrywał się w niego jak w tęczę.

— To bo niedobrze jest—rzekł—że W. Kr. Mość, przy takiéj pracy nie szukasz sobie rozrywki. Rozrywka jest człowiekowi koniecznie potrzebna, S. Jan na Pathmos miał hodowaną kuropatwę.

— Kuropatwę!!—powtórzył król zamyślony—ja wolę polować na cietrzewie; kuropatwa mała zwierzyna.

I chodził znowu powzdychiwając....

— Trzebaby albo muzyki, albo opery, albo obrazów, albo polowania.

August ręką machnął.

— Gdzież Brühl—spytał Ojciec.

— A! Brühl! jeden Brühl!.... ale on zajęty, zajęty niebożątko, niech odpocznie sobie. Brühl dobry człowiek.

— Wyśmienity!—potwierdził Guarini—do niego W. Kr. Mość żalu nie masz?

— Ale co znowu!! Brühl... złoty Brühl—rzekł król, ale głowę zwiesił.

Trudno się było dowiedzieć.

— Jużciż W. Kr. Mość nie tęsknisz tak za Sułkowskim.

Drgnął król i stanął nagle. Guarini poznał że do rany rękę przyłożył.

— Otóżto Sułkowski: widzisz Ojcze—bąknął król.—Józefina go nie lubi. Jak można Sułkowskiego nie lubić?... hę? powiedz ty?

Guarini zamilkł. Pytanie było wymierzone wprost jak strzał do piersi, jednak nie odpowiadał na nie.

Król nie lubiący mówić, powtórzył ciszéj:

— Ojcze? jak można Sułkowskiego nie lubić?

Jezuita namyślał się bardzo długo. Chwila była stanowcza: należało przypuścić atak umiejętnie; rozważał właśnie jak ma to uczynić. Spodziewał się go oddawna, przyszła godzina walna, trzeba tedy było począć.

— N. Panie—odezwał się—ja przeciwko Sułkowskiemu osobiście nie mam nic. Jako katolik chłodny jest i obojętny, to prawda...

Zdawało mi się też zawsze że naszą świętą królowę panią nie dosyć czci i szanuje.

— O! o! o!—przerwał król—o! o!

— Przynajmniéj ludzie tak i inni sądzili—mówił nie zmieszany Guarini.—Płochy jest to pewna, w pychę niepomierną wzbiła go łaska pańska...

Zamilkł król posępnie słuchając.

— N. Panie—żywo zawołał zbliżając się Guarini—jesteśmy sami, nikt nas oprócz Boga nie słyszy. Proszę mi z ręką na sumieniu odpowiedzieć jak na spowiedzi, czy nigdy Sułkowski nie wodził króla a pana swego na pokuszenie??

Na te słowa August oczy otworzył wielkie, zarumienił się i nagle plecami odwróciwszy, nic nie odpowiadając chodzić zaczął.

Milczenie było dostateczną odpowiedzią.

Guarini się począł śmiać cicho.

— A nie jestże to zuchwalstwo? hę? Pojmuję nawet że sługa i przyjaciel może chcieć czasem i na sumienie coś dla

miłości pana wziąć, ale juściby też mógł poczekać, aż mu z góry skiną.

Spuściwszy głowę król chodził.

— Królowa ma przeczucie—mówił Padre—co to się dziwić!! ale o tém, *satis*. Alboż to nie wiadomo szeroko, że on żywi myśli zdobywcze względem Austryi, względem domu któremu zawdzięczamy królowę Jchmość i przeciwko najświętszym przyrzeczeniom naszym...

August siadł w krzesło jakby znużony i patrzał na mówiącego.

— A najgorsza ze wszystkich ta ambicya i ta ufność że mu to wolno co zechce i że z królem a panem swym uczyni co mu się podoba. Są ludzie co to od niego słyszeli. Trochę pokory czy upokorzenia by mu nie zawadziło.

Alboż to dobrze, by ludzie mówili że on w Saxonii panuje, a nie król nasz miłościwy.

— E! e! e!—rzekł król—kto mówi? kto? to go powiesić!

— Tacy mówią, co słyszą jak się Sułkowski wychwala,...

— Wychwala! to źle!—odparł król—uszy mu natrę.

Guarini uznał że doza lekarstwa zaadministrowana była na jeden raz dostateczną i zamilkł. Dopiéro po chwili pochylił się do ręki króla.

— N. Panie, przebaczcie, darujcie, zapomnijcie. Duchownym jestem, suknia na mnie wkłada obowiązek mówienia prawdy. Ludzie światowi cofnąć się mogą przed nią, ksiądz musi rzec co ma w duszy. A komuż szczerzéj jak temu co ludom panuje i co rzadko prawdę usłyszeć może?

— *Evero!*—szepnął król.

Ale z miny i głosu wyczytał ksiądz że rozmowy téj królowi było już nadto, że jéj miał do przesytu. Szukał już czémby go zabawił, pewien że rzucone ziarno wnijdzie późniéj sobie.

Niewiadomo czyby się udało Guariniemu wynaleźć przedmiot rozweselający, lecz w tém właśnie wszedł szambelan oznajmując że na pokojach królowéj czeka N. Pana muzyka.

— Chodźmy!—odezwał się wzdychając August.

Guarini się ukłonił, poszli.

Służba ze światłem poprzedzała króla.

Pokoje królowéj wcale różnie wyglądały teraz gdy je Józefina zajmowała. Nie było tu przepychu, skromność i powaga wielka, ale majestat cesarkiego domu w niéj znać było.

Obrazy przyozdabiające ściany, wszystkie niemal religijnéj były treści. Oprócz tego godła pobożne, krzyże i relikwiarze po gabinetach stały zamiast zwykłych świecideł.

Cały dwór trzymany w etykiecie surowéj przez w. ochmistrzynię i marszałka dworu, składał się z kobiét podżyłych i dobranych tak, aby ich piękność nie uczyniła królowi roztargnienia.

Tego dnia w wielkiéj sali koncertowéj, koncertmajster Jan Jerzy Pisendel, najsłynniejszy skrzypek swojego czasu, miał się popisywać wraz z kilku najprzedniejszemi solistami. Oprócz niego, na nowo przez siebie wynalezionym instrumencie, w rodzaju clavicembalo, miał się produkować sam wynalazca jego Pantaleon Heberstreit, który z Pisendelem o lepszą grywał na skrzypcach.

Na flecie mieli grać dwaj mistrze: Buffardia niezrównany wirtuoz i rywal jego Quanz, oba doskonali w swéj sztuce. Było więc czego posłuchać.

Królowa trochę już kwaśna przechadzała się oczekując na męża, gdy wszedł nareszcie. Zbliżyła się żywo ku niemu usiłując wyczytać coś z twarzy, zrozumiała tylko iż był niezadowolony. Ale na to radziła skutecznie muzyka.

Gdy król siadł wygodnie, oczy przymrużył, a Buffardia mu zaśpiewał na flecie, mgły przechodziły i czoło się wypogadzało. Król wśród stojącego dworu do swojego krzesła spieszył, gdy Józefina nieco przyzostawszy za nim skinęła na Ojca Guariniego.

Nie miała jednak czasu dłużéj z nim się rozmówić. Włoch szepnął jéj tylko na ucho:

— *Poca roba... Sulkowski.*

Królowa przyspieszyła kroku i znalazła się prawie równocześnie z mężem u stojącego obok krzesła. Znać tylko na przybycie N. Pana czekano, bo też kapela się ozwała z uwerturą świetną i huczną, któréj król zaczął słuchać z uwagą wielką.

Na twarzy Józefiny w czasie muzyki więcéj znać było zajęcie mężem i sprawami jakiemiś ważniejszemi niż koncertem.

P. Pisendel napróżno się popisywał swym smyczkiem. Królowa zdawała się go nie słyszeć. Oprócz innych osób dworu, pani Brühlowa także siedziała obok matki, a tuż za krzesłem pana stał wyprostowany Brühl, niewinny baranek, ze spuszczonemi oczyma, skromny jakby nie był piérwszym i jedynym ministrem.

P. Guarini przesuwając się około niego, szepnął mu nieznacznie:

— Wojna się rozpoczęła, nieprzyjaciel się broni, wszystkie siły skupić należy; zatém baczność!....

Brühl stał jakby nie słyszał, delektując się muzyką. Grano już duet, w którym Buffardin z Quanzem szli na wyprzódki. Król zupełnie zamknięte miał oczy, używał muzyki nie doznając dystrakcyi żadnéj. Ktoby był zobaczył z boku skierowane nań szyderskie wejrzenie Brühlowéj, przeląkłby się był pogardy z jaką nań patrzéć śmiała.

Tuż za jéj krzesłem stał dwór ministra dopuszczony na koncert, a wśród niego odznaczał się piękny, młody mężczyzna, tak dziwnie do Watzdorfa podobny, iż się go jak widma przelęknąć było można. Wzrok Brühlowéj czasem powłoczysto, zwolna szedł ku niemu, zatrzymywał się na pięknej jego twarzy, szukał oczów; wejrzenia się żeniły i rumieniec występował na lice młodego chłopaka. Brühl który w tamtą stronę nie patrzał, ilekroć on się czerwienił, bladł powoli; zdawało się że mu czegoś znużone drgają oczy i poruszają się usta: musiał to być skutek muzyki.

Trwał ten koncert dosyć długo, potém podano wieczerzę, na osobnym stole dla królestwa obojga, przy marszałkowskim dla dworu. Król jadł tak i pił, iż zdawało się że o wszystkiém zapomniał; jednakże po wieczerzy natychmiast zażądał z Brühlem odejść do swych pokojów.

Większa część dworu rozpierzchła się; kobiéty pozostały na wieczorne pacierze. Był bowiem zwyczaj w niektóre dni tygodnia, odmawianie modlitw i litanii pod przewodnictwem O. Guariniego, przy których bliższe osoby królowéj panie zawsze bywały przytomne.

I tego dnia *exercitia* duchowne odbyły się w małéj domowéj kaplicy królowéj i dopiéro po nich reszta dworu uwolnioną została.

Miał i O. Guarini odchodzić, gdy królowa nań skinęła. W. ochmistrzyni usunęła się zaraz i stanęła w przyzwoitém oddaleniu.

— Cóż było mój Ojcze? Król...

— Sam zagaił o Sułkowskim. Wielce go boli, że niektóre osoby są mu przeciwne. Zagadnięty, nie mogłem zmilczéć, trzeba było wojnę rozpocząć.

— I cóż? i co?—spytała ciekawie królowa.

— Mówiłem dosyć długo: tyle, ile można, aby króla nie znużyć—kończył Guarini—powiedziałem wszystko com miał na sercu.

— A król?

— Milczący słuchał.

— Jakże się wam zdaje? zrobi to wrażenie na nim.

— Nieochybnie, ale teraz powtarzać potrzeba ataki. Sułkowski wraca, rzecz nie cierpi zwłoki; powinien zastać już króla nawróconym: inaczéj przemówi nałóg, odezwie się przyjaźń dawna, zajmie swe miejsce i nic go już z niego wyrugować nie potrafi.

N. Pani—dodał Guarini—nie wymagajmy za wiele: nie można żądać, aby go spotkał los Hoyma. Winy nie są tak wielkie, dowieść mu ich niepodobna. Byleby się oddalił, na tém dosyć.

— Dosyć?—spytała Józefina—lecz znacie słabość króla dla niego? nie odezwież się ona późniéj, nie skorzystaż on z niéj? nie znajdzie dróg? człowiek bezbożny, bo takim jest to pewna, wszystkiego chwycić się może. Widzieliście go kiedy z dobréj woli w kościele? Wiécie, że nigdy nie zachowuje postów.

Wzdrygnęła się królowa i na chwilę zamilkła.

— Ja nie ustąpię—dodała—wy także powinniście działać. Brühl nie może.

— Chyba w ostatniéj chwili—szepnął O. Guarini — i to ostrożnie. Do dobrego dzieła wszelkich sprężyn użyć należy: Bóg pomoże; Bóg pomoże. Kiedy powraca?

— Żona się go spodziewa co dnia: pisał do króla, że będzie w tym tygodniu. Spieszyć należy—dodała królowa.

Guarini skłonił się nizko i wyszedł.

Nazajutrz rano, wedle obyczaju Brühl był w pokoju króla, jak tylko wstał z łóżka. Nie była nużącą ta służba, ale nudną. Zwykle August milczał; trzeba było stojąc patrzéć nań i na uśmiech lub chrząknienie, odpowiadać ukłonem.

Daleko więcéj zachodu miał Brühl rozciągając pilną straż około osoby J. Kr. Mości. Dla spokoju jego potrzeba było zapobiedz, ażeby nikt nie spodziany nie miał doń przystępu; przy wszystkich audyencyach bez wyjątku Brühl musiał być przytomnym. Jeśli król szedł na mszę, oczyszczano wprzód drogę najstaranniéj z obcych osób, nie należących do dworu. Nikt się do niego zbliżyć nie mógł bez pozwolenia ministra w jego nieobecności. Zdaje się że król August, który spokój lubił nadewszystko i niespodzianek się lękał, rad był z tego, nigdy bowiem z pod kurateli nie probował się wyzwolić i swoim stróżom okazywał wielką wdzięczność.

Po mszy i po niezbędnych posłuchaniach, na które nie wiele grzecznych słów wyszafował roztargniony pan, Brühl został z nim sam na sam.

Mógł się domyślać że o czémś mowa będzie, bo król chodził niespokojny, stawał często naprzeciw niego, mrugał, uśmiechał się smutnie, odchodził, wracał znowu i stawał uporczywie, nie mogąc się jakoś zdobyć na rozpoczęcie rozmowy. W ostatku zatrzymał się, położył rękę na ramieniu ministra i spytał:

— Brühl, co ty mówisz o Sułkowskim?

Jakkolwiek przygotowany Brühl się zaciął i oczy spuścił.

— N. Panie—odparł zręcznie bardzo—ja pewno nieinaczéj o nim trzymam jak W. K. Mość.

— A wiesz ty co ja o nim myślę?

— Nie wiem, ale jestem wiernym sługą Pana mego, i mam za przyjaciół tych których on widzi dobrze, za wrogów tych co mu są nie mili. W. K. Mość byłeś łaskaw umieścić przy swéj osobie dwóch moich braci, otóż gdyby jeden z nich miał nieszczęście zasłużyć na gniew króla, wyparłbym się brata.

Królowi się twarz wypogodziła.

— Brühl! ja ciebie kocham!—zawołał.

Minister schylił się do ręki pana.

— Brühl, ja ciebie bardzo kocham—dodał August—i dlatego chcę się ciebie poradzić. Słuchaj, mnie nim straszą...

Spojrzał w oczy Brühlowi z natężeniem.

— Mów śmiało, mów...

— Ja osobiście nie mam nic przeciwko Sułkowskiemu, ale że łaska pańska która mnie pokorniejszym czyni, jego w pychę wzbija, to pewna, że może się czasem chwalił że on robi co chce, nietylko w sprawach państwa, ale nawet z Najjaśniejszym Panem: to być może.

— Hm! to być może powiadasz! to być może, a tak! to być bardzo może—rzekł król. Prawdę powiedziawszy na muzyce mizernie się zna, a na obrazach też nie wiele; jemu aby gołe, aby gołe! Ale tst!—dodał król—żeby Guarini nie słyszał —jaką on tu Venus przyniósł raz, com ja biédy miał z królową. Spalić ją kazała. A była bardzo piękna. No, i to prawda, że pozwalał sobie czasem...

Niedokończywszy August zapatrzył się w okno, zamyślił i ziewnął.

— Jak ty myślisz—zapytał—czy to prawdziwy Ribera ten co go wczoraj przysłali z Wenecyi?

Brühl ramionami ruszył.

— Ja, N. Panie jestem w tém zdania W. K. Mości.

— To może być Ribera—mruknął król cicho.

— Tak, to mógłby być Ribera—powtórzył Brühl.

— Ale mógłby być *il Frate*...

— O! niezawodnie że podobny bardzo do *Frate*.

— Ty się znasz Brühl.

— Uczę się przy W. Kr. Mości.

Począł się przechadzać August bardzo zadowolniony, zbliżył się do ucha Brühlowi i rzekł:

— Królowa chce abym go odpędził, bo jéj ktoś szepnął, że mi doradzał bałamuctwa...

— Ale o to W. Kr. Mości nikt w świecie nie może posądzać!—krzyknął Brühl—nikt! wszyscy wiedzą o jego życiu przykładném...

— Ja nigdy nie dopuszczę żeby mnie posądzano—szepnął król—nigdy, nigdy! wolę... wolę...

Nie mógł dokończyć. Brühl się doń zbliżył i szepnął: żywa dusza, nikt! nie może posądzać W. K. Mości.

I rękę położył na piersi.

— Tak być powinno — szepnął August — i zniżywszy głos jeszcze cichuteńko do ucha mu rzekł: Myślisz że no co wié? posądza? hę? hę?

— Z pewnością nie wié nic i wiedzieć nie może, ale ciągle będąc tu, nieustannie szpiegując, mógłby... któż to przewidzieć potrafi.

Król się zatrwożony wyprostował.

— Kiedy tak, to go trzeba oddalić: tak, tak! lepiéj będzie. Ty mi go zastąpisz.

Brühl znowu do ręki pańskiéj pospieszył. Na czole Augusta widać jednak było troskę, wzdychał ciężko, kosztowało go rozstanie z przyjacielem młodości: łzę miał w oku.

— Brühl, to postanowione, tak królowa chce. Guarini radzi, ty nie masz nic przeciw; ale jak? jak? jak: mów... ale mów...

Minister spuścił oczy w dół, palec położył na ustach, przybrał postawę zadumanego i zafrasowanego. Król śledził każdy ruch jego i minę, czekał aż zawyrokuje. Nagle podniósł głowę.

— N. Panie — odezwał się cicho — powodów do niełaski starczy: dosyć przypomnieć mu że sobie mógł pozwolić względem króla a pana zbytniéj poufałości. Nigdy nie będę W. Kr. Mości radził surowości zbytecznéj, dosyć go oddalić od Jego oblicza, aby był najsrożéj ukaranym. Wygnanie od dworu będzie dlań najcięższym wyrokiem.

— Tak jest — przebąknął król — nawet mu małą pensyę zostawię.

Spojrzał na Brühla, ten potwierdzał co król mówił i kłaniał się.

— Więc wygnanie — dodał August — a jak to zrobić? zostawiam tobie, ułóżcie, żebym ja nie miał z nim przykrości, żadnego gadania długiego; nic, nic! Niech sobie jedzie...

Mówili jeszcze, gdy August już rozpromieniony tém, że zbył się kłopotu i zrzucił go na cudze ramiona, ruszył się żywo.

— Brühl — rzekł — oznajmić królowéj, że mam z nią do pomówienia. Królowa jeżeli się nie modli, to maluje; jeśli maluje, ja tam mogę przyjść.

Brühl się wymknął natychmiast; w pięć minut potém, król w towarzystwie szambelana pospiesznie dążył do pokojów żony. W istocie zastał ją przy pastelu. Młody artysta z założonemi rękawami i kredą w ręku, stał w postawie pełnéj uszanowania za królową, która siedziała u trójnoga przed naciągniętym papierem. Na nim rozpoczęta była głowa Chrystusa, około któréj pracowała najjaśniejsza artystka, niekiedy zwracając się ku swojemu pomocnikowi. Nie wiele tam w istocie było pracy N. Pani, bo pomocnik przysiadał się w jéj niebytności przerabiając fałszywe tony i prostując zatarte rysy; ale nazajutrz królowéj Józefie zdawało się, że ona to malowała sama i z roboty swéj była wielce zadowolniona. Tym sposobem postępował daléj obrazek i w końcu zwał się dziełem rąk pańskich, a dwór cały uwielbiał talent córki Cezarów.

Gdy król wszedł nie wstała nawet Józefina, wskazując mu tylko na robotę rozpoczętą. August stanął za nią i długo z przyjemnością wpatrywał się w rysunek, który od wczoraj mało co popsuty jeszcze, wcale dobrze wyglądał. W końcu król powiedział komplement, a z boku spojrzawszy na artystę, dał mu znak ażeby się do przyległéj salki oddalił, co biédny malarz spełnił kłaniając się aż do ziemi z nadzwyczajnym pośpiechem.

Obejrzał się August i schylił do ucha Józefiny.

— Więc—rzekł cicho—stanie się jak każesz, oddalimy Sułkowskiego: tom przyszedł powiedzieć.

Królowa się odwróciła szybko uśmiechając do męża.

— Ale tst! ani słowa— dodał August — maluj. Brühl to ułoży, ja nie chcę się tém gryźć.

— Nie potrzebujesz—rzekła Józefina—wezwij Ojca Guarini... Brühla, oni to dopełnią.

Nie chciał już o tém dłużéj mówić August i natychmiast zwrócił rozmowę na obraz.

— Kolorytu mogę powinszować—rzekł—*tres fin*, i bardzo świeży. Liotard nie zrobiłby lepiéj, słowo daję; malujesz ślicznie... nie daj tylko temu artyście psuć sobie i nie słuchaj żadnéj rady.

— On mi tylko kredę temperuje—rzekła królowa.

— Głowa piękna! powieszę ją u siebie, gdy mi ją zechcesz darować. I uśmiechnął się z galanteryą.

Ponieważ godzina obiadu jeszcze nie wybiła, król skłonił się, pocałował w rękę Józefinę i odszedł, po drodze wskazując artyście wygnanemu do sali, aby królowéj w pomoc pospieszył.

Na twarzy pańskiéj malowało się teraz zadowolnienie ze zbytego ciężaru i wyswobodzenie od troski. Do wczorajszego całkiem był nie podobny: czoło miał wypogodzone, uśmiech na ustach, oddychał swobodniéj i myśléć mógł o czém inném. Nie szło mu tyle o Sułkowskiego, co o zamącenie drogiego spokoju, o kilka dni życia strutych i zepsutych. Gotów był człowieka poświęcić, ale rad się był zbyć sprawy jak najrychléj i nic już o tém nie wiedzieć. Na wieczór zadysponowano strzelanie do tarczy przy pochodniach.

Gdy nazad powrócił do swych pokojów, poznać go nie było można.

Brühl z powodu tak wyjątkowych wypadków był na zawołanie, nie oddalał się wcale.

Spojrzawszy nań król rozśmiał się i rzekł:

— Rzecz skończona: po obiedzie strzelanie, wieczór muzyka, jutro opera.

Pospiesznie się zbliżył do oczekującego.

— Niech nikt o nim nie wspomina: rzecz skończona; ani nazwiska, ani nazwiska, proszę...

Podumał chwilę.

— Użyjecie kogo zechcecie, kładę to na was... bylem już o niczém nie wiedział.

Zamyślił się i nagle zakończył.

— Słuchaj Brühl, to Ribera...

— Tak jest N. Panie! to Ribera—potwierdził minister.

VIII.

Karnawał w tym roku obiecywał się świetnym. W Saxonii wszystko szło jak najpomyślniéj, szlachtę która skowyczéć śmiała, wysyłano na rekolekcye do Plejssenburga; w Polsce zapewniały spokój, sejm pacyfikacyjny i śmierć ostatniego z Sobieskich. Faustyna śpiewała zawsze cudnie, a na grubym zwierzu lasach Hubertzburgskich nie zbywało. Ostatni jar-

mark lipski, na którym się król bawił, przedziwnie obfitował w konie i psy myśliwskie. Dzień po dniu w cudownie najprzód obmyślanym szły porządku.

W tak błogimto spokoju zwiastowany powrót Sułkowskiego, napełnił trwogą, przyspieszył szturm królowéj i wywołał wyrok na niego. Spodziewano się, że ulubieniec pański nawet do osoby króla przypuszczonym już nie zostanie.

Hennicke i jego pomocnicy pilnować kazali po wszystkich drogach i gościńcach; straże stały w bramach, poprzebierani ludzie zdala otaczali pałacyk Sułkowskich, aby jak tylko przybędzie, środki stanowcze przedsięwzięte zostały.

Ekwipaże generała-ministra i wielkiego ochmistrza dworu już były nadeszły wcześnie. Żona miała ku Pradze wyjeżdżać, przeciwko niemu. Tego właśnie się lękano i bardzo zręcznie pani Kolowrathowa oznajmiła jéj o woli królowéj, ażeby w gotowości była przybyć do zamku, gdy jéj znać dadzą i raczyła się nie oddalać z Drezna. Hrabina rada nie rada, posłuszną być musiała.

Nad wieczór 1 lutego (1738), hrabia Sułkowski znajdował się już w Pirna, gdzie koniom tylko chciał dać wytchnąć, aby przed nocą do Drezna pospieszyć. W gospodzie kuryer jadący przodem wszystko przygotował na przyjęcie ministra. Nikt w świecie jeszcze nie spodziewał się, nie podejrzywał, nie domyślał tak nieprawdopodobnego upadku. Wszystko co żyło w miasteczku, urzędnicy, burmistrze, rada, w paradnych strojach czekali na mrozie przed gospodą na przybycie tego, którego za wszechwładnego uważano, przed którym drżało wszystko.

Kuryer zapowiedział przybycie to jego ekscelencyi na godzinę czwartą; lecz że w wigilią dnia tego śniegi zawiały drogi i kopno było na górzystych gościńcach, przyjazd się opóźnił.

Właśnie wszystkich oczy skierowane były w stronę Pragi, gdy od Drezna jeździec płaszczem obwinięty, na koniu zgrzanym nadbiegł i zsiadł przed gospodą. Była to najlepsza ze wszystkich pod *Koroną*, a właściciel jéj Jonasz Hender, człek bardzo śmiały i rezolutny, zobaczywszy podróżnego, któremuby innym razem był rad bardzo, teraz poskoczył przeciwko niemu, aby go uprzedzić, że tu dlań miejsca nie było.

W klassycznym stroju dawnych gospodarzy, z fartuchem na piersiach białym jak śnieg, w futrzanéj czapeczce na głowie,

Jonasz ze swą rumianą i wesołą fizyognomią, stworzoną na uśmiechanie się do ludzi, przystąpił grzecznie ku nieznajomemu.

— Przepraszam was... spodziewamy się jego ekscelencyi, hrabiego Sułkowskiego; kąta nie mam w domu, ani dla konia, ni dla was; ale pod *Palmową gałęzią*, choć zapewne nie to co u mnie, znajdziecie popas wcale dobry i człowieka miłego: to mój szwagier.

Przybyły zaledwie zdawał się chciéć słuchać Jonasza. Cugle koniowi rzucił na szyję, sam patrzył ku gospodzie roztargniony. Był to człowiek średnich lat, ale o wieku tylko z oczów i marszczek koło nich sądzić było można, gdyż zapewne dla zimna brodę i usta miał zawiązane chustką, a czapkę na czoło głęboko nasuniętą.

— Właśnie—bąknął stłumionym głosem z pod chustki, nie podnosząc jéj – dlatego że tu stanie jego ekscelencya i ja zajechać muszę: ja do niego jestem posłany.

Skłonił się oberżysta i własnoręcznie konia pochwycił.

— A! to co innego — zawołał — to co innego; proszę do mnie, niech się pan ogrzeje. Wino ciepłe z korzeniami gotowe, a niéma na chłód jak glühwein: to doświadczone. Konia wezmą do stajni.

Parobek na skinienie poskoczył i chwycił zmęczonego siwego. Gospodarz w nadziei może iż się cóś dowié, prowadził idącego do izby. Wpatrywał się weń, aby odgadnąć kto to mógł być taki, a ze stroju, ani z miny odgadnąć tego nie umiał. Ubiór był pospolity, mowa czysta i nie saska, obejście się bardzo poufałe znamionowało dworaka; lecz nic znowu tak bardzo znakomitego na koniu, bez sługiby nie przybyło w takim niepozornym płaszczu i butach.

Jonasz zwykł był bystrém okiem rozpoznając znaczenie ludzi, trafiać zawsze w ton właściwy i obchodzić się z niemi jak komu przystało. Tym razem nie wiedział z jakiego ma zagrać tonu, ale spodziewał się po odsłonieniu oblicza odgadnąć czy miał z masztalerzem do czynienia, czy z urzędnikiem. Zdumiało go to że wchodząc do domu podróżny, wcale najwyższym urzędnikom miasta, stojącym na mrozie nie oddał czołobitności. Mógł z tego wnosić, że się od nich sądził wyższym; lecz dwor-

scy i wszyscy co się ocierają o panów, tak bywają zarozumiali.

Ponieważ dla tak wielkiego jak Sułkowski pana, nie jednéj izby potrzeba było, bo jechał dworno i musiało mu być przestronno; została więc tylko izba samego gospodarza, do któréj Hender zaprosił nieznajomego.

Można tu było spocząć bardzo przyjemnie, bo na kominie palił się ogień wesoły, rumiana gosposia cóś przy nim warzyła; dwoje dziewczątek zwijało się pomagając jéj, a izba była przystrojona cale pięknie i w sprzęt czysty zamożna. Hender pomógł nieznajomemu rozwinąć się z ogromnego płaszcza i chusty, z pod któréj wyszła chuda, koścista, dziwna, a nie miła postać, z twarzą kancelaryjną, wcale nieprzyjemną. Oczy jéj patrzały jak dwoma świdrami w człowieka, a usta krzywiły się dziwnie i fałdowały.

Spojrzawszy nań, Jonasz który był niepospolitym ludzi znawcą, zaraz sobie rzekł w duchu:

— To jakiś niebezpieczny człek.

Lecz tém gościnniejszym wypadało być dla tak strasznie wyglądającego posła ze stolicy. Choć mieszkańcy Pirny w Saxonii za Reatczyków uchodzą, a Hender był rodem z tego miasta, nie zbywało mu na roztropności. Starł fartuchem krzesło, przybliżył je do ognia i zaprosił siedzieć przybyłego, który bardzo obojętnie wszystkie świadczone sobie grzeczności przyjmował. Był jakby przybity i pogrążony w smutnych myślach jakichś.

Kilka razy gospodarz się cóś odezwał, ale nie odebrał odpowiedzi. Przyniósł szklaneczkę grzanego wina na miseczce i podał ją z uśmiechem: podróżny ją przyjął, lecz ani mu głową nie kiwnął.

— To musi być ważna figura! — rzekł w duchu Jonasz — nieinaczéj.

Podwoił więc grzeczności i dzieciom się kazał trzymać z daleka, gdy wtém dała się słyszéć trąbka, klaskanie z batów, szmér w ganku. Sułkowski nadjeżdżał. Gospodarz jak oparzony wyleciał na spotkanie.

Nieznajomy gość pozostał nieruchomy, zamyślony ze szklaneczką wina w ręku. I to miało swe znaczenie. Właśnie w try-

umfie wprowadzano ministra do przeznaczonych dlań pokojów: gwar był wielki, bo znużony pan dziękując, wszystkich do domów odprawiał. Służba znosiła skrzynki z wiktuałami...

Hender, którego też we własnym domu wyproszono za drzwi, wszedł dosyć kwaśny do swojego mieszkania i niepomału się zdziwił zobaczywszy nieznajomego, który pił wino zamyślony i w ogień patrząc, miny do niego robił nieprzyjemne. Zdawał się nic nie słyszéć i nie widziéć nawet gospodarza...

Ten stanął i czuł się w obowiązku głośno oznajmić:

— Jego ekscelencya przybyć raczył!

Kiwnął głową dziwny gość i skrzywił się; namyślał się widocznie. Wina dopiwszy, na pektoralik dobyty popatrzył, zrobił minę do niego nie dobrą, potrząsł znowu głową, za czapkę wziął i wyszedł...

Gdyby pan Jonasz Hender bywał w Dreznie, a miał sprawy w wyższych urzędach, poznałby był radzcę Ludovici w tym gościu.

Zwolna i jakby ze wstrętem radzca przyłożył rękę do klamki i nie pytając o pozwolenie, wsunął się do izby gościnnéj.

Stół był w niéj nakryty, służba się krzątała, młody adjutant generała stał w oknie, Sułkowski z wyciągniętemi nogami leżał na kanapie.

Zobaczywszy we drzwiach znaną twarz Ludovici'ego, porwał się rozpromieniony.

— To wy!—zawołał—a to przedziwnie! mieliście tę poczciwą myśl wyjechania naprzeciw mnie: cudownie! Niezmiernie wam wdzięczen jestem, przecież się cóś dowiem o stolicy; ostatnie listy próżne były i czcze.

Jak się masz Ludovici, jak się masz...

Twarz radzcy, który się kłaniał jakoś smutnie, nic dobrego nie wyrażała. Przywitanie było milczące.

Ludovici z ukosa spojrzał na adjutanta. Sułkowski poszedł do drugiego pokoiku, w którym ogień palił się też na kominie. Zdziwiła go tajemnicza jakaś, przeciągnięta twarz Ludovici'ego.

Hrabia był w humorze jak najlepszym. Nad Renem i w Węgrzech, polecony wszędzie listami, imieniem swém i stanowiskiem jakie zajmował, jak najlepiéj był przyjęty. Wracał

szczęśliwy z wycieczki, dumniejszy niż kiedy, pewniejszy siebie, niż dawniéj.

Zaledwie weszli do drugiéj izby, począł zasypywać pytaniami pana radzcę. Odpowiedzi płynęły skąpo, Ludovici jakby nie miał odwagi ust otworzyć; przypatrywał się ze smutkiem téj radości, którą miał jedném słowem zniszczyć i może w rozpacz zamienić.

Dał się zrazu wygadać Sułkowskiemu, który śmiejąc się, swe powodzenia, honory jakie mu oddawano i doświadczenie jakie zdobył opisywał szeroko. Zdawało się, że w przyszłości obiecywał sobie głowę Maurycego saskiego.

Ludovici patrzał i głową potrząsał tylko.

— Cóżci to radzco, przemarzł czy strząsłeś się? co ci jest? usta ci się otworzyć nie chcą.

Ludovici się dokoła obejrzał.

— Nie mam się czego spieszyć—rzekł ponuro—bom z niczém dobrém nie przybył.

— Żona zdrowa?

— Chwała Bogu!

— Król zdrów?

— Tak, tak, zdrów! ale....

Radzca spojrzał na hrabiego i rzekł smutno:

— Z tém przybyłem, nie znajdziesz go w. ekscelencya jakimś go odjechał. Zmieniło się wiele rzeczy: ja téj podróży zawsze byłem przeciwny, jam ją odradzał.

— Ale cóż się tak złego stało? — zawołał lekceważąco Sułkowski.

— To, co najgorszego stać się mogło—odezwał się Ludovici. – Nieprzyjaciele pańscy oskarżyli go, królowa na czele, Guarini, hr. chytry Brühl... nie mam co goryczy sączyć po kropelce: jesteśmy zgubieni...

Sułkowski, który nań patrzył jak na człowieka coby zmysły postradawszy prawił od rzeczy, ruszył ramiona i rozśmiał się.

— Co ci się śni? co ci się śni?

— Dałbym wiele, ażeby to snem być mogło—mówił daléj radzca tonem ponurym.—Nie czas się łudzić, należy się ratować, jeżeli ratunek jeszcze możliwy. Przybyłem, wykradłem

się, ważąc życie, aby was ostrzedz. W bramach straże, w domu szpiegi... jeżeli przyjedziecie do Drezna tak że was w bramie poznają, nie dopuszczą was do króla nawet. Takie są rozkazy!

— Ale to nie może być!—gwałtownie wybuchnął hrabia— to głupia mistyfikacya, ktoś ci naplótł niedorzeczności, a tyś dobrodusznie mu uwierzył. Niéma na świecie człowieka, coby mi mógł serce króla odebrać. To proste niepodobieństwo, to bałamuctwo, to nikczemne kłamstwo! Ja się z tego śmieję! Mnie, mnie do króla nie dopuścić? Ludovici, tyś zmysły postradał...

Radzca ręce złożywszy stał, patrząc na ministra z pewnym rodzajem politowania.

Sułkowski począł się przechadzać po pokoju żywo, śmiejąc się niekiedy sam do siebie.

— Zkądże ty te głupie plotki pobrałeś?— zapytał.

— Ale z najlepszego w świecie źródła — rzekł powolnie grobowym głosem Ludovici. Dałem słowo że nie odkryję tego, czy téj, co mnie przestrzegła i jechać kazała. To co mówię, jest najświętszą prawdą.

— Na Boga, ale jakże się to stać mogło?—zawołał Sułkowski nieco strwożony—mów?

— Król jest słaby—począł Ludovici—królowa jest kobiéta i upartą, O. Guarini jest najprzebieglejszym z ludzi, a Brühl umié doskonale nas cudzemi zagrzebywać rękami. Otóż cała tajemnica. Nie taiłeś wasza ekscelencya swéj niechęci dla mnichów, masz ich pracy owoce.

Wszystko ułożone. Spiskowi wymogli na królu oddalenie wasze, choć się opierał długo. Pójdziecie na honorowe wygnanie z maleńką pensyjką, abyście Brühlowi nie przeszkadzali robić milionów. Lękają się wpływu waszego, słabości serca króla, więc was do tego nie dopuszczą.

Sułkowski się zmarszczył.

— Jesteś tego pewnym?—rzekł krótko.

— Najpewniejszym: w bramach rozkaz mają straże, w zamku pilnują także. Dostaniecie odprawę... jak skoro ukażecie się w mieście.

— I król widzieć mnie nawet nie zechce?—wybuchnął Sułkowski.

— Król jest niewolnikiem — rzekł Ludovici.

Przez chwilę zdawał się namyślać Sułkowski.

— Jeżeli myślicie z całym dworem ruszyć do miasta— odezwał się Ludovici — rzecz skończona; wpadniecie w ich ręce. Może jest jaki środek dostać się mimo nich do króla: użyjcie go. Macie wpływ, probujcie działać; ale to walka o śmierć, o życie, z królową, ze spowiednikiem i z Brühlem.

Z namarszczoną brwią chodził Sułkowski długo, zbliżył się potém do radzcy i poklepał go po ramieniu.

— Jesteś pewnym tego?

— Jak że żyję.

— No, to milcz... ja się ich wszystkich nie boję: mnie tak zgnieść jak Hoyma i innych nie można. Jam twardy.... Zobaczymy...

Najmniejszego nie dawaj znaku po sobie; chodźmy jeść: siadam z tobą na konia. Dwór zostanie tu, za kilka godzin będziemy niepoznani w Dreznie. Ciekawym kto mi się odważy jutro drzwi królewskich zabronić! Zobaczymy....

Wszak do miasta się dostaniemy niepoznani?

— Musimy — odparł krótko Ludovici.

— Trzeba jeść, aby ludzie się z głodu czego nie domyślali. Chodź!

To mówiąc wprowadził radzcę do piérwszéj izby, gdzie stół był już zastawiony. W milczeniu lub rozmawiając o rzeczach obojętnych zaczęli się posilać, ale Sułkowski mało się czego dotknął. Pił wino i łamał chleb, którym stół przed sobą zarzucał. Radzca zmęczony jadł za wszystkich.

Sułkowski się odezwał do młodego adjutanta:

— Hrabio Alfonsie, i wy i konie pomęczone: nocujcie w Pirnie. Ja chcę żonie uczynić niespodziankę, siadam na konia i razem z radzcą przetrzęsę się trochę do Drezna.

Adjutant zdał się niezmiernie zdziwiony. Sułkowski zwyczajnie podróżował wygodnie i z pewną okazałością; takie *incognito* w brzydką porę, po drogach śniegami zawianych, pod wieczór, wydało mu się dziwacznem. Z wejrzenia jego wyczytawszy zdumienie, Sułkowski dodał z przymuszonym uśmiechem:

— Nie ma w tém nic tak nadzwyczajnego, czasem i fantazyi młodzieńczéj w starszym wieku trzeba dogodzić.

To mówiąc wziął na stronę owego hr. Alfonsa i cicho dał mu polecenie.

Adjutant wyszedł natychmiast.

Sułkowski stał milczący i zamyślony.

Wkrótce dwa świeże konie osiodłane stały u wrót gospody; radzono ministrowi aby choć sługę lub mastalerza wziął z sobą, lecz stanowczo odmówił. Podróż ta dla adwokata, który już drogę z Drezna do Pirny raz przebył, nie bardzo będąc do konia nawykły, przykrzejszą była jeszcze niż dla pana; lecz nie chciał Sułkowskiego odstąpić.

Szczęściem dla obu, niebo się wyjaśniło, śnieg przestał pruszyć i mrozek tylko ostry wziął na noc. Konie były nawykłe do drogi którą często przebywały, dosyć więc było puścić im cugle, aby się trzymały bitego gościńca. Słońce się miało ku zachodowi, puścili się kłusem wyciągniętym, hrabia przodem, adwokat za nim, nie mówiąc słowa do siebie.

Wkrótce mrok padać zaczął, lecz śnieg nieco przyświecał i konie szły instynktem. Pomijali szybko rozrzucone nad drogą osady, domki i gospody.

Już było ciemno i noc nadchodziła i światła gęste zwiastowały Drezno. Gościniec też zaczynał być więcéj ożywionym; lekkie sanie, jezdni, piesi i ciężkie wozy wymijały się nawołując. Na wypogodzoném niebie czarne wieże kościołów widać było zdala....

Sułkowski zwolnił kroku i musiał zaczekać trochę, nim go Ludovici napędził.

— Jeżeli w bramach pilnują – odezwał się—trzeba pewnych ostrożności przy wjeździe.

— W. ekscelencya zawiniesz się płaszczem i będziesz musiał na ten raz jechać za mną, jako mój towarzysz. W bramach pilnują wprawdzie, ale patrzą na ekwipaże i dwór z którym się spodziewają pana.

— Mówiłeś że i około domu mojego pilnują także?

— Z pewnością—odparł Ludovici.

— Więc albo do domu nie pojadę i ukryję się u was, lub muszę pieszo tam wnijść niepostrzeżony.

— I tegobym nie życzył—przerwał radzca—w teraźniejszych czasach za sługi ręczyć niepodobna: ktokolwiek zobaczy i doniesie.

Sułkowski się zamyślił i rozśmiał gorzko.

— To zabawne—zawołał—któżby mi dziś rano był powiedział, że nię będę gdzie miał bezpiecznie przenocować w Dreznie!!

Ruszył ramionami.

— Jeżeli tak jest w istocie ze mną źle—bąknął po chwili z wyrazem dumy—nie chcę narażać nikogo.

Mój Ludovici, podejmij się tylko konia odesłać na pocztę, ja pójdę pieszo i miejsce sobie wynajdę, a co mam czynić będę wiedział.

To powiedziawszy zawrócił konia Sułkowski, okrył twarz. Ludovicego puścił przodem, przygarbił się na siodle i z miną pachołka, który się wlecze za swoim panem, pojechał w trop za radzcą.

Zbliżyli się do bramy. W istocie jak zwykle stały w niéj straże, lecz radzca dał im jakieś zmyślone nazwisko na pastwę, niebardzo się nawet dwukonnym przypatrywano i bez przeszkody wjechali do miasta.

Już byli o kroków kilkanaście od wrót, gdy żołnierz przypadł do Ludovicego.

— Zkąd pan? z Pirny może?

— Z Pirny, tak jest—rzekł radzca.

— Nie słyszałeś pan o J. ekscelencyi hrabi Sułkowskim, który dziś miał przybyć właśnie.

— Owszem—zawołał dobrodusznie Ludovici, zwracając się na siodle ku pytającemu—gospoda pod *Koroną* zamówiona dla J. ekscelencyi, ale nadbiegł kuryer z oznajmieniem że dopiéro za parę dni z Pragi wyruszy.

Żołnierz odbiegł rad że to ich od pilnéj straży nocnéj uwalniało, a radzca i hrabia ruszyli daléj.

W mieście ruch jeszcze był dosyć wielki, jak zwykle czasu karnawału. Około staréj poczty Sułkowski zsiadł, oddał konia Ludovicemu, kilka słów mu szepnąwszy i zadumany udał się pieszo ku domowi.

Nie wątpił już teraz po zapytaniu u wrót, że to o czém mu doniósł radzca, prawdą było; musiał więc z pewnemi ostrożnościami dostać się do domu. Zawahał się nawet czyby mu raczéj gdzieindziéj nocować nie wypadało, ale duma nie dopuszczała kryć się jak winowajcy. Szło mu tylko o to, ażeby mógł wnijść przez służbę, któréj nie dowierzał, niepostrzeżony. Odwykły dawno od podobnych tajemnych wycieczek i szukania środków skrytych, Sułkowski zrazu nie bardzo umiał sobie poradzić.

Dziwném uczuciem przejmował go widok ulic, ludzi których poznawał, powozów przesuwających się, całego tego wesołego ruchu karnawałowego. Mijali go mniejsi urzędnicy i słudzy różnych dworów, których on widywał a którzy się w osłoniętym pieszo idącym człowieku nie domyślali wcale tego, przed którym niedawno mało na kolana nie padali. Położenie własne wydawało się Sułkowskiemu bajeczném niemal, cała przygoda marzeniem, niebezpieczeństwo urojeniem jakiémś. Gniewał się niemal że temu mógł uwierzyć. Mierzył stanowisko jakie zajmował z groźbą upadku i nie pojmował ażeby coś podobnego ziścić się mogło....

Śmieléj jakoś pod panowaniem tych myśli zmierzał ku swemu pałacykowi. Na stację już od niego będąc, dostrzegł ludzi kilku przechadzających się dokoła i niby oczekujących na kogoś. Postacie te kryjące się po kątach, potwierdziły iż straże koło wrót nań czatowały. Za każdym zbliżającym się powozem, ludzie ci wyskakiwali z za węgłów i kryjówek i kołując biegli się przejeżdżającym przypatrywać. Sułkowski wsunął się w boczną uliczkę; niepewnym był co pocznie. W téj chwili na myśl mu przyszedł człowiek jeden, któremu zdawało się że mógł zaufać. Był nim Ojciec Vogler Jezuita, dawny spowiednik króla, człowiek stary, który się napozór dobrowolnie oddalił od dworu, ustępując Ojcu Guariniemu.

Żył on prywatnie, do niczego się niemieszając, rzadko pokazując na dworze, teraz zatopiony w książkach. Niegdyś ulubieniec króla, wyszedł z łask jego nie umiejąc go zabawiać, nie starając się podobać, podkopywany powoli. Był to człowiek milczący, surowy, pracowity; zresztą tajemniczy i ukrywający się z sobą. Sułkowski miał go za kapelana i spowiednika

w swym domu i zyskał sobie jego życzliwość. Chociaż Vogler napozór żył zdala od wszystkich intryg dworskich, sam nawet O. Guarini zdawał się go lękać i okazywał mu wielkie uszanowanie. Vogler nie krył się ze swym wstrętem dla Brühla, a choć mówił mało, znać było iż cały ten dwór i wszystko co się tam działo w smak mu nie szło.

Przypomniał sobie teraz Sułkowski iż przed wyjazdem Vogler go przestrzegał, ażeby na długo się nie oddalał, zbytecznie łaskom nie ufał, i tym co przyjaźń dlań odgrywają nie wierzył.

Jeżeli kto to Vogler musiał być najlepiéj o wszystkiém uwiadomiony. Hrabia zmuszony przekradać się przez stary rynek i ludną ulicę zamkową, przy któréj mieszkał Jezuita, zasłonił się płaszczem jak najstaranniéj i szedł w cieniu pod kamienicami, aby nie mógł być poznanym. Powozy i lektyki dążyły ku zamkowi; poznał port-chaise Brühla, którą jego hajducy kłusem nieśli do zamku; minął ją uśmiechając się sam do siebie z goryczą, którą piérwszy raz poznał w życiu. Na myśl mu teraz nie wiedzieć dlaczego przyszła ta scena uliczna z Erellem prowadzonym na ośle i zdało mu się że go spotkał los nieszczęśliwego dziennikarza.

Dom w którym mieszkał Vogler należał do zamku, a wnijście doń było w małéj uliczce bocznéj, na któréj teraz ciemność panowała. Drzwi główne stały jeszcze otworem, ale na wschody musiał się drapać omackiem. Wiedział że Vogler zajmował mieszkanie na drugiém piętrze. Zadzwonił więc do drzwi, które z trudnością mógł wynaleźć w ciemnościach.

Zakrywszy twarz czekał długo aby mu otworzono. Mały chłopaczek z ogarkiem w ręku drzwi uchylił.

— Pater Vogler?

Chłopak się wpatrywał bojaźliwie w nieznajomego przychodnia i wahał co ma odpowiedzieć.

— Pater Vogler—powtórzył hrabia głośniéj — interes pilny, bardzo pilny! Czy sam jest?

Chłopak nie umiał sobie poradzić, drzwi zostawił otwarte, a sam ze świecą umknął. Dopiéro po chwili powrócił ręką pokazując nieznajomemu aby wszedł. Sułkowski niezrzucając z siebie płaszcza wbiegł do mieszkania.

Była to cela uczonego. Wpośrodku stół foliantami zarzucony, przy ścianach proste półki, na ktorych stały i leżały w nieładzie wielkim stosy ksiąg i papiérów. Na stole paliła się lampka z umbrelką. Przed nią stało wysiedziane krzesło skórą obite, z którego tylko co powstał człowiek chudy, wysokiego wzrostu, przygarbiony, łysy, z oczyma przymrużonémi. Zdawał się odwiedzinami nocnemi niezmiernie zdziwiony i oczy osłabione pilno zwrócił na wchodzącego, który jeszcze był osłoniony cały. Dopiéro gdy chłopak drzwi zamknął, Sułkowski zrzucił nakrycie z głowy, odkrył twarz i zbliżył się do O. Voglera, który pochwyciwszy go za rękę, krzyknął z podziwienia.

— Tst!—zawołał Sułkowski.

Vogler go uścisnął milczący i posadził, ale najprzód wyszedł do przedpokoju, aby dać rozkazy stosowne chłopcu.

Hrabia sparty na stoliku milczał a myślał.

— Widzę—rzekł drżącym głosem wracając Jezuita—że musisz wiedzieć o wszystkiém, choć tu u nas nikt nie wié nic jeszcze.

Nikt nie widział was?

— Wprost tu przybywam z podróży—rzekł hrabia.— W Pirna dowiedziałem się o tym spisku, którego potwierdzenie z ust waszych słyszę, domyślam się. Więc to prawda? więc śmiano?...

Vogler poruszył ramionami.

— Tak jest, czekają na was z tą niespodzianką dobrzy przyjaciele—rzekł zwolna—do króla was nie dopuszczą.

— Właśnie na tém mi zależy, aby ja im niespodziankę uczynił i do króla wszedł mimo ich wszystkich—zawołał Sułkowski.—Mylą się ci panowie; król na niewidziane może podpisać wyrok, ale jeśli ja go zobaczę, jeśli ja z nim godzinę pomówię tylko, odzyskam dawną władzę: a naówczas... Naówczas —zawołał Sułkowski, wstając i podnosząc pięść ściśniętą do góry—nie ja pójdę precz, ale ci co się na mnie targnąć śmieli.

Zamilkł.

Vogler załamane ręce podniósł do góry.

— Idzie o to, ażebym miał gdzie przenocować i przeczekać do jutra, aby o przybyciu mojém nie wiedział nikt. Na

dworze nikomu z pewnością nie wydano rozkazów żeby mnie nie dopuszczono, z prawa i z urzędu mam o każdéj godzinie przystęp do N. Pana: nikt mi go wzbronić nie może. O godzinie jedenastéj król sam: Brühla niema.

Jezuita słuchał z uwagą, nie okazując jak sądził plan hrabiego.

— Nie macie nic do stracenia, probować należy; potrzeba: musicie.

— Odważycie się mi dać nocleg u siebie?—zapytał Sułkowski z uśmiechem zwątpienia.

Nie namyślając się O. Vogler odpowiedział:

— Proszę: nie będzie wam wygodnie; ale moje mieszkanie na usługi wasze. Jesteście tu bezpieczni, bo do mnie albo nikt lub rzadko kto przychodzi. Rozgośćcie się panie hrabio i niech Bóg pomoże dobréj sprawie.

Sułkowskiemu oczy błysły.

— Jeśli do króla dostąpię, jestem pewny, wygrałem sprawę...

— Daj Boże!—szepnął Vogler.

Nazajutrz rano Brühl przez Hennickego wiedział iż Sułkowski za parę dni dopiéro ma przybyć. Posłano ajenta tajemnego do Pragi, ażeby tam i w powrocie czuwał nad nim. Na dworze cały spisek ten największą był tajemnicą, hrabina Sułkowska którą królowa uprzejmie przyjmowała na zamku nie miała najmniejszego przeczucia. Król odzyskał był humor wyborny, a karnawał obyczajem dawnym, obiecywał się świetnie.

O rannéj godzinie minister stawił się po rozkazy, odebrał je i zostawiwszy O. Guariniego na zwiadach przy królu, sam do pałacu odjechał. Tu przywdziawszy ubranie nowe, gdyż kilka razy na dzień etykieta zmieniać je zmuszała, kazał się nieść w lektyce do hrabiny Moszyńskiéj. Był u niéj teraz jak w domu. Hrabia mąż jéj przed kilką miesiącami życia dokonał, została wdową i Brühl był pewnym równie jéj serca, jak tego że ręki nie odda nikomu. Stosunki jego czułéj przyjaźni z piękną panią nie były tajne. Codziennie z nią odbywały się narady, co wieczora pani Moszyńska, jeśli Brühl przyjmował u siebie, przyjeżdżała do niego. Wiedziano że nim rządziła.

Często bardzo Hennicke, gdy pilno wypadło mu o czémś donieść, bo radzić się nie potrzebował, szukał ministra u hrabinéj.

I tego dnia Brühl wszedł tu jak do domu, dla wytchnienia. Moszyńska odpoczywała z książką w ręku, w żałobie jeszcze po mężu, piękna w tym stroju i majestatycznie poważna.

Zobaczywszy w progu wchodzącego zdala zawołała doń hrabina:

— Sułkowski? cóż Sułkowski? jest? przybył?

— Nie ma go! Z Pirny dali wiedzieć że dopiéro za dwa dni przybędzie.

Fryderyka głową poruszyła z nieukontentowaniem widocznem.

— To nienaturalne—odezwała się—to podejrzane. Żona mi mówiła że najpóźniéj miał być wczoraj. Ktoś mu mógł dać znać.

— Niepodobieństwo! nikt nie wié!

Hrabina się rozśmiała.

— Liczmy osoby przypuszczone do tajemnicy—rzekła wydobywając piękną rękę białą i na paluszkach zaczynając rachować: królowa, Kolowrathowa, król, Guarini, wy Henryku, ja i zapewne żona wasza. Ta, gdyby jéj nie powiedziano, odgadłaby; dodajmy Hennickiego...

Słyszeliżeście kiedy, żeby tajemnica ośmiu osobom powierzona utrzymać się mogła?

Brühl głową potrząsł lekceważąc to sobie.

— Choćby się dowiedział, to go nie uratuje. Królowi żona tak dogryzła Sułkowskim, że dla najdroższego mu pokoju wyrzec się go musi.

Tak rozpoczęta rozmowa, przeszła wkrótce na inne przedmioty. Brühl wszakże pomimo pozornego spokoju, trochę był zamyślony i ponury. Około południa brał za kapelusz i miał zatrzymującą go hrabinę pożegnać, gdy zapukano do drzwi i jak widmo blady, nieczekając pozwolenia, wpadł Hennicke.

Zmieniona jego twarz i samo wnijście szturmem do salonu zwiastowało już jakąś katastrofę. Hrabina się porwała z siedzenia.

Brühl pobiegł ku niemu.

Hennicke mówić nie mógł, oczy mu latały obłąkane na wszystkie strony.

— Co ci jest? Hennicke: opamiętaj się!—krzyknął Brühl.

— Co mi jest! Sułkowski potajemnie od wczoraj był w mieście, o godzinie jedenastéj zjawił się na zamku, nikogo nie pytając wszedł do króla. O. Guarini, który przy nim był, powiada że król zbladł jak marmur.

Hrabia jak gdyby o niczém nie wiedział i nic domyślał się niczego, w najczulszych wyrazach pozdrowił króla przyklęknąwszy i oświadczył że piérwszym jego krokiem było i pragnieniem, upaść do nóg pana. Król się rozczulił i uścisnął go. Zaczął opowiadać wesoło o podróży, o przygodach, króla rozśmieszył.... i wszedł wprost w dawne swe obowiązki, nikogo nie pytając.

W chwili gdy to mówię, Sułkowski jest u N. Pana: na zamku popłoch; królowa płacze, O. Guarini blady chodzi.... wszystko stracone.

Brühl i Moszyńska spojrzeli na siebie.

Brühl nie zdawał się przelęknionym, ale podrażnionym mocno. Zacisnął usta.

— Słuchaj Hennicke, Sułkowski tam przecież pozostać przez cały dzień nie może; spotkać się z nim nie mam ochoty: dać mi znać gdy do domu odejdzie.

Doskonale pilnowano po bramach i wybornie spełniono moje rozkazy—dodał minister sucho.

Podszedł do hrabinéj, pocałował ją w rękę szepcząc słów kilka i skinąwszy na Hennickego oddalił się z nim razem.

W krótkich słowach opisana przez radzcę scena, w istocie była ciekawą. Na zamku upiór żaden nie byłby uczynił większego wrażenia nad niespodzianie zjawionego Sułkowskiego, który nie pytając o pozwolenie wszedł do króla. August osłupiał na chwilę, bo nic w świecie przykrzejszym dlań być nie mogło, nad wymówki i spory. O. Guarini mimo mocy nad sobą nie mógł ukryć pomieszania. Sułkowski z pozorną wesołością przywitał pana na klęczkach, potém począł opowiadać o sobie, radować się że miał szczęście oblicze króla oglądać. To uspokoiło nieco Augusta. Uważał tylko Ojciec Guarini, że słowa prawie się nie odezwał, mruczał i uśmiechał się.

Zrazu Padre chciał pozostać do końca rozmowy i nie zejść ze stanowiska; późniéj przyszło mu na myśl że był obowiązanym

donieść o wypadku królowéj, aby natychmiast środki właściwe przedsięwziąć. I choć król niespokojnie się oglądał, Guarini po godzinie prawie przysłuchiwania się wyjść musiał. Sułkowski mówił wesoło i żywo, ale jakby gorączkowo. Chociaż najmniejszém słowem nie tknął położenia swojego, nie dał poznać że wié co go czeka, domyślać się było można z rozdrażnienia, ze śmiałości z jaką występował, że waży ostatnią stawkę na kartę. Król oglądał się jakby przestraszony i przybierał postawę coraz surowszą; chwilami się dawał rozchmurzyć i wnet wracał do sztywności jakiéjś zimnéj.

Dopóki Ojciec Guarini znajdował się w pokoju, hrabia mówił tylko o swéj podróży i wyprawach; gdy za nim drzwi się zamknęły, zmienił nieco ton i przedmiot.

— N. Panie — mówił z niewypowiedzianą tęsknotą— spieszyłem tutaj; miałem jakieś przeczucia przykre, choć te się dzięki Bogu nie sprawdziły, i serce W. Kr. Mości ręczy mi za to że się ziścić nigdy nie mogą. Służę panu mojemu od dzieciństwa, poświęciłem mu życie, gotowem oddać jego resztę; potrafiłem pozyskać łaskę i zaufanie, w sumieniu mojém czuję się czystym; nie obawiam się spisków nieprzyjaciół, choćbym ich miał, a nie sądzę ażebym mógł ich mieć, bo nikomu nic złego nie uczyniłem.... Król słuchał z tą powagą przymuszoną ciągle, która nic dobrego nie zwiastowała.

Sułkowski odezwał się jeszcze raz o ucałowanie ręki, dał mu ją król zmieszany, mrucząc, przestępując z nogi na nogę, ale nie odzywając się żadném zrozumiałém słowem. Hrabia zapalał się coraz mocniéj i mówił ze zwiększającą się, rosnącą coraz gorączką.

— Królu mój, panie mój, w twe serce ja wierzę jak w Boga! bogdajby tylko intryganci przewrotnemi jakiemi i chytremi podszeptami mi go nie odebrali.

— O! o!—przerwał August—tu intrygantów nie ma.

— A na jakiż dwór się oni nie wcisną? jakiéjże oni sukienki nie wdzieją?—zaśmiał się Sułkowski.—N. Panie, jam żołnierz i rąbię po rycersku; w bawełnę nic obwijać nie umiem. Są źli ludzie, a ci co najsłodsi, najpokorniejsi, najusłużniejsi, ci właśnie najniebezpieczniejsi. Panie i królu mój! nie chcę innych wymieniać, ale Brühl... Brühla się pozbyć potrzeba, lub

owładnie wszystkiém i odbierze W. K. Mości prawdziwych przyjaciół, aby sam tu władał i rozporządzał.

Mówiąc to patrzał na twarz królewską, która się okryła purpurą a w chwili jednéj bladła i stała się białą a siną. Oczy Augusta nabrały dzikiego wyrazu, jaki nadaje gniew wstrzymywany w sobie. Sułkowski znając go wiedział że trzeba było wybuch taki raz zwyciężyć, aby miłującego pokój pana opanować; nie trwało to nigdy długo. Król miał popęd gwałtowny czasami do rozerwania więzów, ale sprobowawszy ledwie swéj siły, cofał się przed tém co go użycie jéj kosztować miało. Hrabia widział go nieraz w położeniu podobném i zamiast się ustraszyć, stał się śmielszym jeszcze.

— N. Panie—zawołał doganiając króla, który zwolna wstawszy ku oknu się cofał. W. Kr. Mość czcisz słusznie w pamięci wielkiego rodzica swojego, niech on Wam za wzór służy. Ten nad sobą nikomu panować nie dawał, ani królowéj, ani faworytom, ani ministrom, ani mnichom. On panował wszystkim. W. K. Mość możesz skinąć tylko, chciéć, rozkazać, a zamilknie co szemrze, poleci precz co cięży i więzi... Trzeba miéć odwagę życia i panowania, trzeba użyć żywota i władzy, którą Pan Bóg dał: trzeba te więzy potargać.

Król słuchał, ale coraz bardziéj przerażony, oburącz zatknął sobie uszy i zamiast dać jakąkolwiek odpowiedź, jeszcze się daléj usunął ku oknu.

Sułkowski który już zaszedł tak daleko, że cofnąć się było niepodobieństwem; bił, jak mu się zdawało żelazo póki było gorące.

— Czuję tu—rzekł—że się targam na wielkie rzeczy, ale czynię to przez miłość dla mojego pana, którego chcę widziéć tak wielkim jak był rodzic jego, tak szczęśliwym jak on. Co warto to życie klasztorne! Pragniesz W. K. Mość spokoju, ale go będziesz miał przy sławie i dobréj myśli, jak skoro skinąć zechcesz i energicznie objawić swą wolę.

Tych opiekunów nie proszonych jak Pater Guarini i pan Brühl trzeba odprawić. Królowa, święta pani, cnót wielkich, niech się za nas modli, niech buduje swym przykładem, a my N. Panie, pojedziemy lada dzień Węgry zdobywać, bo Jego

Cesarska Mość Karol VI, nie długo pociągnie. W obozie dopiero odetchniesz N. Panie.

Rozśmiał się Sułkowski...

Król patrzał w okno ponuro: żaden ruch i słowo nie zdradziło myśli jego.

Widocznie znużony był.

Szczęściem w téj chwili, ruch na korytarzach zwiastował godzinę obiadową; August ruszył się z miejsca, jakby nie czekając dworu chciał iść. Sułkowski podszedł do ręki, wziął ją prawie siłą, zaczął całować gorąco. Rumieniec na twarz króla wystąpił. Wszedł właśnie W. marszałek dworu i zastał hrabiego żegnającego się z N. Panem w tak czuły sposób, iż najmniéj nie powątpiewał o łasce w jakiéj faworyt zostawał.

Część téj rozmowy, niestety, królowa sama z za drzwi, wraz z O. Guarinim wysłuchała, ręce łamiąc.

Sułkowski wyszedł oślepiony, pewien siebie, ufając w to że potrafi przerobić wszystko, i że nic mu nie grozi więcéj. Z dawniejszą swą butą i zarozumiałością przywitał dworzan i urzędników, których na zamku spotkał, i po krótkiéj rozmowie z nimi, kazawszy sobie podać lektykę dworską, do domu nieść się polecił.

W jego przekonaniu wszystko było jak najszczęśliwiéj skończone i zwyciężone. Wierzył w serce króla, widział walkę jaką stoczył z sobą, lecz pewien był że zwycięży. W domu przywitał żonę pogodną twarzą, rozkazał zwołać Ludovicemu urzędników, przynieść papiery po południu i złożyć sobie raporta z czynności.

Ludovici nadbiegł pospiesznie i został odprawiony z tém, ażeby do dnia następnego były wygotowane punkta jak najmocniéj mogące Brühla potępić, wykazujące nadużycia, fałszywe rachunki, zaległości i t. p.

Cała część dnia i noc następna miały być poświęcone zgromadzeniu dowodów jak najbardziéj obarczających.

Radzca odebrawszy te rozkazy, wyruszył natychmiast dopilnować ich spełnienia.

Gdy się to działo u Sułkowskich, król przy obiedzie z początku do ust nic wziąć nie chciał. Znano go zbyt dobrze, ażeby nie użyto najskuteczniejszego środka. Frosch i Storch znaleźli się naprzeciw stołu, wyprostowani oba... mierząc się

oczyma zwiastującemi wkrótce mającą wybuchnąć walkę. Frosch rozkraczony z rękami w kieszeniach, ani chciał spojrzéć na Storcha, raz nań czy dwa wzgardliwém rzuciwszy okiem; Storch przekrzywiwszy usta, zmrużywszy powieki, pokazywał. nań palcem i stojąc wyprostowany nieznacznie, zwolna sunął się ku niemu. Dla niepoznaki nogi jego sklejone nie poruszały się, ale całém ciałem przyparty do ściany dźwigał się cicho ku współzawodnikowi, zdającemu się nań nie zwracać uwagi.

Gdy się znalazł tak blizko Froscha, iż między niego a ścianę mógł się wcisnąć, podniósł nagle kolano i na niém podrzucił go w górę. Frosch uderzony krzyknął, król spójrzał i twarz mu się rozmarszczyła.

Zwykle owe trefne żarty rozpoczynały się z mimiką wyrazistą, ale w milczeniu. Okrzyk Froscha był znakiem rozpoczęcia wojny na języki. Oba ci bohatérowie słynęli z rodzaju dowcipu, który starczył na dnie powszednie królowi.

— Zdrajco!—zawołał Frosch stając naprzeciw Storcha—nie masz odwagi, mnie bohatéra zaczepić i wyzwać do walki, bo wiész że starłbym cię na pył, na proch i jedném dmuchnięciem nieczyste szczątki puścił na cztery wiatry! Zachodzisz mnie podstępem, nikczemnie, podle, więc kara cię należna nie ominie.

Storch udając skruszonego i przestraszonego, przyczém oczy mu się wywracały tak, że w nich tylko białka widać było; nagle padł na kolana, złożył ręce i zdawał się błagać miłosierdzia. Nieporuszony tém Frosch rzucił się na schylonego i złożyło się tak, że przez głowę mu się przewaliwszy, nogami zawisł na ramionach; Storch wstał chwyciwszy go za pięty i zaczął z nim biegać po pokoju, ale go tymczasem obu rękami Frosch bił w plecy a w końcu za uszy pochwycił i oba się potoczyli na ziemię.

Król o wszystkiém zapomniawszy począł się śmiać i aż się wychylił, aby przyjemnego tego widowiska nie stracić; przywróciło mu to nawet apetyt i zaraz jeść łapczywie począł.

Królowa, choć ją to wcale nie bawiło, a na sercu miała troskę wielką, udawała że się śmieje.

Wkrótce potém przy nizkim stoliczku Frosch i Storch grali w warcaby najpocieszniéj w świecie, zrywając sobie peruki i biegając za sobą po kątach.

Wszystko to wraz z kilkoma szklankami dobrego wina, poprawiło znacznie humor królowi, tak że Józefina nie wątpiła iż po obiedzie do pilnego dzieła przystąpić będzie można, które niecierpiało zwłoki.

Brühl z Ojcem Guarinim oczekiwali w królewskich pokojach. Minister nie wahał się w zamku na własną już odpowiedzialność wydać rozkazy, aby w razie zjawienia się Sułkowskiego, powiedziano mu iż N. Pan przyjąć go nie może. Szambelanowie mieli polecenie złożyć się czém chcieli, a na żaden sposób hrabiego nie dopuścić.

Była to walna bitwa, która niewiadomo czyjém skończyłaby się zwycięztwem, bo mowa Sułkowskiego pewne na królu uczyniła wrażenie, gdyby nie to że królowa Józefina słyszała część znaczną śmiałych wykrzykników hrabiego i poduszczeń do odzyskania niepodległości.

Jak zwykle August po obiedzie aż do opery lub muzyki śpieszył przywdziać szlafrok i zamknąć drzwi swe natrętom, i już żegnał Józefinę nic o Sułkowskim nie wspomniawszy, gdy ona go sama zatrzymała w gabinecie.

— Auguście—zawołała—słyszałam co ci mówił i do czego cię nakłaniał Sułkowski.

— Gdzie? jak?

— Byłam u drzwi!—przerwała Józefina—i dobrze się stało żem się tam znalazła przypadkiem. Ty jesteś aniołem dobroci, ale król takim być nie powinien. Ten zuchwalec obraził majestat królewski, mnie, ciebie; śmiał się zapomnieć do tego stopnia, aby ci radzić życie bezbożne. Auguście, jeżeli noga tego człowieka postanie na dworze, pioruny i kara boska ścigać nas będą.

Tyś to ścierpiał...

— A, a cóż? a jakże?—zapytał August—to mnie męczy. Ja potrzebuję spoczynku. Wypędzić go... no... wypędzić.

— Daj natychmiast rozkazy.

August posłusznie głową skłonił. Niedowierzająca mu jednak królowa, posłała natychmiast po Guariniego i szepnęła mu, aby działał niezwłocznie.

Brühl posępny i zmieszany czekał na pana. Zobaczywszy go nie powiedział nic August, tylko z wymówką pokiwał głową, pogroził, i rzucił się na krzesło.

Prawie w téjże chwili wchodził śmiejąc się O. Guarini.

— A! a! zguba się nam znalazła! N. Panie. Sułkowski powrócił, znać pomiarkował że niepotrzebnie szukać chciał szczęścia po świecie. *Chi sta bene, non si muova.* Źle mu tu znać było, jednak wrócił, bo gdzieindziéj jeszcze gorzéj!

August fajkę palić zaczynał, i wskązał nią na Brühla.

— Ten winien? ha? po co wpuścili! Królowa słuchała, głupstwa gadał... Pfuj!

— Nie jam winien, ale nas ktoś zdradził N. Panie—zawołał Brühl.

— Rób co chcesz—rzekł król żywo—nie chcę widzieć. Napisać rozkaz, do podpisu dać, posłać...

— Ale niéma się czém trapić! niéma sobie czém psuć humoru i zdrowia. N. Panie — dodał Guarini — Faustyna dziś śpiewa razem z Albuzzi, są w najczulszéj zgodzie, kochają się jak dwie gołąbki.

Obejrzał się August i zamruczał.

— *Amor, quel che piace!*

Był to początek śpiewu, którego o mało nie zanucił, lecz zaraz się zajął fajką.

O. Guarini dbały o to, ażeby smutne przerwać myśli, nastroił tak rzeczy, iż natychmiast wniesiono przysłany z Wenecyi przepyszny portret Giorgiona. Ujrzawszy go król porwał się w uniesieniu:

— *A, che bello!*

Zapomniał o wszystkiém.

— Co to za miękkość! jaka słodycz... co za koloryt, jakie życie!—wołał lubując się arcydziełem i oczy mu się uśmiechały.

W pół godziny potém w jakimś niezmiernie ważnym teatralnym interesie prosiła o posłuchanie Faustyna i otrzymała je.

Cofnęli się wszyscy. Nadzwyczaj ożywioną rozmową bawiła króla dobre pół godziny, a gdy wyszła August ją wzrokiem przeprowadzał tak rozpromienionym, jak gdyby ani ministrów, ani interesów, ani żadnego utrapienia na świecie nie było. Chmury zostały rozproszone do jednéj.

Nie tak było łatwo niepokój królowej i innych osób, wpływających do spisku rozpędzić. Znano śmiałość Sułkowskiego,

przywiązanie króla do niego, środki jakich mógł użyć ażeby się docisnąć, wiedząc obyczaj Augusta i mając na dworze przyjaciół i protegowanych wielu. Straże więc tego dnia rozstawiono wszędzie, około pałacu hrabiego, który się ruszać nie myślał, około opery, na zamku, u drzwi bocznych, u wnijścia na wschody wiodące do apartamentów królewskich...

O. Guarini nie odchodził na chwilę, królowa czuwała. Brühl naradzał się, biegał, hr. Moszyńska jeździła, Hennicke ze wszystkiemi podwładnemi, Globig, Loss, Stammer, cała czereda sekretarzy i służby Brühla, rozsypali się po mieście zajmując przeznaczone im stanowiska.

Ruch ten wszystek wcale nie obchodził Sułkowskiego, pewnego swojego zwycięztwa i wygotowującego notaty, któremi miał pożyć przeciwnika. Hrabia swém ranném wystąpieniem dumny, przekonany był, iż niém wrażenie na królu uczynił, które wszelkie inne przeważy.

Żona mniéj dowierzająca, pojechała wieczorem do królowéj. Nie przyjęto ją zrazu. Zaniepokojona tém, domagała się usilnie chwilowego posłuchania i wreszcie je otrzymała.

Józefina przyjęła ją bardzo zimno, lecz z narady O. Guariniego odegrać miała rolę całkiem nieświadoméj spraw dworu i nie mięszającéj się do niczego.

Hrabina Sułkowska panną będąc była freiliną królowéj, miała jéj łaskę i niczém na zmianę uczuć nie zasłużyła. Weszła do pokoju, w którym Józefina nad książką pobożną siedziała, niewiedząc sama jak ma rozpocząć rozmowę.

Z przybranym uśmiechem oznajmiła N. Pani, że przyszła się szczęściem swém z nią podzielić z powrotu męża. Z tego zręcznie przeszła do pogłosek, jakoby nieprzyjaciele jego szkodzić mu usiłowali.

— Moja hrabino — przerwała królowa — mówmy o czém inném, proszę cię; ja zajętą jestem mojemi dziećmi, modlitwą, sztuką, ale do żadnych spraw i intryg dworskich się nie mięszam i wcale o nich wiedzieć nie chcę.

Jeszcze raz usiłowała użalić się hrabina, królowa powtórzyła zimno.

— O niczém nie wiem. Król się mnie wcale nie radzi, ja się do jego spraw nie wtrącam...

Po krótkiéj rozmowie zwróconéj zaraz przez królowę na świeżo nawroconego i ochrzczonego izraelitę, którego hrabina była kumą, potém na nabożeństwo postne, jakie się od Popielca zaczynać miało; pani Sułkowska wstała i ze smutkiem pożegnała królowę.

Czy uwierzyła w tę całkowitą nieświadomość wszystkiego, w to usunięcie się zupełne od dworskich intryg, odgadnąć trudno. Dosyć spokojna, bo nawykła wierzyć w męża, odjechała do domu.

Późno w noc nadszedł Ludovici, ale w humorze nie zwiastującym nic dobrego. Przychodził z oznajmieniem, że w poszukiwaniu aktów znajdował nieprzełamane przeszkody, że urzędnicy nie byli na swych miejscach po biurach, że wszystko się dnia tego rozprzęgło, że go zbywano rozmaitemi nieprawdopodobnemi i śmiesznemi pretekstami i że na jutro w żaden sposób gotowym z papierami być nie może.

IX.

Są charaktery podobne Sułkowskiemu, które niebezpieczeństwa do ostatniéj chwili widzieć i uwierzyć w nie nie chcą. Ani to co mu od królowéj przyniosła żona, nie kryjąc iż była zbyt zimno i obojętnie przyjętą, ani to co mu oznajmił Ludovici, nie odjęło zaufania w siebie i wiary w przyszłość.

Zdawało mu się że król doń był nadto nawykłym, aby się bez niego mógł obejść. Pewien był, że na nim silne uczynił wrażenie ostatnią rozmową, jeżeli się to w ten sposób nazwać mogło; nie wiedział z zresztą może sam na co rachował, lecz był zupełnie spokojnym. Żona, kobiéta skromna, bojaźliwa, znająca dwór i dwory i to co się zwykło zwać łaską pańską, choć nie okazywała tego po sobie, w śmiertelnéj była trwodze. Wiedziała dobrze iż niełaska w Saxonii, zwłaszcza gdy się zajmowali przygotowaniem jéj nieprzyjaciele, nie kończyła się na prostém usunięciu i wygnaniu. Szła za niemi pod jakimkolwiek pozorem konfiskata dóbr, a często i wiekuiste więzienie bez sądu i bez wymiaru... trwające życie całe. Sułkowski popadłszy w niełaskę, zawsze mógł być strasznym swym nieprzy-

jaciołom, przez stosunki na dworach: francuzkim, austryackim i pruskim; cóż więc naturalniejszego było nad obawę, aby go nie zamknięto dla własnego bezpieczeństwa?

W śmiertelnéj trwodze spędziła noc pani Sułkowska, kryjąc łzy swe, któremi mężowi męztwa odejmować nie chciała.

Hrabia przeciwnie był w wybornym humorze, zwierzając się żonie co mówił królowi i jakie na nim uczynił wrażenie. Pochlebiał sobie że siéci zastawione przez nieprzyjaciół potargał, że wszystko powróci do dawnego stanu i że on teraz obali tę klikę nieprzyjazną, a królowę usunie tak i otoczy, aby niebezpieczną być przestała.

Nazajutrz rano d. 5 lutego hrabia po męczącéj podróży nie zaspał długo, obudził się o zwyczajnéj godzinie, ubrał i wedle dawnego obyczaju pojechał do króla na zamek.

Gdyby był cokolwiek więcéj miał przebiegłości a mniéj zaufania w sobie, dostrzegłby był z łatwością, że zobaczywszy go, wszystek dwór spoważniał; że niektórzy się nieznacznie z drogi usuwali, a ci co nie mogli uniknąć z nim spotkania, nadzwyczaj byli małomówni i chłodni. Sułkowski miał dawniéj swobodę wchodzenia do króla, kiedy mu się podobało i gdziekolwiek się znajdował.

Dążył więc prosto do pokojów króla, wiedząc gdzie go szukać o téj godzinie, gdy Löwendahl zaszedł mu drogę grzecznie bardzo i oznajmił, że król w swoim gabinecie pilnemi sprawami jest zajęty i bez wyjątku żadnego, nikogo a nikogo wpuszczać nie kazał.

— Ale to się do mnie stosować nie może!—zawołał Sułkowski, uśmiechając się.

— Nie wiem—odparł Löwendahl—może się to późniéj wyjaśni, lecz darujesz mi hrabia, że ja ściśle się muszę pilnować rozkazów i nie śmiem ich tłumaczyć.

Nie chcąc się poniżać do sporu Sułkowski, pewien iż się późniéj pomścić potrafi tego niewłaściwego znalezienia się; ukłonił zdala, zawrócił i odszedł.

Postanowił przyjechać powtórnie o godzinie jedenastéj, gdy król wszystkich zwykł był przyjmować. Schodząc ze wschodów, zdala zobaczył port-chaise Brühla i to go mocno ubodło.

— Ale cierpliwości—rzekł w duchu—cierpliwości; są to ostatnie wysiłki tych ichmościów, przecież nie będą śmieli drzwi mi zamknąć przed nosem. Zobaczymy...

Pojechał do kancelaryi Ludovici'ego i znalazł go bladym i pomięszanym.

— Papiéry? macie papiéry?—zapytał.

— Dotąd ich nie mam, zbiéram to co wprzódy było przygotowane; jest cóś w obejściu się ze mną urzędników tajemniczego, nic dobrego i nic nam nie zwiastującego pomyślnego: chodzą, a raczéj uciekają jak poparzeni.

— Ja to rozumiem bardzo dobrze—zaśmiał się Sułkowski—jakże chcesz, aby kto widząc swój upadek nie stracił głowy. Ja się jeszcze do N. Pana docisnąć nie mogłem, powiedziano mi że zajęty w gabinecie. Musi być walna narada co tu zrobić z Sułkowskim, który wszystkim szyki pomięszał.

Zaczął się śmiać, a Ludovici westchnął, ale z błędu wyprowadzać nie myślał.

Ważyło się przez chwilę, czyby nie jechać do Brühla. Właściwie on powinien był już być u Sułkowskiego; usunięcie się także było rodzajem wypowiedzenia wojny. Nieczyste ma sumienie, rzekł w duchu, nie śmié mi się na oczy pokazać, a może węzełki zwija czując odprawę. To pewna, że nie dam mu tu popasać długo. Ludovici nie był tego dnia do rozmowy, milczał, zamyślał się, stawał nie słysząc co doń mówiono; przechadzał, stękał. Sułkowskiego to prawie śmieszyło.

Nie mając co począć z sobą, dla żartu postanowił odwiedzić hr. Moszyńską, aby zobaczyć jak go téż przyjmie i czy bardzo się przestraszy.

Ruszył więc do hrabinéj, alu tu przeproszono go że godzina była ranna, a hrabina nie ubrana. Wrócił do domu, gdzie żona go u progu spotkała niespokojna...

Sułkowski żartując z jéj przestrachu, powiedział że natychmiast jedzie napowrót do króla. Zamilkła na to. Było trzy kwadranse na jedenastą, gdy Sułkowski na zamek udał się znowu. W przedpokojach osób znalazł bardzo mało. Frosch i Storch, którzy tylko przy królu byli tak pocieszni, siedzieli z minami powszedniemi ludzi znudzonych i nie mających najmniejszéj ochoty do błaznowania. Storch miał od padania na

ziemię bóle w kolanach, a Frosch posępny wyglądał jak noc i nie widać było w nim najmniejszego do wesołości usposobienia. Siedział z obowiązku, oczyma i sercem będąc za oknem gdzieś w domu.

Gdy Sułkowski do drzwi apartamentu się zbliżał, paź króla przybiegł i oznajmił mu że N. Pan był u Najj. Pani. Do królowéj iść ani chciał, ani mógł Sułkowski; tam potrzeba się było anonsować i mógł być nie przyjętym. Przeszedł się kilka razy po przedpokoju i nie wiedząc co z sobą począć, udał się napowrót do lektyki. Chciał się kazać nieść do domu, ale wiedział że widok tak wcześnie powracającego zaniepokoi żonę, wolał więc przebyć tę chwilę gdzieindziéj.

Ta powtórna niebytność króla mogła mu dać do myślenia: w istocie dorozumiewał się intrygi, lecz w skutek jéj nie wierzył. Postanowił stałością i cierpliwością przemódz te przeszkody, wytrwać na stanowisku, nie okazywać zniecierpliwienia i był zawsze jeszcze pewien że zwycięży.

Po drodze był dom Faustyny... postanowił wstąpić do niéj. Znał on admiracyą króla dla śpiewaczki i jéj usposobienia, miał nadzieję jeśli się nie dowiedzieć czego od niéj, to przynajmniéj wyrozumieć.

Już z przedpokoju dochodziła go taka wrzawa włoska, że niemal chciał się cofnąć, aby nie wpaść w niewłaściwe towarzystwo... Wtém drzwi się otworzyły i Amorevoli, Monticelli, Albuzzi, Puttini, Pilaja, kilku francuzów krzycząc i kłócąc się jeszcze poczęło się wysypywać z pokoju. Zobaczywszy Sułkowskiego, wszyscy natychmiast umilkli, rozstępując się i kłaniając mu nizko.

Faustyna, która ich wypędziła, właśnie stała na progu: zdziwiła się na widok hrabiego i zmięszana nieco, z uśmiechem wymuszonym zaprosiła go aby wszedł.

— Kiedyż w. ekscelencya wróciliście?—zawołała—my nic nie wiemy o jego powrocie.

— A, bo ja dotąd napół jestem *incognito* — rozśmiał się hrabia — proszę sobie wystawić, piękna pani, że od wczoraj nie mogłem dostąpić szczęścia oglądania oblicza pana mego. Trzy razy byłem w zamku, a dwa nie zostałem przyjętym. Ja!!— dodał Sułkowski, wskazując palcem na siebie.

— Zaczynam sądzić, że kilkomiesięczne oddalenie, uczyniło mi dwór i jego obyczaje niezrozumiałemi i przychodzę do was prosić o tłumaczenie.

— Hrabia sobie przyjemne żarty ze mnie stroisz—odparła Włoszka spoglądając nań z pewném politowaniem i uwagą— ja znam tylko dwór ze sceny. Na scenie królową jestem lub boginią, a zszedłszy z desek, zupełnie nieświadomą istotą tego co się w świecie dzieje.

— Jednakże—ciszéj począł Sułkowski—powiedźcie mi, słyszeliście co? czy się tu jaka burza na mnie zebrała staraniem waszego przyjaciela Guariniego naprowadzona....

— Nic a nic nie wiém—trzęsąc głową ozwała się Faustyna—mnie moje kłopoty teatralne starczą. Być bardzo może że na was panie hrabio spiskują, ale wy przecież obawiać się tego nie potrzebujecie.

— Ani się téż lękam, lecz chciałbym *tirer au clair*, co to jest?

— To jest zazdrość i współzawodnictwo—odezwała się Bordoni—my w teatrach doskonale to znamy: rzecz niezmiernie powszednia.

— A lekarstwo na to?

Faustyna ruszyła ramionami.

— Kto może się usunąć, uciec, a kto ma ochotę walczyć musi się bić i trwać w boju, bo spokojności nie znajdzie nigdzie i nigdy.

Sułkowski nie śmiał jéj przypomnieć przestróg, jakie mu dawała przed kilką miesiącami, teraz mowa jéj i usposobienie były całkiem zmienione: Faustyna lękała się.

Widząc że się niewiele dowié, hrabia spytał o nową operę, o muzykę, o Hassego; przeszedł się po saloniku kilka razy i pożegnał Faustynę.

Postanowił wprost jechać do domu. Pomimo wiary która go dotąd nie opuszczała, chmurne miał czoło i musiał się powstrzymywać aby nie okazać niecierpliwości jakiéj doznawał.

Przed pałacem znalazł ekwipaż dworski. Baronówna Löwendahl córka w. ochmistrza dworu była u jego żony. Sułkowski poszedł do salonu.

Na kanapie siedziały dwie panie zajęte żywą i niespokojną rozmową. Widząc go wchodzącego panna Löwendahl, żywa osóbka, niezbyt już młodziuchna, która zawsze o wszystkiém bywała najlepiéj uwiadomioną, porwała się z kanapki i podbiegła ku niemu. Na twarzy jéj widać było pomieszanie i rozdrażnienie niezwykłe.

— Hrabia mi to najlepiéj objaśnisz — zawołała witając się. Na dworze zaszły czy gotują się jakieś zmiany. Nie możemy odgadnąć co to być może.

— Ale zkądże panie to wnoszą?—zapytał witając się gospodarz.

— Wiem doskonale—poczęła żywo panna Löwendahl. Przed godziną król posłał po starego generała Baudissina, który leży na pedogrę chory i kazał mu do siebie przyjechać. Generał który ledwie o kiju się może po pokoju przechadzać, kazał przeprosić króla, tłumacząc się chorobą; mimo to posłano po niego raz drugi i widziałam na moje oczy sama że musiał jechać i pojechał na zamek.

— Nie wiem co to może być—odpowiedział spokojnie Sułkowski—byłem na zamku dwa razy, ale oba razy najśmieszniéj w świecie trafiłem tak że króla widzieć nie mogłem.

Zaczął się śmiać, panna Löwendahl ciągnęła daléj szczebiocząc żywo.

— Od kilku dni już głoszą że Baudissin, który kilka razy napróżno o dymisyę prosił, dostanie ją nareszcie. Nic mu tak złego nie będzie, bo dawno odpocząć potrzebuje. Gorzéj daleko, bo drudzy mowią że mój ojciec może także być odprawionym.

— Nie sądzę—rzekł Sułkowski—ale żem od kilku miesięcy nie był w Dreznie, nie rozumiem tego wszystkiego, nie jestem *au courrant.*

Panna Löwendahl spojrzała nań.

— Domyślić się łatwo. Miejsca są potrzebne dla nowych kreatur.

— Cicho! cicho!—przerwała hrabina—doprawdy ja się lękam już i słowa...

Hrabia ramionami ruszał.

— Popłoch próżny — rzekł — zmieni się to wszystko wprędce.

Na te słowa wszedł kamerdyner.

— Jego ekscelencya w. ochmistrz baron Löwendahl i J. E. generał Baudissin.

Wszyscy po sobie spojrzeli, marszałkówna pobladła i cofnęła się ku kanapie.

— Prosić—zawołał idąc ku drzwiom Sułkowski.

W téjże chwili wchodzili już oznajmieni goście, a Löwendahl zobaczywszy córkę, zdziwiony nieco na nią popatrzał, jakby wymawiał że ją tu znajduje.

Przywitanie było zimne, Sułkowski sztywnie i chłodno przyjmował gości, nie umiejąc sobie wytłumaczyć ich odwiedzin. Wskazywał im siedzenia, gdy Baudissin zbliżył się do niego i rzekł:

— Hrabia pozwolisz ażebyśmy mogli mówić bez świadków; przychodzimy z polecenia króla.

Twarz Sułkowskiego nie zmieniła się wcale, wskazał natychmiast drzwi przyległego gabinetu.

Kobiéty które cichéj rozmowy posłyszéć nie mogły, siedziały przestraszone i zaciekawione. Sułkowska blada, drżała czując że to nie zwiastowało nic dobrego.

Panna Löwendahl chciałą odjechać i nie miała siły, hrabina przytrzymywała ją gwałtownie.

Gdy się we trzech w gabinecie znaleźli, Baudissin, stare, posłuszne żołnierzysko z widoczną przykrością dobył z kieszeni fraka papiér... rozkaz z królewskiéj kancelaryi przysłany i przez króla własnoręcznie podpisany.

W milczeniu podał go Sułkowskiemu, który w przejściu z salonu do gabinetu, jak gdyby próg innego świata przestąpił, stał blady i widocznie rażony jak piorunem.

Drżącemi rękami ujął ten papiér, oczy nań zwrócił, czytał a nie rozumiał: stał jak obłąkany.

Löwendahl któremu i żal się go zrobiło i szło o to aby coprędzéj się ztąd wydobyć, widząc że hrabia stoi, milczy i nie zdaje się rozumieć o co idzie: stanął za nim i głośno czytać zaczął powoli...

Pismo było w niewielu wyrazach krótko zredagowane.

„J. Kr. Mość zauważywszy, że hrabia Sułkowski po kilkakroć i ostatni raz przy widzeniu się z nim, zapomniał się a uchybił J. Kr. Mości; uznał właściwém, urzędy jakie przy J. Kr. Mości sprawiał odjąć i od obowiązków wszystkich przy sobie uwolnić. Jednakże ze względu na długoletnią służbę jego, raczył mu pensyą jako generałowi pozostawić"....

Coś gorszego może spodziewał się zapewne Sułkowski wnosząc z tego co innych spotykało, rozpatrzywszy się więc w piśmie, przyszedł wkrótce do siebie i odzyskał przytomność.

— Wola Najjaśniejszego Pana —rzekł – jest dla mnie świętą. Jakkolwiek czuję się niesprawiedliwie dotkniętym, skutkiem zapewne poduszczeń nieprzyjaciół moich, zniosę co mi przeznaczono.

Jeżelim się nawet zapomniał w obec J. Kr. Mości, pewnie to raczéj było skutkiem mojéj miłości dla N. Pana, niż braku poszanowania.

Baudissin i Löwendahl nie odpowiedzieli nic. Sułkowski przed którym niedawno jeszcze, niemal na twarz padali, ujrzał na nich pierwszych skutek niełaski.

Dawna grzeczność zapomnianą została: Baudissin obchodził się z nim jak z równym, a Löwendahl jak z podwładnym. W twarzach było widać zakłopotanie i chęć jak najrychlejszego uwolnienia się.

Oba skłonili się zdala, obłudno, Sułkowski oddał im ukłon i wyprowadził do sali. Tu zdaleka tylko pożegnawszy siedzące panie, wyszli co najrychléj. Hrabia niewiele już po sobie okazując wrażenia, przeprowadził ich grzecznie do sieni i powrócił spokojny niemal tak, że żona domyślić się z twarzy nie mogła co się stało. Potajemna ta narada nie była daremną.

Panna Löwendahl dosiadywała chcąc się o czémś dowiedzieć. Nieśmiano go pytać.

Z zimną krwią Sułkowski przystąpił do stołu i spojrzał na żonę, któréj twarz wyrażała niespokojną ciekawość.

— Winszuję pani—rzekł głosem, w którym lekkie przebijało się drżenie—jesteśmy wolni. N. Panu podobało się ze swéj służby mnie odprawić. Nie boli mnie to nic a nic, chociaż dobrego i kochanego pana żałuję. Na dworze tym jednak

w takim składzie okoliczności jaki jest dzisiaj, wytrwać uczciwemu człowiekowi było trudno.

Żona rzuciła się na kanapę zasłaniając oczy.

— Moja droga—rzekł hrabia—uspokój się, proszę. Przyczyną odprawy ma być to żem się w obec króla J. Mości zapomniał, co znaczy żem mówił niemiłą i nieproszoną prawdę; król mi zostawić raczył pensyę generalską a dał mi nieoszacowaną swobodę—dodał rękę wyciągając ku żonie—pojedziemy do Wiednia.

Panna Löwendahl patrzała na hrabiego z podziwieniem. Nie mogła pojąć téj spokojności z jaką przyjął nagły swój upadek ze szczytu. W istocie duma Sułkowskiego nie dozwalała mu ani mocno uczuć wrażenia, ani go okazać. W prędkim czasie po piérwszém osłupieniu przyszedł do siebie i po pańsku przyjął co los mu wydzielił.

Być bardzo może, iż spodziewał się jeszcze zmiany...

Hrabina płakała.

Uczuła panna Löwendahl że była tu zbyteczną, bo pocieszyć nie mogła, a przytomnością swą nie dała się im wynurzyć przed sobą; ścisnęła więc w milczeniu rękę przyjaciółki i wyśliznęła się z pokoju.

Sułkowska padła twarzą na kanapę.

— Droga moja—zawołał hrabia—zaklinam cię na wszystko, bądź mężną. Nie przystoi nam dać poznać żeśmy dotknięci. Zawdzięczamy sercu króla, że ja nie jadę jeszcze do Königsteinu na miejsce Hoyma i że zamiast mi odebrać majątek, zostawuje mi pensyą. Wygnanie w Uebigau, na które jestem wskazany, niema w sobie nic straszliwego i nie wyłącza nadziei... obalenia tego całego rusztowania, które zręczna ręka poczciwego, słodkiego, wiernego mojego przyjaciela Brühla zbudowała....

Uspokój się proszę cię.

Ale niełatwo łzy ukoić było.

Sułkowski nic nie mówiąc spojrzał na zegarek, podał rękę żonie i szepcząc pocichu, przeprowadził ją do jéj pokojów.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Powieść p. Freitag, z epoki staro-germańskiéj, p t. Ingo.—Odwieczne zapasy germanizmu z latinizmem.—Rozprawa p. Bousquet o teatrze japońskim w Yeddo.—Dramat Zemsta rodziny Soga.—Komedya.—Powieściopisarstwo. *Zbiór pieśni nowogreckich*, wydany w przekładzie francuzkim przez Emila Legrand.— Odkryty świeżo w Wiedniu manuskrypt z wieku XVI, przez Konstantego Sathas.—Pieśni historyczne: *Wódz Thalkas*.—Pieśni miłosne: *Distiki*.—Dumki: *Sierota*, *Potęga łez*, *Księżniczka i Ptaszyna*, *Pierścionek*, *Okręt Charona*, *Zemsta męża*.—Podanie o Mazepie.— Dzieło Maxyma du Camp: Paryż, jego organa żywotne: teatr, dziennikarstwo, biblioteki. Wspomnienie Franciszka Guizot. — *Życie patrycyusza weneckiego*, przez Yryarta.—Oswobodziciele narodów, przez Franciszka Combes.—Historya życia i prac Hoëne Wrońskiego, przygotowana do druku przez Lazara Augé. Listy Prudona.

Zajrzyjmy dziś w świat staro-germański. Tu przewodnikiem będzie nam świeża powieść Freitaga, a raczéj epopea, napisana prozą poetyczną, p. t. Ingo. Pierwszy to ustęp z wielkiego obrazu, w którym autor zamierzył przedstawić żywot Germanii w trzech epokach dziejowego jéj bytu. Porównywają ten utwór do fresków Kaulbacha; każdy rys rzucony tu mistrzowską ręką, ale siła kolorytu nie odpowiada według powszechnego uznania wielkiemu bogactwu kompozycyi. Mimo to, utwór Freitaga poruszył do gruntu serca Niemców, zamiłowanych w narodowych tradycyach.

Rzecz dzieje się w połowie IV-go wieku. Na wzgórzu oddzielającém Turyngią od kraju Kottów, stoi na czatach czujny strażnik; w krzepkiém ręku ma długi oszczep, na piersi róg, przytwierdzony do szyi twardym rzemieniem.

Nagle przybiega nieznajomy podróżnik.

— Stój!—zawoła straż—wyśpiewaj hasło, inaczéj nie ujdziesz ztąd żywy!

Cudzy człowiek ukrył się za drzewo, wyciągnął prawą rękę.

— Pozdrawiam cię—rzecze—przyjacielsko; przybywam tu zdaleka: wasze hasło całkiem mi nieznane.

— Nie przybywasz konno, z orszakiem rycerskim, jak przystało wodzowi—odrzecze strażnik podejrzliwie;—nie nosisz tarczy rycerskiéj, nie zdajesz się także być wędrownym kramarzem.

— Przychodzę z daleka—powtórzył obcy: przebyłem góry i doliny; koń mój utonął w rzece: wzywam twéj gościnności.

— Jeżeli tak, musisz zaczekać aż przybędą moi towarzysze i otworzą ci wstęp do kraju. Tymczasem nic złego cię nie spotka.

Strażnik zadął w róg, w mgnieniu oka inny żołnierz wystąpił z gęstwiny, zajął miejsce jego na posterunku. Wówczasto zluzowany Turyngczyk poprowadził nieznajomego ku wsi do pańskiego dworu. W drodze opowiada przybyszowi, że królem Turyngii jest obecnie Wizino, ale wieś, do któréj go prowadzi, nie należy do króla. Właścicielem jéj książe Auswald. Od niejakiego czasu, granica silnie strzeżona, z powodu walnéj bitwy pomiędzy Allemannami a Cezarem Julianem. Wieść o téj bitwie rozbiegła się gromem po Turyngii.

Wspaniała postawa nieznajomego, uderza silnie Turyngczyka.

— Twe kroki — rzecze — śmiałe, krzepkie; nie widać wcale żeś strudzony. Snać chadzałeś często po krwią pociekłych wrzosach. Tyś, jak widzę, rodem z plemienia naszego; umiesz bowiem stąpać na palcach. Czy widziałeś jak chodzą Rzymianie?

— Chodzą drobnym krokiem, opierają na ziemi całą stopę, jak ludzie zmordowani.

— Tak mówią u nas wszyscy, którzy przebywali na Zachodzie.

— Bodajby ci, co dzierżą w ręku ludzkie losy, oddalali od ziem naszych kroki Rzymian!

— Mówisz jak mawiali ojcowie. My młodzi powtarzamy: jeśli do nas nie przyjdą, sami pójdziemy do nich. Kraj ich tak piękny, domy budowane z kamienia, słońce nie zagasa tam nigdy; drzewa wiecznie pokryte zielonością, wino tryska potokiem, sprzęty ich kute ze srebra; dziewice pląsają strojne w złoto i bisior, wojsko tonie tam w zbytkach!

Napróżno Turyngczyk wyzywa na słowo nieznajomego. On milczy, jakby skała. Przybyli wreszcie do wsi. Spostrzegają Irmgardę córkę księcia Auswalda, jak pełna wdzięku przebiega z obory do mleczarni. Nieznajomy patrzy z zajęciem na gospodarną dzieweczkę. Ona z szczerém współczuciem wita przybysza, który szuka przytułku w domu ojcowskim. Stary Auswald przyjmuje pod dach swój podróżnika.

— Obyczajem kraju tego—rzecze – znajdziesz tu trzydniowy spoczynek i trzydniowy chléb, a potém zwołam lud mój, zasięgnę jego rady. Dzieci! przysuńcie ławę do ogniska, podajcież obcemu dary bogów!

Nieznajomy zasiada, gościnność odpłaca szczerą ufnością. Oznajmia klęskę Allemannów, wymienia swój ród. Opowiada, jak

rozterki domowe wygnały go z kraju Wandalów; jak niegdyś wódz turyngski, walczył wraz z ojcem jego przeciw Rzymianom, jak ci dwaj dzielni wojownicy, na znak wiecznéj przyjaźni, przełamali rzymską sztukę złota. Połowę sztuki ukazuje Auswaldowi. Gundruna żona Auswalda przynosi drugą jéj połowę. Nieznajomy wymienia swe nazwisko. To syn Jugberta Ingo.

Pomimo tak ścisłych węzłów, Gundruna czuje w duszy trwogę. Pobyt Ingona w ich domu nie ściągnież pomsty Rzymian i sprzymierzeńca ich króla Wizino? Aby uniknąć badawczego wzroku nieprzyjaciół, Jugo przywdziewa prostą odzież, zrzeka się zaszczytów, do jakich ród nadaje mu prawo.

Wkrótce jednak prawda wychodzi na jaw. Serce młodziana przepełnione goryczą. Cierpienia jego budzą gorące współczucie w duszy pięknéj Irmgardy. Widzi to Teodulf, wybrany jéj na męża wolą rodzicielską. Niechętném okiem patrzą na siebie obaj. Dnia jednego podczas uczty, na którą stary Auswald wezwał rycerską młodzież z kraju, Teodulf wyzywa na rękę przybysza. Ingo daje dowody bohatérskiej dzielności; jednym rzutem przesadza pięciu konnych, powala ich maczugą. Wszystka młódź poprzysięga mu zemstę.

Podczas uczty przybywa bard Volkmar; obecni witają go grzmiącym poklaskiem.

— W dobrą chwilę przybywasz miły bardzie—rzecze Irmgarda. Oni się kłócą! niech harmonijny dźwięk twojéj liry, ułagodzi serca zwaśnione. Jeśli możesz, zaśpiewaj pieśń wesołą!

— Wieść, jaką niosę—odrzecze bard—tak smutna, że skoro ją posłyszą, wnet przepomną wzajemnych sporów. Gdy ją wypowiem, nie zechcą już pewnie mojéj pieśni!

Książe Auswald wita uprzejmie śpiewaka i zagadnie go słodko.

— Ptaki lasów naszych, które opuściły nas podczas zimy, świegoczą oddawna pieśni letnie; sam tylko piewca bohatérów nie podniósł dotąd głosu!

— Nie słyszałem ja tego lata—odrzecze bard ponuro, pieśni śpiewaków leśnych, raczéj słyszałem szczekające psy boga wojen! Widziałem most pobudowan z chmur, po którym tłumy bohatérów wstępowały w przybytek nieśmiertelnych. Widziałem Ren ściekający czerwoną falą, zawalony trupami ludzi i koni; widziałem na krwawéj dolinie sterczące pagórki z martwych ciał, obsiadłe chmarami czarnych kruków; widziałem w obozie rzymskim królów w pętach i twardy topór naostrzon na ich głowy!

Trwoga przebiega po zgromadzeniu. Volkmar opowiada, jak Allemannowie odnieśli z razu tryumf, jak Cezar pchnął na nich szeregi Botanów i Franków, którzy przechylili szalę na rzecz zwycięzkiéj Romy; jak powiał nad rzeką purpurowy sztandar ze smokiem, jak pod cieniem tego sztandaru powstała najstraszniejsza rzeź; jak rycerz germański, potężną prawicą zdarł to ohydne godło i rzucił postrach

na tryumfujące legiony. Lecz Ingo, syn Jugberta, mściciel i zbawca Germanów, znikł nagle w nurtach rzeki!

Śpiewak umilkł, pochylił głowę nad lirą; głuche milczenie panuje w sali, jakby po pieśni pogrzebowéj. Oczy mężów połyskują żarem, rysy ich zmienione świadczą o głębokiém wzruszeniu. Żywiéj jeszcze płoną lica nieznajomego: gdy bard wcisnął się między tłumy, on schylił głowę; rzekłby kto, że nie słucha pieśni. Obecni zgorszeni taką obojętnością, wytykali go palcem. Ale skoro bard jął opiewać krwawy bój około sztandaru, Ingo podniósł do góry głowę; promień światła rozjaśnił jego czoło. Rzucił na Volkmara wzrok płomienisty, a ktokolwiek spojrzał nań, nie mógł oderwać oczu od cudnie pięknego oblicza. Jasny włos powstał mu nad czołem i otoczył je złotą aureolą. Gdy śpiewak umilkł, Ingo siedział w miejscu, jak skamieniały.

— Patrz tam Volkmarze—wyszepcze drżący głos niewieści i oczy wszystkich zwróciły się w stronę, którą ukazała Irmgarda.

Czoło barda zabłysło, uderzył w struny lutni; z piersi jego wybiegł potężny okrzyk:

— Tak! rzeka oddała nam bohatéra!

Postąpił krok naprzód i dodał:

— Błogosławiony dzień, w którym oglądam ciebie Ingonie, ostatni zapaśniku w bitwie Allemannów!

Obecni powstają z miejsc; okrzyk zapału rozlega się po sali. Bard przystępuje do bohatéra, pochyla przed nim głowę.

— Tak, to ty!—zawoła drżącym głosem — nigdy pieśń moja słodszéj nie doznała nagrody!

I prowadzi nieznajomego do książęcego stołu. Stary Auswald z okiem zwilżoném łzami, powstaje na spotkanie.

— Błogosławion bądź Ingonie... z serca mego spada dziś wielki ciężar! Wiedziałem ja... chwała bohatérów utaić się nie może. Pozdrawiam cię synu Ingberta, którego ugościł mój ojciec. Przysuńcie ławę, niechaj książe zasiędzie w gronie szlachetnych mężów, co przodują ludowi memu! Dajcie tu wina! Podnieśmy w górę rzymską czaszę i rzymskim trunkiem spełnijmy zdrowie bohatéra, syna nieśmiertelnych bogów!

Scena zmienia się, po epopei następuje idylla. Dnia jednego porankiem Irmgarda błądzi po lesie, powtarza pieśni barda, echo odpowiada opodal. Nagle ukazuje się Ingo. Bohatér posłyszał jéj wyznanie; wié że kochany: wyznaje nawzajem miłość pięknéj dziewicy, opowiada dziwną przygodę. W chwili, kiedy zmordowany gwałtownem wysileniem, upadł nad brzegiem Renu, trzymając w ręku rzymski sztandar, wieszczka Allemannów, powiernica bogów nieśmiertelnych, pochyliła się nad nim.

— Wybieraj—rzekła—pomiędzy spoczynkiem a chwałą! Jeżeli zachowasz sztandar zdobyty z takim trudem, spokój życia przepadł dla ciebie! Ingo nie wahał się wtedy: wybrał chwałę; ale odkąd

spojrzał w oczy Irmgardy, żałuje niemal własnego bohatérstwa: radby po burzy zawinąć do cichéj przystani.

— Niestety!—zawoła—jam porwany, jak ten świerk, rozhukanym prądem potoku!

I ukazał palcem młode drzewko, oderwane od krawędzi skał, z bryłą ziemi, w któréj zapuściło korzenie. Acz szamotany wściekłym prądem, świerk nie powalił się jeszcze, podnosił w górę czoło.

— Patrz!—rzecze Ingo—bryła ziemi maleje, wnet pień roztrzaska się o skały.

Irmgarda patrzy trwożliwym wzrokiem, zbiega w dolinę, staje drżąca po nad brzegiem potoku.

— Trzyma się jeszcze...—zawoła z radością i pobiegła w stronę kędy woda unosi drzewo. Otóż świerk przypłynął do naszego wybrzeża... czy widzisz? przyczepił się do ziemi, zapuści w nią korzenie!

— Miałżebym i ja pozostać tu?—zapyta Ingo.

Irmgarda odpowiada milczeniem.

Tymczasem książe Auswald zwołał piętnastu towarzyszy; według obyczaju, zasięga ich rady, pyta azali obecność Ingona w jego domu, nie zatrwoży króla Wisino, sprzymierzonego z Rzymem? wypadaż mu trzymać dłużéj obcego człowieka przy ognisku i nie odmawiać mu dobroczynnéj gościnności? Pod względem historyi i poezyi, ta narada prawdziwém jest arcydziełem. Mowy obecnych mają ton homeryczny. Kapłan Furyburt nasuwa na myśl poważnego Nestora, Sintram mądrego Ulysesa. Po długich sporach, wspaniałomyślność przemaga nad rozwagą. Ingo pozostanie. Zamienia on z wodzami ludu, wzajemną przysięgę wierności; wybiera za towarzysza Wolfa, owego strażnika, który pierwszy na granicy ugościł go chlebem i solą. Teodulf sam podaje mu rękę, przepomina urazy. Nowa zorza błysła na niebie Ingona, ale po pięknym poranku letnim, idą w ślad burze i pioruny: spokój serca tonie w powodzi smutnych myśli.

Król Wisino dowiaduje się niebawem o przybyciu Ingona, do domu Auswalda lennika swego. Wieść ta zapala go gniewem. Zasypuje barda Volkmara pytaniami, nie ukrywa niechęci. Królowa Giula przeciwnie, uniesiona radością, daje śpiewakowi złotą czaszę w nagrodę pomyślnéj wieści, jaką jéj przyniósł; błaga, aby jéj mówił o Ingonie i dzielnych jego czynach. Niegdyś w rzeczy saméj, ojciec jéj król Burgundów, przeznaczył ją bohatérowi za małżonkę; od chwili, jak poślubiła króla Wisino, pędzi dni w smutku i tęsknocie.

— Kroki twoje—rzecze, dumając o nim—zbliżyły cię do ścieżki, po któréj ja stąpam żałosna. Przynosiszli troskę, czy szczęście? witaj bądź co bądź! obmierzło mi życie bezbarwne i samotne!

Ingo zbliży się niebawem do królowéj; Wisino rozkazuje bardowi przyzwać go na dwór, okazuje mu łaskę i względy. Wbrew mądrym radom Auswalda, młody Wandal pełen odwagi, postanawia stanąć śmiało przed królem; wprzód jednak chce zebrać orszak druchów.

Volkmar przyrzeka mu zwołać Wandalów, którzy służyli pod nim, a dziś rozbici tułają się pomiędzy Burgundami. Na wiosnę, gdy lody pękną i potopnieją śniegi, życzenia króla Wisino i królowéj Giulli, urzeczywistnione zostaną.

Zaczém Ingo opuścił dom Auswalda, zaprzysiągł wiarę niezłomną jego córce. Powierzył jéj sztandar rzymski, zdobyty z takiém bohatérstwem, jedyny skarb, jaki posiadał w świecie. Sceny miłosne pomiędzy kochankami, przeplata autor obrazami burd i krwawych bijatyk. Wandale i Turyngowie znieważają się, mordują bezustanku. Ingo wyzwany przez Teodulfa, walczy z nim zapamiętale i zwycięzko wychodzi z boju. Powalił wroga, lecz wspaniałomyślnie udarował go życiem.

Z wiosną Ingo śpieszy na dwór królewski. Królowa przyjmuje gościnnie dawnego oblubieńca; król udaje serdeczność, ale w duszy nierad gościowi; cieszy się z psot, jakie Turyngowie wyprawiają Wandalom. Dnia jednego podczas łowów, Ingo ocala życie królowi; podbija sobie jego serce, zdobywa ufność. Król Wisino przyrzeka nie sprzeciwiać się związkom Ingona z Irmgardą, pod warunkiem, że Wandal zrzecze się dziedzictwa przyszłéj żony. Zagrzany piwem, czyni mu tajemne wyznanie.

— Rzymianin Tertuliusz—rzecze król — ofiarował mi wielkie skarby za twoją głowę. Żądał, abym cię wydał Cezarowi. Gdyś tu przybył, źle byłem dla ciebie usposobiony; ale odkąd poznałem cię bliżéj, wolę miéć w tobie przyjaciela.

Wkrótce odmieniły się rzeczy. Jednego poranku, gdy królewska para z gościem swoim wybiera się do lasu, przybywa znów poselstwo rzymskie. Król pozostaje w domu, królowa dosiada bieguna, śpieszy do lasu z Ingonem. Widząc się z nim sam na sam, przypomina chwile dzieciństwa i młodości. Nadzieja wstępuje w jéj serce, ale za powrotem, nowa ją czeka troska. Harielt Frank, sprzymierzony z Cezarem, przyniósł bogate dary; domaga się głowy Ingona. Wisino wbrew przyrzeczeniom, waha się, żąda zwłoki; chciwość złota przemaga w nim nad uczuciem honoru. Spostrzega to Giulla, rzuca w oczy mężowi szyderstwa i obelgi.

— Cześć twoja moją cześcią—zawoła z gniewem—nie pozwolę jéj splamić. Jeśli nie masz odwagi wystąpić przeciw Rzymianom, oddal go z dworu twego. Lepiéj okazać się słabym, niż zdrajcą!

— Po takiéj obrazie, on będzie wrogiem moim!—rzecze król.

— Zwiąż go uroczystą przysięgą!—odpowié żona;—Ingo należy do tych, którzy umieją uszanować przysięgę.

Król przystaje. Żąda od królowéj aby złagodziła podejrzliwy umysł Ingona. Żona przyrzeka zadosyć uczynić jego woli. Wieczorem powołuje gościa do siebie, rozpoczyna dyplomatyczne kroki. Nagle Wisino z mieczem staje w progu, rzuca się na bezbronnego. Giulla wyrywa miecz z rąk zdrajcy. Scena to nadzwyczaj dramatyczna. Ingo stoi jak skamieniały. Wtém myśl straszna uderza

go błyskiem gromu; wierni druchowie nie wystawieniż na podobną zasadzkę? azaliż nie podpalono ich szopy? Ingo zaryczy jak tur, wpada do komnaty, gdzie śpi synek królewski, porywa go z łoża, zasłania się nim, jakby tarczą.

— Broń mnie dziecię—zawoła—jam zagrożony! Nie spotka cię nic złego, jeśli król nie skrzywdzi moich druchów.

Z takimto zakładnikiem w ręku, Wandal kroczy śmiało do swoich. Drżący Wisino stąpa przy jego boku, słudzy rozświecają drogę łuczywem. Następuje zgoda, oblana strumieniami piwa. Ingo z towarzyszami opuści dwór królewski: obie strony przysięgają wzajemną wiarę.

Nazajutrz rano król powołał do siebie Franka.

— Uczyniłem—rzecze—dla Cezara wszystko na co pozwalał honor królewski. Odmówiłem gościnności wygnańcowi, odesłałem go bez straży z progów moich. W téj chwili on daleko, dosięgnąć go nie w mocy naszéj!

Król wszedł do sali: ogarnął wzrokiem misy i czasze srebrne przysłane mu w darze przez Cezara. Westchnął, czoło jego grubym zaszło pomrokiem.

Dzielny Wandal szczęśliwie uszedłszy zdrady, wywalczył w górach kęs ziemi i ogłosił się królem. Tu na krawędzi skał, wśród huczących potoków zbudował sobie gniazdo. Lud przybiegał hurmem z okolicy, szukając bezpiecznéj ostoi pod skrzydłem bohatéra. Garstka przybyłych Turyngów przynosi mu wieść o rychłém weselu Irmgardy. Wieść ta doprowadza go do szału. Wściekła rozpacz miota sercem Wandala: burza w przyrodzie odpowiada jego uczuciom.

Zbiera drużynę, w noc czarną przy huku gromów i świetle błyskawic, pędzi na skrzydłach wichru do domu starego Auswalda. Przybywa w samą porę. W tymże dniu Irmgarda ma przysiądz wiarę Teodulfowi: Ingo porywa ją żelazną ręką, dosiada z nią bieguna i tuląc ją w obięciach unosi w cieniste parowy. Starzec Berthar błogosławi związek królewskiéj pary, w obec zebranych towarzyszów.

W rok potém Irmgarda kołysze z uśmiechem syna, nie w kołysce, lecz na twardym puklerzu. Smutne przeczucia mącą jéj szczęście, kłócą spokój. Bard Volkmar oznajmił śmierć króla Wisino, mówił o Giulli w sposób tajemniczy, złowrogi. Niedawno odwiedzał dom Auswalda, widział Gundranę, matkę Irmgardy, słyszał jéj skargi, patrzał na wściekły giew Teodulfa i jako szczery bard, powtórzył pieśnią co widział i co słyszał.

Irmgarda smutno zadumana, kąpała dnia jednego dziecię w pobliskiéj strudze i rozebrana z szat, prała pieluchy dla przyszłego bohatéra, kiedy nagle posłyszy tętent kopyt końskich. Powstaje z miejsca, widzi niewiastę wspaniałéj postawy, cwałującą na żartkim biegunie. Ze złotych jéj włosów spada rąbek, z ramion spływa płaszcz purpurowy. Uprząż błyszczy od złota i klejnotów; koń depcze kopytem bieliznę rozpostartą na ziemi. Poza niewiastą ukazuje się blade

oblicze: to stary Sintram ojciec Teodulfa. Rumieniec oblał lice Irmgardy. Poznaje starca, spojrzy ze wstydem na swoje nogi bose. Oczy jéj błyszczą gniewem; równym gniewem błysły oczy królowéj. Obie patrzą na siebie: milczą. Wreszcie Irmgarda rozpuszcza długie włosy, pokrywa niemi półnagie ramiona; bierze na rękę dziecię, zasłania się niém jakby tarczą.

— Kto ta kobiéta ukryta w trzcinie?—spyta królowa towarzysza.

— To Irmgarda, pani tych miejsc—odpowie Sintram.

— Zbliż się Irmgardo!—zawoła rozkazującym głosem—królowa żąda tego.

Młoda matka stoi jak wryta.

— Odwróć oczy Sintramie—rzecze nakoniec—nie przystoi byś patrzał na mnie, gdy koń królowéj depcze odzież moją.

— Wiesz-li co przystoi niewieście—zawoła królowa szyderczo—ty co opuściłaś z obcym dom ojcowski?

— Ktokolwiek jesteś pani— odpowie Irmgarda—wiedz o tém żem wierną mężowi. Spytaj sumienia twego, możesz-li pochlubić się taką wiarą?

Królowa podnosi groźno rękę.

— Do mnie Ingonie!—zawoła Irmgarda silnym głosem—spiesz w pomoc żonie twojéj!

Ingo nadbiega krętą ścieszką wykutą w skale, patrzy z podziwem na żonę siedzącą na ziemi, na gniewną królową i starego towarzysza. Z uszanowaniem pochyla głowę przed Giullą.

— Witaj królowa Turyngów—rzecze wesoło—korzę się u stóp twoich. Bądź łaskawą na dom wiernego pobratyma!

Lice królowéj zajaśniały.

— Witaj bracie!—odpowie z uśmiechem.

— Niktże nie poda ręki królowéj—zawoła Ingo. I przystępuje do konia, wyciąga ramię. Giulla opiera dłoń na głowie Wandala pokrytéj bujnym włosem, osuwa się lekko na ziemię.

— Przebacz mi—rzecze Ingo—ale nie wypada aby żona moja ukazała się bez odzieży przed oczyma królowéj; pozwól jéj twego płaszcza: niech osłonięta nim, oddali się do domu.

I nie czekając na odpowiedź, zdejmuje płaszcz z ramion Giulli i podaje go żonie.

— Zostaw nas samych—rzecze—ukazując jéj ścieszkę w pośród skał.

Irmgarda osłoniła siebie i syna purpurą i odeszła poważnym krokiem.

Ingo zwraca się do królowéj, widzi jéj bladość, odgaduje stłumiony gniew w jéj oku. Sintram tymczasem zeskoczył z konia, wydobył szablę z pochwy. Przystępuje groźno. Na znak pani cofa się potulny jak baranek.

— Zuchwałéj trzeba ręki—rzecze Giulla—aby śmiała dotknąć méj purpury, ale przystało mężowi dbać o cześć domu swego. Przebaczam ci Ingonie!

Sintram uprowadził konia w bok: Ingo pozostał sam na sam z królową.

— Wszystko poszło podług woli mojéj—zagadnie Giulla—stoisz przedemną jak wówczas gdym cię witała w progu sali, jak wonczas życzliwie przystępuję do ciebie. Mam wrogów w kraju moim; zaprzysięgli mi nieprzebłaganą pomstę. Burgundy jak słyszę, skarżą się na gwałty i łupieztwa druchów twoich. Bohatér którego niegdyś znałam, za inną gonił chwałą, nie szukał jéj w grabieniu trzód burgundzkich!

— Człowiek tułający się po górach—rzecze Ingo—pragnie zbudować sobie bezpieczny dach nad głową!

— Niepewny to dach!—odpowie królowa.—Ojciec któremu wydarłeś córkę, narzeczony któremu odebrałeś oblubienicę, gotują zbrojną wyprawę przeciw tobie. Lud domaga się pomsty! Zguba twoja niechybna.

— Pogróżki wcale mnie nie ustraszą.—zawoła Ingo. Stokroć mi droższe ognisko zagrożone! Pragnę walki, miecz mój zardzewiał w pochwie, zbyt długo już bezczynny!

— Szalony! — zawoła przystępując Giulla — żyjesz spokojnie w głębi lasu, podczas gdy obława gotuje się na ciebie. Cezar wystąpił już zbrojno przeciw Allemannom. Mściwy jego miecz dosięże cię niebawem. Zawarł przymierze z Burgundami; Gundomad zebrał swe zastępy...

— Dzięki za dobrą wieść królowo! Duch mój rwie się do boju! Oko Ingona zapłonęło, ręką pochwycił oręż.

— Podziwiam cię—rzecze Giulla porwana bohaterskim jego zapałem:—ty nie zadrżysz w obec niebezpieczeństw! Przynoszę ci tę wieść, znam bowiem stanowisko odpowiedniejsze tobie nad to jakie zajmujesz. Ingonie bracie mój! twemu ramieniu pragnę powierzyć los młodego króla! Szukam bohatéra, któryby godnie stanął na czele wojsk moich i nauczył syna mego, jak się zdobywa chwałę. Tobie powierzam ten zaszczyt; po to właśnie przybywam!

Dzieckiem byłeś jeszcze—ciągnie wzruszona—kiedy rodzice twoi włożyli dłoń moją w twoję rękę. Wyrosłeś na bohatéra, twe imię zabłysło w pośród ludów, a ja w baszcie królewskiego zamku strawiłam dni w boleści i tęsknocie, gdy ręka twoja dotknęła znów méj ręki. To, co cię oddzielało od królowéj, poszło z wiatrem, zgorzało na popiół w płomieniach stosu! Przychodzę tu dziś... wzywam najpiérwszego z bohatérów germańskich. Oboje czcić będziemy jednego boga, ojca naszego rodu, gdyż oboje pochodzim z krwi nieśmiertelnych. Ty i ja mamy prawo podnieść głowę nad ludzi; bogowie sami naznaczyli nam czoło, jako wszechwładnym panom świata.

Ingo posłyszał z ust innéj słowa, które powtarzał nieraz w głębi ducha własnego. Zwrócił mimowoli wzrok na królowę, jakby na bóstwo przewodniczące jego losom. W téjże chwili zaszumiało coś w powietrzu; płaszcz purpurowy upadł mu pod stopy. Opodal zakwiliło dziecię.

— Oto strój godzien drogiego bohatéra—rzecze królowa kładąc mu rękę ną ramieniu—Ingo podniósł głowę do góry, jakby człowiek zbudzony ze snu.

— Słyszę tam—rzecze—słodki głos, to głos mojego syna! Złączony jestem z kobiétą stokroć mi droższą nad życie! Ona wszystko dla mnie opuściła! Jam przysiągł w kole towarzyszów czuwać nad nią jak ojciec, podzielić z nią dobrą i złą dolę, być dla niéj wiernym mężem. Mamże ją dziś opuścić?

— Przestań—zawoła Giulla—i oblicze jéj zajaśniało. Pamiętaj że do mnie wyciągnęłeś téż rękę! Wspomnij tę noc, gdym powstrzymała miecz króla nad twoją głową. W tym dniu, w chwili gdym ocaliła życie tobie, nieśmiertelni złączyli nasze losy. Ty do mnie należysz, do mnie saméj! drogo cię okupiłam!

— Tak, okazałaś się dla mnie wielką i wspaniałomyślną—rzecze Ingo—wdzięcznym ci będę do ostatniego tchnienia!

— Porzuć te oklepane grzeczności—wyszepcze królowa stłumionym głosem—takżeto bohatér dziękuje niewieście, która dla niego wystawiła czoło na klątwę bogów? Nie wiesz-li com uczyniła powstrzymując rękę małżonka mego? Oto ściągnęłam na siebie podejrzenie i nienawiść, odtąd karmię się żółcią, żyję w śmiertelnych mękach: odtąd sen ucieka z powiek moich!

— Jeżeli dla mnie przetrwałaś królowo, te męki—rzecze wzruszony Ingo—przywołaj mnie w chwili niebezpieczeństwa, a zapłacę krwią moją dług wdzięczności.

Królowa postąpiła kilka kroków.

— Kto wié—szepnęła ledwie zasłyszanym głosem—może tamten nie byłby umarł owéj nocy, gdybyś ty nie był w méj komnacie.

Wandal cofnął się ze wstrętem, zadrżał; oblicze jego zbladło... Wzrok jego martwy, osłupiały...

— Sądzisz-li pani—rzecze zimno—że splamiona zbrodnią, droższą się staniesz memu sercu?

— Co znaczy ten wzrok kamienny?—zawoła Giulla. Oburącz pochwyciła dłoń Ingona.

— Jeśli nie pójdziesz ze mną—doda głucho—ty i ja nie możemy żyć razem na ziemi żywych!

Bohatér wściekły z gniewu, wyrwał się z rąk królowéj!

— Jeśli—zawoła—czarną zbrodnią, ściągnęłaś na głowę moją pomstę nieprzebłaganych bogów, jam gotów odnieść karę, ale nie z tobą, nie wplątan w twoje pęta!

Królowa spojrzy nań wzrokiem przenikliwym, zwolna podnosi rękę. Zacisnęła pięść groźno.

— Rószczki rzucone!—rzecze z cicha—bogini przeznaczeń już określiła twoje i moje losy! Wybrałeś sam Ingonie, twojém godłem niedola!

Odwróciła twarz; członki jéj drgnęły konwulsyjnie, ale oko jéj suche, wzrok kamienny.

Wyciąga rękę, ukazuje słońce schodzące jaskrawo z widnokręgu.

— Do jutra!—wyszepcze półgłosem.

Spiesznym krokiem dobieży koni. Ingo kopnął nogą płaszcz purpurowy i pomknął w stronę domu, ścieżką wykutą w skałach.

Odtąd wypadki postępują gwałtownie. Ustęp pod tytułem: *Pocisk gromu*, ukazuje krwawą zemstę Giulli. Straszny to obraz bitwy: szczękają miecze, rzeki krwi pociekają doliną, stosy trupów zasłały ziemię. Daremnie Ingo walczy jak tur, próżno drużyna jego wykonywa cuda waleczności, próżno niewiasty rąbią szablą obok małżonków. Dzielność ustępuje przed siłą. Królowa trzyumfuje; Teodulf pomszczony! Kiedy zapaśnicy pijani krwią, mordują się nawzajem, burza ryczy nad nimi przeraźliwie, gromy z nieba spadają na ich głowy.

Nawałnica ustała. Wojownicy Giulli wychodzą z po za tarcz, któremi zasłonili się od piorunów. Stok góry cały zasypan gradem, dom Ingona zamieniony w stos gruzów. Z pod rumowisk tu i owdzie wybucha słaby płomień. Królowa stoi jak skamieniała, patrzy w ohydny obraz.

— Jedna z nas—rzecze do siebie—spoczywa na zgorzałém swém łożu, druga chłostana gradem. Zawistni bogowie odmówili mi jéj losu; mnie należało poledz!

I zerwie się nagłą uderzona myślą, wzrok dziki zatoczy dokoła.

— Gdzie jego dziecko?—zakrzyknie strasznym głosem.

Dziecko znikło bez wieści. Drużyna szuka go skrzętnie na krawędziach gór i po dolinach. Teodulf ze zbrojnym zastępem, wszerz i wzdłuż przebiega kraj cały, zagląda do każdego ogniska, nigdzie ani słychu o nim!

Giulla nie wié co się stało z synem Ingona i Irmgardy.

Drugi tom pod tytułem: *Ingraban*, obejmuje wiek VII, to jest czasy nawrócenia Germanów. Autor przedstawia zaciętą walkę dwóch idei, zakończoną tryumfem chrześcijaństwa nad poganizmem. Trzeci tom p. t. *Gniazdo Książąt*, maluje społeczeństwo rycersko-feudalne XI wieku.

O dwóch ostatnich tomach, nieznanych nam dotąd, powiedzieć nic nie możemy. Będzie to niewątpliwie apoteozą geniuszu germańskiego, którego przeznaczeniem opanować świat cały i narzucić mu gwałtem swoje prawa. Pan Freitag jest jednym z adeptów, bodaj czy nie twórców nowéj szkoły Pangermańskiéj. W powieści *Soll und haben*, wziął sobie za cel wyszydzić sąsiedni naród polski, składając na karb dzisiejszych pokoleń bezrząd, swawolę, zastałość, słowem wszystkie wady ciążące na narodzie w ostatniéj dobie jego politycznego bytu. W Ingonie podnosi oręż przeciwko *zachodowi*, tak bowiem nazywa Rzym i Francyą. Niedawne tryumfy rozmogły narodową jego pychę. Dążność powieści uderza od razu czytelnika. Owa zromanizowana Giulla, jednodniowa tryumfatorka nad dzikim Wandalem, czemże jest jeżeli nie Francyą, któréj oręż zaciężył nieraz na karkach

Niemców, dopóki nie powstał straszny mściciel, syn wandalskiego bohatéra, wykarmiony zemstą i nienawiścią?

— „Ty i ja nie możemy ostać się na ziemi żywych!“ Słowa te Giulli zanadto jasne same przez się, nie potrzebują komentarza!

Z Niemiec przenieśmy się myślą do Japonii, tego kraju niedawno jeszcze nieznanego, którym dziś zajmuje się tak żywo cała ucywilizowana Europa.

W początkach bieżącego roku, jeden z uczonych prawników francuzkich p. Jerzy Bousquet, na wezwanie chciwych postępu Japończyków, wyjechał do Yeddo, gdzie przyjął obowiązek zkodyfikowania praw japońskich, według zasad prawodawstwa francuzkiego. Uczony ten przysłał niedawno do Paryża bardzo ciekawe sprawozdanie o teatrze w mieście stołecznem. Mówiliśmy już rok temu o sławnym dramacie *Loninów*, dziś w ślad za panem Bousquet przebiegniemy inny dramat, charakterystyczniejszy jeszcze, gdyż lepiéj maluje obyczaje tego nowego dla nas społeczeństwa, i rolę jaką w niém odgrywają kobiéty.

Teatr *Shibaj-yo*, ulubioną jest zabawą Japończyków. Gmach teatralny panuje nad innemi, fronton jego wysoki i ozdobny, w górze wznosi się wieżyczka, z któréj dniem i nocą straż ogniowa czuwa nad miastem. Na ścianie zewnętrznéj porozwieszane wielkie płótna, przedstawiają główne sceny zapowiedzianéj sztuki. Osoby tu wielkości naturalnéj, namalowane złotem, tuszem i farbą czerwoną.

Widowisko rozpoczyna się zwykle o szóstéj z rana, trwa do ósméj lub dziewiątéj wieczorem. Niektóre sztuki są tak długie, że wymagają trzydniowego z rzędu przedstawienia. W międzyaktach publiczność posila się ryżem i herbatą. Wytworne panie japońskie, o dzień naprzód trefią piętrzaste fryzury; aby ich nieuszkodzić, śpią całą noc z głową wspartą na pieńku drewnianym (madura).

Aktorowie krzyczą na całe gardło: im rola ważniejsza, tém głos musi być donośniejszy. Jeden z nich zapytany dlaczego tak krzyczy, odpowiedział z prostotą: „Gdybym mówił zwyczajnym głosem, któżby we mnie odgadł bohatéra.“

Wszyscy artyści przejmują się do najwyższego stopnia rolą swoją. Rozgniewany bohatér wścieka się i pieni, wydziera sobie włosy z głowy, pokazuje zęby, wyłupia oczy, szamocze się jak opętany, ryczy jak lew. Jeśli umiera, trudno bez dreszczy patrzéć na jego kontorsye.

Z tego powodu pan Bousquet, słuszną czyni uwagę. „Dobrze byłoby —mówi—aby nasi aktorowie, spragnieni tego rodzaju efektów, wiedzieć mogli, do jakiéj potworności dochodzi realizm w teatrze japońskim. Obraz ten byłby zbawiennym dla nich, tak samo, jak zbawiennym bywał obraz pijanych Ilotów, dla spartańskiéj młodzieży!“

Dramat w Japonii, jak wszystkie w świecie dramata, powstał z obrzędów religijnych. W IX wieku ery naszéj, za cesarza Hei-go,

ziemia zapadła się w prowincyi Yamalo, w pobliżu miasta Nara. Zatruty dym buchał z pieczary. Aby zakląć złe, kapłani wymyślili symboliczny taniec na miękkiéj murawie pod świątynią. Zaraza ustała: lud widział w tém siłę cudowną; przypisał ją czarodziejskim pląsom. Odtąd więc każde widowisko, czyto poważny dramat, czy też wesoła komedya, rozpoczyna się tymże tańcem. Aktor przebrany za kapłana, występuje na scenę i z wachlarzem w ręku wykonywa poważne ruchy, przy dźwięku muzyki żałosnéj. Taniec to odwieczny, niegdyś czczono nim Yorimusa, bozkiego pogromcę smoków w Japonii.

Ostatni to szczątek dawnych tradycyj religijnych w teatrze. Zetknięcie z cywilizacyą chińską, przeistoczyło scenę do gruntu.

Chińszczyzna odegrała w literaturze japońskiéj tęż samą rolę, jaką odegrał klassycyzm grecki i rzymski u ludów naszéj cywilizacyi w epoce odrodzenia. Pierwszy teatr czyli *Shibai-yo* w Yeddo, otwarty został na rozkaz Tajkuna w roku 1624. Był to we Francyi wiek Kornela i Moliera.

Po religijnych widowiskach, nastąpiły poemata dramatyczne, brane żywcem z historyi. Był to szereg obrazów, niepowiązanych z sobą żadnym węzłem. Zwykłym ich tematem zemsta, przechodząca jak *vendetta* korsykańska, z pokolenia na pokolenie. Oto treść najznakomitszego z tych utworów; tytuł jego: *Zemsta rodziny Soga.*

Rzecz dzieje się w wieku dwunastym. Po długiém paśmie wojen domowych, kraj przyszedł do niejakiéj spokojności. Tajkun zamieszkał z dworem swoim w nadmorskiém mieście Kamakura, w pobliżu Fuziyamy. Opuszczony Mikado pozostał w stołeczném mieście Kioto. Serca rozjątrzone wzajemnemi krzywdami, wrą jeszcze ku sobie ukrytą nienawiścią.

Miejscem działania—podnóże Fuziyamy, ustroń ulubiona japońskim poetom. Tajkun Yorikoma przybywa tu ze swéj stolicy; ma odbyć wielkie łowy na jelenie. Rozłożono obóz w parowach, zbudowano baraki. Dwór cały towarzyszy Tajkunowi. Główną tu osobą potężny możnowładca książe Kudo, wielki marszałek dworu, niegdyś morderca innego magnata, księcia Soga, związanego ściśle z Mikadą.

Domownicy młodych książąt Soga, rozmawiają z sobą o pamiętném morderstwie. Nagle wbiegają na scenę dwie kobiety; pytają, jak rychło dwór przybędzie? To śpiewaczki z poblizkiego miasteczka. Jedna z nich Tisats, kocha bez wzajemności Doza, wiernego sługę osieroconych książąt. Zostawszy z nim sam na sam, błaga, aby opuścił panów dziś zubożałych, porzucił oręż a został kupcem i pojął ją w małżeństwo. Żali się na jego obojętność.

— Znam ja—rzecze—twoje zamiary, przemyślasz o zemście za krew twego dawnego pana!

— Tak, jutro walka! odrzecze zagadniony.

Daremne namowy i błagania. Wierny sługa odrzuca wszelkie ponęty, dopóki nie spełni tego, co uważa za najświętszą powinność. Czarodziejka porywa mu kapelusz i ucieka; Doza pędzi w cwał za nią.

Nadchodzi brat jego Oniwo. W długim monologu wypowiada, jako dwaj synowie księcia Juro i Goro, sprzysięgli się na życie mordercy. Pomścić ojca główną ich powinnością, jedynym życia celem. Dopełnią téj zemsty podczas łowów.

— Kędyż Doza? pyta niecierpliwie Oniwo. Ogląda się na wszystkie strony. Tu wpada na scenę pies gończy, zapędzony za kotem.

Oniwo uderza psa; wbiegają na to czteréj pikierzy ze straży księcia Kudo.

— Jakiém prawem—pytają w gniewie—śmiesz uderzać psa tajkunowego?

Poznają sługę książąt Soga. Badają natarczywie, gdzie są obaj młodzieńcy? Okładają Oniwę razami. Wstrzymuje ich w zapędzie Inoburamo, syn księcia Kuda, młodzieniec słodki, pełen wdzięku.

— Ojciec mój—rzecze—zakazuje wam burd i gwałtów. Zostawcie w pokoju tego człowieka. Jeśli to sługa młodych, nienawistnych nam książąt, rozjątrzycie tém bardziéj ich gniéw przeciwko ojcu memu!

Młodzian uprowadza pikierów. Doza powraca, zrozumiał rzecz, gromi brata Oniwo, czemu nie zabił młodego księcia i nie wymordował żołnierzy.

Drugi obraz przedstawia dziki wąwóz w okolicy Hokom. W pośrodku wznosi się olbrzymi posąg bóstwa Yizo, u stóp posągu płonie ogień. Otacza go banda rozbójników. Wchodzi na scenę piękna Katakai, siostra książąt Soga, powiernica ich krwawego zamachu; przybywa z wierną sługą. Bandyci zrywają się, chcą porwać księżniczkę. Sługa wybiega, woła o pomoc. Katakai chwyta za oręż, stawia dzielnie czoło napastnikom. Na głos sługi wpada Oniwo, rozpędza bandytów, opowiada, jako otrzymał kartę, dającą wstęp na łowy. Chwile Kuda już policzone.

Inny oddział rozbójników przypada znowu. Zjawia się Doza, rozgania ich z Oniwą. Spostrzegają za posągiem dwóch szpiegów księcia Kudo: uderzają na nich, kładą trupem.

Drugi akt wielką ma wagę, gdyż daje wierny obraz patryarchalnych obyczajów szlachty japońskiéj. Jesteśmy w feudalnym zamku książąt Soga. Ślady dawnego przepychu odbijają sprzecznie obok dzisiejszéj nędzy. Gdzie rzuć okiem pustka i zniszczenie. Dziad młodych książąt postradał majątek, wydarty mu przez poprzedniego Tajkuna. Ojciec ich poległ z ręki księcia Kudo. Pozostała po nim wdowa z czworgiem sierót, matrona pełna powagi i mądrości. Ona wykarmiła te dzieci „mlékiem i żółcią“, natchnęła w ich serca miłość obowiązku i gorące pragnienie zemsty.

Dzień to smutno uroczysty w rodzinie; rocznica śmierci ojca, głowy domu. Stara Mańko siedzi na wezgłowiu, otoczona szczupłem gronem starych domowników. W pośrodku sali wznosi się ołtarz poświęcony czci umarłego. Dwaj wieśniacy przynoszą jaja i kołacze, składają dary na ołtarzu. Córka i trzej synowie modlą się u grobu ojcowskiego. Stara Mańko nie poszła z niemi, mrok bowiem zapadnie zachwilę, a nieszczęśliwa na domiar niedoli, dotknięta szczególną ślepotą: wraz z zachodem słońca, niby czarna zasłona zapada jéj na oczy. Kataki nadchodzi: z rozmowy jéj z matką widać, jaka boleść przepełnia ich serca. Wkrótce pojawia się najmłodszy syn Zensibos. Matrona wyraża się z żalem i gniéwem na drugiego z synów swoich Goro, że wbrew jéj woli nie chciał zostać kapłanem, ale obrał rycerski zawód.

Mańko opuszcza scenę. W téjże chwili przybywa najstarszy syn Juro, dziś głowa książęcego domu. Troje rodzeństwa radzi wzajem, jak przebłagać zagniewaną matkę. Wkrótce Mańko powraca. Dzieci garną się do niéj, błagają za nieobecnym bratem.

— Nie mówcie mi o Goro—zawołała matrona—mam tylko troje dzieci: Juro, Zenzibosa i Katakoe. Miałam czwartego, ten stał się nieposłusznym woli mojéj, odtrącam go od siebie!

Gdy wymawia to słowo, Goro ukazuje się w progu. Posłyszał wyrok matki, boleść szarpie mu serce; wpada w szał, objawia go głośnym jękiem, podobnym do lwiego poryku.

— Byłem dzieckiem— zawołał — gdy padł trupem mój ojciec; obleczono mnie w szatę kapłańską. W miarę jak rosłem w lata i siłę, czułem że cięży na mnie straszna powinność zemsty. Zrzuciłem więc szaty kapłana, podjąłem oręż! a teraz jam odepchnięty od rodziny! Matka własna mnie nie zna! Otóż kiedy brat Juro pospieszy jutro na łowy, by zabić księcia Kudo, ja pójdę sam, powalę mordercę ojca mego lub zginę!

— Synu mój— odrzecze matka zalana łzami—jeśli umrzesz, jeśli bracia twoi polegną i któż zostanie, aby przechował bez skazy imię Soga? Któż spełniać będzie na ołtarzu umarłych święte rytuały, jakie dziś odprawiamy? Odbierz-że zasłużoną karę!

To rzekłszy, wstaje matrona, podnosi kij, służący jéj za podporę. Scena to nadzwyczaj uroczysta. Rycerz klęczy z poszanowaniem, czeka na pocisk. Matka uderza go... w téj chwili słońce zachodzi; ślepota spada jéj na oczy. Córka odprowadza ją do świątyni domowéj na modlitwę.

Zrozpaczony Goro pragnie umrzéć. Dobywa oręż, chce wypruć nim własne wnętrzności. Juro powstrzymuje go; naradzają się społem. Muszą użyć podstępu: golą głowę najmłodszemu z braci. Zenzibos poddaje się z pokorą. Oznajmiają matce, że Goro uległ jéj woli.

— Znajduję wreszcie syna—zawołała matka—przez lat ośmnaście wychowywałam go w cieniu świątyni! przebaczam ci wszystko! Od-

dawna przygotowałam ubior godny powołania twego; przyoblecz go natychmiast!

I rozkazuje sługom przynieść kapłańskie szaty.

Sługi wracają. Ale cóż to? niosą rycerski pancerz! matka podaje go synowi.

— Jam ślepa—rzecze z powagą—umiem jednak rozpoznać prawdę. Nikt mnie oszukać nie zdoła. Zrozumiałam wszystko; chciałam synu doświadczyć twéj odwagi. Idź, matka wyprawia cię sama do boju! pomścij krew ojca twego. Jutro pójdziesz z bratem na łowy!

Oniwo i Doza powracają z modlitwy, pragną towarzyszyć książętom. Juro stawia opór, ulega wreszcie. Matka odprowadza synów; przy pożegnaniu, podaje każdemu pełną czaszę. Rozchodzą się nim słońce weszło. Ślepa widzieć ich nie może, pragnie przynajmniéj słyszeć ich głos. Czyniąc zadosyć jéj woli, Goro śpiewa, wykonywa rycerski taniec, pełen namaszczenia i powagi. Oto początek jego pieśni:

Srebrnym łukiem świeci miesiąc wśród nocy ponurej,
Zemsta moja, niby strzała, wzniesie mnie nad chmury!

Obaj książęta podejmują oręż, oddają głęboki pokłon matce. Zanzibos i Katakoe podtrzymują matronę pół omdlałą. Gdy rycerze odbiegli zdaleka, stara Mańko wybucha rzewnym płaczem.

W trzecim akcie przygotowania do zemsty. Teatr przedstawia bramę obozu łowieckiego. Książe Kudo zajmuje własny pałacyk; Juro krąży w pobliżu, rozpoznaje miejscowość. Spotykają go straże, badają podejrzliwie kto on jest. Znieważają go, śmiał bowiem przejść koło namiotu księcia i nie nakłonił głowy. Nadchodzi kobiéta: oddaje młodzieńcowi list, niby to od kochanki. Zamiast listu Juro znajduje kartę na łowy jutrzejsze. Ta powiernica ukazuje mu zdaleka księcia Kudo, by uniknął pomyłki skoro nadejdzie chwila.

Obraz zmienia się znowu. W dziedzińcu przed pałacykiem, Kudo zabawia się w gronie kobiét i domowników. Jest przy nim przyjaciel Kadjuwara i kilku innych panów. Rozmawiają swobodnie. Jeden z dworzan uwiadamia księcia, że Juro przeszedł koło bramy obozu.

— Niechaj tu wnijdzie—rzecze książe.—Ma on do mnie dawną nienawiść za śmierć ojca: trzeba nam przyjść wreszcie do zgody.

Przybywa Juro na wezwanie; oddaje nizki pokłon. Musi udawać, by tém lepiéj ukryć tajemne swe zamiary. Rozmowa cała nacechowana złośliwą ironią.

— Znałem dobrze twego ojca—rzecze magnat—podobny jesteś do niego w uderzający sposób!

— Prawda!- dodaje Kadjuwara—rzekłby kto, że to on sam. Czy ojciec jeszcze żyje?

— Nie żyje, odrzecze Juro stłumionym głosem.

— Proszę mnie odwiedzać czasami—zagadnie Kudo—będzie to dla mnie prawdziwa przyjemność.

— Ten człowiek—przerwie jedna z pań—ma kochankę pomiędzy dworskiemi dziewicami.

— Czy tak? Juro, opowiedz nam twoje miłostki—dorzuci ktoś z boku.

Juro milczy jak skała.

— Czemu to—zapyta ktoś inny—spiewaczki wolą zawsze biedaków nad wielkich panów, którzy sypią im złoto pełną garścią?

Po długiéj rozmowie na podobny ton, Kudo zrzuca nakoniec maskę. Oznajmia, że zna zamiary Jura, że nie lęka się jego gniéwu.

— Lepiéj uczyniłbyś młodzieńcze—doda w końcu—gdybyś zaniechał zemsty, a wszedł do służby mojéj!

Juro długo milczy, odpowiada wreszcie, iż musi wprzód zasięgnąć rady brata.

Kobiéty wołają o muzykę i taniec.

— Wiem że tańczysz wybornie—rzecze książe do Jura. Chciéjże popląsać, proszę; ja sam będę przybijał ci w takt na bębenku.

Książe i przyjaciel Kadjuwara, podejmują bębenki w kształcie klepsydr. Juro po długim oporze, wykonywa taniec symboliczny zwany *No*. Obsypany pochwałami odchodzi... Chce przyprowadzić brata.

Kadjuwara pozostawszy sam na sam z księciem Kudo, okazuje niespokój. Śledził on pilném okiem taniec Jura. Tak samo pląsał okiem Chińczyk Bo-yu, któremu śniło się że przez lat pięćdziesiąt był Bogdyhanem: obudził się i poznał, jak nędzny jest i ubogi. Ten taniec pogróżką był dla Kuda. Przyjaciel zaleca księciu środki ostrożności. Kudo nie przypuszcza niebezpieczeństwa.

Nowy obraz przedstawia gospodę, gdzie mieszkają dwaj synowie Soga: Juro i Goro, z dwoma wiernymi domownikami. Nędza ich tak wielka, że nie mają czém zapłacić za nocleg. Gospodarz nalega. Wówczas nadchodzi Juro, towarzyszy mu żołnierz ze straży księcia.

— Zapłacę niebawem—rzecze młodzian. Zjednałem sobie opiekę księcia Kudo; z łaski jego jestem bogaty.

Imię to wywiera cudowną siłę. Gospodarz kłania się z pokorą. Dwaj domownicy oburzeni, pytają co to znaczy? Żołnierz tymczasem udaje pijanego; leży powalony na ziemi. Juro usypia. Ledwie że młodzian zamknął oczy, żołnierz powstaje, bieży co tchu do pana, donosi co widział i słyszał.

Przybywa Goro; brat opowiada mu z goryczą zniewagi i szyderstwa jakie znosił. Wszystko już gotowe, w noc czarną uderzą na księcia. Domownicy szczęśliwi że młodzian trwa w zamiarze, pragną koniecznie towarzyszyć swym panom. Scena to bardzo rzewna...

— Macie—rzekną młodziany—inne powinności do spełnienia. Potrzeba wam czuwać nad starą matką naszą.

Słudzy zalewają się łzami. W rozpaczy chcą wypruć sobie wnętrzności. Książęta zatrzymują gwałtem samobójczą ich rękę.

— Wierność—zawoła Goro—nie na tém polega, aby umrzéć; są inne jeszcze ofiary!

Słudzy ulegają. Następuje tkliwe rozstanie. Oniwo i Doza zanoszą staréj matce ostatnie słowa i ostatnie pamiątki po synach: ich łuki i strzały, które towarzyszyły im od lat najmłodszych. Te im dziś nie potrzebne. Nadszedł czas innéj walki!

— Spieszmy—wyrzecze Goro—nie godzi nam się żyć dłużéj pod jedném niebem z mordercą ojca naszego!

I pospieszają do obozu.

Noc czarna. Przy parkanie rozmawiają trzy kobiéty, powiernice bohatérskich mścicieli. Upoiły straże, porozmykały bramy. Młodzieńcy wchodzą; zemsta dopełnia się niebawem.

Dawniéj krwawy mord odbywał się na scenie pod okiem widzów. Dwaj bracia gonili za wrogiem z pochodniami. Dziś usunięto straszny obraz.

Ostatni akt pokazuje w całém świetle rycerskiego ducha szlachty japońskiéj: pogardę śmierci, cześć dla odwagi pokonanych, wspaniałomyślność względem zwyciężonego wroga, poniżenie pychy tryumfatorów.

Książe Kudo padł trupem. Wieść o spełnionéj zemście, nie rozwiązuje przecież dramatu. Publiczność Japońska nie poprzestaje na efektownem zakończeniu, jéj potrzeba drobiazgowych szczegółów, malujących prawdę historyczną.

W sali pałacu Tajkuna, wojskowi rozmawiają z Kadjuwarą, który wyprowadza śledztwo po dokonanéj zbrodni. Dwaj bracia, zamordowawszy księcia Kudo, wdarli się do pałacu Tajkuna Yorikomo, którego ojciec zamordował niegdyś ich dziada. Juro poległ w walce, Goro ujęty w więzy. Jeden z dowódzców szlachetny Gumura, prowadzi go za łańcuch.

— Czemu go sam prowadzisz?—zapyta groźno Kadjuwara. Oddać go natychmiast żołnierzom!

— Nie mogę—odrzecze dowódzca—Goro pochodzi z krwi książęcéj, łańcuchów jego prosty żołniérz dotykać nie powinien.

— Podnieś głowę!—zawoła Kadjuwara na więźnia.

Skrępowany młodzian poruszyć się nie może.

— Ha! nie śmiesz odkryć podłéj twarzy!

— Poco te zniewagi?—przerwie Gumuru—mamy prowadzić śledztwo, czyńmy naszą powinność!

— Czemu chciałeś zabić Tajkuna?

— Jurikomo zabił mego dziada—odrzecze Goro—zemsta powinnością rycerza.

Kadjuwara chwyta oręż, rzuca się na młodzieńca. Gumuru zatrzymuje go.

— Tajkun sam—rzecze—ma prawo życia albo śmierci nad więźniem!

Scena rozszerza się; wchodzi Tajkun, otoczony orszakiem dworzan. Gromi surowo Kadjuwarę. Nakazuje rozesłać kobierzec, aby Goro siadł na nim.

— Ty sługo Tajkuna—zawoła Kadjuwara—chciałżeś podnieść rękę na pana twego?

— Nie służyłem nigdy Tajkunowi—odrzecze młodzian—Mikado jedynym panem moim!

Jeden z rycerzy przynosi głowę dzielnego Juro, którego zabił, kładzie ją na ziemi przed więźniem.

— Bracie mój!—rzecze Goro z najwyższą boleścią—czemuż nie poległem tak jak ty!

— Nie żałuj go! on poległ jak bohatér—rzecze rycerz Taratsam. Miecz skruszył się w jego walecznéj dłoni. Błagał, abym uciął mu głowę!

W téj chwili pojawia się syn księcia Kudo, młodziuchny, prawie dziecię. Uniesiony gniewem i żalem, przystępuje do więźnia, pochwyca oręż. Tajkun nagania mu gwałtowność.

— Dziecię! — wyrzecze Goro—przystąp... nie mam nic przeciw tobie. Nasze rodziny żyły w nienawiści... ja przez ośmnaście lat przemyślałem o zemście! ty szczęśliwszy odemnie, możesz pomścić się w jednéj chwili! Oto głowa moja!

Dziecię rozrzewnione widokiem bohatéra, cofa się. Wolnoż mu zabić więźnia okutego w kajdany?

— A teraz mamże ściąć głowę mordercy?—zapyta Kadjuwara.

— Czekaj!—odpowie Tajkun—odczytać wyrok!

Urzędnik sądowy ogłasza niezmienną wolę pana swego.

Zamiast wyroku śmierci, Tajkun przywraca cześć, majątek i imię księciu Soga. Młodzian ujęty taką wspaniałomyślnością, oświadcza, że odtąd służyć będzie wiernie Tajkunowi. Łańcuchy spadają z jego ramion.

Oprócz powyższego dramatu, pan Bousquet daje rozbiór komedyi japońskiéj. Główna jéj bohaterka wzięta z tego świata, a raczéj *pół-świata*, z którego Dumas syn wyprowadza swoje *Kobiety z marmuru* i *Damy kameliowe*. Zostawmy to na boku: dość nam teatra paryzkie dostarczają podobnych wzorów, abyśmy potrzebowali szukać ich jeszcze za morzami!

„Powieściopisarstwo — mówi autor — coraz to bujniéj rozkwita w Japonii. Też same przedmioty bądź historyczne, bądź z codziennego życia, jakie stanowią tło dramatów i komedyj, obrabiane zarówno i w powieściach. Drukują je zazwyczaj pismem *Shira-Kuna*, dostępném dla kobiét. Mężczyzni przekładają księgi poważniejsze, ale japońskie panie, zwłaszcza młode, przepadają za lekką literaturą. Wszystkie te powieści, podobne mniéj więcéj do siebie, wiernie malują świat rzeczywisty. Dążność ich zazwyczaj moralna. Formuła estetyczna *sztuka dla sztuki*, nie weszła dotąd w pojęcia naiwnych Japończyków.“

Pojawiła się w tych czasach w Paryżu książka nadzwyczaj ważna, nie dla samych tylko filologów, ale i dla ogółu czytelników, zamiłowanych w prawdziwéj poezyi. Mówimy tu o *Zbiorze ludowych pieśni nowogreckich*, przełożonych po raz pierwszy przez Emila Legrand.

Wielką wagę zbiorowi temu nadaje, zamieszczony w nim rękopism, przesłany w połowie XVI wieku cesarzowi do Wiednia, przez uczonego Oziera Busbecq, posła cesarskiego przy Porcie Ottomańskiéj. Rękopism ten spoczywał od trzech wieków, pokryty kurzawą, zagrzebany w zupełnéj niepamięci. W roku 1870 dopiero, odkrył go znany historyk grecki Konstanty Sathas i udzielił go panu Legrand. Zawarte w nim pieśni, odnoszące się do XV wieku, prawdziwym są skarbem dla filologów heleńskich. Wszystkie dotychczasowe zbiory Fauriela, Marceliusza i Tomasseo, równie jak zbiór Passawski, obejmowały wyłącznie prawie pieśni z początków obecnego wieku. Stare pieśni o zdobyciu Konstantynopolu, o zburzeniu Andrynoplu i Trebizondy, stanowiące wyjątek, nie zdołały przekonać podejrzliwych krytyków, którzy dowodzili uporczywie, jakoby ludowa poezya nowogrecka zrodzić się miała dopiéro wraz z politycznem odrodzeniem kraju. Ważna ta publikacya, rzuca więc nowe światło na historyą i etnografią nowożytnych Helenów.

Oprócz rękopismu wiedeńskiego, obszerne dzieło p. Legrand obejmuje do stu pieśni, zebranych z ust ludu w różnych miejscowościach Grecyi. Znaczny dział stanowią tu pieśni historyczne Kleftów, z czasu pamiętnéj walki o niepodległość; niemniéj liczne są dumki miłosne zaprawne jaskrawym kolorytem.

Pieśni historyczne pełne ognia i męzkiéj siły, przypominają duchem raczéj niż formą utwory starożytnych rapsodów. Dajemy z nich jednę w przekładzie:

Wódz Tholkas.

Słodki wietrzyku powiewaj wciąż,
Tam walczy Tholkas niezłomny mąż!
Bez kęsa chleba dręczy go głód,
Ust do krynicznych nie zbliży wód.
Zleci ptaszyna z powietrznych fal,
Z duszy piosenką wylewa żal;
Kwili w obozie u wodza głów,
W pieśni jéj dźwięczy gwar ludzkich słów:
„Powstań Tholkasie, uciekać czas,
Nim chmura Turków przywali nas!“

On fez na czoło przechyli w bok,
Pokręci wąsa, nasroży wzrok;

Straszliwym głosem ryknie jak lew:
— „Złowrogi ptaku zkąd taki śpiew?
Tholkas przed Turkiem cofnież się wstecz?
Niechaj nadciągną: ostry mój miecz!“

Swe Palikarsy przywoła w lot:
— „Stać wam szeregiem, wymierzyć grot!
Oto pszenicę wiozą nam z gór!“

A Palikarsy odrzekną w chór:
— „Skwar nam ostatek odebrał sił,
Pot nam strumieniem pocieka z żył:
Niech żar sierpniowy ochłodnie wprzód!

Wódz groźnym wzrokiem zmierzył swój lud,
Dobył miecz z pochwy, pot z czoła starł:

„Nas-że sierpniowy powstrzyma skwar?
Namże nikczemnie zatracić cześć?
Niech grody grodom przekażą wieść,
Że w sierpniu Tholkas z odwagi znan,
Wyzwał Turczyna w śmiertelny tan!

Trzy dni, trzy noce krwawy bój trwa,
Wódz rąbie Turki jak w lesie drwa;
Próżno mu szarpie wnętrzności głód,
Przez stosy trupów wdziera się w bród.
Tnie ostrym mieczem pokosy ciał,
Dopadł z drużyną krawędzi skał;
Rozwinął sztandar i lotem piór
Wzbił się jak orzeł na szczyty gór!

W pieśniach miłosnych czuć wyraźny wpływ Wschodu. Brak tu owéj prostoty cechującéj utwory starożytnych liryków greckich. Poetyczne przenośnie, posunięte czasami do przesady, nadają czasem tym pieśniom samodzielną i pełną życia barwę.

„Tyś moją złotą gołąbką, moją kuropatwą ze złocistémi skrzydły, moją cudną pawiczką, mówi do dziewczyny zakochany młodzieniec. Twoja miłość miękka jak murawa na łące, przeplatana kwiatami. Tyś czysta jak krynica, świeża niby jabłuszko w sadzie: twoje włosy istny żywopłot! Twe spojrzenie, miodem dla mnie i rosą; twoja kibić wiotka jak cyprys; twe oczęta czarne jak oliwki: tyś mi niebem i słońcem!“

Mniéj słodko, lecz niemniéj malowniczo, dziewczyna wyraża się do chłopca:

„Odkąd cię kocham, tyś jak indor nadęty i pogardliwy. Tyś nie godzień kuropatwy o złotém pierzu: uściśnij lepiéj czarną wronę!“

Z pomiędzy licznych distihów, przytaczamy kilka w przekładzie. Forma ich przypomina nieco nasze Krakowiaki:

Jak krynica wody żywéj ze zdroju się toczy,
Miłość tryska z mego serca, gdy spojrzę w twe oczy.

Przyszła chwila, róża z pączka listeczki rozwinie,
I piosenka się rozbudzi w milczącéj ptaszynie!

Radbym moją pierś żywcem rozedrzéć na dwoje,
Pokazałbym żeś droga wrosła w serce moje.

Słonko, miesiąc i chmury co po niebie płyną,
Niechajże serca nasze połączą dziewczyno!

Wszak ci łukiem i strzelbą wojuje świat cały,
Ty oczyma przez szybę rzucasz na mnie strzały.

Tyś mi gwiazdą i słonkiem, gałązką zieloną,
Co liśćmi winogradu oplotła mi łono.

Krogulcem był twój ojciec, kuropatwą matka;
Z ciebie sinogarlica potulna i gładka.

Ty mi z piersi wydarłaś serce czary twemi,
Lecz mnie ty nie oderwiesz drugi raz od ziemi.

Chociażbyś jasną chmurką biegała po niebie,
I tam, miła dzieweczko, dobiegnę do ciebie!

Oto kilka dumek pełnych prostoty, właściwéj utworom ludowym.

Sierota.

Słonko miłe! twój promyczek wkrąg po ziemi świeci,
Nie spotkało-żeś po drodze ojca drobnych dzieci?

— Nie widzę ja nigdzie ojca po świecie szerokim,
Tylko widzę tam sierotkę z zapłakaném okiem.

— Gdzie ty byłeś, mów sieroto, przeklęty od nieba?
— „Kołatałem w progi ciotki o kawałek chleba!

Kołatałem w progi stryja o sukienkę nową:
Ciotka drzwi mi zatrzasnęła, stryj złe rzucił słowo.

— „Precz włóczęgo! pod me progi nie przystępuj blizko,
Wnetbyś łzami sierocemi zgasił nam ognisko!

Potęga łez.

My co cierpim, na murawie siądźmy sobie wkółko,
Niech się nasze łzy połączą i staną rzeczułką;
Niech po tamtym świecie rzeczka roztoczy swe wody,
Niech w niéj dusze upragnione szukają ochłody;
Niech upiorą w niéj chusteczki nadobne dziewoje:
Sławni mędrce niech w niéj pióra umaczają swoje!

Księżniczka i Ptaszyna.

Tam w ogródku kwili ptasze, w zaroślach się chowa;
Nie piosenka to ptaszyny, raczéj ludzkie słowa.
Posłyszała pieśń królewna za złotemi wroty:
— „Czemu nie mam twoich piórek, mój ty ptaszku złoty?
Czemu jak ty nie zakwilę tęskno lub radosno?
Czemu lotne z moich ramion skrzydła nie wyrosną?

Na co tobie moje piórka i mój głos pieszczony!
Po co rosnąć lotnym piórkom nad twemi ramiony?
Ty królewno czystą wodę pijesz w złotéj czarze,
Ja w strumieniu nurzam dziobek o południa skwarze;
Ty śpisz nocą w miękkiém łożu na pościeli ciepłéj,
Ja pod listkiem na gałązce od bojaźni skrzepły;
Czekasz rychło ci obrączka na ręku zaświeci:
A ja czekam rychło strzelec ułowi mnie w sieci!

Pierścionek.

Szedłem nad morzem, patrzę, na ziemi
Siedzi tam dziéwczę z włoski płowemi;
Czesze włos jasny, łezki jéj płyną.
Zbliżę się do niéj:—„Witaj dziewczyno!"
— „Witaj młodzianie!"—odpowie zcicha.
— „Czemu twe oko z łez nie osycha?"

— „Prawdę szczerémi wyznam ci słowy:
Widzisz w dolinie ten pień cisowy?
Żywa krynica pod nim wytryska,
Biédny kto do niéj przystąpi z blizka!
Gdy owca połknie téj wody świeżéj,
Zatraci pamięć, jagniąt odbieży.
Mnie téż niebaczne kroki tam wiodą,
Gliniany dzbanek napełniam wodą;
Gdy zwilżę usta w krynicy czystéj,
Z rączki mi spada pierścień złocisty.
Kto go dobędzie, tego w podziękę,
Wezmę za męża, oddam mu rękę!

Schwycon za serce dzieweczki słowy,
W lot się do studni rzuci syn wdowy;
Ledwie że stopą do dna dosięże,
Podniosły głowę syczące węże.
Żmije się kłębią krętemi sploty:
Na jednéj świeci pierścionek złoty.

— Pociągnij sznurek, podaj mi rączkę,
Jam twoją, złotą znalazł obrączkę!

Z pomiędzy dawnych mythów pozostała tylko w pamięci ludu złowroga postać Charona, przewoźnika dusz zmarłych. Oto pieśń przechowana o nim w Epirze:

Okręt Charona.

Rozdęte żagle bieleją w dali,
Okręt Charona płynie po fali;
Młodych i starców na nim gromada,
Oko ich zgasłe twarz trupio blada;
Tym krew z ran płynie strugą czerwoną,
Tamtych schłonęło zimne wód łono;
Innym choroba zwarła snać oczy.
Charon dokoła okiem zatoczy:
Spokojną wreszcie przystań dostrzega,
Rzucił kotwicę, dobił do brzega.
Wkrąg się rozbiegła wieść ptaka lotem;
— „Wdowy i matki spieszcie ze złotem!"
Kto Charonowi okup zapłaci?
On wydać gotów synów i braci.
Z garściami złota zdążają matki,
Siostry bogate przynoszą datki;

Z kluczami spieszą wdowy radośnie,
Lica im płoną, serce im rośnie.
Niedługa radość! przewoźnik nagle
Podcina liny, rozwija żagle;
Jęk na wybrzeżu rozległ się nowy,
Matki i siostry idą w parowy;
Załosnym wdowom łzy z oczu płyną:
Do dom samotną spieszą drożyną!

Wśród pieśni historycznych znajdujemy jednę bez związku z miejscowemi wypadkami. Pieśń ta pod tytułem: *Pomsta Męża*, przypomina podanie o Mazepie. Pan Legrand odnosi ją do czasów sławnego atamana i objaśnia ustęp z historyi Karola XII. Wolter zaczerpnął snać to podanie w Lunewilu, wiadomo bowiem że pisał żywot bohatera szwedzkiego, na dworze króla Stanisława. Byron w sławnym poemacie poszedł w ślad za Wolterem.

Oto pieśń nowogrecka:

Pomsta Męża.

Kocha junak cudzą żonę,
Krasawicę ściga wciąż;
Oko pięknéj łzą przyćmione:
Z gniewem na to patrzy mąż.

— „Druchy!—woła—za mną żwawo!
Czas w krwi nędznych pomścić srom,
Do pioruna! przy mnie prawo:
Ona zbiegła: pusty dom!"

Ku dąbrowie tną z kopyta,
Mężem straszny miota gniew;
Drze kędziory, w zęby zgrzyta:
Nozdrzem ciepłą wietrzy krew.

Tam w leszczynie coś szeleści,
Czy się ptastwo zrywa z gniazd?
Mignął blady cień niewieści,
Przy połysku drżących gwiazd.

I cień drugi mknie gęstwiną,
Mąż zakrzyknie rykiem lwim:
— „Hej! do dzieła!.... w lot drużyno!
Czy widzicie? ona z nim!"

Chwyta oręż w dłoń szaloną,
Litość z serca wygnał precz;
W krasawicy śnieżne łono
Wpił po głównię twardy miecz.

W ręku druchów szabla dzwoni,
„Giń nikczemny!"—krzykną w głos,
A za borem, tam na błoni,
Tabun źrebców skubie wrzos.

Jest koń dziki w pośród stada,
Zbiega pola wzdłuż i wszerz;
Skoczy dzielnych nań gromada:
Pod arkanem zgiął się zwierz.

Wnet przytroczą doń junaka,
Źrebca wściekły porwie szał;
Pędzi naprzód lotem ptaka:
Lasy, góry mija wcwał.

Biegł dni cztery, cztery noce,
Aż mu zbrakło tchu i sił;
Jeździec w pętach się szamoce:
Krew mu żywa tryska z żył.

Po raz piąty słońce zgasło,
Padł na ziemię koński trup;
Krucy krukom dają hasło:
Jeżą szpony, ostrzą dziób.

Wtém podróżni przeszli drogą,
Osłupieli... wlepią wzrok;
W twarz junaka patrzą z trwogą:
Zwolnią ciało z twardych trok.

— „Cóżto? ręka jakby ciepła?
Tyle przetrwał! istny dziw!
Krew mu w żyłach nie zakrzepła:
Westchnął.... Nieba!... jeszcze żyw!

„Bóg nam zesłał cud w nim nowy,
Opustoszał u nas tron;
Płaszcz mu wdziejem purpurowy:
Królem naszym będzie on!"

Śmiało junak schwyci wodze,
Krzywd mu pamięć w sercu tkwi,
Krwawéj pomsty złaknion srodze:
Niechże ściekną rzeki krwi!

Hej na wroga! dni czterdzieści
Płoną zgliszcza siół i miast,
Brzmi żałośnie jęk niewieści,
Pola w okół zarosł chwast.

W kraju pusto, legli mężе,
Stopy ludzkiéj zniknął ślad,
Zwierz się tylko w kniejach lęże,
Tylko w bagnach syczy gad.

Krótki tryumf! śmierć nie pyta,
Król czy nie król—ostrzy szpon,
Wnet za gardziel władcę chwyta.
Pogrzebowy jęknął dzwon.

W piekle radość, wrzawa, gody,
Tnie na skrzypkach drużba czart,
Ściska lubą junak młody:
Ma tam każdy czego wart!

Maksym du Camp autor obszernego dzieła o Paryżu, ciągnie daléj ważną publikacyą swoję. Widzimy po różnych przeglądach porozrzucane artykuły, które zebrane w całość, utworzą nowy tom tego pomnikowego dzieła. W przeglądzie francuzkim czytamy właśnie artykuł o dzisiejszym stanie teatrów, bibliotek i dziennikarstwa. Same cyfry statystyczne wymownie świadczą o niesłychanéj żywotności narodu francuzkiego.

Dowiadujemy się, że Paryż w roku 1873, miał czterdzieści i jeden teatrów; dochody z nich wynosiły 16,168,719 fr., centimów 85. Oprócz tego istnieje po za obrębem fortyfikacyj siedmnaście teatrzyków, na których co niedziela przedstawiane widowiska, ściągają tłumnie paryzką ludność.

Autor nie pochwala bynajmniéj obecnego kierunku sztuki dramatycznéj, ale nie dzieli przekonań tych, którzy w skażeniu sceny widzą dowód upadku społecznego i porównywają Paryż z Babylonem, lub Rzymem za ostatnich Cezarów, przed najazdami Alaryka i Attyli. „Niemoralność sceny paryzkiéj—mówi on—przeciw któréj oddziaływać potrzeba, nie dzisiejszym jest grzechem. Już za Ludwika XIV, Racine żalił się gorzko, że publiczność smakuje tylko w buffonadach

Skarrona. Lesage pisał w roku 1709: „Większa część pań uczęszcza chętnie na widowiska jarmarczne, dzieląc to upodobanie w nich z lokajami swymi i stangretami!“

Marais pisze w roku 1722: „Grają Perseusza. Smak publiczności tak upadł, że opery Lullego już się nie podobają. Ogół przekłada balety jarmarczne, saltimbanków i skoczków na linie.“

Niemniéj ciekawą podaje autor statystykę peryodycznych publikacyj w Paryżu. Liczba ich podniosła się w roku zeszłym do 791. Z tych 113 dzienników zajmuje się polityką; 678 pism traktuje o rozmaitych przedmiotach. Same nauki ścisłe posiadają 99 organów; sprawy religijne 78; prawodawstwo 42; finanse 39; mody 58; wojskowość 14; marynarka 9; architektura 8. Są także specyalne dzienniki dla episierów, szewców i innych rzemiosł. Spiriści mają własne organa. Najnędzniejsza ramota dziennikarska liczy do trzechset prenumeratorów. Trudno to wytłumaczyć inaczéj jak francuzkiém przysłowiem: *Un sot, trouve toujours un plus sot pour l'admirer* (Głupi znajdzie zawsze głupszego od siebie co go chwali).

Do najciekawszych należy statystyka bibliotek. Paryż jak wiadomo, posiada cztery główne: Mazaryńską czyli akademicką, Arsenału, Ś. Genowefy i sławną bibliotekę Richelieugo, która z każdą zmianą rządu, przemienia nazwę. Niegdyś *Królewska*, późniéj *Cesarska*, zowie się dzisiaj *Narodową*. Piąta z nich Biblioteka Luvru, pogorzała, spalona przez herostratów komuny.

Ile Biblioteka narodowa liczy tomów? Nikt nie odpowie na takie zapytanie. Jest to rzeka wzbierająca bez ustanku, wpływem nowych strumieni, ale rzeka bez ujścia. Liczba tomów wzrasta z dniem każdym, ma bowiem Biblioteka prawo do wszelkiéj publikacyi tak książki jak dziennika, słowem do wszystkiego co się drukuje w Paryżu, bądź w departamencie Sekwany. Dodajmy do tego dary nadsyłane ze wszystkich miast francuzkich, dodajmy dzieła zakupowane w kraju i za granicą. Pan du Camp oblicza w przecięciu owe bajeczne zbiory. Pułka długa na metr, mieści czterdzieści tomów, a że pułki przeznaczone na same druki mają długości 55 kilometrów (dziewięć mil polskich), liczba tomów wynosi mniéj więcéj 2.200,000.

Przystęp każdemu bardzo tu ułatwiony. Ztąd téż oprócz mnóstwa osób na prawdę czytających, wiele jest takich zwłaszcza w mrozy, którzy przychodzą po to, aby rozkurczyć członki skrzepłe od zimna, w jasnéj i wybornie ogrzanéj sali. Ktokolwiek przyjdzie, obowiązany tylko napisać na karteczce własne nazwisko i tytuł żądanego dzieła. Niektóre kartki świadczą o ubóstwie ducha prostaczków, szukających tu ciepłéj ochrony. Między innemi są takie: „Ywan i Noe“ co znaczy „Iwanoe“ Walterskotta!

Wśród licznych kategoryi dzieł istnieje jedna, ukryta w tajemniczéj głębi, z któréj pod żadnym pozorem nie wolno korzystać nikomu. Ciemna sala mieszcząca w sobie te zaklęte księgi nosi nazwisko piekła. Szafy w niéj wiecznie na klucz zamknięte. Są to najobrzydliwsze be-

zeceństwa, jakiemi w pasmie czterechset lat zhańbiła się prassa drukarska. Ten dział obejmuje 730 tomów, tworzących dzieł 340. Co się w tém piekle mieścić może pytamy, skoro takie brzydoty jak panów Feydeau, Flauberta i Zolly, kwitną dziś swobodnie pod słońcem!

Kollekcya rękopismów nadzwyczajnie bogata. Oprawa niektórych ksiąg, stanowi osobliwość archeologiczną. Autor opisuje zbiór ten drogocenny z prawdziwą miłością bibliografa.

„Niepodobna—mówi on—wyrwać się z tych miejsc; czujemy tu, że książki mają duszę, tajemniczą, zaklętą. Dusza ta nie odpowie każdemu; trzeba umieć ją zapytywać! Istnie jak one fantastyczne istoty stworzone wyobraźnią Arabów; żyją one wyłącznie dla wybranych; martwe są dla bezmyślnego tłumu!

„Witamy je zawsze jak przyjaciół; przyglądamy się czy robak nie stoczył której karty pargaminowéj, czy wilgoć nie pokryła jéj pleśnią. Ocieramy je z kurzu, pieścimy oczy ich widokiem. Miłość książek jest abstrakcyą, jak każde podniosłe uczucie. Prawdziwy bibliofil, zmuszony sprzedać bibliotekę swoją, nie pocieszy się nigdy po jéj stracie, jak przyjaciel po skonie przyjaciela.“

Z taką to miłością p. du Camp opisuje cały Paryż, to téż dzieło jego pełne żywotnego ciepła obok głębokiéj erudycyi, ma wartość nie dla samych tylko uczonych, ale i dla ogółu czytającéj publiczności.

Mówiąc o Bibliotece narodowéj, dodamy tu jeszcze kilka słów, na pokazanie wielkiéj wagi, jaką ma ten olbrzymi księgozbiór, godzien stolicy cywilizowanego świata. W ciągu ostatnich lat dwudziestu, pod administracyą uczonego bibliografa p. Taschereau, wzorowy ład został tu wprowadzony. Specyalni uczeni zajęli się podopełnianiem licznych katalogów. Sam katalog dzieł odnoszących się do historyi Francyi, tworzy dziesięć wielkich tomów, jedenasty jest właśnie pod prassą. Katalog dzieł lekarskich objęty w dwóch tomach, trzeci ukaże się niebawem. Dzieje Anglii, Hiszpanii, Portugalii, Azyi, Afryki, Ameryki i Oceanii, mają także katalogi przygotowane do druku.

Sekcya rękopismów zapełnia dwa wielkie tomy katalogu; trzeci tom wkrótce opuści prassę. Katalogi manuskryptów Wschodnich: hebrajskich, samarytańskich, syryackich, sabejskich i etyopskich już wydrukowane. Uczeni zajmują się obecnie opisem manuskryptów arabskich *(Pâli)*, perskich i tureckich. Wielki katalog dzieł łacińskich, wkrótce się téż pojawi.

Akademia francuzka postradała nie tylko Nestora swego, ale co więcéj głównego kierownika, który od lat czterdziestu był najsilniejszym jéj filarem. Mówimy tu o Guizocie, zmarłym w połowie września, w ośmdziesiątym siódmym roku życia.

De mortuis aut bene, aut nihil—mawiali starożytni; nikt jednak nie trzymał się nigdy tego paradoksalnego aksyomatu, bo inaczéj hi-

storya nie byłaby już zwierciadłem prawdy, ale ckliwym panegirykiem. Śmierć niewątpliwie zamyka nam oczy na drobne wady człowieka, uwydatnia jego dodatnią stronę; nie powstrzymuje przecież sądu o zmarłym, zwłaszcza jeśli zajmował wysokie stanowisko i wpływał przeważnie na losy kraju swego. To też wieko trumny nie zapadło jeszcze nad Guizotem, a już dzienniki francuzkie różnych barw i obozów, jęły roztrząsać każdy czyn, każde słowo, dawnego ministra konstytucyjnéj monarchii.

„Guizot zgubił Orleanów, wytrącił im z rąk berło, odmawiając uporczywie wszelkich godziwych ustępstw!“—wołali jedni; „Guizot zwolennik pokoju bądź co bądź, poniżył Francyą usuwając ją od udziału w sprawach wschodnich!“—zarzucali drudzy; „Guizot znieważył republikańskie stronnictwo zowiąc je *niechlujném zwierzem, co włóczy po targowiskach obrzydliwą twarz, i zaraża powietrze zgnilizną własnéj duszy* [1])—krzyknęli demokraci; „Guizot przeniewierzył się reformacyi, obstając za doczesną władzą papieża!“—wołały organa protestanckie; „Guizot stworzył z Royer-Collarem szkołę doktrynerów, szkołę wstrętną geniuszowi francuzkiemu!“—przypominali inni. A przecież wśród tego chóru zarzutów, brzmiała jedna dźwięczna nuta, zaszczytna dla pamięci zmarłego: sami nieprzyjaciele nawet podnieśli jego cnoty domowe, wszyscy nazwali go mężem silnego hartu i niezłomnéj woli.

Zostawiamy na boku polityczny zawód Guizota; wspomnimy tu tylko o pisarzu, który przez siedmdziesiąt blizko lat, nie puszczał pióra z ręki. Szczególna to była organizacya. Zimny, poważny, systematyczny, w dwudziestym czwartym roku życia Guizot nie był już młodym; czynny, energiczny, pełen wiary i woli, w ośmdziesiątym siódmym roku nie był jeszcze zgrzybiałym starcem. Te cechy charakterystyczne, tak sprzeczne z usposobieniem francuzkiém, sprawiły, że niektórzy biografowie utrzymują trafnie, iż zdawał się być Anglikiem, naturalizowanym na Francuza; dzieła jego nawet—jak mówią—mimo najrzeczywistszych zalet, zakrawają na tłumaczenie!

Franciszek Guizot urodził się w południowéj Francyi w mieście Nimes, na krótko przed wielką rewolucyą, w 1787 r. Ojciec jego był adwokatem; porwany wirem wypadków politycznych, stracił głowę pod gilotyną. Matka żarliwa protestantka opuściła rodzinny kraj i z dwuletniém dzieckiem schroniła się do Genewy. Tam chłopiec pobierał pierwsze nauki. W r. 1805 rozpoczął w Paryżu kurs prawa. Następnie zajął się wychowaniem synów Stapfera, pełnomocnika szwajcarskiego przy rządzie francuzkim. Pisywał niemniéj krytyczne rozprawy do dzienników. Ocenienie *Męczenników* Chateaubrianda, zwróciło nań uwagę.

Słynęła podówczas w świecie literackim panna Paulina Meulin, osoba trzydziesto-ośmio letnia. Przegląd p. t. *Publicysta*, wychodził pod jej redakcyą. Guizot nieznany jéj osobiście, pisywał do owego

[1]) Mowa z roku 1831.

przeglądu. Redaktorka zachorowała; pismo zagrożone upadkiem znalazło gorliwego opiekuna w młodym współpracowniku. Powstała ztąd bliższa znajomość. W r. 1812 dwudziestopięcio letni Guizot, zaślubił pannę Meulin. Żona otworzyła mu karyerę literacką i polityczną.

Za czasów jeszcze cesarstwa, młody autor dał się poznać kilkoma krytycznemi pracami, szczególniéj rozprawą o sztukach pięknych we Francyi, oraz dziełem o poetach francuzkich z czasów Ludwika XIV i przekładem Gibona. Pisał w kolloboracyi z żoną. Dzięki tym pracom, mianowany został professorem historyi nowożytnéj w Sorbonie. Katedrę tę zajmował stale do r. 1825: utracił ją w skutek systematycznéj opozycyi, przeciw rządom Burbonów. Wówczas oddał się gorliwie badaniom historycznym i politycznéj polemice. Oprócz licznych broszur, ogłosił drukiem swój kurs w dwóch tomach, p. t. *Historya rządu reprezentacyjnego.* Zajął się niemniéj tłumaczeniem materyałów dotyczących przewrotu społecznego w Anglii, w końcu XVII wieku. Jako wstęp do téj olbrzymiéj pracy, objętéj w dwudziestu sześciu tomach, napisał *Historyą Rewolucyi Angielskiéj*, od wstąpienia na tron Karola I, do Karola II.

Po piętnastoletniem pożyciu, niezamąconém żadną chmurką, utracił żonę w r. 1827. W rok potém, pojął w małżeństwo rodzoną jéj bratankę, czyniąc w tém zadosyć ostatniéj woli zmarłéj.

Odzyskał Guizot katedrę w r. 1828. Odtąd to rozpoczyna się okres wielkiéj popularności, jaka otoczyła jego imię, wraz z imionami dwóch innych professorów: Villemaina i Cousina. Lekcye Guizota wydane p. t. *Kurs Historyi Nowożytnéj*, *Historya Powszechna Cywilizacyi w Europie*, nakoniec *Historya Cywilizacyi Francuzkiéj* w IV tomach, otworzyły mu drogę do trzech wydziałów Instytutu. Krzesło akademii francuzkiéj zajął w r. 1836.

Jako minister oświecenia za czasów Ludwika Filipa, przyłożył się dzielnie do zreorganizowania szkół elementarnych we Francyi.

Po upadku monarchii konstytucyjnéj, Guizot zamknął się w zaciszu domowém. Owdowiały powtórnie, zamieszkał stale w Normandyi w zamku Val-Richer; żył tam otoczony rodziną, a wytrwała praca dała mu błogi wypoczynek po burzach. Głównym owocem tych dwudziestu kilku lat, przeżytych w ciszy i skupieniu ducha, było dziewięcio-tomowe dzieło p. t. *Pamiętniki do Historyi mojego czasu;* jak niemniéj *Medytacye nad treścią religii chrześcijańskiéj*, a nakoniec znakomita praca *Historya Popularna Francyi, opowiedziana drugiemu pokoleniu dzieci moich.* Ostatnie to dzieło doprowadził do czasów *Henryka IV;* pracował gorliwie nad niém, dopóki pióro nie wypadło mu samo.

Krzepki ten umysł rozwijał się do najpóźniejszéj starości. Rzecz godna uwagi, że w owéj historyi dla wnuków, więcéj czujemy żywotnego ciepła, więcéj tchnienia poetycznego, niż w innych dziełach tworzonych w pełnéj sile męzkiego wieku. Starzec prostuje tu błędy jakich się był niegdyś dopuścił, naprawia dawniejsze uchybienia, przyjmuje

ostatnie wyniki historycznych badań, korzysta z prac innych uczonych. Kiedy naprzykład, w dziele o Cywilizacyi Francuzkiéj, wymieniając żywioły jakie się składały na ową ciwilizacyą: Łacinizm, Germanizm i Chrześcijaństwo, nie wspomniał był o rodzinnym żywiole galskim, w Historyi dla wnuków przywraca Gallom właściwe w dziejach Francyi znaczenie; wylicza sześć milionów tubylców w czasach najazdu Cezara na Gallią. Skorzystał widocznie z prac Lelewela, który w sławnéj Numizmatyce galskiéj pierwszy przypomniał Francuzom, że są przedewszystkiém synami starych Gallów.

Guizot mimo klęsk jakie spadły na Francyą, mimo chwilowego upadku, wierzył gorąco w jéj przyszłość, pragnął tę wiarę przelać we wszystkie serca. W ostatnim liście pisanym drżącą i bezwładną prawie ręką, żali się na zamęt panujący w umysłach, na zacięty antagonizm walczących z sobą stronnictw. „Są—mówi—chwile, kiedy służba dla kraju bardzo ciężka, lecz potrzeba mu służyć, potrzeba dobrze służyć!"

Ta miłość kraju, ta niezłomna wiara w przyszłość Francyi, rzuca jasny promień na oblicze zmarłego starca!

Pod tytułem: *Życie Patrycyusza weneckiego w XVI wieku*, p. Yriarte napisał ciekawe studyum historyczne nad Rzecząpospolitą Wenecką i wewnętrznym ustrojem tego potężnego niegdyś państwa. Bohatér jego Marek Barbaro jest członkiem Wielkiéj rady senatu, reformatorem wszechnicy padewskiéj, posłem przy obcych dworach. Do najważniejszych ustępów należy pobyt Patrycyusza we Francyi w latach 1561—1563, za czasu pamiętnych wojen religijnych. Równie ciekawe poselstwo do Konstantynopola po wielkiéj bitwie pod Lepantem i skruszeniu Ottomańskiéj potęgi. Pobyt Henryka Welezyusza w Wenecyi po ucieczce z Polski tego króla, opisany z wielkiém życiem, pełen zajmujących a nieznanych dotąd szczegółów. Licznych materyałów dostarczyły autorowi, bogate archiwa w bibliotece ś-go Marka.

Franciszek Combes, professor historyi na fakultecie w Bordeaux, wydał pod tytułem *Les liberateurs du Nations*, obrazy historyczne wielkich bohatérów, którzy potęgą ducha i ramienia, umieli wydobywać ludy z ostatniéj toni. Wśród tych oswobodzicieli narodów, widzimy imiona: Mojżesza, Judyty, Machabeusza, Konstantyna, Cyda, Wilhelma Tella, Joanny d'Arc i Jana Sobieskiego.

Umarł niedawno w Paryżu uczony Lazar Augé, jeden z najdawniejszych i najgorliwszych uczniów sławnego matematyka i filozofa

Hoëne Wrońskiego. Poświęcił on większą część życia na zbadanie i rozpowszechnienie doktryny filozoficznéj naszego znakomitego rodaka. Oprócz wielu dzieł o Messianizmie wydanych dawniéj, Augé zostawił w rękopiśmie historyą życia i prac Wrońskiego, owoc długoletnich trudów. Córka i przyjaciele, zamierzają ogłosić drukiem ten rękopism.

Przyjaciele słynnego socyalisty Prudona, zajęli się zebraniem licznéj jego korrespondencyi. Zgromadzili już do tysiąca listów, które obejmą co najmniéj cztery tomy. Szczególna okoliczność zatrzymała na czas jakiś tę publikacyą. W liczbie poufnych przyjaciół Prudona, był jeden z członków izby prawodawczéj z 1849 roku, wygnany z kraju w skutek wypadków czerwcowych. Ma on w ręku przeszło sto pięćdziesiąt i to najważniejszych listów. Otóż więc ów przyjaciel, przypatrzywszy się gwałtom komuny, z radykały został zaciętym konserwatystą. Wydaje on na prowincyi pismo na rzecz publicznego porządku, odpowiednie dzisiejszym jego opiniom. Z tego to powodu postanowił nie wypuszczać z rąk sto pięćdziesiąt listów Prudona, o które próżno nalegają wydawcy. Wdowa po Prudonie, zamierza dochodzić ich drogą sądową. Rzecz ciekawa jaki wypadnie wyrok?

AKADEMIA UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.

Rok trzeci już minął, gdy cesarz Franciszek Józef I w odręcznem piśmie swojém do ministra Iireczka, dnia 2 maja 1871 roku wyrzekł:

„Życzeniem jest mojém, ażeby założoną była Akademia Umiejętności w Krakowie. W tym celu, zechcesz pan zawiązać rokowania z tameczném Towarzystwem Naukowém, którego skuteczną działalność uznaję, względem przeobrażenia go na taką akademię i przedstawić mi do orzeczenia odpowiednie wnioski.“

Słowa te dostojnego monarchy dały istnienie téj naukowéj instytucyi: niedosyć na tém, zamianował protektorem jéj brata swego arcyksięcia Karola Ludwika i uposażył akademią rocznym funduszem złr. 12,000 ze skarbu Państwa, a z własnéj szkatuły ofiarował jednorazowo 20,000 złr. (80,000 zł. pol.), na piérwszy zasiłek. Zawiązkiem jéj życia miał być wybór piérwszych dwunastu członków z łona Towarzystwa naukowego krakowskiego, które po długoletnich pracach i dobréj zasłudze naukom w dniu 29 kwietnia 1872 r. rozwiązało się, a dnia 11 maja t. r. dopełniło wymaganego wyboru.

Wybrani zostali prof.: Kremer Józef, Dr. Pol Wincenty, prof. Szujski Józef, Walewski Antoni, Dunajewski Julian, Siemieński Lucyan, Mecherzyński Karol, Dr. Estreicher Karol i professorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego: Majer Józef, Teichman Ludwik, Skobel Fryderyk, Kuczyński Stefan. Przedstawieni do Wiednia, zatwierdzonemi zostali przez najwyższe postanowienie, o czém zawiadamiając prezesa b. Towarzystwa naukowego J. Majera, odezwą swą opiekun téj akademii arcyksiąże Karol Ludwik z dnia 9 lipca 1872 r. zawezwał zarazem, ażeby grono piérwszych akademików przedstawiło po ośmiu nowych rzeczywistych krajowych członków dla każdego oddziału akademii; a drugą z dnia 12 grudnia t. r. zawiadomił, że D-ra Majera Józefa, cesarz i król zamianował piérwszym prezesem akademii umiejętności w Krakowie.

Przy zatwierdzeniu prezesa nadesłanym został *dekret* cesarski, mocą którego prof. Józef Szujski zamianowany został pierwszym sekretarzem akademii. Wkrótce, bo w tymże samym miesiącu na posiedzeniu już akademii w dniu 21 grudnia 1872 zawiadomiono, że jeden z piérwszych jéj członków ukochany poeta Pol Wincenty zakończył życie. Cała społeczność polska żałośnie dotkniętą została tak

wielką stratą. Wszystkie serca czujące zadrżały wielkim bólem, a każdy wielbiciel i znawca literatury ojczystéj miał to smutne przekonanie, że ze zgonem śpiewaka Mohorta, skonała tradycya dawnéj rzeczypospolitéj. Pol był jéj najczystszym kapłanem, poświęcił jéj wszystkie myśli swoje, z niéj brał i język swój oryginalny, ona przy jego trumnie wydała ostatnie tchnienie. Słusznie téż na tém posiedzeniu zacny prezes wezwał zgromadzenie do wyrażenia czci pamięci zgasłego poety. Wszyscy powstaniem, w smutném a rzewném milczeniu oddali hołd należny, patrząc na opróżnione krzesło po wiernym towarzyszu w pracy i zasługach.

Nie mało pracy i czasu zabrało uorganizowanie się akademii, ażeby wszystko przygotować do uroczystego jéj otwarcia w dn. 7 maja 1873 r. Na czas oznaczony przybył arcyksiąże Karol Ludwik, a po gorącém i serdeczném przyjęciu mieszkańców tego grodu, zagaił otwarcie akademii.

Na walném posiedzeniu już nowéj akademii umiejętności, dopełniono wyborów tak z grona uczonych krajowych, jak i zakrajowych z liczby kandydatów przez wszystkie wydziały przedstawionych. Rada miasta Krakowa uchwaliła z kassy miejskiéj zł. reń. 500 rocznie na potrzeby akademii, a nadto dom będący jéj własnością uwolniony został od podatków (A.).

Dom ten, dawne Towarzystwo naukowe krak., zawdzięcza swój byt piérwszéj myśli i staraniu swego prezesa kasztelana Fr. Wężyka, który pomimo lat sędziwych, z młodzieńczym zapałem wziął się do dzieła, ażeby uczone to grono miało swoje gniazdo i pomieszczenie (po odłączeniu się od Uniwersytetu Jagiellońskiego, z którym przez wiele lat spojone było), na gromadzące się rok rocznie zbiory, tak zabytków i pamiątek przeszłości, jako i pomnażającą się bibliotekę. Do téj bowiem pory, musiało szukać przytułku w obcych ścianach i wyżebrywać sobie spokojny zakątek.

Było to w r. 1858, kiedy będąc w Krakowie odwiedziłem sędziwego poetę, autora: „Okolic Krakowa" tak rozgłośnego w okresie Księztwa Warszawskiego, jako piérwszego dramaturga, a oddawna mi znanego. Już zacny starzec żywo się krzątać zaczął około zbierania wdowiego grosza, na wzniesienie odpowiedniego gmachu. Z goryczą skarżył się przedemną, jak niespodziewane przeszkody znajduje u wielu nawet tych, coby powinni go całą siłą i gorącém sercem popierać. Myśl jego piękna obudziła okrzyk niechęci: z góry uważano nadsyłane składki, jako pieniądz stracony, który mógłby być na cóś użyteczniejszego obrócony. Najżarliwsi krzykacze wszelako innego celu wskazać nie umieli. Wężyk niezrażony niczém, szedł naprzód niewzruszonym krokiem, a gdy uderzyła dlań ostatnia godzina życia, miał tę pociechę, że gmach wzniósł się już wysoko i umiérał pełen nadziei, iż wkrótce poczciwe jego zabiegi pomyślnym uwieńczone będą skutkiem, a Towarzystwo naukowe, któremu tak zaszczytnie przewodniczył, znajdzie

własne schronienie, w którém swobodniéj dla dobra nauki pracować będzie mogło. Jakoż Towarzystwo naukowe przy pomocy składek dokończyło rozpoczętego dzieła. Teraz następca jego, a obecnie prezes akademii, powziął piękną myśl uczczenia pamięci zgasłego poprzednika swego, wmurowaniem w jednę ze ścian téj budowli marmurowéj tablicy, z napisem téj treści: że za staraniem gorliwém i ofiarą własną Franciszka Wężyka wzniesione mury akademii, rozpoczęte przez niego w dniu 4 czerwca 1857 roku, prowadzone do dnia 4 maja 1862 roku, bo do chwili jego zgonu, przez zarząd Towarzystwa naukowego krakowskiego ukończone w r. 1866 w zupełności zostały.

Przed uroczystą inauguracyą akademii, o któréj wspomnieliśmy wyżéj, już w gmachu Uniwersytetu Jagiellońskiego (w sali Nowodworskiéj) odbyło się piérwsze jéj publiczne posiedzenie, na obchód jubileuszu Mikołaja Kopernika w d. 18 lutego 1873 r.

Obchód ten uroczysty a piérwszy zwiastujący o istnieniu akademii umiejętności w Krakowie, opisanym został w oddzielnéj publikacyi, która do piérwszych wydań pomienionéj instytucyi należy [1]). Dnia 4 maja r. b. J. Majer prezes akademii na publiczném posiedzeniu, w wymownym głosie złożył sprawozdanie o roczném jéj życiu. Była to doba przeważnie organizacyjna: pomimo to niepominięto i naukowych publikacyi, o których następnie powiemy.

Jednomyślna uchwała sejmu przeznaczyła dla akademii roczne uposażenie w kwocie zł. reń. 10,000. Szły zasiłki skromniejsze, jak z rady powiatowéj Tarnowskiéj złr. 300, w trzech latach uiścić się mająca.

Zaledwie Towarzystwo naukowe krakowskie przeobrażać się zaczęło w akademią umiejętności, z grona jéj członków ośmiu zeszło z tego świata, a z wydatniejszych osobistości, znanych całéj naszéj społeczności, rozpoczął ten smutny szereg książe Jerzy Lubomirski, „który pośredniczący pomiędzy Towarzystwem naukowém a Rządem, stał się najczynniejszym czynnikiem w sprawie przywiedzenia akademii do skutku.“

Rychło po nim zgasł hr. Adam Potocki żarliwy obywatel w popieraniu wszystkiego, co mogło dobro krajowi przynieść; daléj Wincenty Pol, a w końcu Leon Wegner zasłużony pracownik na polu badań historycznych.

---

[1]) *Dwa piérwsze publiczne posiedzenia Akademii Umiejętności w Krakowie: 1) posiedzenie w przeddzień czterechsetnéj rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika d. 18 lutego 1873; 2) posiedzenie inauguracyjne d. 7 maja 1873 r.* W Krakowie, czcionkami drukarni „Czasu“ 1873; w 8-ce wielkiéj, str. 76. W dniu 18 lutego t. r. gmina miasta Krakowa zobowiązała się aktem urzędowym płacenia rocznie do kassy akademii umiejętności w Krakowie po złr. 100, na nagrodę za najlepsze rozwiązanie i napisanie w języku polskim zadań konkursowych w tym celu przez akademię co lat pięć ogłaszać się mających, z zakresu astronomii lub nauk z nią zpowinowaconych.

Zamykając swój pogląd na stan nowéj instytucyi w roku 1873, dostojny prezes w te słowa przemówił:

„Jeżeli grób i kolébka tak blizko graniczą ze sobą, to niechże wolno mi będzie od tego całunu śmierci, przejść jeszcze do rozpoczętego życia naszéj akademii. O! jakżeż pragnąłbym uchylić zasłony zakrywającéj jéj przyszłe koleje. Któż jednak przyszłość z pewnością przewidzieć potrafi? Czy przecież ta niepewność ma czoła nasze choćby na chwilę zasępić? Bynajmniéj! Kto prace rozpocząć zamierza, niech się nad swym zamiarem dokładnie namyśla; kto ją rozpoczął, niech z wiarą i nadzieją dąży wytrwale do celu! Ktoby szerzył zwątpienie tam, gdzie działać należy, ten popełniałby występek sromotnego pognębienia ducha. Kto wznosi budowę, nie czyni tego w przekonaniu, że nieprzewidziana burza kiedyś zdruzgocze ją koniecznie; lecz stara się jedynie tak ją zabezpieczyć, ażeby o ile można wytrzymała nawałność i nie uległa piérwszéj zamieci. Spoglądajmy więc z otuchą w przyszłość naszéj instytucyi: spoglądajmy z przekonaniem, że praca nasza szczera, gorliwa, zagrzewana jéj miłością, popierana wzajemną pomocą, przychylnością rządu i spółczuciem kraju, zdoła fundamenta jéj utrwalić i samo jéj zaranie rozpromienić tym blaskiem, któryby jeszcze i następców nęcił i do pracy zagrzewał. Wtenczas zejść możemy z widowni z spokojném sumieniem, bo z przekonaniem, że w miarę sił i możności dopełniliśmy wobec kraju obowiązku naszego zawodu.“

Sekretarz generalny akademii odczytał *zdanie sprawy* z ruchu jéj naukowego od dnia 1 marca 1873 r. w którém poszczególnie wyliczył prace wszystkich wydziałów tak wykonane, jak rozpoczęte i pomyślane. Długi jest ich szereg i te znajdują się wydrukowane w *Roczniku zarządu Akademii Umiejętności w Krakowie,* który opuścił już prassę drukarską.

Nie możemy pominąć co J. Szujski w tém sprawozdaniu wypowiedział na końcu. Podniósł on jako warunek życia i przyszłości akademii to: „co niezależy ani od funduszów, ani od zbiorów, ale od ducha wiejącego w młodém pokoleniu.“

„Od pracowników przyszłości (mówił) od skierowania się zdolnych głów i gorących serc ku badaniu naukowemu, od nawrócenia umysłów dość licznéj młodzieży z pola lżejszych literackich zapasów, na trudliwą prawda, ale pożyteczniejszą drogę naukowéj pracy, od umiłowania w szczególności tego, czemu przedewszystkiém nasza istytucya się oddaje, uprawy języka naszego, przeszłości literatury i przyrody kraju, zależy jéj przyszły rozwój i rozkwit. Nie można jéj zarzucić aby nie czuła téj potrzeby odżywiania się i młodości, dowodem są jéj liczne z młodemi siłami w komisyach stosunki, a jeżeli co dla niéj jest pożądaném, to zjawienie się pracy nowéj, wymaganiom odpowiadającéj o wstępującem w świat nazwisku.

„Niechże i to stanie się bodźcem szlachetnéj ambicyi. Niech przyjmie się przekonanie, że akademia nie chce i nie może zasklepić

się w gronie swoich bez pośrednich wybrańców, ale jest i będzie pobudką, pomocniczką, opiekunką usiłowań wszelkich, których podstawą jest poważne i trafne pojęcie nauki.

W chwili obecnéj tak wielostronnie zawichrzonéj, tak ciężkiemi walkami zajętéj, praca jéj wspierana gorąco przez kraj, winna być uważaną jako gromadzenie kapitału siły na zewnątrz, przechowywanie skarbów przeszłości na przyszłość. W walki wieku wdawać się ona nie może, ani przychylając się do stronnictw, zyskiwać przyjaciół; woli udać się do tego, co na dnie serca naszego społeczeństwa znajdować się musi, bo powinno: uczucia czci i miłości téj ziemi. Opatrzność otworzyła nam pole działalności, na którém się pracowitemi, ofiarnemi, dojrzałemi okazać możemy, gdzie rozwinąć możemy nasze zdolności, pokazać wytrwałość; dozwoliła nam strzedz przeszłości języka, badać kraj nasz; do nas, do całego kraju należy, podsycać tę lampę i okazać żeśmy jéj godni."

Wytworzenie stałych komisyi akademickich o których J. Szujski powyżéj wspomina, a obmyślone rozumnie, zespoliły młode w nich siły z tą instytucyą, dodając nie mało jéj życia. Samo ich szczegółowe wyliczenie, da nam w téj rzeczy już dokładne wyobrażenie:

I W wydziale filologicznym: 1) komisya bibliograficzna; 2) komisya dla historyi sztuki; 3) komisya językowa.

II. W wydziale historyczno-filozoficznym: 1) komisya dla filozofii: 2) komisya historyczna; 3) komisya archeologiczna; 4) komisya prawnicza.

III. W wydziale matematyczno-przyrodniczym: 1) komisya fizyograficzna; 2) komisya antropologiczna.

Każda ma za przewodniczącego czynnego członka akademii, wraz z kilku towarzyszami, do których grona są przybrani członkowie tak krajowi jak i za krajowi.

Do publikacyi akademickich należą: Pamiętnik Akademii, Sprawozdanie z posiedzeń wydziałowych, dzieła oddzielnie wydawane, Rocznik zarządu.

Temu obowiązkowi akademia w piérwszym roku w zupełności odpowiedziała i zawiązała stosunki z zakładami naukowemi pod względem wymiany swoich publikacyj. W Warszawie wylicza Rocznik akademicki w tym przedmiocie ustalone stosunki: z Biblioteką uniwersytetu, z Towarzystwem Lekarskiém, z redakcyą Biblioteki Warszawskiéj.

We wspaniałém wydaniu już ogłosiła swój pamiętnik: *Pamiętnik Akademii Umiejętności w Krakowie;* wydziały: filologiczny i historyczno-filozoficzny. Kraków, w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego, 1874 r. (w wielkiéj 4-ce str. 249). Obejmuje cztery rozprawy naukowe: 1) *Studya Platońskie, Hippias większy* D-r Zygmunta Samolewicza, w których przychodzi do ostatecznego wniosku, że „Dyalog Hippias" nie może żadną miarą uchodzić za utwór Platona. 2) *Rys dziejów Kościoła katolickiego w Szwecyi*; skreślił Maurycy hr. Dzieduszycki. Jestto rozprawa tak obszernych rozmiarów (od str. 25 do 117), że sama mogłaby

stanowić sporą książkę, pomimo to nie jest jeszcze skończoną, co nastąpi w drugim tomie tego pamiętnika. *O narodowości polskiéj w Prusach zachodnich za czasów krzyżackich.* Studyum historyczno-etnograficzne, napisał D-r Wojciech Kętrzyński. Rzecz głównie oparta na nieznanych dotąd archiwalnych dokumentach, co jéj wartość i znaczenie podnosi i uzasadnia. Rozprawa w rozmiarach większa od poprzedniéj, rzuca nowe światło na te zapadłe wieki i na przeszłość téj starodawnéj Mazowieckiéj ziemi jak i jéj społeczności. Zamyka ten tom pamiętnika studyum *o Poezyach Andrzeja Krzyckiego*, przez Zygmunta Węclewskiego. Znaném jest pióro tego pracownika a byłego professora Szkoły Głównéj warszawskiéj, w któréj do najcelniejszych jéj ozdób należał; to téż z gruntowną znajomością przedmiotu, do dna go wyczerpał.

Nietylko Pamiętnik obejmuje studya żywo obchodzące dzieje jak i literaturę polską, w wydanym tomie piérwszym p. n. *Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności:* (Kraków 1874 r. w 8-ce str. 314 i LXXVIII), mamy ich piękny nawiązek; oto ich poczet: *Z historyi i dawnego prawa polskiego*, „Projekt rozbioru Polski w XV wieku“ D-r A. Sokołowskiego: „Wiadomość o uchwałach zjazdu piotrkowskiego z 1406 r., oraz takiegoż zjazdu z 1407 r.“ D-r M. Bobrzyńskiego; „Uchwały zjazdu w Radomsku dnia 2 marca 1384 r.“ J. Szujskiego; „Przyczynek do historyi dziejopisarstwa polskiego w XVII wieku“ B. Kalickiego. „Dwa zabytki sądownictwa karnego z XVI-go wieku, Z archeologii: „Obecny sposób zapatrywania się na zabytki z epoki spiżowéj“ I. N. Sadowskiego; „Badania archeologiczne w okolicach Babic i Kwaczały“ A. H. Kirkora, gdzie nietylko wiele znalazł drogocennych zabytków w urnach, ozdobach do stroju i sprzętów, ale trafił na szczątki mieszkań nadwodnych. Dalsze poszukiwania rokują bogate zdobycze. Do dziejów oświaty i literatury; „O wizycie Akademii krakowskiéj odbytéj w r. 1766 przez ks. Kajetana Sołtyka biskupa krakowskiego“ D-ra Karola Mecherzyńskiego; „Nieznany poemat satyryczny XVII wieku, dla historyi zużytkowany“ J. Szujskiego.

Niezmiernéj wagi i zajmujące są w tym tomie „Sprawozdania z posiedzeń wydziału i komisyi wydziałowych“ od d. 6 marca 1873 r. które odzwierciedlają nam wiernie nietylko prace podjęte, ale podają nam wiele wiadomości nieznanych, tak o dawnych zabytkach do dziejów i literatury odkrytych, jak i o gotowych studyach do druku.

Znany ze znakomitych dzieł historycznych professor Antoni Walewski, czytał na kilku posiedzeniach rozprawę swoją: „O filozofii dziejów Polski i o metodzie badania ich początku, jako wstęp do historyi, mianowicie początkowéj narodu polskiego,“ odznaczającą się nowym poglądem na ten przedmiot a następnie obszerniejszą pracę swoją opartą na poszukiwaniach w archiwach paryzkich, berlińskich, drezdeńskich i wiedeńskich p. n. *Dzieje bezkrólewia po śmierci Jana III*, która przeznaczoną została do następnego tomu Pamiętnika Akademii. Obok tego dowiadujemy się o spuściźnie duchowéj, jaką przekazał ś. p.

Antoni Zygmunt Helcel dla akademii. Drogocenna ta spuścizna składa się z samodzielnych rozpraw wielkiego badacza: *O szlachcie i wielkorządach krakowskich*, jak niemniéj prelekcye publicznego i prywatnego prawa polskiego, przez uczniów spisywane, a w znacznéj części poprawione przez autora. Nadto do trzeciego tomu: „Starodawnych prawa polskiego pomników“ którego skład został w przedmowie drugiego tomu zakreślony, pozostawił Helcel odpis „Statutu Taszyckiego“, jak niemniéj własny kodeks „Nieszawskiego Statutu“ do użycia.

W wydawnictwie tak tego tomu jak i następnych, wiedza i inteligencya zgasłego badacza już żadnego nie mogą mieć udziału; spoczął on po długiéj chorobie, którą męczarnią nazwać można, w kościele świętéj Anny, gdzie ma skromny nagrobek; wizerunek olejny nad nim umieszczony, przypomina to szlachetne oblicze męża, który pracami znakomitemi uwiecznił imie swoje. Nie zapomnę tych chwil, kiedy na łożu boleści bezwładny, silił się ażeby co rychléj drugi tom tych pomników w druku ukończyć, z jakim zapałem unosił się nad wartością „Statutu Taszyckiego“ dla historyi dawnego prawa polskiego.

Akademia, spadek ten szacowny po Helclu, w dobre ręce powierzyła; opracowania krytycznego i starannego wydania podjął się Michał Bobrzyński i dokonał: mamy już wydrukowane dzieło w okazałéj edycyi p n. *Starodawne prawa polskiego pomniki*, tom III, (Kraków 1874 r. str. XXVI i 290 w 4-ce). Statut Taszyckiego wyszedł z pod prassy u Hieronima Vietora 1532 r. podług tego wydania dokonanym jest przedruk, mając po karcie tytułowéj pieśń polską *Boga-Rodzica*. Wydawca na posiedzeniu komisyi historycznéj, pod przewodnictwem professora Antoniego Walewskiego; zdając sprawozdanie o pozostałych pracach oryginalnych A. Z. Helcel, ze szlachetnym zapałem przemówił: „Nie powiemy wiele, utrzymując, że ogłoszenie ich, spadłoby jak deszcz na ziemię oddawna spragnioną, byłoby powitane z uniesieniem przez cały świat uczony.“

Zgasły badacz myślał o wydaniu „Glossaryuszów“ staropolsko-łacińskich i łacińsko-średniowiecznych. Wydrukowawszy z górą pięć tysięcy zapisków, zabierał się Helcel dopiéro do obszernéj opowieści, za pomocą któréj miał wszystkie zapiski połączyć a uwydatniając ważniejsze, utworzyć w ten sposób pewne tło, na któremby dopiéro wszystkie osobliwości i zboczenia, w jakie każdy wiek obfituje, odbić się mogły. Śmierć przerwała te jego zamiary.

Z pomiędzy mnóstwa prac wyszczególnionych na posiedzeniach komissyi historycznéj, wymienić musimy o nadesłanym akademii rękopiśmie Stefana Franciszka z Prószcza Medekszę sekretarza królewskiego, o którym złożywszy szczegółowe sprawozdanie D-r Wł. Seredyński, wyjednywa postanowienie, drukowania jak najrychléj tak drogocennego pomnika z XVII wieku. Przewodniczący komissyi archeologicznéj D-r Józef Łepkowski, oświadcza gotowość złożenia akademii w rękopiśmie: „Słownika sztycharzy polskich“ Edwarda Rastawieckiego, którego wydrukować śmierć mu nie pozwoliła. Ważny krok

uczyniono co do dalszego wydawnictwa pomnikowego dzieła: „*Monumenta Poloniae historica*“ którego dwa wielkie tomy własnym nakładem ogłosił A. Bielowski; przełożył on plan dalszego wydawnictwa, z którego się pokazuje, że materyały przeznaczone do publikacyi téj, a doprowadzające dziejowe pomniki aż do czasów Długoszowych, zająć mogą rozmiarami swemi tom tak obszerny jak poprzednie. Ażeby przyśpieszyć wykonanie zamiarów tyle pożądanych dla historyi naszéj, ułożono się co do podziału pracy: przyjęli w niéj udział i objęli pojedyńcze części, prócz A. Bielowskiego (który i nadal w ręku swym zatrzyma główne kierownictwo, i na siebie bierze najważniejszą i najobszerniejszą część pracy), pp. D-r Zygmunt Węclewski, D-r Kętrzyński, D-r Liske i D-r Hirschberg. Opracowanie nie drukowanego dotąd w całości: *Chronicon Benedicti de Posnania*, poruczono młodemu D-rowi Stanisławowi Smolce, który na drodze badań historycznych dał się chlubnie poznać. Akademia, zażądaną tymczasową subwencyą, w kwocie 400 złr. na opędzenie kosztów tego wydawnictwa, przed rozpoczęciem druku, udzieliła.

Na posiedzeniu dnia 18 czerwca 1873 r., przewodniczący wydziałowi historyczno-filozoficznemu D-r Józef Kremer, wymotywował potrzebę ustanowienia komisyi dla filozofii, celem: 1) badań nad historyą filozofii w Polsce, w szczególności zaś XV i XVI wieku; 2) ustalenie terminologii filozoficznéj; 3) zdawanie sprawy z najnowszych publikacyj na polu filozofii w kraju i zagranicą, jak niemnéj 4) z prac filozoficznych wydziałowi nadesłanych. J. Kremer wniosek swój temi wymownemi słowy zakończył:

„Szanowni panowie! Nikomu z nas nie tajno, jakie ciężkie przesilenie duchowe przechodzi świat w tych czasach, a jak straszliwa niemoc ogarnia go w tych chwilach. Dawne społeczeństwa węgły się walą, starowieczna tradycya moralności i obyczajów uchodzą ze ziemi, negacya wżera się rakiem w serca ludzkie, a natomiast bezczelne lekceważenie wszelkiéj idealności coraz zuchwaléj się rozpiera; żądza gorączkowa używania życia, opętała ludzi, materyalizm wierzący jedynie w to, czego się dotknąć może, stał się jedynym ustawodawcą chęci ludzkich. Słowem, jest to istna *niebozka komedya*, która się odgrywa przed oczami naszemi! Lecz temu nie przeczyć, że nienależy tracić nadziei w przyszłość ludzkiego plemienia, a raczéj ufać téj Opatrzności, co jest logiką świata, prowadzącą ludzkość po przez wieki wieków. Temu nie przeczyć, że ludy potężne, pełne sił żywotnych wyleczą się z téj niemocy, która na świat padła.

„Oto zdaje mi się, że stan obecny zupełnie podobny do owego, który przeżyła Grecya za czasów sofistów na blizko pięćset lat przed Chrystusem. I wtedy rozzuchwalona jednostka nie znała innych prawd, tylko te, które jéj poddawało sobkowstwo i chęć dogodzenia namiętno-

ściom swoim: to tylko było dla każdego prawdą, co mu się prawdą być zdawało, a to jedynie moralném, cnotliwém, co mu było przyjemném, a to złém, co mu przynosiło szkodę. W tych czasach natrząsano się z dawnéj tradycyi, poczciwego obyczaju, poniewierano ustawami ojców, na teatrach wyśmiewano bogów. Z téj toni wyratowała Grecyę filozofia. Sokrates zrozumiał, że do dawnych obyczajów Grecya wrócić nie może, bo dawne cnoty spoczywały na tradycyi, że i wiara w bogów uleciały z dawną fantazyą wieszczów, że po dawnemu instynktowe dopełnienie powinności, i że cnoty dokonane z natchnienia nie były już na czasie, właśnie dlatego, że były li tradycyą, poczuciem, instynktem. Sokrates obronił społeczeństwo swoje, dając mu na miejsce tradycyi, instynktu, umiejętność i rozumowanie, aby Grecya zastąpiła dawną wiarę, dawną cześć narodową dla obyczaju, przekonaniem rozumowém. Myślę zatém, że i dziś, zadaniem najwyższém, najnaglejszém filozofii w całéj Europie, jest właśnie takie, aby na miejsce dawnego poczucia, dawnych instynktów podać społeczności zasady i prawdy na rozumowaniu, na filozofii oparte. Mam przekonanie, że w téj winnicy Pańskiéj i my Polacy powinniśmy stawić się do roboty, abyśmy, ile słabiuchnych sił naszych, przyczyniali się choćby małym datkiem do téj wielkiéj sprawy cywilizacyi, a błogosławieństwo z téj naszéj usilności, spłynie zapewne i na społeczność naszą."

Wniosek ten natchniony tak wzniosłą myślą, przyjęto jednomyślnie, i na następném posiedzeniu już komissyi dla filozofii, postanowiono zgodnie:

1) Złożyć bibliograficzny, chronologicznie ustawiony katalog publikacyj treści filozoficznéj wyszłych w Polsce, któréj to pracy podejmuje się A. Siedlecki.

2) Zająć się opisem manuskryptów treści filozoficznéj w Bibliotece Uniw. Jagiellońskiego, czego się podjął D-r Maurycy Straszewski.

3) Podejmować ważniejsze dzieła i manuskrypta do szczegółowego ocenienia krytycznego, a mianowicie pod jakim wpływem powstały, które to ocenienia mają być odczytywane na posiedzeniach komissyi. Referatów takich podjęli się członkowie Ziemba i Straszewski.

4) Do podobnych referatów obierać także wybitniejsze dzieła z bieżącéj literatury filozoficznéj, czego podjęli się wszyscy członkowie komissyi.

Na pytanie, czy i rzeczy, wprost nauce filozofii nie poświęcone, a jednak o filozofią trącające, rzeczy treści politycznéj i moralnéj, jak dzieła A. Maksymiliana Fredry, Stanisława Herakliusza Lubomirskiego, St. Leszczyńskiego, ks. Stanisława Konarskiego wciągniętemi być mogą i powinny w zakres tego badania nad historyą filozofii w Polsce? Komissya postanowiła, że i pomienionych pisarzy pracę należy w ten dział objąć, z uwagi, iż w takich właśnie dziełach daleko więcéj myśli filozoficznych i wpływów filozoficznych się napotyka, niż w szkol-

nych, wydeptaną ścieszką, kroczących książkach i seksternach filozoficznéj treści.

Owóż w słabych tylko zarysach podajemy część tylko prac podjętych, lub zamierzonych, to całkowicie wykonanych, to w części jedynie; inne zobaczymy w sprawozdaniu za rok bieżący, jednego tylko wydziału historyczno-filozoficznego. Dodać do tego należy wydaną część ostatnią Kroniki Bernarda Wapowskiego, obejmującą czasy po-Długoszowskie (1480—1535) staraniem tegoż wydziału akademii, z rękopismu hr. Wiktora Baworowskiego. Pracę nad tą częścią i to mozolną podjął Dr. J. Szujski prof. historyi polskiéj uniwersytetu Jagiellońskiego, a sekretarz generalny akademii umiejętności. Do oryginalnego tekstu dodał życiorys Wapowskiego i wyjątkami z współczesnych historyków objaśnił. Część ta stanowi publikacyi podjętéj jeszcze przez Towarzystwo naukowe, tom II p. n. *Scriptores Rerum Polonicarum* (Kraków, 1874 r. w 8-ce str. XXX, 363).

Równą działalność rozwinęły i dwa inne wydziały akademii. Wydział matematyczno-przyrodniczy ogłosił tom piérwszy, pod imieniem ogólném *Pamiętnika Akademii Umiejętności* w Krakowie, zbiór dziesięciu rozpraw, z tych gałęzi nauk; daléj tom VII, obejmujący *Sprawozdanie komisyi fizyograficznéj* b. Towarzystwa naukowego krakowskiego, obejmujące pogląd na czynności dokonane w ciągu 1872 r. oraz materyały do fizyografii Galicyi (Kraków, 1873 r. w 8-ce, str. 182—131). Oddzielnie wydano z tego wydziału zdanie sprawy z posiedzeń odbytych od dnia 15 marca 1873 r. pod przewodnictwem D-ra Józefa Dietla, znanego dobrze uczonemu światu.

Pomijając zbyt specyalne przedmioty, o więcéj dostępnych dla ogółu wspomnimy.

Dr. Blumenstok odczytał ustęp z obszernéj rozprawy o *Fortunacie Fedelim*, który piérwszy opracował umiejętnie „Medycynę Sądową.“ W starożytności niéma o niéj mowy: w wiekach średnich pojawiają się jakieś prace w przedmiocie medycyny sądowéj jeszcze przed ustawą Karola V, mianowicie téż we Włoszech, zkąd wynika, że nie ona dopiéro dała początek téj nauce. Fedelego wyprzedziły wprawdzie dwie prace sądowo-lekarskie, te jednak nie miały naukowéj wartości. Fedelego dzieło: *De relationibus medicorum*, w Palermie 1602 r. wydane, a należące do rzadkości bibliograficznych jest piérwszém i jedyném w tym przedmiocie. Wydział krajowy objawia życzenia ażeby akademia opracowała *Statut zdrojowisk krajowych*, mający się sejmowi złożyć do zatwierdzenia. Czynność załatwia wydział matematyczno-przyrodniczy. Na posiedzeniu komisyi fizyograficznéj prezes akademii Dr. Majer, uwzględniając nader ważną dla komisyi archeologicznéj i antropologicznéj potrzebę dokładnéj wiadomości o istniejących w kraju jaskiniach, przedhistorycznych cmentarzyskach, zamczyskach i t. p. zabytkach; wzywa członków, ażeby napotykając podobne przedmioty podczas swoich wycieczek, zechcieli na nie zwracać uwagę i udzielać o nich wiadomości; następnie na posiedzeniu komissyi antropologicznéj, jako

w niéj przewodniczący, odczytał obszerny *program badań antropologicznych.*

Głównem zadaniem takowych jest badanie człowieka: 1) pod względem najdawniejszych śladów jego bytu w naszym kraju; 2) pod względem jego cech fizycznych, odznaczających właściwość szczepową, plemienną i narodową; 3) pod względem właściwości jego duchowych, stosunków społecznych, zwyczajów i obyczajów. Pod pierwszym względem badania odnosić się muszą do czasów przedhistorycznych; pod drugim wiadomości zbierać wypadnie z fizycznych poszukiwań właściwości ludów obecnie zamieszkałych, lub zabytków pozostałych z czasów historycznych w całym obszarze kraju; pod trzecim z ich właściwości duchowych, zwyczajów i obyczajów. Pod tym ostatnim względem, wzięto na uwagę „zasób duchowego usposobienia ludności" pod wielorakiemi względami.

1) *Gwara*, okazująca stopień uzdolnienia do wyrażania uczuć i pojęć.

2) Poezya, muzyka i tańce, jako wyraz uczuć i wyobraźni i zdolności przyoblekania ich w pewne formy.

3) Przysłowia, jako rodzima filozofia ludu.

4) Obrzędy i uroczystości, jako formy w które wcieliły się wyrabiane wiekami, pojęcia religijne i rodzime.

5) Zabobony i gusła, jako ślady dawniejszych wyobrażeń religijnych, stanowiących ich duchową przeszłość.

6) Obchody przy peryodycznie powtarzajacych się zatrudnieniach, jak w dożynkach i t. p.; jako formy, w których się wyraża łączność pracy ludziéj, z właściwościami całego społecznego ustroju.

7) Ubiór i stroje, wyrażające stopień zmysłu estetycznego.

8) Budowa i urządzanie mieszkań, niemniéj narzędzia do zatrudnień badanéj ludności.

9) Szczególne skłonności, objawiające się u niéj pod jakimbądź względem.

Na tém polu co do badań ludu wiejskiego ze strony jego duchowéj, bogate już mamy plony. Zbiory pieśni, powieści i podań mamy liczne; szczególniejsze tu położył zasługi Oskar Kolberg, muzyk i etnograf zarazem i obfitością zebranego materyału tak słowa jak i melodyi, prześcignął wszystkich poprzedników swoich, zarówno jak ujęciem takowego w naukowe ramy. Słusznie téż postąpiono, że do sekcyi etnologicznéj wybranym został na przewodniczącego pomieniony badacz.

Program „badań antropologicznych" sięga jeszcze głębiéj, o czém nikt myślą nie sięgał dotąd, bo żąda zwrócenia pilnéj uwagi na:

1) Stopień wyobrażeń politycznych.

2) Stopień zajęcia się uzyskanemi prawami bądź cywilnemi, bądź politycznemi, tudzież stopień poszanowania ustaw, a więc skłonność do przestępstw i zbrodni.

3) Stopień udziału okazywanego dla losu urządzeń gminnych, stanu komunikacyi i gospodarstwa krajowego, a przedewszystkiém dla szkolnictwa ludowego.

Wszystko są to względy nadzwyczaj ważne przy zmianie stosunków rolniczych, zniesieniu pańszczyzny i swobodzie ludu.

Program cały jednomyślnie, bez żadnego zarzutu przyjętym został; we wszystkich kierunkach już się rozpoczęły pracę, o których rozwoju i dokonaniu, w następnych latach znajdziemy szczegółowe sprawozdanie. Wydział filologii, historyi literatury i sztuki nie dawał się w pracy wyprzedzać innym. I z niego mamy już tom piérwszy: *Rozpraw* i *Sprawozdań*, z posiedzeń jakie odbywał (Kraków 1874 r. w 8ce, str. 333 i L.). Mieści się tu ośm rozpraw z działu filologii: „O zadaniach wydziału filologicznego Akademii Umiejętności“ Antoniego Małeckiego. „Trzy zabytki języka polskiego XIV i XV wieku“ Józefa Szujskiego. „Ks. Doktor Paterek“ (z XV wieku), D-ra Wojciecha Kętrzyńskiego. Z bibliografii: „Wiadomość o rękopismach polskich oddziału teologicznego w cesarskiéj bibliotece w Petersburgu“ ks. Antoniego Moszyńskiego. Z literatury polskiéj: „Krzysztof Warszewiecki“ D-ra Stanisława Tarnowskiego.

Do historyi sztuki krajowéj: „Malarstwo cechowe krakowskie XV i XVI wieku“; „Malarz monogramista *Kos* i obrazy jego w kościołach krakowskich“, obiedwie rozprawy pióra Władysława Łuszczkiewicza. „O modlitewniku Zygmunta I, rękopisie zachowanym w bibliotece uniwersytetu Monachijskiego“ D-ra Józefa Łepkowskiego.

Na piérwszém posiedzeniu dnia 10 marca 1873 r. pod przewodnictwem dyrektora Karola Mecherzyńskiego, sekretarz tego wydziału, podług przyjętego porządku w organizacyi akademii, wnosi potrzebę ustanowienia komisyi bibliograficznéj, która istniała za Towarzystwa naukowego i prowadziła wydawnictwo: „Bibliografii XIX stulecia“, jak równie Lucyan Siemieński żąda komisyi dla historyi sztuki. Oba wnioski przyjęto.

K. Estreicher zawiadamia, że gdy wydawnictwo Bibliografii XIX wieku jest już zapewnione, potrzeba funduszu z akademii na rozszerzenie dalszych prac w tym kierunku, a mianowicie na przygotowanie materyału do Bibliografii XVI, XVII i XVIII wieku.

Ś. p. Jan Szlachtowski pozostawił kartki bibliograficzne do katalogu druków polskich XVI stulecia; prof. Szujski ułożył je chronologicznie i już widzieliśmy podług tego rozpoczęty druk bibliografii tego wieku, po którym pójdą i następne stulecia. Po spisie chronologicznym pójdzie spis alfabetyczny.

Władysław Łuszczkiewicz odczytał: *Rzecz o pracach na polu historyi sztuki*, w któréj wskazawszy zabytki sztuki naszéj ciągnące się pasmem dziejów od XI wieku, żąda umiejętnego ich studyowania wedle dzisiejszego stanu nauki, kreśli różnicę między archeologią a badaniami historyi sztuki epok odległych, i rozdziela zadanie komisyi na studya sztuki średniowiecznéj i przedstawienie arcydzieł epoki odrodzenia

i następnych. Szeroko rozwija tę myśl swoją, zwraca uwagę i na rzeźbiarstwo, w końcu uważa za zadanie komisyi wydawanie arcydzieł sztuki wszelkich epok w kraju znajdujących się, a dotąd niemal światu nieznanych. Początek już zrobiony w publikacy rozpoczętéj p. n. *Monumenta Antiquae artis Cracoviensis.*

K. Estreicher, na mocy wniosków z rozprawy A. Małeckiego, o któréj wyżéj wspomnieliśmy, wyprowadzonych, przedstawia dalsze prace, w uprawianiu monograficznem historyi literatury polskiéj, wzywając znanych na tém polu pracowników do wygotowania rozpraw dla pism akademickich i ogłaszając konkursa; rozpocząć wydawnictwo znakomitych rzadkości bibliograficznych, opatrując ją należytym operatem krytycznym. Przy prowadzeniu daléj „Bibliografii polskiéj," rozpocząć druk zabytków starodawnych języka polskiego, jakie posiada Biblioteka Jagiellońska. Rozpoczynając pracę nad słownictwem polskiém, przedewszystkiém zbierać wyrażenia polskie z pomników językowych i piśmienniczych XIV, XV i XVI wieku, nie użytkowanych przez Lindego, jak niemniéj wyrażeń polskich z literatury po Lindem; porządkować i powiększać materyał już nagromadzony wyrażeń ludowych, prowincyonalizmów i przysłowiowy. Gdy co do prac monograficznych historyi literatury polskiéj, wydział jednomyślnie się zgodził, i wniosek J. Kremera, ażeby studya te rozciągnąć do literatury XIX stulecia, przyjęto: J. Szujski zwrócił uwagę na niebezpieczeństwo, jakie już dzisiaj grozi pojmowaniu i rozumieniu działalności poetycznéj A. Mickiewicza, w skutek licznych publikacyi tyczących się jego życia, wprost kłamliwych, a z próżności ludzi chcących się łączyć z pamięcią wielkiego mistrza, pochodzących. Wnosi aby członkowi akademii Julianowi Klaczce, to niebezpieczeństwo przedstawić i prosić go o wygotowanie krytycznego życiorysu poety; na co się zgodzono. Przewodniczący Karol Mecherzyński z powodu *Psałterza Floryańskiego*, robi uwagę, że psałterz ten nie z czeskiego ale wprost z łacińskiego był tłumaczony, co wybija wyraźnie w tém tłumaczeniu.

Oddawna czuć się dawała potrzeba ułożenia dokładnego spisu rozpraw, do dziejów historyi literatury polskiéj, niemniéj prawa polskiego dotyczących, a rozrzuconych po czasopismach, krórego jest już kilkanaście tysięcy kartek w zasobie. Wniosek ten prezesa akademii J. Majera przyjęto i członkowie wydziału podjęli chętnie tę pracę, ażeby takową co rychléj ukończyć. Zarazem postanowiono zająć się wydawnictwem zabytków języka polskiego, obejmując epokę aż do zjawienia się piérwszéj książki polskiéj w języku polskim. Sekretarz akademii J. Szujski przedstawia nadesłany przez p. Franciszka Kluczycskiego zabytek języka polskiego z XV wieku p. n. *Epistola S. Bernarda, O chowaniu czeladzi*, który w całości mamy tu wydrukowany. Kończy się tom I-szy *Rozpraw i sprawozdań tego wydziału Akademii Umiejętności*, wykazaniem potrzeby zbierania materyałów do Słownika języka polskiego na podstawie Lindego i zgodnie z dzisiejszemi wymaganiami, jako téż co do dalszego wydawnictwa: *Monumenta*

antiquae artis Cracoviensis, ufundowaném staraniem ś. p. księcia Józefa Lubomirskiego.

Owóż treściwy obraz lubo niezupełny podajemy, prac podjętych i w znacznéj części spełnionych z jednego roku 1873; niezupełny powtarzamy, bo dotknęliśmy tylko wydawnictw już ogłoszonych i jedynie wydatniejszych pomysłów, bądź w części wykonanych, bądź zamierzonych na przyszłość. Jest to bujny posiew na żyzną rolę, z któréj społeczeństwo nasze, śmiało może oczekiwać obfitego plonu.

Rok tylko jeden przeżyła ta instytucya a odrazu staje jako mąż dojrzały, w poważném gronie licznych zwolenników nauki.

Zgasły śpiewak *Wiesława* Kazimierz Brodziński, przed ostatnim swoim wyjazdem do Drezna, gdzie spoczął na cmentarzu, nieraz mi powtarzał w poufnéj pogawędce, jakby się jego serce uradowało, gdyby mógł zobaczyć rozproszony zastęp pracowników zgromadzony razem w jedno braterskie koło, a każdy rzuciłby snop zebrany z niwy literackiéj. Jakażby to była rozmaitość, jakie bogactwo, jak obfity śpichlerz utworzyłby się duchowy!

Życzenie jednego z najznakomitszysh pisarzy i mężów krajowych spełnia akademia umiejętności, bo nietylko że już wciągnęła rozproszone siły literackie w szranki swoje, ale za główne zadanie kładzie, ażeby z najdalszych kresów zbierać je i jednoczyć, ku pożytkowi nauki i rozszerzeniu wiedzy.

Rok piérwszy istnienia akademii, już dał w licznych publikacyach rękojmię rozpoczętego życia w takim blasku; chociaż zarząd jéj [2]) miał do walczenia nie mało z trudnościami, które towarzyszą zwykle, piérwszemu ustaleniu każdéj instytucyi. Dziś gdy już organizacya jéj skończona, wydziały i komisye urządzone. i tyle sił młodych do wspólnéj powołano pracy; śmiało rokować możemy akademii najświetniejszy rozwój, przy téj energii i zapale, które cechują każde zebranie gorliwych pracowników, we wszystkich gałęziach wiedzy.

K. Wł. Wójcicki.

Kraków, dnia 7 września 1874 roku.

PRZYPISY.

[1]) Akademia podzieliła się głównie na trzy wydziały: I. wydział filologiczny, przewodniczący D-r K. Mecherzyński. II. Wydział historyczno-filozoficzny, przewodniczący D-r Józef Kremer. III. Wydział matematyczno-przyrodniczy, przewodniczący D-r J. Dietl. Wtedy przystąpiono do wyboru z kandydatów każdego wydziału.

Na czynnych a) w wydziale I-ym: hr. Dzieduszycki Maurycy, prof. Łuszczkiewicz Władysław, ks. Pietraszewicz Antoni, prof. hr. Tarnowski St., prof. Węclewski Zygmunt; *zakrajowi*: Jireczek Józ., Miklosich Fr. *b*) w wydziale II-gim: prof: Bojarski Aleksander, prof. Burzyński Piotr, prof. Heyzmann

Udalb., hr. Stadnicki Kaz., prof. Zielonacki Józ., prof. Zoll Fr.; *zakrajowy*, Palacki Fr. *c*) w wydziale III-im: professorowie: Alth Aloizy, Czyrniański Emil, Karliński Fr., Piotrowski Gust., Nowicki Maks., Strzelecki Fel.; *zakrajowi:* prof. Rokitański Kar., Hyrtl Józef.

Na korrespondentów: a) w wydziale II-gim: ks. Kalinka Walery, Kętrzyński Wojciech, Liska Krawery. *b*) w wydziale III-im: prof. Skiba Edw., Zajączkowski Władysław. *Zagraniczni* przedstawieni do Wiednia i już zatwierdzeni przez założyciela akademii.

Na czynnych: a) w wydziale I-ym: Koźmian Stanisław, Kraszewski Józef Ignacy, ks. Malinowski Fr. Ksawery, Mann Maurycy, Przyborowski J., Tyszyński Aleksander. *b*) w wydziale II-im: hr. Cieszkowski August, Hube R., Libelt Kar., Maciejowski Wacław Aleksander, Morawski Teodor, Roepell Ryszard, Stawiski Edmund, Theiner August, Wołowski Ludwik. *c*) w wydziale III-im: Chodźko Aleksander, Frączkiewicz August, Szokalski Wiktor.

Na korrespondentów: a) w wydziale I-ym: Chodźko Aleksander, Essenwein E., Kaszewski Kazimierz, Kolberg Oskar, Nehring Władysław, Odyniec Antoni Edward, Podczaszyński Bolesław, Spasowicz Włodzimierz, Wójcicki Kazimierz Władysław. *b*) w wydziale II-im: Hofman Karol, książe Lubomirski Tadeusz, margrabia Noailles Em., Pawiński Adolf, Struve Henryk, Wegner Leon, Zaleski Bronisław, Zieliński Feliks. *c*) w wydziale III-im: Brodowski Władysław, Girsztowt Polikarp, Hoyer Henryk, Strasburger Edward, Tetmajer Józef.

[2]) Zarząd akademii umiejętności stanowi: prezes Józef Majer; trzech dyrektorów przewodniczących wydziałom: I-mu Filologii, historyi i sztuki, prof. Karol Mecherzyński; II-mu historyczno-filozoficznemu, D-r Józef Kremer; III-mu matematyczno-przyrodniczemu D-r Józef Dietl i sekretarz generalny prof. Józef Szujski zajmujący katedrę historyi polskiéj w Uniwersytecie Jagiellońskim.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Scriptores Rerum Polonicarum. Tomus II Continet: Chronicorum Bernardi Vapovii partem posteriorem 1480—1535. (Pisarze Dziejów Polskich. Tom II zawiera: Kroniki Bernarda Wapowskiego część ostatnią, czasy po-Długoszowe obejmującą 1480—1535. Kraków. Nakładem Akad. Umiej. 1874).

W zeszycie marcowym zeszłoroczněj Biblioteki Warszawskiéj podaliśmy sprawozdanie o piérwszym tomie publikacyi, która pod tytułem: *Scriptores Rerum Polonicarum* wydaną wówczas była przez komisyę historyczną, ustanowioną przy b. Towarzystwie naukowém krakowskiém, a w którymto tomie mieściły się dyaryusze sejmowe z czasów Zygmuta Augusta. Zwracaliśmy natenczas uwagę czytelników „Biblioteki“ na wysoką wartość owéj publikacyi i ważny z niéj pożytek dla nauki dziejów polskich, jak niemniéj także na staranne i wzorowe opracowanie zebranych materyałów. Obecnie, po przetworzeniu b. Towarzystwa naukowego krakowskiego na Akademię umiejętności, przy znacznie powiększonych funduszach i rozszerzeniu stosunków naukowych, taż sama komisya historyczna szersze zakreśliła plany dla prac swoich i spodziewać się należy, iż nie małe odda przysługi dla piśmiennictwa naszego i nauk historycznych. Z prawdziwą téż radością powitaliśmy świeże jéj wydawnictwo, stanowiące tom drugi *Pisarzy Dziejów Polskich*, a w których znajdujemy część ostatnią kroniki Bernarda Wapowskiego, obejmującą czasy po-Długoszowe (z lat 1480—1535), uzupełnioną i objaśnioną wyjątkami z innych współczesnych historyków. Tom ten przygotowany został do druku i opracowany przez niestrudzonego sekretarza akademii i dyrektora komisyi historycznéj, professora J. Szujskiego, który tyle już zasług położył dla piśmiennictwa polskiego.

Życiorys Bernarda Wapowskiego i pogląd choć ogólny, lecz wykazujący główne cechy jego stanowiska wobec innych współczesnych lub późniejszych kronikarzy i historyków naszych, umiejętnie skreślone przez wydawcę, objaśniają sam tekst kroniki i wysokie jéj znaczenie

w szeregu innych prac współczesnych tego rodzaju. W życiorysie Wapowskiego, wydawca na podstawie poszukiwań po większéj części archiwalnych, nowe rzucił światło na szczegóły jego życia, zupełnie dotąd nie znane, uzupełniając w ten sposób lub prostując wiadomości podane przez Ossolińskiego [1]). Co się zaś tyczy krytycznego przeglądu samejże kroniki, wydawca piérwsze rzucił podstawy do obszerniejszych i bardziéj wyczerpujących studyów w tym zakresie, notując główniejsze źródła, z których czerpać mógł Wapowski, zaznaczając stosunek jego dzieła do poprzednich lub późniejszych kronik i prac historycznych, wyświecając wreszcie zwięźle lecz nader trafnie charakterystyczne cechy poglądów jego na fakta historyczne, lub na znakomitsze osobistości, o których sąd swój wydaje.

Żałować atoli wypada, iż akademia krakowska, któréj wydawnictwa tak się zalecają staranném i wzorowém opracowaniem, nie wydała całéj kroniki Wapowskiego, to jest tego, co znaném jest dotychczas. Dotąd bowiem cała pozostałość pracy historycznéj Wapowskiego nigdy w całości drukiem ogłoszoną nie była: dziwne jakieś przeznaczenie zawisło nad nią. Wapowski w kronice swéj objął całość od początków narodu polskiego aż po rok 1535, a z tego co posiadamy, widoczném jest jak obszernie i szczegółowo kreślił dzieje polskie. Znaczna część jednakże téj pracy jego, sięgająca aż do 1380 roku, zaginęła jak się zdaje bezpowrotnie. Niektórzy posądzają Kromera, iż wcielił ją do swéj kroniki i zniszczył jéj autograf. Marcin Bielski użytkował z niéj także, o czém wyraźnie sam powiada (w edycyi z 1554 roku, kar. 159). Gdyby atoli przypuszczenie o zniszczeniu autografu Wapowskiego mylném się okazało i gdyby ta część jego kroniki odkryć się dała, byłoby to nieocenionym nabytkiem. Dalszy ciąg tejże kroniki, obejmujący epokę od 1380 do 1463 roku, przetłumaczony na język polski przez Mikołaja Malinowskiego, wydany został w 1847 roku w Wilnie, a choć przekład ten wzbogacony jest licznemi przypisami światłego tłumacza i wątpić nie można, iż dokonany został z całą sumiennością i staraniem, cechującemi wszystkie prace tak gorliwego badacza naszych dziejów, jakim był M. Malinowski; to przecież wielce pożądanémby było poznanie kroniki téj w oryginalnym tekście łacińskim. Inny znowu fragment, poczynający się z wstąpieniem na tron Zygmunta I, aż do końca t. j. do 1535 roku, wydrukowany był niegdyś przez ks. Tomasza Płazę przy kolońskiéj edycyi Kromera (1589). Obecnie wreszcie wydaną została część kroniki od 1480 roku do końca, przedstawiająca największe zajęcie z tego względu, iż wstęp jéj z lat 1480—1507 zupełnie był dotąd nieznany, przechowując się w rękopiśmie; dalszy zaś ciąg, choć wydru-

---

[1]) Wiadomości historyczno-krytyczne do dziejów literatury polskiéj. Tom I, str. 465—492.

kowany przed trzystu blizko laty, rozpowszechnionym być nie mógł, stanowiąc rzadkość bibliograficzną, którą wyszukiwać należało po pułkach antykwarnych.

Na wydanie tedy całkowitéj kroniki Wapowskiego dotąd nie mogliśmy się zebrać, mamy tylko kilka fragmentów, między któremi, nie mówiąc o początku zatraconym po rok 1380, pozostaje jeszcze luka z lat 1463—1480. Wprawdzie komisya historyczna widziała potrzebę wydania całości, ale jak nas objaśnia wydawca w przedmowie, gdy przed dwoma laty hr. Wiktor Boworowski powierzył komisyi historycznéj manuskrypt kroniki Wapowskiego [1]), szczupłe fundusze jakiémi wówczas rozrządzała, nie pozwalały myśléć nawet o wydaniu całości i postanowiono wydać tę tylko część kroniki, obejmującą czasy po-Długoszowe, a większe przedstawiającą zajęcie. Teraz wprawdzie, wobec środków jakiemi rozrządza akademia umiejętności w Krakowie, wydanie całkowitéj kroniki Wapowskiego byłoby już możebném przedsięwzięciem; gdy atoli praca nad po-Długoszową częścią kroniki znacznie się posunęła i część ta głównie najpotrzebniejszą jak nateraz była, postanowiono nie zmieniać przyjętego planu, zostawiając na czas późniejszy wydanie całości. W ten więc sposób powstało niniejsze wydanie ostatniéj części kroniki Wapowskiego, a jakkolwiek wolelibyśmy byli ujrzéć całość, to jednak ogłoszenie drukiem téj przynajmniéj części, jest zawsze niezmiernie ważnym przyczynkiem dla historycznéj literatury polskiéj.

W dodatkach wydawca zamieścił dwa małe utwory Wapowskiego: wiersz jego na zwycięztwo Orszańskie odniesione w 1514 roku, a wydany przez Łaskiego w Rzymie 1515 r. w zbiorowym panegiryku, oraz mowę jego do Zygmunta I, witającą króla powracającego z Litwy (29 listopada 1523 roku), wydaną piérwotnie tegoż roku u Floryana Unglera w Krakowie. Co się zaś tyczy trzech psalmów (100, 127, 50), które wedle zdania Wiszniewskiego, Wapowski miał przetłumaczyć, to zaś przypuszczenie opierał na znajdujących się na przekładzie literach *B. W.*, p. Szujski wątpi o trafności tego orzeczenia, tém bardziéj, iż psalmy te wydane zostały we dwadzieścia prawie lat po śmierci Wapowskiego (w latach 1554 i 1556).

Oprócz łacińskiego tekstu saméj kroniki Wapowskiego (s. 1—256), znajdujemy w dodatkach drugiego tomu *Pisarzy Dziejów Polskich* wyjątki z współczesnych historyków, mające uzupełnić podane w niéj szczegóły. Tu najprzód wspomnieć należy o wyjątkach z piérwszych edycyi kroniki Miechowity, wydanéj w 1519 roku (str. 257—285). Edycya ta wspominana przez Łukasza Gołębiowskiego i Wiszniewskiego, długo podawaną była w wątpliwość, dopiéro w maju

[1]) Manuskrypt ten, piérwéj własność Stroncyńskiego, jest ten sam, z którego tłumaczył M. Malinowski.

r. z. biblioteka Jagiellońska nabyła jéj egzemplarz, jedyny znany dotąd. Co się tyczy formy zewnętrznéj, edycya ta nie różni się wcale od powszechnie znanéj drugiéj edycyi z 1521 roku, ale znajdują się w niéj ustępy, które w swoim czasie tak wielką niechęć wywołały, iż Zygmunt I mimo danego pierwéj przywileju, zakazał był dalszego rozszerzania téj edycyi i z polecenia senatu, niektóre rozdziały przerobione zostały i w téj już formie w drugiéj edycyi wydrukowane. Ustępy więc te, różniące się od drugiéj edycyi, są tu przedrukowane z owego jedynego egzemplarza piérwszego wydania. Główne różnice (nie mówiąc o wielu pomniejszych skróceniach lub dodatkach, począwszy od rozdziału LXXIII), znajdujemy w opisie wyprawy wołoskiéj króla Olbrachta, sprawy z Szach-Achmetem hanem złotéj hordy i w ogólném przedstawieniu rządów króla Aleksandra nie nader pochlebném w piérwszéj edycyi [1]), a głównym może było powodem zakazania jéj.

Daléj znajdujemy wyjątki z pisarzów pruskich (str. 286—302), wyjęte z kroniki Gdańskiéj (z lat 1480—1501) i z drugiéj obszerniejszéj kroniki Kaspra Weinreicha (1480—1495); z ruskich roczników (str. 302—315), z Hustińskiego latopisu, Sofijskiego piérwszego i Sofijskiego wtórego (wszystkie z lat 1480—1506) i wreszcie kilka wyjątków z pisarzy węgierskich (Ladov. Pervarii Tuberonis Comentaria, re epistola de perditione Regni Hung. G. Sirmiensis i krótki ustęp z dzieła M. Bruti Ung. Rez. Sib. I, str. 316—342). To zestawienie rozmaitych współczesnych źródeł ułatwia ogólny pogląd na główne wypadki objętéj epoki, uzupełniając zarazem podania znajdujące się w oddzielnych kronikach i rocznikach. Pisarze szczególniéj węgierscy zawierają wiele szczegółów wyjaśniających nasze dzieje, z tego mianowicie względu, iż w owéj epoce nader ścisłe były stosunki między Polską i Węgrami, a cele polityczne, szczególniéj spraw wschodnich dotyczące, prawie zawsze jednakie. Oprócz wymienionych powyżéj pisarzy węgierskich, zwracamy uwagę na dwóch innych historyków: Isthnaffi'ego [2]) i Bonfini'ego, zwanego Liwiuszem Węgierskim [3]), którzy w pismach swoich obejmując tęż samą epokę, zawierają dużo ciekawych i pouczających dla nas szczegółów.

---

[1]) Jak np. następujący ustęp wykreślony z piérwszéj edycyi: *Sub principatu ejus maximae incursiones, praedationes, populique pecorum et utensilium obductiones fuerunt. Ut quotiens hostes voluerunt libere intrarunt et securi absque illorum damnis discesserunt, terrarum quoque praecipue Lithuaniae et Russiae occupationes et alienationes sub ipso fuerunt, inde vox populi deprecatoria saepius intonuit: O Deus omnipotens favemus regi Alexandro salvationem, suscipe et mitte nobis liberatorem!* (z rozdziału LXXXII).

[2]) *Historia regni Hung.* Lib. XXXIV, ab an. 1490 ad an. 1606 (Colon. 1622).

[3]) *Historia Panonica* sive rerum Hungar. decades IV et dimidia (Colon. 1590).

Przedstawiwszy treść składającą tom drugi *Pisarzy Dziejow Polskich*, należy jeszcze w kilku choć słowach rozpatrzéć jakiéj są wartości naukowéj zebrane tutaj materyały historyczne, a głównie zastanowić się bliżéj nad znaczeniem kroniki Wapowskiego wobec innych znanych nam źródeł współczesnych. Ze względu jednak na szczupłą ich liczbę i na niedostateczną ilość podań kronikarskich przy schyłku XV wieku i przez cały ciąg panowania Zygmunta I, stawić musimy kronikę Wapowskiego na piérwszém niezaprzeczalnie miejscu, z całéj zaś pracy jego historycznéj, ustęp obecnie wydany jest pono najważniejszy. Wapowski bowiem stanowi tutaj przez czas długi główne źródło późniejszych opracowań historycznych, a minąwszy pierwszych lat kilkanaście XVI wieku, jest *jedyném* tylko źródłem kronikarskiém i to w epoce jednéj z najciekawszych w naszych dziejach, a pono i najświetniejszéj, bo obejmującéj bez mała cały okres rządów Zygmunta I (aż po rok 1525). Ustęp niniejszy kroniki Wapowskiego rozpoczyna się z rokiem, na którym Długosz zaprzestał; obok Wapowskiego stoi wprawdzie Miechowita, ten jednakże doprowadza swą kronikę tylko do 1506 roku, a następujący po nim Decyusz obejmuje zaledwie piérwszy lat dziesiątek panowania Zygmunta I. Odtąd Wapowski przyjąwszy spuściznę Długosza, Miechowity i Decyusza, sam już zostaje, stanowiąc główną podstawę, na któréj opierają się potém Bielski i Kromer, a po nich bezpośrednio lub przez ich pośrednictwo inni późniejsi kronikarze i historycy.

To atoli chronologiczne zestawienie źródeł kronikarskich owéj epoki nie wystarcza dla ocenienia Wapowskiego. Wydatna tą postać w dziejopisarstwie polskiém, ze wszech miar godna bliższych studyów; dotąd atoli nie jest jak należy rozpatrzoną, to jest systematycznego poglądu prac Wapowskiego, opartego na zasadach krytyki historycznéj, dotąd nie znamy. Zwracając tedy w tym kierunku uwagę uczonych, w kilku przynajmniéj słowach zaznaczymy stosunek Wapowskiego do Miechowity i Decyusza, okazując w ten sposób wysoką wartość kroniki Wapowskiego dla nauki dziejów polskich.

Miechowita jest wyłącznie kronikarzem, szczególniéj do r. 1480, gdy streszcza tylko Długosza. Odtąd jako świadek naoczny opisywanych wypadków, większe już przedstawia zajęcie; zawsze jednak trzyma się pracy ściśle kronikarskiéj, a notując fakta w porządku chronologicznym, poświęca dlań wszelkie bliższe wyjaśnienia, przez co miesza i gmatwa zdarzenia i przerywa wątek dziejów, dla notowania rzeczy nie zasługujących na bliższą uwagę i nie mających związku z całością, lecz przypadających pod jednym rokiem; wreszcie w żadne nie wdając się rozumowania i skąpiąc szerszych poglądów, streszcza o ile można swe opowiadanie. Z Wapowskim rzecz się ma całkiem inaczéj. Nie jest to już kronikarz lecz dziejopis, występujący całkiem samodzielnie. Wapowski widzi przyczyny i pobudki główniejszych zdarzeń i faktów historycznych, zastanawia się nad doniosłością onych i możebnemi następstwami, nie spuszcza

z oka ważniejszych zdarzeń w ościennych krajach, a co się tyczy bogactwa szczegółów, ani porównać go z Miechowitą.

Zestawiwszy oba teksty w główniejszych epizodach opowiadania, odrazu w oczy uderzyć musi rażąca różnica. Tak np. pod rokiem 1484, Miechowita wspomina o zdobyciu Kilii i Białogrodu przez sułtana Bajazeta. Zaznaczywszy fakt ten, przechodzi do innych rzeczy, opowiada o wzięciu do niewoli przez Turków, pielgrzymów polskich udających się do Jerozolimy; o rozbojach Krzysztofa Szafrańca z Pieskowéj Skały, o zaćmieniu słońca i t. d. [1]). U Wapowskiego pod tymże rokiem czytamy ciekawe szczegóły o samymże Bajazecie, spustoszenie przezeń Mołdawy, zdobycie Kilii i Białogrodu, zajęciu innych sąsiednich miast i włości, wreszcie o Stefanie wojewodzie, który błaga króla polskiego o pomoc i posiłki, przyrzekając poddać się Polsce z całą ziemią Mołdawską. Nader ożywioném jest tutaj opowiadanie Wapowskiego o wyprawie króla, zebraniu 20,000 szlachty polskiéj i ruskiéj we Lwowie, o dalszym pochodzie króla, przeprawie przez Dniestr koło Halicza, o uroczystym hołdzie złożonym królowi przez przelękłego Stefana w Kołomyi i wreszcie o posiłkach danych mu przez króla (str. 2—5). Ustęp ten odznacza się bogactwem szczegółów i żywością kolorytu. Co więcéj, Wapowski jest zawsze nader dokładnie poinformowany i jak wszędzie tak i tutaj dokładnie podaje liczbę wojsk zebranych, wymienia ile jakiego było, zna położenie geograficzne ważniejszych miejscowości, oznacza odległość jednych od drugich.

Gdzieindziéj znów mówiąc o śmierci Macieja króla węgierskiego, Wapowski obszernie opisuje następstwa onéj, stanowiska partyi węgierskiéj; wyprawę Jana Olbrachta do Węgier i wreszcie pokój, między Albertem a Władysławem (str. 8—11); Miechowita zaś zamilcza o tém zupełnie (pag. CCCXLVI), znajdując więcéj zajmującém opis komety i zaćmienia słońca. Takież same znajdujemy różnice w opisie obu kronikarzy innych główniejszych wypadków. I tak, opis sejmu elekcyjnego z 1492 roku, okazuje, że Wapowski dokładniejsze miał od Miechowity wiadomości o stosunkach dyplomatycznych i stanowisku rozmaitych stronnictw w narodzie (str. 15—16 str. CCCXLVII), a kreśląc wyprawę wołoską króla Olbrachta, Wapowski idąc za Miechowitą w opisie przygotowań do téj wojny, podaje daléj mnóstwo szczegółów zupełnie nieznanych przez tamtego. Późniejsze napady Turków, Tatarów, Wołochów, za rządów jeszcze Olbrachta, będące jakoby odwetem za wyprawę wołoską, Wapowski opisuje z całém przejęciem i zgrozą wznieconą wówczas w kraju, a wynikłe w skutek tych niebezpieczeństw traktaty i przymierza z W. księciem Aleksandrem i Władysławem królem czeskim i węgier-

[1]) *Chronica Polonorum* (edycya z 1521 roku) pag. CCCXLV.

skim i wreszcie obu królów ze Stefanem wojewodą mołdawskim, wspomniane wprawdzie przez Miechowitę, bez porównania dokładniéj opisane są przez Wapowskiego, z którym najzupełniéj zgadzają się źródła archiwalne (*Dogiel, Codex Diplomaticus* tom I-szy). W przedstawieniu wreszcie rządów Aleksandra, jak Miechowita tak i Wapowski niemniéj dokładnie znają sprawy litewskie i stosunki z Moskwą, w każdym jednak razie i tutaj Wapowski uzupełnia w wielu miejscach kronikarskie wiadomości pierwszego, a szczególniéj dokładnie przedstawia ówczesne stosunki Polski z Tatarami i Wołoszą.

W obec więc takiego stosunku obu tych kronikarzy, a który zaznaczyliśmy w kilku tylko wybitniejszych rysach, nie możemy się zgodzić, ażeby jak chcą niektórzy, Wapowski w składzie swych dziejów, a szczególniéj w opisie epoki z lat 1480—1507, czerpał głównie swe źródła u Miechowity. Że ten ostatni mógł mu służyć za podstawę do jego pracy, wątpliwości niema, tém bardziéj iż kronika Miechowity, drukowana w 1519 roku, obcą mu być nie mogła; zawsze atoli Wapowski miéć musiał inne obfitsze źródła, które zużytkował, czego dowodzą powyżéj zanotowane uwagi świadczące zarazem o wyższości Wapowskiego nad jego poprzednikiem.

Z rokiem, do którego Miechowita dociąga swe dzieje, Decyusz rozpoczyna kronikę piérwszych lat dziesięciu panowania Zygmunta I [1]), stanowiącą nadzwyczaj ważne źródło do dziejów polskich owéj epoki. Pisma Decyusza wydane zostały przy drugiéj edycyi Miechowity w 1521 roku, zatém znane były Wapowskiemu, a nawet kronika Decyusza czasów Zygmunta, służyła mu za główną podstawę. Że jednak kreśląc owo dziesięciolecie przedstawione już przez Decyusza, Wapowski bynajmniéj ślepo go nie naśladował ani parafrazował jak chcą niektórzy, lecz przeciwnie nawet w ogólnych na stan rzeczy poglądach i w wielu szczegółach zkądinąd zaczerpniętych [2]) samodzielnie występował, przypuszczać można iż okrom Decyusza posiadać musiał inne jeszcze źródła, bądź na współczesnych zapiskach kronikarskich, które do nas nie doszły, bądź w pismach urzędowych [3]), bądź wreszcie czerpał nowe wiadomości z żywego słowa, od osób które uczestniczyły w opisywanych zdarzeniach. Co więcéj,

---

[1]) *De Sigismundi Regis Temporibus*, przy drugiéj edycyi Miechowity z 1521 roku.

[2]) Tak np. opisuje powtórny w 1507 r. zjazd wojsk moskiewskich na Litwę (str. 75), o którym Decyusz zupełnie nie wié.

[3]) W opisie wojny z Bohdanem wojewodą wołoskim, Wapowski mówiąc o powołaniu pospolitego ruszenia, przygotowaniu sił zbrojnych, grożącém niebezpieczeństwie i t. d., dosłownie powtarza ustęp z ówczesnego Uniwersału Królewskiego (*Restes par Universum Regnum t. d. Mss.*). Takich śladów iż korzystał ze źródeł urzędowych znaleźć można więcéj.

jako dowód że Wapowski nie powtarzał bezmyślnie Decyusza, jest i to, że niektóre jego podania, których wiarogodnosci sprawdzić nie mógł, całkiem odrzucał, i tak np. nie przytacza podanych u Decyusza (pag: LXIII) szczegółów, względem wykupna dóbr królewskich i innych dochodów, pozastawianych przez Aleksandra, nie wylicza też za nim summ wypłaconych najemnym żołnierzom; czyni zaś tego rodzaju wyjątki, nie przez zapomnienie lub niedbałość, lecz widocznie niedowierzając podaniom Decyusza, których sprawdzić nie był w stanie, chociaż inne źródła najzupełniéj je potwierdzają. Wszelkie zaś stosunki dyplomatyczne (np. negocyacya względem zamierzonéj wyprawy przeciw Turkom lub sprawy kongresu wiedeńskiego) daleko obszerniéj od Decyusza opisuje. Również pilniejszą zwraca uwagę na ościenne kraje: (str. 73, 84, 85, 93, 104, 105, 113, 124 i t. d.) a w całym ciągu dziejów (a szczególniéj w opisie wojny z Moskwą i stosunków z Tatarami), dorzuca mnóstwo drobnych szczegółów, cyfr i danych, które przesadna zwięzłość Decyusza wykluczyła, lecz które uzupełniając podania tamtego, wyświecają nieraz ważniejsze epizody historyczne. Z tych więc względów i dla tego dziesięciolecia (1506—1516) już opisanego przez Decyusza [1]), kronika Wapowskiego stanowi zawsze ważny i bogaty materyał.

Ostatni wreszcie okres kroniki Wapowskiego (1517—1535) tém większe jeszcze przedstawia dla nas zajęcie, gdyż jest wyłącznie *jedyném* źródłem kronikarskiém owéj epoki, nader przecież bogatéj w fakta przeważnego znaczenia.

Z tego więc cośmy powiedzieli w pobieżnym tym przeglądzie, łatwo da się widzieć wysoka wartość historyczna kroniki Wapowskiego, a publikacya obecna ostatniéj jéj części obejmującéj czasy po-Długoszowe, niezmiernie ważnym jest nabytkiem dla naszéj literatury historycznéj, tém bardziéj iż epoka tu objęta, dotąd opracowaną nie jest na podstawie źródeł, prace nawet przygotowawcze, nader powoli postępują.

Kazimierz Pułaski.

---

[1]) W świeżo wydanéj pracy D-ra Hirschberga *O życiu i pismach Decyusza* (Lwów 1874 r.) w niejednym ustępie zestawione są podania Decyusza i Wapowskiego. Wyczerpująca ta monografia służyć może za wzór innym tego rodzaju pracom.

Literatura Rzeczypospolitéj Chile. Dary Ignacego Domeyki dla Biblioteki publicznéj Uniwersytetu Warszawskiego.

Szanowny ziomek nasz, professor chemii, obecnie rektor uniwersytetu w Sant-Jago, podawany na kandydata do prezydentury w roku 1872, pan Ignacy Domeyko nadesłał do biblioteki publicznéj uniwersytetu tutejszego dar bogaty: 19 dzieł i wydań, z których jasne powziąć możemy wyobrażenie o życiu umysłowém i politycznem jego przybranéj ojczyzny. Zbiór ten jest tak trafnie dobrany, że może w wysokim stopniu zainteresować każdego wykształconego człowieka tém bardziéj, że, jak wiadomo, stosunków literackich i naukowych z Ameryką Południową nie mieliśmy żadnych i że język, w którym publikacye te są napisane, nie przedstawia wielkich trudności dla ludzi obeznanych z innymi językami romańskimi.

Dokładne wiadomości o stanie politycznym i ekonomicznym Chile możemy powziąć z wydań urzędowych, a mianowicie:

1) Posiedzeń zwyczajnych izby deputowanych w 1872 r.

2) Posiedzeń nadzwyczajnych téjże izby w 1872 r. (Sesiones extraordinarias de la Camara de Diputados).

3) Posiedzeń senatu (Sesiones de Senadores en 1872).

4) Praw budżetowych na utrzymanie administracyi publicznéj (Lei de presupuestos de los gastos de la administracion publica en Chile para el anno 1873). Z księgi téj dowiadujemy się, że wszystkie wydatki Rzeczypospolitéj są obliczone na 13,364,450 *pesos* i rozkładają się na pięć ministeryów w stosunku następnym:

Ministeryum spraw wewnętrznych . .	2,918,514	pęsos	46	centav.
„ spraw zagr. i kolonizacyi .	229,323	„	—	„
„ sprawiedl. ośw. i wyznań .	1,978,267	„	15	„
(w téj cyfrze oświecenie 1,092,968—47)				
„ finansów	5,338,779	„	56½	„
„ wojny i marynarki . . .	2,899,566	„	54½	„
Razem .	13,364,450	pesos	72	centavos.

5) Rocznika statystycznego z lat 1870—1871 (Anuario Estadistico de la Republica de Chile. Sant-Jago, 1872 str. 435 in 4-to). Dowiadujemy się ztąd, że ludność całkowita wynosiła w owym czasie 1,938,830; małżeństw zawiera się w stosunku 1:144, umiera 1:40; przestępstw popełniono 2,901, mianowicie: przeciw państwu 203, religii 83, osobom 1084, własności 1,331; rolnictwem trudni się 116,939 osób.

6) Statystyki handlowéj z r. 1871 (Estadistica Comercial de la Republica de Chile. Valparaiso 1872).

7) Memoryału o kolonizacyi (Memoria de Colonizacion 1872, por el ministro del Ramo).

8) Colonizacion de Llanquihue, Valdivia i Arauco, zbiór praw i rozporządzeń, dotyczących tego przedmiotu, ułożony z polecenia rządu przez José Antonio Varas. 1872.

9) Memoryału, złożonego kongresowi przez ministra marynarki.

10) Memoryału o sprawach zagranicznych, złożonego również przez ministra.

Życie umysłowe Chilijczyków odbija się w sprawozdaniach uniwersytetu, w raporcie ministra oświaty i dziełach naukowych.

Do wykładów w Instytucie narodowym używa się dzieło p. t.: *Zasady filozofii umysłu ludzkiego* przez Marin'a (Elementos de la Filosofia del Espiritu humano escriptos por Ventura Marin) wydanie 3cie 1872, str. 453 in 4to. Znaleźliśmy tu treściwy wykład metafizyki, logiki, gramatyki powszechnéj, estetyki, nareszcie wykład etyki pod zmienionemi nieco nazwami, mianowicie: 1) teoryi idei; 2) teoryi stosunków; 3) teoryi znaków w najobszerniejszém pojęciu tego wyrazu (Teoria de los signos: zalicza się tu i muzyka i mimika i malarstwo etc.); 4) teorya uczuć moralnych. Zaznaczając na wstępie fakt zniechęcenia publiczności wykształconéj do filozofii, autor widzi przyczynę tego faktu w subtelnéj terminologii, w niezrozumiałym stylu dzieł filozoficznych. Unikając tego grzechu, autor sam pisze jasno i popularnie. Przy roztrząsaniu każdéj kwestyi, przytacza i krytykuje zdania znakomitych filozofów i kładzie swoje określenie dopiéro po zamknięciu dyskussyi. W niewyczerpanym nigdy sporze dwóch głównych obozów, zbija materyalistów, dowodzi argumentami istnienia Boga, nieśmiertelności duszy, wolności woli, etc., ale zarazem nadaje bardzo wielką wagę obserwacyi i doświadczeniom.

W wykonaniu prawa z dnia 19 listopada 1842 r, M. L. Amunàtegui napisał historyą Chile od wieku XVI, od pierwszych conquistadores aż do ustalenia niepodległéj Rzeczypospolitéj p. t.: *Los Precursores de la independencia de Chile*, Sant-Jago, Imprenta de la Republica; 3 tomy 1870, 1871 i 1872 roku. Autor zastanawia się najprzód nad wygłoszoną przez Buckle'a zasadą praw niezmiennych w historyi i bezsilności woli ludzkiéj w obec potęgi tychże praw. Kilka paragrafów wstępnych mają na celu zwalczenie rzeczonéj zasady i podniesienie indywidualności obywatelskiéj w społeczeństwach historycznych. Żadna może historya nie dostarcza bardziéj przekonywających dowodów, jak amerykańska, dla okazania wpływów człowieka na losy społeczeństw. „Niewątpliwie człowiek nie jest Bogiem na ziemi;“ wszakże zapanować nad wpływami fizycznemi, a nawet historycznemi i społecznemi zawsze jest w stanie. Za przykład stawia jednego z założycieli Rzeczypospolitéj chilijskiéj, Kamila Henriquez. Był to redaktor pierwszéj gazety chilijskiéj, założonéj w 1812 roku p. t. *Aurora*. „Żył i umarł ubogim, bez żadnych funduszów prócz kilku książek, bez żadnych narzędzi potęgi, prócz pióra. Skro-

mnę jego istnienie nie imponowało ani bogactwami ani urokiem władzy.“ A jednak pismo jego przeobrażało do gruntu całe społeczeństwo chilijskie. Zkądże wziął swe idee? Urodził się w miasteczku Valdivia, najbardziéj zacofaném z całego zacofanego podówczas Chile; wychował się w klasztorze w Lima i nosił suknię zakonnika. I oto z klasztoru wyszedł niespodzianie filozof, który podał zasady rządu; pod mniszym kapturem ukrywała się głowa, w któréj wrzały idee myślicieli francuzkich (tom I, str. 12—16). Okazać, jak dalece różném było Chile dawnych czasów od dzisiejszéj Rzeczypospolitéj, chociaż natura i wpływy fizyczne są dziś zupełnie te same co dawniéj: oto myśl naczelna całego dzieła.

W istocie autor przedstawił obraz rządów hiszpańskich, tę cześć głęboką, religijną, jakiéj nie znali Rzymianie dla swoich Cezarów, a jaką każdy Hiszpan chował w sercu dla swoich królów; podejrzliwość i surowość administracyi; usposobienia uprzywilejowanéj szlachty i kleru; postępowanie z Indyanami i niezmiernie długą „najkrwawszą i najbardziéj bohatérską“ wojnę Araukanów z Hiszpanami; stan umysłowy pod pressyą doktorów hiszpańskich, komentatorów kodeksu Alfonsa X (z XIII w.); Las Siete Partidas; opłakany stan ekonomiczny wynikający z nakazów królewskich, aby Chilijczycy sprzedawali swoje produkta i kupowali potrzebne im towary tylko w Hiszpanii lub na okrętach hiszpańskich etc.

Władza królów „Hiszpanii i Indyów“ upadła skutkiem wojen Napoleońskich i osadzenia w Madrycie Józefa Bonaparte. W 1810 roku utworzyła się junta do rządzenia krajem. Nie znaczyło to wszakże niepodległości, junta bowiem wykonywała władzę w imieniu zdetronizowanego Ferdynanda, a cała arystokracya, kreolowie i nawet Indyanie zawsze chowali cześć dla monarchów Burbonów. Na Chilijczyków oddziałał przykład Buenos-Airesu, Wenezueli i Peru. Znakomity ekonomista Salas i publicysta Henriquez w broszurach, które zjednały sobie wielką wziętość, wskazali konieczność zerwania węzłów z metropolią. W Gazecie Aurora, założonéj w 1812 roku, Henriquez podał cały szereg artykułów z prawa politycznego i nareszcie ośmielił się w połowie tegoż roku napisać na czele numeru wyraz: „Niepodległość.“ Wyraz ten nie znalazł bynajmniéj powszechnego uznania. Bardzo liczne stronnictwo rojalistowskie wystąpiło do walki, wojska hiszpańskie przybyły z Peru, ale w końcu stronnictwo republikańskie odniosło stanowczą przewagę.

Autor opiera swą opowieść na źródłach po większéj części urzędowych, częstokroć nieznanych; prostuje téż czasami zdania historyków europejskich np. Gerwinusa. Szkoda tylko, że charakterystyki osób nie są dosyć wydatne.

Don Ignacio Domeyko, el señor Rector del Universidad, napisał dwa nowe dzieła: *Traktat o próbowaniu wszelkich minerałów* (Tratado de Ensayes tanto por la via seca como por la via humeda de toda clase de minerales i pastas de cobre, plomo, plata etc. Sant-Ja-

go de Chile 1873) i *Badanie wód mineralnych w Chile* (Estudio sobre las aguas minerales de Chile. 1871).

Doktor Rodulfo Philippi, professor botaniki i zoologii w Instytucie Narodowym, członek bardzo wielu towarzystw europejskich, zwiedził z polecenia rządu pustynię Atakama, zrobił profile i mappy całéj téj miejscowości, podał dokładne wizerunki roślin i ptaków. Dzieło jego z dołączeniem 29 tablic nosi tytuł: *Viage al desierto de Atacama* (1853—1854) Halle en Sajonia 1860.

W końcu wielce interesującemi są *Raport ministra stanu z wydziału oświecenia publicznego* (Memoria que el ministro del Estado en el departamento de justicia, culto e instrucion publica presenta al congresso nacional 1872), *Roczniki Uniwersytetu* pięć tomów od XXXVIII do XLII (Annales de la Universidad) wraz z osobnym dodatkiem (Apendice de los anales 1871) i *Sprawozdanie rektora Domeyki o pracach uniwersytetu* od 1855 do 1872 roku (Reseña de los trabajos de la Universidad desde 1855 hasta el presente 1872).

Ze sprawozdania ministra widzimy, iż Chile posiada 9 liceów z podziałem nauk na humaniora (humanidad, kurs od 3 do 6 lat) i na matematyczne, których wykład trwa od dwoch do pięciu lat. Trzy licea (de Concepcion, de la Serena i de Copiapo) posiadają jeszcze dwuletnie kursa wyższe a przy wszystkich prawie znajdują się klassy nadkompletowe do wykładu języków angielskiego, francuzkiego etc. Oprócz licęów jest jeszcze Instytut narodowy, w którym wykładają professorowie uniwersytetu, a w ich liczbie kilku przedmiotów z przyrodoznawstwa naucza p. Domeyko. Są téż kursa specyalne np. handlowe, czteroletnie w Valparaiso, prawne i matematyczne w liceum Concepcion. Dwie szkoły pedagogiczne kształcą nauczycieli i nauczycielki (Escuela Nacional de Preceptores i Escuela N. de Preceptoras). Szkoła sztuk pięknych (Escuela Nacional de Artes i Oficios) wysyła po kilku stypendystów do Europy. Szkoła wojskowa (Escuela Militar) kształci oficerów a kilka seminaryów duchownych przygotowuje swych alumnów do służby ołtarza. Dodajmy do tego 445 szkółek niższych męzkich i 261 żeńskich, w których się uczy 40,738 dzieci płci obojga, prócz 10,834 pobierających naukę w zakładach średnich rządowych i 4,124 w 84 zakładach prywatnych, a będziemy mieli wcale budujący obraz działania Chilijczyków na polu oświecenia publicznego.

Sprawozdanie rektora wykazuje, że w roku 1871 uniwersytet udzielił patenta bakalauretu 130 i licencyatu 64 wychowańcom swoim. Wymieniony téż jest liczny poczet prac naukowych we wszystkich działach wiedzy.

Roczniki uniwersytetu składają się ze sprawozdań o stanie uniwersytetu i wszystkich szkół krajowych, oraz ze zbioru artykułów naukowych, wydawanych oddzielnemi tomami. Widzieliśmy tu najwięcéj artykułów prawnych, ekonomicznych, geograficznych, etnograficznych i przyrodniczych. Najsłabiéj, zdaje się jest reprezentowa-

ny dział historyi powszechnéj: w wykazach rektora mieszczą się dzieła traktujące wyłącznie historyą Chile lub Ameryki, a i kurs szkolny w liceach jest wykładany podług dzieła francuzkiego historyka Duruy. Za to prace etnograficzne budzą żywy interes, dotykają bowiem mało znanych nam Indyan i Patagończyków. Czém jednak najbardziéj zaimponować mogą nam Chilijczycy, to swojemi *dwunastoma* obserwatoryami meteorologicznemi i staranném, z całą ścisłością naukową sporządzoném sprawozdaniem w dodatku do Roczników uniwersytetu (Apendice de los Annales str. XXIV i 159 in 4to). A jakiż to błogosławiony klimat w tym kraju! W Valparaiso minimum temperatury stanowi 16 stopni ciepła w lipcu, maksimum dochodzi + 19 w grudniu, w Sant-Jago + 5 do + 19.

Gdy zważymy, że ludność niespełna dwumilionowa chce poświęcać $^1/_{12}$ część budżetu na cele oświaty i nauki, że utrzymuje tyle szkół, że posiada bardzo poważnych uczonych i wcale okazałą produkcyą naukową, przyznać musimy, że bliższe zapoznanię się z tym pięknym, inteligentnym krajem może być dla nas pożyteczném i pouczającém pod wieloma względami. Należy się téż panu Domeyce wdzięczność serdeczna za jego dary szacowne, które nam tyle światła przynoszą. Zkądinąd znowu miłe one czynią wrażenie, dostarczając licznych dowodów wielostronnéj, niezmordowanéj pracy naszego ziomka dla dobra nauki i gościnnéj Rzeczypospolitéj, oraz wysokiego uznania, jakie sobie p. Domeyko na obczyznie zjednał.

T. Korzon.

Odpowiedź na krytykę rozprawy: Wcielenie Inflant. 1558—1561 r.

W tomie II, zeszycie 5-ym Biblioteki Warszawskiéj z miesiąca maja 1874 r. umieszczona była krytyka rozprawy mojéj; „Wcielenie Inflant." Zarzuty które mi czyni krytyk p. Z. K., są tego rodzaju, że widzę się zniewolonym choć kilkoma słowy na nię odpowiedzieć.

Ku największemu zdumieniu memu dowiedziałem się od szanownego krytyka, że jestem „chętnym krzewicielem idei czysto-niemieckiéj." Lecz na czémże opiera krytyk śmiałe swe orzeczenie? Otóż na kilku zdaniach wyjętych z całości, które jak mniema, dowodzą, iż wcielenie Inflant „nie chodziło na podobieństwo następnie przywrócenia do dawnéj swéj jedności ziem pruskich za Kazimierza Jagiellończyka, o wcielenie dzielnicy pobratymczéj, lecz zasiedziałéj od III wieków nad Bałtykiem ongi przez kawalerów mieczowych założonéj „kolonii niemieckiéj," nateraz bez poparcia ojczystéj Germanii, o własnéj sile utrzymać się niezdolnéj.

Tymczasem owe zdania wcale tego nie dowodzą, chyba tylko tego, że krytyk nie rozumiał lub nie chciał rozumieć ich rzeczywistego znaczenia. Np. przytacza następujący ustęp str. 62: *Byłto początek upadku wolności i samodzielności Inflant.* (Tego już zanadto)! dodaje w nawiasie. Lecz czego się tak zżyma? Czyż z toku opowiadania nie wynika, że przez Inflanty rozumieć należy Niemców? Przecież o Łotyszach i Estonach nie może być tu mowy, bo byli oni helotami we własnym kraju, od dawna żadnéj polityczuéj roli niegrający, obojętni na to, pod czyje przejdą panowanie, byleby tylko ich byt materyalny się polepszył. A jeżeli miałem na myśli Niemców inflantskich, czyż nie mogłem śmiało wypowiedzieć, iż przymierze z Polską z r. 1559 było początkiem upadku ich wolności i samodzielności? Tego mi krytyk zaprzeczyć nie może, że byli oni rzęczywiście samodzielni i wolni, boć tego pod § III str. 15—20 dowiodłem. Dziwnym więc wydaje się wykrzyknik: „tego już zanadto."

Czyni mi daléj zarzut krytyk, żem napisał: „*Inflantczycy uczynili ten krok stanowczy z przymusu, bo ich ojczyzna niemiecka opuściła.*" Miałożby niemieckie państwo nie być ojczyzną Niemców, zasiedziałych w Inflantach? Przecież się sami za Niemców uważali, językiem niemieckim mówili, naśladowali instytucye niemieckie. Lub czy z chęcią zawarli przymierze z Polską? Tego zaprzeczają nietylko niemieckie lecz i polskie źródła. Następnie i owo zdanie ma popierać twierdzenie krytyka: *Po drugi raz niemieckie kolonie nie znalazły w Niemczech podpory.* Nie wiem gdzie tu szukać owego popierania idei czysto-niemieckiéj. Przecież wszystkie fakta dowodzą ubiegania się Inflantczyków o pomoc cesarza i rzeszy. Że zaś napisałem *po drugi raz*, czyż przez to odszczepiłem się od idei narodowéj? Miałem tu wprawdzie na myśli poddanie się szlachty i miast pruskich Kazimierzowi Jagiellończykowi, lecz nie skrzywiłem bynajmniéj prawdy historycznéj. Wiadomo bowiem i tego mi krytyk zaprzeczyć nie może, że szlachta i miasta pruskie udawały się w sprawie zatargu z zakonem, do cesarza z prośbą o poparcie słusznych swych żądań, na co tenże listownie odpowiedział, że związek „jaszczurczy" sprzeciwia się boskiéj i ludzkiéj sprawiedliwości, wolności i prawu, a wyrok cesarski z 1-go grudnia 1453 r. potępił zgoła związek. Po czém dopiéro szlachta i miasta pruskie opuszczone od cesarza, bez wahania rzuciły się w ramiona Polski. Z tego powodu napisałem *po drugi raz*, zarzutu więc żadną miarą czynić mi nie można.

„Konkluzya najwalniejsza, pisze krytyk, w duchu nadmienionéj wyżéj propagandy idei obcéj na dobie str. 104: *Dziwna rzecz, że po trzystu latach od owych upadków, Niemcy w Inflantach zwracają wzrok błagalny na ów dom brandeburski* i t. d.

Doprawdy, żaden bezstronny człowiek nie będzie w tém mimowolnie nasuwającém się porównaniu, upatrywał propagandy idei ob-

céj. Napisałem te słowa ze względu na opinią wielu zagorzałych patryotów niemieckich, którzy każdy kraj, gdzie tylko brzmi mowa niemiecka, za swój poczytywać lubią i do swéj niemieckiéj ojczyzny przyłączyćby pragnęli. Żadna *niegodna tendencya*, zapewnić mogę krytyka, piórem mojém nie władała.

Inny zarzut, który mi krytyk czyni, a który także ma popierać jego twierdzenie, jest, że według mnie wcielenie o którém mowa, „wpierw nim Inflanty przez Litwę weszły do jednéj spójni z Rzeczpospolitą, do nabytków wyłącznych Litwy zaliczać się było powinno, czyli do prowincyi dotychczas z nią unią jedynie osobistą i administracyjną złączonéj.“ Na dowód tego zwraca krytyk uwagę, żem Litwę w tytule książki przed Polską położył i przytacza następujący ustęp, str. 61: *Oddał się mistrz wraz z całym podlegającym mu krajem w klientelę i opiekę króla polskiego, z dodatkiem: non derogando Sacri Romani Imperii directo Dominio. W zakład ustępowano królowi całego kraju, który się ciągnie od granic Litwy wzdłuż rzeki Dźwiny do Aszeradu, z wyjątkiem tego grodu z przyległościami, położonych po obydwóch brzegach Dźwiny. Zajmował król oprócz tego zamki... pod tym warunkiem, że Inflantczycy przechodzący pod rząd W. Ks. Litewskiego, pozostaną przy swych prawach i przywilejach.* Wcale tego nie przeczę, żem nie bez myśli położył w tytule Litwę przed Polską, bo tego wymagała sprawiedliwość. Już bowiem w akcie przymierza z r. 1559 powiedziano że „Inflantczycy przechodzący pod rząd W. Ks. Litewskiego (o Polsce nie ma tu mowy) pozostaną przy swych prawach i przywilejach.“ Krytyk zdaje się to wyrażenie poczytywać za mój własny wymysł, tymczasem tak opiewa układ, którego brzmienie tłumaczyłem z Dogiela Cod. dipl. V Doc. CXXXIII, (Obacz także Hylzena: Inflanty pod r. 1559). Mógł się o tém krytyk przekonać, gdyż w przypisku wykazałem źródło z którego czerpałem. Na str. 61 zaś umieściłem następujące słowa Hylzena, którego przecięż krytyk trzymać mi się każe: „Wejrzawszy król w dojrzałość i słuszność tych reflexyi z konwikcyą przełożonych, po długich myślach i namowach z stanami W. X. Litewskiego, postanowił nakoniec własnemi dziedzicznego państwa swego W. X. Litewskiego siłami (ponieważ Polska w wojnę moskiewską wdawać się nie chciała) bronić i zaszczycać Inflanty.“ Powtóre, wyraźnie oświadcza Zygmunt August *w paktach subjectionis:* „Gdyby zaś (czego się nie spodziewamy) stany Królestwa naszego Polskiego na poddanie się to zezwolić i wspólnie z Litwą Inflant bronić nie chciały, naówczas ziemie te inflantskie jedynie do W. Księztwa Litewskiego wcielone i przyłączone pozostaną.“ Z tego wynika, że Litwa wpierw się zgodziła na przyłączenie Inflant niż Polska, późniéj dopiéro akt poddania się potwierdziła Korona. Litwini przedewszystkiém do tego się przyczynili, dlaczegóż więc nie miałem w tytule Litwy przed Polską położyć?

Nigdzie zaś w rozprawie mojéj nie wypowiedziałem że Inflanty stały się *wyłączną własnością Litwy.* Jest to tylko domysł krytyka, opierający się na bardzo błahéj podstawie, bo na tytule rozprawy. Ale nawet sam tytuł, tak jak brzmi: „Wcielenie Inflant" nie upoważnia bynajmniéj krytyka do podobnych wniosków.

Daléj widzi krytyk sprzeczność „pod względem idei przechodzenia pod rząd W. Ks. Litewskiego," w następujących słowach, str. 86: *Więc i Litwini zaczęli uznawać, że trzebaby wspólnemi siłami bronić Inflant, ale Polacy pomni przechwałek litewskich, trzymali się zdala udając, jakoby sprawa inflantska ich się nie tyczyła.* Gdyby krytyk zechciał był spojrzéć na przypisek 273, przekonałby się, że te słowa nie są moje, lecz Saurmanna, świadka naocznego owych wypadków, nie sprzeciwiają się zaś przechodzeniu Inflantczyków pod rząd W. Ks. Litewskiego, gdyż wyrażenie drugie, użyte w dokumencie z r. 1559, relacya zaś Saurmanna z kwietnia 1561 roku.

Twierdzi téż krytyk, że „co do wyosobnienia samodzielnych rządów Litwy nie da się pogodzić i takie tłumaczenie myśli Zygmunta Augusta,str. 108: *Po trzecie, szło Zygmuntowi o to, aby Polacy czynny mieli udział w handlu bałtyckim i wywozili na własnych okrętach towary do obcych krajów, omijając wszelkie pośrednictwo.* Pracował Zygmunt August przez całe życie nad zespoleniem Litwy z Polską, które to narody w gruncie rzeczy aż do unii lubelskiéj 1569 r. tworzyły dwie odrębne całości, o czém że wspominam, krytyk ma mi za złe. Lecz w r. 1560 mógł Zygmunt August przewidywać, że życzenia się jego ziszczą. Mógł zatém spodziewać się, że Polska równie jak Litwa odniesie korzyści handlowe ze wcielenia Inflant. Pośrednictwo zaś, o którém mowa, nie odnosi się bynajmniéj do Litwy, lecz do możnych miast pruskich, jak to z toku opowiadania wynika, czego krytyk zrozumiéć nie chciał, naciągając wszystko ku swemu celowi.

Z lekceważeniem wreszcie odzywa się krytyk o źródłach które miałem pod ręką. Z jakiego powodu? Otóż, że źródła te są przeważnie niemieckie! Szkoda że krytyk nie zechciał sobie zadać więcéj pracy, by bliżéj przypatrzyć się przypiskom. Spostrzegłby bowiem, że nagromadziłem wiele źródeł polskich, na które „nie oglądam się już tylko niechętnie, lecz przeciwnie które cenię wysoko i do nich się z zamiłowaniem odnoszę. Że zaś nie szedłem ślepo za wskazówkami Hylzena, jak sobieby tego krytyk życzył, lecz nieraz przenosiłem wiadomości z piérwszéj ręki, tego mi żaden historyk zganić nie może, gdyż Hylzen, którego dziełu wysokiéj wartości nie odmawiam, czerpał sam ze współczesnych wcielenia Inflant kronikarzy, którzy mi służyli za przewodników. Pomimo to gdzie tylko mogę, przytaczam słowa Hylzena, gdyż dosadne jego wyrażenia trafnie malują sytuacyą. Tego krytyk zauważyć nie chciał, chodzi mu bowiem

koniecznie o udowodnienie mego zamiłowania we wszystkiém co niemieckie. Zarzuty odnoszące się do ostatniego punktu, czynią bez ubliżenia krytykowi, wrażenie, jakoby wcale nie był obeznanym ze źródłami do historyi Inflant.

Wskazuje też krytyk na ustęp z 16 księgi Dziejów Rzeczypospolitéj Moraczewskiego, który przytaczam dlatego, by dać poznać bezzasadność zarzutu krytyka: „Biskupi i krzyżacy ochrzcili te kraje, w rządzie i po miastach zniemczyli, lecz u ludu tak w Estonii, jak w całych Inflantach ocalały języki krajowe Czuchomski i Fotycki, a nawet chrześcijaństwo puściło nie do głębi korzenia, gdyż duchowni niemieccy dumni ze swéj narodowości, mało się zajmowali w niewolę zakutym mieszkańcem wiejskim.“ Pocóż ten wzór? Czyż obszerniéj o tych rzeczach nie mówię na str. 9, 34, 67, 68?

W końcu muszę wynurzyć żal, żem nie miał sposobności dowiedzieć się wcześniéj o pomienionéj krytyce, nie byłbym bowiem zostawił bez natychmiastowéj odpowiedzi zarzutów.

D-r St. Karwowski.

OD REDAKCYI.

W styczniowym zeszycie pisma naszego z r. 1872 ogłoszony został konkurs na dzieło dla dzieci od 10 do 14 lat wieku, z oznaczeniem premium w wysokości rsr. 150.

Z powodu nieosiągnięcia zamierzonego celu, redakcya ogłasza konkurs ponownie, podnosząc premium do rsr. 215 z dodaniem do nich procentów, jakie narosną do czasu przyznania nagrody. Wybór treści pozostawia się w zupełności autorom, którzyby rękopisma swe do konkursu przedstawić chcieli, z zastrzeżeniem tylko, aby dopełnione były warunki przez ofiarodawcę podane, a mianowicie: aby książka, traktując przedmiot z zakresu moralnosci, historyi lub umiejętności, czy to oddzielnie, czy w połączeniu, dążyła do zaszczepiania zasad cnoty, pobudzała duszę do energii i wzbogacała umysł temi wiadomościami, któreby mu do poważnéj myśli wątku dostarczały. Forma opowiadania ma być dla umysłu dzieci pociągającą, bez oschłości w moralizowaniu i definicyach. Co do objętości, to ma zawierać około 10 arkuszy druku. Rękopisma mają być nadsyłane do redakcyi Biblioteki z zachowaniem zwykłych warunków konkursowych, to jest, bez podpisu autora, którego imię, nazwisko i miejsce zamieszkania winny być wymienione w mającéj się dołączyć kopercie. Rękopism uwieńczony nagrodą, pozostanie własnością autora.

Termin składania rękopismów oznacza się na dzień 1 października 1875 roku.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— *Październik, 1874.* Ruch wydawniczy coraz się więcéj ożywia. „Spółka wydawnicza księgarzy warszawskich" po wydaniu już kilku dzieł tłumaczonych, ogłosiła prospekt na dwanaście *odczytów popularnych*, dla rozpowszechnienia wiedzy zarówno z działu nauk przyrodniczych jak historyi i literatury. Taniość tego wydawnictwa zapewnia im powodzenie, tém więcéj przy starannych przekładach. Zapowiedziała nadto pomiędzy ważniejszemi dziełami: F. C. Schlossera „Historyą XVIII i początku XIX wieku" 8 tomów. Dzieła Ignacego Krasickiego; dzieła Klementyny Tańskiéj; wszystkie dzieła dramatyczne Szekspira pod redakcyą J. I. Kraszewskiego. Obok współki księgarzy wystąpiło wydawnictwo S. Czarnowskiego i M. Godlewskiego, którego nakładem wyszły książki: 1) *Popularny wykład o budowie, pożywieniu i pielęgnowaniu ciała ludzkiego*, podług najnowszych źródeł napisał Dr. St. Jerzykowski lekarz w Poznaniu i czł. Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu. Z 20-ma drzeworytami w tekscie (w 8-ce, str. 254); 2) *To i owo, właśnie zaś ani to, ani owo;* czyli 48 powiastek dla pełnoletnich dzieci, przez Bolesława Prusa (w 8-ce, str. 179); 3) *O osadach rolnych i przytułkach rzemieślniczych dla moralnie zaniedbanych dzieci*, przez J. T. Wedemana obrońcę przy senacie (w 8-ce, s. 27; Warszawa, 1874 r.); 4) H. Beecher Stowe: *Moja żona i ja, czyli historya Henryka Hendersona;* przekład Stanisława Ornowskiego (w 8-ce, str. 390).

— Encyklopedyi rolnictwa i wiadomości związek z niém mających wydawanéj pod redakcyą J. T. Lubomirskiego, E. Stawiskiego i S. Przystańskiego, wyszedł z druku zeszyt 23 (tomu II zeszyt 13) i zawiéra następujące artykuły: „Gospodarstwa folwarczne (dokończ.); Gospodarstwa małe." Następujący zeszyt, który już wkrótce wyjdzie na widok publiczny, mieścić w sobie będzie dokończenie tego artykułu mającego za przedmiot opisy gospodarstw włościańskich tak w Królestwie Polskiém, jak i w ościennych prowincyach z licznemi, starannie wykonanemi drzeworytami, przedstawiającemi widoki osad włościańskich w rozmaitych miejscowościach, podług rysunków lub

fotografii zdjętych z natury. Zeszyt ten zamknie tom drugi tego dzieła, zawierający przeszło 1200 str. ścisłego druku.

— Opuściły prassę: „Katechizm większy ułożony przez ks. M. Gorzelańskiego," Warszawa 1874. Katechizm ten jest przeznaczony dla młodzieży od 10 do 14 lat wieku. „Zasady gramatyki języka polskiego." Słoworód. Ułożone przez Ign. Boczylińskiego. Część druga tejże gramatyki obejmująca składnię, znajduje się pod prassą. Skład główny tych dzieł jest w księgarni G. Sennewalda.

— Redakcya Tygodnika Illustrowanego po wydaniu zupełnego zbioru powieści Zygmunta Kaczkowskiego, zapowiada publikacyą wszystkich dzieł Karola Szajnochy, a następnie ogłoszenie prac historycznych ś. p. Juliana Bartoszewicza w kilkunastu tomach.

— W zakładzię typograficznym S. Lewentala rozpoczęło się odbijanie *Albumu Jana Matejki* i zacznie już posunięte zostało. Przepyszna ta publikacya pozostanie pomnikiem rozwoju naszego drzeworytnictwa, a zarazem drogocennym zbiorem wspomnień i zabytków przeszłości. Tekst odpowiedni będzie dołączony. Mozolne i pracowite to wydanie musi wiele zabrać czasu, gdyż każdy rysunek nadzwyczajnéj potrzebuje staranności przy odbijaniu, na czém właśnie całość artystyczna polega. Sądzimy przeto, że wydawca dla spełnienia życzeń wielu prenumeratorów, podzieli przynajmniéj tę publikacyą na dwie części. Tym sposobem piérwsza serya będzie mogła wyjść na Nowy Rok 1875.

— P. Zygmunt Jaroszewski przy wydaniu broszurki p. n. *Wspólki przedsiębierstw rolniczych*, ogłosił prospekt na dzieło: *Gospodarstwo wzorowe*, w trzech tomach, z których piérwszy wyjdzie przed końcem r. b. Układ téj pracy wskazuje, że obejmie wszystkie działy dotyczące tak roli, jak chowu inwentarzy, oraz prowadzenia administracyi i kontroli, urządzenia stosunków dzierżawnych i w ogóle rachunkowości gospodarskiéj. Cena z przesyłką pocztową rsr. 4.

— *Muzeum Świdzińskiego:* pod tym tytułem rozpoczął się w typografii J. Jaworskiego druk, dalszego ciągu dawno, bo od roku 1860 przerwanéj: „Biblioteki Ordynacyi Myszkowskiéj zapisu Konstantego Świdzińskiego", dla braku potrzebnego funduszu. Obecnie znalazł się takowy w summie przeszło 30,000 złp. i „Biblioteka Ordynacyi Krasińskich" przystąpiła do wznowienia zawieszonéj publikacyi. Odtąd wydawnictwo skarbów nagromadzonych przez znakomitego bibliofila będzie nosiło nazwę: *Muzeum Swidzińskiego*. W piérwszym tomie, który się drukuje, objęte będą korrespondencye Jana Karola Chodkiewicza wielkiego hetmana. Bibliotekarz połączonych zbiorów Ordynacyi Krasińskich i Świdzińskiego, Władysław Chomętowski zajmuję się tą pracą. Na czele mieści swoją rozprawę o rękopismach biblioteki Radziwiłłowskiéj w Nieświeżu.

Przypomnieć nam tu należy drogocenny rękopism (autograf) Jana Ostroroga, znajdujący się w tych zbiorach Ordynacyi, który zasługuje ze wszystkich względów na jak najrychlejsze ogłoszenie drukiem; rzuci on bowiem wielkie światło nietylko na dawne gospodarstwo krajowe, ale stanie nam za bogaty materyał do poznania życia domowego naszych praojców.

— Z wydanych dotąd kalendarzy na rok 1875, objętością i treścią jak starannością typograficzną odznaczają się: Józefa Ungra „Kalendarz Illustrowany“ z wielu pięknemi drzeworytami i „Kalendarz gospodarski dla kobiét“ ułożony staraniem redakcyi „Przeglądu Tygodniowego.“ Stanowi on grubą książkę, ozdobioną drzeworytami i obejmuje treść obszernych działów: 1) Wychowawczy; 2) Medycynę domową i hygienę; 3) Gospodarstwo kobiéce wiejskie; 4) Gospodarstwo domowe; 5) Bibliotekę kobiécą; 6) Dział informacyjny.

— W Kaliszu, nakładem miejscowego księgarza Alfonsa Hurtiga, wyszedł *Noworocznik Kaliski*, pod redakcyą Zygmunta Zanożyńskiego (w 8-ce, str. 145). Oprócz kalendarza zwyczajnego, wiadomości statystycznych dotyczących gubernii kaliskiéj, władz i urzędników, jarmarków i ogłoszeń, najobszerniejszy dział zajmuje część literacka tak prozą, jak wierszem.

— Akademia umiejętności w Krakowie, z początkiem października r. b. rozpoczęła na nowo prace swoje. Dnia 2 t. m. odbyło się posiedzenie wydziału filologicznego, na niém Dr. K. Estreicher bibliotekarz Uniwersytetu Jagiellońskiego odczytał wyjątek z nadesłanéj ze Lwowa pracy A. Bielowskiego p. n. Szymon Szymonowicz, podający wiele zajmujących, a dotychczas nieznanych szczegółów o życiu tego poety. Dnia 9 miało miejsce posiedzenie komisyi do *historyi sztuki*, pod przewodnictwem Lucyana Siemieńskiego. Władysław Łuszczkiewicz professor malarstwa w szkole sztuk pięknych krakowskiéj, oraz Maryan Sokołowski wyprawieni do W. Ks. Pozn. kosztem akademii, w celu zbadania pozostałych zabytków sztuki przedgotyckiéj t. j. romańskiéj w tych ziemiach, które były piérwotném gniazdem narodu polskiego i jego początkowéj cywilizacyi, złożyli z téj wycieczki zajmujące sprawozdanie. Nie mogli naukowo i krytycznie dokonanych ostatecznie studyów zredagować, gdyż na to potrzeba będzie przynajmniéj całorocznéj pracy; ograniczyć się więc byli zmuszeni na przedstawieniu jedynie kierunku ich podróży i wyszczególnieniu miejscowości, które zwiedzili. Scharakteryzowawszy w ogóle metodę, któréj używali w pracach swoich, wspomnieli że piérwszą stacyą w ich podróży był Wrocław, bo pragnęli zbadać w jakim stosunku są budowy ceglane gotyckie (tak zw. nadbaltyc.) z zabytkami Krakowa. Znaleźli tu wielką pomoc ze strony p. Albina Schutze'go, professora archeologii w Uniwersytecie Wrocławskim. Następnie ze starego Szlązka zwiedzili w W. Ks. Poznańskiém po wsiach i miastach wszelkie zabytki przeszłości, które miały jakiekolwiek cechy wartości dla obrazu cywilizacyi narodowéj. Ze ścisłością naukową badając, zdejmowali rysunki, robili pomiary i opisy nietylko tych za-

bytków, ale i miejscowości wkoło otaczającéj: gdzie zaszła potrzeba użyto rydla, aby dojść do fundamentów a więc planu całéj budowli. Przytém zabrali się do pamiątek rzeźby i malarstwa, do sprzętów kościelnych i świeckich. Ośm tablic jest zupełnie gotowych i tekst do nich wykończony. Zamykając swoje sprawozdanie nie mogli zataić gorącéj wdzięczności dla obywateli ziemi poznańskiéj, za przyjęcie jakie doznawali w ich domach gościnnych i serdeczną pomoc w poszukiwaniach naukowych.

Dnia 10 października wydział historyczno-filozoficzny pod przewodnictwem Józefa Kremera odbył posiedzenie, na którém Dr. Konstanty Hoszowski b. senator Rzeczypospolitéj krakowskiéj, czytał w dalszym ciągu w obszernych ramach monografią: „O mieszkaniach prymasów, biskupów, prałatów i kanoników krakowskich.“ Przedmiot na pozór zdający się suchy i monotonny, umiał autor tak ożywić nieprzygasłą tradycyą, że wszyscy słuchali z wielkiém zajęciem. Martwe mury, opromienione tylu znakomitemi postaciami, przemawiają wymownym głosem z zapadłéj przeszłości.

— Oprócz prac akademii umiejętności, w ostatnim kwartale r. b. zacznie wychodzić w Krakowie nakładem księgarza p. Otremby, pismo miesięczne p. n. *Przegląd krytyczny*. Pismo to zawierać będzie stosownie do swéj nazwy: Przegląd krytytyczny całéj literatury polskiéj, a zarazem literatury obcéj o tyle, o ile taż w pewnym z naszą zostaje związku; obejmie nietylko książki, ale i rozprawy po czasopismach rozrzucone, a większą posiadające doniosłość; zajmie się przedewszystkiém literaturą umiejętną, ale obok tejże i belletrystyczną w działach: 1) Teologia i historya Kościoła; 2) Filozofia; 3) Pedagogią, pisma dla ludu i dla dzieci; 4) Historya i nauki jéj pomocnicze, geografia i etnografia; 5) Archeologia i sztuka; 6) Prawo; 7) Nauki społeczne; 8) Rolnictwo i leśnictwo; 9) Technika, handel i przemysł; 10) Matematyka i fizyka; 11) Nauki przyrodnicze; 12) Nauki lekarskie; 13) Językoznawstwo i historya literatury; 14) Powieści i poezye; 15) Bibliografia i rozmaitości. Dalsze rozszerzenię programu jest rzeczą uznania, jakie Przegląd otrzyma. Oprócz części krytycznéj podawać będzie Przegląd wiadomości literacko-bibliograficzne, inseraty księgarskie, a począwszy od r. 1875 treść czasopism. Piérwsze trzy numera z r. 1874 obejmą ważniejsze objawy piśmiennictwa całego roku 1874, późniejsze postępować będą równolegle z rozwojem piśmiennictwa.

— Ministeryum oświecenia w Wiedniu, buduje wspaniałą pracownię dla Matejki w szkole krakowskiéj sztuk pieknych. Obraca na ten cel największą salę, wysoką, daje oświecenie z góry szkłem grubém, matowém, a po bokach wielkie okna, które wedle potrzeby mistrza będą mogły być otwierane, to zamykane okiennicami.

— Genialny rzeźbiarz Wit Stwosz, którego postać odtworzył pędzlem Matejko, a Wincenty Pol poematem, wyprowadzony został i na scenę. Tygodnik Illustrowany w oddzielnych arkuszach forma-

tu książki, jako dodatek dołączył już piérwszy arkusz dramatu w pięciu aktach p. n. *Wit Stwosz*, napisanego przez Wincentego Rapackiego artystę dramatycznego teatrów warszawskich, o którym pisma czasowe z wielkiemi odzywały się pochwałami. Należy nam z tego powodu przypomnieć o utworach dramatycznych, które poprzedzają pracę p. Rapackiego. W r. 1852 Fryderyk Wagner w dziele wydaném w Norymberdze: *Scenen aus Nürnbergs alter Künstlerwelt:* zamieścił sceniczny utwór z życia Stwosza, treścią podobny nieco do poematu Pola; nie zaleca się on wartością artystyczną. W r. 1866 we Lwowie p. Władysław Wędrychowski wydał u F. Poremby dramat w 4-ch aktach z epilogiem p. n. *Wit Stwosz*. Jest to prosta przeróbka Pola; pokrajany poemat na sceny. W r. 1863 ukazał się na teatrach niemieckich dramat z tymże tytułem *J. Priema*, o którym krytyka miejscowa z uwielbieniem się wyraziła. Dramat ten grano w Norymberdze kilkadziesiąt razy, ztąd przeszedł i inne niemieckie sceny. Utwór p. Rapackiego ma być wkrótce przedstawiony w Teatrze Wielkim

— W W. Ks. Poznańskiém we wsi Rogowo własności p. Korytowskiego, przy kopaniu torfu zrobiono ciekawe odkrycie; dokopano się zapadłego boru. W głębokości 20 stóp, torfiarka uderzyła o przedmiot twardy, rozpoczęto dokopywać się tego przedmiotu i znaleziono pień drzewa około 60 stóp długi. Przypatrzywszy się mu bliżéj, poznano, że to dębina. Kopano wciąż daléj i znaleziono mnóstwo zapadłych drzew; dotychczas wydobyto do 151 pni dębowych. Niektóre z nich przeszło 80 stóp długie, w średnicy mają 3—4 stopy. Drzewo dębowe dobrze się zachowało, mocno zczerniało. Są tam i inne rodzaje drzewa, które przecież nie da się już użyć.

Z powodu tego odkrycia w „*Kreuz Ztng*“ pisze oficer, który służył dawniéj w Poznaniu, że w r. 1856 dając nurka przy kąpieli w rzeczce Cybinie tuż pod Poznaniem, znalazł na spodzie pnie, z których następnie przy pomocy żołnierzy, urządziwszy na dwóch łódkach rodzaj windy, wydźwignął 50 dębów długości 20 do 25 metrów i przeszło 1 metra średnicy. Pnie były pozbawione mniejszych gałęzi. które niezawodnie odpadły; były czarne, a po oschnięciu fijoletowe. Przy obsychaniu popękały tak, że na drzewo porządkowe nie można było ich użyć, a tak stwardniały, że siekierą nie było można ich rozszczepić, aż dopiéro poprzerzynawszy piłą na drobne kawałki. Znajdował téż ów oficer szkielety łbów końskich, rogi jelenie i inne kości, które na powietrzu się rozpadały. W r. 1859 przedsiębrał nowe próby wydobywania drzewa, ale bez skutku, bo zagłębione w piasku pnie trudno było opasać łańcuchem.

— W Brodach od czasu wydania w ozdobnéj edycyi poematu dramatycznego Aleksandra Grozy: *Twardowski*, wychodzi coraz więcéj książek polskich. Obecnie z drukarni tamtejszéj J. Rosenheima wychodzi dzieło p. n. *Słówko o myśliwie;* nakładem tejże drukarni

zaczęła wychodzić: *Biblioteka dla młodzieży*, którą organa lwowskie wychwalają.

— Antoni Szneider, autor *Encyklopedyi do krajoznawstwa Galicyi*, ułożył bardzo ważną dla nauki historyi krajowéj, *Mappę archeologiczną Galicyi*, przedstawiającą tę prowincyę w obrazie historycznym, sięgającym najdawniejszych czasów. Obok mogił i kurhanów, oraz cmentarzysk przedchrześciańskich, oznaczonych właściwemi znakami na mappie, rozpościerających się w licznych szeregach nad rzekami: Dniestrem, Prutem, dwiema Lipami, Koropcem, Seretem, Gnieznią, Zbruczem, Bugiem, Sanem, Dunajcem i Wisłą, widzimy na niéj również licznie oznaczone miejsca (w których dotychczas odkrywano i odgrzebywano różne starożytności), znakami uwydatniającemi trzy epoki archeologiczne, t. j.: kamienną, bronzową i żelazną, oraz wykopaliska pochodzące z czasów chrześciańskich, do czasów napadów tatarskich i tureckich należące. Daléj idą dawne okopy, wały, grodziska, zamczyska, ruiny zamków istniejące, zamki dotąd zamieszkane, klasztory, ruiny klasztorów i kościołów, starożytne kościoły i cerkwie; dawne pąty (?) ludów po ziemi galicyjskiéj, ich siedliska pozostałe w nazwach miejscowości i okolic, wyjęte z dawnych pamiętników i dokumentów; miejscowości dziś zaginione, skały i pieczary w nich, oraz miejsca, gdzie były budowle nawodne (stołpiny); nazwy mitologiczne i inne, pochodzące z dawnego życia ludów pogańskich na téj ziemi; miejsca ważnych wypadków, oraz sławne tradycyami ludowemi; miejsca sławne z bitew i innych wypadków historycznych. W ogóle jest tu przedstawione wszystko, czegokolwiek badacz historyi Galicyi potrzebuje. Pracę tę przedstawiono na 11-u tablicach. Pan Szneider przygotowuje także skorowidz abecadłowy wszystkich znajdujących się na téj mappie nazw, z tekstem objaśniającym, a nawet zbiera potrzebne do tych objaśnień illustracye, mianowicie wizerunki wykopalisk, ruin, okopów, skał, pieczar i t. d.

— Hr. Engeström członek Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, które na kongresie archeologicznym w Sztokholmie reprezentował, współpracownik naszego pisma, na osobném posłuchaniu doręczył królowi szwedzkiemu Oskarowi II, w imieniu pomienionego Towarzystwa *Album*, medal i dzieło: *Życie Kopernika*. Król uprzejmie dar przyjął i wyraził podziękowanie dla Towarzystwa.

— Cenny zabytek odkryto niedawno przypadkowo w archiwach ministeryum wojny w Sztokholmie. Jest to rękopism dzieła napisanego na rozkaz króla Karola XII, a zawierającego szczegółowe i dokładne opisanie zwycięztw oręża szwedzkiego za granicą. Dzieło składa się z 20-tu tomów i zawiera przeszło 200 kartonów z rysunkami i kopijami licznych flag i sztandarów, które zdobyte zostały przez Szwedów do r. 1697 t. j. do Karola XII w bitwach i oblężeniach. Cztery tysiące takich zwycięzkich odznak znajduje się w sławnym kościele Riddarholen. Nie potrzebujemy dodawać, że w nim znajdzie się bogaty materyał i do dziejów naszych.

— Zbiorowy *Podręcznik prawa karnego niemieckiego* pod redakcyą *D-ra Holtzendorffa* w trzech tomach (Handbuch des deutschen Strafrechts in Einzelbeträgen von Dambach, Dochow, Engelmann u. A. Berlin, Lüderitz). Jest to dzieło zbudowane podług niepraktykowanego dotychczas planu; każdy dział nauki karnéj, każdy rodzaj przestępstwa jest opracowany przez specyalistę: tym sposobem „Podręcznik“ składa się z mnóstwa monografii. Jak zwykle w takich wydaniach zbiorowych bywa, niektóre ustępy są napisane znakomicie, inne miernie, inne nawet licho; niepodobna było utrzymać ani jedności zasadniczego poglądu, ani proporcyonalności w układzie pojedyńczych części.

— P. *Turner* bronił w Strasburgu rozprawy na stopień doktora p. t. *Prawo familijne słowiańskie* (Slawisches Familienrecht. Strassburg Trübner); w rozprawie téj powołuje się na źródła rossyjskie, polskie, serbskie, czeskie i... litewskie.

— Dyrektor poczt w cesarstwie niemieckiém *D-r Stephan* ogłosił drukiem odczytaną dawniéj w Verein'ie Naukowym bardzo interesującą mowę p. t. *Weltpost u. Luftschiffahrt* (Berlin, I. Springer), w któréj rozważa rozmaite przypuszczenia co do podróży powietrznych. Pomiędzy innemi wykazuje niemożebność projektów latania na skrzydłach, gdyż dla podniesienia człowieka w górę potrzeba byłoby skrzydeł obejmujących 12—15,000 stóp kwadratowych w płaszczyznie. Wszystkie więc kombinacye mogą się kierować tylko do wynalezienia machiny, któraby mogła pokonać siłę prądów powietrznych.

— Przed 25 laty *Georg Waitz*, jeden z najznakomitszych historyków niemieckich szkoły Ranke'go, urządził w Getyndze ćwiczenia praktyczne z historyi, przeważnie na kronikach średniowiecznych niemieckich (historische Uebungen). W dniu 1 sierpnia r. b. liczni uczniowie, zajmujący obecnie katedry w rozmaitych uniwersytetach, zjechali do Getyngi dla uczczenia zasłużonego mistrza obchodem jubileuszowym. Składali mu dank zgodny, oprócz historyków, przedstawiciele wydziałów: teologicznego i prawnego, wykazując pożytki odniesione z metody krytyczno-historycznéj, którą Waitz tak skutecznie za pomocą „ćwiczeń“ swoich upowszechnił. W obchodzie tym brał udział i professor tutejszego uniwersytetu p. A. Pawiński.

— *Bastian*, znany etnograf zwiedził brzeg Loango w Afryce, około którego mieszkają najdziwniejsze i najmniéj znane plemiona murzyńskię. Dla dokładnego zbadania téj niezmiernie rozmaitéj ludności wyruszyła wyprawa geograficzna niemiecka. Tymczasem p. Bastian ogłosił osobiste swoje spostrzeżenia i znaczny zbiór wiadomości dawniejszych ze źródeł przeważnie portugalskich p. t. *Die deutsche Expedizion an der Loangoküste*. Jena, Costenoble.

— Jako curiosum notujemy monografią *Stahr'a* o Tyberyuszu (Tiberius Leben, Regierung u. Character, Berlin, Guttentag. 2-te Aufl.),

która ma na celu przekonać czytelnika, że cezar Tyberyusz był mądrym, zacnym, szlachetnym człowiekiem, a Tacyt potwarcą.

— *Thomas Nicolas* w świetnie napisanéj książce, która w krótkim czasie doczekała 4-go wydania, dowodzi że Anglicy są narodem przeważnie celtyckim, nie zaś niemieckim, że „spora, prawdopodobnie większa część narodu, ma krew celtycką w żyłach.“ Wykazuje też mylność powszechnie przyjętego mniemania, jakoby plemiona celtyckie, uchodząc przed orężem Duńczyków i Normandów, znalazły bezpieczne schronienie tylko w górach Wallii i Kornwallii, w X bowiem wieku byli tak liczni i silni w saméj Anglii, że mogli obierać sobie króla Edwarda za pana.

— F. *Lichtenberger*, dawniéj professor uniwersytetu strasburgskiego wydał trzytomową *Historyą pojęć religijnych* w Niemczech od połowy wieku XVIII do naszych czasów (Histoire des idées religieuses en Allemagne depuis le milieu du XVIII s. etc. Paris, Sandoz et Fischbacher). Autor jest protestantem, pastorem, przeprowadził głębokie studya nad literaturą teologiczną Niemiec, ale z ducha jest Francuzem. Po wcieleniu Alzacyi do Prus wystąpił nawet w 1871 r. z kazaniem w kościele ś. Mikołaja w Strasburgu „O żałobie Alzacyi,“ które ściągnęło nań prześladowanie ze strony władz pruskich i zmusiło go przenieść się do Paryża. To zbratanie się duchowe z Francuzami użyczyło mu też i zalet intelligencyi francuzkiéj: świetności stylu, jasności wykładu, obok wysokich przymiotów naukowych.

— Wyszedł I tom ogromnego wydawnictwa obliczonego na 20 tomów i poświęconego wyłącznie badaniu reformacyi w Hiszpanii w ciągu XVI i XVII wieku z dodaniem wiadomości o reformatorach dawniejszych: *Bibliotheca Wiffeniana. Spanish reformers of two centuries* from 1520. Their livings and writings etc. Strasburg a. London. Pozostałe po Ben. Wiffenie bogate materyały redaguje i wydaje Edward Böhmer. Pomiędzy innemi są tu ważne biografie Juan'a i Alfonsa de Valdes oraz Juan'a Diaz. Ponieważ ten ustęp Historyi Powszechnéj należy do najmniéj badanych i znanych, przeto „Biblioteka Wiffena“ rzucić może wiele światła na okres reformacyjny.

† Dnia 19 września r. b. w Reinchenhall zakończył życie ***Maksymilian Gierymski,*** jeden z najznakomitszych naszych malarzy. Od lat kilku stale osiadł w Monachium, cieszył się za granicą niezmiernem a zasłużonem uznaniem. Zgasł w kwiecie wieku, bo zaczynał dopiéro rok 28. Urodził się w r. 1846 w Warszawie, tu skończył szkoły i dalsze wykształcenie rozpoczął „w Głównéj Szkole," którą dla sztuki porzuciwszy w r. 1868 udał się do Monachium i tam dał się świetnie poznać ze swego talentu. Strata to wielka i bolesna dla krajowego malarstwa. Niemcy dobrze umieli ocenić talent młodego malarza. Akademia Sztuk Pięknych w Berlinie, po Matejce wybrała na zwyczajnego członka zmarłego Gierymskiego.

Dnia 16 października r. b. zakończył życie w Warszawie ***Daniel Neufeld,*** żyd polski, b. redaktor „Jutrzenki" pisma poświęconego sprawom starozakonnych w kraju naszym. Całe życie swoje poświęcił na wpajanie i utrwalenie w swych współwyznawcach zasad postępowych. Był autorem wielu prac literackich, na czele których należy postawić przekład *Pięcioksięgu Mojżesza* na język polski z przedmową.

OD REDAKCYI.

P. Bolesławowi Micińskiemu we wsi *Mokra:* zeszyt Biblioteki sierpniowy wysłany został d. 12 sierpnia r. b.; należy więc upomnieć się o niego u najbliższego urzędu pocztowego i jeżeli zatraconym został, donieść redakcyi, a wtedy niebawem nowy przesłanym zostanie.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki.**

Wydawca *Józef Berger.*

W drukarni J. Bergera, w Warszawie przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 619.
Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Октября 1874 г.

BRÜHL.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM II.

(Dokończenie).

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.

X.

Jeżeli co może w człowieku obudzić najwyższą wzgardę dla plemienia ludzkiego, to widok zmiany nagłéj, jaką wywołuje ruina i upadek, przed chwilą jeszcze bałwochwalczo czczonego ulubieńca losu.

Jest w tém coś tak nikczemnego, tak upadlającego, iż serce wzdryga się na to; ale w takich tylko razach człowiek poznaje świat i wyprobowuje swych współbraci. Kto nie przeszedł przez podobne przesilenie sam, nie odczuł tego co ono budzi w sercu, nie pojmie jaką goryczą zapływa.

Sułkowski który od dzieciństwa był przy królewiczu i nawykł uważać się za przyjaciela, który nie przypuszczał nawet ażeby coś podobnego jemu się trafić miało, znosił swą dolę z dumą chłodną; lecz nie mógł się powstrzymać od najwyższéj

REDAKCYA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ

pogardy, jaką w nim już obejście się dwóch królewskich posłów wzbudziło.

Wysłał natychmiast po Ludovicego. Radzca był mu winien wszystko, był mu do ostatniéj chwili wiernym; lecz... obawa o los, o miejsce, o stanowisko sprawiły że teraz już na zawołanie nie przybył, wymawiając się zajęciem urzędowém.

— Wypadnie więc—rzekł zimno hrabia—ażebym ja poszedł do niego z wizytą, choćby dla odebrania papierów, jeśli te nie są już w ręku Brühla, i jeśli niemi nie okupił przebaczenia.

Wybrawszy popołudniową godzinę, hrabia tegoż dnia udał się na zamek. Pochód ten był prawdziwą drogą krzyżową.

W mieście już od dwóch godzin wiedziano o upadku Sułkowskiego; chociaż jedną chyba dumą tylko mógł zawinić względem podwładnych i nikomu nic złego nie uczynił, a dla wielu był aż nadto dobrym, wszyscy się czuli w obowiązku okazywać mu, jak się radowali niepomiernie z jego upadku.

Przechodził około kancelaryi Brühla; zobaczyli go pisarkowie przez okno: cała zgraja ich z piórami za uchem, z rękami w kieszeniach, ze śmiechem na ustach, wybiegła na ganek, w ulicę, żeby się wczorajszemu władzcy, a dziś skazanemu winowajcy przypatrzéć.

Sułkowski słyszał i widział co się wkoło działo, ale miał tyle mocy nad sobą że się ani obejrzał, ani dał poznać iż coś widzi i czuje. Przeszedł wolnym krokiem i pominął ich, choć długo szyderstwa i wykrzyki dochodziły jego uszów.

Po drodze co krok spotykał kogoś z tych co wczoraj mu się najuniżeniéj kłaniali, a dziś udawali że go nie widzą, lub wpatrywali się natrętnie nie zdejmując kapelusza, ażeby okazać iż sobie drwią z niego.

Mijały go powozy, z których ciekawe wychylały się głowy i ścigały go oczyma. Na zamku, wnijście nieboszczyka nie uczyniłoby było pewnie większego wrażenia: szepty, cofania się, śmiechy, lub usuwanie się z drogi witały go wszędzie.

Nieśmiano mu drzwi zamknąć, ale służba nawet nie ustępowała idącemu. Przy tych usposobieniach trudno się było do kogo odezwać, nie było kogo zapytać.

Sułkowski cofnąłby się był może i nie postał tu więcéj, ale chciał i postanowił raz jeszcze króla zobaczyć.

Wiedząc godziny łatwo mu było obrachować, iż król nawykły do bardzo regularnego życia, przechodzić będzie przez garderobę, idąc do królowéj. Tu szczęściem nie było nikogo. Wprawdzie służba mogła oznajmić N. Panu i przestrzedz o nim, lecz ważył się już na wszystko.

Przez kilkanaście minut, ów mocarz co niedawno trząsł całym dworem i królem, pozostał sam, w kątku rozmyślając nad tém jakie los mu zgotował koleje. Zadumał się tak, gdy drzwi się otworzyły; król nie patrząc i nie widząc go wszedł z szambelanem, a gdy Sułkowski nagle przypadłszy do nóg mu się rzucił, chciał przerażony cofnąć się nazad.

Hrabia za nogi go pochwycił.

— N. Panie—zawołał—niegodzi się abyś sługę twego niewysłuchawszy odpędzał. Od dzieciństwa miałem szczęście wiernie sprawować me obowiązki przy osobie W. Kr. Mości.

Na twarzy króla zbladłego odmalowało się jak największe pomieszanie i trwoga. Głosem przerywanym zawołał:

— Sułkowski... ja nie mogę... idź... ja nie chcę słyszéć nic...

— Na Boga W. Kr. Mość zaklinam—podchwycił hrabia —nie domagam się nic oprócz tego abym czysty odszedł, bo się nim czuję i jestem w sumieniu. Racz W. Kr. Mość przypomnieć lata które przebyłem u jego boku, czym kiedy zawinił, czym się przeniewierzył, czym się zapomniał i przekroczył przeciw winnemu poszanowaniu....

Są ludzie którzy mnie chcą usunąć, aby oko pilne strzegące ich czynności, czuwać nie mogło; chcą mnie oddalić dlatego żem wierny. Królu...

Podniósł oczy, August swoje drżącemi rękami zasłaniał i niecierpliwie nogami tupał powtarzając:

— Nie chcę nic słyszéć...

— Ja się chcę tylko usprawiedliwić.

— Dosyć—zawołał król—mam najmocniejsze postanowienie rozstać się z wami: to się już zmienić nie może. Ani wam, ani rodzinie waszéj, ani nikomu nic się złego nie stanie... bądź spokojny, ale idź, idź, idź!!

Król mówił to tak gwałtownie i z takim przestrachem, jakby się obawiał aby kto nie nadszedł na tę scenę, lub żeby łzy go nie zmiękczyły.

— N. Panie!—krzyknął w rozpaczy hrabia porywając się z ziemi—nie chcę nic, ale niechże mi choć wolno będzie za doświadczone od W. Kr. Mości, łaski i dobrodziejstwa złożyć ostatni raz dzięki; o ostatnią łaskę proszę: niech królewską rękę, któréj winienem tyle, ucałuję.

Królowi także na łzy się prawie zbierało, ale miał za sobą szambelana, świadka i szpiega zarazem; wyciągnął więc rękę drżącą, którą hrabia pochwycił okrywając pocałunkami.

— Królu mój!—zawołał—i tażto ręka mnie dziś odpycha niewinnego! Niewinnego powtarzam, bom chyba zbytkiem miłości dla W. Kr. Mości mógł zgrzeszyć.

Niepokój i trwoga w królu rosły widocznie.

— Dosyć!—krzyknął—ja was słuchać nie mogę, nie chcę, i rozkazuję odejść.

Sułkowski zmilczał już, skłonił się i odstąpił. August pominął go i rzucił się co żywiéj do drzwi ku pokojom królowéj wiodącym, które się zaraz za nim zamknęły.

Hrabia potrzebował chwili aby zebrać myśli i siły, sparł się o mur, ręką ucisnął czoło, pozostał tak jakiś czas i miał już odejść, gdy nadchodzący szambelan w sposób najnieprzyzwoitszy oznajmił mu ażeby dłużéj tu nie bawił.

— N. Pan rozkazuje panu przezemnie natychmiast zamek opuścić, i nie pokazywać się więcéj na dworze. Wolą jest N. Pana abyś pan zamieszkał w Uebigau.

Sułkowski spójrzał dumnie, nic nie odpowiedział i wyszedł.

Wrzało w nim wszystko, umiał się jednak pohamować; ostatni wysiłek nadaremny był zrobiony: nie pozostawało nic nad wypicie tego kielicha bez wzdrygnienia. Chęć jakiéjś pomsty odzywała się w sercu, ale ją umiał przytłumić; wiedział że onaby raczéj nieprzyjaciołom posłużyła niż jemu.

Powrócił do domu, aby rozchorowaną żonę uspokoić i zapewnić że się niczego lękać nie mają.

Wygnanie do Uebigau pod samém Dreznem, dozwalało się spodziewać i spotkania z królem i może wytłumaczenia. Chciał

więc w pierwszéj chwili Sułkowski zająć pałacyk mu przeznaczony, ale żona słyszéć i mówić o tém nie dozwoliła.

— Brühl się tém nie ograniczy, będziemy w jego rękach! Znajdzie powód do nowego prześladowania, jedźmy natychmiast, uciekajmy z przeklętéj Saxonii. Do Polski, do Wiednia, gdzie chcesz, byle nie tu!!

Przez cały ten wieczór około domu Sułkowskich widać było krążących ludzi, kupki stojące ciekawych przypatrujące się oknom, śledzące życia, pragnące widzieć i nasycać się drganiem ofiary. Sułkowski chwilami z za firanek niewidzialny, stawał i nawzajem wpatrywał się w tę tłuszczę nikczemną, ze wzgardą i oburzeniem. W ciągu wieczora nie ukazał się nikt, nie przyszedł, nie odezwał. Na dole tylko kamerdynerowi oddano urzędowy papier, którym J. Kr. Mość uwalniał hr. Sułkowskiego od sprawowania obowiązków ministra spraw zewnętrznych, wielkiego podkomorzego dworu i wielkiego koniuszego.

Papier ten rzucił hrabia na stół nie mówiąc słowa.

Tegoż wieczoru po powrocie z zamku, było przyjęcie u Brühla. Nim się goście zjechali, minister wyszedł do sali, aby być gotowym na ich przyjęcie. Twarz jego zdradzała poruszenie wielkie i niepokój, znużony był po ciężkiéj walce. Rzucił się właśnie na fotel, gdy z przeciwnéj strony weszła pani Brühlowa.

Nim ją zobaczył zatopiony będąc w myślach, miała mu się czas przypatrzéć. Z szyderskim nieco wyrazem poglądała na niego.

Postrzegł ją nareszcie i wstał.

— Powinnam powinszować panu—odezwała się—jesteś jedynym panem sytuacyi, królem Saxonii i Polski; Hennicke namiestnikiem, Los, Stammer i Globig wice-królami! nieprawdaż?

— A pani królową—rzekł uśmiechając się Brühl—*a double titre!*

— Tak jest—rozśmiała się Brühlowa—i zaczynam się oswajać z mym stanem, znajdując że jest wcale znośnym.

Ruszyła ramionami.

— Byle to dłużéj trwać mogło niż królestwo Sułkowskiego. Zapomniałam—śmiejąc się szepnęła—że waćpan rozumnie

bardzo oparłeś swój tron na ramionach kobiét. Królowa, ja, która jestem drugą, Moszyńska i pani Sternberg, to coś znaczy; nie licząc Albuzzi, bo ta jest nadliczbową.

— Pani sama jesteś temu winną, iż muszę obcéj pomocy szukać i serc poza domem.

— A! serc! serc!—przerwała Brühlowa—ani pan ani ja o sercach mówić nie mamy prawa. Mamy fantazye nie serca, mamy zmysły nie uczucia, ale... tak lepiéj.

Odwróciła się od niego.

— Jedno słowo—odezwał się Brühl podchodząc za nią—jedno ciche słowo; późniéj przyjdą goście i nie będę miał szczęścia rozmówić się z panią.

— To słowo?

Brühl się prawie do ucha przybliżył:—pani się kompromitujesz!

— Naprzykład?

— Ta młodzież z mojéj kancelaryi...

Brühlowa zarumieniła się, minkę nastroiła dumną i gniewną.

— Mam moje fantazye!—rzekła—a nikt mi ich zabronić nie może. Proszę się do nich nie mieszać, jak ja się nie wdaję w to co pan minister robi. Bardzo proszę!

— Pani!

Na te słowa, które zdawały się małą małżeńską sprzeczkę rozpoczynać, weszła hrabina Moszyńska, ożywiona, promieniejąca. Zbliżyła się do Brühlowéj podając jéj rękę i zawołała głośno.

— A zatem zwycięztwo! *sur toute la ligue!* W mieście całém nie mówią tylko o tém: dziwują się, drżą...

— Cieszą—dodał Brühl.

— No, nie wiem doprawdy—przerwała Moszyńska—ale nam na tém dosyć że my się cieszymy z upadku tego prokonsula. Jesteśmy przecie raz *en famille*, i nie potrzebujemy się kłaniać pysznemu panu.

— Cóż słychać? co myśli?—spytał minister.

— Jeżeli go znasz—zawołała Moszyńska—powinieneś się domyśléć. Pojedzie naturalnie do Uebigau, będzie siedział potrząsając głową po dawnemu i starać się nieomieszka zabiegać drogę królowi, intrygować aby do łaski powrócić.

Brühl się rozśmiał.

— Tak, to bardzo do prawdy podobne; ale, droga pani... od Uebigau niedaleko do Drezna, ale też blizko i do Königsteinu... Wątpię... wątpię...

Nadchodząca hrabina Sternberg, żona nowego posła austryackiego, piękna czarnooka Wiedenka, pańskiego oblicza, arystokratycznéj postawy, uchodząca także za Egeryę Brühla, wtrąciła prawie nie witając się:

— Trzymam zakład że pojadą do Wiednia.

Brühl się skrzywił.

Dwie panie rozpoczęły z sobą rozmowę pocichu, a Moszyńska wzięła Brühla na stronę.

— Popełniliście błąd—rzekła—nigdy się nie powinno rzeczy robić przez połowę; będzie się mścił: należało go zamknąć...

— Królby na to nie zezwolił w pierwszéj chwili—odezwał się Brühl—zanadto żądając mogliśmy go doprowadzić do otwartego buntu, a naówczas Sułkowskiby nam poucinał głowy. To jedno; powtóre, znam hrabiego i dlatego się go nie boję, głowa słaba: spisku uknuć nie potrafi. Nim wyjedzie z Uebigau, ja znajdę dowody na przywłaszczone dwa miliony talarów, a naówczas Königstein będzie usprawiedliwiony.

— Brühl!—rozśmiała się Moszyńska—dwa miliony talarow... a ty...

— Ja nie mam grosza!—zawołał minister—ja się rujnuję na występy, aby panu mojemu honor uczynić: jam w długach...

Zbliżył się do ucha hrabinéj.

— Nie sądź pani ażebym był tak ograniczony, bym nieprzyjaciela wypuścił z rąk niedobiwszy, ale musiałem to rozłożyć na dwa *tempa*. Z Uebigau w którém żyć musi, i zkąd nie tak rychło nie ucieknie, dostanę go gdy zechcę. Tymczasem zbieram dowody nadużyć. Król za kilka tygodni zgodzi się na wszystko.

Rozśmiał się dziwnie, gdy wtém nadchodzący wielki ochmistrz Löwendahl zmusił go opuścić hrabinę, która wolnym krokiem do kobiét przeszła.

Z Löwendahlem poszli znowu na ustronie.

— Jakże on to przyjął? —zawołał Brühl.

— Z razu osłupieniem, ale po chwili bardzo mężném sercem i wielką dumą.

— A jednak—syknął Brühl—mówił mi szambelan Friesen, że zaskoczywszy króla w garderobie, pełzał u nóg jego.

— To być może—rzekł Löwendahl—ale...

Nie miał czasu dokończyć, kamerdyner odedrzwi dawał mu znaki, musiał więc przeprosiwszy odbiedz gościa i pójść dowiedzieć się dla czego pilnego tak go odwoływano. Nie bez niepokoju przechodził salon, bo choć króla strzeżono pilnie, lękał się jeszcze aby dawny ulubieniec, pisma jakiego nie podrzucił, lub sam, mimo zakazu, nie przekradł się do zamku. Wiedziano o stosunkach jego z O. Voglerem, a choć jezuita rzadko bywał dopuszczany do króla, jako duchowny miewał wszelkiego czasu posłuchanie.

W gabiuecie czekał Hennicke, dosyć poufale rozparłszy się na krześle. Wprawdzie ruszył się na widok ministra, ale znać było że go sobie lekceważył i że potrzebniejszym był on Brühlowi, niż Brühl jemu.

— Cóż tak pilnego—z wyrzutem począł minister—ludzie mogą sądzić że się coś stało?

— A! niech tam sobie sądzą—niecierpliwie odrzucił Hennicke—wasza ekscellencya bawisz się a ja pracuję; ja nie mogę dogadzać fantazyom jego.

— Coś ty oszalał?

— Ja?—zapytał spokojnie Hennicke.

— Zapominasz się!—zawołał Brühl.

Hennicke rozśmiał się.

— No no, dajmy temu pokój ekscellencyo, dla wszystkich możesz być wielkim człowiekiem, ale dla mnie...

Machnął ręką.

— Cobyś wasza ekscellencya znaczył bez Hennickego?

— A ty bezemnie?—zawołał trochę gniewnie Brühl.

— Ale ja jestem widelec, którym każdy minister musi jeść: to co innego.

Brühl złagodniał. No, cóż tam? co? mów?

— Cobyś mi miał wasza ekscellencya dziękować, to burczysz. Hennicke był lokajem to prawda, ale właśnie dlatego że nim był nie lubi przypomnień dawnych.

To mówiąc rozwijał papiery.

— Ot co przynoszę: Ludovicego upoiłem, zapewniłem że go zrobimy radzcą tajnym w departamencie i ręczę że takim tajnym będzie, iż nikt w świecie o tém się nie dowié! cha! cha! Mam już wskazówki. Są summy pobrane z akcyzy, są kwity, są zaległości wojskowe. Ho! ho! znajdzie się tego dużo! A z czegóżby dobra kupował! przecież po królu Leszczyńskim je nabył.

— Trzeba żeby dowody były—rzekł Brühl.

— Czarno na białém—mówił Hennicke.

— Na kiedy gotowém być może?

— Za dni kilka.

— Zbytecznie się śpieszyć nie mamy potrzeby—mówił Brühl—król musi pierwszy swój krok wielki wydychać. Faustyna zaśpiewa, O. Guarini zagada, prochu trochę wystrzelamy. Scena w korytarzu się zapomni, dopiero można będzie do drugiego aktu przystąpić.

Główną jest rzeczą, aby nikt tajemnicy nie wydał, aby się tego nie domyślano, aby podejrzenia nie miał i nie drapnął nam...

Hennicke który się wpatrywał bacznie w swego pryncypała, dodał:

— Trzeba mu niewidzialną wartę postawić i tu i w Uebigau. Wypadnie aby się kilku lokajów odprawiło; nie wielu on ich tam ma, a natomiast mu się nastręczy sług z naszéj ręki, którzy czuwać będą i donosić.

— Bardzo dobrze—rzekł Brühl.

— Spodziewam się że dobrze, bo ja nigdy źle nic nie obmyślam—dodał Hennicke.

— Gdyby się nam wymknął do Wiednia, do Prus, choćby do Polski—rzekł zadumany Brühl— byłaby rzecz niewygodna i niesmaczna.

— Ba! i niebezpieczna—począł Hennicke poprawiając perukę—choć to głowa nie tęga, ale żadnym nieprzyjacielem gardzić się niegodzi.

— Zatem rzecz postanowiona—szepnął Brühl—waćpan zbierasz dowody winy. Mnie, który po nim biorę spadek, nie wypada przeciwko koledze i współzawodnikowi działać otwarcie. Ja go ciągle przed królem bronię i za nim proszę. Pa-

piery te, niby przypadkowo podchwycone zaniesie hr. Wackerbarth-Salmour, to rzecz ułożona.

Chciał już odchodzić.

— Słuchaj Hennicke—rzekł cicho—ty się oddalać nie możesz, ale Globiga do tego użyć najlepiéj. Jużciż takiego gościa jak Sułkowski w lada komórce osadzić niepodobna, zwłaszcza że wedle wszelkiego podobieństwa, wypadnie mu tam dłużéj zamieszkać. Rozumiesz! Globig niech pojedzie spacerem, sanna bardzo dobra, zapusty, ot tak... w odwiedziny do komendanta i niech sobie opatrzy jakich czystych kilka pokojów dla hrabiego, żeby znów niezbyt mu było źle. Jest tam teraz próżnych dosyć. Niemówiąc dla kogo i co, niech oczyszczą, ale tak żeby się tam nie domyślano.

Hennicke się rozśmiał. Wasza ekscellencya nie zapomnisz o mnie, że za takiego grubego zwierza coś mi się gościńca należy.

— Gdy go zamkniemy do klatki—rzek Brühl. Ale mój Hennicke, powiadasz bym ja o tobie nie zapomniał, a mnie się zdaje że ty najlepiéj sam o sobie pamiętasz.

— A wasza ekscellencya!—wyrwał się Hennicke, który papiery składał—obaśmy z jednego materyału, nie mamy się co okłamywać. Znamy się dobrze.

Brühl choć go tak ex-lokaj brutalsko częstował, nieśmiał nic odpowiedzieć, owszem łagodził go. Był mu potrzebnym.

Z wypogodzoną twarzą powrócił minister na pokoje, gdzie już stoliki do gry były gotowe. Pani Moszyńska bijąc paluszkami o stół, oczekiwała na niego.

— Siadajże—odezwała się—już o téj godzinie interesa wszystkie spać iść powinny!

XI.

Zapusty w tym roku były weselsze niż w przeszłych latach, wszyscy starali się rozweselić króla, na którego czole często widać było jakoby obłok smutku i tęsknoty. W godzinach poobiednich ziewał czasami, a żarty O. Guariniego chybiały i niesłuchane rozpraszały się w powietrzu. Uproszono

Faustynę aby śpiewając podchodziła bliżéj loży królewskiéj i dobierała najulubieńszych aryi. Frosch i Storch mieli przyobiecane osobne wynagrodzenie za podwójną dozę żartów; strzelano co dzień do tarczy, soliści popisywali się świetnie, zabawy na zamku jaśniały przepychem strojów i bogactwem wymysłów. Brühl nie wychodził prawie z zamku, a ile razy król pozostał sam, stawał u drzwi czekając na rozkazy i zgadując myśli. August téż bywał niekiedy w wesołym humorze i chrząkał a śmiał się ochoczo; ale czasem wśród uśmiechu napływała chmura, oblicze się nią zaciągało nagle: król odwracał się do okna, i zdawał się nie słyszéć i nie widziéć nic.

Zaraz nazajutrz posłano Sułkowskiemu rozkaz niezwłocznego udania się do pałacyku wcale nieprzygotowanego na przyjęcie go zimą, do Uebigau. Musiał opuścić Drezno. Czatowali nań ludzie, żeby przeprowadzić go śmiechem i szyderstwy i oznakami lekceważenia.

Przy powozie hrabiego biegł jego piesek ulubiony Fido, zasadził się nań strzelec około mostu i pod karetą Sułkowskich z pistoletu go ubił.

Działo się to w biały dzień, wśród miasta a nikt nie rzekł słowa. Zuchwalec tryumfował, patrzący się śmieli, pies biedny padł ofiarą. Pani Sułkowska rozpłakała się w powozie, hrabia ani wyjrzał, ani rzekł słowa: zniósł to ze stoicką rezygnacyą, udając że o niczém nie wié.

Nikczemna tłuszcza przeprowadzała jadącego za most, biegnąc za powozem z krzykami. Woźnice popędzali konie, hrabia patrzał w dal chłodnemi oczami i ani drgnął nawet: nadto się czuł wyższym nad to aby cierpiéć.

Hennicke i kancelarya Brühla wiedziała o tém dobrze, (jeśli do tego nie wpływała), doniesiono Brühlowi: uśmiechnął się tylko....

W mieście krążyły najosobliwsze powieści. Bądź co bądź nowy minister, który w kilka dni potém wziął na siebie znaczniejszą część dostojeństw od których dawnego faworyta uwolniono, dowiedział się téż przez swoich szpiegów, że upadek Sułkowskiego raczéj żal obudzał niż radość, raczéj przestrach niż nadzieję polepszenia. Szemrano wszędzie.

Brühl na to miał jeden ratunek: odosobnienie króla takie, aby słowo nieupoważnione do uszów jego nie doszło. Zaraz następujących dni rozpoczęło się obsadzenie wszystkich miejsc, których urzędnicy mieli przystęp do króla. Brat Brühla wszedł w obowiązki w. marszałka dworu, pozmieniano nawet paziów i lokajów podejrzanych o sprzyjanie i stosunki z Sułkowskim.

Karmiono Augusta wszystkiém co tylko mu smakować mogło, ale go wzięto w opiekę najściślejszą. Było mu z tém zupełnie dobrze, bo oprócz dogodzenia nałogom swym nie potrzebował nic.

W piérwszéj chwili o usunięciu i oddzieleniu królowéj, dla zapobieżenia wpływowi jéj, mowy być nie mogło; lecz w planie Brühla stało już pozbycie się Józefiny, jako najbliższa konieczność. W największéj tajemnicy mógł to przygotować z pomocą żony; O. Guarini byłby się może na tak radykalny środek nie zgodził. Brühl czuł się wszechmogącym, a jego podwładni vice-króliki, jak ich nazywano, podnosili głowy do góry.

Obawa Sułkowskiego trwała jednak zawsze, sprawa z nim rozpoczętą była ale nie dokonaną. Hennicke zbierał dowody nadużyć i rozproszonych pieniędzy. Szło o odebranie mu Fürstembergowskiego pałacu, który od króla dawniéj otrzymał w podarunku, o odjęcie mu pałacu w Uebigau i o zamknięcie rywala na klucz w Königsteinie, czego tyle było przykładów dawniejszych za panowania Augusta Mocnego, iż Brühl na nich się opierając, spodziewał się to dokonać łatwo. Sułkowski na swobodzie był wiekuistém niebezpieczeństwem: Sułkowski w Wiedniu z żoną, był wrogiem na przyszłość strasznym.

Przyczyniło się i to do zwiększenia obawy Brühla, iż odepchnięty hrabia nie okazywał się wcale przybitym. Przewożono sprzęty niedostające do Uebigau, a piękne położenie pałacu z widokiem na całą nad-Elbiańską okolicę, czyniło go wcale znośnym pobytem. Z okien swych mógł Sułkowski co dzień oglądać wieżę tego zamku, w którym niedawno panował.

Karnawał miał się ku końcowi, hrabia nie ruszał się z przeznaczonego mu miejsca pobytu.

Śledzono z ciekawością jego kroki, nie można się było dowiedzieć nic. Z miasta nie jeździł tam nikt, samotność była straszną. W Briesnitz zasadzone szpiegi napróżno wypatry-

wali gości. Ludzie z pałacu jeździli co dzień po żywność do Drezna, ale oprócz przekupek na rynku nie widywali nikogo. Nie dawał się pochwycić na niczém winowajca.

Co się działo w pałacu? nie wiedział nikt. Hrabia czytywał po całych dniach i rozmawiał z żoną, pisał listy, ale jaką drogą one i dokąd szły, tego dośledzić nie było podobna.

Jednego poranku Brühl wszedł z papierami do króla. Nic przykrzejszego królowi być nie mogło nad widok papiérów i perspektywa rozmawiania o intrygach. Najmniejsze słowo sprowadzało chmury i ziewanie.

Brühl skracał też przykrą pracę, dając gotowe rzeczy do podpisu. Zasiadał August do stolika i nie rzuciwszy nawet okiem na akta kładł na nich jakby odbity z pomocą jakiéj machiny podpis, zawsze jednakowy, czysty, wyraźny, majestatyczny i spokojny.

Tego dnia spostrzegłszy stos papiéru, król zaczął się już gotować do pańszczyzny podpisywania, ale Brühl stał nieruchomie nie rozkładając tego co trzymał w ręku.

Kilka wejrzeń pytających skłoniło go wreszcie do mówienia, z którém się ociągać zdawał.

— N. Panie!—rzekł—dziś przybyłem w takiéj przykréj sprawie, że radbym jéj i dla siebie i dla pana mojego najmiłościwszego uniknąć.

Król usta wykrzywił i poprawił perukę.

— Wolałbym żeby się tego podjął kto inny, ale nikt mnie wyręczyć nie chciał;—westchnął Brühl.... Muszę więc sam to przedstawić N. Panu.

— Hm??—odezwał się August.

— W. Królewska Mość przyzna mi—mówił daléj minister—że do sprawy Sułkowskiego wcale się nie mieszałem.

— Skończone! dosyć! skończone!—przerwał niecierpliwie trochę król.

— Nie zupełnie—kończył Brühl—i to właśnie jest nieszczęście. Objąłem po nim sprawy; jestem człowiek sumienny, musiałem wejść we wszystko.

Oczy króla otwarte szeroko patrzały na mówiącego, było w nich niemal coś groźnego.

— Znalazły się w papiérach rzeczy, korrespondencye

ogromnie obwiniające niewdzięcznego sługę W. Kr. Mości; nadużycia, deficyt w kassie.

Król chrząknął mocno.

— Ale ja mam pieniądze jeszcze? Brühl?—zapytał żywo.

— Są, przecież nie tyle ileby ich być powinno—zniżając głos mówił minister.—Gorsza daleko iż listy, stosunki, komunikacye z dworami kompromitują Sułkowskiego i wskazują go jako wielce niebezpiecznego człowieka. W Polsce, jeśli się tam uda, będzie zasłonięty prawami rzeczypospolitéj wichrzyć; jeśli pojedzie do Wiednia, tam też może być niebezpiecznym. Słowem gdziebykolwiek się udał...

Mówiąc to Brühl powoli patrzał na króla jak w tęczę, zdawał się rachować z wrażeniem i do niego zastosowywać słowa. Znał on dobrze twarz i humor pański, a mimo to nie umiał sobie dobrze teraz wytłumaczyć co ona oznajmywała. August patrzał i słuchał zdumiony, oczyma biegał po pokoju, wracał na Brühla, czerwieniał, bladł, był zmieszany, żaden wyraz z ust mu się nie dobył.

Na chwilę przestał mówić, minister czekał. August chrząknął mocno, kaszlnął i wlepił oczy wyzywające w niego.

Kończył więc nie mogąc inaczéj.

— W. Królewska Mość zna mnie i wié że jestem przeciwnym wszelkim gwałtownym środkom, ja też kochałem tego człowieka, byłem jego przyjacielem, mogę powiedzieć, dopóki się panu mojemu nie przeniewierzył. Dziś jako minister, jako sługa wierny, gwałt sercu zadać muszę.

Rozpoczęcie sprawy zapewne było z O. Guarinim obrachowane w ten sposób, iż Padre miał nadejść wśród rozmowy, i w istocie zjawił się w tém miejscu. Król chciał zużytkować inaczéj przybycie Guariniego i przywitawszy go zapytał o Faustynę.

— Zdrowiuteńka!—zaśmiał się Ojciec. – *Chi ha la sanità e'ricco e se no'l sa....*

Ale Brühl stał z temi nieszczęsnemi papierami.

— W. Kr. Mość pozwolisz bym tę niemiłą sprawę zakończył—rzekł wtrącając się żywo.—O. Guarini wié o wszystkiém.

— A! wié! to dobrze! I zwrócił się król do Ojca. A co mówi?

Padre ramionami ruszył.

— Co pan mówi miłościwy!— odrzucił śmiejąc się—a ja! jam kapłan, ksiądz, mnie się niegodzi.

Nastąpiło milczenie, August oczy spuścił w ziemię; Brühl się uląkł nieco: szło wszystko w odwłokę.

— Za życia najjaśniejszego rodzica, Augusta Mocnego— podchwycił—Sułkowski byłby już na Königsteinie.

—Nie nie—rzekł August—ale usta mu się ścisnęły i zbladł, popatrzał na Brühla, wstał, przechadzać się zaczął.

Guarini z rękami złożonemi stał wydając westchnienia głębokie.

— Nigdy nie nastawałem na obchodzenie się surowe z nikiem—rzekł Brühl—byłem i jestem za przebaczeniem, ale tu są ślady takiéj niewdzięczności, takiego zdradziectwa.

Jezuita oczy w niebo podniósł i westchnął raz jeszcze....

Oba oni z Brühlem śledzili najmniejszy ruch króla i nie wiedzieli co sądzić. Nigdy może nie był tak zagadkowym. Znając go byli pewni iż przemódz i zwyciężyć potrafią, ale szło o to aby nie nużyć Augusta, bo zmęczony miał zawsze długo żal do tych co go nudzili. Brühl spojrzał na Guariniego oczyma nagląc aby dobijał poczętego targu. Padre odstrzelił podobném wejrzeniem zdając to na ministra. August na podłodze nogą miął rozesłany kobierzec i prostował, o czém inném myśląc.

— Co W. Kr. Mość rozkaże?—spytał natarczywie Brühl.

— Gdzie? jak? co?—mruknął król.

— Z Sułkowskim....

— A, z tym, tak... tak...—I znowu kobierzec król miął nogą patrząc na ziemię.

Naostatek jakby z wielkim wysiłkiem odwrócił głowę do Brühla i wskazał ręką na stół:

— Papiery te do jutra.

Minister się zmieszał, na żaden sposób nie chciał i nie mógł zostawić papiérów. Chociaż pewnym był że ich król czytać nie będzie, obawiał się czegoś niespodziewanego, był

nadto ostrożnym, rachował że się to da za jednym zamachem dokonać. On i Guarini nieznacznie spojrzeli na siebie.

— N. Panie—odezwał się Włoch cicho—to taka gorzka potrawa, że jéj na dwa dania niewarto rozkładać. *Alcun pensier no paga mai debito*, co tu myśléć?

Król nic nie odpowiedział, po chwilce odwrócił się do Brühla:

— Strzelanie do tarczy po południu na zamku.

Wtrącenie tego rozkazu było znaczące, Brühl stał zmieszany.

— Ostatni jeleń długo nas męczył—dodał—ale rogacz był też wart pracy.

Milczał trochę.

— A żubr ostatni zdechł—dodał—i westchnął.

Zegar wskazywał godzinę, w której król zwykł był iść do królowéj, kazał zawołać szambelana.

Brühl czuł się odprawiony z niczém, a cały zachód był stracony. Nie wiedział czemu ten opór przypisać; Guarini i on spoglądali na siebie. Król spieszył z wyjściem. Musieli natychmiast za nim wyjść także z pokojów i Brühl wciągnął spowiednika do gabinetu przyległego.

Papiery rzucił na stół zniechęcony.

— Nie rozumiem—rzekł.

— *Pacienza! Col tempo e colla paglia Maturano le nespole!*—odparł Guarini—do jutra, to nie mogło się stać tak prędko. Król nie mówił nic, oswoi się z tą myślą, a że nic mu tak nie cięży jak ponawiane szturmy, postawicie na swojém.

Zamyślił się minister.

— Zawsze to źle!—rzekł—w sercu coś dla Sułkowskiego zostało.

Poczęli szeptać i naradzać się z Guarinim. Jezuita natychmiast udał się do królowéj, Brühl z papierami do domu.

Najregularniejszy w życiu swém król, jak mówiliśmy już, w popołudniowych godzinach, które szlafrokowemi nazywano: przy fajce, przypuszczał do siebie tylko tych co go mogli zabawić. Brühl jeśli się tam zjawił o tym czasie, musiał także zapomnieć o obowiązkach ministra, a wziąć na siebie trefnisia. Lecz że o tych godzinach nie groziło żadne niebezpieczeństwo,

bo nikogo na zamek oprócz domowych nie wpuszczano; bardzo rzadko zjawiał się minister. Król bawił się z trefnisiami swemi, lub wedle fantazyi, nie wolno mu tylko było wezwać nikogo takiego, któryby do dworu nie należał, a Brühlowscy zausznicy, gdyby nawet rozkaz odebrali, znaleźliby sposób nie spełnienia go, aż zasięgnąwszy rady ministra.

Z czasów Augusta Mocnego, pozostał jak inni, przywiązany do dworu, sławny ów Hanswurst N. Pana, Józef Fröhlich, który się nosił z kluczem srebrnym szambelańskim na grzbiecie, biorącym w siebie kwartę wina.

Lecz dawniéj ulubiony panu, teraz był tylko po nim pamiątką. Brühl który mu nie dowierzał, starał go się usuwać równie jak barona Schmiedel. Całkiem jednak dawnych sług ojca nie dopuściłby był August odpędzić. Fröhlich miał swój dom za mostem (harrenhaus), miał się już dobrze i nie często się pokazywał u dworu; ale ilekroć się pokazał, dosyć było Augustowi twarz jego pucołowatą i śmiejącą się zobaczyć, aby się już śmiać na kredyt, nim jeszcze wyrzekł słowo.

Dnia tego po obiedzie nie było Brühla. Frosch dostał fluksyi od policzka który mu Storch wymierzył, niby żartem.... za co został ukarany aresztem przy kuchni. Nie bardzo się więc zdziwiono, gdy król pazia wysłał aby mu Fröhlicha sprowadził. Ponieważ figle Fröhlicha najwyrazistszemi się stawały i działały najmocniéj gdy naprzeciw wesołéj twarzy starego trefnisia, stanął kammer-kuryer, baron Schmiedel z melancholiczném swojém obliczem; paź zapytał czy i Schmiedel miał być wezwany.

Król potrząsł głową i powtórzył mu:

— Fröhlich sam.

Wielkie było zdziwienie starego Hanswursta gdy mu na zamek iść kazano. Wdział jak mógł najżywiéj jednę ze trzechset sukni pstrych, które mu sprawił August Mocny; klucz swój przyczepił i puścił się mimo wichru przez most pieszo, myśląc tylko czém N. Pana zabawić potrafi.

Trefnisie też mają chwile, w których się im śmiać i śmieszyć nie chce. Jedną z takich właśnie przebywał ów Fröhlich *semper*, *nunquam traurig* na medalu, ale w naturze często jak ocet kwaśny. Nie wydawał się on z tém że mu teraźniejsze

panowanie wcale w smak nie szło, stare czasy wydawały mu się nieskończenie lepszemi, choć w istocie wcale nie były dobre.

Nałóg tylko i długie nawyknienie do wydobywania z siebie wesołości na rozkazy, zdołały z Fröhlicha i tym razem wykrzesać iskierkę... z którą w oczach i minie stawił się przed królem.

Oprócz dowcipu swego miał dla zabawy Fröhlich wielką zręczność w kuglarskich sztukach i tym razem łatwiéj mu było począć od figla, niż od konceptu.

Uklęknąwszy przed królem i złożywszy czołobitność, Fröhlich oświadczył, iż tak biegł na rozkaz N. Pana, że mu w gardle zupełnie zaschło. Odczepił swój klucz szambelański i ośmielił się prosić, czyby N. Pan uwzględniając wiek jego i stargane siły, nie dozwolił mu dla wzmocnienie napić się wina... Król klasnął w ręce i kazał paziowi przynieść butelkę.

Fröhlich tymczasem oczyszczał nieco zaśniedziały klucz, z którego miał pić i opowiadał jak ten dar wysoko cenił, a jak go teraz mało używał. Paź stał z butelką gotów nalewać, gdy Fröhlich, zajrzawszy na dno, z przerażeniem ujrzał w niém cóś siedzącego głęboko.

— Któżby się był spodziewał!— zawołał — ptacy sobie w niém gniazdo usłały... W istocie z klucza wyleciał kanarek. Król się rozśmiał, ale na tém nie było końca. W kluczu cóś było jeszcze, Fröhlich z wielkiemi krygi począł wydobywać wstążki. Różnobarwnego tego towaru wyciągnął ogromną kupę: sześć chustek od nosa, stoczek i garść orzechów. Jak się to wszystko tam mieścić mogło, było tajemnicą Fröhlicha.

Oświadczył potém, że nie będąc pewien czy w tym zaczarowanym kluczu jeszcze się co nie mieści, bodaj księżniczka zaklęta, woli dla bezpieczeństwa za zdrowie pana napić się z prostego kieliszka. Po odbytéj ceremonii, paź odszedł do przedpokoju, a Fröhlich zaczął króla śmieszyć, przedrzeźniając aktorów na scenie.

Trwało to wszystko z pół godziny. Król się śmiał bo musiał, ale tylko oko Fröhlicha postrzegło że był niespokojny, poruszony i roztargniony.

Nie wiedział czemu to miał przypisać, gdy z nadzwyczajném zdumieniem ujrzał króla idącego ku najdalszemu od wszystkich drzwi oknu i dającego mu rękami znaki, aby się zbliżył.

Było w tém cóś tak tajemniczego i niezwyczajnego, że Fröhlich prawie się przeląkł. Na palcach jednak pospieszył i znalazł się u okna, przy którém król stał jakby przestraszony i niepewny, oglądając się niespokojnie dokoła.

Rozwiązania téj zagadki zdumiony trefniś, napróżno szukał w głowie.

— Słuchaj Fröhlich — rzekł król, zaledwie dosłyszalnym głosem—hm! śmiéj się głośno, głośno! ale słuchaj co powiem: rozumiész...

Trefniś nie zrozumiał jeszcze nic, ale głową skinął i śmiać się zaczął tak, że śmiechem mógł najhuczniejszą zagłuszyć rozmowę...

Król wziął go ręką za ucho i przyciągnął je prawie do ust.

— Fröhlich wierny, poczciwy, nie zdradzi—rzekł. Dziś tajemnie do Uebigau, rozumiész! powiedzieć mu, rozumiész! niech zaraz ucieka do Polski.

Fröhlich zrazu szmer tylko i wyrazy słyszał, nie mógł pojąć ażeby król go za tajemnego posła chciał użyć. Na myśl mu jeszcze nie przyszedł Sułkowski. Rękami i miną zrobił znak zapytania.

Król pochylił się mu do samego ucha i rzucił w nie jedno słowo:

— Sułkowski!

Powiedziawszy je, jakby się sam zląkł tego zakazanego na dworze nazwiska, odskoczył na kilka kroków. Fröhlich'owi śmiech zamarł na ustach. Bał się, że może nie dobrze zrozumiał.

Twarz jego wyrażała znać tę niepewność, bo król nakazawszy mu znowu śmiać się, powtórzył dobitnie rozkaz.

Wyrazy z ust jego dobywały się urywane: pospiesznie, krótko, bez związku; trefniś jednak w końcu wiedział, iż król kazał mu oznajmić o niebezpieczeństwie i ostrzedz hrabiego, aby do Polski uciekał.

Dla niepoznaki słuchał jeszcze chwilę August konceptów, potém dobył z kieszeni garść dukatów i wsypał je Fröhlichowi do kamizeli.

— Idź! — rzekł.

Fröhlich przypuszczony do ucałowania ręki, natychmiast się wyniósł. W przedpokoju pochwaliwszy się dukatami, nie dał się paziom powstrzymać i co prędzéj pobiegł do domu.

Nie mieściło mu się w głowie to, co się z nim stało. Potrzebował zebrać myśli, opamiętać się, naradzić z sobą, jak miał spełnić dziwny rozkaz króla, który bał się własnego otoczenia i trefnisia za powiernika użyć musiał. Zamyślił się, westchnął...

Zadanie było trudne. Mniéj nawet oswojony z życiem dworu i losem faworytów, mógł się domyśléć łatwo, iż koło Uebigau pełno szpiegów być musiało, a w samym pałacu nawet nie zbywało na nich.

Fröhlich był znaną wszystkim figurą. Szczęściem częste za Augustów maskarady nauczyły się przebierać i do niepoznania twarz i postawę przeinaczać. Fröhlich zamknął się w swojéj izdebce i nietracąc czasu przystąpił do wyboru peruki i sukni.

Były to piérwsze dni lutego, Elba stała w pędzie od Czech począwszy, a lód był jak mur. Zdało się więc Fröhlichowi, że przystęp do pałacu od strony rzeki mógł jeszcze być najbezpieczniejszym i najmniéj strzeżonym. Zbyt było późno i niebardzo bezpiecznie iść pieszo za miasto, ale saneczek do Briesnitz łatwo mógł dostać. Przyrzekłszy dobrą zapłatę, puścił się w drogę. Gospoda wiejska pełna była gwaru zapustnego, bo tu ze stolicy najgorsze, ale najweselsze gromadziło się towarzystwo. Woźnicy kazawszy czekać, stary drugiemi drzwiami wyszedł i pieszo puścił się ku Elbie.

Czuł, że chyba szczęśliwy traf jaki może mu niebezpieczne poselstwo ułatwić; zresztą myśl ta, że go król posłał, dodawała odwagi. Wahał się długo, w końcu do otwartéj furtki wbiegłszy, na podwórze pałacu, wprost się puścił do sieni.

Tu znalazł pustki i ciemność. Sułkowski za najświetniejszych swoich czasów nigdy dworu nie trzymał wielkiego, teraz go jeszcze zmniejszył... Wschody stały ciemne. Dopiéro wdrapawszy się na nie, usłyszał głosy ludzkie. W przedpokoju służba kłóciła się, grając w karty.

Na widok dziwnie ubranego człowieka zjawiającego się o téj godzinie, skoczyli wszyscy przestraszeni, zadając pytania. Fröhlich oznajmił im, że ma dwa słowa do powiedzenia hrabiemu i to jak najspieszniéj. Kamerdyner najprzód go obrewidował i przetrząsł kieszenie, bojąc się czy nie miał broni i niezamierzał jakiéj napaści, a dopiéro potém pobiégł do hrabiego.

W pałacu zrobił się rozruch: peruka i ubranie, chusta, którą miał przewiązaną brodę nie dały poznać Fröhlicha. Wprowadzono go do sali, do któréj dopiéro teraz światło wniesiono. Sułkowski był nie ubrany, blady, ale spokojny i tak dumny, jak gdyby ministrem być nie przestał.

Gość zażądał oddalenia służącego. Wszystko to obudzało podejrzenia jakieś i obawy, lecz hrabia nie okazał trwogi. Gdy pozostali sam na sam, Fröhlich odsłonił twarz.

— Przed dwoma godzinami—rzekł—byłem zawołany do króla: powtórzę wam jego własne wyrazy.

„Dziś, tajemnie, do Uebigau... powiedzieć mu: niech zaraz ucieka do Polski."

Sułkowski słuchał z niedowierzaniem.

— Król ci to mówił?

— Król, i z taką obawą, aby go kto nie podsłuchał, jak gdyby był nie królem, ale niewolnikiem.

— Jest nim i na wieki zostanie—westchnął Sułkowski.

Zamyślił się hrabia.

— Bóg zapłać – odparł po przestanku krótkim—zażyłeś biédy dla mnie, a raczéj dla króla. Czém ci mogę odwdzięczyć?

— Tém jedném, abyś hrabia spełnił wolę króla jeszcze dzisiejszéj nocy.

Skłonił się. Hrabia stał zamyślony, jak przykuty do miejsca.

Za Fröhlich'em zamykały się drzwi i stary bił się już po śniegu do swoich sanek, a Sułkowski stał oparty o stół, niedobrze wiedząc co ma począć.

Znał już dosyć Brühla, ażeby wiedzieć, że z rady należało korzystać.

Nazajutrz król powracał ze mszy rannéj, gdy mu O. Guarini zaszedł drogę dopytując o zdrowie. Na to zwykle N. Pan odpowiadał czémś takiém, co pośredniczyło między chrząknie-

niem, uśmiechem a czkawką. Twarz zresztą dostojnego pana najlepsze dawała świadectwo, iż chorym być nie mógł. Odziedziczył w części siłę i zdrowie po ojcu, a że ich mniéj nadużywał, służyły mu wybornie.

O. Guarini razem z innemi prowadził N. Pana na pokoje.

Król kilka razy spojrzał nań badawczo, jakby chciał się czegoś dowiedzieć z twarzy, wreszcie rzekł lakonicznie:

— Mróz...

— Ja to najlepiéj czuję, bom Włoch—rzekł Guarini— ale choć tak zimno N. Panie—szepnął cicho—są ludzie co się nie lękają podróży. Pewien hrabia, którego imienia nie chcę wymówić, bo miał nieszczęście popaść w niełaskę... wybrał się, słyszę, nocą, nie wiadomo dokąd...

Król jakby nie słyszał, nie odpowiedział nic.

Na pokojach oczekiwał Brühl z papiérami, ale zmieszany i kwaśny.

August zbliżył się do niego szybko.

— Brühl! te papiery co wczoraj, skończyć trzeba.

— Już wszystko skończone—odparł minister z westchnieniem.

— Hm! co?—spytał August, udając zdziwionego.

— Winowajcy już niéma Najj. Panie, musiał się czuć do grzéchu: nocą uciekł do Polski.

Król ręką w stół uderzył i okazał twarz zdumioną bardzo.

— Jestem pewny zdrady — dodał minister, niespokojnie się kręcąc. Znać że na dworze ma jeszcze zwolenników i przyjaciół; lecz prędzéj, późniéj wszystko się odkryje.

Zamiast odpowiedzi, August stojącą ogromną tabakierę porcelanową otworzył i podsunął ją ministrowi nic nie mówiąc.

Brühl z ukłonem, dotknął końcami palców tabaki.

— Polować się będzie koło Taubenheim—odezwał się król—niech zaraz ekwipaże przysposabiają.

I poszedł do okna.

XII.

Brühl zwyciężył, nie miał jednak téj pociechy ażeby nieprzyjaciela się pozbył na zawsze; musiał przez długie lata lękać się zawsze odwetu, o który wszakże Sułkowski się nie

pokusił. Objąwszy dobra po królu Leszczyńskim w Polsce, mając na Szlązku znaczne majętności, dorobiwszy się u dworu wiedeńskiego tytułu książęcia, bawił najwięcéj w Wiedniu i nie probował przypominać się Augustowi, nad którym Brühl od téj chwili rozciągnął jak najtroskliwszą opiekę.

Opowiadanie nasze jest wstępem do życia Brühla, który aż do śmierci Augusta III władał Saxonią i Polską; potrafił się przerobić na polskiego szlachcica i odegrał wedle słów własnych, jednę z najciekawszych ról ulubieńca, któremu szczęście służyło do zgonu. Szkodaby było ten ciekawy dramat psuć opowiadaniem jego treści. Brühl jest postacią historyczną, zarazem i typem swéj epoki nadzwyczaj wybitnym: w Brühlu maluje się cały August III, jak w zwierciedle.

Moglibyśmy zakończyć ten epizod nie dodając doń nic więcéj, gdyby nam tradycya nie pozostawiła jednéj ciekawéj sceny, która do naszego opowiadania jako epilog należy.

W r. 1756 w czasie wojny z Prusami, gdy Brühl na szczycie swéj potęgi, zostawując w szponach zwycięzcy całe mienie, pałace, galeryę, bibliotekę, zbiory, uchodzić musiał do Polski wraz z Augustem późną już jesienią; dworskie ekwipaże z powodu złéj drogi na Szlązku i niedostatku koni, na kilka taborów rozbite zostały. Król znajdował się w najpierwszym z nich, minister jego wypadkiem znalazł się w ostatnim. Obawę miał wielką, aby się nie dostał w ręce króla pruskiego, który go nienawidził. Pragnął więc koniecznie doścignąć króla i przy nim bezpieczniejszym się czując, dalszą podróż odbywać.

Wszystko się jednak jak najnieszczęśliwiéj składało: padały konie, łamały się koła i pośpiech stawał się niemożliwym. Jesienne deszcze popsuły drogi tak, że dwa razy większa nad zwykłą ilość koni nie starczyła do powozów. Minister rad nie rad musiał zcierpiéć co mu było przeznaczoném i uledz losowi swemu. Jechał pod wrażeniem wypadków, o jakich już był uwiadomiony, milionowe i niczém nie nagrodzone poniósłszy straty, jako wygnaniec wraz z królem chroniąc się do Polski, w któréj absolutne rozporządzanie się nie było możliwém jak w Saxonii. Zręczność Brühla i tu na wiele niedogodności umiała znaleźć lekarstwo, lecz szło trudniéj i mozolnie. Nie dziw téż, iż dawny losu ulubieniec chmurny był, przelękły nie-

mal i zniecierpliwiony. W krótkim przeciągu czasu piękna twarz jego nad miarę postarzała. Miał chwile roztargnienia, w których nie dobrze rozumiał co doń mówiono.

Wieczór nadchodził, deszcz lał jak z wiadra, konie się ledwie wlokły, gdy jedno z małych szlązkich miasteczek pokazało się z za szaréj opony dżdżystéj, z wieżyczką kościoła i oświeconemi domami. Brühl spodziewał się tu znaleźć króla, gdy przed pocztą oznajmiono mu, że król o trzy mile daléj nocował, że koni niepodobieństwo było dostać, a służba nakłaniała, aby dla niegodziwéj słoty na nocleg w mieścinie pozostać. Chciał Brühl słać za końmi, obiecując sowitą zapłatę; lecz wszystko było próżném: do rana koni dostać się nikt za nic nie obowiązywał. Trzeba więc było szukać gospody w miasteczku, które tylko jednę miało. Dosyć liczna służba towarzysząca, już naówczas tytułem hrabiowskim zaszczyconemu ministrowi, rozbiegła się szukać stosownego mieszkania.

W gospodzie *pod Koniem*, zajęte było wszystko. Podróżny dwór polskiego pana rozpościerał się w niéj szeroko.

Ministrowi zdawało się że dosyć będzie jego nazwiska, aby mu ustąpiono, gdyż panowie polscy bywali bardzo łagodni i grzeczni poza izbą sejmową, a Brühl rozporządzał wszystkiém i mógł dać za grzeczność starostwo. Kamerdyner jego ekscellencyi pobiegł *pod Konia*, gdzie znalazł dosyć szumny dwór i dosyć pańsko wyglądającego kogoś tytułowanego książęciem. Nie pytając nawet o nazwisko, narzucił się z prośbą, a jak mu się zdawało, z rozkazem raczéj, ustąpienia części gospody dla jego ekscelencyi.

Usłyszawszy nazwisko książe ów dziwnie się skrzywił, zamyślił i odparł niemcowi bardzo dobrą niemczyzną, nawet trochę saskim zarywając akcentem, że gospody zajętéj nie ustąpi, ale ją z panem ministrem podzieli.

Deszcz z wichrem bił tymczasem w okna karety tak skutecznie, iż we wnętrzu jéj mokro było. Kamerdyner powrócił z odpowiedzią, a Brühl nie zastanawiając się dłużéj nad nieprzyjemnością robienia na noclegu znajomości, kazał zajeżdżać *pod Konia*.

Spodziewał się że tu ktoś wyjdzie przeciwko niemu, ale się omylił: nikt nie wystąpił z powitaniem. Brühl zwykł był w razie gdy go lekceważono, podwajać grzeczności, uprzejmo-

ści i nadskakiwania; wysiadł więc z mocném postanowieniem zawstydzenia swą dobrocią dumnego panka polskiego. Kamerdyner otworzył drzwi: minister wbiegł do obszernéj izby, w któréj ogień się palił na kominie i dwie świéce na stole i szukając oczyma owego księcia obiecanego, ujrzał opodal nieco stojącego, wcale nie zmieszanego tém niespodziewaném spotkaniem, nieco tylko postarzałego, ale dumniejszego jeszcze niż kiedykolwiek był—Sułkowskiego.

Książe stał milczący, z góry spoglądając na nieprzyjaciela, nie witając go ukłonem: obojętny, wpatrywał się tylko z ciekawością.

Brühl po piérwszym rzucie oka zbladł przerażony i chciał się cofnąć nazad, zdawało mu się że wpadł w jakąś zasadzkę. Mimo siły charakteru twarz się tak dziwnie zmieniła od tego piorunowego wrażenia, iż Sułkowski nie mógł się wstrzymać od śmiechu.

Przyszedł mu znać na myśl i Pater Guarini i jego włoskie przysłowia i język tak na dworze używany, bo począł od włoskiego:

— *Si riscontrano gli nomini, e non le montagne.*

Brühl stał osłupiały: widoczném było, że nie chce i nie może pozostać.

— Musiałeś pan słyszéć bajkę—rzekł Sułkowski—o burzy, która wilka z owcą razem napędziła do pieczary... cóś podobnego jest z nami. Przecież w taką słotę i pluchę nawet nieprzyjacielowi nie godziło się przytułku odmówić.

Brühl stał niemy, zwracając się napół ku drzwiom.

— Bądź pan hrabia pewny, że ja mojego położenia nadużywać nie będę, by się znęcać nad nim—dodał Sułkowski. Prawdziwie zabawna rzecz takie spotkanie dla mnie i to jeszcze w chwili, gdy po latach czternastu, losu ręka mnie pomściła.

— Mości książe!—przerwał Brühl jak najłagodniéj.

— Mości hrabio—odparł Sułkowski—gdyby to od waćpana było zależało, zamiast księztwa miałbym dziś wygodną kwaterę w Koenigsteinie.

— Mości książe—wtrącił Brühl—przypisujesz mi większą władzę niż miałem... Upadek swój winieneś położyć najprzód na karb własnéj nieopatrzności, potém słusznego czy nie

gniéwu królowéj imości, naostatek woli N. Pana, któréj ja byłem tylko wykonawcą.

— Mości hrabio!—rzekł Sułkowski—należy wcale odwrotnie powiedzieć, tak jak historya kiedyś zapisze, że N. Pan był i jest wykonawcą jego fantazyi...

— Książe się mylisz...

— Hrabia nie możesz mnie przecie sądzić tak ograniczonym—dokończył Sułkowski—abym znając lepiéj od innych charaktery i położenie, dał sobie wmówić niewinność pańską!

— Boga biorę za świadka! — zawołał, składając ręce Brühl.

— To najwygodniéj—odparł Sułkowski—bo świadek ten nie miesza się do spraw naszych tak czynnie, aby dla nich zstępował na ziemię. Najlepszém świadectwem Bożém jest los, który waćpana spotyka. Oto są owoce waszéj polityki: pruski najazd i sromotna króla ucieczka.

Brühl się zżymnął.

— To nie koniec, to początek!—rzekł—zobaczymy jak na tém wyjdą najezdnicy, a jak my.

— Tak, król i pan na Ocieszynie jedziecie drugie uszczęśliwiać królestwo, aby je przywieść do tego stanu co Saksonię! —rozśmiał się Sułkowski.

— W zarządzie Saksonii—kłaniając się rzekł Brühl—nie potrzebowałem żadnych inowacyi, dosyć mi było wstępować w ślady mojego znakomitego poprzednika.

Sułkowskiemu oczy błysnęły.

— Poprzednik pański inaczéj układał przyszłość Saksonii —rzekł Sułkowski dumnie—dowodem ten plan, który podchwyciwszy mu wydałeś pan dworowi austryackiemu przez księcia Lichtensteina.

Brühl zżymnął się.

— Ja? ja o tém nie wiem nic—przebąknął ponuro zmieszany... Jeśli kto się tego dopuścił.

Sułkowski śmiać się począł i przeszedł zdala po pokoju, unikając zbliżenia do Brühla.

— Słuchaj Brühl, mówię po staremu i bez tytułu—rzekł zwracając się—nie graj komedyi przynajmniéj ze mną: to się na nic nie zdało. Tak samo jak ze mną nie odegrasz jéj w obli-

czu historyi, któréj okłamać niepodobna. Zamkniesz usta Erellom i Justim. zakażesz pisać, mówić, myśléć, ale ostatecznie czyny twoje cię wydadzą. Możesz sobie kupić bezkarną teraźniejszość, ale nie jest w niczyjéj mocy uczynić cię czystym przed historyą. Staniesz przed nią jak na sąd Boży nagim, odartym z maski, różu i bielidła, a uniknąwszy pręgierza za życia, nie ujdziesz go po śmierci.

— Moje życie całe jest jawném!—zawołał Brühl unosząc się—tajemnic nie mam: pragnę tego sądu mości książe.

— A gdybyś go nie chciał, czy chciał mości hrabio, nie unikniesz; to darmo... będzie nieubłaganym i okrutnym.

— Poddaję się mu—przerwał Brühl—nic sobie do wyrzucenia nie mam; wy zaś mości książe, przebaczam wam, mówicie jako współzawodnik, któremu nie dało się to samo zrobić dla siebie, co mnie szczęście w ręce wcisnęło.

— Jak się to szczęście nazywa?—śmiejąc się zawołał Sułkowski—Padre Guarini, czy....

Brühl się zarumienił, książe ramionami ruszył.

— Na honor hrabio, ja zdala admiruję was.... Nie mówcie mi że jabym to samo co wy na waszém miejscu mógł uczynić! Ja wyznaję w pokorze nie potrafiłbym ani połowy zła i fałszu, jakieście dokonali przyprowadzić do skutku. Chciałem sławy, wielkości, wzrostu Saksonii, znałem Augusta III, pana naszego szlachetną ale nieudolną i leniwą naturę; stałem na straży, aby moją energią jéj dopomagać. To co mam winienem wspaniałomyślności pana mego a nie przewrotnym rachunkom.

— Mości książe—przerwał Brühl—tego już nadto.

Sułkowski się zwrócił ku niemu ruszając ramionami.

— Przecież my oba jak Augurowie rzymscy możemy się z téj komedyi za kulisami śmiać nie kryjąc przed sobą!! Możecie być dla drugich niewinnym Efraimem... Ale dla mnie będziecie starym dobrze znanym Brühlem, któregom widział w paziowskim mundurze kłaniającego się lokajom....

Ministra twarz bladła i czerwieniała naprzemiany, niecierpliwość go porywała, widać było że chwilami chciał wyjść, to znowu jakby nierozpaczając jeszcze o tém że się potrafi zbliżyć i wytłumaczyć, zatrzymywał. Brühl miał w towarzystwie wielką zręczność, giętkość, nieustraszoność, sofizmat zawsze go-

towy, wykręt łatwy; znał Sułkowskiego ociężałość, sądził iż go pokona w końcu. Tu jednak rachuba chybiła, Sułkowski czerpał wymowę i moc z wyjątkowego położenia. Napróżno szukając jakiegoś punktu oparcia, Brühl w końcu odezwał się cedząc pocichu wyrazy:

— W. Książęca Mość winienbyś choć dlatego być nieco względniejszym dla Brühla, że Brühl w Polsce gdzie posiadasz dobra, także coś znaczy.

— Tak, ale w Polsce panie Brühlu, są pewne prawa, które więcéj znaczą od ministrów, a może i kogo starszego jeszcze. W Polsce raczéj się Brühl mnie niż ja jego obawiać może. Szlachta wielkopolska pójdzie za mną, bom ja téż niedawno ze szlachcica urosł na austryackiego księcia.

— Zaszczyt szlachectwa polskiego i ja z W. Ks. Mością mam wspólny—przerwał Brühl.

— A! przedziwna farsa!—rozśmiał się Sułkowski.—Jestże w kraju całym jeden człowiek coby nie wiedział jakeście z turyngskiego do polskiego szlachectwa przyszli. To wasze szlachectwo jest jak wszystkie wasze czyny okłamaniem prawdy.

— Mości książe, jeżeli życzysz sobie bym opuścił izbę —rzekł Brühl zabierając się do wyjścia.

— Wcale nie, bo mnie ta scena bawi—odparł książe— ale powtarzam panu, my z sobą komedyi grać nie potrzebujemy.

Stanęli chwilę milczący, wpośród ciszy słychać tylko było deszcz bijący w szyby gospody i spływające z szumem z dachów i rynien strumienie wody. Dla Brühla było to groźbą przykuwającą go do téj jedynéj wolnéj izby, którą z nieprzyjacielem podzielać musiał. Minister namyślać się zdawał.

— Mości książe—odezwał się—mówmy jak starzy towarzysze....

— Fatalne przypomnienie!—mruknął Sułkowski.

— Na dowód że nie miałem nic osobiście przeciw księciu, ofiaruję się go z królem przejednać. Brzemię tych urzędów, które dźwigam, w istocie dla mnie zaciężkie.

— A tak—przerwał Sułkowski—mógłbyś się niemi podzielić, liczmy: wielki podkomorzy, prezydent izb, najwyższéj izby podatkowéj, akcyzy generalnéj, fundacyi naumburgskiéj i merseburskiéj dyrektor, generalny komisarz portów morza

Baltyckiego, komendant saskich wojsk w Polsce, półkownik szwoleżerów i regimentu pieszego, fundacyi meisseńskiéj kapitularz, proboszcz Budziszyński, kawaler polskiego orderu Orła Białego i rossyjskiego ś. Andrzeja, a nawet pruskiego Orła Czarnego! Czy to wszystko? Starostw polskich nie liczę. Cha! cha! śmiał się Sułkowski.

— Bez żartu — przerwał Brühl — jestem znużony, nie jestem zazdrosny; jedź książe do Warszawy, ja go z królem przejednam.

— Tak, aby nazajutrz potém bez sądu wyprawić mnie bezpiecznie do jednéj z fortec saskich — przerwał Sułkowski.— Nie: dziękuję wam. Wolę przebywać na wiedeńskim dworze i ztamtąd genialne wasze podziwiać czyny!!

Brühl westchnął, oczy podnosząc w niebo. Już naówczas był autorem owéj sławnéj książki o modlitwie, która go w oczach łatwowiernych pobożnym a w innych świętoszkiem czyniła [1]) i chętnie odegrywał rolę niewinnéj ofiary.

— A!—zawołał—nie ma pod słońcem nieszczęśliwszego człowieka nademnie, przy wszystkich szczęścia pozorach. Pokutuję za cudze winy, gdy to co mogłem kiedy dobrego uczynić przypisywane jest drugim; nikt mnie nie zna, potwarz się znęca nademną: ci którym życzę dobrze, ścigają mnie.

— A! kochany hrabio—śmiał się Sułkowski—rola Zinzendorfa, którego wygnałeś z kraju za jego pobożność, nieprzystała wam. Gracie ją źle.... bracia Morawscy was nie przyjmą, a tacy ludzie jak ja wyśmieją. Dajcie temu pokój: ogrzyjcie się przy kominie i nie mówmy więcéj.

To mówiąc, książe usunął się prawie pod samo okno, znalazłszy fotel w kątku siadł na nim zamyślony i milczący. Brühl też zajął miejsce zdala, nie patrząc już nań i zdając się tylko zajęty rozgrzaniem i odpocznieniem. W dziwném tém położeniu, spoglądając niekiedy na siebie przetrwali czas jakiś. Sułkowski nie myślał wcale przerywać milczenia, Brühl nie tracił nadziei trafienia jeszcze w jakąś słabą stronę nieprzyja-

---

[1]) Die wahre und gründliche Gottseligkeit aller Christen iugemein, nebst einer abhandlung vom Gebet. 1740. Drugie wydanie z r. 1773.

ciela i rozbrojenia gniewu jego; lecz początek był trudny, gdyż z różnych stron zachodząc został już zbity z tropu i nie mógł nowéj wynaleźć ścieżki, któraby go do celu wiodła.

Upłynęło pół godziny a na podwórzu wzmagał się wicher i niepogoda. W kominie świszczał i wył jesienny wiatr najdzikszemi głosami, czasem okna brzęczały od nacisku burzy, która zdawała się odlatywać i powracać, wysilona spoczywać i znowu złością podnosić.

Dziwne to towarzyszenie rozmowy dwóch współzawodników wybornie się z jéj tonem zgadzało. Niekiedy drzwi otwarte w gospodzie, zatrzaskiwały się same gwałtownie, tak że ściany domu drgały. Resztki ognia jakby popchnięte niewidzialną siłą, pochylały się zwyciężone na izbę i pędziły w nią kłęby dymu, to znowu wzmagając się wracały do komina. Najweseléj usposobiony umysł musiałby był uledz wrażeniu téj nocy, i rozpasanych żywiołów.

Brühl niekiedy wzdychał.

Głowę zwrócił ku Sułkowskiemu, który zdawał się drzémać obojętny.

— Pozwól mi książe, słowo jeszcze powiedzieć, nie na uniewinnienie moje, ale dlatego, bym przemilczenia nie miał na sumieniu.

— Co za delikatne i drażliwe sumienie!—szepnął Sułkowski.

— Król nasz, dziś urazy zapomniał, przebłagaćby go było łatwo—dodał—ja nie chcę być pośrednikiem, bo nie mam wiary u W. Książęcéj Mości, ale ks. biskup krakowski, lub....

— Czy hrabia chciałbyś mi wmówić—odezwał się zagadnięty—że król kiedykolwiek zażalonym był na mnie?? Nie łudź się pan tém, byłem i jestem świadomym wszystkiego co przed laty czternastu spowodowało mój upadek; mam najmocniejsze dowody iż królowi narzuciliście gwałtem moją niełaskę, żeście pracowali nad nim i musieli o nią walczyć.

— Ja? ja? przeczę temu i protestuję—zawołał Brühl.

— Brühl!—krzyknął Sułkowski—za kogo mnie masz, bym ci przypisywał robotę własnoręczną, tam gdzie mogłeś ją cudzemi wykonać rękami? Nadto jesteś doskonałym artystą,

abyś miał występować tam, gdzie żar możesz palcami drugich zagrzebać.

Brühl ruszył ramionami.

— Nic łatwiejszego nad potwarz!—rzekł z westchnieniem.

— A nic czasem podobniejszego do potwarzy nad prawdę—dodał Sułkowski. Gdybym mógł waćpanu objaśnić, jak i za czyją radą wyjechałem nocą z Uebigau, aby uniknąć zgotowanego dla mnie pomieszkania po Hoymie; przekonałbyś się że znam moję sprawę do gruntu.

— Tak—przerwał żywo Brühl—lecz jeśli w istocie znasz do gruntu sprawę, toś książe i to wiedzieć powinien....

Tu się zaciął nieco.

— Że ja także jestem w rękach: ludzi, sił, nazwij to jak chcesz, których narzędziem być muszę.

— Powiedz hrabio, że chcesz być ich narzędziem—rzekł Sułkowski—i właśnie żem ja nie mógł i nie chciał być niczyjém, zostałem strącony. Do téj roli jam stworzony nie był, a waćpan odegrywasz ją jak prawdziwy wirtuoz.

I począł się śmiać cicho.

— Ale książe kochałeś króla—rzekł minister rzucając się w inną stronę—nie miłożby było zbliżyć się do niego.

— O! pewnie gdybyście przez lat czternaście pracując nad tą łagodną i flegmatyczną naturą nie uczynili z niéj lalki wam posłusznéj, nałogowo do spokoju nawykłéj i nieumiejącéj kochać nikogo, a bawiącéj się wszystkiém—westchnął Sułkowski. Patrzeć dziś na tę ruinę człowieka, nadto boleśnie. Pomści go przyszłość na pamięci waszéj.

Zamilkli znowu—Brühl dodał jeszcze:

— Nie mam sobie nic do wyrzucenia. Zdało mi się że sama Opatrzność sprowadziła nas tutaj, aby zabliźnić do reszty ranę, i krzywdę uczynioną wynagrodzić. Z méj strony wszystko co tylko można było wymyślić, zrobiłem dla spełnienia widoków Opatrzności, aby być posłusznym palcowi Bożemu.

— Bóg i Brühl, jak to brzmi!—rozśmiał się Sułkowski.— Naprawdę pozazdrościłeś sławy Zinzendorfowi. W dziwném usposobieniu spotkałem w. ekscelencyą; między luteranizmem saskim, a katolicyzmem polskim. Widać że te dwa wyznania zeszły się na granicy i zdublowały, a ztąd taka pobożność!

— Jestem katolikiem—odezwał się Brühl.

— Wiem, w Polsce—odparł Sułkowski—*ratio status.*

Brühl zamilkł.

— A nawet musicie być bardzo gorliwym, gdy was poczciwy Guarini tak proteguje.

Mówiąc splunął Sułkowski, pochylił się i przylegnął niemal do szyby ciemnéj, chcąc wyjrzéć na podwórze.

Potém słowa niemówiąc, wziął futrzaną czapkę i zostawując Brühla samego, wyszedł z izby do sieni. Wiatr wył ciągle i deszcz lał jak z rynny, pomimo to nie wchodząc już do izby, książe kazał kamerdynerowi zaprzęgać.

Służący chciał protestować.

— Do piérwszéj lepszéj wsi, gospody, chaty, byle ztąd precz—zawołał.—A prędko!!

I nie wszedł już do gościnnéj w któréj Brühla pozostawił; wolał sień zimną, a gdy nareszcie po dość długiém oczekiwaniu powóz zaszedł przed ganek, rzucił się doń niecierpliwy i pytającemu słudze odparł:

— Dokąd chcesz: wszystko jedno.

Przez oświecone z wnętrza okno gospody widać było cień czyjś, jakby usiłujący dojrzéć w ciemności co się przed domem działo. Powóz Sułkowskiego ruszył, i głowa w oknie znikła.

WARSZAWA

I JEJ SPOŁECZNOŚĆ,

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA.

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dokończenie).

XV.

Pałac Kazimierowski. — Koszary Kadeckie. — Liceum warszawskie. — S. B. Linde.— Słownik języka polskiego. — Uniwersytet warszawski.— Gabinety.— Professorowie.—Józef Skrodzki.—Feliks Bentkowski.—Bibliofile.—Fryderyk hr. Skarbek.—Ludwik Osiński.—Kazimierz Brodziński.—Jan Wincenty Bandtkie.—Adam Kitajewski.—Pawłowicz.—Egzamen.—Rektor ksiądz Szwejkowski.—Biblioteka publiczna.— Gabinet rycin.—Jan Piwarski.— Wystawa obrazów. — Antoni Brodowski. — Ziemięcki. — January Suchodolski. — Dynasowskie. — Ordynackie. — Dom Towarzystwa przyjaciół nauk. — Zbiory Towarzystwa.— Posąg Kopernika.

Obok pałacu Potockich łączy się z nim nawet gmach zwany oddawna pałacem Kazimierowskim, a w tym okresie miał i drugą nazwę „Koszar Kadeckich.“

Kiedy Mazowsze było udzielném księztwem, a Warszawa jego części stołeczném miastem, w tém samém miejscu stał folwark do wsi Kałęczyn należący i dwór letni książąt Mazowieckich. Później po przyłączeniu Warszawy do Korony, tu mieściły się stajnie królewskie i ogród, co nazwano „Oboźnią.“

Za króla Zygmunta III stojący tu dwór, Władysław IV posiadłszy w roku 1635 przebudował na pałacyk z drzewa także wzniesiony i przemieszkiwał w nim jako królewicz.

Następca jego Jan Kazimierz wymurował gmach cały, stojący dotąd i od imienia tego króla, nazwę pałacu Kazimierowskiego przybrał. Późniéj był własnością króla Jana Sobieskiego, Augusta II i Augusta III, który go darował ulubieńcowi swemu Józefowi Aleksandrowi Sułkowskiemu w r. 1735. Stanisław August w rok po wstąpieniu swoim na tron, odkupił od Sułkowskiego i tu pomieścił założony przez siebie korpus kadetów.

Młodzi kadeci mieścili się w dwóch podłużnych oficynach, powiększéj części drewnianych; pamiętam jeszcze, gdy w dniu 30 lipca 1814 ogarnął je straszny pożar i w zgliszcza zamienił. Mieściło się w nich w ową porę sto dziewięć familii, które ledwie życie uniosły, straciwszy całe swoje mienie. Nazajutrz, będąc chłopcem siedmioletnim, pobiegłem z ojcem na pogorzelisko: jeszcze się głownie żarzyły i zalewano je starannie. Sam korpus pałacu oczerniał od dymu.

Stanisław August po urządzeniu pomienionego zakładu naukowego, z którego wyszło wielu znakomitych mężów, pomiędzy którymi był Tadeusz Kościuszko i generał Michał Sokolnicki, odprzedał te gmachy skarbowi koronnemu. Korpus kadetów mieścił się tu do r. 1795, a po jego zniesieniu, gdy Warszawę Prusacy zajęli, zabrali na własność swoją.

W tym gmachu założono w r. 1804 *liceum warszawskie*, zakład naukowy wyższy, którego pierwszym rektorem został Samuel Bogumił Linde, autor *Słownika języka polskiego*. Druk tego wiekopomnego dzieła rozpoczął 1807 r. i skończył w Warszawie 1814, w siedm lat późniéj. Wywołało ono w jednych podziw i uwielbienie, w drugich co stronili od pióra, niedowierzanie.

Ztąd wielu rozgłaszało, że to nie Linde pisał, ale że znalazł gotowy w jakimś klasztorze rękopism i sobie go przyswoił. Wieści te dochodziły samego Lindego, na które z uśmiechem odpowiadał:

— „Dajcie im mówić, oni nie wiedzą jaką mi tém cześć oddają, bo nie mogą pojąć ogromu takiéj pracy.“

Bajka ta osnutą została z tego powodu, że Linde jeździł z upoważnienia ministra oświecenia Stanisława hr. Potockiego i zabierał po zniesionych klasztorach biblioteki, które posłużyły do założenia biblioteki publicznéj w Warszawie. Urodzony w Toruniu w drugiéj połowie zeszłego stulecia, liczył już piąty krzyżyk wieku, gdy Uniwersytet warszawski powstał. Z upodobaniem wspominał lata dziecinne i często żartobliwie powtarzał, że Kopernik, Linde i piernik, jednę mają ojczyznę, gdyż najsławniejsze jak wiadomo w Toruniu wypiekano pierniki.

Był to człowiek nizkiego wzrostu, nieco od pracy pochylony, twarzy pociągłéj i dużego nosa: szczupły ale miał stopy nadzwyczaj wielkie. Jako rektor liceum, kochany był przez uczniów, gdyż był

dobrym ich przyjacielem i opiekunem. Kiedy na dziesięć minut rój młodzieży wysypał się na obszerny plac Kazimierowski, Linde ze szkiełkiem w ręku przyglądał się ich figlom przez okno i cieszył swobodą jakiéj używali. Nieraz wołał starszą ze swych córek i mówił:

— Patrz! jak dzieci moje (tak nazywał uczniów) dokazują: ale niechaj mnie nie widzą, bobym im mógł przeszkodzić w zabawie.

Zawsze dwa razy dziennie murgrabia ówczesny Żyro przychodził oznajmiać o zaczęciu nauk i przybyciu professorów na lekcye: jeżeli się zdarzyło, że który zasłabł lub nie przyszedł, a zastępstwo nie było urządzone, Linde brał książkę z notatkami w rękę, nieraz wstawał od obiadu i szedł do klassy.

Od roku 1805 uczniem liceum był Fryderyk hr. Skarbek, przechowywał on zawsze szczerą wdzięczność dla Lindego, jako przewodnika zacnego i kochał go miłością synowską. Listy, które pisywał do niego z Paryża, są tego wymownym dowodem.

W cztery lata późniéj 1809 roku przełożywszy wybrane pieśni *Anakreonta* w rękopiśmie, przypisał Lindemu i oprawny egzemplarz z nadpisem: *Hołd wdzięczności*, złożył [1]).

Leży w téj chwili przed mojemi oczyma ten sam egzemplarz ofiarowany Lindemu, własną ręką Fr. hr. Skarbka cały napisany: pismo staranne, wyraźne, przypomina charakter późniejszéj ręki autora: *Pana Starosty*. Papier czysty choć nieco zżółkły, bo to już upłynęło od owéj pory lat sześćdziesiąt pięć. Liceum wydało znakomity poczet z prawdziwym talentem młodzieży. Uczniami téj szkoły byli: Zygmunt Krasiński, Dominik Magnuszewski i Konstanty Gaszyński; ztąd ich przyjaźń szczera i serdeczna. Wymieniamy tych tylko, lubo z liceum przez ćwierć wieku wyszło mnóstwo zacnych obywateli, zdolnych i prawych urzędników. Głupiéj bajce o przyswojeniu sobie przez Lindego *Słownika języka polskiego*, żaden z naukowych ludzi nie wierzył. Po ukończeniu w druku tomu VI tego dzieła, dnia 7 marca 1815 r. odbyła się uroczystość literacka.

„Obiad dany (pisze Fryderyk hr. Skarbek) przez członków Towarzystwa warszawskiego przyjaciół nauk dla Lindego, z powodu ukończenia Słownika języka polskiego, był złożony z potraw narodowych i napojów, ale był i węgier. Na stole zamiast tortów i cukrów, ustawiono wszystkie tomy słownika, uwieńczone laurem, z gałązek drzewa laurowego z Willanowa. Po wzniesioném zdrowiu przez Niem-

---

[1]) W siedm lat późniéj Skarbek ten rękopism poprawiony, zmieniwszy przedmowę, i opatrzywszy pieśni Anakreonta objaśnieniami, wydrukował w Warszawie 1816 r. Rękopism obejmuje 47, drukowanych jest tylko 43 pieśni. Przypisane Lindemu, a na czele oryginalna pieśń: *Do Gołąbka* Skarbka, którego wysyła do przewodnika młodości, aby mu wyraził wdzięczność i uwielbienie.

cewicza prezesa Towarzystwa, Staszic wniosek zrobił na pomnik Kopernika i zebrano 9,000 zł. pol.“

W następnym roku Linde otrzymał z rąk namiestnika królewskiego księcia Zajączka, złoty medal z napisem: *Za Słownik polskiego języka ziomkowie, 1816 roku.*

Ówcześni literaci wierzyli godłu jaki sam Linde położył z *Pana Podstolego,* Krasickiego na ostatnim tomie tego dzieła: *Com sobie postanowił, to dotrzymałem*, bo znali już jeżeli nie większéj wymagające pracy, to równéj dzieło: Kacpra Niesieckiego *Herbarz*, w czterech wielkich tomach.

W obrębie Kaźmirowskiego pałacu zaczęto wznosić obszerne budowle i oficyny, na pomieszczenie postanowionego już Uniwersytetu warszawskiego, który założonym został w 1817 roku.

Zaraz przy wnijściu od Krakowskiego Przedmieścia po obu stronach stanęły dwa duże gmachy piętrowe, z tych po lewéj stronie od wchodu był poświęcony na prelekcye, lewy na gabinety: zoologiczny i mineralogiczny; w tymże gmachu na dole mieścił się wydział sztuk pięknych, w którym kształcił się Rafał Hadziewicz i gabinet wzorów gipsowych.

W roku 1827 liczył gabinet zoologiczny przeszło 25,000 okazów: we wtorki i we czwartki bywał otwarty, ściągając mnóstwo ciekawych. Do tego gabinetu dołączony był zbiór zręcznie naśladowanych z wosku roślin, a wyrabianych przez professora Hoffmana, który wykładał akademikom o flogistonie, niedopuszczając nowo odkrytego kwasorodu.

Gabinet mineralogiczny otwierany dla publiczności co wtorek, odznaczał się zarówno ilością, jak bogactwem swoich okazów. Zwracały w nim uwagę piękne wyciski roślin i zwierząt, skamieniałości i piękny zbiór agatów. Z dubletów do 15,000 sztuk wynoszących, utworzono dwanaście małych zbiorów i dla szkół wojewódzkich rozesłano.

W lewém skrzydle, jak mówiliśmy, odbywały się prelekcye; tu miewał wykłady swoje z fizyki Józef Skrodzki, które łączył z doświadczeniami, mając zasobny gabinet fizyczny pod ręką. Średniego wzrostu, szczupły i blady, cichy i skromny, namiętnie oddany swemu przedmiotowi, wyczerpał wątłe siły i też zgasł wcześnie, bo liczył tylko 45 lat wieku. Na jego drobném obliczu malowała się sama słodycz i dobroć. Urodzony na Litwie, wyższe nauki pobierał w Uniwersytecie wileńskim: za przybyciem do Warszawy, w liceum pod rektorstwem Lindego, zaczął wykładać, następnie od utworzenia Uniwersytetu warszawskiego objął katedrę fizyki. Wykład jego był zwięzły i jasny, słuchałem go zawsze z nadzwyczajném zajęciem. Gdy Bentkowski przestał redagować *Pamiętnik Warszawski* dla braku prenumeratorów, Brodziński, Skarbek i Skrodzki, w chęci podtrzymania dalszego wydawnictwa naukowego organu, objęli to

wydawnictwo w roku 1822 i wydali do 1823 roku tomów sześć, które zamknąć podobnież musieli, bo prenumerata nie pokrywała kosztów druku i papieru, chociaż za rękopisma nie płacono żadnego honoraryum. W tym *Pamiętniku* znaleźć można wiele rozpraw Skrodzkiego. Fryderyk hr. Skarbek był jego serdecznym przyjacielem.

Na témże piętrze wykładał historyą powszechną Feliks Bentkowski, zasłużony pisarz; szczególniejszy rozgłos pozyskał dziełem: „*Historya literatury polskiéj, w spisie dzieł drukowanych wystawiona.*“ (Warszawa, 1814 r., dwa tomy). Pracą tą, na swoje czasy znakomitą rozbudził z uśpienia wiele umysłów i dał popęd do badań zabytków literatury ojczystéj z zapadłéj przeszłości. Nietylko w tém spoczywa zasługa Bentkowskiego, ale dodajmy że dzieło to wywołało szereg nie mały zapalonych *bibliofilów*, którzy na wyścigi upędzali się za zbieraniem starych gockim drukiem książek i białych kruków bibliograficznych.

Znałem wielu bibliofilów, co wyraźnie polowali na rzadkie stare wydania, aby się tylko pochlubić mogli, że je mają; ale nikomu nie użyczyli, co najwięcéj, że dla dogodzenia miłości własnéj pokazali ci tylko na chwilę. Gdy jaka osobliwość wpadła w ręce takiego lubownika, mogłeś być pewnym, że ją nikt czytać nie będzie, a zobaczysz jéj tylko kartę tytułową i format. Wiadomości téż nasze bibliograficzne ograniczały się jedynie na katalogowym opisie; podawano wiernie tytuł, format, ilość stronnic albo arkuszy i czasem notatkę, do jakiéj gałęzi literatury należy. W tym gorączkowym popędzie zdawało się, że zbieracze nie mają czasu do przeczytania swoich zdobyczy i udzielenia chociaż w krótkości treści i maleńkich wyjątków dla poznania języka i stylu.

W stosunku coraz większéj liczby amatorów gockich druków, ceny ich szły w górę niesłychanie; niektórym z nich udało się, gdy się wcześniéj krzątać poczęli, zebrać śliczne księgozbiory z samych najrzadszych zabytków starożytnéj literatury i to za bezcen. Znaleźli się wtedy i zręczni *faksimiliści*, którzy do niepoznania, braki i usterki w starych drukach umieli tak wypełniać, że najbieglejszego badacza potrafili złudzić.

Wybornie fabrykowali papiér za pomocą moczenia w kawie, dobierali tuszu odpowiedniego drukowi i dopisywali wprawną ręką czy całe karty, czy téż dopełniali nadłataniem powyrywane.

Znałem jednego z zapaleńszych bibliomanów, który od rana do nocy biegał za łowieniem gockich druków. Kazał sobie zrobić sofkę szeroką na któréj sypiał, w niéj kilka głębokich szuflad, w które chował największe rzadkości bibliograficzne. *Historya literatury polskiéj* Bentkowskiego, leżała u niego zawsze roztwarta na stole. Cóż to była za radość, jeżeli co złowił takiego, o czém Bentkowski nie wspomniał, albo wspominając, wyraził że sam nie widział.

Miałem wielkie łaski u niego: ja tylko jeden, co mogłem wchodzić do jego sypialni i przeglądać przechowane zbiory, lubo do domu żadnéj książki nie użyczył. Nie rad zbierał rękopisma, tylko na *gockie* druki polował.

Wchodzę raz, rzuca mi się na szyję z szaloną radością, z iskrzącémi oczyma, pokazuje jakąś broszurkę zdaleka.

— Co to jest?—zapytałem.

— Całuj! klękaj! i czytaj!—wykrzyknął i drżącą ręką, jednę z osobliwych rzadkości broszurę Bartosza Paprockiego, p. n. *Król* czy *Senator*, nie pomnę już dobrze, pokazał:

— Patrz! Bentkowski o tém ani dudu! nikt nie zna! Pytałem kilku naszych zbieraczy, żaden nie widział, ani słyszał. Pan Jan, a wiész co to za łowiec na takie rzeczy, aż zbladł jak chusta, powiadam ci, jak Boga kocham! Chciał zobaczyć! aha! albom ja głupi pokazać jemu! co *Bazyliszkowemi* oczyma połknąłby mego *raroga!* Nie! pokazuję ci, zobacz tytuł, spamiętaj, policz kartki, spojrzyj co za pyszny egzemplarz i głoś światu o mojéj świetnéj zdobyczy. To na wagę złota panie dobrodzieju! ale co ja gadam! niech mi kto da tyle dukatów holenderskich co zaważy, zobaczysz czy dam!

Tak mówił z zapałem do szału dochodzącym, a ja zaledwie miełam tyle czasu, ile potrzeba było do obejrzenia zewnętrznie téj broszury, kiedy wyrwał mi ją z ręku, roztworzył szybko szufladę w swojéj sofie, rzucił w nią swego *raroga*, zasunął, zamknął na klucz i zmęczony zasiadł, chcąc schwycić powietrza do swobodniejszego oddechu.

— Wartoby—mówiłem do niego - żebym tu przejrzał, choć bibliograficznie opisał, żeby świat wiedział, że taka osobliwość jest w twoim ręku.

Potrząsnął głową z niechęcią.

— To jużby połowę wartości straciła—odpowiedział—pozwalam ci mówić, ale broń Boże pisać. Tu! tu!—ciągnął daléj, pokazując na szuflady sofy—są skarby, o których nikomu się nawet nie śniło; same raritasy, białe kruczki, panie dobrodzieju. Sypiam téż na nich, niemi się delektuję i umrę z niemi.

W kilka dni przychodzę, znajduję go smutnego, prawie w rozpaczy.

— Wiesz! pan Jan, panie dobrodzieju, spolował *Herbarz Gorczyna* i to u żyda niedaleko Św. Krzyża! Spotkałem go, gdy niósł do domu tę zdobycz! Nie dał mi nawet w ręce, zdaleka pozwolił tylko tytuł przeczytać! Serce mi bić poczęło gwałtownie, zaciemniało mi w oczach! Żeby to nie na ulicy, byłbym wydarł i uciekł... niechby mnie procesował, zapłaciłbym coby chciał, ale *Gorczyna* miałbym w kieszeni! a ten człowiek pastwił się nademną, żyłował nielitościwie, bo wziął mnie pod rękę i opowiadał, jak to umiał przed żydem swoją radość ukryć, aby taniéj kupił.

— Jakem zobaczył tego *kruczka*—mówił mi—wszystko we mnie zadrżało, ale udaję obojętność. Żyd patrzy mi w oczy. Co chcesz?

„Trzy talarki.“ Głupiś. „Nu! dwa!“ Głupiś! I skończyłem na talarku. Panie! jakem uczuł herbarzyk na sercu, myślałem że ze skóry wyskoczę: cały z radości spotniałem! I to mnie opowiada, a ja się ze złości trzęsę, mało mnie dyabli nie biorą. Już dwa dni chodzę jak nie swój: obiadu wczoraj nie jadłem!

Ulitowałem się nad jego męczarnią.

— A gdybym ci równie, a bodaj czy nie rzadszą rzecz dał od Gorczyna?

Zerwał się równemi nogami z krzesła.

— Królu mój! Ojcze kochany! co mówisz?—zawołał z rozjaśnionemi oczyma z radości.

— Naprzykład—mówiłem zwolna—jaki *inkunabuł* polski, tak mniéj więcéj coś z pism Trzecieskiego, Mikołaja Reja z Nagłowic, albo coś podobnego, hę?

— Nie gadaj ojcze kochany! a tobym chyba zwaryował panie dobrodzieju! Czy wiesz, mam pierwsze wydanie Jana Kochanowskiego *rarytne*, całkie jak z igły zdjął; mam owe sławne wydanie pierwsze Macieja Wirzbięty *Dworzanina* Łukasza Górnickiego z r. 1566. Co to za edycya! jaka to ojcze kochany troskliwa była korrekta: czyż nie wyżéj stały w owe czasy nasze drukarnie? To panie dobrodzieju, w takiéj dużéj księdze tylko jeden błąd drukarski! Gdzież to dziś zobaczy, co na każdéj stronnicy masz po kilka dobrych *byków*. Ot! naprzykład! mam tu książkę świeżo wydaną: patrz co porobili! Zamiast *siewcy* wielkich myśli, masz ojcze kochany *szewcy;* zamiast wielki *komik*, wydrukowali *kanonik;* zamiast *przędzę* myśli, czytasz *nędzę;* ale co najzabawniejsze, zamiast *dobroczynność*, jakby umyślnie wydrukowali *drobnoczynność*. Już nie przytaczam obraźliwych omyłek dla naszego ucha. Mam ojcze kochany Paprockiego, *Gniazdo cnoty* i jego *Herby rycerstwa polskiego;* mam tyle tu rzeczy (i wskazał spód sofy, na któréj rozrzucona była pościel) a jeszczem nie uchwycił z 1530 do 1540 polskiego druku. Ach! to *rarytasy!* Dopierobym się śmiał z pana Jana! My bo żyjemy w przyjaźni z sobą ojcze kochany, ale potnieje z nas każdy, kiedy drugi pochwyci białego kruka. Ale już dość gawędy, pokażże mi panie dobrodzieju.

I wyciągnął drżące ręce. Odstąpiłem kilka kroków w tył, i dla większego wrażenia, zawinięty w nową chustkę fularową, wyjąłem świstek trzy kartkowy. Była to pieśń pobożna z nutami, z wyraźnym rokiem 1532 przy drzeworycie. Zerwał się nasz biblioman, pochwycił z rąk moich, przejrzał szybko, prędzéj jeszcze porwał za klucz wiszący mu na szyi na jedwabnym sznurku, roztworzył szufladę sofy, rzucił w nią tę osobliwość w saméj rzeczy bibliograficzną a zamknąwszy, zaczął biegać po pokoju.

— Teraz ojcze kochany! bij mnie, zabij a już ci nie oddam! Zapłacę co chcesz, nie, to masz... utocz krwi z ręki mojéj!

I tak rozmawiając rzucał się co chwila w moje objęcia, całował, ściskał, w końcu się rozpłakał. Patrzałem jak na człowieka pozbawionego zmysłów.

— Cóż chcesz? cóż chcesz? Wiele ci zapłacić?

— Nie chcę pieniędzy—odrzekłem—ale jeden warunek kładę, ofiarując tego *kruka* darmo.

— Z góry przysięgam ci na wszystkie świętości—wykrzyknął z roziskrzonemi oczyma—że wszystko zrobię! Wszak to dar monarszy dla mnie!

— Ażebyś mi pożyczał do domu dzieł żądanych, a ja na oznaczony dzień i godzinę zwrócę w całości. Zrobię tylko potrzebne mi wypisy z dodatkiem, że to z twojego zbioru.

Osmutniał nagle, ale gdym dodał, że się więcéj takich białych kruków może znajdzie, już nie cofnął słowa.

I tu znalazłem dopiero obfity zapas pomników literatury starożytnéj naszéj.

Wierny to obraz jednego z owych zapalonych zbieraczy z okresu od 1815 roku, ale to nie jedyny egzemplarz. Ludzie ci uniesieni szlachetnym zapałem, jakkolwiek nieużyci często, uchronili mnóstwo dzieł dawnych od zatraty, na które były wystawione, przez zaniedbanie i nieświadomość. Znalazły się takie druki i rękopisma, których Załuski daremnie poszukiwał; znalazło się wiele i takich, które pierwszy raz dopiéro poznano.

Jeden z takich lubowników schwytał pierwsze wydanie *Dworzanina* Górnickiego z nierozciętemi kartami, tak jak prosto wyszedł z pod prassy. Cóż to była za wrzawa między bibliomanami, co za podziw, jaka zazdrość i smutek zarazem!

Wśród zapału obudzonego przez Bentkowskiego, antykwaryusze rozbiegli się po kraju, dla zdobycia tyle pożądanego towaru. Ze strychów dworów ziemiańskich i zaścianków szlacheckich, równie jak mieszczańskich,.z bibliotek klasztornych kurzawą okrytych, przechodziły stare gockie druki w ich ręce. W archiwach familijnych znajdowano drogocenne rękopisma i osobliwości bibliograficzne.

Tak uratowano wiele druków *Macieja Wirzbięty*, jednego z najsławniejszych drukarzy polskich, którego wydania odznaczały się ślicznym gotykiem i najdoskonalszą korrektą. Znalazły się prawie wszystkie pisma *Reja*, *Marcina Bielskiego*, *Paprockiego*, przekłady mistrzowskie *Cypryana Bazylika* i wiele innych; zdobyto nawet nieznane nikomu unikaty.

Zamiłowanie to do pamiątek dawnéj literatury, rozeszło się w kraju, po dworach nawet mniéj zamożnéj szlachty zaściankowéj. Odebrano dzieciom foliały z drzeworytami którémi się bawiły, mażąc palcami, albo drąc karty; przestano ich używać dla dobroci papieru pod masło, na papiloty lub do obwijania wędliny. Z tak zdefektowanych egzemplarzy, składano jeden dobrze zachowany, bo bibliomani

nasi skrzętnie i podarte w części książki z gotyckim drukiem nabywali, w nadziei ich uzupełnienia, i nieraz się im to szczęśliwie udawało.

Rozbudzony handel księgarski na tego rodzaju zabytki, poruszył w obieg nie mały kapitał. Powstało kilka zbiorów wielce szacownych jak Chyliczkowskiego i Świdzińskiego; potrafili oni zebrać niesłychane rzadkości, prawdziwe skarby starożytnéj literatury.

Dzieło Bentkowskiego zwróciło Tytusa hr. Działyńskiego, od miłośnictwa koni, do zbierania książek i rękopismów, i piękny tego owoc mamy w bogatéj jego bibliotece w Kórniku.

Bentkowski też używał wielkiéj powagi pomiędzy literatami warszawskiemi. Towarzystwo przyjaciół nauk wezwało go na swego członka, Uniwersytet Jagielloński nadał mu godność doktora filozofii. Ale miru nie miał pomiędzy studentami Uniwersytetu Warszawskiego.

Dobrego wzrostu, atletycznéj budowy, miał głos silny, donośny, a surowe oblicze. Studenci bali się go, ale nie kochali jak Skrodzkiego i Brodzińskiego, dla jego szorstkiego obejścia, lubo cenili jego wykłady i naukę. Na lekcyi, wyrwawszy młodego *fuksa*, bo tak nazywano pierwszoletnich uczniów przybyłych ze szkół wojewódzkich, zapytał swoim tubalnym głosem:

— A proszę mi powiedzieć, czy rewolucya francuzką była po narodzeniu czy przed narodzeniem Chrystusa?

Student niedawno z prowincyi przybyły, zmieszany wywołaniem swojém, dosłyszawszy tylko ostatnie słowa professora, odrzekł drżącym głosem:

— Przed narodzeniem Chrystusa!

Ogólny śmiech zabrzmiał w całéj sali. Bentkowski spojrzał z ukosa na fuksa, czy czasem nie ma drwiącéj miny, ale ten bezprzytomny prawie osunął się w ławkę.

Szmer nieprzychylny dla professora poszedł następnie, i tego rodzaju zapytania nie dawały Bentkowskiemu miru w gronie młodzieży.

Od roku 1818 objął katedrę w Uniwersytecie warszawskim, młody, liczący dopiéro 26 rok życia Fryderyk hrabia Skarbek. Zaledwie ukazał się na niéj, pozyskał zaraz ogólną miłość studentów.

Dzielna i energiczna jego wymowa, jasna i dobitna, wykład płynny, bo gruntownie znał swój przedmiot, zachwycały wszystkich. Do tego i domowe jego stosunki niemało się przyłożyły. W tymże samym roku poślubił Praksedę Gzowską. Ojciec jéj oburzony w najwyższym stopniu że zięć jego *hrabia*, człowiek z tytułem i imieniem tak starożytnego rodu, mógł się poniżyć do takiego stopnia, że przyjął posadę *bakalarza*, usilnie się starał i namawiał córkę, aby męża który zhańbił swój herb porzuciła; ale rozumna kobieta nie usłuchała tak nierozważnych poszeptów. Szczegóły te były wiadome uczącéj się młodzieży, to też tłumy jéj zbiegały się, przepełniały sale, otaczając czcią i miłością ukochanego professora.

Żywego usposobienia, pełen ognia i życia, sam młody, sympatyzował z młodzieżą. Zdarzały się okoliczności, że często miewał mowy publiczne jak w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, albo jak na pogrzebie Staszica.

Ludwik Osiński miewał dwie godziny w uniwersytecie wykładając kurs *literatury powszechnéj*.

Podwórze uniwersytetu w czasie tych prelekcyi, zapełniało się często karetami i pojazdami. Deklamacya ta wyborna Osińskiego, wabiła tak wszystkich, że najzapalensi romantycy, jak Antoni Edward Odyniec przybiegali na tę godzinę. Tu się téż poznałem z nim po raz pierwszy.

W przeciwnym rogu tego gmachu na piętrze, wykładał Kazimierz Brodziński kurs *literatury polskiéj*. Szczupłe grono młodzieży, co umiało całą wartość każdego słowa śpiewaka „Wiesława" oceniać, otaczało ściśnionym wieńcem katedrę, ażeby nic nie utracić z tego, co słabym głosem odczytywał ukochany professor. Nie było tu pięknéj, ale czczéj w rzeczy saméj, deklamacyi jak u Osińskiego, ale gruntowne wystudyowanie przedmiotu i sumienne opracowanie.

Jan Wincenty Bandtkie, dawny professor szkoły prawa z okresu księztwa warszawskiego, a zarazem notaryusz, wykładał *prawo polskie*. Nizkiego wzrostu, ułomny nieco, słynął z nauki i erudycyi w tym przedmiocie; ale wykład jego suchy i nie zajmujący, lubo wielce opracowany. Dla młodzieży był uprzejmy i z tego go powodu lubiono.

Był szczególny raz wypadek, że uczniowie nie przyszli na prelekcyę jego i tylko dwóch było obecnych. Bandtkie miał właśnie polecenie od rektora, ażeby odczytał przypadającą lekcyę. Spojrzawszy dokoła na pustki, nim zasiadł w katedrze, najprzód przemówił:

— W ustawie uniwersytetu jest, że jak trzech słuchaczy znajduje się w sali, prelekcya odbywać się może; gdy zaś niewyjaśniono czy ma być trzech uczniów i professor, czy tylko trzech wraz z professorem, więc zaczynam!

Po tych słowach zasiadł w katedrze i całą godzinę czytał.

Chemię wykładał Adam Kitajewski od piérwszego zawiązku uniwersytetu. Gdy wyjeżdżał za granicę zastępował go uczony Pawłowicz professor mineralogii, a wykładał przedmiot jasno i dobitnie. Kitajewski wielce był szanowany i kochany przez uczniów, gdyż im pomagał i nie nastawał na żadnego. Obiegały o nim różne dykteryjki, jednę z nich głośniejszą przywiodę. Zobowiązany do poprawienia stopnia mniéj pilnemu uczniowi, wezwał go Kitajewski do swego mieszkania. Odpoczywał właśnie po obiedzie z cybuchem w ustach, gdy wszedł student. Grzeczny gospodarz poprosił gościa siedzieć, poczęstował go fajką, wkrótce kawę podano. Nietracąc czasu i w dobrym humorze, przystąpił Kitajewski do osobliwego egzaminu, którego przybyły ani się domyślał.

— Widziałeś pan kiedy roślinę tytuniową?—zapytał professor.

— I owszem, w ogrodzie botanicznym są jéj rozmaite gatunki, nieraz wysokości człowieka dosięga, jeśli przy wierzchołku nie jest złamana. Liście ma szerokie, kończate, wielkie, gęsto żyłkowate i tłuste, a po okwitnieniu nasienie bardzo drobne i plenne.

— Dobrze, a zkąd téż on wziął się najpierwéj, gdzie to te liście na użytek przerabiają?

— Tytuń pochodzi z Ameryki, a ztamtąd rozkrzewiony po całym świecie i fabryk téż wszędzie pełno. U nas tytuń wyrabia fabryka *Powązkowska*.

Po krótkiém milczeniu, spojrzał znów wymownie Kitajewski na studenta, napił się kawy, mlasnął ustami smakosza, i rzekł:

— Hm! ta kawa ma dziś smak nie zły i zapach wyborny: to także nie nasze. Jak to się zwie kawa piérwszéj dobroci?

— Mokko!

— To pewnie musi być mokka, ale co mianowicie pan myślisz, nadaje jéj smak przewyborny i woń tak aromatyczną?

— Zapewne olejek aromątyczny który się nie ulotnił podczas prażenia a przytém i cukier.

— Masz pan słuszność, że w kawie i cukier coś znaczy. Ale *apropo* cukru; piszą że jakiś Anglik wynalazł świeżo sposób otrzymywania cukru z siana. Bogu dzięki! cukier raz stanieje, a wynalazca zbogaci się i unieśmiertelni. Jak się panu zdaje, ile téż na przykład z fury siana, możnaby otrzymać funtów cukru?

Zachwycony student, uważając dotychczasową gawędkę, tylko za potoczną rozmowę przed mającym się zacząć egzaminem, dopiero teraz domyślił się prawdziwego jéj znaczenia, ze strony professora. Nie tracąc jednak fantazyi, odrzekł:

— A jaka to fura? pojedyńcza czy parokonna?

— Niech będzie pojedyńcza!

— Jeżeli pojedyńcza, to wyda siedem funtów cukru.

— Przez jakiż to rachunek, doszedłeś pan tego tak szybko?

— Nic łatwiejszego. Dajmy na to, że fura pojedyńcza siana, kosztuje 21 złotych; że zaś funt cukru jest po trzy złote (taka cena jego była w owe czasy), zatém sprzedawszy siano za 21 zł., dostaniemy siedem funtów najlepszego cukru.

Ubawiła zacnego professora ta odpowiedź studenta, i oznajmił mu że już po egzaminie, i że stopień spodziewany otrzyma.

Wykład chemii odbywał się w małym bez piętra domku, po lewéj ręce w pobliżu samego korpusu pałacu Kazimirowskiego.

Professorowie jak szli na katedrę lub występowali w jakiéj uroczystości przywdziewali zawsze togę granatową, podbitą jaśniejszą jedwabną kitajką téjże barwy.

Na czele uniwersytetu stał rektor ksiądz Szwejkowski, prawdziwy ojciec i opiekun młodzieży; to też kochany był i wielbiony powszechnie, otoczony szacunkiem wszystkich professorów. Łączył on słodycz charakteru z nieporównanym taktem, względem studentów.

W głównym korpusie na piérwszém piętrze w samym pałacu Kazimirowskim, mieściła się biblioteka publiczna, obejmująca w ówczas do 120,000 tomów; piérwszy jéj zawiązek dał księgozbiór liceum warszawskiego, powiększyły ją następnie dary prywatnych osób, a najwięcéj biblioteki po zniesionych klasztorach. Podzieloną była na polską i zagraniczną: piérwsza obejmowała około 25,000 druków, pomiędzy któremi znajdowały się osobliwości bibliograficzne, i zabytki sięgające XV wieku a rękopisma od XI stulecia. Przy bibliotece mieścił się gabinet rycin, po Stanisławie Auguście w r. 1815 kupiony a obejmujący do siedemdziesiąt osiem tysięcy sztuk, pomiędzy któremi odznaczały się: piórem dwie głowy *Rafaela*, kredą, *Correggia*, *Caraccia*, *Guida*, Michała Anioła, Pussina, Tycyana, Rubensa, Rembrandta, Dürera i wielu innych. Cały gabinet z późniejszemi nabytkami wynosił blizko sztuk 90,000. Zdobiły go popiersie marmurowe Stanisława Potockiego, dłuta Malińskiego i portrety uczonych polskich za Stanisława Augusta. Przełożonym nad tym zbiorem był Jan Piwarski znany z talentu artysta rysownik, zarówno jak i z prawości charakteru. Wykończył właśnie śliczne *album*, przedstawiające tak zewnątrz gmach *arsenału* przy ulicy Długiéj jak i wnętrza sal, przystrojonych w rozmaitą broń tak starożytną jak i nowoczesną.

Należy wspomnieć mieszczący się przy bibliotece gabinet medalów i starożytności, który dopiéro był w zawiązku i liczył około trzech tysięcy sztuk.

W gmachach Kazimirowskiego pałacu, nieznane dla nas okazały się wystawy obrazów od r. 1819, na które się tłumy zbiegały. Z utworów pędzla jak zapamiętam chwalono powszechnie *Edypa z córką swoją Antygoną*, Antoniego Brodowskiego, jednego z najzdolniejszych malarzy ówczesnych i professora wydziału sztuk pięknych w uniwersytecie; portret mecenasa Ziemięckiego, dawnego jeszcze *palestranta* trybunału lubelskiego, przez jego syna wykonany, a szczególniéj téż całéj młodzieży zwracały uwagę olejne dwa obrazki Samarego Suchodolskiego, wówczas adjutanta generała Wincentego Krasińskiego. Jeden przedstawiał Władysława Warneńczyka, w chwili ostatniéj, kiedy pieszo walczy; drugi zdobycie chorągwi wielkiéj Mahometa 1683 roku.

Na wozie dwukolnym z chorągwią Mahometa, uchodzi z ogólnego pogromu Mufty, gdy przez oddział hussarzy skrzydlatych otoczony został. Zacięta walka wre w około, ale zwycięztwo już pewne przy hussarzach. Mufty w przerażeniu zasłania się wielką księgą

Alkoranu. W oddaleniu na dalekim planie, ukazywał się na bułanym rumaku Jan Sobieski z orszakiem swoim.

Warneńczyk nie tyle się podobał, gdyż w nim mniéj było życia; jedna tylko postać rannego murzyna, jak się czołga z zakrzywionym *jataganem*, do zadania młodemu Jagiellończykowi śmiertelnego ciosu, ogólne wywoływała pochwały. Przed temi obrazkami, zawsze znajdowałeś wielką ciżbę. Ogół nasz znudzony Grekami i Rzymianami, chociaż chwalił prześliczny utwór pędzla Brodowskiego i stawał z upodobaniem. Było to już wówczas uczucie téj potrzeby reformy w malarstwie, jaka się okazywać zaczęła w poezyi i pojęciach literackich [1]).

Blizko pół wieku upłynęło od chwili owéj wystawy, a wrażenie tak żywe pozostało tych dwóch obrazków Suchodolskiego, że wszystkie szczegóły w nich zapamiętałem dokładnie.

Obszerny plac pałacu Kazimirowskiego, po spaleniu dawnych koszar Kadeckich, zabudowany wkrótce został sześciu nowemi pawilonami, w których mieściły się dawne liceum i uniwersytet, gabinety, biblioteka publiczna, oraz komisya rządowa wyznań religijnych i oświecenia publicznego, pod sterem prezydującego w niéj ministra, a nad to niektorzy professorowie mieszkania bezpłatne mieli. W pawilonie po prawéj stronie wchodząc z ulicy, na dole zamieszkiwał Kazimierz Brodziński, i tu go piérwszy raz poznałem otoczonego stosami ksiąg starych. Z pałacu Kazimirowskiego śliczny widok na malowniczy krajobraz całéj okolicy zawiślańskiéj i przedmieścia Pragi. Ztąd przed oczyma patrzącego rozwijała się równina pól *Grochowa*, i gęstych a wielkich lasów *Wawru*; po prawéj ręce widziałeś *Saską-kępę*, miejscowość ulubioną przez lud warszawski.

W pobliżu tegoż pałacu wznosiły się na wzgórzu ruiny wspaniałego niegdyś gmachu, zwane *Dynasami* albo *Dynasowskiém*. Tu w początkach XVII wieku stał obszerny modrzewiowy dwór, należący do zamożnéj rodziny Godzkich Kiedy ten dwór stał się pastwą płomieni, a właścicielka Karolina Godzka oddała swą rękę słynnemu podówczas księciu Karolowi de Nassau, ten z ogromnym zbytkiem zaczął budować pałac, ale gdy zabrakło funduszów, gmach opuszczony poszedł w ruinę.

---

[1]) Oprócz wystaw obrazów czasowych, w gmachu tak zwanym *Tłumackie*, mieliśmy w dobie od r. 1816, stałą wystawę galeryi Józefa Ossolińskiego, codziennie otwartą od 10 rana do południa, po obiedzie od czwartéj do ósméj. Zbiór ten obejmujący do pięćset sztuk, mieścił w sobie najpierwszych malarzy utwory, jak Rembrandta, Teniersa, Correggia, Pussina i wielu innych.

Miejsce to było ulubioném dla uczniów z liceum do przechadzki i rozrywek, tutaj wybiegali z klass także na *wagusy*, gdy który lekcyi nie umiał, albo się uczyć nie chciał. Tu starsi wiekiem akademicy, przygotowując się do egzaminów, wybierali sobie zaciszne kąty w ruinach, gdzie w spokoju i swobodnie oddawać się mogli naukom.

Na jednéj linii w pobliżu *Dynasowskiego*, stoi pałac zwany *Ordynackim* (gdzie obecnie *Konserwatoryum Muzyczne*, staraniem Apolinarego Kąckiego założone i utrzymane). Nazwę swą wziął od tego, że w końcu XVII stulecia wystawił go Tomasz Zamoyski ordynat. W tym okresie do r. 1820 należał do Chodkiewiczów.

Wzniesiony na kilkopiętrowém podmurowaniu od strony Wisły, posiada najobszerniejsze w Warszawie piwnice. Dla zbiorowiska wody urządzono w ich wnętrzu sadzawkę; owóż lud naszego miasta zachował podanie, że na niéj pływa księżniczka zaczarowana w postaci kaczki. Tradycya ta dała osnowę do wesołéj farsy, którą na teatrze rozmaitości w gmachu Towarzystwa Dobroczynności na Krakowskiém-Przedmieściu, po wielekroć grano z nie małém zadowoleniem zebranych widzów.

Idąc Krakowskiém-Przedmieściem, do kościoła Ś-go Krzyża, w poprzek ulicy stał wspaniały kościół księży *Dominikanów Obserwantów*; pamiętam go dobrze, bo go zwiedzałem wtedy, kiedy był przeznaczony do rozebrania. Plac po nim zakupił ówczesny minister stanu, Stanisław Staszic, prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a wzniósłszy gmach piękny swoim kosztem, temuż Towarzystwu na własność podarował.

Z chęcińskiego marmuru wschody z żelaznemi poręczami, odlanemi w rękodzielni krajowéj, wiodły na piérwsze piętro do wielkiéj sali przeznaczonéj na publiczne posiedzenia towarzystwa uczonych; zdobiły ją gustowne płaskorzeźby i sztukaterye, oraz popiersia: Jana Kochanowskiego, Sarbiewskiego, Albertrandego, Potockiego, Krasickiego i Naruszewicza.

Naprzeciwko miejsca dla członków Towarzystwa Przyjaciół Nauk przeznaczonego, wznosił się obszerny amfiteatr, mogący pomieścić kilkaset osób.

Biblioteka Towarzystwa wynosiła do 22,000 t.; zdobiły ją portrety: Kopernika, Czackiego, Naruszewicza, Niemcewicza, Hołowczyca, Sapiehy, Bohusza i Dąbrowskiego. Gabinet mineralogiczny zawierał dwa zbiory, podług dwóch systematów, Haüy i Wernera ułożony, odznaczający się nie tak liczbą, jak pięknemi okazami, oraz liczny zbiór muszli.

Zabytków starożytności, z darów obywatelskich nie mały już zbiór zgromadzono; oprócz licznych popielnic, kości mamutowe w Polsce znalezione, głowy słoni, nosorożców, żubrów i inne szczątki zwierząt w ziemi naszéj wykopane lub w rzekach znalezione, tu przechowywano.

Oprócz tego piękny zbiór monet i medalów rzymskich i krajowych, wiele rycin drogocennych, oraz zbiór obrazów.

Na dole przy wschodach marmurowych w nyszach wielkiéj sieni, stały: posąg Kazimierza Wielkiego, w ziemi znaleziony przy robieniu drogi w okolicy *Leśnowoli*, i posąg starożytniejszy, *Baby*, z Chęcin przywieziony a pochodzący z przedchrześcijańskich wieków. Przed gmachem Towarzystwa, w ostatnim roku naszego okresu, który myślą obejmujemy, stanął posąg Kopernika dłuta Thorwaldsena. Przy odkryciu jego w chwili gdy opony opadły, i okazała się postać cała wielkiego astronoma, ta okoliczność szczególniéj była uderzającą wszystkich, że gdy dzień był chmurny i grożący ulewą, w owéj chwili, słońce niespodzianie zajaśniało i głowę Kopernika blaskiem swych promieni oblało.

XVI.

Ulica Nowy-Świat.—Trzy Krzyże.—Alee.—Wiejska Kawa.—Rozdroże.—Ujazdów.—Obserwatoryum astronomiczne.—Kazimierz Brodziński.—Jego miłość i spowiedź.—Szubert.—Belweder.—Bagatela.—Szymon Chovot.—Posąg Jana III.—Zdrój królowéj Anny.—Łazienki królewskie.—Teatr letni.—Porwanie Aspazyi.—Szkoła podchorążych.—Pomarańczarnia.—Droga Jerozolimska.—Ulica Zakroczymska.—Ogród Rautenstraucha.—Zdrój.—Leszno.—Kościół Karmelitów.—Ludność Warszawy.—Liczba kobiét.—Rozrost miasta.—Tradycya o powstaniu Warszawy.—Przedmieście Praga.—Most pływający.—Flisy i Oryle, ich podanie o Warszawie.—Wspomnienie.

Kiedy na początku naszego stulecia idąca ulica Nowy-Świat, świeciła pustkami, bo tylko jeden przy rogu Wareckiéj ulicy znajdował się dom piętrowy, szumnie pałacem książąt Jabłonowskich nazwany, a daléj gdzieniegdzie kamieniczka, resztę zaś stanowiły drewniane dworki i parkany; po ustaleniu się pokoju od 1815 r., z początku zwolna, w następnych latach, szybko, zabudowywać się zaczęła.

Obszerne i wyniosłe gmachy stanęły po obu jéj skrzydłach. Najpiérwéj pomiędzy niemi odznaczał się dom Feliksa Bentkowskiego z dużym ogrodem. Mieszkania zaczęto w nich urządzać z przepychem na owe czasy niesłychanym, i obszernością swoją dziwiące. Były lokale na piérwszém piętrze złożone z kilkunastu pokoi, i te zaledwie ukończone, zaraz wynajęte zostały. Ulica ta najdłuższa ze wszystkich, już Warszawie nadawała pozór europejskiego miasta, i kończyła się dopiero na obszernym placu zwanym „Trzy Krzyże.“

Nazwą ta niewłaściwa, bo po prawdzie stoją tylko dwa krzyże, a wśród nich posąg ś-go Jana Nepomucena. Krzyże te postawił mar-

szałek Bieliński. na pamiątkę pokonanych trudności w zabrukowaniu ulic Warszawy. Starzy mieszczanie z Nowego-Miasta opowiadali mi, że był zwyczaj pilnie strzeżony, iż każdy chłopek przyjeżdżający do Warszawy musiał najmniéj chociaż jeden kamień złożyć przy rogatce miejskiéj, gdyż inaczéj wpuszczonym nie został.

Przy Trzech Krzyżach stanął w téj dobie kościół Ś-go Aleksandra przez budowniczego Aignera, budowany w kształcie rotundy. Wymagała tego potrzeba parafian téj części Warszawy, która świątyni Pańskiéj zupełnie pozbawioną była: kościołek bowiem przez Annę Jagiellonkę wzniesiony w miejscu gdzie stanął pałac Belwederski, rozebrano. Już on dla coraz liczniejszych parafian nie wystarczał, bo nie mógł nawet trzystu osób pomieścić. W nimto, słuchiwała mszy świętéj letnią porą rodzina Burbonów, zamieszkując Łazienki.

Za Trzema Krzyżami, wprost idzie szeroka ulica zwana Alee. Lipy w niéj sadzone były za Augusta II-go. Po prawéj ręce biegnie uliczka „Mokotowska," pusta, z samych dworków i ogrodów złożona; po lewéj Wiejska, również pusta, ale co niedziele i święta ożywiona nadzwyczaj przez mieszkańców Warszawy, którzy tłumnie się zbierali do małego dworku drewnianego na wyborną kawę i poncz doskonały. Miejscowość ta nosiła nazwę „Wiejskiéj Kawy."

Latem mniéj było ścisku, ale zimową porą, szczególniéj gdy się sanna ustaliła, od godziny drugiéj po obiedzie do późnéj nocy dzwonki ciągle dzwoniły, bo sanki bez przerwy przewoziły tu gości.

Pokoiki niskie i szczupłe, jak zazwyczaj we dworku drewnianym, przepełniały się mieszkańcami wszystkich warstw Warszawy. Najwyższa arystokracya, jak obywatele i zamożniejsi kupcy i rzemieślnicy tu się gromadzili. Do wybornéj kawy dodawano smaczne *baby*, doskonały poncz zaprawiano *ananasami*. Każdego z tych napojów porcya kosztowała złoty ówczesny.

Wiejska Kawa należała do mody w tych czasach, a właściciel jéj przyszedł do majątku.

Alee miały tylko kilka dworków; po lewéj ręce odznaczał się domek bez piętra zwany pod *Karczochem*, bo na dachu miał jego wizerunek. Po prawéj stronie, od wjazdu z miasta największy ogród był własnością Bandurowskich: słynął on z wybornych owoców.

Przejażdżka lub przechadzka na Wiejską Kawę albo w Alee, liczyły się za daleką wycieczkę za miasto, dla mieszkańców z okolicy Starego lub Nowego-Miasta.

Wpobliżu ostatniego ogrodu stoi jeszcze jak i w owe czasy dom murowany zwany „Rozdroże." Na początku XVII stulecia zbiegały się w tém miejscu drogi ze wsi Ujazdowa, przy zejściu których stała karczma zwana „na Rozdrożu." Kiedy zakupił król Stanisław August te grunta wraz z gmachami Ujazdowa, wymurował w miejscu zwalonéj

karczmy domek bez piętra, a nazwa stara ludowa przyrosła do niego. Tu zawsze przemieszkiwała pani Grabowska, ile razy król z zamku przenosił się na letnie mieszkanie do Łazienek.

Po przeciwnéj stronie Alei i Rozdroża jest plac obszerny zwany Ujazdowem. Tu w odległych wiekach stał dworzec letni książąt Mazowieckich, i kronika jego przypomina napady Litwy i Rusi, których zagony po ten kres dobiegały. W r. 1262 Mendog i Swarno, w Ujazdowie schwytali księcia Ziemowita i jego syna Konrada. W następnych latach po przyłączeniu Mazowsza do Korony, tu się odbywały wspaniałe dworskie zabawy.

W roku 1578, przy obchodzie zaślubin Jana Zamoyskiego, przedstawiono z przepychem *maszkary*, których pochód przywodził na pamięć postacie mitologiczne, a brała w nich udział najznakomitsza krajowa młodzież. Wtedy zarazem w Ujazdowie w dniu 12 stycznia tegoż roku przedstawiono dramat Jana Kochanowskiego: *Odprawę Posłów*. Zamoyski wówczas podkanclerzy, dla uświetnienia swoich zaślubin, zapragnął oprócz *maszkar* i teatralnego widowiska. O tym utworze wielkiego poety wiedział podkanclerzy, dlatego list po liście wysyłał nagląc Kochanowskiego o przysłanie rękopismu. Dnia 21-go grudnia 1577 r. otrzymał w Czarnolesiu aż dwa razem listy Zamoyskiego, zabrał się więc co żywo do przepisania rozpoczętego, i zaraz nazajutrz, wykończywszy wysyła. W liście swoim, z wielką skromnością mówiąc o téj tragedyi, wspomina że na wzór greckich dał trzy chóry, i dodaje: „Nie wiem jak to w polskim języku brzmieć będzie.“ Przedstawienie w Ujazdowie w obec Stefana Batorego i jego małżonki Anny Jagiellonki, wywołało zarówno zachwyt jak i podziw, licznie zgromadzonych widzów. Jan Kochanowski w swojém wiejskiém ustroniu, nie słyszał pochwał swego utworu, który jak sam wyraził się, przeznaczył: „molom na pokarm, albo na trąbki do apteki.“

Król Stanisław zabudowania Ujazdowa podarował miastu na koszary, które od r. 1809 zamieniono na szpital wojskowy, i odtąd nazwę przybrały „Ujazdowskiego Szpitala.“ W tym okresie dostawiono jeszcze kilka budynków murowanych, a dawniejsze tak starannie utrzymywano, że zakład ten, pod względem urządzenia i porządku, do wzorowych mógł się liczyć.

Gmachy Ujazdowa stoją na wyniosłém wzgórzu, obok nich idzie spadzista droga wiodąca do Łazienek królewskich. Z przeciwnéj jéj strony na podobnémże wzgórzu, jest Ogród Botaniczny i Obserwatoryum Astronomiczne.

Obserwatoryum gmach okazały, pokryty miedzianą kopułą, która się obraca na wszystkie strony. Kierował budową, i własną

pracą i poświęceniem przyspieszył ukończenie jego Franciszek Armiński, professor astronomii w uniwersytecie, i piérwszy dyrektor tegoż Obserwatoryum, które w r. 1825 już do użytku naukowego obrócone zostało.

Obserwatoryum to, szczególnym wypadkiem wpłynęło przeważnie na życie i losy Kazimierza Brodzińskiego. Był on kolegą i przyjacielem Armińskiego. Kiedy ten nieraz jak prosty robotnik pracował, i ukończywszy budowę gmachu, ustawił wszystkie narzędzia astronomiczne, Brodziński z drugiemi professorami uniwersytetu często odwiedzali go, ciesząc się wspólnie z tak pięknego zakładu naukowego. Siostra żony Armińskiego, Wiktorya Holly, szczególne wywarła wrażenie na śpiewaka Wiesława. Średniego wzrostu, twarzy pociągłéj, smukła i zgrabna, była to rzeczywiście powabna postać. Brodziński zakochał się w niéj namiętnie, a to uczucie coraz się potęgowało, gdy przez lat blizko dwa, ręki jéj otrzymać nie mógł. Miłość tę gwałtowną, łatwo możemy pojąć, gdy przypomnimy sobie sieroce wychowanie prawie od kolébki Brodzińskiego.

Nie pamiętał on uścisku matki swojéj, do któréj tak rzewnie tęsknił; przypominał sobie jéj tylko postać, jak spoczywała na katafalku; od dziecinnych lat nie doznał nigdy żadnéj oznaki przywiązania i miłości: zazdrościł jak sam wyznaje, gdy widział pieszczoty innych dzieci z ich matkami i siostrami. Zhodowany jak sierota, utraciwszy w dojrzalszych latach na wyprawie do Moskwy 1812 roku, starszego brata Andrzeja, którego tyle miłował, z sercem pełném uczucia które tail w głębi; niedziwota, że gdy znalazł kobiétę młodą i dorodną, co mogła je zrozumiéć, pojąć i podzielić, pokochał ją piérwszą i prawdziwą miłością. Nie pewny jéj wzajemności, z wiosną 1825 r. wyjechał do Włoch, aby odetchnąć po dusznéj miejskiéj atmosferze i troskach sercowych, które mu dojmowały, odrywając od ulubionych książek i pióra. Za powrotem ponowił staranie o rękę swojéj bogdanki, która przyjmowała te zabiegi teraz miléj.

„Co to za głupia rzecz ta miłość (mówił już późniéj do żyjącéj pani Katarzyny z Lipińskich Lewockiéj, gdy o tych czasach wspominał), jak mi przychodziło wchodzić do pokoju panny Wiktoryi, to mi serce biło jak młotem a ręka tak drżała, że nieraz musiałem się cofnąć aby nabrać animuszu i klamkę poruszyć. To już panna Wiktorya poznała moją nieśmiałość, i nieraz uśmiechając się sama mi drzwi otworzyła, przy których ja stojąc, oburącz za serce się trzymałem.“

Wieść o zalotach Brodzińskiego corychléj zaczęła się rozbiegać pomiędzy młodzieżą akademicką, a do tego, że pan professor ma narzeczoną i o pewnych godzinach bywa w Saskim ogrodzie. Studenci jako młodzi, weseli, a kochający go serdecznie, zaczęli się zbierać gromadnie w tym ogrodzie, aby poznać przyszłą panią professorową. Raz idąc Saskim ogrodem, zatrzymali mnie koledzy w gromadkę zbici, wskazując nieznacznie na postać młodéj kobiéty siedzącéj na ławce głównéj alei.

Niedługo wszedł i nasz poeta, a zbliżywszy się do siedzącéj w towarzystwie swojém, ukłonił się i stojąc długo rozmawiał. Poczém zaczęli przechadzkę razem. Z bocznéj alei spojrzałem na Brodzińskiego: nigdym rzetelniejszego wyrazu prawdziwéj radości i wesela nie widział na obliczu jego, jak w ową porę. Postać pochylona zwykle, przybrała dawną żołnierską minę; postępował prędszym krokiem i zajmującą widać prowadził rozmowę, bo z naszego grona kilku ciekawszych co się wysunęli w główną aleę, aby bliżéj ujrzéć narzeczonych, nie widział wcale, chociaż zdejmowali przed nim czapki!

W tym samym roku poślubił Brodziński swoją narzeczoną.

Obserwatoryum stoi prawie w środku Ogrodu Botanicznego, który przez dyrektora Szuberta urządzony starannie, już zwracał uwagę lubowników i znawców, a zarazem ściągał licznych mieszkańców Warszawy do siebie. Były tam rośliny ze wszystkich części świata zgromadzone: katalog wydrukowany przez Szuberta, powszechnie lubionego i szanowanego, obejmował ich dziesięć tysięcy.

Część tę miasta zamykał i zdobił pałac Belwederem zwany, wzniesiony na miejscu Ujazdowskiego kościółka. Gmach obszerny i wygodny. Pamiętam dobrze, gdy na jego podwórzu zasadzano drzewa, które dziś już wyglądają jak starodrzewy, rozrosły się i cień bujny dają. Wprost Belwederu stał pałacyk z małym ogrodem, zwany „Bagatellą.“ Pierwotnie pusty grunt król Stanisław August, nadał prawem wieczystego dziedzictwa Marcellemu Bacciarellemu malarzowi nadwornemu, który utworami swego pędzla ozdobił zamek warszawski; on tam urządził starannie to piękne ustronie, wybudował willę i ogród dotąd istniejący założył. Po jego zgonie rodzina sprzedała Szymonowi Chovot. Był to jeden z najsławniejszych restauratorów, który zakład swój najprzód miał na Miodowéj ulicy w pałacu pod filarami. Tu téż potrafił zebrać znaczny majątek, albowiem do takiego rozgłosu przyszedł, że salony jego bywały codziennie pełne, chociaż potrawy podawano najdroższe. Nietylko zamożniejsi mieszkańcy Warszawy, ale cała arystokracya i wszystka szlachta przybywająca do miasta, tłumnie odwiedzała francuzką restauracyą i hojnie płaciła. Poczciwi nasi hreczkosieje nieraz najgorzéj na tém wychodzili, bo *jadło-spisy* były w języku francuzkim i nazwy dziwaczne potraw. Nie każdy znał je lubo znał ten język, to téż gdy z karty kazał sobie którą podać, sam nie wiedział co mu zastawią. Zacny obywatel z pod Rawy, zgłodniały zasiadł u Chovota i tak nieszczęśliwie trafił, że musiał zjeść jajka na miękko, potém jajecznicę, a w końcu lekki omlecik. Grubo zapłaciwszy przeklął Francuza, i pobiegł na Bednarską ulicę pod *Białego Konika*, gdzie połknął dwa obiady z huzarską ulubioną pieczenią, poprzedzone dobrym kieliszkiem anyżówki, a zakończone butelką wybornego piwa *Kazmirusa*.

Nabytą po Bacciarellem willę, Chovot nazwał *Bagatellą* i w pałacyku dawnym wykwintną swoją otworzył restauracyę, ogród zaś urozmaicił w wieloliczne zabawy. Z początku tłumnie Warszawianie zbiegali się

tutaj w niedziele szczególniéj i święta. Wiejska Kawa dużo ucierpiała. Bawiło to gości, że mogli się wychuśtać dobrze, i przeważyć własny ciężar, na wadze umyślnie potemu przygotowanéj; ale szał ten po kilku latach przeminął. Wiejska Kawa wróciła do dawnéj wziętości, a Chovot zawiedziony w nadziei stałego powodzenia, w r. 1821 puścił Bagatellę na loteryę i przegrał.

Dwie drogi wiodły do Łazienek królewskich, obiedwie spadziste: piérwsza parowem pomiędzy Ujazdowem a Ogrodem Botanicznym; druga koło pałacu Belwederskiego.

Prowadząca koło Ujazdowa była jedyną wówczas, gdy pałac Belwederski nie istniał i wiodła prosto na most, przy którym widzimy posąg konny kamienny króla Jana Sobieskiego, jak depcze Turków obalonych zwycięzkim rumakiem. Po prawéj stronie drogi wznosił się zdrój czystéj i smacznéj wody zdrojowéj. W roku 1781 Stanisław August zdrojowisko to ozdobnie urządzić kazał. Dawne miejscowe podanie mówi, że ztąd brano wodę dla Anny Jagiellonki siostry Zygmunta Augusta, a małżonki Stefana Batorego, gdy bawiła w Ujazdowie.

Pałac Łazienkowski stoi jakby na wyspie, bo ze wszystkich stron wodą oblany, to dwoma stawami obszernemi, to wązkiemi kanałami. Nazwę swą otrzymał od *łaźni*, która tu od wieków istniała, bo jeszcze za udzielnych książąt Mazowieckich, a używanie łaźni było w powszechnym u nas zwyczaju, do czasów panowania Zygmunta III. Gdzie teraz park się rozciąga, był zwierzyniec ujazdowskiego zamku; przy nim dwór ze stajniami, łaźnią i sadzawką, tudzież ogród i sad słynny z wybornych owoców.

Po przyłączeniu Mazowsza do Korony, zwierzyniec z budynkami należał do królów polskich; dopiéro go Jan Kazimierz darował w r. 1668 Teodorowi Denhoffowi podkomorzemu koronnemu, który go w dziewięć lat późniéj sprzedał Lubomirskiemu, a od téj zamożnéj rodziny w ostatku kupił Stanisław August w piérwszym roku wstąpienia swego na tron polski. We dwadzieścia lat późniéj wystawił tu wspaniały pałac i przyozdobił go zarówno malaturą i rzeźbą, jak obrazami i posągami.

W głównym pałacu zwracała uwagę pyszna *sala balowa*, z posągami z marmuru kolosalnéj wielkości; druga z obrazami Bacciarellego: treścią ich dzieje Salomona, przy którym w otoczeniu zachowane zostały oblicza i postacie najpiękniejszych kobiét ówczesnych. W rotundzie środkowéj stały posągi królów polskich z karraryjskiego marmuru, Kazimierza Wielkiego, Zygmunta I, Stefana Batorego i Jana III, z odpowiedniemi napisami.

Zwierciadła poumieszczane w salach były w ten sposób, że tak na moście posąg Jana Sobieskiego, jak teatr letni i bliższe piękne odbijały widoki.

Od frontu dziedziniec otwarty zdobią posągi i bijąca w górę fontanna. Po lewéj stronie w pobliżu teatr na kępie, oddzielony kana-

łem od widzów, w pośród drzew okazałych, przedstawia ruiny Palmiry. Miejscem dla publiczności, gdzie się pomieścić mogło od 1200 do 1500 osób, jest amfiteatr w półkole wzniesiony; zdobią go u szczytu posągi celniejszych mistrzów sztuki dramatycznéj z różnych wieków i narodów. Gdy za czasów Stanisława Augusta przedstawiano tu świetne i kosztowne balety, w okresie naszym dawano opery przeplatane tańcami. Szczególniéj uroczo wydawało się *Porwanie Aspazyi* (z opery *Axur król Ormus*), kiedy gondole z muzyką i urodnemi dziewicami przepływały, a na statku którego maszty i pokład oświecały różnokolorowe latarnie, spoczywała omdlała Aspazya, otoczona świetnym dworem.

Na to widowisko tłum licznych zwolenników zbiegał ochoczo z miasta, w letnie miesiące, gdzie po dziennym skwarze znajdował tu miłą dla oka i ucha zabawę, a oddychał swobodnie balsamiczną wonią parku i napawał się chłodem letniéj nocy.

Na stawie wprost fontanny pałacowéj, pływało liczne stado białych łabędzi i tu się gnieździły. Kiedy wysiadywały młode, samce ze szczególną troskliwością czuwały nad niemi. Pamiętam gdy się jeden z oficerów zanadto zbliżył do wybrzeża, łabędź z taką natarczywością na niego uderzył, że musiał dobyć pałasza, ażeby uniknąć zajadłéj napaści.

W różnych stronach parku łazienkowskiego rozrzucone są pałacyki i domki, gdzie krewni Stanisława Augusta i bliższe osoby z jego dworu przemieszkiwały; takiemi były: pałac *Biały*, *sala Chińska*, gmach kuchenny galeryą z królewskim pałacem połączony i dom *straży*.

Dla przybyłych gości z Warszawy istniała oberża wygodna, restauracya i kawiarnia.

Pomiędzy pałacem a mostem króla Jana III, po prawéj ręce, w murowanym domu bez piętra, mieściła się *szkoła podchorążych* (pieszych) [1]). Od zjazdu ujazdowskiego na prawo stoi gmach piętrowy, zwany *pomarańczarnią*, gdzie urządzony jest teatr, na którym w uroczystości dworskie grywano zwykle opery, lub przedstawiano balety.

Od kościoła Św. Aleksandra, w téj dobie mało się tu osiedlano. Wytknięto tylko drogę *Jerozolimską* ku rogatkom i Wiśle i wysadzono wyniosłemi topolami. Miasto główną wagę brało zwykłym porządkiem z biegiem Wisły ku Marymontowi.

---

[1]) Szkoła podchorążych konna pod zarządem pułkownika Czarnomskiego, była w pałacu Łubieńskich przy Królewskiéj ulicy. Tu wspomnieć należy o szkołach wojskowych, jak szkole aplikacyjnéj i artyleryi, które mieściły się na Miodowéj ulicy, w konwikcie niegdyś pijarskim Konarskiego, gdzie późniéj sąd apelacyjny i rejenci zajęli miejsce.

Na obszernéj równinie ulica Zakroczymska gęsto zabudowana wysokiemi kamienicami i gmachami, a poza niemi słynął piękny i obszerny ogród generała Rautenstraucha. Urządzony był ze smakiem: klomby drzew, stawy i wyspy, wybujałe drzewa go zdobiły. Tu w obszernym domu istniała restauracya i kawiarnia, gdzie także można było dostać i ponczu wybornego. W ogrodzie miałeś karuzele i chuśtawki rozmaitego rodzaju, dla rozrywki młodzieży. Przyjemne to ustronie licznie odwiedzane było przez mieszkańców Warszawy, nietylko w święta, ale i dnie powszednie.

W przedłużeniu Zakroczymskiéj ulicy, na prawo, bliżéj Żoliborza pijarskiego, wznosiła się mała, kształtna, murowana budowla, z urządzonym zdrojem. Woda z niego zalecała się wybornym smakiem i chłodem w letnią porę. Mieszkańcy Starego i Nowego miasta, jak i z pobliższych ulic, tłumnie czerpali ztąd napój tak zdrowy i jak łza czysty: w całym obrębie Warszawy nie było smaczniejszéj wody i jedynie tylko zdrój Anny Jagiellonki przy zjeździe ujazdowskim, mógł iść do współzawodnictwa. Miasto zawdzięczało ten zdrój hojności Stanisława Augusta.

W tę stronę miasta ludność coraz większa napływała i niemasz wątpliwości, że w ciągu lat kilku byłaby ogarnęła i sam Marymont. Przewidywania te zawiodły, bo następnie główną wagę Warszawa wzięła od strony Trzech Krzyży, dotąd opuszczonéj. Pomimo to, nowe budowle, gdy szybko wzrastały na Nowym Świecie, koło banku polskiego i ogromnego gmachu komisyi przychodów i skarbu, piękna i długa ulica Leszno do puściejszych należała. W téj miejscowości w piérwszéj połowie XVII wieku, było miasteczko (Jurydyka) założone w roku 1648, przez Bogusława na Lesznie Leszczyńskiego, generała wielkopolskiego, który od swego nazwiska i od miasta dziedzicznego Leszna, w Wielkiém Księztwie Poznańskiém, tęż nazwę swéj własności nadał.

Warszawa pochłonęła to miasteczko i zamieniła w swoją ulicę: z niego jednakże utrzymywał się kościół Karmelitów, w r. 1732 poświęcony. W murach tutejszego klasztoru mieściło się od lat wielu więzienie do końca 1830 roku.

Gród nasz w piérwszéj ćwierci tego stulecia dziwne przechodził koleje: ze stolicy Rzeczypospolitéj, liczącéj w roku 1792 przeszło sto dwadzieścia tysięcy ludności, zamieniony w prowincyonalne miasto pod panowaniem pruskiém w r. 1805, miał tylko 68,411. Pałace i większe domy idą w pustkowie i ruinę, bo brakło stałych mieszkańców. Hotele jedynie i domy zajezdne dochód dobry dawały, bo ziemianie drogo zboże sprzedając, w Warszawie nie mało zostawiali grosza. Lubo to były ptaki przelotne, ale często miasto sobie ulubione odwiedzali.

Za wnijściem Napoleona I i powstania Księztwa Warszawskiego, chociaż Warszawa w nowych budowlach nic nie zyskała, ale puste dawne kamienice zaludniać się zaczęły: w roku 1810 liczy już 77,727,

a w r. 1825 stałych mieszkańców 126,433. W tym okresie liczba kobiét albo się równoważyła, albo jak w roku 1824 przeważała mężczyzn o 997 głów.

Wielka różnica w téj dobie okazuje się téż w napływie żydów i osiedlaniu się ich w Warszawie; gdy w roku 1807 zamieszkiwało stale do 9,000, w roku 1822 wzrasta do 27,115 ta cyfra.

W miarę rozszerzania się miasta, liczba kościołów zmniejszała, nie odpowiadając potrzebom duchowym jego obywateli. W ciągu lat dwudziestu niespełna, z liczby dwudziestu pięciu świątyń Pańskich, jużto większych, już mniejszych, zniesiono ośm, a przybył tylko jeden i to szczupły przy Trzech Krzyżach, Św. Aleksandra [1]).

Kiedy mieszkańcy Starego i Nowego Miasta, jak i Krakowskiego Przedmieścia, mieli kościołów podostatkiem: tak na Nowym Świecie, który przybrał postać piérwszéj ulicy Warszawy i całéj téj połaci, jak z drugiéj strony od Zakroczymskiéj, stały zanadto odlegle.

Największe życie odbijające się w części głównéj Staréj Warszawy, w granicach ostatnich po kościół Św. Krzyża, a kończące się w przeciwnéj stronie za kościołem Franciszkanów, teraz zwolna w tym obrębie zaczęło przygasać, a przenosiło się ku Nowemu Światu. Teatr narodowy na Krasińskim placu i ogród Krasińskich dawały przeszło lat dwadzieścia téj okolicy miasta przewagę: wszakże po urządzeniu ogrodu Saskiego i placu przed nim, już się ku nim gwar miejski pociągał.

Ogród Saski wabić zaczął cały świat mody do siebie. Położony więcéj w środku miasta, daleko obszerniejszy z mnóstwem starodrzewu, wziął przewagę nad Krasińskim. Parady wojskowe na Saskim placu codziennie odbywane, ściągały wielką tu liczbę mieszkańców.

Warszawa traciła lubo zwolna wydatne cechy swoje jako średniowieczne miasto, a pozbyła ich zupełnie wraz z obaleniem ostatnich zabytków dawnych warowni. Części oddzielne grodu Mazowsza zaczęły się zlewać harmonijnie w ścisłą całość, jak Starego Miasta z Krakowskiém Przedmieściem, a tego z Nowym Światem.

W charakterystyce samego mieszczaństwa, już wybitne pokazywały się rysy i szczerby: dzień za dniem znikały ich typowe postacie. Tylko w procesyach, gdzie udział brały cechy miejscowe, spotykałeś wizerunki jeszcze przypominające oblicza, postawę i ubior starych Warszawian z czasów Zygmuntowskich.

Dawna tradycya pomimo to miała gościnne przyjęcie u ogniska domowego, w rodzinach szewców, rybaków i rzeźników warszawskich,

---

[1]) Zniesiono: 1) Św. Jerzego, przy ulicy Ś-to Jerskiéj; 2) Teatynów, na Długiéj ulicy; 3) Kościół Ś-éj Trójcy, Brygitki przy zbrojowni; 4) Jezuitów przy Farze; 5) Karmelitki, gdzie Towarzystwo dobroczynności na Krakowskiém Przedmieściu; 6) Dominikanów Obserwantów; 7) Kościół ujazdowski; 8) Benonów.

jak i obywateli-mieszczan, co po pradziadach nie opuścili tu swego gniazda.

Z upodobaniem ojcowie synom, a matki córkom powtarzały stare podanie o początku nazwiska Warszawy:

„Kiedyś! kiedyś! okalały Warszawę ogromne puszcze, nieprzebyte lasy i zapadłe knieje. Rad w nich polował Kazimierz król polski, ale odbiwszy się raz od orszaku swoich myśliwych, zabłąkał się i wycieńczony trudem, głodem i pragnieniem, zaledwie o północy ujrzał lepiankę zapadłą w ziemię, w któréj się świeciło z kominowego ognia. Kiedy wszedł do téj ubogiéj chaty, znalazł w niéj matkę, która świeżo bliźnięta powiła. Dobry król trzymał je do chrztu świętego, jedno z nich *War*, drugie *Sawa* nazwał. Hojnie rodziców obdarował, którzy téż lepsze domostwo wybudowali sobie i gospodarzyli na kawale ziemi, jaki otrzymali od tego króla. Wnet przy nich zaczęło się więcéj ludzi osiedlać tak, że powstało miasto, które od owych bliźniaków zostało nazwane *Warsawa*, jak ją dotąd mazury mianują.“

Przedmieście Praga po drugiéj stronie Wisły położone, w tym okresie było lichą mieściną. W roku 1794 spalone do szczętu, zachowało z téj klęski ocalony kościół Dominikański, gdy w roku 1806 weszła armia francuzka. Jéj inżynierya, pod względem strategicznym uważając tę świątynią za niedogodną, rozebrać ją kazała, zostawiając tylko małą kapliczkę dotąd stojącą. Na świadectwach cechów cieśli i stolarzy, stara Praga, w dawnym stanie jest przedstawiona. Z nich się okazuje, że była już miastem porządném, posiadała kilka kościołów i wiele domów murowanych. Od roku 1815 zaczęła się nieco podnosić, ale ten wzrost był bardzo powolny. Tu się odbywały duże targi na bydło, a w piątek na konie do południa; po obiedzie, konie niesprzedane przeprowadzano do Warszawy na targ do Muranowa.

Pragę z Warszawą łączył most pływający na łyżwach. Niepewną i nietrwałą była ta komunikacya, gdyż przy każdym większym przyborze wody na Wiśle, albo gdy lody na wiosnę puszczały, zbierano ten most i tylko promami i większemi krypami łączność utrzymywano. Gdy w owe czasy Podlasie główną było śpiżarnią Warszawy, cena produktów wszelkich nadzwyczajnie szła w taką porę wysoko, i wszyscy błagali Opatrzności, aby corychléj most mógł być przywrócony.

Praga, lubo często ulegała zalewom rozhukanéj rzeki, miała jednak szerokie wybrzeża, bo prąd Wisły nie parł w tę stronę tak silnie. Pamiętam dobrze przed ogródkiem „Glińskich,“ gdzie się schodzono na wyborne raki i kurczęta, plac tak obszerny, że cały batalion piechoty wygodnie się mustrował.

Długo nie zalecało się nasze miasto ani oświetleniem, ani dobremi brukami. Pierwszy Wojde prezydent, który zaczął szczerze myśléć o gwałtownych potrzebach miasta, i oile możności takowe zaspakajał. Dopiero w roku 1816 pokazały się pierwsze latarnie olejne, gdy przedtém, Pan Bóg tylko jasną nocą, lub księżycem na pogodném

niebie przyświecał Warszawianom. Wiele ulic dostało bruk i nie topiliśmy się w błocie. Po staremu jednakże na hasło pożaru, stróże nocni obchodząc ulice, przeraźliwém grzechotaniem rozszerzali trwogę, do czego przyczyniały się i odgłosy dzwonów kościelnych na gwałt bijących!

Wśród przemian i upięknień jakie Warszawa w tym okresie przechodziła, zapowiadając że ma prawo wyrość na wielkie miasto, i zająć miejsce pomiędzy europejskiemi, rozległe wybrzeża Wisły jak i ulica Rybaki w niczém swéj charakterystyki nie zmieniły od wielu wieków. Po staremu mieszkańcy tutejsi zajmowali się to rybołóstwem, to przewózką galarami, krypami, lub łodziami. Dla nich każde zerwanie mostu, lub zdjęcie go tylko, przynosiło piękny zarobek, bo wtedy wszystko co żyło brało się do wiosła, nie mogąc nadążyć licznym żądaniom przeprawy to z Warszawy na Pragę, to z Pragi do Warszawy. Wśród rybaków warszawskich, najgłośniejszą w tych czasach była rodzina Sitkiewiczów, zarówno zamożna jak szanowana powszechnie, a osiadła tu od niepamiętnych czasów. Z ojca na syna przechodziło u niéj wraz z mieniem i zawodem, dobre i poczciwe imię.

Lubiłem błądzić po wybrzeżach ukochanéj Wisły, od chwili gdy pękły lody i białe fale szumiały przez wiosnę i lato do późnéj jesieni. Gwar miasta tu gasł, a majestatyczna cisza panowała w około, tylko ptastwo ją zamącało, albo pokrzyk *retmana*, co na małéj i kruchéj łódce płynąc szybko, wiosłem jak buławą, wskazywał zdala za sobą płynącym flisakom wodny gościniec. Kiedy przybił do przystani i na ląd wyskoczył, ujrzałeś wtedy tratwy i galary pełne zboża i drzewa, jak w takt uderzając *drygawkami*, wskazaną drogą w jego ślady podążały.

Co za radość, kiedy dotknęli nogą ziemi, jakie życie w tych dziarskich żeglarzach!

Pomiędzy nimi i rybakami warszawskimi, inne krążyło podanie o początku nazwiska Warszawy.

W przystani bliżéj mostu na wzgórzu, bo nad brzegiem Wisły, mieszkała przed laty *Ewa* uboga niewiasta, która oczekując od pierwszéj wody ze skowronkiem, przybycia flisów z góry rzeki, miała zawsze gotowe sytne i smaczne dla nich potrawy, aby tylko do ognia przystawić. To téż każdy retman zdala nawoływał:

„*Warż* (gotuj) *Ewa! Warż-Ewa!*“

I z tego zrobiła się Warszawa. Pomimo to, Mazury w piosnkach swoich, ulubione miasto pieszczotliwie nazywają *Warsewką* albo téż *Warsęgą!*

Najpiękniejszy a dziwnie malowniczy obraz stawał przed oczyma w pomroce wieczornéj, kiedy flisaki rozpalili ogniska na galarach i tratwach dla ugotowania sobie jadła na wieczerzę. Zdala patrząc zdawało się, że błędne ogniki migają z fal wody, a tu im wtórzy melodya ludowa, to na lipowych skrzypkach, to na fujarce, połączona z ochoczą pieśnią orylską.

Po dziennym skwarze, miły chłód na powiślu, świeżość powietrza, gra i śpiew tak prosty, a tak chwytający za serce, rozkoszą napawały zawsze duszę młodą.

W tak uroczéj chwili bez troski i kłopotliwéj myśli, nad wybrzeżem białych fal twoich Wisło, snułem marzenia o błogiéj przyszłości! Drogę jéj, na pielgrzymkę światową, posypywała mi uśmiechnięta nadzieja, kwiatami pełnemi barwy i woni, nie ostrzegając wcale, że miejsce ich zajmą kolące ciernie i głogi!

PRZYPIS.

Przytaczamy różne podania o zabytkach warszawskich, jakie nas doszły: jeżeli niektóre okażą się mylne, chętnie je sprostujemy, gdy kto dokładniejsze da objaśnienie. Podajemy więc sprostowanie co do kamienicy *Roezlera* przechodniéj na Krakowskiém Przedmieściu i *wałów* naprzeciwko banku polskiego, nadesłane nam przez p. Wilhelma Kolberga.

„Dom Roezlera nr. 451 do Radziejowskich nie należał. Był to od r. 1500 dwór Grzybowskich, w r. 1656 spalony. Nabył rumowisko w r. 1731 Lupi i wystawił pałac, który w r. 1750 przeszedł do Małachowskich; był to budynek w dziedzińcu, od ulicy oddzielony bramą przedstawioną na rycinie „Placu przed XX. Bernardynami“ przez *Canaletto*. Roezler dopiéro w r. 1784 ten pałac kupił i kamienicę jaką widzimy wystawił. Dwór Radziejowskiego był tam, gdzie późniéj stanęła kamienica *Wizytkowska* nr. 389.

Wały naprzeciw banku były częścią fortyfikacyi sypane, z rozkazu Zygmunta III, w r. 1621 po klęsce pod *Cecorą* dla obrony miasta; nie są więc zabytkiem zarazy morowéj z r. 1712. Służyły jednak i do ubezpieczenia się od zarazy, która w roku 1622 w kraju panowała i w tym roku były uzupełniane. Pomimo to zaraza w r. 1624 i 1625 przeniosła się do miasta i wiele ludzi wówczas wymarło. W takimże celu odnawiane były te wały w r. 1675 i 1677.“

GWIAZDY SPADAJĄCE, KULE OGNISTE, AEROLITY I KOMETY.

PRZEZ

J. K. Steczkowskiego.

Gwiazdy spadające z powodu nowych w ostatnich kilku latach w ich dziedzinie rzuconych pomysłów i dowodów, a ztąd może wytropienie w tych dotąd zagadkowych zjawiskach, tak długo ukrytéj prawdy, wzbudziły między uczonymi prawie ogólny interes. Każdy, choćby tylko z upodobania, częściéj i z większą uwagą zwracający ku niebu oczy dla przypatrzenia się zjawiskom, jakie się na tém lazurowém sklepieniu odbywają, z wielkiém zajęciem śledzi tę może jeszczę w zaraniu będącą prawdę. Kiedy więc, mówiąc w modzie teraz będącym a wielce ulubionym językiem, spadające gwiazdy są „na porządku dziennym", myślę że rzeczone gwiazdy, czytającéj publiczności, przynajmniéj ciekawość koniecznie obudzić powinny. Wstyd bowiem zaiste powiedzieć w ojczyznie Kopernika, że nietylko dla pospólstwa, ale nawet dla mężów naukami zaprzątnionych, jak od dawnych czasów *gwiazdy się czyściły*, tak się i dotąd jeszcze *czyszczą*. Dlatego to odważam się poczęstować czytelników nieco twardszą strawą, ale nie w astronomicznéj, a tém mniéj matematycznéj, ale dla każdego, kto szczerze chce zrozumiałéj mowie, przedstawiając im wypadki dotychczasowych usiłowań astronomów, na téj długo odłogiem leżącéj niwie. A choćby czytelnicy tylko przerzucili te kilka kartek, tuszę sobie, że się dla nich już przestaną gwiazdy *czyścić*. Jeżeli zaś tego dokażę, powiem sobie z zadowoleniem, że spełniłem moje zadanie.

Między zjawiskami na gwiazdzistém sklepieniu niebios, niemasz zapewne oprócz codziennego wschodu i zachodu słońca, księżyca i gwiazd stałych, zwyczajniejszego i znajomszego, jak tak zwane *gwiazdy spadające*. Niemasz téż zapewne człowieka, rozumié się w pewnym wieku, któryby tego zjawiska własnemi nie widział oczyma.

Z powodu powszedniości miały gwiazdy spadające od najdawniejszych czasów i dotąd mają widzów, ale przez długie wieki nie miały badaczów poświęcających im pilniejszą uwagę i usiłujących dać jakąkolwiek rozsądną przyczynę pojawiania się tych szczególnych świateł. Dla pospólstwa, ba nawet i dla wielu roszczących sobie prawo do uczoności, wystarczało i dotąd jeszcze wystarcza powiedzenie, na widok spadającéj gwiazdy: *gwiazda się czyści.* To zdanie ma zapewne swój początek w opinii dawnych filozofów i uczonych, utrzymujących, że sklepiący się nad głowami naszemi lazur, jest rzeczywiście sklepieniem stałém i twardém, na którém przyczepione są pogodne nasze nocy strojące gwiazdy, które nieznajoma ręka co wieczór zapala i co rano gasi. Jak przeto nasze świece potrzebowały objaśniania iżby się jasno paliły, tak też owe gwiazdy nie mając objaśniającéj ręki, musiały się same oczyszczać czyli objaśniać, żeby śmiertelnym zawsze jednakową jasność przedstawiały. Uczonym znowu wystarczało długo, bo prawie do końca przeszłego stulecia zdanie, że zjawiska te odbywają się w atmosferze otaczającéj naszą ziemię; mianowicie zaś: że z ziemi wznoszą się w górne warstwy powietrza różne wyziewy tłuste, olejne lub siarczyste, które w nieznany sposób zapalone, gwiazdę spadającą przedstawiać mogły. Albo późniéj: że w najwyższych warstwach atmosfery gromadzi się gaz wodorodny, lotnością swoją wzniesiony do wielkiéj wysokości, gdzie zapalony iskrą elektryczną, przedstawia nam gwiazdę spadającą.

Daleko rzadsze od gwiazd spadających są tak zwane *kule ogniste*, które jednak tylko wielkością swoją i wolniejszym ruchem różnią się od piérwszych; zjawiają się bowiem, chociaż dość rzadko wyrównywające wielkością swoją, rozumie się tylko pozorną, księżycowi w pełni, a światłem, lubo tylko chwilowém, przewyższają tenże. Z powodu zapewne swéj wielkości, niekiedy pękają rozdzielając się na części, z których jedne pierwotną drogę kuli ognistéj nieco zmienioną zatrzymują, a inne albo nawet wszystkie na ziemię spadają. Daleko jednak większa liczba kul ognistych ani pękają, ani spadają na ziemię; lecz pokazawszy się i błysnąwszy, w dalszéj swéj drodze znikają z oczu naszych. Do osobliwości kul ognistych należy jeszcze i to, że na drodze którędy przeciągnęły, pozostawiają smugę światła niknącą dopiéro w kilku, w kilkunastu, ba nawet w kilkudziesięciu minutach. Te atoli smugi zostawiają i gwiazdy spadające, lubo nie wszystkie. Chyżości kul ognistych zawarte są między 2,700 i 76,000 metrów na sekundę, gdy punkt równika w wirowym ruchu ziemi przebywa na sekundę tylko 464 metrów, w rocznem zaś około słońca krążeniu przebywa 30,400 metrów.

Najrzadsze z tego rodzaju zjawiska, są kamienie z nieba spadające na ziemię, zwyczajnie *aerolitami* zwane. Dziwna rzecz, że pomimo świadków, w oczach których spadały kamienie z nieba, uczeni nie mogli się oswoić z myślą, aby to prawdą być mogło; dlatego też

wszelkie takie doniesienia za przywidzenie poczytywali [1]). Skoro jednak z postępem czasu coraz więcéj mnożyły się świadectwa nawet bardzo wiary godne, uczeni chcąc przynajmniéj powierzchownie zaspokoić powszechną ciekawość, bo w gruncie sami jeszcze nie wierzyli, tłumaczyli przypadkowe spadanie kamieni z nieba piorunowi, jakoby tenże spotykając na swéj drodze ulotnione części metaliczne, takowe raptownym swym ruchem skupiał w massy nie mogące się utrzymać w powietrzu i powodował spadanie na ziemię. Kiedy jednak naoczni świadkowie twierdzili, że wśród najpiękniejszéj i prawie bez chmury pogody kamienie z nieba leciały, jak się to wydarzyło już późniéj, bo w r. 1843 dnia 16 września w Kleiwenden, gdzie przy zupełnie czystém niebie spadł aerolit, tudzież w r. 1847 dnia 14 lipca w Braunau w Czechach, gdzie z nagle na pogodném niebie zjawionéj małéj chmurki spadły aerolity, uczeni zaczęli je przypisywać wulkanom ziemskim. Wielka ich od miejsca spadłych kamieni odległość, nie miała u nich wielkiego znaczenia, bo zaraz stawiali przykład wybuchu Wezuwiusza w r. 79 po Chr., gdzie kamienie wyrzucane z krateru tego wulkanu, dosięgały aż na brzegi Egiptu. To ostatnie tłumaczenie kamieni niby z nieba spadłych, nie znalazło powszechnego zaspokojenia, dlatego téż usiłowania uczonych w tym względzie nie ustawały.

Skoro Chladni w r. 1794 w wydaném dziele o pochodzeniu żelaznéj massy, 13 przeszło centnarów ważącéj, znalezionéj przez Pallasa w jego podróży do Syberyi nie daleko Krasnojarska [2]), dowiódł możebności spadania z nieba kamieni, a zaprzeczył tworzeniu się ich w naszéj atmosferze, odsuwając takowe aż w przestrzenie planet krążących około słońca; znaleźli się zaraz tacy, którzy wiernego naszego towarzysza, księżyc, obwinili o taką niegrzeczność, że zuchwalec śmié na nas kamieniami rzucać. Do liczby tak utrzymujących należy sławny, bo wielkiéj nauki, Laplas (Laplace) [3]). Za zdaniem tém przemawiała nietylko powaga wielkiego męża, ale téż nie mało upoważniała powierzchnia księżyca, przedstawiająca góry i niezmierne zagłębienia podobne do kraterów wulkanów ziemskich. Gdy jeszcze jeden z astro-

---

[1]) Arago w swéj „Astronomie populaire" mówi: rzecz zaiste dziwna, że gdy akademii umiejętności w Paryżu przyniesiono kamienie spadłe z nieba przez świadków tego zjawiska, taż akademia po wspólnéj naradzie jéj członków mogących w téj mierze miéć i dać swoje zdanie, zawyrokowała, iż *te kamienie nie są z nieba spadłe*; pozostała téż akademia aż do końca upłynionego stulecia, na czele niedowiarków.

[2]) Ueber den Ursprung der von Pallas endeckten Eisenmasse und einige damit in Verbindung stehende Naturerscheinungen.

[3]) W V-ym wieku przed Chr. Diogenes z Apolonii utrzymywał, że oprócz gwiazd świetnych, są także i ciemne a dlatego niewidzialne i aerolity

nomów, dostrzegłszy światełko różne od reszty oświetlenia księżyca, pewny był że widział wybuchający tamże wulkan, nie było już niejako wątpliwości, że te różne na ziemię spadające massy, pochodzą z wulkanów księżycowych. Obrachowano nawet z jaką siłą potrzebaby na księżycu wyrzucić ciało, żeby przebyło obręb działalności księżyca, a wpadło w obręb działalności ziemi, a następnie na nią spadło. Wypadki tego rachunku pokazały możebność spadania kamieni z księżyca; dosyćby bowiem było wyrzucić je na księżycu z siłą nadającą im chyżość blizko 8,000 stóp paryzkich, t. j. blizko $^1/_3$ mili geograficznéj w jednéj sekundzie. Jeżeli bowiem taka siła wulkanów ziemskich jest możebną, bo wulkan Cotopaxi w Ameryce wyrzucał niekiedy rozpalone kamienie jeszcze z większą siłą, tém więc prawdopodobniéj na księżycu, gdzie siła ciężkości jest sześć razy słabsza niż na ziemi, kamienie z taką siłą wyrzucaneby być mogły. Gdy jednak z zasłonienia gwiazd przez księżyc przekonano się że tam niemasz powietrza a zatém i wulkanów, bo te bez powietrza palić się nie mogą, możebność księżycowych kamieni upadła, a niepewność czyli te meteory tworzą się w atmosferze lub też za jéj granicami, pomimo dowodu Chladni'ego, utrzymywała zdania uczonych jeszcze w zawieszeniu.

Nareszcie w roku 1798 Brandes i Benzenberg, dwaj uczniowie uniwersytetu getynskiego, postanowili wspólnie wykonać obserwacye gwiazd spadających, celem otrzymania choćby w przybliżeniu ich od ziemi odległości. Chladni bowiem dowiódłszy w wyżéj wspomnioném dziele, że spadające na ziemię kamienie i żelazne massy pochodzą z pękających kul ognistych, te zaś ostatnie pochodzą z ciał znajdujących się w niezmiernéj przestrzeni i wpadających w obręb działalności słońca, dostrzegłszy daléj podobieństwo kul ognistych do gwiazd spadających, oraz mając, lubo tylko pobieżnię, zwróconą uwagę przez Lichtenberga w Getyndze, że kule ogniste nie są ziemskiego, lecz tak jak komety kosmicznego pochodzenia; nie wahał się twierdzić, że tak kulę ogniste jako też i gwiazdy spadające przybywają do nas z przestrzeni wszechświata. Dla dopięcia zamierzonego celu, rzeczeni akademicy Brandes i Benzenberg, obrali sobie dwa stanowiska najprzód o 27,000, a potém o 40,000 stóp, czyli dwie mile, a jeszcze późniéj nawet sześć mil odległe od siebie. Na tych stanowiskach, w umówionych dniach, stanąwszy, z zupełnie zgodnymi zegarkami obserwowali, każdy na swém stanowisku wszystkie gwiazdy spadające

---

uważał za te ostatnie. W tymże samym czasie znajdowali się także uczeni, utrzymujący pochodzenie aerolitów ze słońca. Arystoteles miał je za burzą w górę podniesione kamienie. W średnich wiekach Paracelsus utrzymywał, że pochodzą albo ze słońca, albo też z innych planet. Według świadectwa Chladniego, piérwszy Paulo Maria Terzago z okazyi spadłych w blizkości Medyolanu aerolitów w r. 1660, objawił zdanie, że one pochodzą z księżyca.

jakie dostrzedz mogli, kreśląc ich drogi na kartach gwiazdziste niebo przedstawiających. Po pewnym przeciągu czasu porównywając swoje obserwacye, znaleźli pewną liczbę meteorów przez obu widzianych, z których zapomocą rachunku otrzymali, że odległość tychże od ziemi rzadko jest mniejsza od 10, a najczęściéj między 10 a 20 i więcéj mil; żadnéj zaś nie obserwowano w wysokości 2 do 3 mil, jak dawniéj utrzymywano. Te tak znalezione wysokości nietylko przez powyższych, ale także i przez innych obserwatorów, nie zadziwiły astronomów z téj prostéj przyczyny, że ani oni, ani téż kto inny nie widział spadającéj gwiazdy przy pochmurném niebie, czyli z tejtu strony chmur.

Skoro Brandes i Bęnzenberg, a potém w roku 1800 i 1801 w Anglii, daléj znowu dwaj piérwsi, tudzież Harding i Pottgiesser w Niemczech, w r. 1824 Quetelet w Belgii i wielu innych miejscach, dowiedli swemi obserwacyami i rachunkami, że gwiazdy spadające i kule ogniste nie powstają w naszéj atmosferze, lecz za nią; gdy do tego liczne świadectwa przekonały, że z wielkim hukiem pękają kule ogniste, zarzucają okolicę, nad którą pęknięcie nastąpiło, większymi i mniejszymi kamieniami, przyznać musieli uczeni, że aerolity, kule ogniste i gwiazdy spadające należą do jednéj i tejże saméj klassy ciał znajdujących się w przestrzeni wszechświata i że ztamtąd przybywają do naszéj atmosfery, gdzie nam przedstawiają zjawisko gwiazd spadających. Rzucili się téż nawet astronomowie, których nie wiele dotąd obchodziły meteory o których mowa, do obserwacyi i badania ich natury; przez astronomówto dopiéro takich jak Bessel, Olbers, Ermann, Bogusławski, Quetelet, Feldt, Coulvier-Gravier, Greg, Herszel, Newton, Schmidt i wielu jeszcze innych, wprowadzony został niejaki porządek, w tego rodzaju obserwacye. A kiedy jeszcze ogromne rojowisko gwiazd spadających, widzianych w Cumana przez Humboldta i Bonplana, w ich podróży w Ameryce południowéj w r. 1799 w dniu 12 listopada, gdzie to zjawisko strachem pospólstwo przeraziło, bo gwiazdy jak śnieg padały [1]), powtórzyło się w r. 1833, a nawet i 1834 tylko o jeden dzień późniéj, bo 13 listopada, prawie w tejże saméj świetności w całéj Europie, gdzie tylko niebo było pogodne [2]); gdy nareszcie piérwszy Denison Olmsted, a za nim i inni

---

[1]) Humboldt w opisie tego zjawiska mówi, że w powyższym roku w nocy z d. 11 na 12 listopada, całe niebo pokryte było większemi i mniejszemi kulami ognistemi, oraz gwiazdami spadającemi i że w ciągu pewnego, lecz nie długiego czasu, nie było najmniejszego płatka nieba wolnego od tych meteorów. Toż samo zjawisko widziane było w północnéj Ameryce i w Europie.

[2]) Olmsted i Palmer prawie w tymże samym dniu obserwowali w Ameryce toż zjawisko i mówią, że w ciągu 9 godzin, cenią liczbę meteorów 240,000. Było to zatém może najświetniejsze zjawisko.

zwrócili uwagę astronomów na peryodyczność wielkiéj liczby gwiazd spadających w dniach 11, 12 i 13 listopada każdego roku, a nadzwyczajnego rojowiska jak w latach 1799 i 1833, co 33 lat rzeczone meteory stały się przedmiotem pilnych obserwacyi. Dostrzeżono téż zaraz, mianowicie Olbers i Quetelet, że w dniu 10, albo raczéj w d. 9, 10 i 11 sierpnia każdego roku, widzieć można daleko większą liczbę gwiazd spadających, niż w innym czasie, oprócz listopadowych. Téj peryodyczności tak sierpniowych, jak i listopadowych meteorów, niezdołano wytłumaczyć w żaden inny sposób, jak tylko przyjmując całkowite dwa pierścienie eliptyczne, z bardzo drobnych i bardzo różnéj wielkości ciałek złożone, lecz nie jednakowo w całych swych obwodach grube. Te krążąc około słońca tak jak planety i przecinając roczną drogę ziemską w pewnych punktach, mianowicie zaś w tych, gdzie się corocznie znajduje ziemia dnia 10 sierpnia i 12 listopada i przechodzi wśród tego mnóstwa ciałek; z tych wiele wpadłszy w naszę atmosferę, zapala się i nam gwiazdy spadające przedstawia. Jakim się zaś sposobem te ciałka zapalają, łatwo wytłumaczyć z tego co następuje.

Już Brandes i Benzenberg z swych obserwacyi rachunkiem dowiedli, że meteory te spadają, albo lepiéj powiedzmy, przebywają swoje widzialne drogi, bo nie wszystkie spadają, jakkolwiek nam się tak wydaje, z chyżością przeszło cztery mile i więcéj w sekundzie. Otóż skoro jakiekolwiek ciało zanurzy się w powietrze z chyżością kilka lub kilkanaście mil w sekundzie, powietrze jako środek stawia mu znaczny opór. W takim razie ciało to obdarzone, jak każde inne w ruchu będące, tak nazwaną *siłą żywą*, zacznie powoli takową utracać. Utracona siła rozkłada się zaraz na atomy składające ciało i na otaczające je powietrze i występuje zaraz w innéj postaci, mianowicie: objawia się w pewnéj, kwadratowi utraconéj siły proporcyonalnéj ilości ciepła, światła lub elektryczności, co Helmholtz nazywa *zachowaniem siły żywéj*. Ciało np. ważące jeden kilogram, spadające z niezmiernéj przestrzeni, przypuśćmy że na słońce i utracające całą swą chyżość, wyradza ciepło równające się przynajmniéj 4,000 razy wziętemu ciepłu otrzymanemu po spaleniu jednego kilogramu węgla. Albo może dla niektórych czytelników będzie zrozumialszém, gdy powiem, że ciało poruszając się, chociażby w bardzo rzadkim środku z tak gwałtowną chyżością, doznawać téż musi bardzo wielkiego oporu a następnie tarcia, które wywołuje rozgrzanie się ciała aż do światła; t. j. przypuściwszy że to jest żelazo, przez tarcie nabywa ciepła zdolnego rozgrzać żelazo daleko wyżéj niż do czerwoności, bo do wysokiéj białości tak że świecić będzie jak spadająca gwiazda.

Że ciało twarde przerzynając powietrze może przyjść do stanu żarzenia, poucza nas także Bunsen dowodząc, że gdyby siła żywa jakiego ciała, mającego chyżość tylko cztery mile w sekundzie, zamieniła się cała w ciepło, jak to poprzednio wspomniano, natenczas

massa jego rozgrzaćby się mogła blizko do miliona stopni termometru setkowego. Chociażby więc mała tylko część tego ciepła użytą była do rozgrzania całéj massy, wystarczałaby do wytłumaczenia działalności ciepła, jaka się w spadających gwiazdach obserwuje. Nie trudno więc pojąć, że w tak wysokim stopniu ciepła, tak małe ciałka jak są gwiazdy spadające [1]), trawią się albo raczéj ulotniają, nim ziemi dosięgną. Lecz i to zaraz tu zastrzedz należy, że zapewne większa część widzialnych gwiazd spadających nie dąży do ziemi, ale daléj przebywa swę drogę, ktorej małą tylko cząstkę widzieliśmy. Tu też powiedzieć wypada, że wielką skrzętnością i bardzo dowcipnymi sposobami dowiedziono, iż większa liczba gwiazd spadających jest nadzwyczajnie mała, ważąca kilka, a najczęściéj tylko większy lub mniejszy ułomek gramu. A może nie od rzeczy będzie także dla niektórych czytelników powiedzieć, że 1,000 gramów, czyli kilogram, czyni nieco tylko więcéj niż 57 łutów wiedeńskich, bo jeden funt wiedeński zamyka 560 gramów.

Małość ciałek przedstawiających gwiazdy spadające, oceniona przez A. Herszla, potwierdza się w massie albo raczéj w wyżéj już wspomnianym aerolicie, znalezionym przez Pallasa w Syberyi około Krasnojarska, a ważącym około 13 centnarów. Jest on bowiem żelazem poprzetykaném małemi, bo 2—5 milimetrów średnicy mającemi ziarnkami oliwinu, który w przestrzeni początkowo zostawać musiał w wyziewach żelaznych, które się następnie zgęściły i stałą twardą massę żelaza utworzyły.

Że wiele gwiazd spadających pozostawia za sobą świetną smugę, pochodzi to ztąd, że wskutek tak wysokiego rozgrzania i tarcia coraz więcéj cząstek, naturalnie jasnych, od stałego jądra meteoru odrywać się musi.

Toż samo dzieje się z wielu kulami ognistemi. Te zapalone, w sposób jak wyżéj powiedziano, zagłębiając się w niższe, a zatém gęściejsze warstwy powietrza doznają coraz silniejszego oporu, bo szybkim swoim ruchem coraz bardziéj powietrze przed sobą ściskają, a nie mogąc go pokonać, z wielkim pękają hukiem; części zaś ich większe i mniejsze spadłszy na ziemię, przedstawiają nam to, co aerolitami lub kamieniami z nieba spadłemi nazywamy. Że się to tak a nieinaczéj dzieje, poucza nas bardzo dowodnie obserwacya astronoma ateńskiego Schmidta. Ten w roku 1863 dnia 19 października przeglądając niebo swoim do szukania komet przeznaczonym teleskopem, spostrzegł wielką i bardzo świetną kulę ognistą, tak zwolna swą drogę przebywającą, że zdążył nastawić na nię swój tele-

[1]) A. Herszel ocenił tę małość ciałek, porównywając ilość ciepła wydającego światło w spadającéj gwiazdzie, z ilością gazu jakąby spalić potrzeba, ażeby otrzymać takież samo ciepło.

skop. I cóż tam zobaczył? Oto rzeczona kula złożoną była z mnóstwa cząstek świecących, jakby z mnóstwa gwiazd spadających i zostawiających każda za sobą jasną smugę, tak wszelako do siebie zbliżonych, że patrzącemu gołém okiem wydawały się być jedną kulą ognistą i zostawiającą jednę smugę. Pęknięcie takiego meteoru zasypuje większą lub mniejszą przestrzeń różnéj wielkości kamieniami, z których każdy jest osobnym i doskonałym aerolitem, nie zaś jakby odłomkiem od większego. Dostrzeżenie to Schmidta stwierdzają także aerolity spadłe we Francyi w l'Aigle, Knyahinya w Węgrzech i w innych miejscach, a najpóźniéj, bo w r. 1868 d. 30 stycznia około Pułtuska.

Spadłe meteory, badane zaraz po ich spadnięciu, pokazały, że nie całe ich massy, zwłaszcza bardzo znaczne, rozgrzewają się do czerwoności, ale tylko na swéj powierzchni, bo w krótkim czasie ich spadku, ciepło nie może przejąć w jednakowym stopniu całéj ich massy. To téż cienka tylko warstwa ich powierzchni pokryta jest zawsze szkliwem dowodzącém że były w stanie żaru. Spadłe aerolity w Indyach wschodnich w r. 1857, badane zaraz po spadku okazały się jeszcze tak gorące, że ich w palcach utrzymać nie można było.

Skoro uczeni oswoili się z myślą możebności spadania kamieni z nieba i skoro się upowszechniło zdanie, że tak aerolity jako téż kule ogniste i gwiazdy spadające tworzą się nie w naszéj atmosferze, lecz z daleka z zewnątrz do niéj wpadają, weszły w szereg dziennych obserwacyi astronomicznych i zjawiska, które dotąd uważano za napowietrzne i lekceważono. Teraz téż dopiéro zajęto aerolity, kule ogniste i gwiazdy spadające pod jednę nazwę ciał *kosmicznych*, dlatego że je uznano za ciała błąkające się w przestworach wszechświata i podległe, jak wszystkie inne, odwiecznym prawom powszechnego ciążenia. Nazwano je téż jeszcze krócéj *meteorytami*. Początkowo, prawie wyłącznie, zatrudniano się meteorytami spadającemi peryodycznie około 10 sierpnia, które téż z tego powodu, zapewne pospólstwo, nazwało *łzami św. Wawrzyńca* i spadającemi około 13 listopada; lecz i innych całkiem nie zaniedbywano.

Obserwacye meteorytów połączonemi siłami przyniosły bardzo wiele nieznanych dotąd prawd dostrzeżonych w tych zjawiskach. I tak dostrzeżono że każdéj pogodnéj nocy, jeden obserwator, zajmujący swym wzrokiem $^1/_4$ część widzialnego sklepienia niebios, widzieć może w każdéj przeciętnie godzinie 7 do 8, a na całéj widzialnéj półkuli około 30 gwiazd spadających i kul ognistych, nie obejmując tu meteorytów sierpniowych i listopadowych t. j. gwiazd spadających corocznie w d. 10 sierpnia i 13 listopada. A. Newton, bardzo dowcipnym rachunkiem pokazał że na całém niebie w ciągu 24 godzin, widzieć można gołém okiem $7^1/_2$ milionów gwiazd spadających. Doliczywszy do tego i teleskopijne, podnosi tę liczbę do 400 milion. Poznano daléj że są pewne dni w roku, w których obficiéj gwiazdy

spadają niż w innych. Takiemi dniami są: piérwsze dni stycznia, 20—26 kwietnia, 10 sierpnia, 12—14 listopada, 6—7 grudnia i inne, które nieco późniéj dostrzeżono. Jeszcze dalsze i pilniejsze obserwacye przekonały, że godzinna liczba nie jest stałą, ale się zmienia od godziny do godziny. Jakoż z licznych obserwacyi, nie uwzględniając sierpniowych i listopadowych znaleziono że:

od godziny	5 do 6	wieczór,	widzieć	można	7,2	gwiazd	spadając.
„	6—7	„	„	„	6,5	„	„
„	7—8	„	„	„	7,0	„	„
„	8—9	„	„	„	6,3	„	„
„	9—10	„	„	„	7,9	„	„
„	10—11	„	„	„	8,0	„	„
„	11—12	„	„	„	9,5	„	„
„	12—1	po północy	„	„	10,7	„	„
„	1—2	„	„	„	13,1	„	„
„	2—3	„	„	„	16,8	„	„
„	3—4	„	„	„	15,6	„	„
„	4—5	„	„	„	13,8	„	„
„	5—6	„	„	„	13,7	„	„
„	6—7	„	„	„	13,0	„	„

Z tego wyraźnie widzimy przeważną obfitość gwiazd spadających w godzinach po północy. Tę prawdę stwierdzają także i rojowiska listopadowe co 33 lat przypadające. Według bowiem doniesienia Palmera, obserwatora w Bostonie, w r. 1833 niepodobna nawet było liczyć spadające gwiazdy po północy dla ich obfitości; dopiero kiedy się ich liczba o godzinie 6 rano nieco zmniejszyła, spróbowano je liczyć. I oto w przeciągu 15 minut narachowano ich jednak 650; a Palmer mówi że ta liczba była zaledwo $^2/_3$ całkowitéj i to gołém okiem widzialnych meteorytów, chociaż swym wzrokiem zajmował zaledwo $^1/_{10}$ widzialnéj półkuli. Liczy téż Palmer widzialnych na całéj półkuli w przeciągu 7 godzin 240000 gwiazd spadających.

Kiedy według rachunku miało się powtórzyć zjawisko obserwowane w latach 1799 i 1833 w r. 1866, przygotowano się na jego przyjęcie. Rzeczywiście nie chybiło i w różnych miejscach gdzie niebo pozwalało, pilniéj je obserwowano, mianowicie zaś w Niemczech, Włoszech, Grecyi i t. d. W nocy z 13 na 14 listopada, szczególniéj w godzinach rannych widziano bardzo liczne gwiazdy spadające i ceniono ich liczbę w różnych miejscach na 8—10 tysięcy. Schmidt w Atenach ceni ją nawet na 15,000, a Neumayer mówi że d. 14 rano były najliczniejsze. Jakoż kilku obserwatorów, w Grynicz widzieli meteorytów w nocy z d. 13 na 14 listopada 1866 r.:

od godziny	9 do 10	. .	10	od godziny	1 do 2	. .	4860
„	10—11	. .	15	„	2—3	. .	832
„	11—12	. .	168	„	3—4	. .	528
„	12—1	. .	2032	„	4—5	. .	40

Tak powyższe jako i obecne obserwacye dowodnie pokazują, że największą liczbę gwiazd spadających widzieć można po północy. Tę prawdę pierwszy dostrzegł Coulvier-Gravier w Paryżu, który przez 8 lat z największą piluością i wytrwałością obserwował spadające gwiazdy i wiele się przyczynił nietylko do wyjaśnienia ich natury, ale też przygotował rolę, którą prawie równocześnie obsiali swemi pracami: A. Herszel, A. Newton, G. C. Bompas, Herrick, Quetelet i wielu innych, z któréj Skiapareli (Schiaparelli) ostateczny plon zebrał.

W r. 1857 G. C. Bompas dał zadowalający dowód, dlaczego liczba meteorytów po północy wzrasta aż do rana, co wprzód zdawało się być sprzeczne z gwiazdową ich naturą. Dalsze jeszcze obserwacye wykazały, że większą liczbę gwiazd spadających widzieć można w jesieni i zimie niż na wiosnę i w lecie, tudzież że największość (*maximum*) przypada na przesilenie zimowe a najmniejszość (*minimum*) na przesilenie letnie. Średnia obfitość przypada na oba porównania; więcéj jednak spada w wiosenném niż w jesienném porównaniu.

Wskazanéj przez Bompasa zasady użył A. Herszel w r. 1864 do dowodu, dlaczego od letniego do zimowego przesilenia dnia z nocą, gwiazdy obficiéj spadają, niż od ostatniego do piérwszego. Tłumaczenie téj prawdy polega na bezwzględnéj chyżości meteorytów. Ta ostatnia prawda naprowadziła także na sposób znalezienia prawdziwej chyżości meteorytów z ich obfitości czyli częstości spadania.

Podanie choćby w przybliżeniu wysokości punktu zapalenia się i gaśnięcia meteorytów było badzo trudne w tym rodzaju obserwacyi. Podawano je też rozmaicie, a nawet punkt gaśnięcia wyżéj niż zapalania się; co ztąd pochodziło, że rzadko obserwacye na dwóch odległych miejscach wykonane, należały do téjże saméj gwiazdy spadającéj lub kuli ognistéj. Professor Weiss roztrząsając krytycznie te obserwacye, wybrał z sierpniowych meteorytów 139, które mu się zdawały najpewniejsze. Wszelako wziąwszy pod rachunek rzeczone obserwacye, pokazało się tylko 49 takich, które prowadzą do szukanéj wysokości i któréj poniekąd zaufać można; przekonał się też zarazem, że niemasz gwiazd spadających w górę, jak się to zdawało niektórym obserwatorom podającym punkt gaśnięcia wyżéj niż zapalenia. Po tak krytycznem przejrzeniu obserwacyi i porównaniu swych wypadków z rachunkiem, A. Newton powiada, że dla sierpniowych meteorytów w przecięciu najpewniejszymi są: wysokość punktu zapalania się 14,45 a gaśnięcia 11,85 mil geograficznych.

Od czasu jak się zajęto pilniejszém obserwowaniem meteorytów, zaczęto równocześnie szperać i po dawnych, różnych narodów kronikach. Znaleziono też rzeczywiście 655 kul ognistych notowanych w tychże kronikach od r. 91 aż do 1852 po Chrystusie. Szczególném zjawiskiem jest ta okoliczność, że Edward Biot znalazł w rocznikach chińskich najwięcéj zapisków meteorytów; samych bowiem kul ognistych, w piérwszych mianowicie latach ery naszéj aż do roku 1618 znalazł

173 zapisków. Uderzającą zaś jest inna okoliczność, że w spisach sporządzonych z tych poszukiwań, nie znajduje się żadna wzmianka z Polski. Czyli kroniki polskie podobnych zapisków nie mają, nie wiém. Mnie zdarzyło się czytać jednę w tym rodzaju wzmiankę, odnoszącą się ile sądzić można, do gwiazd spadających. W kalendarzu na r. 1563 wydanym w Wrocławiu przez „Caspra Goskiego w liekarstwiech Doctora“, jest między innemi „główne opisanie niniejszego roku,“ które tak dla treści jako też i pisowni polskiéj z owego czasu, wiernie i w całości tu przytaczam:

„Przesłi Rok 62, mówi Goski, wielie nam dzywnich y rozmaytich y strasliwich na powietrzu figur okazował, iako woiska ogniste y trwogi ich, trąbienie, bębnanie, nieba gwałtowne gorzenie, płómienie ogniste s słupow wychodzące, miecze, strzały y drzewa boiowe, s obłoku ognistego strachem ludskiem winikaiące, krzyże bliade na doł spadayące, etc. czegosz szye szam napatrził, abosz tesz od inssich powiedaiączich słichał, bo tho sznacz kasdemu było wiadomo, thi wszystky przerzeczone rzeczy y insse nyewimione, wielką boiaśń y strach w liudziech pobudzali, ktorich natura iest sprawczą y powodem, alie takowcy taiemnicze rozum człowieczy trudno doszyącz ma.“

Ale resztę już opuszczam, bo mniéj do przedmiotu należy, a pisownią z przytoczonego poznać można.

Goski nie podał dnia a nawet miesiąca, i czyli te zjawiska były razem lub też w różnych miejscach w ciągu roku 1561 pojedyńczo widziane. Z tego atoli opisania wnioskować można, iż było w rzeczonym roku bardzo świetne zjawisko gwiazd spadających, wśrodku których jedna lub więcéj kul ognistych pękło i nareszcie że w tymże roku była i zorza północna, a kto wié czy nie razem z gwiazdami spadającemi, coby zjawisko do wysokiéj podniosło świetności.

Powiedziało się wyżéj, że w rocznikach chińskich znaleziono 173 zapisków samych kul ognistych; w ostatnich latach wspomniany już, bardzo pilny meteorytów obserwator Coulvier-Gravier w Paryżu, w ciągu ośmioletnich swych wytrwałych obserwacyj, samych kul ognistych obserwował w ciągu tego czasu 168. Tak w dawnych jako też i w obecném stuleciu aż do r. 1852 obserwowanych kul ognistych w liczbie 813, wypada przeciętnie:

na styczeń	55	na lipiec	74
„ luty	57	„ sierpień	123
„ marzec	48	„ wrzesień	64
„ kwiecień . . .	52	„ październik . . .	77
„ maj	50	„ listopad	90
„ czerwiec . . .	43	„ grudzień	80

Z pomiędzy tych 813 kul ognistych, obserwowano 35, z których spadły aerolity mające świadków swego spadku.

Poprzednio powiedziało się, że więcéj widzi się gwiazd spadających od letniego do zimowego, niż od ostatniego do piérwszego prze-

silenia dnia z nocą. Przytoczony co dopiéro wykaz 813 kul ognistych dowodzi nam téjże saméj prawdy. A że i obserwacye aerolitów wzięte w tenże sam sposób przeciętnie, prowadzą do wypadku jak dwa poprzednie, z pewnością zatém twierdzić można, że meteoryty w ogólności częstsze są od czerwca do stycznia niż od stycznia do czerwca.

W r. 1839 Olbers, Quetelet i Herrich a późniéj i inni astronomowie dostrzegli, że oprócz sierpniowych i listopadowych w znacznych rojowiskach gwiazd spadających, odznaczają się także i inne miesiące i pory roku w pewnych nocach większą liczbą meteorytów. A ponieważ pierwszy Olmsted zwrócił uwagę obserwatorów, że peryodyczne listopadowę prawie wszystkie z jednego punktu nieba, albo lepiéj, z jednéj i téj saméj gromady gwiazd stałych, mianowicie zaś z głowy wielkiego Lwa, w bliskości gwiazdy grecką głoską χ oznaczonéj wystrzelały, zaczęto piluiéj dostrzegać téj osobliwości i przy innych liczniejszych gwiazdach spadających w innych miesiącach. Wkrótce téż przekonano się, że sierpniowe peryodyczne wystrzelają z gromady Perseusza i z tego powodu nazwano je *Perseidami;* że spadające między 20 a 26 kwietnia, wystrzelają z gromady Lutni, w bliskości bardzo świetnéj gwiazdy Wega zwanéj i inne. Nie należy jednak rozumiéć że wszystkie gwiazdy spadające widzimy zapalające się w jednym punkcie nieba, bo onę mogą sie zapalać w bardzo różnych punktach; wszelako ponieważ widzialne drogi jakie od zapalenia się aż do zgaśnięcia przebywają, są niezawodnie łukami kół wielkich na wklęsłéj kuli niebios zakreślonych; skoro się te łuki przedłużą, przetną się one na téjże półkuli w dwóch punktach, nie mówię w matematycznych, ale bardzo blisko, a jednym z tych punktów będzie właśnie okolica z któréj wystrzelają. Taki punkt nazwano *punktem wylotu* (*punctum radiationis*, *Radiations punkt*). Powtarzam atoli że punkt wylotu nie jest tam gdzie widzimy gwiazdę niejako odrywającą się od sklepienia niebios, bo punkt ten jest już w naszéj atmosferze, gdzie się meteoryt już do światłości rozpalił.

Skoro tę ostatnią osobliwość licznemi obserwacyami stwierdzono na sierpniowych i listopadowych meteorytach, starano się jak najdokładniéj oznaczyć punkt wylotu, podając jego *wznoszenie się proste* (*ascensionem rectam*), *i zboczenie* (*declinationem*) lub téż *długośc i szerokość* (*longitudinem*, *et latitudinem*). W tém wyznaczaniu za pomocą pilnych i usilnych obserwacyi najwięcéj położyli zasługi: Olmstet, Heiss. Schmidt, Greg, A. Herszel i Weiss. Wyznaczyli oni dotąd więcéj lub mniéj dokładnie, przeszło 100 punktów wylotu na północnéj półkuli nieba, które prawie równo na téj połowie nieba są rozłożone i każdy z nich należy do innéj grupy meteorytów. Na każdą téż noc przypada 10—12 punktów wylotu. Z tego powodu spadające gwiazdy dawniéj *sporadycznemi* nazywane, mają już swoje grupy i nazwą téż ich ustaje. W wyznaczeniu punktu wylotu bardzo wielce się zasłużył R. P. Greg w Manszester. On bowiem z 1746 obserwacyi różnych meteorytów, wykonanych w 1655 dniach, podał

punkta wylotu dla ośmiu grup, mianowicie: w styczniu, kwietniu. lipcu, sierpniu, październiku, listopadzie i grudniu.

Dłuższe i z większą bacznością czynione spostrzeżenia meteorytów, teraz już przez liczniejszych obserwatorów pokazały, że spadająca gwiazda jakby oderwana od sklepienia niebios, dąży w pewnym kierunku z większą lub mniejszą chyżością, tudzież z większéj lub mniejszéj odległości od punktu szybkiego zapalania się, równie szybko znika. Co do zewnętrznéj postaci, dostrzeżono że nietylko dążą w różnych kierunkach i z różną chyżością, ale też że są różnéj wielkości i barwy. Dlatego dzielą obserwatorowie spadające tak jak stałe gwiazdy na klassy, umieszczając w piérwszéj te co swą świetnością równają się gwiazdom stałym piérwszéj wielkości; w drugiéj te co wyrównywają gwiazdom drugiéj wielkości i tak następnie. Większe niż gwiazdy piérwszéj wielkości, porównywają z blaskiem Jowisza i Wenery. Też obserwacye dowiodły, że niektóre z gwiazd spadających, mianowicie większe, znaczą drogę przebytą, jak się to już wspomniało, świetną smugą, która czasem nawet po zgaśnięciu meteoru, widzialną jest jakiś czas na sklepieniu niebios. Barwa gwiazd spadających jest zwyczajnie biała albo żółta; wiele atoli znajduje się zielonych lub czerwonych a nawet nierzadko niebieskich. Ogólnie mówiąc, meteoryty mające tenże sam punkt wylotu, mają też przeważnie tęż samą barwę. Perseidy w r. 1863 były po większéj części żółtawe. Szczególniéj godném jest uwagi, że pozostawiona smuga nie ma téj saméj barwy jak gwiazda która ją pozostawiła. Co do wielkości należy rozumiéć tylko pozorną, a zatém jasność; żeby bowiem wyznaczyć rzeczywiste wymiary, poznać potrzeba odległość meteoru i pozorną jego średnicę, co przy podobnych, gołém tylko okiem mogących być obserwowanymi, meteorach, jak równie i dlatego, że mocno świecące przedmioty wydają się zawsze większe niż są rzeczywiście, jest prawie niepodobném. Dlatego to niektórych bardzo świetnych, ceniono średnice na tysiące stóp, kiedy z innych, na pewnych zasadach opartych powodów, wszyscy w tym kierunku pracujący przyznają największéj liczbie meteorytów, bardzo małe massy. Według rachunku ateńskiego astronoma Schmidta, przypada na każdą pozornéj ich wielkości klassę ta sama liczba gwiazd spadających.

Jeżeli jasność spadającéj gwiazdy przewyższa Jowisza i Wenerę, ba nawet księżyc w pełni, tak że niekiedy wśród jasnego dnia widzialne być mogą, w takim razie nazywamy je kulami ognistemi.

Widzialność gwiazd spadających rzadko trwa dłużéj nad sekundę. H. A. Newton w New-Hawen z obserwacyi wielkiéj ich liczby, znalazł przeciętnie nie całe nawet pół sekundy. Ten atoli widzialności czas, rozumie się tylko o samém jądrze, bo pozostawiona smuga, lubo niezawsze, to przecież często trwa nieporównanie dłużéj. Tak np. w r. 1803 Krusenstern na morzu Północném, gołém okiem,

a znajomy nam już Schmidt przez teleskop służący do szukania komet, widzieli smugę po zniknięciu gwiazdy przez całą godzinę.

Wyżéj się powiedziało, że nie wszystkie spadające gwiazdy znaczą swoje drogi smugą. Otóż z licznych a pilnych spostrzeżeń pokazuje się przeciętnie, że spadające gwiazdy piérwszéj wielkości i kule ogniste, w połowie, a drugiéj wielkości w $^1/_6$ części swéj liczby, w następnych zaś klassach rzadko za sobą zostawiają smugę. Ale ponieważ z południowych krajów, gdzie powietrze jest czyściejsze a następnie i niebo jaśniejsze, wielu obserwatorów a szczególniéj Humboldt, podaje większą liczbę meteorytów znaczących swe drogi smugami, niż się co dopiéro powiedziało; wnosić zatém wypada, że zapewne wszystkie zostawiają więcéj lub mniéj powietrzne smugi, my zaś a raczéj obserwatorowie widzą tylko świetniejsze. Dodać także należy, że pozostawione smugi dopóki są widzialne zmieniają się w wielu przypadkach, mianowicie zaś w kierunkach ich pojawiają się rozmaite w postaci fal zagięcia, rozszczepienia na kilka części i t. d. Za osobliwsze atoli zjawisko uważać należy, że wśród tych zmian widzieć można przez ich miąższość nawet małe gwiazdy. Największa ich liczba przebywa swoją drogę bez żadnego szumu i zmiany w powierzchowności, oprócz barwy. Zmieniają atoli oprócz barwy świetność swoją, od chwili zapalenia się aż do zgaśnięcia, gdzie są najświetniejszę a smugi coraz węższe. Bardzo wielkie kule ogniste przebywszy piérwszą przestrzeń w wielkim blasku i iskrzeniu, pękają w końcu z większym lub mniejszym hukiem. Po pęknięciu widzieć można słabiéj świecące kawałki spadające na ziemię, gdy tymczasem zwyczajnéj gwiazdy spadającéj, dosięgającéj ziemi, jeszcze dotąd niewidziano. Ta okoliczność każdego przekonać może, że aerolity są to cząstki kul ognistych, jak to już wyżéj z innych powodów wspomniano. Te to dostrzeżenia zmusiły niejako astronomów, jak się to już rzekło, do wniosku, że aerolity i kule ogniste są temiż samemi ciałami kosmicznemi. A że kule ogniste, co się także już nadmieniło, różnią się od gwiazd spadających jedynie większą massą, co niektórym pozwala dosięgnąć ziemi nie rozproszywszy się i nie ulotniwszy w szybkim swym ruchu w stawiającéj im opór atmosferze, zatém prawdą jest matematyczną, że aerolity, kule ogniste i gwiazdy spadające albo ogólnie meteoryty, są tegoż samego pochodzenia, są ciałami kosmicznemi.

Nieco wyżéj powiedziało się, że kule ogniste z mocniejszym lub słabszym hukiem pękają. Najwięcéj tych kul pęka w odległości jedna do dwóch, a bardzo rzadko w poł mili od ziemi. Huk ten nie zawsze jest słyszany, co jedynie zależy od większéj lub mniejszéj od nas odległości, tudzież od rzadkości atmosfery gdzie kula pęka.

Do jakiéj jednak dojść może mocy huk rzeczony, posłużyć może jako przykład a zarazem jako świadectwo: pęknięcie kuli ognistéj i spadnięcie aerolitów w l'Aigle w roku 1803 dnia 26 kwietnia, około godziny pierwszéj po południu. Huk ten był słyszany na 30 mil

francuzkich naokoło! W samém miejscu pęknięcia kuli, drżała ziemia jak w czasie trzęsienia ziemi, oraz zwaliły się domowe kominy. W rocznikach Gilberta znajduje się opowiedziane inne zdarzenie z roku 1740 w Turcyi w Hasargrad, mianowicie że się niebo nagle zachmurzyło i usłyszano straszne trzy uderzenia podobne do huku armat nabitych kilkuset centnarami prochu i naraz wystrzelonych. Na ten huk zatrzęsło się niebo i ziemia, a zwierzęta i ludzie znajdujący się wtedy pod gołém niebem, na ziemię bez zmysłów upadli; a chociaż ani żadne z domowych zwierząt, ani żaden człowiek nie był zabity, to przecież jeden przytomny na miejscu pęknięcia kuli człowiek, nawiedzany był przez 7—8 dni napadami padaczki i zaniemówił. W krótce potém znaleziono trzy kamienie, które posłano wielkiemu wezyrowi.

Jeżeli po pęknięciu kuli ognistéj bardzo wielka liczba kamieni spada, nazywa się to *deszczem kamiennym*. Tak np. w roku 1808 dnia 22 maja spadło w Morawie 200—300 kamieni, w l'Aigle 2—3 tysięcy, w roku 1866 dnia 9 czerwca w Węgrzech w Knyahinya, liczbę ich oceniano na 3—4 tysięcy, a w roku 1868 dnia 30 stycznia około Pułtuska zebrano 400 sztuk, a utopiło się w Narwi i w innych wodach po nizinach rozlanych, drugie tyle albo więcéj. Ten kamienny deszcz zasypuje ziemię w kierunku w którym kula dąży, a zasypana powierzchnia ma postać eliptyczną, któréj osie tém więcéj się w długości różnią, im kula szybszy ruch miała. Tak zasypana powierzchnia pod Pułtuskiem, wynosi blizko milę kwadratową, w długości przeszło milę, a w szerokości $^1/_3$ mili geograficznéj. W l'Aigle zasłały kamienie powierzchnię dwie mile w długości a jedną w szerokości.

Często w dawnych kronikach zapisywane deszcze i śniegi krwawe, proch czarny lub brunatny, także piasek czarny lub brunatny, materye galaretowate i t. p.; wszystkim atoli tym zjawiskom towarzyszyły albo burze, albo kule ogniste, wystrzały i wstrząśnienia podobne do trzęsienia ziemi i dlatego chyba tylko te, którym kule ogniste towarzyszyły, do meteorytów puliczyćby można.

Co do wielkości aerolitów, ta w bardzo obszernych granicach jest zamknięta. I tak: najmniejsze kamienie w l'Aigle ważyły po pół łuta, około Pułtuska spadłe przy początku, ważyły w przecięciu po 6 łutów wiedeńskich (bo małe spadają bliżéj, a coraz większe coraz daléj), dalsze ważyły po 11, 23 do 46 łutów. Spadłe przy Sielcu, ważyły od 68—91 łutów. Jeden z największych ważył $12^1/_2$ funtów wiedeńskich, a trzy po 7 funtów.

W l'Aigle jeden ze znalezionych kamieni ważył przeszło 15 funtów.

Aerolit spadły	w Vouille	1831	d. 18 lipca	waży	20 kil.	cz.	35.7	f. w.
„	Chantonnay	1812	„ 5 sierp.	„	34	„	60.7	„
„	Juvenas	1821	„ 15 czer.	„	92	„	164.3	„
„	Ensisheim	1492	„ 7 list.	„	138	„	246.4	„

Aerolit spadły w Nowéj Grenadzie, w Santa-Rossa w roku 1810 z dnia 20 na 21 kwietnia, a który opisali Boussingault i Marino de Rivero, waży 750 kilogramów, czyli 1339 funtów. Odłamki tego kamienia albo raczéj aerolitu, znalezione w jego blizkości i analizowane, okazały ten sam skład jaki ma całość, mianowicie 92 części żelaza a 8 niklu; uwagi godne, że ten aerolit nie ma jak inne powłoki szklistéj. Prawie zupełnie był zapadły w ziemię, bo tylko kilka centimetrów wystawało nad jéj powierzchnią.

Jedna z największych dotąd znajomych mass, spadła w Peru przy Olumba, waży 300 centnarów.

Dotąd liczyć można 270 miejscowości, na których znaleziono aerolity. W Paryżu w cesarskim gabinecie znajdują się aerolity z 236 miejsc.

Z powodu tak znacznego niekiedy ciężaru aerolitów, nie brak też nieszczęśliwych przypadków przez nie i kule ogniste zrządzonych. I tak: w spisie gwiazd spadających zapisywanych w rocznikach chińskich a sporządzonym przez Edwarda Biota, czytać można, że w roku 616 dnia 14 stycznia, kamień spadający z nieba, strzaskał w drodze będące wozy i dziesięciu ludzi zabił. Według roczników miasta Fuldy (Annales Fuldenses), miała tak wielka liczba aerolitów spaść w roku 823 w Saksonii, że wiele ludzi i zwierząt zabiły, a 35 wsi się spaliło. Według opowiadania Spangenberga, padały w pobliżu Friedenburga nad Salą w roku 1304 dnia 1 października jak grad ogniste kamienie z nieba i sprowadziły pożary a przytém zrządziły wielkie szkody. Olaus Ericson Willmann opowiada, że znajdując się na morzu w roku 1654, kula ognista ważąca 4 kilogramy, czyli 8 funtów wiedeńskich, zabiła na jego okręcie dwoch ludzi. Około tegoż samego czasu to jest w roku 1660, spadły nie wielki kamień w Medyolanie, zabił zakonnika franciszkana. Chemik Laugier pozostawił rysunek aerolitu z trzaskiem spadłego w blizkości Roquefort w Ameryce, który zupełnie zburzył chatkę, zabił człowieka i bydło w niéj znajdujące się, a potém wpadł w ziemię prawie na dwa metry głęboko.

Kulom ognistym, nie mówiąc już o dawnych czasach, przypisywano w latach 1759 dnia 13 czerwca, 1761 dnia 11—12 listopada w Burgundyi; 1835 dnia 13 listopada w blizkości Lauzieras; 1840 3—4 sierpnia w Temesville, 1841, 25 lutego w Chantoloup; w 1843 18 listopada; 1846 16 stycznia i 22 marca w wielu miejscowościach we Francyi, spalenie różnych budynków i wiele innych przypadków w różnych rocznikach opowiadanych. Że te przypadki są możebne, dowodzi ta okoliczność, że w roku 1847 dnia 14 lipca spadłe aerolity w Braunau, już na początku wspomniane, po sześciu godzinach po ich spadnięciu, były jeszcze tak gorąco, że ich nie można było dotknąć bez sparzenia i dlatego, chociażby na pogorzelisku nie mogły być aerolity odszukane, możebną jest rzeczą, że sprowadzić mogły pożar.

Nie wszystkie atoli aerolity w tak wysokiéj temperaturze dosięgają ziemi. Tak około Pułtuska w roku 1868, w dziesięć minut po spadnięciu kamieni, właściciel Nowego-Sielca znalazł kamień przeszło 7 funtów ważący, zatopiony w śniegu, już zupełnie zimny, a na niektórych mniejszych, nawet warstwa śniegu przyległa.

Chemiczny skład aerolitów jest bardzo różny; nie znaleziono jednak w nich żadnego na ziemi nieznanego pierwiastku. Dość tu powiedzieć że nie wszystkie aerolity mają te same, ale owszem bardzo różne składniki, których liczba wynosi 24. Zwyczajnie dzielą aerolity na dwie klassy: to jest takie, które mają ziarna i włókna żelaza meteorycznego, tudzież takie, które nie mają żadnéj mieszaniny metalicznéj, ale raczéj okazują się jako mieszanina krystaliczna rozmaitych minerałów. W różnych aerolitach bardzo rzadko brakuje zupełnie żelaza. W aerolitach zwanych kamieniami meteorycznemi, znachodzi się żelazo w mniejszéj ilości pomieszane z innemi składnikami. W aerolitach zaś zwanych żelazem meteoryczném, znajduje się żelazo czyste, a w tym wypadku towarzyszy mu zawsze nikiel [1]) i to taki, że oba te kruszce wynoszą co do wagi 98 na sto. Ważną jest także rzeczą, że w każdym prawie aerolicie napotyka się oliwin krystaliczny [2]). Żelazo meteoryczne ma zwyczajnie budowę gałęzistą lub dziurkowatą, a w wydrążeniach jego znajdują się ziarnka oliwinu. Czyste żelazo z niklem połączone, jest miękkie tak, że z massy mającéj około 15 metrów wysokości, znalezionéj w zachodnich Chinach przy źródłach rzeki Żółtéj, a którą mieszkańcy tameczni mieli za spadłą z nieba z meteorem ognistym, Mongołowie wyrabiali sobie siekiérki. Z takiego samego żelaza, znalezionego przez kapitana Rossa na brzegach odnogi Bafińskiéj, Eskimosi wyrabiali noże i harpuny do połowu wielorybów. Aerolit już wyżéj wspomniany, znaleziony przez Pallasa, jest także żelazem poprzetykaném oliwinem [3]).

---

[1]) Jestto kruszec znaleziony w Szwecyi i od miejsca w którém go znaleziono, tak nazwany.

[2]) Oliwin jest gatunkiem bazaltu.

[3]) Daubrée, dyrektor mineralogicznego gabinetu w „Jardin des plantes“ w Paryżu, porządkując znajdujące się tamże meteoryty, dawniéj chronologicznie uporządkowane, podzielił je na cztery klasy, nie rachując do nich kamiennéj kurzawy, ale tylko massy stałe. Klasy te są następujące:

I. *Syderyty* (σιδηρος, żelazo). Są to meteoryty zamykające żelazo metaliczne, nie znajdujące się w żadnym ziemskim kamieniu, a przeciwnie znachodzone w każdym prawie meteorycie.

II. *Holooyderyty* (ὁλος zupełnie). Te mogą albo wcale nie zamykać ziemnych części, albo przynamniéj tak, że gołém okiem nie mogą być dostrzeżone, a w takim razie bardzo mało zamykają tych części, które po rozpuszczeniu żelaza w kwasie, pozostają.

Po tém co się dotąd o meteorytach powiedziało, myślę że żadna i dla nikogo nie powinna pozostać wątpliwość pochodzenia z jednego i tego samego źródła tak aerolitów, jako też kul ognistych i gwiazd spadających. Co się zaś tyczy pytania, czyli one się tworzą w naszéj atmosferze, jak dawniéj mniemano, czyli też zkądinąd, z przestrzeni do niéj wpadają, jeżeli kto chciał koniecznie utrzymywać pierwsze a zaprzeczać ostatnie, to jest najnowsze, oraz na bardzo skrzętnych i dokładnych obserwacyach oparte zdanie, ten musiałby dowodnie wskazać astronomom choć jednę obserwacyą świetlnego w przestrzeni meteoru przy pochmurném niebie. Byłby to bowiem dowód, na którym, jak się już powiedziało, dotąd zupełnie zbywa, że kule ogniste lub gwiazdy spadające widzianemi były z téj strony chmur unoszących się w atmosferze, a następnie że te zjawiska w nich się rodzą. Równie i ci co aerolity przypisywali wulkanom księżycowym, po faktach dowodzących wprost przeciwnych zjawisk, że aerolity są zawsze tegoż samego składu, ustąpić muszą dowodom oczywistym, że widziano dotąd aerolity począwszy od żelaza meteorycznego, aż do najrozmaitszych aglomeratów ziemskich.

Przyjmując więc nareszcie wraz z czytelnikami za pewnik, że meteoryty są ciałami kosmicznemi, winienem jeszcze zaspokoić ich ciekawość, jak się te ciała utrzymują w przestrzeni wszechświata, z jak dalekich stron przychodzą do ziemi i co niektóre powoduje do spadania na ziemię? A jeżeli mi się uda z zadowoleniem czytelników odpowiedzieć na te pytania, tuszę sobie, że wtedy nierównie jaśniejsze a następnie mocniejsze powezmę przekonanie o kosmicznéj naturze meteorytów. Pragnąc zaś być jasnym i zrozumiałym, prosić muszę o małe wyboczenie, czyniąc z czytelnikami wycieczkę na gwiazdziste niebo, ażali tam nie napotykamy w podróży naszéj na te zagadkowe dotąd ciała. A choćbyśmy ich nawet nie spotkali, to przecież ta podróż da czytelnikom choćby słabe pojęcie przestrzeni wszechświata i łatwiéj ich usposobi do przyjęcia ogólnie dotąd uznanego zdania, że meteoryty pochodzą z przestworów niebios.

III. *Syssyderyty* (συν, z.) i *Sporadosyderyty* (σποραδος rozproszony). Jeżeli syderyty zamykają krzemień (*silicate*), wtedy żelazo ma postać massy w związku będącéj i podobnéj do gąbki, w któréj ziemne części wypełniają dziurki; albo też żelazo w massie ziemnéj, może być w większych lub mniejszych ziarnach rozproszone. Otoż w pierwszym przypadku zowią się *syssyderytami* a w drugim *sporadosyderytami*. Ten ostatni oddział zajmuje największą liczbę dotąd znanych meteorytów. Dzieli się też na *polisyderyty* (πολυς, wiele); *oligosyderyty* (ολιγος, mało) i *kryptosyderyty* (κρυπτος, ukryty).

IV. *Asyderyty* to jest takie meteoryty, które całkiem nie mają żelaza.

Od najdawniejszych czasów, mianowicie zaś od czasów Hipparcha, obserwującego na 150 lat przed Chrystusem, aż do wynalezienia przez Galileusza teleskopów, nie znano więcéj nad 5,000 gwiazd na sklepieniu niebios, bo ich tylko tyle gołém okiem widzieć można. Po wynalezieniu teleskopów, aczkolwiek mało jeszcze powiększających, liczba ta o wiele wzrosła, a z postępem czasu, wraz z doskonaleniem się teleskopów, ciągle się zwiększała. Wiadomo bowiem, że astronomowie dzielą gwiazdy na klassy, stosownie do ich świetności tak, że najświetniejsze mieszczą w klassie pierwszéj, mniej świetne w klassie drugiéj i tak następnie. Otóż, kiedy gołém okiem widzialne zajmują pięć pierwszych klass, przez teraźniejsze teleskopy posuniony ten podział do piętnastéj i dalszych. Oprócz dostrzegania gwiazd coraz wyższych klass, napotykano na tym obszarze niebios przedmioty podobne do mgły i nazywano je gwiazdami mglistemi. Skoro jednak teleskopy więcéj udoskonalone zostały, mgliste te gwiazdy okazały się zbiorami nadzwyczajnego mnóstwa gwiazd osobnych. Pomimo zadziwiającéj mocy powiększania teleskopów w ostatnich czasach zbudowanych, napotykano bardzo liczne i bardzo delikatne chmurki, których już najmocniejsze teraźniejsze teleskopy na pojedyńcze gwiazdy rozdzielić nie zdołały i zapewne w następnych czasach, przy większém jeszcze udoskonaleniu teleskopów nie zdołają. Jedne z pomiędzy takich obłoczków, mają jeden lub więcéj punktów o wiele świetniejszych niż same, w innych zaś żadnych takich punktów nie dostrzeżono. Te ostatnie są zapewne zbiorami ciał i ciałek, które meteorytami nazwaliśmy. Żeby zaś łatwiéj było pojąć jakie to są bezmierne zbiory, dość nam będzie, choćby tylko myślą, skoro inaczéj niepodobna, zobaczyć jak téż daleko wspomniane obłoczki znajdują się od ziemi? Chcąc tę odległość wymierzyć, brakuje nam stosownéj do tego miary; bo jeżeli weźmiemy najdłuższą jaką mamy na ziemi, a którą każdy człowiek dobrze pojmuje, to jest milę, otrzymalibyśmy taką liczbę mil, iżbyśmy jéj całkiem nie pojęli, anibyśmy mogli sobie zrobić przynajmniéj takie o niéj pojęcie, iżby o takiéj liczbie choćby pomyśléć można; biorąc zaś miarę jakiéj astronomowie w swych w tamte strony wyprawach używają, saméj téj miary już sobie jasno wystawić nie potrafimy. Używają do podróży w tamte strony kolei żelaznéj, rozumie się tylko w myśli, aby powziąć jakie takie wyobrażenie o odległości która nas od owych obłoczków dzieli, jechaćbyśmy musieli wieki, których liczby znowubyśmy nie pojęli. Żeby jednak dać czytelnikom choćby najsłabsze pojęcie téj odległości, użyję tu najszybszéj, jaką dotąd znamy, poczty, to jest promienia światła. Przestrzeń dzielącą nas od słońca a około 20 milionów mil wynoszącą, przebywa promień światła w ośmiu minutach i trzynastu przeszło sekundach tak, że tenże promień przebywa w jednéj sekundzie blizko 42 tysiące mil! Dla łatwiejszego jednak rachunku, weźmy mniejszą lecz okrągłą liczbę 41,000 mil.

Wsiadłszy więc na promień światła, puśćmy się w linii prostéj w którąkolwiek stronę nieba, a po minucie podróży przebędziemy już przeszło półczwarta miliona mil. Po upływie godziny oddalimy się od ziemi 2000 przeszło milionów mil. Za trzy godziny bylibyśmy już na granicy naszego dotąd znanego systematu planetarnego, to jest bylibyśmy w dziedzinie najodleglejszéj od słońca planety Neptuna, odkrytego przed dwudziestu kilku laty. Przez jeden dzień wraz z nocą, jadąc bez popasu i wytchnienia, znajdować się będziemy 5,270 milionów mil od ziemi, a w końcu roku, rachując takowy tylko 365 dni, oddalilibyśmy się od ziemi na 2, po 10 latach na 20, a po 100 latach na 200 blizko kwadrylionów mil!

Lecz darmo! myśl już zupełnie osłabła; chcąc z tych ostatnich liczb wyrobić sobie jakietakie, choćby najsłabsze pojęcie tak ich odległości, a wszelako z największą pewnością powiedzieć można, że jadąc na promieniu światła przez 100 lat, nie zrobiliśmy jeszcze nawet jednego kroku w porównaniu z całą bezmierną przestrzenią i nie więcéj zbliżyliśmy się do jéj granic, jak byliśmy na ziemi przed odjazdem! Tak jadąc wieki bezustanku w téj przestrzeni, niemającéj nigdzie granic, postąpimy jak zostając na ziemi. Ta jednak podróż, ile mi się zdaje, dać nam może i powinna, choćby słabe pojęcie bezmierności przestrzeni we wszystkich możebnych kierunkach.

Gdybyśmy podróż naszę skierowali ku najbliższéj nam gwiaździe Toliman zwanéj (α Centaura), przybylibyśmy do niéj dopiéro po upływie 3 lat i 5 miesięcy, przebywszy nie mniéj jak 4 miliony 533 tysiące milionów mil! która to liczba znanemi cyframi wyrażona, następnie wygląda: 4,533,000,000,000.

Ale jakże daleko znajdują się owe obłoczki, które w postaci meteorytów nawiedzają naszą atmosferę a nie rzadko i ziemię? Trudno przypuścić żeby ktokolwiek myślał iż one znajdują się tylko w pewnéj odległości i w pewném miejscu. Bezmierna, jak poznaliśmy, przestrzeń jest ich dziedziną, gdzie utrzymują się tąż samą siłą i według tychże samych praw, któremi się rządzą wszystkie do systematu słonecznego należące ciała, wyraźniéj mówiąc, utrzymują się siłą powszechnego ciążenia przez Newtona odkrytą. A że wszystkie świat powszechny składające ciała są w nieustannym ruchu, co całemu stworzeniu nadaje życie, gdzie bowiem nie masz ruchu, tam śmierć i zgnilizna; zatém i rzeczone obłoczki, a może inne, nawet przez najmocniejsze teleskopy niewidzialne, ogromne obszary ciałek w około pewnego lub pewnych punktów nagromadzone, prawdziwa kurzawa niebieska, pływają, że tak powiem w przestrzeni, odbywają ruch w najrozmaitszych kierunkach, jakie wypadają z kombinacyi sił, którym ulegają. Lecz sądzę że już powszechnie jest wiadomém, iż i słońce nasze wraz z całym systemem planetarnym, dla téjże saméj przyczyny co i poprzednio, odbywa ruch w przestrzeni, zapewne około innego słońca. Skoro więc tak jest, zatém bardzo łatwo pojąć

że słońce nasze i którykolwiek z obłoczków przebywajac przestrzeń w przeciwnych kierunkach, to jest zbliżając się do siebie, znajdować się mogą w takiéj względem siebie odległości, iż obłoczek więcéj ulegać będzie sile słońca niż innych słońc dotąd na niego działających. W takim razie wkroczyć on musi w obręb działalności słońca opuszczając dawnych swych władzców, jako na niego teraz mniéj lub żadnego nie mających wpływu. Jakim zaś sposobem dostają się w naszą atmosferę i na ziemię, w dalszym ciągu zobaczymy.

Aby tu zaraz dać czytelnikom choćby słabe wyobrażenie o wielkości takich obłoczków, dość powiedzieć że Wilhelm Herszel swym ogromnym teleskopem zwiedziwszy całe widzialne sklepienie niebios i spisawszy, wymierzywszy oraz zsumowawszy razem te delikatne obłoczki, znalazł, że wynoszą 200 stopni kwadratowych! Cóż to za ogromny obszar, co za ogromna massa nagromadzonéj materyi w przestrzeni wszechświata! Pomyślawszy o niéj, słaby człowiek na samą myśl truchleje, bacząc, że ona w odległości biliony bilionów mil widzialną jest pod powyższym wymiarem.

Po takiém wyboczeniu wracając do samych meteorytów, łatwiéj może będę zrozumiany, prawiąc o prawdziwych strumieniach gwiazd spadających, lub ogólniéj meteorytów, szczególniéj téż w dniu 10 sierpnia i 13 listopada każdego roku; bo liczba ich poprzednio pokazana, lubo obserwacyami stwierdzona, zdawała się może za wielką i przesadzoną, gdy przeciwnie jest ona zaledwo setną częścią ogółu; nie trzeba bowiem mniemać że tylko ziemia widzi gwiazdy spadające, kule ogniste, oraz aerolity tylko na ziemię spadają. Toż samo dzieje sie na każdéj innéj planecie, w któréj blizkości płynie co dopiéro rzeczony strumień owych ciałek składających ledwo najmocniejszym z teraźniejszych teleskopów dojrzany obłoczek. Spadają także zapewne i to w przeważnéj liczbie i na słońce. A co się z nimi dzieje w naszym planetarnym systemacie, toż samo zupełnie dziać się musi i w innych miryadach systematów. Owe bowiem 200 kwadratowych stopni widzialnych teleskopem Herszla obłoczków, jest niezawodnie nieskończenie małą tylko cząsteczką materyi kosmicznéj, nagromadzonéj w tych bezmiernych przestworzach przestrzeni, może jako materyał do budowy nowych w następnych wiekach systematów. Albo, bo któż to zgadnie, są one może pozostałością zgruchotanych przed milionami wieków istniejących systematów i jako potrzebne do utrzymania całości, do utrzymania równowagi, odbywają w przestrzeni ruchy, choćby nawet zmienione, jak systemata z których pochodzą odbywały.

Po tém wszystkiém co się powiedziało o usiłowaniach prawie wszystkich astronomów, w zamiarze wyjaśnienia, a przynajmniéj rzucenia jakiegokolwiek jaśniejszego pojęcia tych aż do obecnych czasów zagadkowych zjawisk, przystępuję do ostatecznego wypadku tych wspólnych badań, a zapewne matematycznéj prawdy, którą medyolański astronom Skiapareli w r. 1866 światu ogłosił.

Gdy w r. 1861 zjawiła się wielka, najprzód w Nowym-Yorku przez A. E. Tlatchera odkryta kometa, któréj warkocz według rachunków, bardzo prawdopodobnie ziemia na swéj koło słońca drodze przebywała i gdy w tymże samym czasie uważano w Anglii niezwykłe oświetlenie nieba, podobne do tego jakie sprawują bardzo licznie spadające gwiazdy, nawet w miejscach gdzie nie są widzialne; a nareszcie gdy w wielu innych miejscach uważano, zawsze w tymże samym czasie, niezwyczajną liczbę gwiazd spadających: już w tedy zrodziło się między uczonymi mniemanie, że komety i gwiazdy spadające miéć muszą pewien między sobą związek. Na takie pomysły naprowadziła sama nawet natura komet. Już bowiem prawie z pewnością wiadomo było, że komety składają się z odosobnionych i tylko wzajemném przyciąganiem utrzymuiących się cząstek, co w samych meteorytach jest prawdą dowiedzioną, choćby przez wspomnianą na początku obserwacyę astronoma ateńskiego Schmidta w r. 1863 d. 19 października. Takie mniemania już nawet przez Chladniego objawione, dopiero przez Skiaparelego zamienione zostały na prawdę. Tę prawdę nasunęły mu otrzymane z obserwacyi pewniki, że komety i meteoryty w czasie swego przebywania, albo raczéj przecinania drogi ziemskiéj, mają prawie równe chyżości; że kierunek spadania gwiazd jest przeciwny kierunkowi ruchu rocznego ziem około słońca a nareszcie pewien punkt na sklepieniu niebios, punkt wylotu, z którego wystrzelają meteoryty należące do tegoż samego strumienia. Najprzód więc z licznych, przez dawniéj już wspomnionych astronomów wykonanych obserwacyi w celu zbadania dziennéj liczby spadających gwiazd, obrachował Skiapareli chyżość ich w spadaniu i znalazł, że jest blisko półtora raza większą niż chyżość ziemi na drodze około słońca, a bardzo bliską chyżości komet po drogach parabolicznych, w czasie kiedy w swym ruchu krzyżują ekliptykę. Powtórzywszy po tém już dawniéj przez wielu astronomów omówione, różnice zachodzące między planetami i kometami, rzuca pytanie, czyli meteoryty, zważając tylko na ich skład albo raczéj ich stan skupienia bliżej są spwinowacone z piérwszymi lub drugiémi? Pytanie to wymierzył on do tych, co przed kilkunastu laty objawiali byli swe zdania, że meteoryty są planetarnéj natury i wystawiali je sobie jakby na wzór saturnowego, formujące się około słońca pierścienie powstałe wraz z planetarnym systematem. Jedna atoli tylko uwaga, że drogi meteorytów w przestrzeni, przedstawiają nam wszelkie możliwe ich do płaszczyzny ekliptyki pochyłości, zupełnie takiemu przypuszczeniu zaprzeczyć może. Bo pozwólmy nawet, że te najrozmaitsze pochyłości zdziałane zostały przez planety, któreby drogi tamtych zwichnęły; to przecież i w takim razie rzeczoną mniemanie utrzymać się nie może, bo wszelkie możebne zwichnięcia, nię wydadzą każdéj możebnéj pochyłości. A jeżeli to jest prawdą, tedy rzeczone a niczém nie ograniczone pochyłości dróg meteorytów, przydając do tego jesz-

cze ich chyżość, przemawiają raczéj za ich pokrewieństwem z kometami niż planetami.

Tak usunąwszy powyższe mniemanie, wyobraża sobie Skiaparelli że znane nam meteoryty powstały albo istniały początkowo zewnątrz słonecznego systematu, w przestworzach wszech świata, jako niezmierne mnóstwo nagromadzonych ciałek, jako kosmiczny obłoczek, który w skutek swego jako też i całego systematu słonecznego w przestrzeni ruchu, dostaje się w obręb działalności słońca, lecz nie w zamkniętych, w krótkich czasach słońce okrążających pierścieniach, ale raczéj rzecby można w niekończących się strumieniach postaci parabolicznéj, które albo wcale nie, albo w bardzo długich czasach okrążają słońce. A że i największa liczba komet, pokazawszy się raz przez pewien przeciąg czasu, na zawsze znikają i drogi ich tylko w myśli naszéj pozostają, gdy przeciwnie meteoryty swemi strumieniami znaczą nam wyraźnie swoją drogę, ta za tém różnica tak jest mało znaczącą, że bez żadnego wahania dwom tym gatunkom ciał przyznać potrzeba jedno i to samo pochodzenie. Przyjąwszy to za prawdę, dowodzi daléj mydyolański astronom na zasadach mechaniki, że kosmiczny obłoczek z przestworów wszechświata wciągniony działaniem słońca w obręb naszego planetarnego systematu, tylko w strumieniu i to parabolicznym spotkać może ziemię naszę. Jeżeli z powodu zwichnięć przez planety przechodzą te strumienie z parabolicznych na eliptyczne, elipsy te muszą być bardzo wydłużone a strumień z postępem czasu coraz będzie szerszym, bo każde ciałka przebywające inną elipsę, płynące po krótszych, wyprzedzać muszą po dłuższych elipsach dążące ciałka. Wypadkiem takich ruchów, strumień z postępem czasu zamieni się w ciągły, bardzo wydłużony wkoło słońca pierścień ciałek spojonych z sobą siłą wzajemnego przyciągania, jakby w jeden łańcuch. A że rzeczone ciałka nie mogą się z początku równo rozłożyć w całym obwodzie pierścienia, owszem będą miejsca mniéj i więcéj skupione, t. j. mające mniejszą i większą liczbę ciałek, dlatego w początkach formowania się pierścienia okrążającego naturalnie słońce, rojowisko gwiazd spadających jak np. listopadowe co 33 lat, będzie peryodyczném, z postępem jednak czasu coraz więcéj wyrównywającém się, aż nareszcie zamieni się na jednostajny, czyli w każdém swojém spotkaniu się z ziemią, prawie tąż samą liczbę meteorytów przedstawiający pierścień, jak już poniekąd na sierpniowych meteorytach dostrzegamy.

Na początku wspomniało się o wielkości ciałek przedstawiających się nam jako gwiazdy spadające, inne rachunki oparte tak na obserwacyach jako też i najprawdopodobniejszych zasadach, wykazały że w czasie gdy się nam przedstawiają jako świetne meteoryty, wzajemna odległość tych ciałek do 100 i więcéj mil wynosi. A że poprzednio wspomniało się także o niezmiernych obszarach kosmicznych obłoczków, w których co dopiero rzeczone odległości ciałek jednych od drugich 10 i więcéj razy są większe niż 100 mil, skoro

zatém który z nich wstąpi w obręb działalności słońca, wyciągając się w strumień paraboliczny, takie mnóstwo ciałek, prawdziwa, jak się rzekło, kurzawa niebieska, potrzebuje bardzo długiego, bo lata, wieki, ba nawet tysiące lat trwającego czasu, nim cały obłoczek, a teraz strumień, przepłynie przez punkt przysłoneczny (*perihelium*).

Ale ponieważ w całéj naturze dostrzegamy same tylko rozmaitości a prawie nigdzie jednostajności jednych i tychże samych kształtów, dlatego bardzo łatwo pomyśléć, bo nic nie stoi na przeszkodzie, rozmaitéj wielkości i rozmaitego składu obłoczki. Mogą one bowiem być złożone z ciałek tak drobnych jak się powiedziało, ale zarazem bardziéj w jednym lub kilku punktach skupionych; w takim razie bardziéj skupione, przedstawiać nam mogą komety i kule ogniste, część zaś mniéj skupiona, gwiazdy spadające. Takie systemata, takie obłoczki nazwać możemy mieszanemi. Mogą też być obłoczki złożone z samych ciał mniéj licznych a bardziéj w różnych punktach skupionych; takie obłoczki byłyby systematami komet.

Słyszę atoli od wielu czytelników mówicących, że nic łatwiejszego jak poukładać w swéj wyobraźni systemata jakie się widzi za potrzebne do przyprowadzenia swego założenia. Czyli to jednak tak jest rzeczywiście w naturze, tego nam układ wyobraźni wcale nie dowodzi. Bo przypuściwszy że tak jest w istocie, toć między spadającemi gwiazdami znajdowaćby się powinny i małe komety, tudzież musiałoby prawie z téj saméj okolicy nieba, choć nierównocześnie, dwie, trzy i więcéj komet do nas przybywać i nie wiele różne w przestrzeni drogi przebywać. Skiapareli nie zaniedbał zrobić sobie podobnych pytań, czyni zaś ważną oprócz tego uwagę co do małych komet mianowicie; żeby takowe widzialnymi być mogły, musiałyby przebywać swe drogi nieporównanie bliżéj ziemi niż odległość księżyca; dla swéj zaś, z powodu tak małéj odległości, nadzwyczajnéj chyżości, być widzialnemi tylko na minuty, a najdłużéj na godziny. Na powyższe pytanie, odpowiada świadectwami, aczkolwiek może niezupełnie pewnemi, z powodu ich od naszych czasów odległości, to przecież potwierdzającemi poniekąd jego teoryą.

Otóż mówi Skiapareli, Rolandino w Padwie w swéj kronice opowiada, że w r. 1252, w godzinach rannych, widziano gwiazdę jak kometę a jednak nie kometę, bo nie miała warkocza. Gwiazda ta była tak wielka jak księżyc, miała jednak ruch daleko chyższy, wszelako nie tak chyży jak gwiazdy spadające. Widziano ją całą godzinę, poczém powoli znikła. Dokładne opowiedzenie całego zjawiska czyni je wiarogodném.

W kronice Wilhelma Nangis mnicha w opactwie Ś. Dyonizego we Francyi, znajduje się pod r. 1348 zapisane następujące podanie: „W miesiącu sierpniu widziano tu (w opactwie) wielką i świetną gwiazdę, nad zachodnią częścią Paryża. Już było po nieszporach i słońce blizko zachodu, rzeczona gwiazda stała nie jak zwyczajne gwiazdy wysoko na niebie, lecz blizko nas. Gdy słońce zaszło i noc

się zbliżała, gwiazda zdawała się kilku braciom i mnie nie miéć żadnego ruchu. Skoro ściemniało, wielka ta gwiazda w naszych oczach i na wielki nasz podziw, podzieliła się na wiele promieni, które się nad wschodnią częścią Paryża rozpostarły i po tém wszystko znikło. Czyli to zjawisko, mówi kronikarz, było kometą lub jaką inną gwiazdą lub nareszcie pochodziło to światło z jakichś wyziewów które się w końcu ulotniły, zostawiam rozstrzygnienie tego astronoma."

Jeżeli opowiedziane zjawisko, czyni uwagę Skiapareli, nie jest przypadkiem optycznem, nie rzadko widywaném w naszéj atmosferze, o czém wątpić można, mielibyśmy tu właśnie małą kometę, która się tak bardzo do ziemi zbliżyła, że nie mogąc wytrzymać różnego na jéj części działania ziemi, rozprysła się w kawałki.

Daléj jeszcze przytacza Skiapareli wyjątek z listu Dovego d. 17 marca 1672 r., pisanego do Edmunda Halleja, a który brzmi następnie: „Dnia 20 lutego około godziny $10^1/_2$ wieczór, według moich obserwacyi pod 34° 28' południowéj szerokości geograficznéj a 12° 35, zachodniéj długości do przylądku Dobréj-Nadziei, przy jasnym i prawie w pełni księżycu, widzieliśmy coś bardzo świetnego, podnoszącego się na zachodniém niebie, a według mego mniemania, była to kometa. Zjawisko przeciągło od zachodu na wschód między księżycem a zenitem z południowéj strony Kłosa Panny (*Spica*) w przeciągu może 5 minut. Ciągnęło za sobą to światło świetną smugę około 40 stopni długą a 1—$1^1/_2$ szeroką. Światło księżyca. za zbliżeniem się do niego meteoru, zaćmiło go tak że znikł zupełnie."

Z opowiadania okoliczności tego zjawienia się komety, wnioskuje Skiapareli, że ruch jéj był kierunkowy t. j. od zachodu na wschód a droga jéj mniéj niż 500 mil geograficznych odległą od ziemi.

Co się tyczy systematów drugiego gatunku, mianowicie systematów komet, przytacza tyle razy rzeczony Skiapareli prace astronoma z Utrechtu Hoek, który w r. 1864 znalazł pomiędzy znanemi kometami kilka z bardzo mało różniącymi się pierwiastkami swych dróg, a które wskazują na podwójne lub potrójne podobne systemata, t. j. że dwie albo trzy komety z jednego źródła, z jednego kosmicznego obłoczka pochodzą. Jak bowiem gwiazdy mgliste przedstawiają nam bardzo rozmaite stopnie skupienia materyi kosmicznéj, tak téż i tyle razy wspomniane obłoczki pomyśléć można, w podobnychże stopniach skupienia tém słuszniéj, że ten pogląd stwierdzają widziane już komety o kilku jądrach. Tym sposobem mielibyśmy z mieszanych obłoczków komety i spadające gwiazdy i to z jednéj i téjże saméj przychodzące okolicy nieba, jak również mielibyśmy komety z bardzo mało różnemi drogami.

Pomijając wiele jeszcze innych uwag, które Skiapareli poczynił w raz powziętéj myśli, mianowicie że komety i spadające gwiazdy a ogólnie meteoryty, z tego samego źródła pochodzą, powiem krótko, że przeprowadziwszy wszystko mówiącę za i przeciw w korrespondencyach z rzymskim astronomem Sekkim i innymi, a nareszcie całą

myśl dokładnie zbadawszy, skłania się ostatecznie do ścisłego meteorytów pokrewieństwa z kometami. Jednak nie przestał jeszcze na tém wyrozumowaném mniemaniu, owszem chciał uczonym złożyć że tak powiem akta urodzin gwiazd spadających. I zaiste nie został im i saméj nauce dłużnym. Przyjąwszy bowiem, jak się to już wyżéj powiedziało, rzeczywiste istnienie w przestworzach niebieskich systematów mieszanych, powiada, że wyznaczywszy drogę pewnego strumienia meteorytów, do czego mamy dostateczne dane, powinniśmy między kometami znaleźć taką, którejby się pierwiastki drogi niezmiernie mało różniły od pierwiastków piérwszéj, bo kometa według jego przekonania, należy do tegoż samego co i meteoryty łańcucha czyli strumienia. Otóż z danych obserwacyi, mianowicie zaś z bezwzględnéj chyżości ziemi, z wiadomych kierunków ruchów tak ziemi jako i meteorytów sierpniowych, oraz w przypuszczeniu że chyżość tych ostatnich czyli Persejdów jest paraboliczną, rachuje ich drogę paraboliczną w przestrzeni i takową dokładnie wyznacza biorąc za punkt ich wylotu, wyznaczony już przez różnych obserwatorów na sklepieniu niebios, a którego wznoszenie się proste jest 44 a zboczenie północne 56 stopni; nareszcie przyjmuje obserwacyami stwierdzoną największą obfitość spadania gwiazd r. 1866, dzień 10 sierpnia, godzinę 6 ranną.

Takie dane położywszy swym rachunkom za podstawę, znajduje bezwzględną chyżość meteorów $8^1/_4$ mil geograficznych w jednéj sekundzie, kiedy A. Herszel w r. 1863 inną drogą znalazł tąż samą chyżość $7^1/_2$ mil geog. a tak mała różnica obu wypadków, nawet na uwagę nie zasługuje. Obrachował daléj Skiapareli pierwiastki parabolicznéj drogi Persejdów, które pokazały się tak zgodnymi ze znalezionemi przez Opolzera pierwiastkami wielkiéj III 1862 roku komety, że mało znaczące różnice bez wahania położyć można na karb obserwacyi Persejdów, w którym rodzaju obserwacyi błędy są nieuniknione.

Ta tak wielka zgoda pierwiastków drogi Persejdów z pierwiastkami drogi komety III 1862 r. jest bijącym w oczy dowodem, że z jednego źródła pochodzą. Kometa o któréj tu mowa, zbliżyć się może według rachunku, do drogi ziemskiéj bardziéj niż odległość księżyca od ziemi; zkąd wypada, że gdyby się była ziemia znajdowała d. 10 sierpnia na swéj koło słońca drodze w miejscu gdzie kometa przebywała węzeł, musiałaby była przebywać albo raczéj przedzierać się przez samą kometę.

Ponieważ Opolzer znalazł czas okrążenia słonca przez tę kometę 1234 lat, i aczkolwiek tego czasu nie można jeszcze uważać za dokładny jako nowéj komety, to przecież z wszelką pewnością przyjąć można, że wynosi nieco więcéj nad 100 lat. Ciekawą też było rzeczą wybadać, czyli i Persejdy tenże sam peryod zachowują? Jeżeli bowiem zwichnięcia sprawione przez planety, zepchnęły kometę III 1862 r. z początkowéj parabolicznéj na eliptyczną, w krótkim czasie

przebywaną drogę, przed oddzieleniem się Persejdów od głównego ciała (komety), to te ostatnie, równie jak kometa okrążać muszą słońce w tymże samym czasie. Jeżeli zaś rzeczone odłączenie nastąpiło przed zwichnięciem drogi komety, w takim razie kometa i Persejdy mogłyby okrążać słońce w różnych czasach, a pomimo to, drogi tak piérwszéj jako i drugich, zatrzymać w blizkości słońca tenże sam kształt i położenie w przestrzeni.

Otóż bierze Skiapareli spisy, czyli tak zwane katalogi, świetniejszych zjawisk gwiazd spadających, sporządzone przez Edwarda Biota, szczególniéj z chińskich kronik i Queteleta brukselskiego astronoma. Szperając w tych spisach, w przypuszczeniu że sierpniowe meteoryty co 108 lat okazują swoją największość świetności, czyli tak zwane *maximum*, znajduje rzeczywiście świetne zjawiska gwiazd spadających, mogących być bezsprzecznie uważane za Persejdy i odszukuje takowe aż do r. 830 po Chr. Świetne te zjawiska oczywiście nie tak prędko następują, ani tak krótko trwają jak listopadowych; większa bowiem świetność Persejdów przeciąga się do 20 i 30 lat [1]). Czas przeto okrążenia słońca przez kometę trzecią 1862, byłby mało różnym od czasu okrążania słońca przez pierścień Persejdów oderwanych od tejże komety. Skiapareli nie uważa jednak swego rachunku za zupełnie dokładny, spodziewa się atoli, że następne obserwacye wyraźnie pokażą ten peryod.

Ale Skiapareli nie skończył na tém swych badań. Obrachował następnie drogę listopadowych meteorytów i znalazł dla nich elipsę, któréj połowa osi większéj jest 10,4 razy większa niż średnia odległość ziemi od słońca, a czas okrążania słońca przez ich pierścień 33,3 lat, a kierunek ich wsteczny t. j. od wschodu na zachód. Niebył jednak szczęśliwym znaleźć w spisie kometę odpowiadającą temu strumieniowi, t. j. będącą jego częścią; dopiéro późniéj C. F. Peters w Altonie wskazał na kometę piérwszą 1866 roku, któréj pierwiastki drogi bardzo są podobne znalezionym przez Skiaparelego dla meteorytów listopadowych. Powziąwszy tę wskazówkę, powtórzył swój rachunek z wszelką możliwą dokładnością i znalazł zdumiewającą zgodność pierwiastków drogi meteorytów z pierwiastkami drogi komety piérwszéj 1866 r. Znalazł bowiem połowę osi większéj 10,340, a czas okrążania słońca 33,250 lat, gdy też liczby dla komety znalazł Opolzer 10,324 i 33,176, oraz ruch wsteczny.

I któż na widok tych cyfr, tego stępla prawdy, mógłby jeszcze wątpić o pochodzeniu z jednego i tego samego źródła tak komety

---

[1]) Edward Biot znalazł w rocznikach chińskich notowano te meteoryty w latach po Chr.: 830, 833, 835, 841, 824, 825, 826, 938 i 1451, a Herrick znalazł je jeszcze w r. 1243. W latach od 830 aż do 938 włącznie, spadały one w lipcu i to coraz późniéj, dopiéro w r. 1243 d. 2 sierpnia

piérwszéj 1866 r., jako téż meteorytów przedstawiających nam peryodycznie widowisko w dniu 13 listopada każdego roku?

Do rachunku co dopiero przytoczonego, użył Skiapareli następnych danych z obserwacyi: 1) dzień 13 listopada, godzinę 13 minut 11, czyli d. 14 listopada godzinę 1 minut 11 po północy, średniego czasu w Grynicz, jako czas najobfitszego spadania gwiazd; 2) punkt wylotu według angielskich obserwacyi przez Herszla wykonanych, a którego długość jest 143°12′, a północna szerokość 10°16′; 3) peryod powrotu wielkiego rojowiska meteorytów 33,25 według Newtona. Punkt atoli wylotu prawdziwszym jest, niż powyższy, mający długość 145 stopni. Z tą długością otrzymuje się daleko większa zgoda w pierwiastkach dróg komety i meteorytów [1]).

Tak świetnie a przekonywająco przeprowadziwszy swoje pomysły, stanowi Skiapareli jakoby pewniki, dziewięć następujących twierdzeń:

1) W przestworach wszechświata znajduje się materya we wszystkich pomyśléć się mogących stopniach skupienia. Piérwszy jego stopień tworzą albo odosobnione, albo téż w pojedyńcze z niewielkiéj liczby ciał złożone systemata. Drugi stopień obejmuje jak ją Wilhelm Herszel nazwał kurzawę niebieską, albo rojowisko gwiazd, stanowiące niezmierne aglomeraty małych gwiazd, na które wielkiéj mocy powiększania teleskopy, rozkładają niektóre mgławki. Daléj następują ciała pokazujące się nam pod postacią komet, skoro się do słońca zbliżą. Nareszcie ostatni stopień skupienia stanowią kosmiczne obłoczki utworzone z nadzwyczajnie małych ciałek nie większego ciężaru, jak przedmioty codziennego prawie użycia tu na ziemi.

2) Ta ostatnia klassa ciał w przestworach niebios powstać mogła przez skupienia miejscowe na sposób, jak powstają ciała rozpuszczone w płynie, skupiając się i krystalizując. To powstawanie ciał przez krystalizacye, oraz zjawiska jakie w tym procesie dostrzegamy, domyślać się każą, że ten sposób tworzenia się ciał, mianowicie przez ściskanie się materyi, jest prawdopodobniejszym, niż proces w skupianiu się wielkich mas. Dlategoto obszar kosmicznego obłoczka zajmować może znaczną część przestrzeni wszechświata.

3) Ruchy takich obłoczków między ciałami wszechświat składającemi, podobne są ruchom wszystkich innych ciał i zapewne tymże samym prawom ulegają. Skoro więc taki obłoczek wpadnie na

---

[1]) Mimo ostatniéj uwagi użył Skiapareli w ostatnich swych poszukiwaniach zmiany węzła meteorytow listopadowych, średniego wypadku z sześciu wyznaczeń punktu wylotu meteorów listopadowych przez siebie: Baxendella, Brünnowa, Challis, Johna Herszla i A. Herszla. Średni ten wypadek jest długość 134°22′, a szerokość północna 9°51′.

swéj drodze obręb w działalności słońca, n ieinaczéj może być od nas widzianym, tylko jeżeli jego względem słońca uważana droga, jest jedném i to bardzo wydłużoném z przecięć ostrokręgowych, albo wyraźniéj mówiąc, jeżeli jego droga jest bardzo wydłużoną hiperbolą, parabolą, lub elipsą, to znaczy, że odnogi tych krzywych nie daleko się od siebie rozchodzą.

4) Jakiejkolwiek jest postaci rzeczony obłoczek, może on jednak tylko wtedy głębiéj zanurzyć się w system słoneczny, gdy się zamieni na strumień paraboliczny. Upłynąć przeto mogą tym sposobem lata, wieki i tysiące lat, nim wszystkie ciałka do niego należące, przepłyną że tak powiem przez punkt przysłoneczny i uformują w przestrzeniach niebios strumień bardzo wązki w porównaniu z jego długością. Z tych to strumieni, skoro je ziemia w rocznéj swéj koło słońca drodze napotka, mamy widowisko bardzo licznych gwiazd spadających.

5) Prawdopodobnie twierdzić można, że liczba podobnych we wszystkich pomyśléć się mogących odległościach i kierunkach, słoneczny systemat przerzynających strumieni, jest bardzo wielka, a wszelako układ ich (składają się zaś, jak się to wyżéj powiedziało, z ciałek znacznemi przestrzeniami od siebie oddzielonych) dozwala im krzyżować się bez żadnéj przeszkody. Podlegać przytém mogą rozmaitym przemianom i przekształceniom, na podobieństwo rzek zwolna zmieniających swoje koryta; mogą też miéć jednę albo i więcéj przerw, a w szczególnych okolicznościach stać się nawet zamkniętemi pierścieniami. Listopadowe meteoryty zdają się być częściami podobnego, dopiéro na drodze będącego, kształtowania się pierścienia.

6) Kosmicznych obłoczków w krótkich peryodach okrążających słońce, zapomocą których usiłujemy wytłumaczyć gwiazdy spadające, nie można przyjąć jako ciągle trwałych, boby się tym sposobem nadwerężyło prawa powszechnego ciążenia.

7) Ciałka parabolicznych strumieni po przebyciu punktu przysłonecznego, wracają w przestrzenie niebios bardziéj rozproszone niż były przedtém. Jeżeli strumień płynie w blizkości jakiéj planety, może podlegać większym i mniejszym zwichnięciom, tudzież nastąpić mogą odłączenia, albo raczéj oderwania poszczególnych meteorów i zepchnięcia ich na osobne drogi [1]).

8) Meteory uważane w przeszłém stuleciu za zjawiska powstające w naszéj atmosferze, za pochodzące z księżyca, albo nareszcie za

---

[1]) Że podobne zwichnięcia są bardzo podobne, dowodem tak zwana kometa Lexella z r. 1770. Ta raz zwichniona przez Jowisza, powróciła jeszcze po okrążeniu słońca, ale zwichniona powtórnie, już znikła z naszego, a przeniosła się zapewne do innego systematu, lub też w przestworza niebios.

równocześnie z naszym słonecznym systematem powstałe i do niego należące, należą rzeczywiście do gwiazd stałych, jak jeszcze w V-ym wieku Dyogenes z Apolonii utrzymywał, a dawna polska ich nazwa *gwiazdy spadające*, zupełnie odpowiadająca nazwie włoskiéj *stelle cadente*, jest im właściwą i z prawdą zgodną. Te ciałka zachowują z kometami taki sam związek, jaki mają planetoidy między Marsem i Jowiszem z większemi planetami; w obu bowiem przypadkach małą massę poszczególnych części, wynagradza ich liczba.

Małe zastanowienie się przyzna twierdzeniu Skiaparelego całkowitą słuszność, że ani komety, ani też pierścienie meteorytów nie są współczesne naszemu systematowi planetarnemu. Dosyć bowiem zauważyć, że wszystkie ciała tenże system składające, mają około słońca ruchy kierunkowe, t. j. od zachodu na wschód i to nietylko główne planety, ale także księżyce. W tymże samym kierunku mają wszystkie wirowe ruchy około swych osi. Jakimże więc sposobem i jakiemi siłami komety i meteoryty przebywające swe drogi we wszelkich kierunkach, a przeważnie w kierunkach wstecznych, wyłamaćby się mogły z pod tego ogólnego prawa, gdyby współcześnie z planetami powstały? Nie są więc te dotąd zagadkowe ciała *glebae adscripti*, ale przybylcami przyjętymi w poczet obywateli tego wielkiego państwa. Należą przeto do systemu gwiazdowego, t. j. zwyczajném ich pobytu miejscem, są przestworza wszechświata pomiędzy stałemi gwiazdami.

9) Ponieważ z pewnością twierdzić można, że gwiazdy spadające, kule ogniste i aerolity różnią się tylko wielkością czyli ilością massy; wszystkie zatém z przestrzeni na ziemię spadające materye uważać można za okazy materyi, z któréj się stałe gwiazdy składają. A że w tych okazach, a raczéj próbkach nie odkryto dotąd żadnego składnika nie znanego na ziemi, spektralna czyli widmowa zatem analiza utrzymująca, że wszystkie widzialne ciała niebieskie mają też same składniki, znajduje tu swoje poparcie.

Całéj téj Skiaparelego teoryi, robi prof. Edmund Weiss różne zarzuty. Pomiędzy innemi zdaje mi się najważniejszy, że mieszane systematy, o jakich Skiapareli mówi w piérwszém i drugiém swém twierdzeniu, w żaden sposób w przestworzach niebios istnieć nie mogą, z powodu nadzwyczajnéj małości składających je ciałek, oraz wzajemnéj ich odległości wynoszącéj, jak się to już powiedziało, najmniéj 100 mil, a massa składowych ciałek, według A. Herszla, wynosi, ale tylko małéj liczby, najwięcéj kilka gramów, bo największa ich liczba waży tylko większy lub mniejszy ułomek gramu. Otóż taki obłoczek, mówi daléj prof. Weiss, wyciągniony siłą słońca w paraboliczny strumień, musiałby być nieskończenie rzadki; a wzajemne przyciąganie się składowych ciałek, nawet w bezdeni wszechświata, jest mniejsze niż rozpraszająca siła sąsiednich najbliższych gwiazd stałych. A że Skiapareli twierdzi, że takie obłoczki nie mają żadnéj w przestrzeniach gwiazd stałości, wnioskuje zatém prof. Weiss, że

tam istnieć nie mogą. Z tego wniosku wyprowadza inny, że komet nie można uważać za składowe części rzeczonych obłoczków. Zamiast tego, ciągnie daléj p. professor, prawdopodobniejszém jest przypuścić, że komety są ciałami od początku stworzenia istniejącemi, a skoro się dostaną w obręb działalności słońca, pod wpływem jego przyciągania pękają i z tego rozpęknięcia powstają zwolna strumienie meteorytów następującym sposobem. W przestworzach wszechświata znajdują się rzeczywiście kosmiczne obłoczki, ale takiéj tylko gęstości, że składające je ciałka posiadają w najwięcéj przypadkach taką spójność między sobą, iż nietylko za granicami naszego systematu słonecznego, ale nawet w jego obrębie stawić mogą opór rozpraszającéj sile słońca. Takie kosmiczne obłoczki pokazywać się nam zawsze będą jako komety, gdy w blizkości ziemi swe drogi przebywać będą. Po zbliżeniu się atoli takiego obłoczka do słońca, doznaje on bardzo gwałtownéj fizycznéj zmiany, przezco i składowe jego ciałka zmienionemi zostaną. W takim razie i początkowa owa kometa nie może pozostać w samym piérwotnym stanie, lecz się podzieli na większe i mniejsze części, które po swych własnych drogach słońce okrążać będą, a dlatego wszystkie te drogi miéć naturalnie będą podobieństwo z drogą komety; podział jednak czyli rozpoczęte rozpraszanie w blizkości słońca, coraz daléj postępować będzie. Przy peryodycznych kometach to rozpraszanie ciałek za każdym ich do punktu przysłonecznego powrotem, powtarzać się będzie, a w następstwie tego powtarzania w całéj długości drogi komety zbierać się będą oderwane od niéj cząstki, które jeżeli droga komety przecina drogę ziemską, w czasie corocznego przez ten punkt przebywania ziemi, sprowadzą nam zjawiska gwiazdami spadającemi nazywane. Tak zapatrując się na zjawiska o których mowa, przyjść musimy do twierdzenia, że nietylko każda peryodyczna kometa zrodzić musi około słońca pierścień gwiazd peryodycznie spadających, lecz i naodwrót, że każde peryodyczne spadanie gwiazd winno swój początek pewnéj peryodycznéj komecie.

Aby więc ten pogląd prof. Weiss doświadczeniem sprawdzić, t. j. wyszukać komety będące w związku z różnemi rojowiskami gwiazd spadających, dosyć jest z wiadomych z obserwacyi punktów wylotu, różnych w ciągu każdego roku w większéj liczbie uważanych gwiazd spadających, obrachować ich drogi około słońca, a potém poszukać w spisie komet dotąd obserwowanych i obrachowanych takich, których drogi blizko zgadzałyby się z tamtemi. Albo też obrachować odległości od słońca punktów, w których niektóre z obserwowanych dotąd komet, przecinają drogę ziemską, czyli odległości od słońca ich węzłów, takowe porównać z odległościami ziemi od słońca w tychże samych punktach i dla małoróżniących się z piérwszymi, z wiadomych punktów przecięcia drogi ziemskiéj przez drogi komet, obrachować odpowiadające im punkta wylotu na sklepieniu niebios. Tym sposobem otrzyma się wszystkie strumienie gwiazd spadających bę-

dących w związku z kometami, dla których się znalazło prawie zgodne powyższe odległości od słońca.

Prof. Weiss wykonał rachunek odległości węzłów od słońca i przekonał się, iż prawie w każdym dniu roku, w którym widzimy znaczniejszą niż zwyczajnie liczbę gwiazd spadających, przecinają jedna lub nawet więcéj komet drogę ziemską w tychże samych punktach, w których także i rzeczonych meteorytów drogi przecinają.

Dla peryodycznych strumieni, sierpniowego czyli Persejdów i listopadowego, znaleziono już, jak się wyżéj rzekło, odpowiednie komety, mianowicie: dla piérwszych kometę trzecią 1862, a dla drugich kometę piérwszą 1866 r. Czyli dla innych, chociaż mniéj obfitych strumieni, których, jak wyżéj powiedziano, do 100 przeszło w ciągu roku dostrzeżono i punkta wylotu z większą lub mniejszą dokładnością wyznaczono, znajdą się między znanemi, a raczéj zapisanemi i obrachowanemi dotąd kometami, bardzo blizki czas pokaże, bo astronomowie w tym kierunku nie spoczywają. Z przedsięwziętych poszukiwań zdaje się bardzo prawdopodobném, że corocznie spadające gwiazdy w dniach 20—26 kwietnia z gromady Lutni, mają już odpowiednią kometę piérwszą 1861, a meteoryty spadające w d. 6—7 grudnia, kometę tak zwaną Biela, w 7 latach okrążającą słońce, a która w r. 1846 podzieliła się na dwie osobne komety, które obie w r. 1852 powróciły.

Leverrier zastanawiając się nad strumieniami sierpniowym i listopadowym, zamienionymi już w pierścienie krążące około słońca, piérwszy prawdopodobnie w 108, a drugi w 33¼ lat ziemskich kończące swój rok, uważa pierscień Persejdów za dawniejszy niż pierścień listopadowych meteorytów, z powodu, że się piérwszy już nieporównanie więcéj w całym swym obwodzie wyrównał niż drugi. Z téjto, a nie z innéj przyczyny widzimy corocznie dnia 10 sierpnia prawie w téjże saméj obfitości spadające gwiazdy, gdy tymczasem listopadowe okazują co 33 lat przeszło, nadzwyczajne ich rojowisko, bo obwód tego pierścienia nie jest jeszcze pełny, zamknięty, oraz w całym swym obwodzie blizko jednostajny, ale owszem ma przerwę oddzieloną od reszty obwodu znacznym, że tak rzekę, węzłem, w którym się daleko większa liczba ciałek znajduje, niż w reszcie obwodu u pierścienia. Tento węzeł, w okrążaniu słońca, przecina co 33 lat drogę ziemską w dniu, jak teraz, pomiędzy 13 i 14 listopada właśnie wtedy, gdy ziemia na swéj koło słońca rocznéj drodze, tenże sam punkt przebywa. Powiedziałem *jak teraz*, bo punkt przecięcia drogi ziemskiéj przez drogę meteorytów, nie jest stały, posuwa on się bowiem po obwodzie ekliptyki od zachodu na wschód, blizko o jednę minutę rocznie, a to w skutku działania planet większych.

Leverrier mniema, że pierścień listopadowych meteorytów nie jest bardzo dawny, bo inaczéj składające go ciałka jużby się były ułożyły w jednostajny pierścień; a że obserwacye inaczej dowodzą, zatém rozpraszanie ciałek dla wyrównania go, dopiéro za-

pewne od kilku wieków jest w robocie. To jego mniemanie potwierdza i ta okoliczność, że gdyby rzeczony pierścień powstał był równocześnie z systematem planetarnym, ziemia w corocznem spotkaniu się z nim, przyciągając z niego liczne do siebie ciałka, jużby go była powinna pozbawić téj regularności, jaką nam rokrocznie przedstawia. Z tychto powodów Leverrier sądzi, że strumień listopadowych meteorytów przybył do naszego systematu z przestrzeni wszechświata, oraz że zwichniony przez wyższe planety (niższe bowiem nie byłyby zdolne z tak dalekich przestrzeni i z tak wielką chyżością przybywającego ciała, zmienić drogi na elipsę krótkiego, bo tylko 33 lat wynoszącego okrążania słońca), powraca do nich peryodycznie. Ta peryodyczność jest téż zarazem dowodem, że ziemia nie wywiera żadnego działania na ten pierścień.

Że ten strumień, z dalekich od nas przybyły przestworzów wszechświata, tylko bardzo silném jakiémś działaniem mógł być rzucony na teraźniejszą drogę, dowodem tego mogą być komety, mianowicie zaś wyżéj już wspomniana kometa Lexella. Jestto bowiem pewném, bo dowiedzioném, że te komęty, które na swéj drodze w ten sposób zwichnione zostały, że przezto otrzymują małą przysłoneczną odległość (perihelium), powracają do tego ciała, które je z pierwotnéj na nową zepchnęło drogę. Prawa téż mechaniki jasno uczą téj prawdy. Dowodzą one, że rzeczona kometa Lexella w r. 1767 wciągniona została przez Jowisza do naszego systematu i przez tęż planetę zwrócona na drogę, na któréj ją widziano w r. 1770 powracającą do planety, która ją zwichnęła. Doznawszy tu powtórnego zwichnienia, powróciła raz jeszcze, chociaż, z powodu że co dzień nad poziomem bawiła i odległą była od ziemi przeszło 40 milionów mil, od astronomów widzianą nie była. W tym powrocie przez tak potężną planetę jeszcze raz zwichnioną, już więcéj nie powróciła, bo ją Jowisz wysłał w przestrzenie wszechświata.

Ta dowiedziona prawda mimowolnie nasuwa domysł, a może nawet i pewność, którą następne dowody stwierdzają. Droga listopadowych meteorytów rozciąga się nietylko daléj niż droga Uranusa, obie téż drogi przecinają się na płaszczyznie ekliptyki nie daleko za punktem odsłonecznym (aphelium) meteorów, a z takiego względem siebie położenia Uranusa i meteorytów, rachunek wyprowadza tę prawdę, że listopadowe meteoryty z piérwotnéj swéj parabolicznéj, zepchnięte zostały na teraźniejszą eliptyczną drogę, nie przez inną planetę, tylko przez Uranusa, a spotkanie się to w wyżéj rzeczonym punkcie, nastąpiło zapewne nie późniéj jak w r. 126 po Chr. A jeżeli wtedy to rojowisko meteorytów było bardziéj niż teraz zgęszczone, tedy z wielkiém do prawdy podobieństwem, a może z pewnością twierdzić można, że jak Jowisz kometę r. 1770, tak Uranus meteoryty w r. 126, zwrócił na drogę eliptyczną.

Leverrier przypuszcza jeszcze, że w mowie będące rojowisko meteorytów, miało w r. 126 kulistą formę, bo mu to jego rachuek po-

kazał. To kuliste rojowisko okrążające słońce w 33¼ lat, potrzebuje teraz prawie półtora roku do ukończenia swego przepływu przez pewien punkt swéj drogi [1]). Ten przeciąg czasu jest wystarczającym do ułożenia się ciałek w łuk eliptyczny, który z postępem czasu powiększać się będzie, aż nareszcie uformuje i zamknie elipsę; zato atoli świetność peryodycznego zjawiska coraz bardziéj zmniejszać się, a trwanie jego przedłużać się będzie. Do mniejszéj rzeczonego zjawiska świetności ciągle przyczyniać się będzie, nietylko wyciąganie się ciałek w coraz dłuższy łuk eliptyczny, ale także i ziemia, odrywając od tego łuku za każdém spotkaniem się z nim, nie małą liczbę ciałek.

Persejdy t. j. sierpniowe meteoryty albo jeszcze łzy Ś. Wawrzyńca, są dawniejszéj daty; formują już téż dokładny pierścień, bo miały czas ułożyć się prawie w jednakowy obwód elipsy, a dlatego przedstawiają nam się corocznie w jednakowéj świetności. Nie można atoli twierdzić, iżby ten pierścień nie miał jeszcze większych lub mniejszych przerw, ale te nie są ogołocone z ciałek, lecz zależą tylko na mniejszéj ich liczbie.

Już się także powiedziało, że pierwszy Olmsted wskazał, że prawie wszystkie listopadowe meteoryty wystrzelają z gromady Lwa wielkiego, mianowicie od gwiazdy grecką głoską χ oznaczonéj. Późniejsze obserwacye oznaczyły bliżéj i dokładniéj ten punkt wylotu, znaleziono bowiem z licznych obserwacyi, że długość tego punktu jest 143° a szerokość północna 8° 30′.

Wielce około gwiazd spadających zasłużony A. H. Newton, śledząc za peryodycznymi w wielkiéj obfitości spadającymi listopadowymi meteorytami, odszukuje takowe w różnych kronikach i spisach aż do r. 902 po Chr. [2]), zkąd na empirycznéj jak widzimy drodze, znalazł peryod wielkiéj ich świetności 33¼ lat. A gdy Skiapareli drogą teoryi, bo rachunku, znalazł, jak widzieliśmy tenże sam przeciąg czasu bardzo wybitnéj świetności meteorytów, o których mowa, co się zatém tyczy tego punktu, żadna już nie zachodzi wątpliwość.

Kwietniowe téż w d. 20—26 wyśledzono w kronikach, mianowicie: Edward Biot w kronikach chińskich, aż do r. 687 przed Chr.,

---

[1]) Przypominam tu, że wybitniejsza świetność zjawiska gwiazd spadających, mianowicie listopadowych, nie ogranicza się na jeden rok, ale się przeciąga dłużéj. Tak np. w r. 1833 przeciągnęło się do następnego 1834. Persejdów przeciąga się, jak powiedziano do 20 i 30 lat.

[2]) Chasles wynalazł je jeszcze w r. 585 po Chr., gdzie spadały d. 25 października. W r. 902 spadały z d. 29 na 30 października; w r. 1582, d. 7 listopada; w r. 1698 d. 9 listopada, między godziną 2 i 3 rano; w r. 1799 d. 12 listopada, także między godziną 2 i 3 po północy; w r. 1833 d. 13 listopada prawie o godzinie 5 rano, a nareszcie w r. 1866 o północy z dnia 13 na 14. Czasy te rozumieć należy o największości.

gdzie ich zjawisko przypadało d. 16 marca. Drugi zapisek w tychże rocznikach jest pod r. 15 przed Chr., gdzie widziane były d. 25 marca. W chrześcijańskiéj erze, piérwszy zapisek znaleziono dopiéro w roku 582, gdzie je widziano dnia 31 marca, a zapisek ten wynalazł Chasles. Tenże znalazł je jeszcze w r. 1093 i 1123 a Herrick w latach 1094, 1095, 1096, 1122 i 1803. W r. 1093 widziane były d. 10 kwietnia między godz. 2 i 3 po północy, a w ostatnim t. j. 1803 d. 20 kwietnia między godz. 2 i 3 po północy.

Skiaparelego odkrycie, jak się naturalnie spodziewać należało, otwiera nowe pole do badań tak komet jako téż i meteorytów, bo według tego co się wyżéj powiedziało o strumieniach sierpniowym i listopadowym, domyślać się można w przestworzach wszechświata, gdzie ziemia napotyka obfite meteoryty, komet, a nawzajem w punktach, w których komety przecinają drogę ziemską, oczekiwać obfitych gwiazd spadających. Prof. Weiss podjąwszy pracę, jak się wyżéj powiedziało, obrachowania odległości od słońca wszystkich punktów, w których drogi różnych dotąd obserwowanych i obrachowanych komet, drogę ziemską przecinają lub się do niéj bardzo zbliżyć mogą, i porównawszy czas, t. j. miesiące i dni w których ziemia w okolice tychże punktów przybywa, z czasem obfitego spadania gwiazd, które zjawisko prócz sierpniowych i listopadowych, znaném jest jeszcze w dziesięciu innych dniach roku, wykazał że tylko dwa dni 26 maja i 1 września, w których uważano liczniéj spadające gwiazdy a które z pomiędzy wszystkich są najmniéj pewne, nie mają odpowiednich komet. Ale za to inne ośm dni, mają niektóre po dwie a jeden t. j. 19—26 października, nawet cztery komety, których drogi przecinają drogę ziemską. Znalazł téż że oprócz komety III 1862 r. należy także do Persejdów kometa z r. 1852; z czego wnioskuje, że komety okazujące się jako do meteorytów należące, chociażby się nie pokazały peryodycznemi, za takie uważać należy.

Dyrektor lipskiego obserwatoryum astronomicznego Bruhns znalazł że kometa Biela, która się w roku 1846 na dwie rozdzieliła, znajdowała się blizko pierścienia listopadowych meteorytów, a może nawet jak sądzi, wśród niego; uważa téż za bardzo prawdopodobne, że te meteoryty sprowadziły jéj podział. A jeżeli się sprawdzi domysł Weissa, że kometa Biela ma jeszcze drugi strumień meteorytów, przyjąwszy oraz że każda kometa ma pierścień meteorów wskazujący jéj drogę; tedy ponieważ drogi komet Biela i Enckego wzajemnie się przecinają, przecinałyby się téż w tém miejscu trzy takie pierścienie, a następnie 5-te twierdzenie Skiaparelego, nabrałoby pewności, że różne strumienie z powodu znacznéj wzajemnéj odległości składających je ciałek, bez przeszkody krzyżować się mogą.

Jedna jeszcze uwaga Bruhnsa zasługuje na wspomnienie. Ponieważ kometa Biela w powrocie swoim w latach 1859 i 1866, w piérwszym wcale, w drugiém niepewno była widziana i ponieważ pierścień listopadowych meteorytów blisko 40 dni przebywa punkt przy-

słoneczny przed kometą Biela, mniema więc Bruhns że ona mogła się dotąd nieraz jeszcze podzielić, bo taki podział ułatwia wielka ruchliwość ciałek kometę składających, czego obserwacye już dawno dowodziły. Najbliższy powrót téj komety w r. 1872 najlepiéj dowiedzie prawdy tego domysłu.

Nie będę tu dłużej zabawiał moich czytelników przedsięwziętemi pracami w dziedzinie komet, gwiazd spadających, podjętemi przez wielu astronomów, szczególniéj zaś Adamsa, Newtona, Herszla, Herricka, Leverriera, Weissa i wielu innych, a do czego dało pochop odkrycie Skiaparelego, bo to więcéj obchodzi uczonych fachowych niż większą publiczność. Wspomnieć tu jednak należy, że jak każde znakomite odkrycie jednemu całkowicie przypisaném być nie może, bo na takie odkrycie składają się nie rzadko wieki i mężowie największéj nauki, ale że się po tém znajdzie jeden, który te rozmaite prace i mniemania szczęśliwie mocą swego genjuszu obejmie i światu ogłosi, że i w obecnym przypadku tak się rzeczywiście stało. Na tém samém bowiem polu i w tymże samym czasie, a może przed Skiaparelim, pracowało bardzo wielu tak europejskich jak i amerykańskich astronomów; a professorowie utrechtski Hoek i Newton w Newhaven, już bliscy byli zebrać owoce swéj pracy, gdyby ich był Skiapareli nie wyprzedził. Zdaje się także iż Leverrier wziął się do pracy nad kometami i gwiazdami spadającemi równocześnie z medyolańskim astronomem, bo w kilka miesięcy po ogłoszeniu wypadków swéj pracy tego ostatniego, ogłosił swoje badania zgadzające się w wielu względach z wypadkami tegoż.

Nie uważałbym obecnego pisma za zupełne i w jasném świetle przedstawiające tegoczesny stan meteorytów, nie wspomniawszy nic o warkoczach komet, gdzie piérwsze są zapewne częściami drugich. Zdaniem tedy w całém tém piśmie wspomnianych uczonych, warkocze komet są to takie same ciałka jak gwiazdy spadające, które z jądra komety czyli punktu około którego te ciałka bardziéj są skupione, za coraz większém zbliżeniem się słońca, siłą jego ciepła w przeciwną odpychane stronę a słabszą siłą wzajemnego przyciągania oderwać się zupełnie od komety nie mogące, opóźniają nieco swój ruch i formują dłuższy lub krótszy warkocz. Zdanie to niepomału popierają kilka dziesiątków lat odległe a nawet i teraźniejsze obserwacye szczególnie świetniejszych komet. Wielu bowiem obserwatorów świadczyło, iż wyraźnie widzieli dość prędko zmieniający się kształt jądra komety, oraz jéj materyą w postaci strumieni wypływającą w stronę warkocza, t. j. w stronę przeciwległą słońcu. Jeżeli kometa jest peryodyczną, po pewnym przeciągu czasu do słońca powracającą, ma niezawodnie około tegoż słońca mniéj lub więcéj wyrównany pierścień, któremu przy każdym swym powrocie przysparza ciałek, ale także i zabiera, a czyli więcéj przysparza lub zabiera, zależy to od okoliczności, jak większe planety pozwalają komecie bliżéj lub daléj od środka pierścienia przebywać swoją drogę. Ale i kome-

ta, dążąc w swych powrotach drogą przez pierścień zakreśloną, utraca bardzo wiele z swych ciałek odrywających się od komety do pierścienia. Dlatego to znane peryodyczne komety, za każdym swym powrotem, pokazują niejaki ubytek z dawnéj swéj świetności zasadzającéj się przeważnie na długości warkocza. Najwybitniejszym tego dowodem jest najdawniejsza, bo najpiérwsza z peryodycznych komet Halleja. Ta w r. 1456 musiała być bardzo świetna, kiedy świetnością swoją całą Europę strachu nabawiła. Wtedy jéj warkocz był długi na 60 stopni, zajmowała przeto swą długością trzecią część widzialnego sklepienia niebios. W następnym powrocie w r. 1531 już nie tak była świetną, a w r. 1682 rzeczony warkocz, według obserwacyi Hewelijusza gdańszczanina nie przechodził 16 stopni. W ostatnim jéj w r. 1835 powrocie, który jeszcze bardzo wiele osób pamięta, nie widzieliśmy żadnéj świetności co do warkocza, bo ten nie był w oczy bijący, jądro tylko było bardzo świetne tak, że wkrótce po zachodzie słońca, kometa gołém okiem mogła była być widzianą.

Uwaga ks. Sekki, będzie tu także na właściwém miejscu. Ten rzymski astronom, uważając skład komety za dowiedziony, mianowicie, że każda kometa składa się z takich samych ciałek jakie w gwiazdach spadających poznaliśmy, mówi że żadna kometa długo symetryczną zostać nie może, bo gęstość jéj ze strony od słońca odwróconéj będzie zawsze większą niż na przeciwnéj, t. j. do słońca zwróconéj stronie, albo wyraźniéj mówiąc, działalność słońca będzie na ostatniéj stronie daleko silniéj części materyi komety rozpraszać, niż na przeciwnéj; dlaczego uformuje się tu świetny warkocz, którego zupełnie brakować będzie na przeciwnéj stronie, bo tam słońce ułatwia a tu opóźnia rozpraszanie cząstek. Działają téż oprócz tego i inne siły w tymże samym kierunku.

Co do ciągłego zmniejszania się warkoczy komet, przez odrywanie się bezustanku ciałek, łatwo to sobie wystawić pomyśliwszy jak to długie często mają warkocze komety. Tak np. kometa z 1843 r. w końcu marca, miała warkocz na 30 milionów mil długi; kometa z 1664 r. d. 18 grudnia miała 14, a d. 26 tegoż miesiąca 26 milionów mil: słowem warkocze świetniejszych komet mierzą się prawie zawsze na miliony mil. Jakże niezmiernie słabe jest wzajemne przyciąganie ciałek w takiéj od jądra odległości! Nie dziw więc, że przepływając w blizkości ciał wywierających mocniejsze przyciąganie, odrywają się od nich lub się w przestrzeni rozpraszają, dopóki się nie przyłączą do napotkanéj w przestworzach grupy, lub nie spadną na którą z planet albo na słońce lub nareszcie na gwiazdę.

Gdy w ostatnich kilku latach widmowa (*spektralna*) analiza tak nadzwyczajne okazała wypadki w badaniu ciał niebieskich, nie pominięto także badania spektroskopem i gwiazd spadających, co lubo nader jest trudném, wszelako przy wielkiéj usilności, cierpliwości udało się cokolwiek dostrzedz w tym względzie. I tak w r. 1866 A. Herszel obserwował spektroskopem 70 gwiazd spadających d. 9

i 10 sierpnia, tudzież d. 14 listopada, mianowicie, obserwował niektórych tylko zostawione smugi, a niektórych same tylko jądra. Te ostatnie pokazały piękne pryzmatyczne barwy, smugi zaś miały widma ciągłe, wyjąwszy gdy zaczynały niknąć; wtedy bowiem zostawała bardzo jasna linia żółta wskazująca na przytomność w smudze sodu, gdyż z ziemskich pierwiastków ten tylko do białości rozpalony, pokazuje w widmie takąż samą linię. Rzeczone widma pokazują także że się tam znajdują same z siebie świecące gazy. Żółtą linię widział także ks. Sekki w r. 1868 w spadających gwiazdach listopadowych, kiędy Herszel widział ją tylko w sierpniowych.

Tak tedy z odkryciem Skiaparelego otworzyło się nowe pole do badań widzialnego świata, a słowa w piérwszéj połowie piérwszego po Chr. wieku żyjącego Seneki: „*Multum adhuc restat operis multumque restabit, nec ulli mille post saecula nato, praecludetur occasio aliquid adhuc adjiciendi*“ jak równie słowa Salomona: *Deus reliquit mundum disputationi hominum*,“ od pokolenia do pokolenia powtarzane będą, nie tracąc swego znaczenia nawet w najpóźniejszych wiekach. Bo tenże Salomon mówi: „*generatio prosterit et generatio advenit, terra autem in aeternum stat*“ i daléj: „*quid est, quod fuit? ipsum, quod futurum est: quid est, quod factum est? ipsum, quod faciendum est.*“ (Ecclesiastes, rozdział I, w. 4 i 9).

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Lud rumuński według pieśni narodowych, przez p. Cratiunesco.—Wspomnienia fortepianisty, odpowiedź na pamiętniki Kozaczki.—Sprawozdanie z kongresu antropologiczno-archeologicznego w Stokholmie, przez J. I. Kraszewskiego.—Malowidła p. Baudry do sali Wielkiéj opery paryzkiéj.—Wystawa unii centralnéj sztuk pięknych w pałacu przemysłowym.—Historya kostiumu.—Wydawnictwa Firmina Didot'a.—Arcydzieła powieściopisarzy francuzkich przed Lafontenem, przez p. Lonandre.—Doroczne posiedzenie pięciu akademii, składających instytut francuzki.—Poeta byzantyjski z czasu Komnenów.—Rozmaitości.

W zeszłéj kronice mówiliśmy o pieśniach nowogreckich, dziś wspomnimy o poezyi ludu bliższego nam pod względem geograficznym, bo rozsiadłego na stoku tychże Karpat, co ocieniają i nasze głowy: bliższego nam jeszcze w skutek wiążących nas z nim tradycyj historycznych. Powiemy słów kilka o pieśniach Rumunów. Pobudkę do tego daje nam nie wielka lecz pełna życia książka, napisana po francuzku przez p. Cratiunesco, młodego Rumuna ubiegającego się o doktorat w fakultecie paryzkim.

Po tytułem: *Lud rumuński według pieśni narodowych*, autor skreślił z miłością zarys ojczystego swego gniazda. Rumuni mało dotąd znani Europie, pozbawieni od dawna samodzielnego bytu, żyli wewnętrznem tylko życiem, przechowując troskliwie w pieśniach:

Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty!

Wspomnimy nawiasem, że autor przytacza ów słynny ustęp z Walenroda, o znaczeniu pieśni ludowych, jak go przytoczył zarówno tłumacz pieśni nowogreckich, jak go stokrotnie już we Francyi powtórzono. Nie możemy pojąć omyłki młodego Rumuna: w jego przekładzie początek sławnego ustępu brzmi w taki sposób:

O pieśni gminna, święta trumno wiary!
Chants populaires! cercueil sacré de la foi!

Godziłoż się przeistoczyć na trumnę świętą, arkę przymierza? *O! traduttore, traditore!*

Pomyłka ta nie ujmuje wartości dzieła. Autor zna doskonale swój przedmiot: wyświeca go z ścisłością loiczną, w sposób nadzwyczaj żywotny. Pieśni rumuńskie według niego, to niby pamiętnik spisywany z dnia na dzień. Rumun opowiada w nich nietylko dzieje serca własnego, lecz niemniéj i historyą narodu; powtarza imiona drogich mu bohatérów, przypomina zdarzenia zaszłe na téj ziemi przesiąkłéj krwią, zasianéj kośćmi tylu pokoleń! Popękały ogniwa łączące kraj z przeszłością, kupy rumowisk zaległy ziemię, nędza powszechna przypominała czasy pierwotnych wędrówek: taki stan rzeczy panował niedawno nad Dunajem! jedyna nić wiązała tam jeszcze nowe czasy z dawnemi: tą nicią była tradycya żywa w pamięci ludu!

Autor ściga ten złoty wątek w ciemnym pomroku wieków. Po nim dochodzi aż do czasów Trajana założyciela kolonii rzymskiéj nad Dunajem, *fundatora Dacyi* jak go zowie. Ta nazwa według nas niewłaściwa: któżby nazwał Cezara fundatorem Galii, ztąd że ją uorganizował na rzymskich prawach, że na pniu galskim zaszczepił płonkę rzymskiéj cywilizacyi? Ale dziwić się téż tu młodemu Rumunowi, że wiedziony dumą narodową, podnosi pokrewieństwo narodu swego z Romą panią świata, skoro dziś jeszcze tylu uczonych nawet Francuzów, biorąc język za główny objaw narodowości, zowie się najniewłaściwiéj plemieniem łacińskiém, a nie galskiém! Etnografia jak widać nie rozwinięta jeszcze z powijaków!

Wprawdzie autor protestuje przeciwko historykom, którzy twierdzą jakoby Trajan wytępić miał Daków do szczętu. „Byłożby—mówi—podobieństwem wytępić lud wszystek, zwłaszcza lud góralski rozsiadły pod cieniem Karpat? Prawdopodobniéj Dakowie wyparci z gniazd własnych, poddali się zwycięzcy i zlali z nim w nierozłączną jedność.“ Silniéj jednakże pan C... protestuje przeciw tym, którzy w kolonistach rzymskich widzą tylko weteranów, wyczerpanych z sił wiekiem i długoletnią służbą wojskową. „Trajan—mówi autor—przerzucił do Dacyi lud krzepki, aby tym żywym szańcem opasać i umocnić kresy rzymskiego państwa. W tymto celu zaludnił puste pola, dźwignął warowne grody, sprzągł mostem dwa brzegi Dunaju, zbudował drogę od *wrót żelaznych*, po wybrzeża Dniestrowe! Spełniwszy dzieła tak ważne dla cywilizacyi świata, uwiecznił je spiżowym pomnikiem: kolumna Trajana, to najautentyczniejsza stronnica naszych dziejów!“

Ztąd autor wyprowadza wniosek, że przeznaczeniem rumuńskiego narodu zasłaniać Europę od nawału dziczy barbarzyńskich. Trajan wytknął mu niemylny szlak na przyszłość.

Nie myślimy przeczyć autorowi. Dzikość Rumunów, która tak dotkliwie zaciężyła nieraz ojcom naszym: tłumaczy się łatwo historyą i geograficznem ich położeniem. Nie miałże zdziczéć lud wystawiony na bezustanne najazdy Wizygotów, Hunów, Awarów i tylu innych ko-

czowników stepowych? Zresztą właściwy lud rumuński, lud wieśniaczy, nie brał udziału w rządach; orał on zagon i śpiewał pieśń, podczas gdy bojarowie zalewali krwią Bukowinę! Pamięć tych okrutnych bojarów, przywalona dziś klątwą ludu, pamiętnego krzywd własnych, nie powinna stawać nam w oczach jakby złowrogi cień, nie powinna odbierać nam wiary w przyszłość Rumunii, zgodnéj z jéj posłannictwem wskazaném przez Trajana.

Imię tego Cezara żyje dotąd w kraju, zamienione w myt narodowy. „Trajan obecny tu wszędzie—mówi autor—żyje on w podaniach, w języku, żyje na górach, na dolinach, na samém nawet niebie. Droga mléczna, to droga Trajana: głos jego odzywa się w piorunie i w huku spadających w przepaść lodozwałów. Dolina tu każda obozem Trajana, każdy szczyt góry, jego warowną basztą. Żadna wprawdzie pieśń nie wspomina tego imienia, ale pasterze karpaccy zapewniają, że ojcowie ich śpiewali o Trajanie.

W klechdach góralskich za to przetrwała pamięć tego Cezara. Jedna z nich opowiada, jak po zdobyciu Dacyi i śmierci Decebala, córka poległego Dakija, szukała schronienia w tajemniczéj jaskini góry Pion. Zakochany Trajan wytropił ją w ukryciu. Dnia jednego kiedy dzieweczka miała wpaść w jego ręce, wezwała opieki bogów ojczystych i ci przemienili ją w biały kamień. Owce które pasła, przemienione zarówno, zasłały kamieniami całe pole.

Założenie Mołdawii z XIII wieku, odbiło się w innéj klechdzie ludowéj: „Dragosz ustąpił z wyżyn Ardealu (Siedmiogrodu) i osiadł na dolinie pomiędzy Bukanem a Petrą. Razu jednego, gdy podczas łowów uganiał lotną sarenkę, spostrzegł że na głowie jéj przyświeca biała gwiazda. Zmordowana pogonią sarenka, schroniła się do stóp dzieweczki z łagodném okiem, przybranéj w polne kwiaty.

— Kto jesteś? jak ci imię?—zapytał Dragosz, uderzony krasą dziewczęcia.

— Imię moje Mołdawia! Od dawna czekam cię z tęskném sercem, gdyż z wyroków nieba jam oblubienicą twoją! Rzuć okiem na te wyżyny, na te pola zasłane trzodami, na te sady pełne rojów pszczolnych, na te przeczyste krynice, na te szumiące lasy! Cała ta ziemia, którą zagarniesz promieniem oka twego, przypadła mi w posagu. Będzie ona twoją, gdy ją uwolnisz od okrutnego zwierza, dzikiego bawołu, co ją traktuje wzdłuż i w poprzecz!

Ledwie że wyrzekła te słowa, a oto z głębi rzeki rzuca się na brzeg straszny potwór: rogi ma żelazne, grzywę lwią, z racic wyrastają mu skrzydła. Dragosz uderza nań potężnie, rozwala mu czoło toporem, odcina głowę, zatyka ją na włóczni i z tryumfem obchodzi z nią po kraju. Ta głowa będzie mu tarczą przeciw poganom. Takto lud tłumaczy głowę bawolą, znany herb Mołdawii; przepomniał on że Trajan zbudował niegdyś gród, nazwany *Caput Bovis*.

Z pomiędzy Hospodarów, rycerski Mircea, założyciel Bukaresztu w wieku XIV, przetrwał do dziś dnia w pieśni; ale prawdziwym bohatérem ludu był dzielny wojewoda Stefan. O nim lud śpiewa dotąd:

Nasz Hospodar pełen sławy,
Kroczy zbrojno z Sucyawy;
Za nim dzielnych kroczy chmara:
Walą Turka i Tatara.

Liczne pieśni uwieńczyły jego czyny rycerskie. Zawiedziony w nadziejach, że otrzyma od sułtana Wołoszczyznę i połączy ją z Mołdawią pod jedném berłem, Stefan sprzymierzył się z Polską, przyjął lenną zwierzchność Kazimierza Jagiellończyka. W 30,000 Wołochów, wzmocniony konnicą polską, bronił Turkom przeprawy przez Dunaj: pokonany z razu, napędził nieprzyjaciela w parów i wybił go niemal co do nogi. Pole bitwy zasiane kośćmi, nazwano odtąd *Białą doliną*. Po śmierci króla Kazimierza, wyłamał się z lennéj zależności i obrócił oręż przeciw Polsce. Dzieje nasze zapisały straszną rzeź na dolinie Kośminu. Stefan rozkazał zaorać nie ociekłe z krwi pole i zasiać je żołędzią. Wyrosł tam późniéj las dębowy, przezwan „czerwonym lasem.“ Tegoto Stefana lud wspomina z uczuciem dumy narodowéj.

„Wielki Stefan!—mówi pieśń—dzielny nasz sokół, usłał sobie gniazdo w Sucyawie. Dniem i nocą pomyka na biegunie, aż ziemia tętni pod nim; walczy na wszystkich kresach. Siecze Tatary, płoszy Turki, pali węgierskie sioła.“

W rozmowie Stefana z Sokołem: „Co słychać na kresach“?—pyta Hospodar.

— „Słyszę tam wrzawę!—odrzecze Sokół—na innego padłby wielki postrach, lecz tobie się nie trwożyć, tyś Sokół taki jak ja! Turek ciągnie ogromną chmarą, han tatarski napędza zbrojne tłuszcze, dumny Węgier kroczy od Siedmiogrodu.

— „Niechże przyjdą co prędzéj! Wielu tu przyszło, mało kto ztąd powraca! Jam Rumun! wiem jak stawiać czoło pohańcom!“

Drugim bohatérem słynnym w pieśniach rumuńskich jest Michał Śmiały, który w początkach XII wieku wydarł Siedmiogród Węgrom i połączył chwilowo pod berłem swojém, kraj rozbity w trzy części. Rumuni zwali go Olteanem, od rzeki Olta, nad którą się urodził. Przytaczamy jednę z poświęconych mu pieśni:

Kto zna rycerza dzielnego Oltana,
Co przed sułtanem nie ugiął kolana?
Co nad swym krajem zgniecionym przemocą,
Bezpieczne czaty sprawiał dniem i nocą?
Kto z was o dzielnym nie słyszał Michale,
Co rąbał Turki jak drwa w wściekłym szale,
A gdy Stambułu zwartych bram dopada,
Gród w niebogłosy krzyknął: biada! biada!

Kto nie przepomniał walecznego męża,
Co wiecznie gromi i wiecznie zwycięża?

Niech powié Olta co się drze przez skały,
Niech wody pluskiem powié Dunaj biały;
Niech powié głucha Kalaguru puszcza,
Gdzie dąb konarem słońca nie dopuszcza:
Ile w niéj trupów tarzało się krwawo?
Ile tam kości bieleje pod trawą?
Ile tam piersi jęczało żałośnie?
Snadniéjbyś igły policzył na sośnie,
I straszne jęki potępieńców z piekła,
Niż krew czerwoną, co tu z żył pociekła!

Zapytaj kruków co ostrzą dziób tępy,
Wilków co leśne zaległy ostępy:
Czém się wypasła ta żarłoczna chmara?
Trupami Węgra, Turka i Tatara!

Krótki to był tryumf, opłacony szeregiem klęsk bezprzykładnych w dziejach. Turcy zalali kraj, potrątowali żyzne pola i winnice, uprowadzili trzody, powlekli tysiące branek w jassyr! Lud przepomniał jednak swéj niedoli, uczcił pieśnią Hospodara, któremu kraj zawdzięczał ostatni promyk sławy!

Po krwawych zapasach z obcymi, po smutnych klęskach długiego bezrządu, spadła na Rumunią z władzą Fanaryotów, najsroższa z klęsk: hańba! Przez cały wiek XVIII, ci poplecznicy Turków wysysali krew ludu, karmili się jego potem i łzami. Zniešiono zebrania narodowe, pozamykano szkoły. Helenizm zapanował na dworze, w cerkwi, w sądach. Milicye rumuńskie zastąpiono strażą turecką lub albańską. Spadły pod mieczem głowy zacniejszych bojarów: większość ich zgodziła się z nowym porządkiem rzeczy. Lud tylko zachował dawne tradycye, a z niemi język ojców.

W ustach tego nieszczęśliwego ludu pieśń stała się klątwą i chłostała nikczemnych bojarów, związanych z nienawistnymi Fanaryotami.

„Synu *Czokoja* [1])—woła Rumun—gdybym cię spotkał w lesie, zgniótłbym cię na miazgę maczugą moją, zdarłbym żywcem ze skóry!“

W innéj pieśni tak się wyraża:

— Czarny kruku zrodzon w lesie,
Zkąd cię wicher do nas niesie?

---

[1]) Czokojami zwał lud tych odstępców.

Smutnéj doli jestżeś gońcem?
Czemu kraczesz tak pod słońcem?
Czyś-li głodny, czy spragniony,
Czy ci puszczy żal zielonéj?

— Głód mnie morzy, skwar dopieka,
Puszcza nęci mnie zdaleka;
Jam złakniony! jam spragniony,
Na Turczyna ostrzę szpony;
Nad miód lepiéj mnie napoi
Krew pociekła z żył Czokoi!

Umilkła wreszcie pieśń w ustach nieszczęśliwego ludu. Włościanie odbiegali pługa, chronili się w lasy, szli na zbój! garstka wiernych orała swój zagon w milczeniu. Tak ubiegło lat sto! Głos Tudora Vladimiresco wyrwał Rumunów z osłupienia. Odtąd wielkie nastąpiły w kraju zmiany, lud wziął w nich czynny udział, ale wypadki zaszłe pod jego okiem, nie odbiły się w pieśni. Może być—uważa autor—że literatura uczona, która opiewała te wypadki, przygłuszyła ludową lirę; może być że pieśń ludu spoczywa gdzieś w ukryciu, zkąd wypłynie kiedyś, jak woń rodzinnych kwiatów!

W pieśniach zwanych *Cantice betranesci*, którym p. Cratiunesco daje nazwę ballad, sumienny ten krytyk wyświetla rycerski charakter ludu, pokazuje w jaki sposób wypadki dziejowe porywały wyobraźnię prostaczków. W pieśniach miłosnych *doinach*, pochwyca psychiczne usposobienia tych serc, przyrosłych do skiby, pobratanych ściśle z przyrodą. W kolendach i pieśniach obrzędowych daje poznać głęboką wiarę ludu, miłość rodzinną, poszanowanie domowych podań, prostotę obyczajów. Obszerny rozbiór tych pieśni utwierdził nas tembardziéj w przekonaniu, że żywioł dacki nie tak słabo reprezentowany w rumuńskim ludzie, jak to sądzą literaci i lingwiści, dumni pokrewieństwem ze starożytną Romą. Pan Cratiunesco należy do ich liczby: porównywa on co chwila pieśni swego ludu, z sielankami Wirgilego i Auzoniusza. Nie zaprzeczamy wpływu kolonistów rzymskich, na poezyą ludu, w pośród którego zamieszkali; zresztą starożytny duch aryjski ożywiał zarówno Latynów, jak i Daków. Przypatrzmy się jednak tym pieśniom, a zobaczymy czy i one nie należą do rodzaju owych białych gołębi, co to przebiegały od pokolenia do pokolenia, jak się wyraża poetycznie Kollar, o pieśniach różnych szczepów słowiańskich.

Rumun kocha *doinę* swoją, wylewa nią z duszy tak radość jak i smutek. Ona mu wierną towarzyszką, jak się wyraża w pieśni:

Doino moja! słodka doino!
Gdy mi z powietrza dźwięki twe płyną,
Nie iść mi daléj, wstrzymać krok muszę!
Twoje płomienie palą mi duszę.

Gdy cichy wietrzyk powionie wiosną;
Moją doinę śpiewam radosną;
Ona tak cudnie w uchu mi dzwoni
Przy blasku słońca, przy kwiatów woni.
A gdy szarugi zimą powieją,
Ona mnie słodką pieści nadzieją;
Zbiega z ust moich, we dnie i w nocy,
Kołysze serce w doli sierocéj!
Gdy las zakwitnie, ja puszczy dziecko,
Czasem doinę huknę zbójecką;
A gdy liść spada wichrem strącony:
Kwilę doinę łzawemi tony;
Wieczniem ja z tobą, wiecznie doino:
Tyś mi pociechą życia jedyną!

Główną cechę tych pieśni stanowi tęsknota, zaduma. To smętne uczucie, zowie Rumun *dora* (odurzenie, dur?) Im więcéj ma poeta siły twórczéj, tém zaciętszą stacza walkę z tą nie widzialną zmorą, która pochwyca go za gardło i odgania sen z jego powiek. Smutno śpiewak żali się na nią:

Puszcza tarnina zielony listek,
Dla mnie biédnego przepadł świat wszystek;
Mąci mi głowę tęsknica blada,
We śnie jak zmora na pierś mi siada;
Nic jéj odemnie już nie oddali,
Ona mi duszę płomieniem pali;
Drę się na wzgórza, doliną chodzę:
Ona kamieniem stoi mi w drodze!

Ażaliż nie to samo uczucie wyraża znana piosenka ludu naszego:

Wyszła dziewczna, wyszła jedyna,
Jak róży kwiat;
Rączki załamała, oczki zapłakała,
Zmienił jéj się świat!

Niektóre doiny snać wyśpiewane w czasach tureckich najazdów, wojowniczy mają charakter. Oto z nich jedna:

Gdybym ja zdobył karabin mały,
Garść kul i prochu na cztery strzały;
Gdybym miał w ręku toporek ostry,
Pewny i wierny jak serce siostry;
Gdyby podemną hasał koń dzielny,
Cały tak czarny jak grzéch śmiertelny;

Gdybym miał siedmiu braci, mój Boże!
Zbrojnych w oszczepy miecze i noże:
Stałbym się orłem, latał wysoko,
W jasną twarz słońca wlepiłbym oko;
Krzyknął jak piorun: „do boju męże!
Niech w imię krzyża każden przysięże:
Dopóki tchnienia w piersi mu starczy,
Nikt z rąk nie puści miecza ni tarczy!"
Długo nas przemoc depcze zawzięta;
Czas bisurmańskie rozkruszyć pęta!

Pieśni pasterzy nacechowane właściwą sobie poezyą. W oderwaniu od ludzi pasterz tém silniéj kocha swoje psy, swoje owce, rozmawia z niemi, rozumie tajemne ich ostrzeżenia. Pieśń o *Miorytsy* najsilniéj wyraża to braterstwo człowieka z przyrodą:

Stokiem góry, trzy bielúchne schodzą jagniąt trzody,
A za każdą na koniku jedzie pasterz młody;
Trzéj pasterze obcy sobie z imienia i z rodu,
Ten z zielonych pól mołdawskich, tamten z Siedmiogrodu;
Trzeci góral rodem z Wrańczy porosłéj buczyną:
Siedmiogrodczyk z Wrańczaninem Mołdawa wyminą.

O czém radzą potajemnie? co znaczy ta zmowa?
Umyślili zabić druha gdy się słonko schowa;
On bogatszy, jego trzoda słynie miękką wełną:
Ma psy dzielne, piękne konie, kieskę złota pełną!

Czemuż dzionek mija trzeci, owo jagnię drżące,
Nie uskubnie świeżéj trawki na zielonéj łące?
Tylko beczy tak żałośnie i pogląda łzawo?
— „Mów owieczko: czy piołuny rosną między trawą?
Czemu nie jesz?—litościwy pastuszek zapyta.
Czy cię żmija ukąsiła w nóżkę jadowita?"

— „Ni mnie żmija ukąsiła, ani piołun pali,
Mój pastuszku, tam w zarośla popądź trzódkę daléj!
Zwołaj kundle, niechże ciebie od krzywdy ustrzegą;
Siedmiogrodczyk z Wrańczaninem radzą tam coś złego:
Skoro jasne zajdzie słonko, rzucą się na ciebie!"

— Jeśli taka mi już dola zapisana w niebie,
Powiedz, niechże mnie pogrzebią na tym góry stoku,
Niech was drogie me owieczki zawsze mam na oku;
Niechaj słyszę psów szczekanie i bek trzódki miłéj.
A gdy druhy moje ciało złożą do mogiły,
Zatknij-że tam przy krzyżyku fujarkę wierzbową:

Wygrywałemci ja na niéj co dnia pieśni nowe!
Kiedy rankiem z cichą rosą wionie wietrzyk po niéj,
Fujareczka wtedy sama piosenkę zadzwoni;
A gdy wkoło się rozbieży dźwięk fujary słodki,
Na mogile méj owieczki zapłaczą sierotki.

Ale nie mów żem zabity, nie mów, strzeż cię Boże!
Powiedz tylko żem poślubił królewnę jak zorzę;
Jasna gwiazdka spadła z nieba gdym jéj dawał słowo,
Z słonkiem księżyc nam koronę trzymały nad głową;
Ślub dawała nam ta góra ze stromemi skały,
W okół dęby i jawory niby drużby stały;
Chór weselny leśnych ptasząt śpiewało tysiące,
Miast pochodni migotały gwiazdeczki błyszczące!

A jeżeli w szczerém polu spotkasz czy pod lasem
Starą matkę przepasaną tkanym z wełny pasem;
Gdy żałosne ci jéj łkanie do ucha dobieży,
Gdy posłyszysz głos ochrzypły téj biédnéj macierzy;
„Kto nie widział z was pastuszka? piękny był i młody,
Istny dąbek, jak krew z mlekiem hoże miał jagody;
Wąsik niby kłos pszenicy, włos jak krucze pióro,
Oko ciemne jakby morwa, czoło nosił górą!"
Wtedy pociesz ty owieczko jéj serce strapione:
Powiedz tylko że królewnę pojął syn za żonę.
W kraju cudzym, u wrót rajskich, to jéj wiedzieć trzeba,
Ale nie mów że upadła jasna gwiazdka z nieba;
Że weselny chór ptaszęta świergotały społem,
Że dawała nam ślub góra ze skalistém czołem,
Że jawory nam i dęby służyły za świadki:
Tego nie mów! rozdarłabyś serce biédnéj matki!

W pieśniach miłosnych Rumun gorąco wyraża uczucie, niekiedy nawet wyraża je zbyt jaskrawo. Autor czyni uwagę, że ten zarzut odnieść głównie można do strony kraju pogranicznéj z Turcyą, gdzie kobiéty przyjęły poniekąd i strój haremowych sąsiadek. Wpływ ten nie oddziałał bynajmniéj na dalsze okolice. Nigdzie jednak lud rumuński nie zachował lepiéj narodowéj fizyognomii jak w Siedmiogrodzie, pod cieniem Karpat. Oto prototyp dzieweczki siedmiogrodzkiéj, do którego zbliżają się mniéj więcéj, wszystkie rumuńskie dziewczęta:

Siła kwiecia na murawie rozkwita nam wiosną,
Oj! cudowneż to dziewoje w Siedmiogrodzie rosną;
Każda smukła niby wiotka nad potokiem trzcina,
Oko czarne, włos jedwabny, lice jak malina.

Gdy do ucha mi dobiegną jéj słówka pieszczone,
Drżę jak listek osiczyny, cały żarem płonę.
Zawsze hoża i wesoła, gdziebądź stąpi nóżką.
Dla niéj pola wnet zakwitną hubrem i ostrószką;
Kiedy pląsa wszystkie ku niéj zwracają się oczy,
Że serduszko ledwie chłopcom z piersi nie wyskoczy.

Rumun głęboko pojmuje świętość małżeństwa, wié on że śmierć rozłączy go tylko z wybraną przez siebie towarzyszką. Wyraża to w rzewnéj piosence:

Słonko rozwija pączek o wiośnie,
Niechże maleńka przy matce rośnie;
Potém ja wezmę dziewojkę miłą,
Słodkoż się życie, będzie nam wiło!
W zgodzie i w ciszy po kres żywota,
Aż nas cmentarne rozłączą wrota!

Dlategoto młodzian nie skłania ucha ku słowom matki, która wstrzymaćby go rada od związków drogich jego sercu.

Jest ci dziewcząt sto tysięcy, mówisz matko miła!
Co mi po nich! jedna serce moje zniewoliła!
Wielkie niebo, na niém świeci gwiazdeczek tysiące,
Są i duże, są i małe wszystkie tak błyszczące!
Niechaj świecą, mnie za serce ich blask nie pochwyca,
Toć cudniejsza od nich wszystkich moja krasnolica!

Autor wspominając poetyczny obrzęd ślubny, widzi w konnym i zbrojnym orszaku drużbów, jakoby szczątek starodawnego obyczaju, z którego powstała tradycya o porwaniu Sabinek. Co do nas, widzimy raczéj w tym obrzędzie u Rumunów, wielkie zbliżenie do wesela, jak je lud nasz obchodzi. Weźmy na przykład owych swatów, wysłanych na zwiady, zapytujących czy kto nie widział pięknéj łani, którą ich brat spotkał niedawno w lesie? Tak samo i u nas dziewosłęby wypytują o zabłąkaną jałowicę.

Do tradycyi za to włoskich należy zwyczaj rzucania orzechami o ścianę, podczas gdy kapłan trzyma wieniec ślubny nad głową nowożeńców. Orzechy te znaczą iż minęły czasy płochych igraszek, a rozpoczyna się życie na seryo.

Po ślubie następuje uczta godowa. Czara wina zmieszanego z miodem przebiega z rąk do rąk. Każdy nim ją poniesie do ust śpiewa odpowiednią piosenkę. Oto zwrotka pana młodego:

Nie płacz-że dzieweczko, nie płacz-że mi droga,
Ja cię odprowadzę do mateńki proga;

Gdy gruszki na wierzbie urodzą się latem,
Gdy topol zakwitnie jabłonkowym kwiatem.

Po uczcie następuje pożegnanie. Bracia taką pieśnią żegnają miłą siostrę:

Liść konwalijki puszcza zielony,
Porzuć siostrzyczko próg twój rodzony;
Do chaty męża pospiesz co żywo,
Pożegnaj ojca i matkę siwą;
Braci i siostry pożegnaj miła,
I ten ogródek coś go sadziła:
Tyś już ogródkiem, niechajże wiosną,
Na twoich grzędkach kwiatki wyrosną!

Błogosławieństwo ojca i matki, pełne powagi i patryarchalnego namaszczenia.

Młoda kobieta, skoro przestąpi progi męża, odważnie zabiera się do pracy. Liczne pieśni malują domowe jéj zajęcia. Ledwie świta dzionek, zamiata izbę, rozpala ogień, warzy jadło, przynosi wodę ze studni. Nigdy z rąk nie wypuszcza wrzeciona. Latem rznie jęczmień na zagonie, łuska kukurydzę, sprowadza bydło z paszy. Zimą nasuwa na krośna nić konopną, tka z niéj bieluchne płótno.

Późniéj kołysze dziecię, karmi je piersią własną. Jeśli to syn, śpiewa mu o hospodarze Stefanie, przepowiada że będzie żołnierzem; jeśli dzieweczka, nie utyskuje nad jéj dolą, pragnie tylko by wyrosła wiotka jak trzcina, słodka jak gołąbka, biała jak kwiatek konwalii:

Lataj dziecino, lataj mi słodko,
Mój fijołeczku, moja pieszczotko;
Matka cię droga do snu kołysze,
I w dzionek biały i w nocną ciszę:
Skąpię cię w zdroju dzieweczko miła,
Byś mi jak słonko jasno świeciła!

W niektórych pieśniach, zaprawnych szczyptą złośliwego dowcipu, lud żartuje z zazdrosnych mężów i z żon goniących za pląsami, gdy głodna dziatwa płacze przy wygasłém ognisku. Szydzi też z próżniaków, a najbardziéj z tych, którzy dają się żonom powodować. Oto skarga żony na gnuśnego niezdarę:

Wyślę go z pługiem nim weszło zorze,
On woły zgubił—czémże zaorze?
Ślę go na zwierza w ciemne dąbrowy,
On rozbił strzelbę... daremne łowy!

Ślę go po wodę: snadna to praca...
Stłukł dzban gliniany, z niczem powraca;
Ślę go do lasu, niech drew przyniesie:
Na garści chrustu śpi twardo w lesie!

Nie brak w rzeczy saméj energii rumuńskim niewiastom, przechodzą w tym względzie jak wiadomo, gnuśnych częstokroć mężów. P. Cratiunesco nie mówi o tém, niechcąc zapewne rzucać w oczy ziomkom, tak upokarzającego zarzutu; pieśni jednak które przytacza, wymownie świadczą o mocy duszy Rumunek.

Zobaczmy oto klątwę dziewczyny, uprowadzonéj gwałtem z rodzicielskiego progu:

Próżne łzy moje, daremne żale,
Twa dusza nie zna litości wcale;
Tyś mnie od matki porwał rodzonéj,
Powiódł daleko, w nieznane strony;
W owym straszliwym zagrzebał lesie:
Niechże cię daléj wicher poniesie;
Niech Turczyn w jarzmo wprzęże cię srogi,
Niech koń twój obie połamie nogi;
A gdy łeb strzaskasz o twardą skałę,
Niech cię rozszarpią kruki zgłodniałe!

Wymowniejsze jeszcze pieśni o młodéj Chaldze, któréj sławny hajduk Karakatasz uprowadził trzody nocą, kiedy wieś spała:

Butczum [1]) na trwogę w noc czarną brzmi.
Zerwie się Chalga: „Hej! biada mi!
Konia tu słudzy przywiedźcie wnet,
Męzkie mu siodło wtłoczyć na grzbiet!“
Twardy buzdygan pochwyci w dłoń,
Rączym poskokiem uniósł ją koń.
Gniewu ją wściekły porywa szał:
Ku Dunajowi popędzi w cwał.
Na tłum opryszków zakrzyknie w głos,
Aż z czoła dębem powstał im włos!
I serca skrzepły, strach oczy zćmił:
Chalga za nimi pędzi co sił.
—„Karakataszu! dzielnyś ty wódz,
Dziś-że niewieście przyszło cię zmódz?
Z ręki niewieściéj paść wielki srom!
Byłoż ci Chalgi nachodzić dom?“

[1]) Butczum, trąba z wiśniowego drzewa—rodzaj ligawki.

Żartko opryszek zwraca się w bok,
Wślad za nim Chalga pędzi krok w krok;
Coraz to bliżéj, tuż za nim, tuż,
Na kark opryszka skoczyła już:
Oburącz twardy podnosi miecz,
Głowa od karku odbiegła precz;
Ale w rozpędzie nie wstrzymać stóp,
Aż się na ziemię powalił trup;
I krew z rozdętych wyciekła żył,
I suchy piasek krew ciepłą pił.

Od onéj doby, gdy w czarną noc
Krąży po kraju opryszków moc;
Choć im szalony dopiecze głód,
Żaden do Chalgi nie zajrzy trzód!

Ta samodzielność niewiast rumuńskich nie uwalnia bynajmniéj męża, z obowiązku opieki nad nią. Biada temu kto pod okiem swojém pozwoli skrzywdzić żonę! Bracia dopomną się o cześć siostry. Oto pieśń o bojarze Worniku Mogoszu, który za płochy żart padł ofiarą zemsty braterskiéj:

Wornik Mogosz do stolicy z młodą żoną jedzie,
Sam na koniu skarogniadym cwałuje po przedzie;
Za nim żona z sług orszakiem podąża z daleka,
A na moście nad Dunajem siedmiu braci czeka.
— Kędy miła siostra nasza?—ten i ów zagwarzy.
— Co wam pytać! waszą siostrę porwali Tatarzy!
Siedem mieczów wraz połyska nad Mogosza głową,
Krew mu z serca wytrysnęła zaczem wyrzekł słowo.

Coś turkocze tam z daleka, bracia zwrócą oczy:
To kolebka pozłocista po drodze się toczy;
Przez okienko cudna Stanka twarz gładką wychyli:
— Kędy Mogosz? kędy mąż mój? mówcie bracia mili!
— Siedem szablic go posłało na dno samo piekła!
Do Dunaju wielką strugą, krew Mogosza ściekła.
Niech próchnieje na wiek wieków w ziemi pogrzebiony,
Kto nie umiał z rąk pohańca wyrwać młodéj żony!

Załamała białe ręce nieszczęśliwa siostra,
— On żartował .. za żart płochy to kara zbyt ostra!
Łzy wytrysły z ócz niebogi, oj płynież ich wiele,
Aż upadła napół martwa przy małżonka ciele.
Ściska trupa, wciąż zawodzi niewiast obyczajem,
I skonała tam na moście—nad białym Dunajem.

Autor wyliczając wszystkie żywioły poezyi narodowéj, nie pomija też i pieśni o sławnych hajdukach. Nie są to prości rozbójnicy, ale że tak powiemy, chybieni bohatérowie, którzy w braku właściwego pola do czynu, wypowiedzieli społeczeństwu zaciętą wojnę.

Pieśni o Kordeanie, Stefanicy i Bujorze, smutne te dramaciki, zakończone najczęściéj stryczkiem, przypominają zupełnie podania górali naszych o Janosiku lub Doboszu. Jedna pieśń opowiada walkę hajduka Mihu z opryszkiem węgierskim Janokiem. Walka to prawdziwie Homeryczna. Janok biesiaduje w gronie czterdziestu pięciu towarzyszów, kiedy nagle posłyszy dźwięk kobzy. To hajduk Mihu. Śpiewa on pieśń tak cudną, że orły zbiegają z gniazd swoich, że świerki pochylają czoła, że liście buczyny przywtarzają cichym szelestem, że gwiazdy zatrzymują się w biegu.

Węgrzy słuchają zdumieni: Janok zaprasza śpiewaka do uczty. Zasiadają wszyscy za stołem. Biesiada trwa do zmroku.

Gdy zapadła noc, dwaj wodzowie chwytają się za bary, towarzysze okrążyli ich kołem. Walczą zawzięcie, każdy z nich kilkakroć powalony, zrywa się żartko i powala znów przeciwnika. Mihu pochwyca wreszcie Węgra, podrzuca go w górę jak pióro, wali nim o ziemię, półmartwemu odcina głowę.

Stoi nad trupem straszny, niezłomy jak dąb.

— Kto mnie poruszy z miejsca, godzien być towarzyszem moim! —zawoła głosem grzmiącym, jakby huk gromu.

Wszyscy szamocą się daremno.

— Biédne dzieci! ustąpcie z tych lasów—rzecze Mihu—weźcie pług, rzemiosło dzielnych nie dla was! wy stworzeni do wideł i łopaty!

I odszedł wolnym krokiem: dźwięk kobzy rozległ się znów po lesie.

Z pieśni religijnych, autor przytacza jedne, odnoszące się do pogańskiéj starożytności, inne zwane *Colindas*, śpiewane w wigilią Bożego Narodzenia. Zobaczmy naprzód te ostatnie.

Lud tłumnie przebiega wieś lub miasto. Otwiera pochód małe pacholę, trzymając na kiju latarnię papierową w formie gwiazdy. Za niém ciągną trzej królowie, ubrani w szaty Wschodu, otoczeni orszakiem rzymskich rycerzy, z włócznią do góry podniesioną. Każdy z obecnych trzyma w ręku pochodnią. Okrążają tak miasto, wstępując od proga do proga. Gdy orszak wszedł do domu, widowisko rozpoczyna się pieśnią: trzej królowie opowiadają cel podróży, polecają się względom obecnego także Heroda.

— Kto jesteś?—zapyta Herod.

Każdy z królów powiada imię swoje.

— A ty panie, kto jesteś?—zapytują nawzajem.

— Jam—zawoła—król Herod: cały świat drży przedemną.

Po tych przechwałkach król łagodnieje, łączy się z orszakiem, idzie do żłobu gdzie spoczywa Zbawiciel świata. I wszyscy razem

przechodzą w inne progi, nucąc pieśń kolendową. Pacholęta niosą obraz przedstawiający Narodzenie Chrystusa. Stają pod oknem domu i przyśpiewują chórem:

Wstańcie co żywo wielcy bojarzy!
Wstańcie oracze młodzi i starzy!
Oto kolendę przynosim w progi,
Bóg się w stajence zrodził ubogiéj;
W żłobku Jezusik leży kochany,
Kwiatem lilii cały odziany.
Chwała na ziemi, w niebie Mu chwała,
Promieniem słońca twarz Jego pała:
Wstańcie co żywo wielcy bojarzy,
Wstańcie oracze młodzi i starzy!

Podobna uroczystość, powtórzona w wigilią Nowego roku, ma zarazem charakter religijny, polityczny i społeczny. Wieczorem, wrzawa rozległa się po wioskach i po miastach. Dzwony biją, skrzypce, fletnie, cymbałki, młoty, kotły, tworzą razem dziwaczną gędźbę, wcale nieharmonijną dla ucha. Lud podzielony na grupy, przebiega z pieśnią drogi i ulice. Tu kowale biją młotem w kowadło, tam młode daki potrząsają smolném łuczywem, wykrzykują na różne tony. Daléj idą pastuchy odziani skórami bydła i owiec. Daléj znów grajkowie *lautari*, dmą w flety, rzępolą na skrzypcach i gitarach. Rzemieślnicy niosą cechy, dzieci dzwoniąc na gwałt otwierają i zamykają pochód. Tłum przebiega od domu do domu. Gdy stanie pod oknem, gdzie gospodarz czeka zwykle z rodziną, rozstępują się wszyscy tworząc koło. Starszy wychodzi naprzód, prawi oracyą; rolnicy do taktu uderzają lemieszem o lemiesz. Oracya ta przypomina zaproszenie na weselne gody ludu naszego, lub znane mowy przy „gaiku i koguciku.“

Wychodźcie z domu, ojcowie, matki,
Krasne dziewczęta i drobne dziatki;
Dając każdemu po kęsie chleba:
Błogosławieństwo niesiemy z nieba.
Przeżyjcie roczek błogo zaczęty,
W zdrowiu i zgodzie, w miłości świętéj;
Ile ma słomek ta wasza strzecha,
Tyle dukatów złóżcie do miecha.
Ile kamyków na dnie potoku,
Tyle dziéż mléka zliczcie w tym roku;
Niech tyle ciołków skacze po paszy,
Ile jest nitek w siermiędze waszéj.
Niech kłos wam złoty dzwoni na łanie:
Nam się téż drobne ziarnko dostanie.

Żyjcie w dostatku, w serca radości,
Niech wam Bóg zsyła w dom miłych gości;
Żyjcie weseli zimą i latem,
Jak grusze białym pokryte kwiatem!

Z pomiędzy tradycyj staropogańskich, autor przytacza dziwnie poetyczną balladę o małżeństwie Słońca z Luną; powtarzamy ją w treści:

Promieniste słonko zamierza pojąć żonę. Przez dziewięć lat na wozie uprzężonym w dziewięć koni, przebiega błękitne niebo i ziemię szeroką, ale nie znajduje w świecie całym dziewoi, równéj urodą jego siostrze Helenie. Cudnież ona piękna ta Helena! Ptaszęta kwilą na cześć jéj hymn pochwalny, kwiaty pochylają przed nią główki wonne, smoki padają na kolana. Posiada ona tyle bogactw, ile jest kłosów w polu, ile gwiazdek na niebie, ile ziarn piasku na dnie morza. Nic téż dziwnego że Słonko upodobało ją sobie, że pragnie ją poślubić.

Helena odtrąca te zabiegi.

— Widziałże kto, aby brat poślubiał siostrę własną?

Słonko marszczy brwi, pośpiesza przed tron Boga, przedstawia pokorną swoją prośbę. Bóg bierze je za rękę, prowadzi do piekła a następnie do raju.

— Przypatrz się—rzecze—i rozważ: wybór zostawiam do twéj woli.

Zakochane Słonko nie zadrżało na widok piekła. Pośpiesza do złotowłosej Heleny, przybiera ją w tkaną perłami szatę, kładzie na jéj czoło wianek z kwiatów. Strojną prowadzi do kościoła. Wtém dzwony pękają na dwoje, kagańce gasną, sklepienia zatrzęsły się w posadach, kapłani oniemieli!

Ręka niewidzialna porywa Helenę, rzuca ją w głąb morza, przemienia w rybę złotą.

Widziało Słonko: rozwija skrzydła, wzbija się w górę, a potém spada na dno spienionéj fali. Już ma pochwycić ukochaną: Bóg nie dopuści tego sromu. Dobywa Helenę z łona wód, rzuca ją w przestrzeń i zamienia ją w Lunę.

— Skazuję was—rzecze—na wiekuistą pogoń. Ścigajcie się oczyma wśród nieskończonych przestrzeni, lecz nie dano wam złączyć się nigdy z sobą. Okrążajcie niebiosa, i przyświecajcie światom.

Pan Cratiunesco nie zna jak widać poezyj bulgarskich, niedawno odkrytych przez Werkowicza, a wykładanych w kollegium francuzkiém przez professora Chodźkę. Gdyby je znał, zwróciłby niewątpliwie uwagę na łączność podań rumuńskich, ze starożytnemi tradycyami sąsiednich im Bulgarów.

Miłośnicy skandalów znaleźli obfitą pastwę w dwoch książkach, jakie w tym roku spadły w świat, istne bomby. Mówimy tu o *Pamiętnikach kozaczki* i *Wspomnieniach fortepianisty*, będących na tamte odpowiedzią.

Imię wielkiego artysty nie wymienione w książce, lecz okryte aż nazbyt przezroczystą zasłoną. Któż nie zna mistrza zrodzonego nad Dunajem, którego podziwiały wszystkie stolice Europy, bodaj czy nie dwóch światów; który długo przebywał w Wejmarze, zaczém objął dyrekcyę orkiestry w kaplicy Syxtyńskiéj?

Genialny muzyk znany zarówno w świecie, jak niepospolity pisarz. Z pod jego pióra wybiega słowo skrzydlate, harmonijne, płomieniste, brzmiące metalicznym dźwiękiem; słowo przypominające tak żywo tony wydobyte z klawiszów mistrzowską jego ręką. Jemu to zawdzięczamy cudną monografię Szopena. Nazbytto wysoka osobistość abyśmy mogli pominąć milczeniem owe wspomnienia, które znalazły w tych czasach tak wielki rozgłos w świecie. Wierni jednak zasadzie naszéj, pomijamy z nich wszystko co ma styczność z kozaczką reprezentantką niewieściéj cyganii, a zwrócimy tylko uwagę na ustępy malujące psychiczną stronę autora.

Zobaczmy jak kreśli swój obraz z lat dziecinnych:

„W wieku kiedy inne chłopięta są ofiarą bydlęctwa dziecięcego, w dziesiątym życia roku byłem myślicielem i filozofem. Natura krzepka, inteligencya przenikliwa, rozsądek bystry, czułość najwytworniejsza, wrażliwość niesłychana, wszystko to uczyniło mnie wcześnie prawdziwym chrześcijaninem. Był ze mnie jakoby nowy Paskal, z tą różnicą, że Paskal mierzył ziemię, ja śpiewałem na klawiszach szczytne harmonie przyrody; przedstawiałem je, tłumaczyłem, wyrażałem w całym ich majestacie, streszczając w tonach muzycznych potęgę bożą, jak Paskal streszczał prawdy abstrakcyjne w teoremach.

Ileżto miałem już wówczas cudownych natchnień, jaką znajomość nieskończoności!... Jakże pojmowałem myśl Stwórcy! jak rozmawiałem z Nim oko w oko, to straszno, to rzewnie na przemian! Drżałem niekiedy na myśl że Go rozgniewam, odkradając Mu tajemnicę, to znów czułem jak przybliża się do mnie z wdzięcznością, rad żem Go tak dobrze zrozumiał, żem Go tak godnie uczcił! Byłem kolejno jego przyjacielem, jego towarzyszem, jego dzieckiem! O! chwile to rozkoszne, chwile uniesienia i ekstazyi! Czułem się niemal bóstwem! słyszałem jak chóry archaniołów powtarzały na złotych lirach moje promieniste melodye!"

Autor opowiada potém, jak pod żelazną ręką ojca pracował istny niewolnik, jak co dnia wygrywał dziesiątek *fug* piérwszych mistrzów i przerabiał je na rozmaite tony; jak oprócz muzyki uczył się wszystkich nauk i wszystkich języków europejskich; jak niesłychaną

obdarzony zdolnością, posłyszawszy piérwsze zaledwie słowo wnikał do gruntu rzeczy, i wnet do krańcowych przychodził wyników!

Nauka odbywała się w ogrodzie ojcowskim, w ślicznym belwederku obrośniętym w bluszcze i klemetydy. Z tegoto zielonego gniazdeczka dusza młoda ulatała w górę z rosą i wonią kwiatów!

„Czułem się niby unoszonym balonem. W miarę jak dosięgałem w coraz to wyższe sfery, wszystko malało w oczach moich, i dom i ogród i miasto; wszystko stępowało do rozmiaru dziecięcych cacek, malały nawet lasy i wierzchołki gór: co do ludzi, nie było ich ni śladu!

„Astronomia sama brała udział w téj pracy ducha mego: harmonijny pochód gwiazd przywtarzał pieśni mojéj. Czułem się niekiedy, jakoby naczelnym mistrzem orkiestry wszechświata. Każda gwiazda pod kierunkiem moim odgrywała osobną partycyą, konstellacye przywtarzały planetom; były to moje tenory, barytony, moje skrzypki i wiolonczelle. Od czasu do czasu sypnąłem w przestrzeń garścią gwiazd błyszczących, lub rzuciłem promienistą kometą z kitą dyamentową, która przebiegała majestatycznie miryady mil i konając dośpiewywała cudowną nutę swoją."

„W mojéj grze znajduje się to wszystko—dodaje pianista—mogę śmiało wypowiedzieć zdanie moje, skoro cały świat tak myśli. „Twój fortepian—pisze do mnie N...—to nieskończony widnokrąg nieba; twoje nuty gwiazdami, twoje dzieła najwięcéj zbliżone do dzieł Stwórcy!"

Autor opisuje dom w którym ubiegła mu pierwsza młodość i czyni psychiczne w tym względzie spostrzeżenia.

„Nie byliśmy wcale bogaci, ale nasz dom miał pozór wytworny i niepospolity, odpowiedni wartości tego kto w nim mieszkał. Domy są to jakby suknie, co na jednym zdają się być stare, ciężkie, spłowiałe; na drugim pełne świeżości i wdzięku. Tenże sam dom, temiż samémi napełnion sprzętami, inaczéj wygląda gdy mieszka w nim Piotr albo Paweł. Przy jednym będzie brudny i zaniedbany, przy drugim czysty, wesoły, pełen życia; ktoś trzeci oziębi go matematyczną symetryą, a czwarty ożywi artystycznym urokiem.

„Mój dom przedstawiał dziwnie harmonijny ład, ktokolwiek przestąpił progi przejęty był głębokiém poszanowaniem, jakby w progach starożytnéj katedry!"

Ojciec-że to artysty, wypiętnował tak osobistość swoją na ścianach tego domu? Bynajmniéj! „Wspomniałem o ojcu w dwóch słowach—mówi autor—nie wrócę już do niego: jeżeli był zajmującym, to jedynie ze względu na mnie!"

Opisawszy dom, artysta równie jaskrawemi barwy maluje okolicę, rzuca poetyczny obraz gór zrumienionych promieniem zachodzącego słońca.

„Oto—kończy—rodzinne gniazdo moje! Oto moje ramy! Ludzie są jak rośliny, emanacyą, wyrazem, wizerunkiem ziemi ojczystéj! Opatrzność wybiera zawsze na kolebkę człowieka, godnego téj nazwy,

miejscowość odpowiednią mu, połączoną z nim powinowactwem, objawiającém się w fizycznem i moralném podobieństwie!"

Co najpocieszniejsze w tém wszystkiém, oto że autor odtrąca silnie zarzut pychy czyniony mu przez wielu. Samouznanie wartości własnéj, nie jest bynajmniéj pychą w jego oczach.

Patrzmy jak opowiada swe młodzieńcze tryumfy:

„Życie moje w świecie znane wszystkim. Takiém było życie Mozarta. To bezustanny tryumf geniuszu! Dar udzielony od Boga duszom wybranym! Od lat dziecięcych byliśmy obaj przedmiotem jednomyślnego wielbienia dla tłumów i dla wytwornéj publiczności. Ubiegano się o nas, to gorącą prośbą, to intrygą, to gwałtowną niekiedy pogróżką; słuchano z radością i z zachwytem dochodzącym do szału. Przejeżdżaliśmy obaj od miasta do miasta, od dworu do dworu, od narodu do narodu, jak prawdziwi tryumfatorowie. Tłumy wprzęgały się do wozów naszych, najpiękniejsze z pięknych, pochylały głowę przed chwałą naszą. Wreszcie jeśli mieliśmy przeciwników, których chłosta mogłaby osłabić wiarę ludzi mniéj zaufanych w własne siły; te zawistne pociski upadały same przez się, jak spada piana z powierzchni czystych wód; i dwa nasze imiona świeciły pełnym blaskiem w towarzystwie dwóch lub trzech jeszcze imion, w owym świecie muzyki, najwznioślejszym ze wszystkich światów, w jakich działa inteligencya człowieka.

„Czytając te słowa—dodaje mistrz—posądzi mnie kto może o pychę lub o próżność. Byłby to zarzut niesłuszny. Uczucie to dalekie od serca mego, niechaj powiedzą przyjaciele. Ale nie przesadzając się nad miarę, wolno przecież uznać nam swą wartość osobistą. Ja zwykle tak czyniłem. Uważałem w tém, spełnienie obowiązków wdzięczności względem Stwórcy. Odmawiać sobie właściwego ocenienia, jest to samo co lekceważyć dzieło Boże! Obowiązkiem naszym okazać Bogu że mamy świadomość dobrodziejstw jakiemi nas obdarzył; najlepszym środkiem ku temu, objawiać a przedewszystkiém głosić własne zasługi!

Samouznanie to rozciąga artysta nietylko do geniuszu swego, ale niemniéj do zalet serca, do własnéj nawet powierzchowności.

— „Nie jestem—mówi—piękny, zdaniem niektórych osób. Nie mam typu Włocha perukarza, ale w rysach moich panuje harmonia i godność połączona z wdziękiem. Postawa moja wpadła wszystkim w oko."

Zobaczmy teraz serce.

„Dobry jestem, słodki, tkliwy, ale bez słabości, bez poniżenia. Dobry tą wzniosłą dobrocią co spełnia wielkie dzieła, co służy za szlachetny przykład współczesnym i przyszłym pokoleniom. Nie jestem dobry ową dobrocią pospolitą, płaską, rozpraszającą się na drobnostki, ogarniającą wszystko. Męzka dobroć moja nie sprowadzi méj duszy z wysokiego piedestału, na którym postawiła ją wola Boża, stwierdzona uznaniem powszechném. Nie, zaprawdę! ja nie poświęcę mego blasku, mojéj chwały przeszłéj i przyszłéj, żadnéj istocie, choćby ją to

o śmierć przyprawić miało! Trzymam się w tém zdania Goetego: „Wielki poeta niechaj będzie wielbionym, nie może on kochać jak człowiek pospolity, miłością opartą na zapomnieniu siebie, na ofierze! On władzcą! on mistrzem! on panuje! Jeśli raczy z wysokości swojéj rzucić okiem na prostą śmiertelniczkę, niechże jéj to wystarczy! ten rzut oka, nie mniéj wart niżeli życie któreby jéj drugi poświęcił. Niewolno jéj żądać nic więcéj! Była wybraną: to łaska, przywilej; lecz to nie daje żadnego prawa!

„Sztuka powinna być tyranem! deptać po sercach, godném jest jéj majestatu! Sztuka to owa cudowna pszczółka, któréj zadaniem ssać miód z kielicha kwiatów. Jeżeli kwiat uschnie... mniejsza o to!"

„Strzegłem się pilnie kobiét—dodaje artysta—niekiedy widziałem w jakiejciś *żebraczce miłości*, pożyteczny bodziec muzykalny, gotowy dostarczyć mi nowych motywów; ale nigdy, przenigdy nie kochałem żadnéj prawdziwiel... Powtarzam to z najwyższą chlubą!"

Czy paradoks ten podyktowany gniewem aż nazbyt słusznym na cyniczną kozaczkę, czy jest wyrazem przekonania, trudno nam sądzić o tém, kto odgadnie serce artysty? czy on je sam rozumie?

Bądź co bądź przyznać musimy, że mistrz dźwięków umié być także niepospolitym mistrzem słowa, a do tego biegłym estetykiem, głębokim psychologiem. Zobaczmy oto jak określa chwile twórczego uniesienia.

„Szczytne to chwile, kiedy pochylony nad klawiszami dobywałem z nich to wykrzyk serc ludzkich, to głos nieba! Kiedy wypowiadałem marzenia lat dziecinnych i piérwsze drgnienie serca dziewiczego i porywy młodości i gorączkowe zabiegi lat męzkich i żałosne wspomnienia starców: wspomnienia przebrzmiałéj miłości, utraconej przyjaźni, wspomnienia snów niewyśnionych, wspomnienia tych co zmarli! Tłumaczyłem boleści ludzkie, skargą i głośnym wykrzykiem. Wyrażałem walkę namiętności: pychę co ręką sięga pod obłoki, a stopami depcze rzeczy święte; gniew co ryczy jak dziki lew pustyni, przerażając ludzi i zwierzęta; zawiść co szczeka jak szakal, na wdzierających się do chwały. Wypowiadałem szał rozhukanych tłumów i sceny życia publicznego: wrzawę na forum, wściekłość pleby, głuche pogróżki, niby szum fal rozkołysanych wichrami. Malowałem rozpaczliwy jęk miast zdobywanych przemocą, wykrzyk tryumfatorów, klątwy pokonanych, łkanie zbezczeszczonych niewiast! Opiewałem także przyrodę; przyrodę słodką, szczęśliwą, promienistą; wdzięki wiosny i bogactwa jesieni; płowe kłosy falujące na łanie; kwieciste łąki, zielone gaje, bystre potoki, rozpryskujące się po skałach miryadami pereł; głuche bory pełne zaklętych tajemnic, przenikające trwogą podróżnika. Wdzierałem się w głębiny ziemi, odkrywałem skarby zachowane w jéj łonie. Zbiegałem świat szeroki, płynąłem z biegiem wartkich rzek i spienionych potoków, żeglowałem po morzach, spotykałem nawałnicę oko w oko, wyzywałem burzę w zapasy: okręt trzeszczy, woda podbiéra, majtkowie modlą się gorąco: wnet straszna

godzina uderzy... a oto pęka czarna chmura, oko dostrzega jasny błękit!

„Nakoniec harmonijne ręce moje zadzwoniły na chwałę niebiosom. Przed okiem mojém spełnia się wielkie dzieło stworzenia; widzę młode światy, rzucone w przestrzeń pełną dłonią; pod okiem mojém ziemia i morza zapełniają się milionami dziwnych zwierząt; widzę na ogromnych planetach poruszające się istoty, jakich nie widziało nigdy ludzkie oko, odrębne całkiem od nas, według innéj stworzone modły. A potém patrzę na spoczynek Boga, wśród orszaku aniołów, herubinów, tronów, potęg, świętych mężów i dziewic. Oko ledwie wytrzyma w tym blasku promienistym; ożywcza rosa spływa z tych górnych stropów, na cichy padół ziemski. Widzę także sąd ostateczny: i zagrzmię w trąbę z taką mocą, że umarli gotowi powstać z mogił!

„Ileż tu scen! ile obrazów! wszystko to przebiega lotem błyskawicy umysł mój, serce moje! a wraża się w myśl tak potężnie, że rys żaden nie znika w pamięci. Wszystko to świadczy o sile geniuszu mego, który opanował sam siebie!“

Po tych pieśniach wyśpiewanych ku czci własnéj, ostatnia karta książki prawdziwą zawiera niespodziankę. Autor przygotowawszy do druku rękopism, odczytał go i... łuska spadła mu z oczu; spostrzegł to, co razi najlepiéj usposobionych czytelników; przyszedł nakoniec do świadomości, że z każdego słowa, które wyrzekł, tryska szalona pycha!

„Tak jest!—woła, bijąc pierś ze skruchą—tak, ja sądzę się wyższym od wszystkich istot! w mojéj pysze jam równy nieśmiertelnym!

„Tak, ja pogardzam światem! tak, ja utrzymuję szalony, że muzyk wyższym jest nad wszystkich, nad Ojców kościoła, nad filozofów, nad myślicieli, nad uczonych, nad prawodawców, nad poetów, nad mężów rycerskiego zawodu! Uważam go za istotę pośredniczącą między Bogiem a śmiertelnymi; a w pośród tych półbogów uważam siebie jako najpiérwszego! Mógłżem ja tak nie sądzić? Któżby w mojém miejscu nie wpadł w podobną aberracyą?

„Od dziecka podziwiany jako cud, przewożony od stolicy do stolicy, wśród oklasków i szalonych uniesień wyborowego towarzystwa, ludzi znakomitych geniuszem lub talentem; książąt i księżniczek, królów i cesarzów, mógłżem zachować umysł mój trzeźwym? uchronić się od próżności co mnie upajała, oślepiała, przyprowadzała do szaleństwa?

„Ktokolwiek pewien jest, że długie lata publicznych tryumfów, w których raziłem umysły jak piorunem i nieraz doprowadzałem kobiéty do omdlenia; ktokolwiek pewien, że całe stosy listów wyrażających uwielbienie i zachwyt, że umizgi i przymilenia, jakich pozazdrościłaby może najpiękniejsza z kobiét, nie sprawiłyby zamętu w jego głowie: niechaj ten rzuci na mnie kamieniem!

„Ale błąd mój musiał znaleźć kres: wytrzeźwiałem nakoniec. Odrzekam się odtąd szalonego obłędu; pragnę mierzyć się na właściwą miarę. Zachwyt jaki budzę, udaniem jest albo przesadą. Jestem for-

tepianistą wielkiego talentu, niczém więcéj. Na przyszłość pragnę być pokornym kapłanem; pragnę za pomocą daru udzielonego mi z nieba, dążyć coraz wyżéj ku Stwórcy memu i przez resztę dni moich, w ciszy i ukorzeniu ducha, opowiadać Jego chwałę!"

Dlaczego, pyta wielu czytelników, wydana ta książka, skoro autor uznał ją za wyraz najwyższéj pychy? dlaczego jéj nie spalił, jak chciał uczynić, odczytawszy rękopism? Bądź co bądź, szczera spowiedź serca, wypowiedziana słowem jaskrawém, gorącém, poetyczném, nie pozostanie bez wpływu na czytający ogół!

Wśród francuzkich broszur, poświęconych kongresowi antropologiczno-archeologicznemu w Stokholmie, uderzyła nas jedna, podpisana zasłużoném imieniem J. I. Kraszewskiego. Książka ta wolna od pedanteryi, zwykłéj w tego rodzaju sprawozdaniach, nowym była dla nas dowodem, o ile prawdziwy mistrz pióra bez względu czy własną, czy cudzą wyraża się mową, potrafi ożywić najsuchszy i najbardziéj oderwany przedmiot.

Czynności kongresu stokholmskiego znane już czytelnikom naszym z różnych pism, a jak sądzimy i z listów samego autora broszury. Nie będziemy zatém powtarzać znanych rzeczy. Trudno jednak, abyśmy nie zapisali miłego wrażenia, jakiego doznaliśmy widząc tę książkę w ręku Francuzów, słysząc ich zasłużone pochwały. Miło to poszczycić się przed obcymi własném bogactwem, a czémże pochwalić się lepiéj, jeśli nie imieniem wielkiego pracownika, wytrwałego oracza, który od pół wieku blizko uprawia tak świetnie zagon rodzinny.

Ścigaliśmy autora myślą nietylko w sali posiedzeń przy rozprawach o przedhistorycznym człowieku, o pierwszych śladach, nie powiemy cywilizacyi, ale uspołecznienia ludów, w wiekach: kamiennym, spiżowym i żelaznym; ścigaliśmy go w ciekawéj wycieczce do Upsalu, przy uczcie wyprawionéj przez tę zacną młodzież akademicką, która z muzyką i chorągwiami przyjmowała uczone grono, a która manifestując jasno przekonania swoje, uczciła publicznie darem białéj czapki Quatrefaga, znakomitego przedstawiciela spirytualizmu w nauce! Byliśmy z autorem pod sklepieniem pysznéj katedry upsalskiéj, gdzie ukorzył się z taką czcią u grobowca Katarzyny Jagiellonki; byliśmy z nim w więzieniu téj cnotliwéj córy Jagiellonów, która gdy ofiarowano jéj wolność, jeśli zechce opuścić nieszczęśliwego męża, ukazała w milczeniu ślubną obrączkę na dowód, że śmierć tylko rozłączyć może dwa serca, połączone z sobą w imię Boga na żywot cały!

Płynęliśmy z autorem na onę wyspę, gdzie św. Anzgary zatknął niegdyś piérwszy krzyż na opoce; zwiedziliśmy z nim zgliszcza Birki, potężnego miasta, zburzonego przez rozbójników morskich; sławne zgliszcza, które w łonie swojém przechowały prawdziwe skarby, wydobyte dziś na jaw, żywotne świadectwo cywilizacyi starych normandz-

kich Wikingsów, tak blizko połączonych z nami w pasmie dziejowém. Towarzyszyliśmy wreszcie przewodnikowi naszemu, na ucztę królewską do Drothingholm; skłoniliśmy z nim głowę wobec królowéj matki, matki nie samego tylko króla, ale wszystkich nieszczęśliwych i wydziedziczonych! Szczerze nakoniec dzieliliśmy jego radość, kiedy powracając jeziorem Mälar do Stokholmu, patrzał na oświecone rzęsisto pałace i chaty wieśniaków, w hołdzie dla tych pielgrzymów nauki, którzy przybywają tu szukać światła i przynoszą je wzajem. Szczęśliwy ten kraj, gdzie lud wieśniaczy do takich przyszedł pojęć!

Wiadomo że przyszły kongres odbędzie się za lat dwa w Peszcie. Sam wybór miejsca na ziemi zdeptanéj stopą tylu wędrownych ludów, osiadłéj przez tyle odrębnych plemion, jakże bogate zapowiada żniwo dla postępu antropologii i dla starożytniczych poszukiwań!

Wielka opera wykończona wreszcie w Paryżu: z początkiem roku rozpoczną się w niéj widowiska. Wspaniałe *foye*, według uznania powszechnego, ma być arcydziełem wytworności i smaku. Widzieliśmy właśnie wystawione w pałacu sztuk pięknych trzydzieści trzy malowidła Baudrego, przeznaczone na ozdobę sufitu i sklepień owéj przepysznéj sali. Poświęcimy kilka słów téj wystawie.

„Krytyka łatwa, sztuka trudna,“ mówi przysłowie francuzkie, nasz wielki śpiewak Bogdan dobitniéj je wyraził:

Kto sam bitw nie wygrywał, temu jeszcze wara,
Nicować strategiczne pomysły Cezara!

Mimo tych mądrych przepisów, wszyscy jednakże krytykują, każdy wypowiada śmiało swoje *widzimisię* i my téż uczynimy tak jak drudzy. Z góry jednak zapowiadamy, że nie naszą rzeczą krytykować koloryt i rysunek pana Baudry. Co do piérwszego, ogół uznał jednomyślnie, że Baudry najznakomitszym jest kolorystą dzisiejszych czasów; zawistni nawet, których artysta liczy tylu jako dekorator opery, zmuszeni byli zmilknąć przed oczywistością. Co do rysunku, słyszeliśmy tu i owdzie powtarzane zarzuty, może być, że niedosyć uwzględnione warunkami kompozycyi.

Niektóre z tych obrazów pomieszczone będą w zagłębieniach ścian; ztąd prawa perspektywy wymagały zmniejszenia figur lub przedmiotów, które mają spotykać się bliżéj z okiem. Okoliczność ta, lubo wyjaśniona w książeczce, nie rozbroiła przecież zbyt pochopnych do przyganiania sędziów.

Z trzydziestu trzech kompozycyj, z których każda osobną tworzy całość, trzy przeznaczone są na ozdobę sufitu. Dwanaście z nich otoczy wkoło salę na wysokości czternastu metrów. Przestrzeń pomiędzy temi zapełniają pojedyńcze figury muz w liczbie ośmiu: dziewiątą,

dla braku miejsca, artysta zmuszony był wyłączyć. Los ten spotkał Polhymnią, muzę wyższéj poezyi! snać osądzono że dla opery dostateczną będzie liryczna jéj siostra Erato. Sądzimy jednak że skoro ostracyzm był koniecznym, właściwiéj było dotknąć nim Uranią, zapatrzoną w gwiazdy zodyaku! W dziesięciu nakoniec grupach dzieci, artysta wyobraził muzykę u różnych ludów, zacząwszy od starożytnych Egipcyan, do Francuzów dzisiejszych. Medaliony te ozdobią w górze drzwi i okna.

Zacznijmy od sufitu, rozdzielonego na trzy części. W pośrodku Melodya, z nierozłączoną siostrą Harmonią, ulatują razem w obłoki. Melodya zwieńczona w powoje, strojna zielono, śpiewa pieśń jak skowronek; Harmonia przygrywa jéj na skrzypcach. Po prawéj ręce sława udrapowana w purpurę, przynosi im wieńce z wawrzynu; po lewéj poezya w złotych bluszczach, galopuje na skrzydlatym pegazie.

Druga część sufitu uosabia żywioł traiczny. Na tle pochmurnego nieba, Melpomena siedzi na wiecznym trojnogu: w ręku jéj miecz; u stóp orzeł z rozpostartemi skrzydły. Na prawo blady Postrach w postaci niewieściéj, na lewo błagająca Litość. Furya z głownią i sztyletem, spada z chmur przy huku piorunów.

Inaczéj przedstawia się nasza komedya po przeciwległéj stronie. Talia strojna biało, trzyma w prawéj ręce pęk róży, lewą powala Fauna; Amor odbiega ze śmiechem.

Wśród dwunastu obrazów przeznaczonych do ozdobienia w około sali, dwie wielkie kompozycye panują nad innemi. Pierwsza z nich wyobraża Parnas. Apolo bóg światła i poezyi zstępuje z promienistego wozu; Gracye podają mu lirę, grono muz wybiega na spotkanie: postacie ich pełne ruchu i życia. Merkury tymczasem sprowadza z Erebu cienie umarłych mistrzów; wśród nich poznajemy: Meyerbeera, Rossiniego, Herolda, Aubera, Mozarta, Glucka, Bethowena i wielu innych. Po drugiéj stronie w rogu, artysta pomieścił własny wizerunek, równie jak Garniera, architekta opery.

Drugi obraz równy ogromem, przedstawia poetów na stopniach świątyni Doryckiéj, zbudowanéj na cześć poezyi. W środku stoi ślepy Homer z księgą w ręku, oparty na berle. Poezya rozpościera błękitne skrzydła nad nieśmiertelnym starcem. Grono wieszczów i artystów otacza go w około, widzimy wśród nich Pindara i Jazona. Po prawéj ręce promienisty Orfeusz przynosi blask cywilizacyi dzikim mieszkańcom lasów. Gołąbki spoczywają na jego złotéj lirze; u stóp czołga się lew pustyni. Na lewo Hezyod czci pieśnią zdobycze pługa, otoczony gronem rolników. Na piérwszym planie, Achiles zbrojny od stóp do głów otwiera tryumfalny pochód cywilizacyi europejskiéj.

Z dziesięciu pozostałych kompozycyj, sześć jeszcze osnutych na tradycyach greckich. Każda wyobraża jakąś ideę odpowiednią miejscu. W sądzie Parysa widzimy tryumf piękności; w Marcyuszu umęczonym przez Apolina, tryumf idealizmu nad grubym realizmem; w Orfeuszu i Eurydyce, tryumf pieśni nad potworami piekieł i samą nawet

śmiercią. Pląsy kapłanów i Faunów u kolébki Jowisza, skoki Bachantek nad trupem Orfeuszowym, reprezentują taniec. Tu artysta zrywa nakoniec z mytologią, a jednak żal mu jeszcze Auzońskich wybrzeży. W pastuszkach przygrywających na flecie przedstawia scenę z sielanki Teokryta. Zamiast tych Dafnisów i Korydonów, wolelibyśmy stokroć bretońskich lirników, lub pirenejskich kobziarzy. Ale francuzcy artyści, tak zakochani w mistrzach swych Ateńczykach, że na świat ideału poglądają tylko ich okiem. Rzecz dziwna, czemu żaden z krytyków, a było ich tylu, nie wspomniał nawet oceniając obrazy Baudrego, że ideał piękna rozmaity w objawach swoich, że sztuka grecka nieporównana jako studyum, niepowinna przecież krępować twórczéj fantazyi artystów. Wprawdzie p. Baudry do czterech ostatnich kompozycyi, w innych sferach czerpie natchnienia. *W szturmie do warownego grodu* przedstawia muzykę bojową, w pląsach Herodyady przed królem wyobraża czarodziejstwo tańca; w Dawidzie przygrywającym na harfie u łoża chorego Saula, pokazuje cudowną siłę dźwięków; w Ś. Cecylii nakoniec, zasłuchanéj w chórach archanielskich, wzbija się nawet w mystyczne sfery ideału.

Nie brakło mistrzowi twórczych polotów ducha: i czegóż mu brakło? Oto tego zewnętrznego prądu, co popycha artystę w szlaki przeczuwane, ukochane przez naród cały; brakło mu tego prądu, co z miliona piersi powiał na Kaulbacha, gdy odtwarzał pędzlem staro-germańskich bohatérów; na Wagnera, gdy odtwarzał pieśnią Lohegryny i Nibelungi, na Frejtaga, gdy w nowéj epopei Ingonie, odtwarzał zapasy Wandalów z konającą Romą. Brakło zewnętrznego prądu Baudremu, bo Francuzi zanadto przepomnieli swych staro-galskich tradycyi. Gdyby te wspomnienia drgały w piersi narodu, widzielibyśmy niewątpliwie pod sklepieniem Wielkiéj opery mniéj muz, mniéj Apolinów i Bachantek, a natomiast więcéj Druidów, Brenusów i Welled: widzielibyśmy zwłaszcza dwa nieśmiertelne prototypy miłości kraju i poświęcenia, Wercyngetoryxa i Joannę d'Arc!

Natchniony historyk Henri Martin, wyrzekł pamiętne słowo: „Zwrot do idei galskiéj, zbawi tylko Francyą!“ Słowo to wyrzekł przed laty dziesięcioma, kiedy Francya świeciła pełnym blaskiem, kiedy wiszący nad nią piorun, drzymał daleko w chmurach! Czas rozwinie rzucone ziarno; słowo Martina powtórzy naród cały; odwtórzą je mistrzowie dłutem, pędzlem i pieśnią, ani wątpić nam o tém, lecz jak widać nie wybiła dotąd godzina!

Inna znowu wystawa w ogrodzie i salach pałacu przemysłowego od dwóch miesięcy przyciąga cały Paryż. Urządzili ją członkowie towarzystwa istniejącego od lat kilku pod nazwą: *Unia centralna sztuk pięknych, zastosowanych do przemysłu.* Towarzystwo to złożone z artystów i przemysłowców, posiada znaczne fundusze, ma swoje ze-

brania i odczyty, ma bibliotekę a nawet ciekawe muzeum archeologiczne. Pragnieniem jego urządzić co najprędzéj szkołę artystyczno-przemysłową, do czego świetna i licznie zwiedzana wystawa, niewątpliwie pomoże.

Nie będziemy opisywać tych małych arcydzieł z bronzu, drzewa, kości słoniowéj, porcelany, któremi Francya słynie oddawna po świecie, w których żaden naród nie dorównał jéj i nigdy zapewne nie dorówna. Kto był na międzynarodowéj wystawie w Paryżu albo w Wiedniu, napatrzył się dowoli tych sprzętów i cacek artystycznych; to jednak pewna że w żadnym z pałaców wystawy, niepodobna było ugrupować ich z takim wytwornym smakiem, jak dziś w tym oszklonym ogrodzie wśród kwiatów, wodotrysków i zielonéj murawy.

Kiosk księgarza Firmin Didot, zatrzymał nas parę godzin. Niepodobna w rzeczy saméj oderwać oczu od tych przepysznych ksiąg i zeszytów rozmaitéj wielkości, od tych ogromnych *in folio*, ozdobionych najpiękniejszemi chromolitografiami Kellerhovena, i stalorytami pierwszych rytowników dzisiejszych.

Uderzyła nas zrazu wielka księga *in quarto*, ściśle połączona z celem saméjże wystawy. Jest to historyczno-praktyczny kurs sztuki zastosowanéj do przemysłu. Na stu chromolitografowanych tablicach widzimy reprodukcye dwóch tysięcy przedmiotów, wziętych z różnych epok i rozmaitych stron świata, jak na przykład: wzory do tkanin indyjskie, chińskie, japońskie, perskie, byzantyjskie, nie mowiąc już o europejskich z wieków średnich i czasów odrodzenia; jak wyroby złotnicze Egipcyan, Assyryjczyków, Etrusków i ludów nowożytnych; jak malowidła na szkle, z których tak słynęły średnie wieki, jak oprawy ksiąg posunięte do wysokiego artyzmu przez Arabów. Cóż tu powiedzieć o bogatéj ceramice, o malowidłach ze starych rękopisów, w których objawia się twórcza fantazya wszystkich ucywilizowanych ludów świata. Na czele pomieszczona obszerna rozprawa, obejmuje historyą sztuki. Nieoceniony ten podręcznik dla architektów, malarzy, rzeźbiarzy, złotników, jubilerów, i t. p. odznacza się ceną nizką stosunkowo: nie kosztuje więcéj nad 150 franków.

Z dzieł poświęconych sztuce w wielkiém znaczeniu słowa, uderzył nas pierwszy poszyt wspaniałéj publikacyi p. t. *Chromolitografie arcydzieł sławnych mistrzów malarstwa*, z tekstem wyjaśniającym życie artysty i historyą utworu. Wydany pierwszy poszyt obejmuje *Hołd trzech królów*, przez Lothenera, z katedry kolońskiéj; *Chrzest Chrystusa* Memlinga z akademii w Bruges; *Zdjęcie Chrystusa z krzyża*, Quentin Mathisa z muzeum w Antwerpii; tenże sam przedmiot według Fra Angelico Fiesole z muzeum florenckiego; *Zaślubiny mistyczne świętéj Katarzyny* Memlinga z Bruges, nareszcie *S. Bernarda piszącego życie Chrystusa, pod dyktowaniem N. Panny*, według Filipino Lippi, z monasteru we Florencyi. Piękna to myśl zgromadzić razem wszystkie arcydzieła świata i uczynić je dostępnemi jeśli nie ogółowi,

to przynajmniéj publicznym bibliotekom. Zeszyt złożony z sześciu tablic, kosztuje 200 fr.

Niepodobna wyliczyć nam nawet tych wszystkich pomnikowych publikacyj, któremi wydawca Didot tak wielką położył zasługę w kraju swoim. Wspomnimy z nich tylko znakomitsze na dowód że Francya po okropnych klęskach nie upada bynajmniéj w działalności, i przynosi jak dawniéj najpiękniejsze kłosy do ogólnego postępu. Oto tytuły dzieł, opisujących wielkie wyprawy naukowe z czasów ostatnich:

Abel Blonet, *Wyprawa naukowa do Morei*, odbyta z polecenia rządu. Trzy wielkie tomy in folio, na 280 tablicach, widoki Peloponezu, Cyklad i Atyki; pomniki architektury, napisy i t. p.

Wiktor Jacquemont, *Podróż do Indyi*, cztery tomy, tab. 295.

Leon Laborde, *Podróż na Wschód*, do Azyi mniejszéj i Syryi. dwa tomy tab. 260.

Le Bas i W. Waddington, *Podróż archeologiczna do Grecyi i Azyi mniejszéj*, zeszytów 82 in folio, do każdego dodane dwie wielkie tablice.

Karol Texier: *Armenia*, *Persya*, *Mezopotamia*, geografia i geologia tych okolic. Pomniki starożytne i nowoczesne; historya, zwyczaje i obyczaje, tomów dwa, tablic 151.

Coste, *Architektura arabska*, Pomniki Kairu z 66 tablicami, w tekscie: Historya Kalifów egipskich.

Mazois, *Ruiny Pompei*, zbiór rytowanych tablic; tomów cztery.

Patrząc na te przepyszne kollekcye, tak wymownie świadczące o długoletnich trudach, tylu niezmordowanych podróżników, tylu prawdziwych miłośników nauki, przypominamy sobie z uśmiechem, zarzuty uczonych niemieckich, którzy pracę umysłową Francuzów zowią pogardliwie *die leichte literatur!* Dziwna nieznajomość rzeczy! lekka literatura stanowi właśnie najsłabszą dziś stronę we Francyi. Jeśli tu jednak widzimy chwilowy upadek, czyto w powieści, czy na deskach teatralnych, jak wszędzie i zawsze widzieć się daje w epokach przesilenia; zato w pracach naukowych, z dziedziny historyi, geografii, archeologii, estetyki i nauk ścisłych, ktokolwiek patrzy okiem trzeźwém, bez uprzedzenia, musi pochylić głowę przed wielką inicyatorką cywilizacyi, jaką Francya była, jest i będzie dla świata!

Członkowie Unii centralnéj urządzili niemniéj ciekawą wystawę archeologiczną z przedmiotów, jakiemi ludzie w ciągu wieków zdobili się lub szpecili, stosownie do panującego pojęcia piękna, w daném miejscu i czasie. Jest to historya kostiumu, tém dokładniejsza, w miarę jak późniejsze ogarnia wieki.

Dyrekcya wystawy usiłowała o ile można było, odpowiedzieć założeniu swemu, dopełniając rzecz obrazami, popiersiami, kollekcyą drzeworytów, fotografii i t. p.

Wieki XIV i XV, pięknie reprezentowane w kolorowanych rycinach, w zbiorze Ambrożego Didota jednego z najuczeńszych antykwaryuszów francuzkich. Wiek XVI przedstawiony w kilku damasceń-

skich zbroicach, w płaszczach ze złotogłowiu i srebrnéj lamy, w sukniach męzkich (*pourpoint*) z genueńskiego atłasu i weneckiego aksamitu, w jakich chadzali wytworni Walezyusze. Jest między niemi płaszcz Karola IX; są szpady o bogatych rękojeściach wyrobu toledańskich płatnerzy; są ogromne zégarki w kształcie okrągłych cébul, spłaszczające się i zmniejszające w miarę postępu sztuki.

Z wieku XVII widzimy aksamitne ubiory panów dworskich o długich i szerokich połach, szamerowane złotem. Za regencyi i Ludwika XV występują już fraki. Dziwneż to fraki: z bławatu, w kolorach pawim, sinogardliczym, kukurydzowym, haftowane w girlandy kwiatów, niekiedy naszywane blaszkami, kapiące od srebra i złota. Tym frakom odpowiadają kołnierze i żaboty z drogocennych koronek, fontazie z jasnych wstąg u szyi a nawet u kolan! Cała przepaść oddziela ten strój od dzisiejszego; znać, między jednym a drugim przepłynęły rzeki krwi, ściekłe pod gilotyną!

Rzecz dziwna, że w strojach niewieścich nie dojrzéć tak radykalnéj zmiany. Nie jedna z tych bławatnych sukien z długą powłoką, mogłaby przybrać dzisiejszą elegantkę. A przecież gilotyna, nie wyłączając głów niewieścich, porównała w prawach obie połowy społeczeństwa. I czemużto w strojach samychże tylko mężczyzn, wpływ jéj taki sprowadził przewrót?

I tu przecież spostrzegamy niejaki postęp. Objawia on się w swobodzie ruchów, jakiéj nie znały sztywne markizy i księżne z epoki dawnéj monarchii. W jednym dziale wystawy zamieszczono wszystkie narzędzia tortur, któremi dawne elegantki usiłowały nadać sobie postać szczupłą i prostą jak trzcina. Pomijając już brykle z bukszpanu, stali i kości słoniowéj, widzimy tu gorsety żelazne na zawiasach, nakształt rycerskich zbroic. Do rzędu takichże tortur zaliczymy buciki chińskich mandarynek, krótkie niekiedy na pięć cali. Obuwie w ogólności bogaciéj reprezentowane na wystawie, niźli inne części ubrania. Widzimy tu ciekawe sandały mumij egipskich, z czasu starożytnych Faraonów. Jest to sama tylko podeszew wyrzeźbiona z drzewa: kwiat lotusu przechodzący między pierwszym a drugim palcem, przytwierdza ją do nogi. Za każdym ruchem ukryta sprężyna otwiera i znowu zamyka ten symboliczny kwiatek. Szczególne także patynki pięknych Wenecyanek na postumencie wysokości piętnastu centimetrów. Korki u obuwia Paryżanek nie przechodziły nigdy właściwéj miary; Francuzki zbyt wiele miały smaku, aby dla podwyższenia się o dwa albo trzy cale, wykrzywiać biédne nogi.

Jedna sala poświęcona wyłącznie prawie strojom wschodnim. Widzimy tu białe szaty brahminów indyjskich, wspaniałe szarafany perskie, z tkanin w rozmaite, znane powszechnie wzory. Szczególną ekscentrycznością rażą suknie mandarynów chińskich, wyrabiane w lwy i potworne smoki, na tle błękitném lub szkarłatném. Niemniéj dziwne suknie daimiosów japońskich, zasiane całe to w pawie, to w nietoperze, to w złociste pioruny. Jedna z nich pełna zwierząt,

ptaków, drzew, kwiatów i pagod, przedstawiała istny krajobraz. Są to wszystko rodowe godła arystokracyi japońskiéj.

Uważaliśmy niemniéj na wystawie ubiory wieśniaków francuzkich, z różnych okolic kraju, zwłaszcza Bretonów i Alzatów. Dział ten słabo jeszcze reprezentowany; pierwsza teżto wystawa w tym rodzaju. Dziwimy się że prześliczne manekiny wieśniaków i wieśniaczek, jakie przysłała Szwecya przed laty kilku, na międzynarodową wystawę, nie wywołały dotąd współzawodnictwa we Francyi. Ileżby zyskały nauki etnograficzne na dokładném poznaniu malowniczych strojów ludowych.

Wiadomo jak wielką rolę odgrywa powieść w literaturze dzisiejszéj. Przy rozwoju peryodycznego piśmiennictwa, przy wzrastającéj z każdym rokiem liczbie czytających jednostek, ilość wychodzących na świat powieści, powiększyła się nieskończenie od początków obecnego wieku. Nie ulega przecież wątpliwości, że od czasów najdawniejszych, powieść, czyto opowiadana przy ognisku, czy śpiewana przez wędrownych truwerów, czy nakoniec skreślona w książce odkąd się druk pojawił, stanowiła zawsze prawdziwą rozkosz duchową, chciwych wrażeń słuchaczów i czytelników. Z tegoto stanowiska patrząc na powieść, pan Louandre, znany erudyta, powziął myśl odgrzebania z niepamięci najpopularniejszych utworów powieściowych, jakie zabawiały umysły francuzkie w ciągu dziewięciu wieków. Zbiór swój wydał w trzech tomach, pod tytułem *Arcydzieła powieściarzy francuzkich.*

Pracę swoją podzielił autor na trzy serye. W pierwszéj obejmuje długi okres sześćsetletni od 1050 do 1650 roku. W drugiéj ogarnia czasy Lafontaina, trzecią dociąga do końca wieku XVIII.

Powieść w każdéj epoce była zwierciadłem społeczeństwa jakie ją wydało. Pierwsza serya najrozmaitszy przedstawia też charakter. Z razu autor pokazuje w ustępach z dawnych epopei, o Karolu Wielkim, o Rolandzie, o królowéj Bercie, o synach Aymonta i t. p., rycerskiego ducha średnich wieków. Tłumaczył te ustępy z dwóch języków zrodzonych z łaciny: *oc* i *oil*, w południowéj i północnéj Francyi. Daléj wydobywa na jaw humorystyczne utwory XVI wieku, zaprawne solą dowcipu a niekiedy żółcią satyry, owe powieści których najwyższym typem stał się *Pantagruel* Rabelais'ego.

Druga serya poświęcona pisarzom współczesnym Lafontainowi, obejmuje prawdziwe skarby literackie. Wielka osobistość Lafontaina, pozostawiła w cieniu mnóstwo imion dziś zapomnianych. Autor wyprowadza je na widownią. Przegląda utwory Tabarina (naszego Stanczyka), panny Scudery, Skarrona, pani Aulnoy; następnie Fenelona, Perraulta, Fontenella. Z każdego rodzaju obszerny daje ustęp.

W trzeciéj znów seryi wskrzesza do życia powieściopisarzy przyćmionych blaskiem Woltera, Monteskyusza i Jana Jakóba Rousseau.

Widzimy tu postawione w żywém świetle imiona czterech kobiét: pp. Graffini, Ricoboni, Lofayette i Tencin. Język téj epoki, tenże sam jak za czasów Ludwika XIV, ale ideje nowe; duch krytyczny porywa umysły, pióro staje się mieczem lub młotem; wali w ściany gmachu zachwianego w posadach. Wśród téj powodzi filozoficzno-politycznéj, bijącéj w społeczeństwo, wśród tego pochłaniającego wszystko racyonalizmu, fantazya rozbudza się nagle w umysłach: ogół spragniony cudowności, chwyta ją gorączkowo. W roku 1787, na dwa lata przed wielką rewolucyą, jeden z księgarzy idąc w ślad za tym popędem, zebrał krążące w obiegu powieści fantastyczne i wydał je pod ogólnym tytułem: *Gabinet wróżek,* w kolekcyi obejmującéj trzydzieści siedm tomów in 8-vo.

Sam pomysł autora zasługuje na uwagę: historya powieści nie jestże historyą serc i umysłów danego społeczeństwa, świadectwem jego potrzeb duchowych, zmieniających się w każdéj epoce.

Byłoby do życzenia, gdyby który z pisarzy naszych przedsięwziął podobną pracę. Bogate klechdy ludowe, podania przechowane w starych kronikach naszych, dostarczyłyby wątku do piérwszéj epoki; Rej z Nagłowic, nasz Rabelais, zapanowałby nad drugą; Krasicki byłby godnym przedstawicielem trzeciéj. Albożto *Pan podstoli* nie należy do rzędu tych powieści, które w literaturach ludów europejskich są koroną XVIII wieku!

W dniu 28 października odbyło się doroczne posiedzenie pięciu akademii, składających instytut francuzki. Liczna publiczność zapełniała ogromną salę pałacu Mazariniego. Prezydował p. Bertrand z akademii nauk.

Zebranie tegoroczne ciekawsze było i więcéj ożywione, niż się to zwykle zdarza. Téj żywotności nie odebrał mu bynajmniéj wymieniony szereg członków zmarłych w przeciągu roku: są groby, z których wybiega życie, tak samo jak są żywi, od których wieje woń grobowa. Zmarli w tym roku członkowie instytutu, czyto we Francyi, czy poza jéj obrębem, zaszczyceni tytułem członków honorowych, długą niestety tworzą listę. Śmierć ich uczyniła wielki wyłom w zastępie pracowników przewodniczących ludzkości, na drodze wszechstronnego postępu. Nauki ścisłe utraciły sławnego genewczyka Delarive i słynniejszego Agassisa, rodem z Newschatelu, który na drugiéj półkuli świata przyświecał takim blaskiem; utraciły niemniéj zasłużonego Elie de Beaumont, twórcę geologii, jak go powszechnie nazywano. Wydział historyczny, osierocony po Michelecie i Guizocie, archeologiczny po Beulem; publicystyka po sławnym Dubois, założycielu dziennika *Globe*, w którym przed czterdziestu laty sztandar romantyzmu zapanował zwycięzko nad Francyą. Krytyka literacka utraciła w Juliuszu Janin głównego przedstawiciela, nazwanego „książęciem krytyki."

P. Bertrand wymienił tych pracowników, w kilku słowach określił ich zasługi; na każdy grób rzucił zieloną gałązkę. „Patrząc na takie straty—zagadnął w końcu—przystałoż nam rozpaczać? Bynajmniéj!... zastępy nowych szermierzy czekają tylko hasła!“ Tu mówca zręcznie przytoczył słowo jednego z uczonych; powtórzymy je za nim:

„W chwilach okropnych klęsk naszych, kiedy najdzielniejsi duchem, patrząc w głęboką przepaść, stali osłupieni w niemej trwodze; w smutną noc styczniową, uczony jeden, sprawując czaty na okopach, rzekł pamiętne do braci słowa: „Nie wiem co będzie, ale jakiekolwiek czekają nas próby, zdołamy przetrwać je i przeżyć. Jesteśmy Francyą: dość na tém!“ Cała przyszłość zawarta w tych słowach.“

„Jesteśmy Francyą! wówczas to znaczyło: jesteśmy ojczyzną Ludwika Ś. i Bajarda, Turena i Kondeusza, Hocha i Masseny! stawiliśmy czoło sprzysiężonéj przeciw nam Europie! Gdy nam przyjdzie kiedyś wystąpić w imię sprawiedliwości, będziem niezwyciężeni!

„Jesteśmy Francyą! na tém miejscu to znaczy: jesteśmy potomkami Kartezyusza i Paskala, Kornelą i Moliera, Fenelona i Bossueta, Lawoisiera i Laplaca, Fresnela i Ampera, Cheniera i Lamartina! Nasi synowie należą do ich rodu, są krwią z ich krwi, kością z ich kości! Wychowani w poszanowaniu wielkich wspomnień, dorzucą nie jedno jeszcze imię, do księgi chwały narodowéj.“

Piękne to słowa, tém piękniejsze że nie wybiegły z ust poety ani krasomówcy, ale z ust pozytywisty matematyka. Ważna to skazówka jak pozytywiści francuzcy szanują tradycyą, jak miłują ojczyznę, jak budują przyszłość na węgielnym kamieniu przeszłości; jak uważają wielkich myślicieli i poetów, jak oparci o ziemię, sięgają myślą i duchem w słoneczne wyżyny ideału! jak chwytają ten, bez którego pozytywizm stoczyć się musi w bezdenną otchłań!

P. Miller z akademii napisów odczytał potém bardzo ciekawą monografią poety byzantyjskiego z XII wieku, Teodora Prodroma. Ten poeta za czasu Komnenów, wielkiéj używał sławy; późniéj imię jego poszło w ogólne zapomnienie: znali je przecież erudyci. Uczony filolog Corray wynalazł dwa jego poemata w narodowéj bibliotece paryzkiéj i wydał je z obszernym komentarzem. P. Miller odkrył trzy inne pomniki ważne nietylko pod względem lingwistycznym, ale niemniéj jako świadectwo obyczajów greckich za Komnenów.

Biédny Prodrome przypomniał nam Sebastyana Klonowicza, szczególniéj ze skarg na kłótliwą i chciwą żonę, która wyrzuca mu wiecznie ubóstwo i niepraktyczność, tak zwykłą niestety poetom! Nasz Acernus przewyższa jednak nieskończenie Greka, uczuciem własnéj godności. Kiedy tamten wyciąga bezustanku rękę do Komnenów, kiedy żali się na brak nie w rzeczywistych, lecz w urojonych potrzebach, „nie przywykł bowiem żyć korzonkami i szarańczą“; nasz zacny mieszczanin lubelski chłoszcze zbytkujących magnatów, wypowiada wojnę tym ziemskim półbogom; lecz choć ubogi, choć zrujnowany marnotrastwem żony, nic od nich nie żąda, ani potrzebuje. Ciekawa to

jednak osobistość tego Prodroma! Wady jego wreszcie maleją w oczach naszych, gdy wpomnimy znikczemnienie i chciwość Byzancyum w téj epoce! Jedyny to poeta, który w pasmie sześciu wieków, od VI do XII, zdobył rozgłos w wyrodzonéj ojczyznie Homera i Teokryta.

Zakończył posiedzenie p. Lomenie akademik i professor kolegium, odczytaniem ciekawego ustępu z dzieła swego o Mirabeau. Dawno już p. Lomenie pracuje nad tą monografią. Życie sławnego trybuna, który taranami słów i broszur burzył tak silnie podwaliny staréj monarchii, było przedmiotem jego kursu w kolegium francuzkiém. Zbadał on doskonale tę ważną epokę społecznego przewrotu: dowiódł tego w znakomitém dziele: *Beaumarchais et son siècle*, któremu zawdzięcza krzesło w akademii.

Wspomnieliśmy niedawno o wspaniałym darze pani Caen, na rzecz instytutu francuzkiego. Dzięki jéj hojności, wielka ta instytucya naukowa będzie posiadała własne muzeum.

W zeszłym miesiącu spadkobiercy zaprotestowali prawnie przeciwko donacyi. Sąd przyznał prawomocność legatu. Wielka statua pani Caen, pomieszczoną będzie w przedsionku wiodącym do galeryi.

W świecie artystycznym zwraca uwagę studyum w dwóch wielkich tomach nad Michałem Aniołem, przygotowane do druku przez Aurelio Gotti, dyrektora muzeów florenckich. Będzie to, jak mówią, dokładna historya sztuki włoskiéj w XVI wieku. Równocześnie z oryginałem ukaże się przekład angielski Wilsona. Jeden z professorów berlińskich nabył także prawo przekładu, tego pomnikowego dzieła.

Rząd pruski wyrobił sobie u włoskiego pozwolenie reprodukcyi sławnych arcydzieł rzeźby, któremi chlubi się florenckie muzeum: jak Wenus Medycejska, Dawid Michała Anioła, Perseusz Celliniego, fryzy Donatella i t. d. Zarząd sztuk pięknych pozwolił na wykonanie odlewów gipsowych, z warunkiem, że ich wykonaniem zajmie się jeden z pierwszorzędnych rzeźbiarzy florenckich. Formy pozostaną własnością Florencyi.

W Herkulanum odkopano przepyszny biust kobiéty ulany ze srebra, ważący 29 kilogramów. Piérwszy to pomnik tak wysokiéj wartości artystycznéj, odkryty u stóp Wezuwiuszu. Popiersie wyko-

nane z natury: erudyci dochodzą pilnie, kto mógł służyć za wzór do tego arcydzieła.

Muzeum Kapitolińskie wzbogaca się codzień nowo odkrytemi pomnikami sztuki starożytnéj. Robotnicy dobywają je z ziemi, kopiąc fundamenta do nowych budowli, w pobliżu sławnych Termów, gdzie arystokracya rzymska zakłada dziś pałace. Odkryto między innemi biust cesarzowéj Plautyny żony Trajana, statuę Jowisza, dwie głowy: Wenery i Merkurego, obie wykonane mistrzowskiém dłutem; wreszcie grobowce z epoki etrusko-rzymskiej, sięgające głębokiéj starożytności.

Umarł w Anglii sławny malarz-portrecista Tomasz Carrick, urodzony w Carlysle w początkach tego wieku. Nie miał nigdy żadnego mistrza, nie uczył się w żadnéj szkole. Całą sławę zawdzięcza tylko własnemu geniuszowi. Wszystkie portrety jego pędzla rozpowszechnione są w przepysznych stalorytach.

Znany rzeźbiarz Wiktor Brodzki, przebywający w Rzymie, ogłosił w dzienniku „Italia" list, w którym oznajmia, że od lat dwudziestu z górą wszystkie wolne chwile poświęca rozwiązaniu problematu co do żeglugi nadpowietrznéj. Usiłowania jego — jak mówi — uwieńczone wreszcie zostały. Oto własne jego słowa: „Skoro tylko otrzymam patent swobody na mój wynalazek, dam go niezwłocznie poznać światu, przedstawiając rysunek i opis aparatu mego, w jednym z dzienników illustrowanych.

Dzienniki peszteńskie ogłaszają, że jeden z księgarzy tego miasta wydał w tych czasach *Dykcyonarz francuzko-niemiecko-włosko-hiszpańsko-łacińsko-angielsko-holendersko-szwedzko-czesko-słowacko-słoweńsko-polsko-serbsko-kroacko-madyarski:* autorem słownika Antoni Pesce. Niewiadomo w ilu tomach zawarta owa olbrzymia publikacya.

FILOZOFIA POZYTYWNA

I JÉJ STOSUNEK DO PSYCHOLOGII ANGIELSKIÉJ.

(Z powodu artykułu Littré'go p. t. *De la philolosophie positive.*)

W jednym z ostatnich numerów *Revue de la philosophie positive*, zamieszczony jest artykuł Littré'go p. t. *De la philosophie positive*, powtórzony także w n-rze 14 *Revue politique et literaire.* Artykuł ten chociaż nie zawiera w sobie nic nowego dla znającego prace tego ucznia Comte'a, zasługuje jednak na bliższą uwagę pod dwoma względami: 1) jako krótkie streszczenie poglądu Littré'go na istotę i zadanie tak zwanéj filozofii pozytywnéj; 2) jako objaśnienie stosunku, zachodzącego między pozytywizmem francuzkim i nowszą psychologią angielską. Dla objaśnienia czytelnika w obydwóch tych kwestyach, zamierzamy tutaj dać w krótkości sprawę o treści przytoczonego artykułu, z dołączeniem tu i owdzie kilku uwag z naszéj strony.

Punkt wyjścia dla całego artykułu stanowi znany dogmat filozofii pozytywnéj, że umysł ludzki rozwinął się dotąd w trzech głównych fazach, z których piérwsza obejmuje *teologią*, druga *metafizykę*, a trzecia, poczynająca się od Comte'a, *filozofią pozytywną.* Wskazując ten dogmat i objaśniając bliżéj jego treść przy pomocy pozytywistycznego poglądu na teologią i metafizykę, Littré stara się dowieść, że filozofia pozytywna zdolną jest i powinna zastąpić zarówno wszelką wiarę teologiczną jak i wszelkie abstrakcye metafizyczne. Pozytywizm bowiem, według Littré'go, nie ma być tylko wyrazem opozycyi przeciwko teologii i metafizyce, lecz ma zarazem za zadanie wypełnić próżnię, jaka wynika z usunięcia tych dwóch objawów umysłu ludzkiego.

Przyznajemy jak najchętniéj, że tylko wobec takiego zadania można mówić o istotnéj filozofii pozytywnéj, gdyż filozofia opierająca się wyłącznie na negacyi, zasługiwałaby prędzéj na każdą inną nazwę, niż na nazwę pozytywnéj. Filozofia powinna być *dodatnią*, powinna doprowadzać do pewnych rezultatów, do wyników *pozytywnych*, inaczéj nie jest filozofią. Kwestya jednak, czy tak zwana filozofia pozytywna Comte'a, Littré'go i ich zwolenników, zawiera w sobie cośkolwiek istot-

nie *pozytywnego*, czy jest czémś więcéj niż prostą negacyą teologii i metafizyki?

Littré utrzymuje na wstępie artykułu, że znalazł w pozytywizmie Comte'a naukę równie *ogólną*, jak teologia lub metafizyka i równie *pewną* jak nauki specyalne (une doctrine aussi *générale* que la théologie ou la métaphysique et aussi assurée que les sciences positives) [1]). Lecz w tém zdaniu nie możemy się dopatrzéć niczego innego, prócz pięknego frazesu, sprzecznego z samemi zasadami pozytywizmu. Czy pozytywizm może być kiedykolwiek doktryną równie *ogólną* jak teologia lub metafizyka? Jedna i druga obejmują wszystkość, traktują nietylko o człowieku lub przyrodzie, lecz i o Bogu; nietylko o ulotnych zjawiskach, lecz i o niezmiennéj istocie bytu. Pozytywizm zaś ogranicza przedmiot swych poszukiwań wyłącznie tylko światem zjawisk. Jakiémże prawem może utrzymywać, że jest równie *ogólnym* jak teologia i metafizyka? Przypuszczając nawet, że wyniki tych ostatnich są błędne, że się nie opierają na naukowych podstawach, z tém wszystkiém jednak nie można zaprzeczyć, że ich poglądy są daleko *ogólniejsze* niż poglądy pozytywizmu. Metafizyka szczególniéj, bo o teologią nam tutaj nie idzie, stanowiąc punkt kulminacyjny każdéj prawdziwéj filozofii, dąży do tak rozległego objęcia wszechbytu, do skoncentrowania wszelkich objawów świata w tak ogólnych i podstawowych zasadach, że właśnie dlatego wywołała opozycyą ze strony pozytywizmu, który zatém, ze względu na swoją treść ograniczoną szczupłemi rezultatami specyalnych nauk, nie może żadną miarą miéć pretensyi do *powszechności*, do równéj z metafizyką *ogólności*. Kto jak Comte i pozytywiści, wszystko co przewyższa zakres zmysłowéj zjawiskowości, nazywają relatywném, wątpliwém; kto jak Littré w obecnym artykule utrzymuje, że filozofia pozytywna nie jest ani teizmem, ani panteizmem, ani ateizmem, ani wreszcie materyalizmem: ten chyba nie ma prawa mówić o równéj z metafizyką ogólności swoich poglądów, ten chyba powiedzieć musi: „żadna filozofia, oto moja filozofia."

Bo cóż téż pozostaje z *filozofii* pozytywnéj, gdy od niéj odejmiemy treść nauk specyalnych? Littré stara się wprawdzie w dalszym ciągu swéj rozprawy wykazać, że filozofia pozytywna posiada pewną treść niezależną od szczegółowego materyału nauk specyalnych. Autor w téj dążności dochodzi nawet tak daleko, że utrzymuje, iż rozwój specyalnych nauk, rozstrzygnięcie najważniejszych kwestyj takowych, nie dotyczy bynajmniéj saméj filozofii pozytywnéj jako takiéj. Littré po prostu mówi: *la philosophie positive est indépendante des développements scientifiques particuliers*. Tę niezależność filozofii pozytyw-

---

[1]) W jednéj ze swoich poprzednich prac, Littré nazywa filozofię po prostu nauką ogólną: *la science générale*. Zob. *Paroles de philosophie positive*. 2-gie wyd. 1868, str. 32.

néj od rozwoju nauk specyalnych objaśnia na kilku charakterystycznych przykładach. Tak np. utrzymuje, że rozwiązanie kwestyi pochodzenia człowieka, w ogóle darwinizmu, jest zupełnie obojętném dla filozofii pozytywnej jako *filozofii*. Czy nauka z czasem znajdzie dowody na poparcie teoryi Darwina, czy téż się przekona, że darwinizm jest tylko hipotezą, jak utrzymuje Robin a z nim i sam Littré; to według naszego autora jest specyalną kwestyą biologii, która filozofii pozytywnéj jako takiéj wcale nie dotyczy. Toż samo ma miéć miejsce ze wszystkiemi innemi kwestyami nauk specyalnych. Cóż tedy pozostaje dla saméj filozofii pozytywnéj? Nic innego prócz *metody*, prócz zasady *doświadczenia* i encyklopedycznego zarysu nauk specyalnych według téj zasady. Rozbiór psychologiczny wykazuje, mówi Littré, że ani świadomość, ani jaźń, ani subjekt ze swemi intuicyami, nie mogą wydać sądu o naturze rzeczy; że wszelkie subjektywne intuicye poddane być winny pod sąd doświadczenia, że zatém to ostatnie posiada wyłączne panowanie w dziedzinie nauki. Ztąd wynika, że sama zasada doświadczenia jest niezależną od wszelkich poszukiwań nauk specyalnych, że jest ogólną podstawą takowych, a tém samém i główną treścią filozofii pozytywnéj.

W obec takiego poglądu, niech nam wolno będzie zapytać: czy treść filozofii może być wyczerpniętą przez same poszukiwania, dotyczące metody, i to do tego jeszcze metody przejętéj bez krytyki od nauk specyalnych? Dotąd wszyscy głębsi myśliciele sądzili, że filozofia prócz *metody*, prócz teoryi poznania, prócz logiki, posiada jeszcze i pewien *pozytywny*, *realny* przedmiot poznania, pewną *treść*, którą przy pomocy metody bada, rozwija, i że tą treścią jest istnienie w najrozliczniejszych jego objawach. Bezpośredniém następstwem tego poglądu było dla większości myślicieli i to, że wraz z rozwojem i postępem nauk specyalnych rozwija się i filozofia, że treść jéj ogólnych poglądów na świat w znacznéj części zależną jest od rezultatów specyalnych poszukiwań. Ztąd téż pochodzi, że wszyscy znakomitsi przedstawiciele nowszéj filozofii uwzględniają jak najskrzętniéj materyał nauk specyalnych i posiłkują się nim przy poszukiwaniach filozoficznych. Obecnie zaś Littré w imię pozytywizmu wykazuje przeciwnie, że poszukiwania nauk specyalnych są zupełnie obojętnemi dla filozofii, że rozwiązanie najważniejszych kwestyj z dziedziny np. nauk przyrodzonych nie wpływa na rozwój poglądów filozoficznych; gdyż te ostatnie, mając tylko do czynienia z raz ustaloną zasadą metodologiczną doświadczenia, nie przyjmują żadnego udziału w saméj treści badanych przedmiotów.

Nikt z filozofów, nienależących do szkoły pozytywnéj, nie mógłby powiedzieć, że kwestya np. pochodzenia człowieka, jego rozwoju, jego stanowiska w przyrodzie i stosunku do pozostałych istot, jest kwestyą obojętną dla filozofii jako *filozofii*. Przeciwnie wszyscy wyznają, że od rozwiązania téj kwestyi na korzyść lub niekorzyść darwinizmu zależą zupełnie różne poglądy na świat w ogólności, a zatém zupełnie różne

poglądy filozoficzne. Tymczasem pozytywista, który z zasady opiera filozofią na naukach specyalnych, dochodzi do zupełnie przeciwnego rezultatu. Zkąd to pochodzi? Oto ztąd, że zaprzeczając metafizyce, a tém samém i wszelkim ogólnym poglądom na świat, pozytywizm nie jest właściwie wcale filozofią i dlatego téż jego poglądy filozoficzne nie mogą się zmieniać pod wpływem postępu i rozwoju nauk specyalnych. Nie chcąc być z góry ani teistą, ani panteistą, ani ateistą, ani materyalistą; biorąc za podstawę wyłącznie tylko zmysłowe doświadczenie będące udziałem nauk specyalnych: pozytywista wyrzeka się wszelkiéj filozofii, wszelkiego ogólnego na świat poglądu, wszelkiéj samodzielnéj myśli filozoficznéj, rozbierającéj materyał doświadczenia i przerabiającéj takowy według wyższych, ogólniejszych wymagań ducha ludzkiego. A w skutek tego z łatwością może dojść do zdania, że jego filozofią, która jest żadną, nie alterują żadne nowe odkrycia, żaden postęp w dziedzinie nauk specyalnych. Czy jednak podobna filozofia zasługuje na miano *pozytywnéj*, w znaczeniu dodatniém; czy ma prawo dowodzić, że jest równie *ogólną* jak teologia i metafizyka? niech już sam czytelnik osądzi. My ze swej strony powiemy tylko, że taka filozofia pozbawioną jest wszelkiego prawdziwie filozoficznego znaczenia i dlatego jak dotąd nie wpłynęła, tak i na przyszłość nie wpłynie na rozwiązanie najgłówniejszych kwestyj filozofii, narzucających się każdemu myślącemu człowiekowi, stanowiących jéj istotę, od jéj piérwszych początków w historyi, aż do obecnéj chwili.

Filozofia pozytywna z prawdziwie francuzką lekkością otrząsa się ze wszystkich tych kwestyj, które dotąd stanowiły treść filozofii. Bez wszelkiéj krytyki rozumu, jego przyrodzonych potrzeb, dążności i wymagań, bez wszelkiego krytycznego poglądu na samo doświadczenie; pozytywizm wypowiada swój dogmat o anachronizmie teologii i metafizyki, zrzeka się wszelkich filozoficznych badań, ograniczając całą swoją treść do wcale nie nowéj zasady doświadczenia i klassyfikacyi nauk specyalnych według téj zasady. W saméj rzeczy przy takiém postępowaniu, łatwo założyć nową szkołę filozoficzną. Potrzeba tylko wynaleźć przynęcającą nazwę, np. nazwę filozofii *pozytywnéj*, tą błyszczącą nazwą pokryć wszelkie negacye teologii, metafizyki i zasadniczych kwestyj saméj filozofii, dać wreszcie encyklopedyczny zarys nauk specyalnych—i nowa szkoła gotowa. Lecz gdy się zapytamy: co jest istotną treścią filozoficznych poglądów téj szkoły, niezależnie od jéj pięknéj nazwy? natenczas nam powiedzą: treść ta na tém polega, że filozofia pozytywna nie jest ani teizmem, ani panteizmem, ani ateizmem, ani materyalizmem; to znaczy, że pod względem prawdziwie filozoficznym, pod względem ogólnego na świat poglądu *jest niczém*.

Taka filozofia naturalnie nie jest zdolną zastąpić ani teologii, ani metafizyki, ani téż zaspokoić żadnych głębszych wymagań ducha. Sam Comte odczuwał wprawdzie dość jasno owe wymagania ducha, mówiąc obszernie o naszych *justes inclinations mentales vers la simplicité, la continuité et la généralité des conceptions*; o naszéj *prédilec-*

tion instinctive pour l'ordre et harmonie; o różnych *besoins d'idealité,* właściwych naszemu duchowi [1]). Lecz Comte odurza tylko siebie i innych ogólnikowemi frazesami o encyklopedycznym poglądzie na nauki specyalne, zamiast myśléć o środkach prawdziwego zaspokojenia wszystkich tych idealnych potrzeb ducha. Dlatego téż zwykle zwolennicy podobnéj filozofii, pomimo wszelkich deklamacyj o pozytywizmie, wpadają z drugiéj strony w najgrubszy mistycyzm i poza granicami swych naukowych dogmatów, stają się zwykle zwolennikami dogmatów, pozbawionych wszelkiego naukowego charakteru. Sam Littré wyznaje na inném miejscu [2]), że poza granicami nauki pozytywnéj każdemu wolno według upodobania wytwarzać sobie pojęcia o istocie bytu, o jego piérwszéj przyczynie i ostatnim celu. To téż w saméj rzeczy, zbyt wielu tak zwanych pozytywistów szuka w dogmatach ślepéj wiary tego, czego im ich filozofia dać nie może: spokoju dla serca, ogólnego na świat poglądu dla umysłu. Takim był w drugim peryodzie swego rozwoju sam Comte, takimi są po większéj części i jego uczniowie. Filozofią ograniczają do najszczuplejszych granic, a poza niemi deklamują w najlepsze o *wierze*, i w miarę potrzeby ten pierwiastek wiary uwydatniają bardziéj lub mniéj. Podobna dwulicowość zasługuje na każde inne miano, tylko nie na miano *filozofii.*

Ten brak wszelkiego ducha filozoficznego, wszelkich dążności, będących dotąd charakterystyczném znamieniem każdego prawdziwego filozofa, przejawia się jak najdobitniéj i w stosunku pozytywizmu do *angielskiéj psychologii.* Comte, wierny swéj zasadzie zmysłowego doświadczenia, lekceważył wszelką *psychologią.* Psychologia z natury swojéj opiera się na *wewnętrznem* doświadczeniu, na psychologicznéj obserwacyi. Doświadczenie zewnętrzne nie daje nam żadnego pojęcia o *najprostszym* akcie psychologicznym, gdyż wszelki objaw duchowy, zewnątrz nas istniejący, staje się dla nas zrozumiałym i przystępnym tylko przy pośrednictwie poprzedniéj znajomości analogicznych objawów w naszym własnym duchu. Bez świadomości, samopoznania, bez owego wewnętrznego oka ducha, co na własne swoje życie patrzy, zewnętrzne, zmysłowe oko nie byłoby nigdy zdolném posunąć naszą znajomość objawów psychicznych. Tę prawdę przyznaje każda *psychologia*, a zatém i angielska, pomimo wszelkiéj dążności empirycznych, jakie charakteryzują tę szkołę psychologiczną [3]). Comte zaś przeciwnie, stosując konsekwentnie zasady pozytywizmu do psychologii utrzymuje,

---

[1]) Zob. ostatnie rozdziały VI-go tomu: [*Cours de philosophie positive*, 2-gie wyd. 1869; szczególniéj str.: 639, 642, 647, 719 i inne.

[2]) *Littré*, l. c. str. 54.

[3]) Tak np. *Herbert Spencer* wyznaje otwarcie, że fizyologia jako nauka objektywna nie może przyswoić sobie subjektywnych danych, nieprzystępnych dla zewnętrznéj obserwacyi. „*Physiology*, mówi on w dziele *The principles of Psychology.* 2 wyd. t. I, r. 1870 str. 48, *cannot, therefore, properly appropriate subjective data; or data wholly inaccessible to external observation.*"

że wewnętrzna obserwacya pozbawioną jest wszelkiego naukowego, objektywnego znaczenia, a nawet jest niemożliwą; że zatém psychologia naukowa, pozytywna, opierać się musi wyłącznie na obserwacyi objawów życia w innych istotach, i dlatego niepowinna stanowić samodzielnéj nauki, lecz wcieloną być winna do fizyologi, jako nauki opartéj na badaniu zjawisk życia drogą zewnętrznego doświadczenia [1]). Podobnież i Littré, jak dawniéj tak i w obecnéj pracy, mówi o psychologii tylko jako o części fizyologii i nazywa ją to fizyologią mózgu (*physiologie cérébrale*), *to fizyologią psychiczną* (*physiologie psychique*). Ta ostatnia nazwa wymyśloną została przez samego Littré'go, zapewne jako koncesya dla dotychczasowéj psychologii [2]).

Przeciwko takiemu lekceważeniu psychologii, powstali niektórzy angielscy filozofowie, szczególniéj zaś *Herbert Spencer* [3]) i *John Stuart Mill* [4]), broniąc to samodzielności psychologii w klassyfikacyi nauk, to znaczenia psychologicznéj obserwacyi. Obaj téż ze względu na różność w zasadniczych poglądach, uwydatniającą się najdobitniéj w téj kwestyi o znaczeniu psychologii, zaprotestowali przeciwko

---

Fizyologia, według niego, przestaje być fizyologią, gdy wprowadza w swój zakres pierwiastek *psychiczny* nie dostępny dla żadnych badań fizycznych. Zob. także str. 98 i nast. 132, 140 i inne. Stosownie do tego całą drugą część swej psychologii, część *subjektywną*, opiera na wewnętrznéj obserwacyi.

[1]) W swoich *Cours de philosophie positive* 2 wyd. 1869 r. t. I, str. 31, Comte po prostu mówi: *l'esprit humain peut observer directement tous les phénomènes, excepté les siens propres;* i opiera tę wrzekomą niemożność wewnętrznéj obserwacyi na tém, że w niéj organ obserwowany musiałby być zarazem i organem obserwującym, co ma być rzeczą niemożliwą.

[2]) Zauważmy przy téj sposobności, że *Wundt* ostatnie swoje dzieło nazwał *fizyologiczną psychologią (Physiologische Psychologie r. 1874)*. Takim sposobem dzięki empirycznym dążnościom mamy obecnie prócz *fizyologii i psychologii* jeszcze *fizyologią psychiczną i psychologią fizyologiczną*. Według nas obie ostatnie gałęzie wiedzy mogą miéć jakieśkolwiek samodzielne znaczenie tylko wtedy, gdy połączone będą w jednóm pojęciu *psycho-fizyki*, rozwiniętéj w osobnóm dziele *(Psycho-physik.* r. 1860) przez *Fechnera*, w charakterze nauki o stosunku *ciała do duszy*. *Fizyologia:* nauka o życiu cielesném; *psychologia:* nauka o życiu umysłowem; *psycho-fizyka:* nauka o wzajemnym do siebie stosunku ciała i duszy. *Herbert Spencer* tę ostatnią naukę nazywa *Estofizyologią (Aestho-physiology)*; zobacz VI-ty rozdział jego *Principles of Psychology*.

[3]) *Spencer, Classification des sciences.* Tłum. francuzkie 1872 roku str. 103 i nast. 119. *The principles of Psychology*, 2 wydanie t. I, 1870 r., str. 134 i nast. 140 i nast.

[4]) *Mill, August Comte u. der Positivismus.* Tłum. niemieckie 1874 r. str. 44 i następne.

zaliczeniu ich do szkoły pozytywnéj. Obecnie Littré, w drugiéj części swego artykułu, występuje w obronie pozytywizmu, i stara się w tym celu wykazać, że psychologia angielska nie jest tylko psychologią, lecz zawiera w sobie zawiązki *osobnéj* filozofii, a mianowicie filozofii *subjektywnéj*, pozbawionéj pierwiastku *objektywnego*, stanowiącego znamię charakterystyczne pozytywizmu. Zarzut ten przyczynia się niepomału do objaśnienia stosunku pozytywizmu do angielskiéj psychologii, a w każdym razie tak jest ważnym, że zasługuje na bliższą uwagę.

Comte, jak już wspomniano, utrzymuje, że *objektywna* zasada wiedzy ludzkiéj polega wyłącznie na badaniu zjawisk zewnętrznych i że dlatego do *objektywnych* rezultatów doprowadzają wyłącznie tylko nauki specyalne, empiryczne. Wszystko co przewyższa ten zakres badań empirycznych, nazywa *subjektywném* i z dziedziny nauki wyłącza. Lecz podobne pojęcie *objektywności* wykazuje jak najdobitniéj całą surowość i dogmatyczność filozoficznego myślenia pozytywizmu. Jakiém prawem zmysłowe doświadczenie zasługuje na większe zaufanie niż umysłowe? Dlaczego obserwacya objawów z zewnątrz na nas oddziaływających ma być pewniejszą, bardziéj objektywną niż obserwacya wewnętrznych objawów i stanów naszego własnego ducha? O *krytycznym* rozbiorze téj kwestyi u Comte'a i jego uczniów, nigdzie mowy nie ma, jak to już *John Stuart Mill* jasno wykazał [1]). Comte nie wié nic i nic wiedzieć nie chce o krytycznéj teoryi poznania, o logice jako nauce rozbierającéj zasady, granice i sposoby poznania. Ztąd też cały jego objektywizm nie jest niczém innem, tylko równie niefilozoficznym jak i niekrytycznym konglomeratem surowego materyału empirycznych nauk.

Od takiego surowego empiryzmu wolną jest szkoła angielska, opierająca swoją filozofią od czasów Lokka na psychologicznych zasadach. Szkoła ta pojmuje jasno, że o prawdziwém objektywném poznawaniu rzeczy mowy być nie może bez poprzedniego rozbioru subjektywnych t. j. psychologicznych procesów samego poznania. Ztąd też pracę filozoficzną nie rozpoczyna jak Comte od badania zjawisk zewnętrznych, lecz od *psychologii* i opartéj na niéj *logiki*. Tego pochodu trzyma się wszędzie jak *Mill* tak i *Herbert Spencer*, a *Bain* wskazuje na to jak najwyraźniéj, mówiąc [2]), że badanie samych własności przedmiotów stanowi zadanie nauk specyalnych, wykrycie zaś podstaw i zawiązków tych własności, należy do nauki o duchu. A chociaż z drugiéj strony wyznać należy, że w skutek téj psychologicznéj zasady filozofia angielska zbyt łatwo wpada w subjektywizm, t. j. w teoryą dowodzącą, że stany umysłowe człowieka są jedynym i wyłącznym przed-

---

[1]) *Mill*, l. c. str. 38 i następne.

[2]) *Bain*, *The senses and the Intellect.*; trzecie wyd. 1868, str. 2.

miotem filozofii [1]); chociaż jednostronność ta przejawia się najdobitniéj we wspólném z pozytywizmem lekceważeniu wszelkich głębszych poszukiwań dotyczących istoty zjawisk, w braku krytycznego przejścia od psychologii do metafizyki, od subjektywizmu do objektywnego poznania rzeczy [2]); chociaż wreszcie właśnie dla tych niedostatków filozofia angielska nie może się wyswobodzić z więzów *relatywności*, *względności*, podkopującéj wszelkie dodatnie poglądy filozoficzne [3]) i w skutek tego i poza granicami zjawisk nie dochodzi do żadnego prawdziwie pozytywnego pojęcia, lecz ogranicza się negatywném pojęciem rzeczy nieprzystępnéj dla poznania ludzkiego (*the Unknowable* Herberta Spencera, bardzo podobne do Kantowskiego *Ding an sich* [4]); z tém wszystkiém jednak porównywając filozofią angielską z pozytywizmem francuzkim, dziwić się nie można że pierwsza w poczuciu swego pierwszeństwa zrzeka się wszelkiéj solidarności z Comtem i jego szkołą. Filozofia angielska, opierając się na psychologii, jako samodzielnéj nauce, zawiera w sobie podstawy do rozleglejszych na świat poglądów; a jeżeli takich poglądów dotąd nie wydała, to przyczyną tego nie była sama zasada psychologiczna, lecz ów wstręt do metafizycznych poszukiwań, który charakteryzuje praktyczny umysł Anglika. Okoliczność ta dowodzi, że sama zasada filozofii angielskiéj nie jest pozbawioną wysokiego znaczenia dla ogólnego rozwoju filozofii; przeciwnie przypuścić należy, że z czasem umysły mniéj praktyczne a bardziéj filozoficzne od dzisiejszych myślicieli angielskich, spożytkują tę zasadę psychologiczną dla istotnego postępu filozofii, dla rozwiązania jéj najważniejszych zadań.

Tego wszystkiego o tak zwanéj filozofii pozytywnéj powiedzieć nie można. Będąc w zasadzie swojéj antifilozoficzną, nie mając pojęcia o rozbiorze krytycznym procesów poznania, dowierzając dogmatycznie zmysłowemu doświadczeniu i naukom empirycznym, pozytywizm nie zawiera w sobie żadnego zawiązku nowych filozoficznych poszukiwań, nie rokuje żadnego postępu w ogólnym rozwoju umysłu ludzkiego, w jego dążności poznania siebie i świata. Pozytywizm z natury swo-

---

[1]) Tak np. *Mill* l. c. str. 37, ogranicza cały obszar filozofii jedną nauką o człowieku, utrzymując że nauka ta zawiera w sobie wszystko, co człowiek wiedzieć może ze względu na warunki i sam proces poznawania rzeczy.

[2]) Przykład podobnego krytycznego przejścia od psychologii do metafizyki, od subjektywnych stanów do objektywnych zasad, starałem się podać w swéj rozprawie: *Psychologisch-metaphysische Analyse des Begriffs der Nothwendigkeit*, w *Philosophische Monatshefte*, zeszyt I-y i II-gi 1874 r.

[3]) Zob. w tym względzie np. *Rozbiór filozofii Hamiltona przez Milla*, tłum. francuzkie 1869 r. str. 11 i nast. *Spencera*, *Klassyfikacya Nauk*, tłum. francuzkie str. 104 i nast.

[4]) Zob. pierwszą część *First Principles* Spencera.

jéj musi albo wyrzec się wszelkiego postępu i ograniczyć całą swoją treść do metodologicznéj zasady doświadczenia, jak to ma miejsce u Littré'go, który, jak widzieliśmy, oderwał filozofią pozytywną nawet od postępu nauk specyalnych, albo też chcąc dojść do jakiegokolwiek rozleglejszego poglądu na świat, musi się rzucić w objęcia *materyalizmu*, z którym najbardziéj jest spokrewnionym.

Że nawet i Littré, pomimo całéj ostrożności i bystrości swego umysłu, nie może się ciągle utrzymać na owém chwiejném stanowisku między teizmem i ateizmem, panteizmem i materyalizmem, za dowód tego służyć mogą niektóre zdania wypowiedziane pod koniec rozbieranego artykułu. Krytykując psychologią angielską, a szczególniéj pogląd Baina, że duch jest przeciwstawnością przestrzeni, Littré wypowiada zdania, zdradzające mimowoli materyalistyczne skłonności pozytywizmu. „Ciepło, ciężkość, mówi Littré, są własnościami ogólnéj materyi, a duch jest własnością materyi szczegółowéj, nazwanéj nerwową“ [1]). Czy to nie metafizyka, gdy ktoś mówi o ogólnéj i szczegółowéj materyi, o własnościach téj i tamtéj? Czy to nie materyalizm gdy ktoś dowodzi, że duch jest *własnością* materyi nerwowéj? Prawda, że zdanie to wyszło z pod pióra Littré'go jakby mimowoli, wywołane przez opozycyą przeciwko pojęciu samoistności ducha, a opozycya zbyt łatwo doprowadza do jednostronności, zbyt łatwo wpada w błędy, przeciwko którym powstaje. To ma miejsce w danym wypadku, gdzie Littré z opozycyi przeciwko pojęciu metafizycznemu o samoistności ducha, dochodzi do pojęcia metafizycznego o samoistności materyi z różnemi własnościami. Lecz to co u Littré'go jest tylko wynikiem przypadkowéj nieostrożności, mimowolnéj inklinacyi, to przy dalszym rozwoju pozytywizmu, dla głów mniéj ostrożnych i bystrych, staje się nałogiem, rzeczą zwyczajną, nie wywołującą żadnéj reakcyi. Takim sposobem pozytywizm z czasem, w skutek naturalnego ciążenia swych zasad dojdzie znowu do owéj anachronicznéj teoryi, którą obecnie przez usta swoich najwydatniejszych przedstawicieli jeszcze potępia, t. j. dojdzie do materyalizmu. Nikt bowiem na długo nie może wisiéć między niebem i ziemią. Podobnież i w dziedzinie myśli nikt na długo istnieć nie może w owym nieoznaczonym i nie określonym żywiole filozofii pozytywnéj, w owéj negacyi istoty bytu, jego duchowych i materyalnych pierwiastków. Negacya taka podkopuje najgłówniejsze fundamenta nauki i filozofii, i dlatego nie może mieć za skutek prawdziwego postępu ani jednéj ani drugiéj. Przeciwnie, rozpowszechnienie i ogólne panowanie pozytywizmu mogłoby za sobą pociągnąć tylko najzupełniejszy upadek jak nauk specyalnych tak i filozofii.

Henryk Struve.

---

[1]) „La chaleur, la pesanteur sont des propriétés de la matière générale et l'esprit est une propriété de la matière particulière dite nerveuse.“

Do Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Suum cuique.

W zeszycie Biblioteki październikowym r. b., w szacownym i nader zajmującym artykule, o tegorocznem przejściu planety Wenus przez tarczę słoneczną, jakie ma nastąpić w d. 8 grudnia r. b., autor w pogadance astronomicznéj, po wykładzie naukowym, mówiąc o ostatniém tém zdarzeniu, jakie miało miejsce i było widzialne w Polsce w r. 1761 dnia 5 czerwca, wyraził się: *iż nie widziano go u nas i w roku 1761, bo tak mało wtedy czasu miano na utrzymanie znaczenia, do jakiego powinna mieć prawo Kopernika ojczyzna.* Zaraz zaś następnie przytacza szczegóły, iż ksiądz Łuskina urządziwszy rodzaj obserwatoryum w galeryi Biblioteki Załuskich, tamże w obec najznakomitszych osób przybyłych do Warszawy na sejm, przejście to obserwował. Uważa daléj autor, iż Łuskina omylił się w swojéj rachubie, bo przybyli do Warszawy w kilka miesięcy od téj daty inni astronomowie z zagranicy wracający, jako to: Ojciec Hell z Danii, Plumann ze Szwecyi, i Boskowicz z Moskwy, upewniali poczynionemi obserwacyami Łuskinę, że przejście to powinno było być widziane w Warszawie około godziny dziewiątéj. Tak więc wnioskuje autor, że Łuskina wraz z Duńczewskim *przegrali* sprawę.

Kładziemy *veto* na takie *dictum* co do Łuskiny i apelujemy do spółczesnych pism peryodycznych polskich z r. 1761. Z nich bowiem przekonywamy się, że nietylko w Warszawie było to przejście obserwowane, ale i w Krakowie i w Kamieńcu Podolskim. Aby zaś przekonać gruntowniéj autora pogadanki o jego błędach, co do czasu w jakim to przejście nastąpiło i o innych szczegółach usprawiedliwiających, że ojczyzna Kopernika nie zaspała tego zdarzenia, bo w kilku naraz miejscach uczeni nasi téj obserwacyi dopełniali, przytaczamy *dosłownie* wyjątki na jakich się opieramy.

W Kuryerze Warszawskim z r. 1761 donoszą: „z Warszawy d. 6 czerwca, *dnia dzisiejszego* na galeryi górnéj Biblioteki publicznéj Załuskich obserwowane było przez ks. Stefana Łuskinę, filozofii i matematyki w królewskim tutejszym kolegium nauczyciela, przejście planety Wenus przez widzialną płaszczyznę słońca, *których obserwacyi opisanie wkrótce nastąpi* i *cudzoziemskim akademiom przesłane będzie.* W bibliotece przez telescopia przypatrywały się tak rzadkiemu

widokowi piérwszéj godności osoby, damy i kawalerowie. Takowy widok jako jedynie jest astronomiczny, tak nie pociąga za sobą żadnych skutków, któremi astrologiczna zabobonność, żyjących pod słońcem trwożyć zwykła.“

W Wiadomościach Uprzywilejowanych Warszawskich z r. 1761: „z Kamieńca d. 7 czerwca. Książe Udalryk Radziwiłł koniuszy litewski, dnia *wczorajszego* z przytomnymi oficerami garnizonu tutejszego przejście Wenery przez słońce w *kwandrans na 5-tą z rana*, postrzeżone z wielką pilnością uważał, które to przejście *do godziny 9* z rana trwało.“ Zatém i początek téj obserwacyi w inném odległém mieście zgadza się z obserwacyą Łuskiny i koniec czasu przejścia odpowiada w zupełności zdaniu astronomów zagranicznych przejeżdżających a wyżéj wspomnianych. Łuskina więc i ks. Radziwiłł mylnie nie obserwowali. Wreszcie w Kuryerze Warszawskim w n. 26 z r. 1761 donoszą z Krakowa, „JJPP. professorowie matematyki akademii tutejszéj, dnia 6 czerwca przypatrywali się z gór poblizkich, w niedostatku strażnicy gwiazdarskiéj, przejście planety Wenus przez płaszczyznę słońca, *o czém wkrótce obszerne pismo ma nastąpić*.“

Że musiało być także uważane to przejście planety Wenus i w Wilnie, wątpliwości żadnéj nie ulega. W tém mieście bowiem już od r. 1753 wielkim kosztem wystawione było przez Elżbietę z Ogińskich, księżnę Puzyninę obserwatoryum astronomiczne, w gmachu akademii, które za Poczobuta i Jana Śniadeckiego zyskało europejski rozgłos. Dla braku jednak pism peryodycznych, Kuryera Litewskiego od r. 1759 i Gazety Wileńskiéj od r. 1761 wychodzących, nie możemy nateraz załączyć ich obserwacyi [1]). Tu tylko przytoczymy z *Wiadomości Literackich* z r. 1760 w n. 32 i 33 zamieszczonych, że w d. 21 i 28 listopada t. r., filozofii doktor (nie wyrażono jaki) nader liczne okazywał w Nowogródku przed całym zgromadzonym trybunałem litewskim doświadczenia matematyczne, astronomiczne, fizyczne, do których używał instrumentów optycznych z Anglii sprowadzonych, wielkich zwierciadeł szklanych i metalowych teleskopów, machiny pneumatycznéj podług konstrukcyi najsłynniejszego fizyka Noleta członka akademii paryzkiéj; wreszcie maszyny elektrycznéj, kul magdeburskich i t. p. Co do szczegółów tych nader zajmujących doświadczeń, jak na owe czasy, odsyłamy do źródła jakie wyżéj cytujemy. Widocznie więc okazuje się, że matematyka, astronomia i fizyka w Polsce już w r. 1760 nie były w zaniedbaniu. Kiedy zaś w Nowogródku tak poważne robiono doświadczenia i to z instrumentami najświeższéj konstrukcyi, za granicą wyrobionemi, cóż mówić o Wilnie, gdzie było obserwatoryum astronomiczne od lat ośmiu?

---

[1]) Posiadających te pisma upraszamy dla miłości prawdy historycznéj o nadesłanie z rzeczonych pism szczegółów o tém do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj. P. A.

Aby przekonać wreszcie autora pogadanki, że obserwacya planety Wenus uskuteczniona w Kamieńcu w r. 1761 przez Udalryka księcia Radziwiłła, nie była tylko amatorską jako prostego widza lub panka dyletanta, co blichtrem nauk ścisłych chciał imponować, ale raczéj była robiona przez osobę znającą gruntownie matematykę i z wielkiém zamiłowaniem jéj się oddającą; przytaczamy na to dowody:

Wyczytujemy bowiem w spółczesnym Kuryerze Warszawskim, iż dygnitarz ten z usilnością i zamiłowaniem poświęcając się matematyce, a zwłaszcza w zastosowaniu jéj do rzemiosł i budownictwa, wynalazł dwie maszyny wielki użytek praktyczny naówczas mające, t. j. kafar do bicia pali podług zupełnie nowéj konstrukcyi i maszynę do czyszczenia rzek od wszelkich zawad. Objętość dzisiejszego artykułu nie dozwala nam szczegółów o tych wynalazkach przytoczyć, zostawiamy więc to do dalszych prac naszych. Tu tylko dodamy, że inżynier króla Augusta III pułkownik Ricaud de Tiregaille, którego plan Warszawy z r. 1762 dotąd służy za podstawę do rozwiązywania wszelkich wątpliwości gruntowych [1]); po obejrzeniu maszyny ks. Radziwiłła do czyszczenia rzek, tak dalece uznał ją za dokładną i praktyczną, *że wynalezienie jéj porównał z najpożyteczniéjszemi maszynami, które dla dobra i pożytku ludzkiego dotychczas* (do r. 1761) *były wymyślone* [2]). Dla uczczenia zaś pamięci wynalazcy nazwał ją *la machine Radivilienne.* To ocenienie biegłego matematyka popiera także sam Niesiecki w swojéj Koronie (tom VIII, str. 77) „iż był Udalryk panem i w książkach i w mądrych się ludziach kochającym, posłując sześć razy na sejmy."

Wreszcie sam ojciec ks. Udalryka, Mikołaj Faustyn książe na Ołyce i Nieświeżu, był właśnie wojewodą nowogrodzkim, gdzie jak wyżéj przytoczyliśmy nietylko matematyczne ale i fizyczne doświadczenia w obec całego trybunału robiono. Było to więc wówczas w Nowogrodzkiém, istne gniazdo nauk ścisłych i przyrodzonych na całą Litwę.

Nie możemy lepiéj zakończyć téj dzisiejszéj korrespondencyi, jak przytoczeniem szczegółów z naszych zapisków, ze współczesnych pism wyjętych a dotyczących obserwacyi w Paryżu robionych w r. 1761 nad ówczesném zdarzeniem przejścia planety Wenus przed tarczą słoneczną.

W stolicy Francyi trzej najznakomitsi astronomowie z grona akademii wyznaczeni byli do tych obserwacyi: Maraldi, Lalande i Messier. Pierwszy spostrzeżenia robił *dnia 6 czerwca* w obserwatoryum królewskiém, drugi w pałacu Luksemburgskim, a trzeci w obserwatoryum żeglarskiém. Niebo tego dnia w początkach obserwacyi było tak pochmurne, iż żadnéj prawie nadziei nie czyniło do widzenia tego rzad-

---

[1]) Oryginał tego planu dotąd znajduje się w archivum magistratu warszawskiego.

[2]) Dosłownie z Kuryera spółczesnego.

kiego przejścia. Około jednak godziny 7 z rana tak się wypogodziło, iż można było spostrzedz planetę w trzeciéj już części przechodzenia swego przez płaszczyznę słońca. Pogoda następnie utrzymała się aż do końca obserwacyi, a wspomnieni astronomowie tegoż samego jeszcze dnia zdawali akademii swoje sprawozdanie szczegółowe następujące:

Maraldi za pomocą teleskopu 15 stopowego, przez sławnego Włocha Campani robionego, widział przychód brzegu zachodniego planety Wenus od brzegu wschodniego słońca o godzinie 8 minut 28 sekund 42, koniec zaś całego przejścia o god. 8 m. 46 s, 54; więc dyamenter planety przechodził przez brzeg słońca minut 18 sekund 12.

Lalande przez teleskop 18 stopowy obserwował przejście brzegu zachodniego Wenery do brzegu wschodniego słońca o god. 8 m. 28 s. 25, koniec zaś całego przejścia o g. 8 m. 46 s. 50: ztąd wnioskowano że dyameter planety przechodził przez słoneczny brzeg m. 8 s. 25.

Messier przez teleskop *Grzegoriego* 3 stopowy postrzegł przychód brzegu zachodniego Wenery od brzegu wschodniego słońca o god. 8 m. 28 s. 30, koniec zaś przejścia całego o god. 8 m. 46 s. 37. Czas więc przejścia dyametru Wenery przez brzeg słoneczny wynosił m. 18 s. 7. Dyameter Wenery kilka razy mierzony na tarczy słonecznéj był między 56 i 57 sekundami.

Zestawiając więc powyższe spostrzeżenia, ze zrobionemi w Warszawie przez ks. Łuskinę w ogółowych opisach: co do pogody, czasu trwania tego zdarzenia; widocznie prawie zupełna zgodność panuje, o ile odległość Warszawy od Paryża dozwalała. Musi więc autor pogadanki zrehabilitować i nasz kraj i ojczyznę Kopernika, że nie zaniedbał czynienia obserwacyi tak ważnych, i Łuskinę, że wyrachowania jego były dokładne.

Aleksander Wejnert.

Pisałem dnia 16 października 1874 roku.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Socyologia, czyli nauka o społeczeństwie, przez L. Steina. Przełożył D. F. Dr. fil. Warszawa, 1874 w 8-ce str. VI i 396.

Oddawna już nie spotkaliśmy się z książką, któréj czytanie byłoby tak nużącém i mozolném, co wytłumaczona na język polski Socyologia L. Steina. Sam autor miał niejakie poczucie męczarni,

którą czytelnikom swoim zadać się gotował. Przynajmniéj, na str. 70, (przywodzimy wszędzie tłumaczenie polskie), zwraca się z prośbą swoją „do tych, którzy systematyczności nie znoszą.“ Zdaje się więc mniemać, że jeśli nie wszyscy chętnie czytać go będą, to dla tego że jest systematyczny.

Jest to, zdaniem mojém, złudzenie szanownego pisarza. Jego dzieło jest nużące i mozolne w czytaniu, nie dlatego że stara się być systematycznym, ale ze względu na sposób pisania. Nie scharakteryzowalibyśmy tego sposobu dostatecznie mówiąc, że p. Stein nadużywa wyrażeń oderwanych i uogólnionych; abstrakcya i ogólniki stały się drugą jego naturą, tak że wątpimy czy w sposób prosty i jasny najpospolitszą treść wypowiedziéćby zdołał. Będziemy się starali dać wyobrażenie czytelnikom na czém polega właściwość sposobu pisania p. Steina.

Najmłodsze dziecko w szkole elementarnéj można łatwo nauczyć, że jeden a jeden jest dwa. Uogólniając to prawidło, wyrazimy się w taki sposób: do ilości oznaczonéj dodając taką samą ilość, ilość ta się podwoi. Wzór artymetyczny, jeden a jeden jest dwa, zamieni się nam na wzór algebraiczny, $a + a = 2a$. W piérwszym razie ogólne prawidło podane jest w zastosowaniu do pojedynczego przypadku i że tak rzeczem zrosło się z tym przypadkiem. W razie drugim ogólne prawidło oderwane jest od pojędynczego zastosowania i ztąd do pojęcia staje się nieporównanie trudniejsze, a dla dziecięcego wieku niedostępne.

Otóż język, którym p. Stein przemawia, jest to język pojęć uogólnionych, od zastosowania oderwanych, język algebry nie arytmetyki. Ale szersze koło czytelników nie chce miéć nic wspólnego ze znakami algebraicznemi; jak tylko je dostrzeże na kartach pisma, pozostawia je ze czcią należną, nietknięte. Tak samo rzecz się ma z dziełami pisanemi językiem oderwanym. Jeżeli zaś w powszedniém życiu przemówi kto językiem oderwanych pojęć, wystawia się na śmieszność. Molier taką figurę wprowadza lubo rzadko do swoich komedyi, a w spisie osób do komedyi wchodzących nazywa ją, dość niegrzecznie, pedantem.

Nie sądzimy, aby p. Stein w powszedniém życiu używał języka swoich książek, a tém samém nie stosujemy do niego Molierowskiéj nazwy; ale nie lękamy się rozminąć z sądem czytelników, twierdząc że sposób pisania p. Stein jest nieznośny. Tak mocnego wyrażenia uważaliśmy potrzebę użyć, nie pod wpływem przykrości jaką nam odczytanie dzieła p. Stein sprawiło, ale z uwagi że p. Stein prof. uniwersytetu wiedeńskiego, znalazł w kole swoich słuchaczów, pomiędzy któremi jest pewna ilość naszych ziomków, zbyt pochopnych uczniów, którzy sposób jego pisania przejęli i takim kolorytem pewien odłam naszego piśmiennictwa zabarwili.

Przystąpmy teraz do bliższéj charakterystyki naszego autora.

Nie każdy kto używa znaków algebraicznych jest głębokim matematykiem, nie każdy kto przemawia językiem oderwanych pojęć jest przeto głębokim myślicielem. Wielcy pisarze, których dzieł potomność z ręki nie wypuszcza, albo wcale takiego języka nie używali, albo używają go tylko rzadko, w razach koniecznych. Ale wielcy pisarze nie ograniczają się na przetłumaczeniu na język oderwanych pojęć, wyobrażeń będących między ich spółczesnemi w obiegu; starają się te wyobrażenia przetrawić, wycisnąć na nich piętno swojéj indywidualności i uczynić z nich niespożyty pomnik i dążenia spółczesnych i swego własnego geniuszu. Tak wysoko p. Stein oceniany jest tylko przez zostających pod urokiem jego wykładu uczniów, z których jeden nazwał go olbrzymem. Opinia powszechna skromniejsze naznacza stanowisko autorowi licznych i obszernych dzieł, jak: *Der Socialismus und Communismus, Innere Verwaltung, Finanzwissenschaft.* Opinia uznaje obszerną erudycyą autora, jego talent systematyzowania, łatwość długą wprawą nabytą władania językiem abstrakcyi, połączoną z pewną siłą wyrażeń; ale dziełom jego nie nadaje wyższego znaczenia, bo nie widzi w pisarzu potężnéj indywidualności, w jego pismach nie dostrzega głębszych i oryginalnych pomysłów.

Ten brak zdaje się poniekąd sam autor uznawać. „Prawdę powiedziawszy, mówi on na str. 14 swojéj Socyologii, utworzyć systemat, *a tém samém umiejętność* (nauki o społeczeństwie), jest najogólniejszém, może także najważniejszém zadaniem niniejszego dzieła.“ To jest, innemi słowy, autor mówi: wiele nowego nie powiem, na to mnie nie stać, ale to co drudzy powiedzieli, zestawię razem i ułożę w pewną całość, jak się uda, a tak powstanie nowa umiejętność, bo... powstanie systemat.

Systemat i umiejętność, to u p. Stein wszystko jedno. Wypowiada on swoje zdanie w tym względzie stanowczo, lubo, jak dodaje, nie bez wahania. Pojmujemy to wahanie. Czyni ono zaszczyt skromności p. Stein, który jeśliby utworzyć systemat znaczyło tyle co utworzyć nową umiejętność, stałby się twórcą nie jednéj, ale całego szeregu nowych umiejętności.

Żałujemy że w naszych oczach rola p. Stein wydaję się nie tak piérwszorzędną. Nie utworzył on żadnéj nowéj umiejętności, ale napisał dość znaczną liczbę podręczników naukowych dla studentów; nie jest wielkim pisarzem, ale jest utalentowanym, szkoda tylko że często ciemno piszącym professorem. Zaszczyt to nie tak świetny, ale trwalszy bo rzetelny.

Jego Socyologia, którą usiłował podnieść do godności nowéj nauki, nigdy nią nie będzie.

Każda nauka w obszernym swoim zakresie ma i mieć musi różne poddziały. Poddziały te z usłużną pomocą greczyzny, lub choćby tylko łaciny, wyróżniane bywają osobnemi nazwami i tak powstają coraz to nowe *logie.* W botanice słyszymy o dendrologii, pomologii,

i t. d.; w medycynie o osteologii, splanchnologii i t. p. Nikt przecież twierdzić nie będzie, że twórcy tych, nieraz dość dziko brzmiących nazw, utworzyli nowe umiejętności; dali oni tylko specyalne nazwy poddziałom od dawna istniejących nauk. Wszakże według odmiennych względów, każdy może obrać sobie specyalny przedmiot swéj pracy. Anatom np. może specyalnie badać kości lub trzewia, może także jeśli taka jego chęć, napisać anatomią pewnéj części ciała, ręki lub nogi, wielkiego lub małego palca; w obu razach nie stworzy nowéj umiejętności, choćby prace swoje po grecku zatytułował.

P. Stein wydzielił i wyosobnił przedmiot swojéj Socyologii na podstawie zapatrywania się, z którém wcale się nie zgadzamy.

Według niego (str. 23) samoistny byt społeczeństwa poznano najprzód z rozprzężenia, jakie w łonie jego powstało, i większość tyle tylko o społeczeństwie wiedziała, o ile takowe na razie było zagrożoném. „A ponieważ *naturalnie* w takich wypadkach szukano pomocy u władzy krajowéj, przeto téż uważano społeczeństwo jako jednę część całości stanowiącéj władzę państwową.“

Zapytujemy się każdego kto choć powierzchownie obeznał się z dziejami nauki politycznéj, czy takie określenie jéj przebiegu, odpowiada istocie rzeczy? Społeczeństwo byłoż dotąd uważane w nauce, jako jakieś *caput mortuum experymentów*, które rozważać warto tylko ze względu na te experymenta i jako nieodzowny ich przedmiot? Takie wyobrażenia krążyły i może jeszcze krążą po ciemnych głowach; ale nauka dobrze o tém wiedziała i przez usta wszystkich niemal uznanych powszechnie swoich mistrzów, wielokrotnie wyrzekła, że jak ustrój rządowy zależny jest od stanu społecznego; *quid leges sine moribus;* tak nie ma społeczeństwa bez rządu. Rząd jest najwyższym wyrazem społeczeństwa, a tém samém jest jego istotną, najważniejszą częścią. Ale z części robić całość a całość uważać za część, jest tak potwornem, że zaledwie o takich zboczeniach od istotnego porządku przedstawienia rzeczy wspomnieć godziło się, a najmniéj należało przedstawiać nam podobne dziwolągi, jako obraz wynikłości dotychczasowéj nauki. Historyk badając dzieje jakiegokolwiek kraju, nie ogranicza się na skreśleniu formy jego rządu; ale jeżeli chce godnie odpowiedzieć swemu zadaniu, odnosi formy rządu do stanu społecznego kraju i w przemianach tego stanu wykazuje przyczyny zmiany form rządowych.

Odmienność mego zapatrywania się od poglądu p. Stein, ma w części źródło i w różnicy usposobienia. Nietylko myślę ale i czuję inaczéj niż autor socyologii. To co p. Stein zdaje się być naturalném, mnie się wydaje rażącém; nazbyt mi przypomina znane wyrzeczenie: *der deutsche ruft immer nach der Polizei.*

Stein rozpoczął swój wywód na podstawie zupełnie nie właściwego poglądu na dotychczasowy stan nauki; z wielu miejsc jego socyologii wynika dla mnie przynajmniéj, ten nie wątpliwy wniosek, że on sam idąc za popędem bieżących mniemań, zapoznaje górującą donio-

słość stanu społecznego, stawiając jego objawy w drugiéj linii po za ustrojem form rządowych. Ten ostatni ustrój jest dla Steina w porządku umiejętności, równorzędną ale wyższéj godności częścią, którą stawia obok części piérwszéj poświęconéj społeczeństwu. Tymczasem my przywykliśmy uważać społeczność za całość, któréj wykwitem, częścią najważniejszą, ale tylko częścią jest ów ustrój. Stein według nas, upośledza społeczeństwo, przedstawia nam kadłub który niewłaściwie nazywa ciałem, nie uważając że temu ciału uciął głowę. Pozostawione w tym stanie społeczeństwo nie może samo sobie dać rady. Stein zna jako naturalny jego wypływ tylko (str. 55, 56) jakieś bezpaństwowe władztwo, które dopóty ostać się może jako podstawa publicznego porządku prawnego, dopóki nie ma jeszcze klass społecznych; a konieczność z jaką się różnice klass rozwijają, jest według niego, bezwzględną przyczyną konieczności wiodącéj bezpaństwowe władztwo do upadku.

Zadziwi się może czytelnik, jeśli mu powiemy, że epoka o któréj tu mowa, istniała według Steina w rozkwicie Aten, Rzymu, a częściowo także okazuje się w Ameryce północnéj. Dotąd mniemaliśmy przeciwnie, że rozkwit Rzymu miał miejsce obok nader wybitnego oddziału a nawet walki klass społecznych, patrycyuszów i plebejuszów. Stein naucza nas że rozdział klass począł się dopiéro w czasach późniejszych i spowodował właśnie upadek dawniejszych form ustroju rządowego! Do jakich to odkryć nie doprowadza pociąg do systematyzowania?

Nic dziwnego że społeczeństwo tak obcięte, brodząc omackiem przez rozmaite fazy swego istnienia ulega nakoniec (str. 389) panowaniu jednostkowego interesu, z czego wywiązuje się, jako proces naturalny, walka i nakoniec upadek społeczny, którego ażeby uniknąć, społeczeństwo rzuca się, u Steina, w objęcia silnéj i samodzielnéj władzy państwowéj. Szczęściem przynajmniéj że społeczeństwo na taką władzę zdobyć się może. Jeśli jednak tak jest, to społeczeństwo nie musi być w upadku, bo gdyby w nim było, to ze względu na wzajemną zależność dwóch jego części, silnéj i samodzielnéj władzy wydaćby z siebie nie mogło. Jest to jak widzimy błędne koło, z którego nie wiém przez jaki nowy figiel dyalektyczny, Stein się wydostał, bo na tym punkcie dzieło jego się urywa. Albo może ustrój rządowy rodzi się u niego gdzieś w chmurach, razem z piorunem Jowisza?

W gruncie rzeczy, pogląd Steina jest bardzo pospolity, mało gdzie nad poziom mierności sięgający. Po większéj części, jak to już nadmieniliśmy, odział on tylko w szatę oderwanych wyrażeń, zdawkowe, że tak rzeczem, pojęcia krążące u spółczesnych a w szczególności w najbliższém mu otoczeniu wiedeńskiém. Ztąd dzieło jego ma w naszych oczach wartość o tyle tylko, o ile uważać je zechcemy za zbiór systematyczny i jakie takie uzasadnienie mniemań dziś rozpowszechnionych, zwłaszcza w Niemczech. Lecz gdy autor stanął tylko pomiędzy swojemi spółczesnemi, na jednym z nimi poziomie,

ale nie wzniósł się wyżéj nad nich, potomność patrząc zdaleka, dojrzeć go w tłumie i wyróżnić nie będzie mogła.

Tłumaczowi p. D. F. należy się uznanie za wytrwałość, z jaką łamał się z oryginałem niemieckim. Że nie wszędzie z téj walki zwycięzko wyszedł, to obok trudności wykładu Steina nie może mu czynić ujmy. Styl tłumacza jednak często przeciw poprawności wykracza. Szkoda przytém że korrekta dzieła nie jest dość staranna. Znajdują się błędy druku przeistaczające myśl, czasem nawet w śmieszny sposób a jednak nie sprostowane w spisie omyłek. Przytoczymy nagłówek na str. 193, gdzie zamiast, jak zdaje się być winno: *Osnowa pojęcia społeczeństwa*, wydrukowano *Osnowa pocięcia społeczeństwa*.

F. Z.

Poezye Michała Bałuckiego. Kraków, 1874 r.

Utrzymują niektórzy, że minęły już czasy, w których wszyscy bez wyjątku, starzy i młodzi, mężczyzni i kobiéty, zdolni się byli entuzyazmować poezyą, w niéj nieraz szukając myśli przewodniéj lub słowa zagadki, zawartéj we wszystkich sercach. Owe czasy, w których z rzadkich egzemplarzy poezyi Mickiewicza, robiono sobie niezliczone kopje; owe czasy, w których wiersza każdego tego wieszcza uczono się na pamięć i zachowywano w pamięci do późnych lat, już minęły, ale téż i epigonów tego wieszcza szukać dziś nadarmo. Niechaj jednak odezwie się kto szczerą nutą, niech wypowié natchnioną mową nie starzejące się nigdy uczucia doli i niedoli człowieka, społeczeństwa lub ludzkości; a wnet się przekona, że głosu jego posłuchają wszyscy, co więcéj, że głosu tego posłuchają z wdzięcznością. Poezya bowiem nie przepadła jak chcą niektórzy, ani nie zagrzebaną została w dzisiejszym materyalistycznym kierunku. „Ona potrafi—jak mówi Krasiński—żyć wśród statków parowych i machin do młócenia, wśród morderstw i zawiłych rachub. Ona ludziom zostawi wszystkie dżdże ich burzy, a sama weźmie błyskawice i z chmury na chmurę, z odmian w odmiany, ze zwalisk na zwaliska przelatując, będzie mówiła o Bogu, o potępieniu wieczném i o wybranych, kiedy pod spodem toczyć się będą walki o budżet, o wolność lub ucisk, o kolonie lub interwencyę.“ Nie zda się tylko na nic, igrać czczą, choćby najmisterniejszą grą słów i tę wydawać za płód natchnienia; nie zda się téż w imię zdobytéj formy, uważać się za natchnionego wieszcza, za następcę tych kilku naszych genialnych mistrzów, którzy i życiem swojém, pełném boleści i trudu i polotem ducha zaczerpanym istotnie w wyższych regionach, nie skłamali nigdy ani na sekundę swemu powołaniu.

Nie myślimy tu kreślić szczegółowego obrazu najmłodszych poetów, ani klasyfikować ich według rodzajów poetycznych, w których się odznaczyć zdołali. To wszakże pewna, że prócz Asnyka (El....y), który jako liryk zdobył sobie wybitne stanowisko w najnowszéj naszéj literaturze, wielu innych, lubo podąża w jego ślady i lubo niezaprzeczoném odznacza się uzdolnieniem, przecież dotąd nie wzmocniło się stanowczo w raz obranym kierunku. Jedni jak Miron, a zwłaszcza Gomulicki, olśniewają wyrobioną formą artystyczną; błąkają się jednak ciągle jeszcze w sferze mimowolnego naśladownictwa, lub pięknych wdzięków rytmicznych, przez które głównie może nie sięgając w głębiny ducha, zdają się zrzekać dobrowolnie myśli nowych i oryginalnych.

Inni, piérwsze oddźwięki poetyczne swéj młodości, pisane z rozmaitych okoliczności, najczęściéj z młodzieńczego bólu serca zakochanych, ułożyli dojrzawszy, w sporą równiankę która jest jak gdyby zwierciadłem nadobnie odbijającém piérwsze ich wrażenia, marzenia i rozczarowania.

Z tego téż względu nie roszczą one pretensyi do wielkiego rozgłosu, do zrobienia epoki w téj gałęzi literatury, lecz są jakby naiwną spowiedzią, którą da się wysłuchać z pewném spokojném zadowoleniem.

Do téj kategoryi piszących poezye, liczymy p. M. Bałuckiego, którego nie wielki zbiorek poezyi wyszedł z druku w Krakowie. On sam potwierdza powyższe nasze słowa, mówiąc w przemowie:

„. . . spisywałem
Na pamiątkę, jako w lata młode,
Człek na ludzi patrzał i przyrodę."

Cała książka podzieloną została na cztery oddziały: 1) *Miłosne dzieje;* 2) *Scherzo;* 3) *Obrazy i obrazki;* 4) *Przekłady.*

Piérwszy dział zawiéra kilkanaście poezyi rozmaitéj wartości: jest kilka pospolitych, nie odznaczających się nawet wyborową formą; jest kilka znowu pełnych szczerości i wdzięku. Do takich zaliczamy: „Cygankę," „Sen nie sen", „Pożegnanie", „Na dobranoc", „W tęsknocie", „Na przebłaganie." We wszystkich jednak, jeden i ten sam dźwięk zwątpienia, rozpaczy i beznadziei, a nic męzkości i energii téj dzielnéj, którą np. Potöfi, umiał łączyć doskonale z miłosną skargą.

Co przykrzejsze, że smutek ten wydaje się w poecie nie szczery, czyli raczéj nastrojony nieszczerze, nie z owéj niepowstrzymanéj konieczności powierzenia wybuchu uczuć swych niememu świadkowi; i dlatego całe szeregi aniołów rozpłakanych i wszystkie girlandy kwiatów, któremi poeta z pewném upodobaniem garniruje groby, wydają się cokolwieczek dekoracyjnemi, sztucznemi i prawie teatralnemi. Opis uczuć w otoczeniu lub kontraście natury, będzie zawsze

kusił wdzięcznie poetów wszelkich rodzajów; lecz na wyjście zwycięzkie z téj pokusy, potrzeba koniecznie zapomnieć o rymach, a przeniknionym być na wskroś poczuciem prawdy, inaczéj osięga się wprost przeciwny efekt. Wyrazy bowiem tracą swą tragiczną wagę, niewzruszając bynajmniéj. „Grób“ np. wyraz, którym hojnie szafują młodzi poeci, a który też i p. Bałuckiego zanadto nawiedzał w tych piérwszych przejściach młodości, zobojętnia w końcu tak dalece czytelnika, że ten zniecierpliwiony gotów prawie zawołać: „Poco mi przyrzekasz w każdéj poezyi, że się z pewnością zabijesz, kiedy wiem że nawet tego przyrzeczenia niémasz w sercu?“

Powtarzamy, epoka to piérwszéj młodości poety, a zatém i piérwszych zaklęć tych niebacznych, które bajronizując sytuacyą, zagradzają odpływ rzetelnego liryzmu.

Wolimy przejść do części drugiéj, w któréj np. *Ślub* nazwany „Balladą studencką“, odznacza się lekkością i figlarną ironią. *Sen o Róży*, odznacza się wdziękiem poetycznym i tą samą ironią i zaczyna się powabnie:

„Uschnięta róża na listek podarty,
Schyliła główkę; i listek i ona,
Jak dwoje młodych, co z miłości skona,
W ramiona sobie niby w grób otwarty
Padłszy—leżały, a mnie smutno było
Pochylonemu nad kwiatków mogiłą;
I rozstroiła mi nerwy sielanka,
I żałowałem że jednego ranka
Zerwaniem, taką śmierć róży zadałem,
Gdy album lubéj ustroić w nią chciałem ....

A noc już była gdym tak patrzał w różę,
Gwiazdy mrugały na ciemnym lazurze;
Gwiazdy ja lubię, gwiazdy porą nocną:
Patrzałem w gwiazdy i zasnąłem mocno ....“

Niemniéj wdzięczne i tchnące świeżością są wierszyki p. t.: „Grzech pierworodny“, „Gawędka“ i „Nie w porę.“

Zarzucilibyśmy tylko zbyt lekkie prześlizgiwanie się przez poważną stronę życia i zbyt jednostajnie wyrażane, poczucie przyrody.

Na ten ton poważniejszy, głębszy, do którego poeta gdy chce umié się dostroić, natrafiamy już w trzeciéj części w wierszu: „Noc na Czorsztynie“, a mianowicie w „Dziwnym śnie“ w całém znaczeniu tego wyrazu pięknym i oryginalnym.

Prostotą formy, doskonale wyrażającą rzewność, odznacza się także wiersz: „Dla chleba“, zaczynający się od takiéj strofki:

„Góralu! czy nie jest ci żal
Odchodzić od stron ojczystych?
Świerkowych lasów i hal,
I tych potoków srebrzystych;
Góralu! czy nie jest ci żal? . . . .“

Oryginalnym jest wreszcie krótki wiersz, p. t. „Zimowym wieczorem.“

W czwartéj części znajdują się przekłady z Heine'go i Uhlanda: przekłady bardzo udatne, bo poeta umiał wniknąć w ducha nieporównanego lirycznego sceptyka, zatrzymując odpowiednią formę. „Donna Clara“, a zwłaszcza „Pielgrzymka do Kewlar“ mogą posłużyć za wzór przekładu z Heine'go, którego tak wielu podejmuje się nierozważnie.

W ogóle wrażenie tego zbiorku jest przyjemne, przeczyta się go szybko nie odkładając na późniéj. Jestto zdaniem naszém, niepospolity już przymiot, bo o ilużto „strunach“, „niezapominajkach“ i innych pretensyonalnie nazwanych zbiorkach poezyi, powiedzieć tego nie można. Nie myślimy téż z okazyi téj książeczki zapuszczać się w teorye estetyczne, wszakże nie możemy się powstrzymać od przypomnienia autorowi, że prawda i poezya, podstawami są każdego dzieła sztuki, a poeta *nieświadomie* tworząc obrazy i rytmy, łączy dwa te żywioły w syntezę wyższą i w ten sposób dochodzi do typów niezatartych, w których ludzkość przeglądać się lubi jak w swéj apoteozie. Téj apoteozy, że się tak wyrażę, tego podniesienia ducha żądamy od tych, którym nadajemy tytuł zaszczytny poety, nawet wtedy, gdy nam dają skromną tylko rozmiarem książeczkę poezyi.

E. L.

Botanika dla niższych i średnich klas gimnazyalnych i realnych, ułożona przez Bolesława Jerzykiewicza, *nauczyciela etatowego przy szkole realnéj w Poznaniu. Z 140 drzeworytami.* Poznań, nakładem Jana Konstantego Żupańskiego, r. 1874.

Spojrzawszy na tę książkę, mógłby nie jeden zapytać się, poco nowe kompendya do nauki, do któréj już tyle ich piśmiennictwo nasze posiada? Ale pytanie to nie okazywałoby należytego rozważenia rzeczy. Uczniów nie można odsyłać do dzieł które z księgarskich handlów wyczerpniętemi już zostały. Oni co rok nowi przybywają a każdy chciałby miéć książkę podręczną, jeżeli ma szczerą wolę nauczenia się przedmiotu. I dlatego nie dziwmy się że w niemieckiéj literaturzę, w któréj co rok wychodzą nowe książki podręczne (*Handbuch*), jest ich już tyle, że bibliografia spisem zaledwie ogarnąć

je zdoła. Nauczyciel przeto ma niepospolitą zasługę, gdy ułoży i wyda łatwą do nabycia książkę, wspierającą pamięć ucznia pragnącego korzystać z wykładu w szkole.

Botanika p. Jerzykiewicza dowodzi niezaprzeczenie że ten professor doskonale zna swój przedmiot i najsumienniéj go uczniom swoim wykłada. Taki nauczyciel wie zapewne, jak ma przedmiot rozłożyć dla swoich uczniów, ażeby ich doprowadzić do ostatecznego celu, to jest do poznania roślin. Jakoż dosyć jest przedmowę p. Jerzykiewicza przeczytać, ażeby uznać za dobry ten rozkład przedmiotu, jaki obrał, stosownie do podziału na klasy szkoły, przy któréj do wykładania nauki o roślinach powołany został. Botanika należy do tych części historyi naturalnéj, których w jakiéjkolwiek miejscowości krajów naszych będziemy uczyli, znajdziemy na około siebie dostateczną liczbę przedmiotów do okazania czém jest ta nauka, o co w niéj chodzi, o ile rozszerza granice wiedzy naszéj, prostuje nasze wyobrażenia o naturze jestestw razem z nami na tę ziemię danych. Te jestestwa żyją: pragniemy poznać warunki ich życia, i staramy się kilkaset roślin w drodze praktyki poznanych, znać lepiéj niż ogrodnik zna swoje kilkadziesiąt. Tymto sposobem botanika z użytecznego rzemiosła, wznosi się do nauki oświecającéj. P. Jerzykiewicz czuje to: on naucz poznania krajowéj flory, ale zna zarazem potrzebę oświecenia umysłu; przed jego oczyma nietylko obecną jest flora, ale fizyologia, układ przyrodzony i to wszystko co filozofią umiejętności stanowi. Potrzeba tu nie małego talentu pisarza, ażeby się wyrażać logicznie i jasno, godzić wyobrażenia abstrakcyjne z konkretnemi. Te uwagi czynimy spostrzegając że p. Jerzykiewicz w botanice ogólnéj terminologię z fizyologią połącza. Trudność takowego połączenia okazuje się w wielu wyrażeniach autora. Powiedział np. „skoro nasienie dojrzeje, roślina spełniwszy swe zadanie więdnieje i gnije (zapewne *ginie*), albo też pogrąża się tylko w dłuższy sen czyli letarg, z którego ją dopiero wiosna budzi i do nowego życia powołuje.“ W téj drugiéj części okresu, autor ma zapewne na uwadze drzewa, ależ są drzewa kwitnące i wydające owoce na początku lata, przez które potém wegietują, nim w końcu jesieni nastąpi ich letarg, a wiele roślin, np. wszystkie dwuletnie odbywają ten letarg nie wydawszy nasienia. W ogólnikach potrzeba być niezmiernie oględnym, ażeby wyjątki nie zaprzeczyły im prawdy. Ta prawda daleko oczywiściéj objawiałaby się przy szczególnych przedmiotach do których się stosuje. Uogólnianie podziałami jest, zwłaszcza dla uczniów, oschłością: autor nie unika ich nawet tam gdzie są zupełnie nie potrzebnemi. Mówi: „stosownie do tego jakie narzędzia mają przeznaczenie, nazwać można korzeń, łodygę i liście narzędziami odżywiającemi, kwiat zaś i owoc narzędziami rozrodczemi.“ Pytamy się czego ten podział uczy? Autor nawet jest tu sam w sprzeczności, bo powiedział wyżéj, że kwiat należy do liści. Powiedział: „z czterech okręgów liściowych tworzący się kwiat.“ Przypuszczając że wytłumacze-

nie tego zostawia sobie, jako nauczycielowi; mówi znowu daléj (s. 16), że „kwiat składa się zwykle z czterech okręgów liści kwiatowych.“ Jakież to pomieszanie wyobrażeń tam, gdzie można po prostu powiedzieć że w kwiacie rozróżniamy kielich, koronę i t. d. i pokazać te części! Autor rzecz tak widoczną objaśnia przez niepodobieństwo uczynienia, bo mówi: „Gdyby można oś kwiatu wydłużyć i t. d.“ Wszystko to dowodzi że morfologia i fizyologia są to nauki wymagające dłuższego wykładu, zatém nie mogą być wprowadzone w terminologią, bez przerywania uwagi potrzebnéj przy krótkiém wyliczeniu, ukazaniu i nazwaniu organów, które przedewszystkiém widzieć potrzeba. W obszernym kursie morfologii możnaby zastanawiać się nad tém, czy poziomka albo szyszka są właściwie owocem takim jak inne, ale nie można w przebiegu organografii potrącać o wyobrażenie że to są owoce *fałszywe* lub *pozorne* [1]), co wydałoby się każdemu dziwném, przyzwyczajonemu jeść poziomkę jako owoc i wiedzieć że szyszka zawiera nasiona.

Ośmieliliśmy się te kilka uwag nad Botaniką p. Jerzykiewicza uczynić, pewni że on, i prócz tego niemniéj jak my szczerém przejęty jest życzeniem, ażeby dzieło, którego wielokrotne nastąpią wydania, doszło do tego stopnia poprawności, jaką powinna się zalecać książka elementarna. Każde powiedzenie w takiéj książce potrzeba wszechstronnie myślą roztrząsnąć. Gdy np. powie autor: „Najczęściéj jest osadnik stożkowaty albo też płaski,“ najpobłażliwszy zoil zapyta się co tu jest najczęstszego? Przeciwko stylowi autora, który jest czystą polszczyzną, przeciwko nomenklaturze w któréj wyborze autor za większością botaników naszych poszedł, nie mamy nic do zarzucenia. Pragnęlibyśmy jednak wiedzieć dlaczego jarząb woli oznaczać nazwiskiem ptaka *jarząbek?* Przez wzgląd na polską pisownię wolimy pisać nie *fytologia* lecz fitologia, jak już piszemy *fizyologia*, *fizyka*, *fizyonomia*. Ale to są spostrzeżenia drobne, które nic nie ujmują wykładowi tak zręcznie prowadzącemu ucznia do zrozumienia metody naturalnéj i układu Linneusza, i kładącemu przed oczy mnóstwo roślin które znać potrzeba, a co wszystko koronę umiejętności stanowi. Książka p. Jerzykiewicza zasługuje na ostateczne udoskonalenie, nawet przez wzgląd na prześliczne i tak wierne wizerunki roślin w drzeworytach, czyniących zaszczyt i staranności o nie autora, i mistrzowskiemu wykonania rytownika.

Antoni Waga.

---

[1]) W łacińskiéj terminologii *fałszywy*, *udający się za co*, wyraża się przysłówkiem *pseudo*, a *spurius* znaczy *nieprawy*, to jest niewedług prawa powstały.

De Aureli Prudenti Clementis genere dicendi Quaestiones Dissertatio philologica quam... in publico defendet scriptor Antonius Erasmus Kantecki, Polonus, presbyter Posnaniensis. Monasterii. Ex typographia Theissingiana. MDCCCLXXIV. Stronnic 81 w 12-ce.

Ks. Kantecki, proboszcz poznański, zgłaszając się do Uniwersytetu Monasterskiego (Münster) o stopień doktora filozofii, obrał sobie za przedmiot do dyssertacyi ocenę zasług literackich i stylowych Prudencyusza, jednego ze znakomitych poetów chreścijańsko-rzymskich (wieku IV), dostrzegł bowiem, że ci poeci zamało dotychczas są znani, gdy studya literatury klasycznéj opierają się wyłącznie na pisarzach pogańskich (Horacym, Wergilim etc.). Podjął się przeto szanowny autor starannego zbadania wszelkich osobliwości językowych; wynotował mnóstwo rzeczowników, przymiotników, zaimków, słów i przysłówków, które Prudencyusz albo sam utworzył, albo ze starożytnéj mowy wskrzesił, kładąc nacisk przedewszystkiém na te wyrazy, które zyskały prawo obywatelstwa w pismach Ojców Kościoła i w późniejszéj literaturze teologicznéj. Szanowny autor sprawdza powagą Cycerona i pisarzy złotego wieku tak sposoby budowania tych wyrazów nowych, jako téż wartość form gramatycznych, archaizmów i licencyi napotykanych tu i owdzie w rozmaitych pismach Prudencyusza. Ta główna część dyssertacyi jest wykonana z wielkiém zamiłowaniem przedmiotu, z głębokiém wtajemniczeniem się we wszystkie przymioty studyowanego pisarza. Obok części ściśle filologicznéj znajdujemy w rozprawie krótką wiadomość biograficzną o Prudencyuszu z dowodzeniem, że wszystkie dzieła jego były napisane przed r. 405 po Chr. oraz ogólną charakterystykę poetów chrześcijańsko-łacińskich. Przytoczywszy słowa Skargi: że nauka Ducha Św. jest wyższą od filozofii i mądrości świeckiéj, ks. Kantecki, rozciągnąwszy to określenie na poezyą, twierdzi, że liryczno-religijne utwory Prudencyusza przewyższają dzieła złotego wieku Augustowego (s. 18). Wyższość tę jednak musi autor wskazywać tylko na treści, na duchu ożywiającym poetę, gdyż pod względem formy sam liczne wytyka mu wady (str. 20—23). Jakże atoli mamy przyznać palmę zwycięztwa nad Horacym w zawodzie *poetyckim* Prudencyuszowi, który popełnia błędy przeciwko przepisom wersyfikacyi, obraża zasady grzeczności i przyzwoitości literackiéj, kuje nowe wyrazy sprzecznie z duchem języka łacińskiego, jak to sam szanowny autor przyznaje? Poezya ma inną sferę i własne swoje wymagania; jakkolwiek więc żarliwie Prudencyusz wysławiać może męczeństwo Stefana, jakkolwiek zwycięzko i subtelnie (subtiliter et acute) mógł bronić dogmatu

o Trójcy Przenajświętszéj w swojéj „Apotheosis;“ wolelibyśmy widzieć go w poczcie pisarzy religijnych, teologicznych, nie zaś w rzędzie poetów, mistrzów formy i słowa.

Przypomnieć jednak winniśmy że ta niezgodność poglądu naszego z poglądem autora dotyczy nie głównego tematu, lecz ubocznych uwag jego. Co się tyczy głównéj części filologicznéj, powtarzamy wyrazy uznania dla sumienności i staranności, jaką we wszystkich szczegółach widzieliśmy.

T. K.

Wiestnik Europy. Petersburg, styczeń 1874.

Pan M. De Pule, niegdyś uczeń uniwersytetu Charkowskiego, zamieścił w pomienionym zeszycie czasopisma petersburskiego wspomnienia swojéj młodości, z okresu gdy był uczniem rzeczonéj wszechnicy. Wyjmujemy z nich kilka ustępów, jako mogących obchodzić naszych czytelników.

„Gwiazdami pierwszéj wielkości na widnokręgu uniwersytetu Charkowskiego, powiada autor na str. 88, byli wówczas (w latach 1830—1840) dwaj professorowie wydziału literackiego: *Łunin* i *Walicki;* obaj wyszli z instytutu professorskiego i ukończyli wykształcenie naukowe za granicą, gdzie też pozyskali stopnie uczone.“ Daléj (s. 92) powiada że Łunin w stosunkach z uczniami wcale tak popularnym nie był, jak Walicki na literackim, a Stepanow na prawnym wydziale.

Poświęciwszy obszerne i nader przychylne wspomnienie professorowi Łuninowi, rodem z prowincyi nadbałtyckich, autor przechodzi do charakterystyki Walickiego (str. 93—96) i tak opowiada: „Kolega Łunina z instytutu professorskiego, dzielący z nim poczęści sławę, pr. Alfons Walicki w wielu względach stanowił przeciwieństwo z Łuninem. Był on uczniem wszechnicy wileńskiéj i rodem z gubernii Wileńskiéj; w r. 1866 zastałem jeszcze w gimnazyum wileńskiém jego synowców (autor był jeżeli się nie mylimy dyrektorem tego gimnazyum). Gdy Łunin był zamknięty w sobie, Walicki przeciwnie miał charakter udzielający się, namiętny, gdyż lubił towarzystwo i żywą rozmowę a podobno hulankę. Na wieczorkach u niego, które wydawał zwykle w dnie uroczystości rodzinnych, bywało mnóstwo uczniów ze wszystkich wydziałów, bez żadnéj różnicy narodowości lub wyznania. W dnie te zwykle młodzież głośnemi objawami wypowiadała swe przywiązanie do ukochanego professora. Popularność Walickiego była bardzo wielka i zupełnie zasłużona, chociaż jéj nie szukał i nie zasługiwał się: zarobił na nią zdolnościami swemi, prelekcyami, sympatycznością charakteru i wzniosłością myśli. Był on bodaj zdolniejszym od Łunina, choć mu ustępował w erudycyi, w zasobach któremi rozporządzał jako professor i w pracowitości; zresztą materyał naukowy Walickie-

go był niepospolicie wielki. W uniwersytecie wykładał on język, literaturę i starożytności greckie, które znał doskonale; posiadał także język i piśmiennictwo rzymskie i prawie wszystkie przedmioty wydziału. Jedném słowem Łunin i Walicki byli najuczeńsi ze wszystkich professorów uniwersytetu Charkowskiego i należeli do rzędu najukształceńszych ludzi swojego czasu; lecz Walicki posiadał nadto talent, którego zgoła brakowało Łuninowi. Był on znakomitym, urodzonym mówcą; odczyty jego były to nieraz improwizacye porywające słuchaczy. Małego wzrostu, doskonale zbudowany, piękny był i miał głos nadzwyczaj silny i przyjemny; z całéj niewielkiéj postaci jego uwydatniało się najwięcéj czoło, i nie duże wprawdzie, lecz miotające iskrami oczy. Po rossyjsku mówił w potocznéj rozmowie zupełnie prawidłowo, lecz w używaniu mowy literackiéj miał nieco trudności, tak iż język jego odczytów i pism rossyjskich okazywał niejaką ciężkość, chociaż uniesieni słuchacze wcale na to nie zwracali uwagi. Sam to znał do siebie i dlatego chętniéj wykładał po łacinie, która wtedy jeszcze nie była obcą studentom. Wogóle stał on na wysokości ówczesnych wymagań uczoności klasycznéj; ale na nieszczęście wykładał taki przedmiot, do którego słuchacze jego zgoła nie byli przygotowani: mówię o języku greckim, którego jako tako uczono w jedném tylko gimnazyum Charkowskiém, z innych zaś gimnazyów okręgu przybywali uczniowie zaledwo umiejący czytać po grecku. Z takimi filologami cóż mógł począć najzdolniejszy i najuczeńszy professor! Jakoż Walicki nic nie mógł dokazać; słuchacze jego opuszczali wszechnicę równie lichymi hellenistami, jakimi byli z początku. Zresztą na kursach pedagogicznych, które wykładał dla studentów będących na koszcie skarbu, otwartym dla wszystkich, Walicki przynosił istotny pożytek w zakresie obu języków starożytnych, które tam wykładał i potrafił przygotować pewną liczbę dobrych nauczycieli gimnazyalnych. Ale temu niepowodzeniu greczyzny winien był i sam zdolny professor, właściwości jego talentu i owa oddawna charakteryzująca całe ciało uczone uniwersytetu, niedostateczność produkcyi naukowéj. Walicki był nietylko mówcą, ale i poetą. Powiadano iż przekładał na język polski Szekspira i to doskonale; nie wiem czy te tłumaczenia ukazały się w druku czy téż zostały w papiérach professora zmarłego w Charkowie w latach 1850 do 1860 [1]). Na uczniów prof. Walicki wpływał nie jako uczony, ale

---

[1]) Walicki umarł 24 października 1858 r. Spis poniższy rożnorodnych prac jego, nie znanych autorowi artykułu, może przekona że uczony nasz rodak nie podlega zarzutowi próżniactwa, którym pan De Pule obarcza go na równi z jego kolegami Charkowskimi. W r. 1838 Walicki napisał rozprawę na stopień doktora *De Cornelis Nepote*, w Dorpacie. Po polsku z druku wydał przekład: *Fausta* Göthego w Wilnie, 1844; Króla Edypa Sofoklesa, Wilno, 1845 r.: po łacinie ogłosił w Charkowie, 1839 r. *De cyclo epico*, oraz tamże

jako poeta i mówca, swojém tłumaczeniem na język rossyjski i łaciński wieszczów Grecyi, szczególniéj Homera i tragików; wpływał więc estetycznie, a zatém znowu artystycznie, jak Łunin, a nawet mniéj od niego, bo ogromne prace naukowe tego ostatniego każdy miał na oczach, o uczonych zaś utworach Walickiego nie było mowy. Nie wiemy czy przeżył później Walicki swoją sławę i czém był w lat 10—15 po tém; ale w latach 1840—1850 wpływ jego moralny był wielki i czysty pod każdym względem, pomimo nawet że trzymał pensyonarzy i aspirantów na studentów, co jednak nie broniło ich od niebezpieczeństwa *oberżnięcia się* na egzaminach. Przynajmniéj *pensyonerstwo* to nie zrażało doń uczniów wydziału literackiego, może dlatego iż żaden z nich nie mieszkał u Walickiego [1]). Jakkolwiekbądź Walickiego więcéj od Łunina kochano. Otaczały go zawsze tłumy studentów, z któremi uprzejmie rozmawiał i witał się, gdy z Łuninem spotykali się niechętnie, bo ten miał tę oryginalność, że się nie lubił kłaniać i gawędzić. Walicki okazywał się zawsze najczynniejszym pomocnikiem w potrzebach studenckich, najdzielniejszym orędownikiem w biédzie i napaściach w obec rady uniwersyteckiéj i niesympatycznego rektora (Artemowskiego). W ciągu zawodu professorskiego spotkała go nie jedna owacya. Opowiadano o jednéj takiéj, zaszłéj w latach 1830—1840, przed naszém wstąpieniem do wszechnicy, iż gdy przez Charków przejeżdżał pewien głośny uczony francuzki, *baron de Barantes*, jeżeli się nie mylimy, zwiedzając uniwersytet, zapragnął posłuchać takiéj prelekcyi, któraby dlań była dostępną. Rektor zaprowadził go na odczyt Walickiego, któremu nie mogło być wiadome życzenie podróżnika. Po wejściu jego do auditoryum, przerywając prelekcyę, professor począł wykładać po łacinie o zasługach uczonych francuzkich w badaniu starożytności klasycznych. Z odczytu zrobiła się świetna improwizacya, którą uczony francuzki oczarowany został. Po tém

---

Cyropedyę Ksenofonta z uwagami w rossyjskim języku i słowniczkiem, 1848 r. W rękopisie zostawił przekład jednéj tragedyi Eurypidesa, oraz mów Eschinesa i Demostenesa, z komentarzami; drugą *część Fausta* i oryginalny dramat *Zbigniew*, nadto nie wykończoną *Historyą literatury greckiéj*, dzieło obszernych rozmiarów, oraz w języku rossyjskim obszerny rękopis prelekcyi swojch o liteteraturze greckiéj i katalogi monet gabinetu numizmatycznego w Charkowie.

[1]) Jedną z plag zarażających ówczesną korporacyę professorską (powiada autor na str. 89) było trzymanie pensyi studenckich, stanowiące wcale piękny dochód, którym niestety, zajmowali się godni zkądinąd i utalentowani professorowie. Tacy panowie pobudowali sobie kamienice i wille, utrzymywali ekwipaże, żyli po pańsku i jeżeli nie obracali swéj profesyi w rzemiosło, to w krótkim czasie pogrążali się w nieprzespane lenistwo, które i prócz tego szpeciło społeczność prowincyonalną.

około 1845 r. opowiadano o bytności w Charkowie *Bielińskiego* (znakomitego krytyką rossyjskiego) i o znajomości jego z Walickim, o którym podobno się wyraził iż jest „gwiazdą pierwszéj wielkości.“ Po latach dziesięciu, będąc jednym z deputatów uniwersytetu na stuletni jubileusz uniwersytetu moskiewskiego, Walicki na tym obchodzie miał najświetniejszą mowę, poczynającą się od słów: *Charcovia nos mittit.* Słuchającym go w ciasném auditoryum nr. 1, mimowoli przychodziło na myśl, że tutaj mu za ciasno, że miejsce dlań nie na katedrze professorskiéj, ale na trybunie; nasuwało się także porównanie z drugim niepospolitym talentem krasomówczym, który naówczas w Charkowie inną katedrę, kościelną zajmował: z arcybiskupem *Innocentym.* Lecz niezwykłą sympatycznością głosu, zdolnego w razie potrzeby grzmiéć piorunami, namiętnością i w ogóle środkami zewnętrznemi professor Walicki, zdaniem naszém stał wyżéj od Innocentego, chociaż ustępował mu w głębokości, pomiarkowaniu i sile talentu. Lecz powtarzamy, wpływ jego na uczniów ograniczał się właśnie tylko stroną artystyczną, jako świetnego mówcy i piérwszorzędnego deklamatora, znakomitego objaśniacza arcydzieł umysłu greckiego, którego język jednakże niemym był dla jego słuchaczy.“

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— *Listopad, 1874 r.* Pism Kazimierza Brodzińskiego wyszedł tom VIII, z wizerunkiem poety. Na nim w końcu czytamy, że to już ostatni. Tak w prospekcie jak i na karcie tytułowéj czytamy, iż edycya ta, jako zupełna, obejmie wszystkie prace Brodzińskiego i jego życiorys. Tymczasem w ogłoszonych tomach, życiorysu niéma, do którego cenny jest materyał w pamiętnikach samegoż śpiewaka Wiesława; opuszczono przekład słynnego romansu Goethego: *Cierpienia młodego Wertera*, który w swoim czasie tak silne w tém tłumaczeniu właśnie wywarł wrażenie na społeczność, oprócz wielu rozpraw, które znają miłośnicy literatury ojczystéj. Na te zarzuty J. I. Kraszewski wydawca podał do czasopisma „Kłosy" objaśnienie, które dosłownie powtarzamy: „Nie odpowiadaliśmy dotąd na dochodzące nas z różnych stron zapytania, tyczące się pozostałych pism Kazimierza Brodzińskiego, sądząc iż w krótkim czasie będziemy mogli odpowiedzieć na nie czynem, a nie słowem: to jest wydaniem pozostałego jeszcze obfitego materyału biograficznego, korrespondencyi i pism okolicznościowych. Gdy jednak z powodów od nas niezależnych, prawdopodobnie najciekawsze to dopełnienie opóźnić się musi, czujemy się w obowiązku uspokoić słusznie troskliwych o los pism Brodzińskiego, których brakuje w wydrukowanych ośmiu tomach. Otrzymane przez nas rękopisma i druk w początkach nie dozwalały obrachować ściśle rozmiarów wydania: sądziliśmy, że w sześciu tomach wszystko i materyał biograficzny nawet się pomieści. Winą być może naszą ta mylna rachuba, lecz, nawet z pomocą wprawnych zecerów, z powodu wielkiéj rozmaitości rękopismów, formatów i druków, ścisłe oznaczenie objętości było niemożliwém. Biografia i pisma okolicznościowe, oraz poezye niektóre z lat piérwszych, w planie zawsze przeznaczone były do ostatnich tomów. Chcąc ściśle dotrzymać słowa przedpłacicielom, pozostawał tylko jeden środek poświęcenia dla nich ś. p. Brodzińskiego i obcięcie wydania, które jak najzupełniejszém być miało. Przyznajemy się ochoczo do téj winy, żeśmy woleli poświęcić przedpłacicieli i na ich gniéw się narazić, równie jak na niezadowolnienie nakładców, niż edycyę uczy-

nić obciętą i nie pełną. Wiemy, że tak jak ona jest, zostawia wiele do życzenia, składało się na to wiele warunków, bo inaczéj być nie mogło. Poświęciliśmy nawet nasze osobiste względy miłości własnéj dla spełnienia obowiązku wedle sumienia. Mamy téż nadzieję, że i pozostałe pisma uda się nam wkrótce dołączyć do tego zbioru, który dla dziejów piśmiennictwa naszego, niezaprzeczenie, wysoką miéć będzie wartość. Choćby trochę połajano i pogniewano się nawet, cóż to szkodzi, byle sprawa sama na tém nie cierpiała."

Drezno, 18 listopada 1874 r.

— T. B. Macaulaya: *Dzieje Anglii*, wyszedł tom X i ostatni, w tłumaczeniu Adolfa Pepłowskiego. W końcu dodany jest spis alfabetyczny obejmujący str. 68 i objaśnienie jak się wymawiają imiona własne, częściéj w tém dziele spotykane. Stosownie więc do prospektu znakomite to a obszerne dzieło, dzięki gorliwości wydawcy, prof. A. Pawińskiego, mamy w całości przyswojone literaturze naszéj w nader staranném wydaniu.

— Z wydawnictwa czasopisma „Przyroda i Przemysł" wyszło dzieło p. n. *Rozbiór teoryi Darwina, czyli geneza gatunków ze stanowiska racyonalnéj krytyki, przez T. Skomorowskiego*, z 38 drzeworytami w tekście. Warszawa, 1873 r. (w 8-ce str. 211). Jestto praca godna poważnéj krytyki.

— Nakładem księgarni Stanisława Arcta w Lublinie, wyszła: *Mała gramatyka języka polskiego* Augusta Jeske, w drugiéj edycyi. Jestto część znanego wydawnictwa p. n. *Systematyczny kurs nauk*, którym autor nieocenione położył zasługi, dając go rodzinom naszym, jako książki pomocnicze w domowém wychowaniu.

— Wśród wielkiéj liczby kalendarzy jaka na rok 1875 w Warszawie wydaną została, wspomnieć należy o *Kalendarzu Powszechnym*, nakładem Juliana Korzeniowskiego drukarza (w 8-ce, cena kop. 25). Tytułem przypomina on dawny kalendarz przed czterdziestu laty wydawany przez K. L. Niezabitowskiego. Zdobią go drzeworyty, a na czele kolorowana rycina, przedstawiająca hołd *Trzech króli*. Z artykułów treści literackiéj, wspomnieć musimy zajmującą pracę p. Aleksandra Walickiego: *Przyczynek do zbioru przysłowiów naszych, z powodu świeżo wydanego dzieła A. Weryhy-Darowskiego*. Nasze pismo dało o nim obszerne sprawozdanie; w rozprawie p. Walickiego znajdujemy wiele drogocennych objaśnień.

— Księgarnia Gebethnera i Wolffa ogłosiła prospekt na prenumeratę zbiorowego wydania dzieł Wincentego Pola, na rzecz rodziny autora, którego publikacyą zajmuje się księgarz lwowski F. H. Richter. Całość ma objąć ośm tomów wielkiéj 8-ki, z portretem na stali: każdy o 30 arkuszach druku, w ozdobnéj i starannéj edycyi. Co kwartał zaczynając od 1 stycznia 1875 r. wyjdzie tom jeden. Piérwszy zawierać będzie: 1) *Wit Stwosz*, poemat z pomników historycznych XV wieku; 2) *Pachole hetmańskie*, dyaryusz i 3) *Z wyprawy wiedeńskiéj*, rapsod rycerski.

— W Wilnie drukiem J. Zawadzkiego, wyszła rozprawa p. n.: *Leczenie cholery z postrzeżeń praktycznych,* napisał lekarz Jan Życki (w 12-ce, str. 67).

— W „Gazecie Kieleckiéj“ spotykamy zajmujący opis starożytnego miasta, dziś osady Pilicy. Między szczegółami historycznemi, w które ten artykuł obfituje, jest przytoczony napis nagrobkowy z r. 1774, przedstawiający ducha ówczesnego prawodawstwa karnego. Nagrobek jest w kruchcie kościoła OO. Reformatów, ponad kropielnicą, a napis na nim następujący:

Teklę z imienia, z przezwiska Białecką,
Z cnót wyboryczną, a z męża Piasecką,
Siekierą sługa zabił w nocy panią,
Mąż, Michał, prosi o westchnienie za nią.
Prosi i za nim, bo w pokutnym ryku,
Odebrał karę w pośród miasta rynku;
Rękę odcięto, kleszczami szarpano,
W końcu na ćwierci za żywa siekano.

— Mikołaj Iwaniszew, były professor prawa i rektor uniwersytetu kijowskiego, autor kilku rozpraw o prawie rossyjskiém i czeskiém, drugi prezes komisyi kijowskiéj do rozpatrywania akt dawnych, wydawca wielu materyałów do dziejów Rusi południowéj, zmarł dnia 14 (26) października w Kijowie r. b. Znany jest rozgłośny spór o te materyały, a raczéj o niewłaściwe z nich wywody, toczone między Iwaniszewiczem a Zenonem Fiszem (Padalicą) w *Kuryerze Wileńskim* 1860 i 1861 r. Obszerniejszy życiorys i ocenienie działalności literackiéj Iwaniszewicza dał Julian Bartoszewicz w *Encyklopedyi Powszechnéj* t. XII, str. 736 i nast.

— Zbiór materyałów do topografii historycznéj Kijowa i jego okolic, wyszedł w Kijowię w języku rossyjskim, staraniem tamecznéj komisyi archeograficznéj. Książka zawiera dokumenta i świadectwa dawnych pisarzy od r. 1018 do końca zeszłego wieku. Zbiór ten ma wagę i dla historyków polskich.

— W listopadowym zeszycie Biblioteki Warszawskiéj wspomnieliśmy już że hr. Engeström, członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, które na kongresie archeologicznym w Sztokolmie reprezentował, współpracownik naszego pisma, na oddzielném posłuchaniu złożył królowi szwedzkiemu Oskarowi II w imieniu pomienionego Towarzystwa, Album Kopernika. Bliższe tego szczegóły możemy podać z listu hr. Engeströma.

„Przybywszy do Szwecyi dowiedziałem się z dzienników krajowych, że miasto Toruń (Niemcy) ofiarowali królowi szwedzkiemu, jako uczonemu i protektorowi sztuk i nauk, wydania dzieł niemieckich o Koperniku, które wyszły z okazyi obchodzonego przez nich jubileuszu, na cześć wielkiego astronoma, ich rodaka Toruńczyka. Oko-

liczność ta podała mi myśl i obowiązek złożenia książek polskich i medalu naszego jako przypomnienie rzeczywistéj narodowości Kopernika i jubileuszu, który obchodziliśmy, podając piérwsi do niego inicyatywę. W obec króla szwedzkiego nie mogłem oficyalnie występować jako Polak, będąc jego poddanym i obywatelem szwedzkim, zniósłszy się więc z Towarzystwem Przyjaciół Nauk w Poznaniu, wystąpiłem z ofiarą w imieniu Towarzystwa, które na kongresie miałem zaszczyt reprezentować. Uzyskawszy audyencyę złożyłem w imieniu tegoż Towarzystwa, *Album Kopernika*, jego życiorys przez Polkowskiego i medal na pamiątkę jubileuszu wybity, w oprawach i futerale staranuie do okoliczności zastosowanych. Składając ten dar królowi, odezwałem się następnie:

„Najjaśniejszy Panie! Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu, którego jestem członkiem i które miałem honor na kongresie antropologii i archeologii przedhistoryczněj tutaj w Sztokolmie przedstawiać, włożyło na mnie zaszczytny obowiązek, zastąpienia go jeszcze dzisiaj w obec Jego Kr. Mości. Towarzystwo to Naukowe polskie, wiedząc że J. Kr. Mość jesteś światłym przyjacielem i opiekunem nauki i sztuki, dowiedziawszy się nadto, że raczyłeś łaskawie przyjąć ofiarę wydawnictw niemieckich, tyczących się jubileuszu Mikołaja Kopernika obchodzonego w Toruniu, uważa za miły obowiązek, uzupełnić te zbiory, składając przezemnie u nóg J. Kr. Mości, wydawnictwa polskie, oraz medal wybity na cześć wielkiego astronoma polskiego, którego czterechsetną rocznicę narodzin w mieście Toruniu uroczyście obchodzili Polacy.“

Król przyjął ofiarowane mu książki bardzo uprzejmie; zajął go wielce medal, gdyż jest wielkim lubownikiem takowych i znaczne posiada zbiory, i zlecił mi oświadczyć Towarzystwu królewskie jego podziękowanie.“

— D-r Zygmunt Celichowski bibliotekarz słynnego księgozbioru hr. Działyńskiego w Kórniku, dał nam szczegółowe opisy dwóch bibliograficznych osobliwości, jakie w tym zbiorze się znajdują: 1) *Ars moriendi. Druk ksylograficzny.* Opis egzemplarza biblioteki Kórnickiéj. Toruń 1874 r. (w 12-ce str. 15): 2) *Kalendarze polskie* na rok 1528 i 1529 według egzemplarzy biblioteki Kórnickiéj. Poznań, 1874 r. (w 8-ce str. 16).

— W Krakowie zaczął wychodzić *Przegląd miesięczny* od 1 października r. b. pod redakcyą Dr. Ignacego Skrachowskiego. Jest to przedruk niektórych tylko rozpraw z *Przeglądu Polskiego.*

— *Przewodnik Naukowy i Literacki*, jako dodatek do Gazety Lwowskiéj, rozpoczął już rok drugi istnienia i zaleca się doborem rozpraw żywo obchodzących dzieje naszéj przeszłości.

— Bronisław Zawadzki tłumacz Estetyki Lemckiego, wydał obszerną monografią p. n. *Mikołaj Rej z Nagłowic.* (Lwów, nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta, 1875 r. w 8-ce str. 92). Dzieli się na następne działy: 1) Czas Reja; 2) Żywot Reja, 3) Pis-

ma Reja, 4) Pogląd krytyczny. Jest to jedna z najdokładniejszych monografii tego pierwszego pisarza polskiego, wyczerpująca umiejętnie przedmiot obrany. Szacowne te studya oparte na znajomości tak wieku w którym ta znakomita postać występuje, jak i pism Reja, które do nas doszły, dają rzetelny wizerunek tego samodzielnego geniuszu XVI stulecia.

— We Lwowie ruch literacki znacznie się ożywił, oprócz dwóch pism tygodniowych literackich, jak *Ruch Literacki* i *Tydzień*, oprócz wydawnictwa dzieł Wincentego Pola, zamierzoną jest publikacya zupełnego zbioru utworów jednego z piérwszych powieściopisarzy galicyjskich, ś. p. Józefa Dzierzkowskiego.

— W zeszłym miesiącu r. b. we Lwowie odbyła się doroczna uroczystość *Zakładu narodowego Imienia Ossolińskich.* Nowo mianowany skryptor Zakładu dr. Stanisław Smolka czytał obszerne sprawozdanie, z którego dowiedzieli się obecni, że sporządzono katalog darowanéj Zakładowi biblioteki Przeworskiéj, i zawiązano stosunki z *Biblioteką Warszawską*, jako też z akademią nauk w Krakowie. Ilość dzieł unikatów przedstawia znakomitą cyfrę 67,000 tomów. Następnie przemówił p. August Bielowski o konieczności publicznych sprawozdań z czynności Zakładu, i wspomniał o mającym się wydać „Pamiętniku St. Jabłonowskiego.“

— Kraków 3 listopada. Październikowe walne prywatne zebranie Akademii umiejętności odbyło się dnia 31 października nie o 12-éj, ale z przyczyny pogrzebu ś. p. Andrzeja Zamoyskiego, o godzinie $3^1/_2$. Z członków zamiejscowych wzięli udział: August Bielowski, hr. Maurycy Dzieduszycki, Antoni Małecki, Dr. Feliks Strzelecki. Dr. Zygmunt Węclewski, Dr. Wawrzyniec Żmurko.

Prezes Akademii zdawał imieniem zarządu sprawę z bieżących przedmiotów od ostatniego prywatnego posiedzenia (2 maja). Potwierdzenia Najwyższego oczekują dotąd wybory dwóch członków z W. księztwa Poznańskiego, wszystkich wybranych (z wyjątkiem Dr. Wł. Spasowicza) z Królestwa Polskiego i Rossyi. W ciągu ostatnich miesięcy poniosła Akademia stratę przez śmierć pełnego zasług około historyi kościoła polskiego Augusta Theinera, którego pamięć przez powstanie uczczono. Na wniosek komisyi historycznéj akademickiéj, zgłosił się zarząd Akademii do ks. Władysława Czartoryskiego z prośbą o przeniesienie jego historycznych zbiorów do Krakowa, na co otrzymał odpowiedź pełną najlepszéj dla sprawy tego przeniesienia chęci. Rzecz jest w toku a przy gorliwości tak ks. Czartoryskiego jak i miasta Krakowa, dla sprawy nauki będzie zapewne w blizkim czasie załatwioną. Akademia na propozycyę wydziału filozoficznego uniwersytetu krakowskiego a za zgodą hr. Kazimierza Wodzickiego i ministerstwa oświaty, otrzymała zbiór ornitologiczny imienia hr. Kaz. Wodzickiego, który włączony został pod tém nazwiskiem do zbiorów komisyi fizyograficznéj. Na kongresie archeologicznym w Sztokholmie zastępował Akademię J. I. Kraszewski,

członek jéj; na uroczystość otwarcia uniwersytetu w Zagrzebiu wysłano tylko adres w łacińskim i polskim języku, o ile, że uroczystość ta nastąpiła w czasie feryj akademickich. Akademia podjęła się w skutek wezwania pana ministra spraw wewnętrznych pomocy i nadzoru przy tłumaczeniu ustaw większéj objętości i ważności na język polski. Otrzymano w ciągu ostatnich miesięcy zapis 750 rubli srebrem po ś. p. Henryku Cywińskim w Królestwie Polskiém, spadek spornéj summy około 12,000 złp. po ś. p. kanoniku Pękalskim nadzw. członku Akademii. Nadchodziły także acz nieliczne dary w książkach, manuskryptach i zabytkach archeologicznych.

Z nowych druków przedstawiono członkom: Sprawozdania i rozprawy wydziału filologicznego tom I, Kodeks dyplomatyczny kościoła katedralnego św. Wacława w Krakowie, tom I (od 1166 do 1366), opracował Dr. Fr. Piekosiński, wydawnictwo komisyi historycznéj akademickiéj. Sprawozdań fizyograficznych tom VIII; Niemiecko-polskiego słownika prawniczego wydanie drugie pomnożone. Opuszczą niebawem prassę: Sprawozdań historyczno-filozoficznego wydziału tom II i III, Sprawozdań filologicznego wydziału tom II, Sprawozdań matematyczno-przyrodniczego wydziału tom I. W druku zaś są: A. Walewskiego: „Dzieje bezkrólewia po śmierci Jana III," Z. A. Helcla „Prawo prywatne polskie (jako tom I pism pośmiertnych); Franciszka Medekszy „Księga pamiętnicza" (*Scriptores rerum polonorum* tom III), Pamiętniki I, II, i Pamiętniki III wydziału.

Z kolei przyjęto projekt budżetu na rok 1875 i wnioski zarządu tyczące się nabycia domu sąsiedniego przy gmachu akademii. Upoważniono zarząd do przejścia cyfry na korektę przeznaczonéj, (któréj przedtém wcale w budżecie nie było), wrazie uznanéj potrzeby i podwyższenia jéj z summy na nieprzewidziane wydatki (na wniosek hr. Dzieduszyckiego zmodyfikowany przez pp. Altha i Karlińskiego). Ustanowiono na wniosek D-ra A. Małeckiego komisową sprzedaż wydawnictw akademickich we Lwowie. Postanowiono na wniosek zarządu rozsyłać dzieła akademii gimnazyom i szkołom realnym w kraju, jak niemniéj czytelniom młodzieży przy obu uniwersytetach. Postanowiono dać subwencyę na ostatni tom p. O. Kolberga: „Opis ludu krakowskiego."

Przystąpiono do wyboru kandydatów na posiedzeniu publicznem d. 4 maja ogłoszonych. Wybrano jednogłośnie pp. Aleksego Uwarowa, prezesa komisyi archeologicznéj w Moskwie, H. Zeissberga, prof. uniw. w Wiedniu, D-ra Bronisława Radziszewskiego profesora we Lwowie.

Z funduszu ś. p. Konarskiego na wsparcie ubogich uczniów, który w ciągu lat kilku wzrósł procentami do summy, przynoszącéj rocznie 350 złr., postanowiono utworzyć od 1 października p. r. dwa stypendya po 175 złr. w. a. dla uczniów uniwersytetu krakowskiego: jedno dla ucznia wydziału filozoficznego lub prawniczego, pracującego w kierunku historycznym, drugie dla ucznia wydziału filozoficz-

nego lub lekarskiego, pracującego w kierunku przyrodniczym. Stypendyści biorą na siebie obowiązek pracowania 6 godzin tygodniowo, pierwszy przy zbiorach komisyi historycznéj, drugi przy zbiorach komisyi fizyograficznéj akademickiéj.

Z wdzięcznością dla bezimiennego dawcy, który już dwóch premij w tym roku na wynagrodzenie prac naukowych akademii udzielił, postanowiono ogłosić nowe premium 300 rubli z procentami do 31 października 1876 roku, za najlepszy opis części ziem dawnéj Polski, (województwa, powiatu, ziemi).

Akademia umiejętności w Krakowie podaje: *Ponowione ogłoszenie konkursu.* Akademia umiejętności w Krakowie otrzymała od niewiadomego dawcy (695 złr. w. a.) z przeznaczeniem na nagrody za najlepsze dzieło lub wynalazek, ogłoszone drukiem lub w rękopiśmie nadesłane akademii w ciągu bieżącego i zeszłego roku, w przedmiocie: 1) rolnictwa i gospodarstwa wiejskiego; 2) leczenie chorób epidemicznych i zaraźliwych ludzi lub zwierząt. Donosząc o téj ofierze, nadmieniamy zarazem, że nagroda mająca uwieńczyć pracę z każdego z wyżéj wskazanych zakresów, wynosić będzie połowę całkowitéj na to przeznaczonéj kwoty, to jest 347 zł. 50 ct. Prace nadsyłane być mają pod adresem „Akademia Umiejętności w Krakowie," do biura lub na ręce sekretarza téjże, najpóźniéj po koniec roku przyszłego. W razie nadesłania pracy w rękopiśmie, autor zaopatrzy ją godłem, które powtórzy na osobnéj kopercie, zawierającéj w sobie jego nazwisko i dokładny adres. Przyznanie nagrody ogłoszone będzie z początkiem maja 1876 r. na publiczném posiedzeniu akademii, poczém wypłata jéj nastąpi niezwłocznie. W Krakowie, d. 4 listopada 1874 r. D-r J. Szujski, sekretarz generalny Akademii.

Dnia 6-go listopada w téjże Akademii odbyło się posiedzenie komisyi historycznéj akademickiéj. Z kolei wydawnictwa komisyi następują: Księga pamiętnicza Franciszka Ks. Medekszy (z XVII w.) jako *Scriptores rerum polonicarum* tom III, *Analecta historica saeculi decimi quinti* jako tom II *Monumenta medii aevi historica.* Pan Szujski zawiadomił komisyę że „Teki Naruszewicza," największy zbiór materyałów do historyi polskiéj, zbierany z polecenia Stanisława Augusta dla biskupa historyka, za wolą ks. Wł. Czartoryskiego w najbliższym czasie już do Krakowa do użytku akademii przeniesione zostaną, nim zbiory księcia w całości umieszczone będą w Krakowie. Nie tak pomyślnie jak z księciem Wł. Czartoryskim i miastem Krakowem poszła sprawa z sejmem krajowym, co do odebrania obu archiwów aktów ziemskich i grodzkich pod zarząd wydziału. Z projektu komisyi historycznéj, wypracowanego przez dra. M. Bobrzyńskiego, a przedstawionego referentowi sprawy archiwów p. Pietruskiemu, przeszły wprawdzie do izby dwie poprawki wydziałowego projektu: to jest warunki kwalifikacyi naukowéj urzędników archiwalnych i równość obu dyrektorów archiwów krakowskiego i lwowskiego; atoli sejm nie uznał sprawy ani za nagłą, ani za dość dojrzałą i odesłał ją w trzecim już tygodniu swéj sessyi do komisyi prawniczéj, co równa-

ło się uchyleniu jéj z porządku dziennego. Komisya prawnicza, pod przewodnictwem d-ra Kabata, na wniosek d-ra Rydzowskiego, jako referenta, przyjęła w całości myśli projektu komisyi historycznéj, oraz poleciła je wydziałowi. Pan Szujski objawia przeto życzenie, aby w ciągu roku przed sessyą przyszłą sejmową, za pomocą rozpraw drukowanych wyświecić sprawę archiwów krajowych, podnieść ich ważność, oraz przedyskutować ich najlepszą przyszłą organizacyę, przez co traktowanie téj sprawy na przyszłém posiedzeniu sejmowém ułatwićby się mogło. Nie należy téż wątpić, że sprawa ta przy gorliwości członka wydziału Pietruskiego wcześnie dostanie się na stół izby, i ostatecznie załatwiona będzie. Przedstawiono następnie komisyi rękopisma: *Judica bannita villae Jadowniki*, *Liber formularum* XV-go wieku i szczątki *Liber formularum* z XIV-go wieku, mieszczące akta tyczące się dyecezyi wrocławskiéj, przesłane komisyi przez p. Okaza, nauczyciela gimnazyalnego w Tarnowie; zbiór listów do konfederacyi radomskiéj, nadesłane przez p. W.; *Liber formularum* z końca z XV wieku nadesłany przez ks. Cz. P. Franciszek Kluczycki, wnosząc przepisanie materyałów do Jana III-go w kilku zbiorach, które przeglądał, przedstawił komisyi *Silva rerum* od lat 1669—1673, układane prawdopodobnie pod okiem biskupa A. Trzebnickiego i mieszczące téż rzeczy nowe i ważne. D-r Franciszek Bylicki odczytał sprawozdanie o *Consulariach* krakowskich, razem z opisem tychże zewnętrznym, zwracając na zawarte w nich historyczne wiadomości uwagę komisyi, przyczém powzięto wiadomość, że znaczną część najstarszego tomu *Consulariów* (1398 r.), odpisał już p. St. Link, członek komisyi. Z lwowskiego grona komisyi historycznéj otrzymano zawiadomienie o posiedzeniu d. 4-go października, na którém d-r St. Smolka zdawał sprawę z podróży odbytéj po W. Ks. Poznańskiém i Prusiech, w sprawach III-go tomu *Monumentów Poloniae* A. Bielowskiego. Obszerne sprawozdanie d-ra Smolki, bogate w wiadomości o archiwach tamtejszych, i nowe zdobycze rękopiśmienne, drukowane będzie w *Rozprawach akademickich*. Grono lwowskie przesłało zarazem dalsze prace około repertuaru historycznego.

— Otrzymaliśmy *Przeglądu Krytycznego* wychodzącego w Krakowie nr. 1 z dnia 21 października, pod redakcyą Wincentego Zakrzewskiego, a nakładem tamecznego księgarza Adolfa Otremby. Obejmuje przeglądy najnowszych prac teologii: „Encyklopedya kościelna“ ks. Michała Nowodworskiego, ks. A. Krechowickiego: „Nauki niedzielne.“ Z filozofii: „Elementarna logika“ Dra prof. Struve'go; Juliusza Niemirycza: „Filozofia historyi prawa.“ Z historyi Dra W. Kętrzyńskiego: „O narodowości polskiéj w Prusiech Zachodnich.“ Al. Hirschberga i K. Rõmera: „O życiu i pismach Justa L. Decyusza“. Cypryana Walewskiego: „Marcin Kromer.“ Z archeologii i sztuki B. Wilczyńskiego: Stanisław Moniuszko i sztuka muzyczna narodowa.“ Z nauk prawnych, lekarskich, z poezyi i powieści, przekład Odyssei przez L. Siemieńskiego. T. T. Jeża powieść „Żarnica“ i Jordana „Wędrówki Delegata.“ W formacie jak *Przegląd* powyż-

szy i treści tejże saméj, wychodziła w Warszawie przed pół wiekiem z górą *Gazeta literacka*. Piérwszy jéj numer ma datę 2 stycznia 1821 r. i co tydzień arkusz obejmowała. Oprócz przeglądów krytycznych dzieł polskich, które rzadziéj się niż teraz pojawiały, mieściła przeglądy literatury zagranicznéj, z publikacyi angielskich, niemieckich, francuzkich, włoskich i hiszpańskich. Obejmowała zarazem sztuki piękne, jak rozmaitości naukowe, a w końcu doniesienia księgarskie. Wychodziła przez dwa lata i jako na owe czasy, odznacza się znakomitą wartością. Z niéj można miéć dokładny obraz ruchu umysłowego w kraju z lat 1821 i 1822.

— Wiadomo że w Paryżu istnieje ulica pod nazwą *Passage Radziwill*, a imię to dał głośny humorysta i magnat książe *panie kochanku*. Teraz *Constitutionel* opowiada znane u nas dobrze podanie o tém: „Było to za regencyi; książe Radziwiłł żyjąc w ciągłéj niezgodzie ze swym królem, wyjechał do Paryża. Aby jak najprędzéj stanąć w stolicy francuzkiéj, miał na swe usługi najmniéj sto koni rozstawnych, a nie chcąc nigdzie spać pod obcym dachem, kazał kupować każdy dom po drodze, w którym miał się odbyć popas z noclegiem. W Paryżu polubił książe bardzo regenta, który nie mógł się dość nadziwić mnogości wina węgierskiego, którą Radziwiłł połykał. Codziennie książe orleański przyjmował Radziwiłła w Palais Royal. Pewnego dnia książę Radziwiłł mając cóś do przesłania regentowi, zawołał jednego ze swych kozaków i zapytał go:

— Wiész gdzie mieszka regent?

— Nie wiem.

— Wiesz gdzie jest Palais Royal?

— Nie wiem.

— To się dopytaj po drodze, bo to niedaleko.

Kozak pobiegł, ale wkrótce powrócił ze smutną miną, bo nie mógł znaleźć Palais Royal. Radziwiłł zaprowadził go do okna i wskazując mu pałac, rzekł:

— Widzisz ten duży dom? Tam mieszka regent; on tu jest tém, czém u nas król, a to jego zamek. Biegnijże: teraz trafisz.

Kozak ledwie wyszedł z domu, już stracił z oczu Palais Royal. Powrócił w takiéj rozpaczy, że chciał się powiesić z obawy utraty łaski swego pana. Ale książe panie kochanku był w dobrym humorze, zamiast ukarać kozaka, zawołał swego intendenta i kazał mu zakupić wszystkie domy, które wypadało zburzyć, aby zrobić przejście od pomieszkania księcia do Palais Royal. Tym sposobem miała powstać ulica z nazwą wileńskiego wojewody.“

— Towarzystwo naukowéj pomocy Księztwa Cieszyńskiego, rozpoczęło z d. 1 października rok trzeci swego istnienia. „Rok ubiegły, pisze *Gwiazdka Cieszyńska*, możemy nazwać dosyć pomyślnym dla Towarzystwa, pomimo że w roku tym biéda finansowa niekorzystnie na wszystkie stosunki życia wpływała. Kiedy te stosunki urodzajem lepszym cokolwiek się naprawiły, spodziewać się można, że oddziała to na rozwój Towarzystwa.“

— *Historya rewolucyi francuzkiéj Henryka Sybel* (Heinr. v. Sybel, Geschichte der französ. Rewolutionszeit von 1789 bis 1800. Düsseldorf. J. Buddeus), zbliża się do końca. Wyszła właśnie część I piątego i ostatniego tomu. Zawiera: zdobycze wojenne Francyi w Europie południowej po zawarciu pokoju w Campo-Formio, wyprawę egipską Bonapartego, tworzenie się drugiéj koalicyi austryacko-rossyjsko-angielsko-neapolitańskiéj w latach 1797 i 1798. Celem wyjaśnienia wielu tajemnic dyplomatycznych czerpał autor informacye z archiwów: wiedeńskiego, berlińskiego, paryzkiego, londyńskiego i neapolitańskiego. Ostatni rozdział poświęcony jest kongresowi rasztadzkiemu i sprawie zamordowania posłów francuzkich. Oprócz zużytkowania nieznanych dawniéj materyałów i dokumentów, dzieło to budzi w czytelniku wielki interes ze względu na stanowisko, z którego autor oświetla i ocenia wszystkie wypadki; stanowisko całkiem różne od sposobu zapatrywania się historyków francuzkich i rdzennie sprzeczne z dziełem Thiers'a.

— E. *Strümpel*, professor uniwersytetu w Lipsku, w dziele p. t. *Istota i powstawanie marzeń sennych* (Die Natur u. Enstehung der Träume, Leipzig, Veit. 1874) badając zjawiska stanu sennego, wykazuje znaczenie ich w rozwoju pojęć i wierzeń ludzkich. Powiada pomiędzy innemi, że najbogatsza grupa wyobrażeń nadzmysłowych, przeczucie istnienia pośmiertnego, cześć zmarłych, a nawet po części niektóre pomysły religijne zrodziły się we śnie. „Marzenie senne było mostem, za pomocą którego obcują wyższe potęgi z człowiekiem i człowiek z niemi.“ Autor rozciąga wpływ tego fenomenu nawet na życie społeczne i polityczne, w niém bowiem widzi zródło wiary wielkich mężów w nadzwyczajne powołanie, źródło bohatérstwa mass całych i pobudkę do wędrówek ludowych. Zresztą przy wykładzie samego przedmiotu, autor wyznaje że wiele rojeń sennych stanowią jeszcze zagadkę, do odgadnienia któréj brak nam zasobów.

— *Henry Stanley*, korrespondent gazety New-York-Herald, znany z wynalezienia Livingstone'a, skreślił historyą dwóch wypraw angielskich: abissyńskiéj i aszantyjskiéj p. t. *Coomassie and Magdala, the story of two British campaigns* (London. Sampson Low. etc 1874). Znając Afrykę z osobistéj podróży swojéj, a posiadając przytém styl bardzo żywy i jasny, p. Stanley napisał książkę nietylko ciekawą pod względem naukowym, ale i świetną. Zaledwo téż wyszło piérwsze wydanie, kiedy już trzeba było zarządzić drugie. I to drugie jest już w handlu księgarskim. Do tekstu dołączone są illustracye i mapy.

— Biuro statystyczne Królestwa Włoskiego wydało spory tom p. t. *Censimento degli Italiani all'Estero* w wykonaniu prawa, uchwalonego przez parlament, o spisaniu wszystkich Włochów przebywających na obczyźnie. Zebrane za pośrednictwem agentur dyplomatycznych i konsulątów spisy wykazały, że liczba ogólna wychodźców dobrowolnych wynosi 432,000 do 478,000. Dzieci Italii pod czarowném

swém niebem nie znajdują dość chleba i szukają go po świecie szerokim; udają się najwięcéj do Ameryki południowéj, do Dalmacyi, Istryi, Turcyi, Egiptu, Austryi, bardzo mało do Anglii (3,000), a jeszcze mniéj do Niemiec (1,400). Dzieło to zasługuje na uwagę, jako piérwsza praca statystyczna tego rodzaju. Gdyby prace podobne upowszechniły się w Europie, moglibyśmy powziąć wyobrażenie o nowoczesnéj spokojnéj wprawdzie, ale bardzo rozległéj „wędrówce ludów."

— Szacowne wydawnictwo zaczęte przed 50 laty przez *Heerena* i *Ukerta* p. t. *Historya państw europejskich* (Geschichte der europäischen Staaten, herausgegeben von H. u. U.), którego część stanowiła Historya Polski Roeppla, zatrzymało się już oddawna po śmierci redaktorów i wielu spółpracowników. Obecnie z pisma *Magazin für die Litteratur des Auslandes* (nr. 40), dowiadujemy się, że Wilhelm von *Giesebrecht*, zasłużony autor Historyi (dawnego) cesarstwa niemieckiego, uproszony przez dawnego nakładcę, przyjął redakcyą i poczynił już stosowne kroki do odżywienia obumarłego przedsięwzięcia. Nowy tom *Historyi Szwecyi* przez Carlsona jest już pod prassą, wkrótce przygotowanym być ma do druku ciąg dalszy *Historyi Polski*, przez J. Caro; następnie pójdzie *Historya Prus* (F. Reimanna) do najnowszych czasów, potém Dzieje *Rossyi* (T. Schiemanna), *Francyi* (*K.* Hillebranda), *Grecyi* (Hertzberga), *Szwajcaryi* (Gisi) etc.

— Dr. Gr. *Krek* professor w Gracu, wydał prelekcye swoje o literaturach słowiańskich p. t. *Einleitung in die slawische Literaturgeschichte* (Graz. Leuschner 1874, str. VIII i 336, 8-vo). W księdze I-széj autor zestawia „najważniejsze wiadomości paleontologii lingwistycznéj oraz dawnych pisarzy o języku, o dziejach i stopniu oświaty u dawnych Słowian"; księga II-ga zawiera „uwagi ogólne o literaturze podaniowéj Słowian, oraz o stosunku jéj do historyi cywilizacyi, a w szczególności do mytologii."

— W dalszym ciągu *Historyi Spółczesnéj* (Geschichte der Gegenwart) Wilhelma Müllera, ukazał się nowy tom (Berlin, Springer 1874 r.) obejmujący dzieje 1873 roku. Jest tu walka kościelna w Prusiech i w Szwajcaryi, installacya Mac-Mahona, proces Bazena, sprawy hiszpańskie etc. Na końcu jest dołączona kronika wypadków i spis alfabetyczny osób działających.

— Do najbardziéj zagadkowych zjawisk w historyi należy sekta muzułmańska *Assasynów*, któréj wyznawcy mordowali najznakomitszych potentatow i wykonywali najniebezpieczniejsze polecenia z fanatyczném poświęceniem na rozkaz tajemniczego „Starca z góry" za czasów wojen krzyżowych. P. *Guyard* wytłumaczywszy jeden rękopism, znaleziony przez Rousseau i zgromadziwszy bogate materyały ze źródeł wschodnich, skreślił historyą téj sekty p. t. *Fragments relatifs à la doctrine des Ismaélis* (Paris 1874 r.). Nauka ich nosi wybitne ślady wpływów neoplatońskich w połączeniu z islamem. Dusza świata i rozum świata wciela się w „mówców bożych," Adama,

Noego, Abrahama, Mojżesza, Jezusa i Muhameda, a siódmém wcieleniem być miał właśnie „starzec z góry“ czyli Imam. Otaczali go słudzy podzieleni na 6 klass, posiadający stosownie do swego stanowiska w sekcie większą lub mniejszą liczbę tajemnic, ale jednakowo obowiązani do posłuszeństwa rozkazom wcielonego bóstwa.

— *Die Höllenfahrt der Istar*, ein altbabylonisches Epos, nebst Proben assyrischer Lyrik von D-r Eberhard *Schrader*, prof. d. Theol. in Jena; Text, Uebersetzung, Commentar u. Glossar (Giessen. Ricker 1874 r.). W odkrytéj niedawno przez p. Smith'a epopei potopowéj babylońskiéj, znajduje się nader ciekawy ustęp o bogini Istarze, semityckiéj Wenerze. Istara, piękna córka Sina (boga słońca) chce zwiedzić krainę podziemną, z któréj nikt nie wraca. Gdy przyszła przed bramę piekielną, stróż poszedł wizytę oznajmić pani ziemi. Ta okazuje swe niezadowolenie, lecz wejść pozwala. Przechodzi tedy Istara przez siedmioro drzwi, a przy każdych traci jednę ozdobę: najprzód koronę, potém zausznice, potém naszyjnik, płaszcz, pas i. t. d. Nareszcie stanęła przed siostrą. Pani ziemi, gniewna, wydaje rozkaz do sługi swego Namtara, by zamiast dawnych ozdób dotknął jéj oczy, ramiona, nogi, głowę i serce chorobami. Ale tymczasem na świecie dzieją się okropności: buhaj stroni od krowy, osioł od oślicy, a pan od niewolnicy. Dochodzą skargi do Sina, który każe jednemu ze sług swoich przywołać napowrót Istarę. Przerażona bogini piekieł, pomimo wielkiéj złości, każe Namtarowi prysnąć wodą życia na zmarłą Istarę i wyprowadzić ją na świat. W tym mycie są cechy wspólne z mytem o Prozerpinie. Prof. Schrader opatrzył tłumaczenie swoje uczonemi komentarzami mytologicznemi i filozoficznemi.

— Przekład *Dziejów Powszechnych Szlossera*, wydawany staraniem Księgarni Polskiéj we Lwowie, posunął się już do końca XIV wieku w zeszycie 47-m.

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.

† Dnia 11 września 1873 r. zakończył życie ksiądz ***Piotr Wincenty Podlewski,*** pierwotnie członek zgromadzenia księży Pijarów, od r. 1824 nauczyciel w szkołach publicznych, następnie trudnił się wychowaniem dzieci obywatelskich. Urodzony w powiecie Kowelskim 1804 r., od młodocianych lat poświęciwszy się stanowi duchownemu, był wiernym sługą ołtarza, gruntownym pedagogiem, zacnym przewodnikiem młodzieży i zasłużonym pisarzem. Wolne chwile od zajęć poświęcał pracom już to treści religijnéj, już nauczającéj. Szereg ich od 1840 r. do 1872 r. jest niemały; do ważniejszych należą: 1) *Pismo Święte* czyli wierne opowiadanie słowa Bożego od początku świata, aż do dzisiejszego dnia, w II tomach; 2) *Historya ś-go kościoła Jezusa Chrystusa* i darów *Świętego Ducha*, w II tom.; 3) *Ewangielia i Listy Apostolskie* w III częściach. Z dzieł pedagogicznych: 4) Nauka czytania i pisania (Wilno 1850 r.); 5) *Gramatyka języka polskiego* w III częściach, (Wilno 1858 r.); 6) *Wymowa i jéj rodzaje;* 7) Rozprawy naukowe: 8) *Poetyka, jako nauka poezyi i jéj rodzaje;* 9) *Ziemia i na niéj mieszkający ludzie, czyli Geografia*, i 10) *Człowiek postępowy;* drukowane w Warszawie. Była to zgasłego pisarza ostatnia praca. Zwłoki jego spoczęły w miasteczku Kowlu.

† Dnia 17 października r. b. we Lwowie zmarła w 81 roku życia ***Marya Regina Korzeniowska,*** właścicielka wsi Bochemiki na Podolu, znana autorka ważnego atlasu dla dziejów Polski z kilku części złożonego: 1) *Atlas historyczny, genealogiczny, chronologiczny i geograficzny Polski.* (Warszawa 1831 r. wydano arkuszy 7, miało być 10, ale z powodu zwinięcia drukarni Gałęzowskiego, ocalało zaledwie kilkanaście egzemplarzy). Brali udział w téj pracy i dopomagali: Joachim Lelewel i Leopold Szawaszkiewicz. 2) Lesage'a, tablice genealogiczne, jedna tablica: *Genealogia królów polskich,* (Wilno 1839 r.); *Genealogiczny obraz monarchów polskich,* (w 2 arkuszach 1845 r.).

† Dnia 29 października r. b. zakończył życie w Krakowie w wieku lat 74, ***Andrzéj hr. Zamoyski,*** założyciel i redaktor przez wiele lat wychodzących Roczników gospodarstwa krajowego. Dnia 14 listopada w kościele Ś. Krzyża w Warszawie, odbyło się żałobne nabożeństwo za duszę zmarłego.

† Dnia 25 listopada r. b. umarł w Warszawie ***Romuald Teodor Zientarski,*** po długich cierpieniach, licząc lat 45 w. Urodził się 1829 r. we wsi Wymyślinie pod Nasielskiem, nauki pobierał w Pułtusku. Poświęciwszy się muzyce, pracował pod kierunkiem Józefa Elsnera i Tomasza Nideckiego. Obrawszy sobie zawód nauczycielski, przeważnie oddał się muzyce religij-

néj. Wydał *Pienia religijne, Szkołę na fortepian i Szkołę dla organistów.* Najważniejszém jednak dziełem zgasłego pracownika jest *Muzyka kościelno-chóralna i figuralna*, którą zeszytami od r. 1860 wydawał.

† Dnia 25 listopada r. b. jako wrocznicę śmierci ś. p. ***Cypryana Walewskiego,*** odbyła się w kościołku Powązkowskim żałobna wotywa za duszę zmarłego, po któréj nastąpiło przeniesienie zwłok do grobu familijnego, który wzniesiony został pod katakumbami, w pobliżu pomnika Leona hr. Łubieńskiego.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki.**

Wydawca *Józef Berger.*

W drukarni J. Bergera, w Warszawie przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 619.

Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Ноября 1874 года.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

Z R. 1874.

—

stron.

Archeologia.

Sfinks. Przez Cypryana Norwida. 74

Astronomia.

Przejście planety Venus przed tarczą słoneczną. Przez Kajetana Kraszewskiego. 1
Gwiazdy spadające, kule ogniste, aerolity i komety. Przez J. K. Steczkowskiego. 387
Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj. Przez Aleksandra Wejnerta. . 467

Dawne prawo polskie.

Roty przysiąg krakowskich z końca wieku XIV. Wydał i objaśnił Romuald Hube. 184

Historya.

Warszawa i jéj społeczność w początkach naszego stulecia. Przez K. Wł. Wójcickiego. 46, 361

stron.

Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej. Przez J. Domeykę, L. Wasiutyńskiego i J. Rolle. 122

Literatura krajowa.

Wiadomość o księgarniach najdawniejszych w Warszawie. Przez Aleksandra Wejnerta. 111

Literatura powszechna.

Starożytna Greczynka. Napisał Dr. Zygmunt Samolewicz. . . . 153

Literatura zagraniczna.

KRONIKA ZAGRANICZNA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Paryż i Wersal przed stu laty: przez Juliusza Janin. — Plejada współczesnych poetek włoskich: Francesca Lutti, z Tyrolu: poemat Alberto.— Wenecyanka Fua Fusinato.— Alinda Brunamonti.— Sycylianki: Rosina Muzio-Salvo: Wiersz do Sycylii.—Concettina Filesi, Pieśń nad kołyską.— Mariannina Coffa Caruso: Sonet do krytyka — Improwizatorka Gianina Milli: Powitanie Wezuwiuszu. — Nowe powieściopisarki francuzkie. — Pani Bloqueville: Wieczory w willi Jasminowéj.—Panna Hollard: Biedny chłopiec.— Księżna Olga Kantakusen: Ciocia Agnieszka.— Powieści pozytywne: Czary Prudencyi.—Pamiętniki kozaczki.—Ostatnie powieści pani Sand: Moja siostra Joanna.— Zamek Piotordu.— Dzieła uwieńczone przez akademią francuzką: wielka nagroda: Histoire des Etats generaux p. I. Picot.— Inne nagrody: Historya Henryka IV p. Lescure.— Historya restauracyi protestantyzmu w ośmnastym wieku p. E. Hugues. — Stan rycerski w Rzymie, p. Belot.—Historya Alcybiadesa, Emila Houssaie.— Studya historyczne nad Włochami, p. Dantier.—Studya nad literaturą niemiecką professora Bossert. — Historya prześladowań rewolucyjnych p. Saussay.—Przekład dramatów Lope de Vega p. Baret.— Przekład arcydzieł Kalderona, p. A. Latour.—Mademoiselle Guignon p. Teuriet.—Poezya Rèves et devoirs p. Froment.—Filozofia Humego, p. Compayre.—Życie Xenofona, p. Croiset.—La morale universelle, pastora Eschenauer.— Rozbitki

stron.

na morzach Auklandzkich, p. Raynal.—Rodzina podczas wojny, pani Boissonas.—Poczciwi ludzie, p. Girardin.—Zadania konkursowe.—Rozprawa nad Rabelais.—Poemat o Liwingstonie.—Dary dla akademii.—Legenda naszych czasów. 78

Powieść p. Freitag, z epoki staro-germańskiéj, p t. Ingo.—Odwieczne zapasy germanizmu z latinizmem.—Rozprawa p. Bousquet o teatrze japońskim w Yeddo.—Dramat Zemsta rodziny Soga.—Komedya.—Powieściopisarstwo.—*Zbiór pieśni nowogreckich*, wydany w przekładzie francuzkim przez Emila Legrand.—Odkryty świeżo w Wiedniu manuskrypt z wieku XVI, przez Konstantego Sathas.—Pieśni historyczne: *Wódz Thalkas.*—Pieśni miłosne: *Distiki.*—Dumki: *Sierota*, *Potęga łez*, *Księżniczka i Ptaszyna*, *Pierścionek*, *Okręt Charona*, *Zemsta męża.*—Podanie o Mazepie.—Dzieło Maxyma du Camp: Paryż, jego organa żywotne: teatr, dziennikarstwo, biblioteki.—Wspomnienie Franciszka Guizot.—*Życie patrycyusza weneckiego*, przez Yryarta.—Oswobodziciele narodów, przez Franciszka Combes.—Historya życia i prac Hoëne Wrońskiego, przygotowana do druku przez Lazara Augé.—Listy Prudona. 255

Lud rumuński według pieśni narodowych, przez p. Cratiunesco.—Wspomnienia fortepianisty, odpowiedź na Pamiętniki Kozaczki.—Sprawozdanie z kongresu antropologiczno-archeologicznego w Stokholmie, przez J. I. Kraszewskiego.—Malowidła p. Baudry do sali Wielkiéj opery paryzkiéj.—Wystawa unii centralnéj sztuk pięknych w pałacu przemysłowym.—Historya kostiumu.—Wydawnictwa Firmina Didot'a.—Arcydzieła powieściopisarzy francuzkich przed Lafontenem, przez p. Lonandre.—Doroczne posiedzenie pięciu akademii, składających instytut francuzki.—Poeta byzantyjski z czasu Komnenów.—Rozmaitości. 425

Materyały historyczne.

Rodzina Pułaskich. Przez Zygmunta Glogera. 67

Powieść.

Brühl. Opowiadanie historyczne. Przez J. I. Kraszewskiego. T. II. 7, 212, 329

Zakłady Naukowe.

Akademia umiejętności w Krakowie. Przez K. Wł. Wójcickiego. . 288

stron.

Piśmiennictwo krajowe i zagraniczne.

Historya włościan i stosunków ich politycznych, społecznych i ekonomicznych, które istniały w Polsce od czasów najdawniejszych aż do drugiéj połowy XIX wieku; napisana przez W. Al. Maciejowskiego. Rozprawa konkursowa, od Towarzystwa Przyjaciół nauk Poznańskiego uwieńczona nagrodą, którą z własnych funduszów August hr. Cieszkowski wyznaczył, a która to rozprawa pojawia się w druku, jako drugi artykuł dopełnień do Historyi prawodawstw słowiańskich (Warszawa, druk K. Kowalewskiego r. 1874). Przez E. 125

Teatr Fredry Al. ojca, w przekładzie francuzkim p. Ludwika Léger. Przez E. L. 135

O życiu i pismach Justa Ludwika Decyusza 1485—1545. Napisał Dr. Aleksander Hirschberg. Lwów, 1874 r. Przez W. . . 136

Modlitewnik króla Zygmunta I-go. Przez R. 137

O cenzurze Apijusza Klaudyusza Ślepego. Kraków, 1874 r. (w 8-ce str. 71). Przez C. K. prof. uniwers. D-ra Brandowskiego. . . 139

Przy Studni. Kraków, nakładem księgarni Nowoleckiego (w 8-ce str. 28), w drukarni Leona Paszkowskiego. Przez R. 140

Józef Łukaszewicz, wspomnienie pośmiertne. Poznań, nakładem Tygodnika Wielkopolskiego 1873 r. (w 8-ce str. 22). Przez W. . 141

Karol Linneusz, przez Wawrzyńca hr. Engeström a. Życiorys z portretem. Warszawa, nakładem redakcyi Kroniki Rodzinnéj 1874 r. (w 8-ce, str. 35). Przez W. 14

Scriptores Rerum Polonicarum. Tomus II Continet: Chronicorum Bernardi Vapovii partem posteriorem 1480—1535. (Pisarze Dziejów Polskich. Tom II zawiera: Kroniki Bernarda Wapowskiego część ostatnią, czasy po-Długoszowe obejmującą 1480—1535. Kraków. Nakładem Akad. Umiej. 1874). Przez Kazimierza Pułaskiego. 303

Literatura Rzeczypospolitéj Chile. Dary Ignacego Domeyki dla Biblioteki publicznéj Uniwers. Warszawskiego. Przez T. Korzona. 311

Odpowiedź na krytykę rozprawy: Wcielenie Inflant. 1528—1561 roku. Przez D-ra St. Karwowskiego. 315

Socyologia czyli nauka o społeczeństwie, przez L. Steina. Przełożył D. F. Dr. fil., Warszawa, 1874 roku w 8-ce str. VI i 396. Przez F. Z. 470

Poezye Michała Bałuckiego, Kraków 1874 r. Przez E. L. . . . 475

Botanika dla niższych i średnich klas gimnazyalnych i realnych, ułożona przez Bolesława Jerzykiewicza, nauczyciela etatowego przy szkole

stron.

realnéj w Poznaniu, z 140 drzeworytami. Poznań, nakładem Jana Konstantego Żupańskiego, r. 1874. Przez Antoniego Wagę. . 478

De Aureli Prudenti Clementis genere dicendi Quaestiones Dissertatio philologica quam... in publico defendet scriptor Antonius Erasmus Kantecki, Polonus, presbyter Posnaniensis. Monasterii. Ex typographia Theissingiana. MDCCCLXXIV, stronnic 81 w 12-ce. Przez T. K. 481

Wiestnik Europy, Petersburg, styczeń 1874 r. 482

WIADOMOŚCI LITERACKIE. 142, 320, 486

NEKROLOGIA. 151, 328, 498

Od redakcyi. 152

Program konkursowy na dzieło dla dzieci. 319

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE.

Biblioteka